PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY CZWARTY. — TOM XCIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1907.

KRAKOW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1907

DZISIEJSZA AKCYA LIBERALIZMU.

Dwa wieki już upływa od czasu, gdy liberalizm wystąpił z żądaniem potrójnej wolności: swobody obywatelskiej, gospodarczej i intellektualnej. W imię tych zasad stanął on do walki z ówczesną monarchią feudalno-absolutną, a w jego szeregach znalazły się wkrótce niemal wszystkie szlachetniejsze żywioły społeczne, bo chodziło o osiągnięcie wielkiego i szczytnego celu, o zdobycie wolności i równości dla wszystkich.

Równocześnie, od pierwszej chwili swego powstania, liberalizm zwraca się przeciw katolicyzmowi. Jest to przedewszystkiem niejako konieczne uzupełnienie jego walki z monarchią. Kościół uważano wówczas za najwierniejszego sprzymierzeńca i najsilniejszą podporę tronu; chcąc obalić monarchię, lub przynajmniej zmienić zupełnie jej ustrój, uderzano na instytucyę, która ją podtrzymywała. Obok tego jednak liberalizm występuje przeciw Kościołowi i z innych, można powiedzieć zasadniczych powodów. Państwo ówczesne krępowało jednostkę prawnie i społecznie, Kościół nakładał więzy myśli ludzkiej, należało więc obalić obu tych wrogów prawdziwej wolności.

Pod ciosami liberalizmu upada najpierw dawny absolutyzm; liberalizm z opozycyi przechodzi do władzy i rządów. Olbrzymie pole działania staje przed nim otworem, bo ma zreorganizować społeczeństwo i oprzeć je na zupełnie nowych podstawach. Niestety, o ile liberalizm okazał wiele energii i zręczności w czasie walki, o tyle po zwycięstwie zabrakło mu zdolności do pozy-

tywnej pracy, nie potrafił bowiem stworzyć ustroju, któryby społeczeństwu zapewnił istotnie rzeczywistą wolność. Wprawdzie proklamowano uroczyście prawa człowieka i na polu politycznem uzyskano dla obywateli szereg bardzo doniosłych zdobyczy, lecz równocześnie nowożytne państwo, niewątpliwy wytwór liberalizmu, okazuje nader niepokojące tendencye ku bezustannemu rozszerzaniu swej wszechwładzy na wszystkie dziedziny życia. W gruncie rzeczy mamy zapewnioną jedynie wolność formalną, dowolnie i jednostronnie przez państwo określoną, zagwarantowaną wprawdzie ustawami, lecz zależną od woli państwa, które każdej chwili może je uchylić i zmienić w miarę tych potrzeb i prądów, które zapanują w kierujących sferach. Prawa człowieka, tak entuzyastycznie przyjęte, gdy je najpierw w Ameryce, a potem we Francyi ogłoszono, stały się w rzeczywistości fikcyą, a raczej zmieniły się w prawa państwa, bo naprawdę tylko państwo posiada zupełną swobodę ruchów i ono tylko ma pewność, że jak długo zachowa niepodległość, nikt mu tej wolności odebrać nie może. W porównaniu z królewskim absolutyzmem XVII i XVIII wieku, stosunek jednostki do państwa zmienił się tylko formalnie; treść jego pozostała nienaruszona. W miejsce woli panującego weszła wola czynników ustawodawczych i częściowo biurokratycznych, obywatel jednak i dzisiaj nie posiada faktycznie żadnych praw własnych, nienaruszalnych, tylko musi się stosować do przepisów, które państwo wydaje z mocy swej władzy.

Jeszcze mniej uzyskano w dziedzinie gospodarczej. Tutaj liberalizm doprowadził do uchylenia wszystkich dawniejszych ograniczeń tak, że przez parę dziesiątek lat panowała istotnie na tem polu zupełna swoboda. Lecz ta wolność, która wskutek różnic majątkowych, stała się rzeczywistą niewolą dla najszerszych warstw ludności, okazała się w praktyce tak szkodliwą i zgubną, że niebawem zewsząd zaczęto się domagać jej ograniczenia lub nawet uchylenia. Dzisiejsze państwa zerwały już od dawna prawie zupełnie z liberalizmem ekonomicznym i obecnie postępujemy z ogromną szybkością po drodze, która prowadzi znacznie dalej, aniżeli wszystkie dawniejsze próby unormowania

gospodarczego życia. Jeżeli w dziedzinie politycznej liberalizm może się poszczycić pewnemi zdobyczami, jeżeli na tem polu państwo nowożytne nie narusza pewnych praw obywatelskich, to w sferze gospodarczej poniósł on zupełną klęskę, tak, że do jego zasad nikt już prawie dziś się nie przyznaje.

Nic przeto dziwnego, że po rozwianiu się złudzeń i nadziei, związanych z liberalizmem, gdy oszołomienie odniesionem zwycięstwem ustąpiło miejsca otrzeźwieniu, liberalizm znalazł się w położeniu bardzo ciężkiem. Idee, po których tak wiele sobie obiecywano, w praktyce wydały owoce bardzo nieszczególne, ustrój nowy nie dawał tak samo szczęścia jak dawniejszy. A liberalizm, już wskutek tego, że przez tak długi czas widział tylko jeden i to negatywny cel przed oczyma, że dążył wyłącznie do obalenia dawnego porządku rzeczy, przerodził się z konieczności w kierunek jednostronny, doktrynerski, sekciarski. Podobnie jak człowiek, który poza swoim zawodem nie widzi niczego, staje się z czasem niezdolny do objęcia myślą szerszych widnokręgów, tak i liberalizm patrząc ciągle na monarchię feudalną, jako na swego śmiertelnego wroga, nie umiał zoryentować się w nowych stosunkach, gdy ona raz upadła. Wystąpiła w nim niejako petryfikacya jego pierwotnych zasad i haseł; o postępie, rozwoju, ewolucyi nie było w gruncie rzeczy mowy.

Ten intellektualny, można powiedzieć, nastrój liberalizmu, obok innych postronnych wpływów, których tu nie poruszam, sprawił, że po zwycięstwie i doktrynerskiem przeprowadzeniu swych zasad politycznych i ekonomicznych, zwrócono się z całą namiętnością ku walce z Kościołem. Gdyby liberalizm miał większą przedmiotowość myśli, gdyby posiadał szerszy pogląd na sprawy ogólno-ludzkie, walka z katolicyzmem o ile nie zaognięłyby jej jakieś postronne interesy, nie miałaby już teraz, właśnie z punktu widzenia liberalnego, żadnej racyi bytu. Upadek absolutyzmu uchylał jej potrzebę, gdyby nawet kiedykolwiek istniała, bo rozwiązywał siłą rzeczy przymierze tronu i ołtarza. Takie stanowisko jednak prowadziło konsekwentnie do zaniku liberalizmu, gdyż od chwili zwycięstwa, nie stworzył żadnej nowej myśli, a pierwotne jego zasady były już urzeczywistnione. Z zaprzestaniem

walki, znikało dla niego uprawnienie bytu; liberalizm więc, wiedziony instynktem samozachowawczym, musiał znaleźć sobie, choćby sztucznie, wroga.

W tym samym kierunku parł go jeszcze wzgląd drugi. Zasady liberalne wydały w dziedzinie gospodarczej nader szkodliwe rezultaty społeczne, tak, że doprowadziły do bardzo ostrych walk wewnętrznych pomiędzy klasami posiadającemi a robotnikami. Liberalizm nie chciał i nie mógł porobić znaczniejszych ustępstw na rzecz niezadowolonych; nie chciał, gdyż mogły one polegać jedynie na wprowadzeniu specyalnych przepisów, ochraniających słabszych, co sprzeciwiało się liberalnej doktrynie, hołdującej formalnej równości i wolności, nie mógł, bo ogromna większość zwolenników liberalizmu, składała się z warstw, których interes był sprzeczny z interesem robotników. Każde zaspokojenie ich żądań mogło się odbyć tylko kosztem tych, na których liberalizm głównie się opierał, nic przeto dziwnego, że właśnie ten kierunek najgoręciej występował w obronie istniejącego ustroju. Lecz wskutek tego u dołu coraz potężniejsza przeciw niemu powstawała opozycya, która w postaci socyalizmu stawała się z każdym dniem groźniejsza. Zwalczała go tem namiętniej, że te sfery, które domagały się usunięcia swych krzywd, szły początkowo w szeregach liberalizmu, spodziewając się, że jego zwycięstwo da im także lepsze materyalne warunki. Do antagonizmów ekonomicznych, dołączyła się jeszcze niechęć, wywołana zawodem, liberalizm więc znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Jedynem dla niego wyjściem było odwrócenie uwagi tych potężnych zastępów od właściwego ich celu i skierowanie ich wysiłków ku zadaniu, które nie tylko dla liberalizmu nie było niebezpieczne, lecz nawet pozwalało mu dalej utrzymywać się u steru i kierować społeczeństwem.

Podniesiono więc do naczelnej zasady walkę z Kościołem katolickim. Liberali widzieli doskonale, że wojna z Kościołem nie będzie ani łatwa, ani krótka, że zwróciwszy masy w tym kierunku, będą mieli na długi czas spokój, przynajmniej względny, w dziedzinie ekonomicznej. Wyszkoleni w taktyce i agitacyi, znali oni dobrze psychologię mas i wiedzieli, że rzucona pomiędzy nie myśl

raz przyjęta, utrzyma się przez całe lata, że bezkrytycznie będzie przechodzić od jednych do drugich, może nawet z pokolenia na pokolenie. A prawdopodobieństwo tego było tem większe, że nie potrzeba już było zwalczać postulatów socyalistycznych. Wystarczało najzupełniej, gdy się je usunęło na drugi plan, gdy się przyobiecało reformy po zwycięstwie nad Kościołem. W polityce nie oblicza się na stulecia, obietnice więc, których spełnienie miało nastąpić po tylu dopiero latach, nie były z pewnością niebezpieczne.

Myśl tę przeprowadzono bardzo zręcznie i konsekwentnie. Absolutyzm, monarchia feudalna — głoszono — upadły, miejsce ich zajęło państwo ludowe, w którem każdy ma poręczoną wolność i równość. To państwo nowożytne, które jest wypływem wszechwładzy ludu, musi być zupełnie, w każdym kierunku i na każdem polu niezależne i wszechwładne. Obok państwa, na jego obszarze, nie może nikt się znajdować, ktoby nie poddawał się jego woli; interes i godność narodu domagają się stanowczo, ażeby państwo stało ponad wszystkiem i wszystkimi. Stąd też i Kościół albo musi się poddać prawom państwowym albo nie może być cierpiany; nie może być mowy o jego równorzędności, a tem mniej o jakiejś supremacyi. Lecz nie koniec na tem. Zdobyliśmy już, woła liberalizm, wolność obywatelską, ale nie mamy jeszcze wolności myśli, bo krępują ją na każdym kroku dogmaty religijne. Nie tylko należy się zwrócić przeciw Kościołowi, jako instytucyi stanowiącej państwo w państwie, lecz wypada jeszcze przeciwdziałać jego wpływom na umysłowość ludzką, bo wolny człowiek powinien być równie swobodny fizycznie i intellektualnie. A postulat ten jest tem ważniejszy, że w nowożytnem państwie każdy obywatel decyduje pośrednio o losach całości, biorąc udział w wyborach wszelkiego rodzaju. Zależność religijna prowadzi do zależności politycznej tak, że Kościół przez swój wpływ moralny oddziaływa zarazem na losy całego państwa, staje więc w istocie rzeczy ponad niem. Walka z Kościołem nie jest więc wojną zaczepną, lecz tylko konieczną obroną nabytków, zdobytych od niedawna, obroną państwa ludowego, zbudowanego na zasadzie wolności i równości.

Nie potrzeba chyba wskazywać, ile w tym wywodzie jest

błędów i sofizmatów, nawet ze stanowiska zupełnie bezwyznaniowego. Państwo nie jest przecież celem samym dla siebie, lecz środkiem, instytucyą, powstałą i zorganizowaną w interesie ogółu. Zakres jej działania i uprawnienia mogą sięgać tylko tak daleko, ażeby państwo odpowiedziało swemu zadaniu, t. zn. ażeby istotnie mogło działać na rzecz dobra ogólnego. Stąd też nie może być mowy ani o wszechwładzy państwa, ani o zasadniczem objęciu czy normowaniu przez państwo wszystkich dziedzin życia ludzkiego; można się spierać o granice władzy państwowej, lecz nie ulega wątpliwości, że u pewnego punktu skończyć się musi. Tem samem nie można mówić o jakiejś kolizyi pomiędzy rzeczywistemi prawami państwa i Kościoła, bo sfery ich działania mogą być zupełnie oddzielne. W takim jednak razie żadna strona nie ma prawa do narzucania swej woli drugiej, obie bowiem są równorzędne i jedynie drogą dobrowolnej, dwustronnej umowy, możnaby usunąć jakiekolwiek spory. Prawda, że nieraz państwo stawało i staje na innem stanowisku, idąc w duchu swego prawdziwego czy urojonego interesu, lecz wtedy mamy do czynienia z dążeniami egoistycznemi, popartemi siłą, które nie różnią się niczem innem od podobnych kroków indywidualnych, jak tylko tem, że ponad jednostką stoi państwo z całym swym aparatem prawnym i wykonawczym, a państwo nie czuje nad sobą żadnej siły.

Tem mniej uzasadnienia posiadają argumenty, odnoszące się do intellektualnego i moralnego wpływu Kościoła. Rzucono niegdyś paradoks, że wierzyć znaczy nic nie wiedzieć, tymczasem wręcz przeciwnie, bez wiary nie może być w żadnej dziedzinie myśli żadnej świadomości, gdyż wszędzie albo dochodzimy do zasad i pierwiastków, na które już nie mamy absolutnych dowodów, tak że w nie wierzymy, albo też przerywamy wcześniej badanie czy rozumowanie, a wtedy wierzymy innym, od których czerpiemy nasze wiadomości. Wiara przeto jest koniecznym składnikiem naszego myślenia, którego nie można usunąć, jakiem więc prawem państwo ma się zwrócić przeciwko wierze religijnej, a nie naukowej, przyrodniczej, politycznej lub jakiejkolwiek innej. I nie można także mówić, że nie chodzi o wiarę, tylko o jej szerzenie, bo przecież bezustannie szerzy się wiarę w najrozmaitsze rzeczy bez

jakichkolwiek trudności, traktowanie więc odmienne religii nie jest zrównaniem, tylko upośledzeniem. Wreszcie ostatnia rzecz i z punktu widzenia liberalizmu najważniejsza, wpływ polityczny Kościoła. Kościół miał, ma i z pewnością mieć będzie zawsze wpływ polityczny, bo polega on na wspólności poglądów w pewnym kierunku tych wszystkich, którzy wyznają pewną religię. Lecz tu znowu nie można dopatrzeć się żadnej różnicy pomiędzy wpływem Kościoła, a oddziaływaniem jakiejś grupy społecznej lub stronnictwa politycznego, którego zwolennicy zgodnie zapatrują się na pewne sprawy i starają się urzeczywistnić swe poglądy. Nowożytne państwo uznaje swobodę myśli politycznej i prawo każdego do propagandy swych poglądów, gdzież więc szukać powodu, dla którego odmówionoby tych praw Kościołowi i zapatrywaniom religijnym. Prawda, że ustawodawstwo pozytywne dopuszcza tu pewne wyjątki, zabraniając szerzenia poglądów, które kodeksem karnym uznano za szkodliwe lub występne. Lecz najpierw w tym wypadku chodzi o ochronę podstaw, na których opiera się ustrój państwa i społeczeństwa, tak, że państwo występuje wtedy raczej w roli interesowanego niż sędziego, a powtóre tego rodzaju akcyi ze strony Kościoła obawiać się nie można. Mimo wszystko, naczelne zasady naszej organizacyi społecznej zaczerpnięto z etyki chrześcijańskiej; nie podobna przeto utrzymywać na seryo, że Kościół użyje przeciw nim swego wpływu, bo zwalczałby sam siebie.

Tak więc, stając nawet na gruncie zupełnie bezreligijnym, musi się uznać, że argumenty przytaczane na uzsadnienie walki z Kościołem, nie wytrzymują krytyki. Konsekwentne rozwinięcie zasad liberalnych prowadzi co najwyżej do pojęcia państwa bezwyznaniowego, traktującego Kościół na równi z innemi organizacyami społecznemi, jak to się dzieje np. w Stanach Zjednoczonych, lecz państwo, które instytucye religijne stara się krępować specyalnymi przepisami, które tworzy dla nich liczne *privilegia odiosa*, łamie niewątpliwie i wolność i równość, nie tylko materyalną ale wprost i formalną. W takiem państwie wracamy właściwie do czasów, których wyznanie panującego decydowało o wierze poddanych; w miejsce monarchy wprowadza się pań-

stwo, t. zn. chwilowy rząd i większość, zresztą niema żadnej różnicy. Jest to więc właściwie państwo wyznaniowe, tylko o tyle gorsze od dawniejszych, że jego religią jest walka z chrystyanizmem lub katolicyzmem, która z natury rzeczy prowadzi do sekciarskiej zaciekłości i fanatycznych wybuchów namiętności.

Pomimo tego prąd antykościelny, propagowany przez liberalizm, zwyciężył w ciągu XIX stulecia i liczne państwa poszły po tej drodze. Ogromna większość intelligencyi, na którą potężnie oddziałała prasa, zmonopolizowana niemal przez liberalizm, zwróciła się przeciw rzekomej hegemonii Kościoła nad państwem, a socyalizm, prowadzący znaczną część robotników, poparł jej usiłowania. Młode państwa konstytucyjne, które powstały na gruzach absolutyzmu, cieszyły się przynajmniej w początkach olbrzymią popularnością; instytucye religijne, które nie chciały uznać ich wszechmocy, musiały być zgniecione. Rządy, którym już nie groziły jak dawniej spiski i rewolucye, które nie potrzebowały już bezustannej pomocy policyi i wojska przeciw własnym obywatelom, nabrały również przesadnego wyobrażenia o swej sile; zdawało się im, że państwu, przez nie prowadzonemu, nic oprzeć się nie może.

Po drugiej stronie stał Kościół katolicki, z papieżem na czele, wyzuty pozornie ze wszystkich środków obrony. Nie rozporządzał już żadną siłą fizyczną, a moralna również zdawała się bardzo nikła, bo cała głośna opinia publiczna nie tylko nie szła za wskazówkami Kościoła, lecz wręcz przeciwnie zwalczała wszystko, co wychodziło od niego, nieraz tylko dlatego, że Kościół to zalecał. Do tego przyłączyło się jeszcze samo postępowanie Kościoła. Państwo, jakby na próbę, wydało szereg zarządzeń, które jakkolwiek nie zwracały się wprost przeciw instytucyom kościelnym, były jednak niewątpliwie owiane duchem dla nich nieprzyjaznym. Kościół przyjmował to wszystko z poddaniem, z pewną rezygnacyą, ograniczał się co najwyżej do platonicznych protestów, widocznie więc — mówiono — sam czuje swoją niemoc, rozumie, że zniknął już bezpowrotnie okres jego potęgi. A w takim razie państwo powinno przyspieszyć tę ewolucyę i złamać go czemprędzej.

Wszystkie niemal rządy europejskie szły przez pewien przeciąg czasu drogą wskazaną przez liberalizm, z całą jednak bezwzględnością starano się przeprowadzić jego doktrynę, przedewszystkiem w dwóch państwach, w Niemczech i we Francyi. Prawie natychmiast po utworzeniu cesarstwa rozpoczął Bismarck wojnę z katolicyzmem, z pewnością nie tyle z powodów religijnych, ile raczej dlatego, że widział w niej zjednoczenie protestantyzmu, nienawidzącego po dawnemu Kościół katolicki, pod egidą pruską. Walka religijna miała być jednym z najgłówniejszych czynników, prowadzących do utrwalenia jedności Niemiec, miała napiętnować żywioły katolickie, niezbyt przychylne hegemonii Prus, jako wrogów ojczyzny niemieckiej. Wiadomo, że pomimo całej potęgi, zręczności i bezwzględnej brutalności żelaznego kanclerza, wojna skończyła się jego klęską tak, że jedynie dzięki wyjątkowej swej zdolności politycznej i dyplomatycznej potrafił on swą kapitulacyę przynajmniej częściowo osłonić. Mimo, że zaledwie trzecia część ludności Niemiec była katolicką, jakkolwiek zmobilizowano przeciw niej całą potęgę państwa, prasy i protestantyzmu, już po dwunastu latach Bismarck musiał ustąpić na całej linii, a katolicyzm stał lepiej zorganizowany i potężniejszy, niż w którymkolwiek kraju i jakimkolwiek czasie.

Smutne to dla państwa doświadczenie powstrzymało rząd niemiecki na lat dwadzieścia od prób antykościelnych. Dopiero w ostatnich miesiącach ubiegłego roku, wskutek absolutnych zachcianek Wilhelma II, spróbowano ponownie dawniejszej metody Falka i Puttkammera. Centrum niemieckie, reprezentujące ludność katolicką, nie chciało zgodzić się na żądanie rządu w sprawie osławionych kolonii niemieckich, więc znowu odsądzono je z ław ministeryalnych od wszelkiego patryotyzmu i przy wyborach rzucono hasło koncentracyi wszystkich przeciw niebezpieczeństwu katolickiemu. Lecz tak jak dzisiejszym mężom stanu niemieckim daleko do genialności pierwszego kanclerza, tak i platforma obecnej walki kulturnej była niewymownie nikła w porównaniu z argumentami, ktorymi uzasadniał Bismarck swoje stanowisko. On szedł w bój rzekomo w imię jedności i potęgi Niemiec, zagrożonej przez Rzym; ks. Bülow wraz z Dernburgiem prowadzili kampanię dlatego,

że cesarz uznaje parlament za dobry tylko o tyle, o ile większość żadnemu z jego kaprysów nie odmówi genialności, a pewna liczba giełdziarzy i spekulantów pragnie robić i nadal na koloniach złote interesy. To też Bismarck mógł walczyć przez lat kilkanaście, a jego epigonów przekonały najbliższe wybory, że naród niemiecki na taką wędkę już złowić się nie da. Mimo, że centrum wskutek chwiejnego swego stanowiska w sprawie polskiej, straciło trzy mandaty na Śląsku i dwa na Zachodzie, przeprowadziło do parlamentu sześciu posłów więcej, tak że dzisiaj jest liczniejsze od wszystkich stronnictw liberalnych razem wziętych. Nie jest to chyba pomyślną wróżbą dla szans jakichkolwiek prób walki z Kościołem.

W tym samym duchu, jakkolwiek odmiennym torem rozwijały się stosunki we Francyi. Jeżeli w Niemczech mogło się zdawać, że wskutek przewagi protestantów, katolicy nie będą mogli skutecznie się bronić, to we Francyi znowu osłabiały ich stanowisko reminiscencye historyczne. Rewolucya francuska, która zwróciła się równocześnie przeciw królowi, warstwom uprzywilejowanym i duchowieństwu sprawiła, że solidaryzowano Kościół z monarchią, a co gorsza, że katolicy również w przeważnej większości stanęli na stanowisku monarchicznem, oświadczając się zasadniczo przeciwko rzeczypospolitej. Jedynie w krótkim okresie 1848—1849, dzięki doskonałemu swemu kierownictwu, zrozumieli oni, że forma rządu jest kwestyą drugorzędną, a chodzi przedewszystkiem o właściwe, merytoryczne określenie ustroju państwowego. W tym też czasie, katolicy nie zwalczając zasadniczo ani rzeczypospolitej ani Napoleona, potrafili zapewnić sobie przeważny wpływ na ustawodawstwo i przeprowadzić ustawy, które poręczały im w wyższym stopniu swobodę religii i prawa Kościoła, aniżeli za czasów restauracyi lub monarchii lipcowej. Po upadku Napoleona III jednak, sfery katolickie sprzymierzyły się na własną szkodę z monarchistami, tak, że szerzenie się i wzmacnianie idei republikańskich potęgowało zarazem prądy antykościelne. Coraz silniej zakorzeniało się przeświadczenie, że nie można być równocześnie dobrym katolikiem i dobrym republikaninem, że w interesie rzeczypospolitej musi się zwalczać katoli-

cyzm. A im słabsze stawały się stronnictwa monarchiczne i im więcej popełniały błędów, tem bardziej rzeczpospolita zwracała się przeciw katolikom, oni bowiem coraz wyraźniej wysuwali się na pierwszy plan jako jedyni poważni zwolennicy przywrócenia monarchii. Leon XIII dostrzegł bystrem okiem kryjące się w tem niebezpieczeństwo i zalecił katolikom zerwanie z tego rodzaju polityką, lecz jego ingerencya rozdzieliła tylko sfery katolickie na dwa obozy i wskutek tego nie wydała dodatnich rezultatów, bo zamiast wzmocnić, przerzedziła tylko ich szeregi. Siłą tradycyi bowiem uważa się i nadal, że katolicy hołdują idei monarchicznej, tak, że przejście pewnej ich części do obozu republikańskiego przyjęto z niedowierzaniem tem więcej, że i ci, którzy poszli za wskazówkami Leona XIII, uczynili to dość niechętnie. W rezultacie przeto pozostał dawny nastrój opinii, a położenie katolików nawet się pogorszyło, gdyż wobec zwartych szeregów przeciwników sami stanęli rozbici.

Rząd francuski przeto mógł bez obawy silniejszej opozycyi prowadzić politykę antykościelną. Już Gambetta rzucił słynny, a popularny aksyomat, że wrogiem Francyi jest klerykalizm, to też od czasów ustalenia rzeczypospolitej nie było prawie gabinetu, któryby przynajmniej nie obiecywał, że wystąpi do walki z Kościołem. Oczywiście akcyę rozpoczęto od rzeczy mniej ważnych, potęgując ją i rozszerzając coraz bardziej. Najpierw więc zwrócono się przeciw klasztorom i zgromadzeniom zakonnym drogą administracyjną już przed dwudziestu laty, potem przyszła kolej na majątek kościelny, dla którego wydano szereg przepisów specyalnie niekorzystnych, wreszcie zużytkowano ustawę wojskową, ażeby dokuczyć duchowieństwu i klerykom. Wszystko to były niejako drobne utarczki, jakby uderzenia próbne; przy ich pomocy chciano ocenić siłę odporną katolickich sfer interesowanych. Okazała się ona nadzwyczaj nikłą; katolicy przyjmowali wszystko z poddaniem się i bierną rezygnacyą; cała ich obrona sprowadzała się do gołosłownych protestów, mniej lub więcej ostrych przemów parlamentarnych i do polityki boczenia się na rząd i stronnictwa republikańskie, zastosowywanej już od dawna z tak

korzystnym dla rzeczypospolitej skutkiem przez partye monarchiczne. O czynach nawet nie pomyślano.

Tego rodzaju przeciwnik nie był dla nikogo groźny. Gdy więc pod wpływem agitacyi, którą wywołała sprawa Dreyfussa, sfery rządzące rzecząpospolitą znalazły się w wielkim kłopocie, jeden z najzręczniejszych polityków, jakich miała Francya w ostatnich latach trzydziestu, Waldeck-Rousseau, objąwszy rządy, postanowił skorzystać ze słabości i nieudolności katolików. Chcąc odwrócić uwagę społeczeństwa od kwestyi, które w owej chwili najbardziej roznamiętniały opinię publiczną, od spraw socyalnych i wojskowych, poszedł po linii najmniejszego oporu; rzucił hasło istotnego przeprowadzenia supremacyi państwa nad Kościołem, hasło, które we Francyi zawsze dotąd dawało rządowi możność uchylenia się od pozytywnych reform społecznych. Z dniem utworzenia jego gabinetu rozpoczął się okres rzeczywistej walki religijnej, który trwa do dzisiaj, a która w swym końcowym przejawie przybrała dla liberalizmu tak niekorzystny obrót.

Jak wiadomo, w r. 1901 wydano we Francyi ustawę o stowarzyszeniach, która godziła wprost w klasztory i zgromadzenia zakonne. Rząd, trzymając się tradycyjnej, a wypróbowanej praktyki liberalnej, głosił, że we Francyi klasztory rozporządzają majątkiem miliarda franków i że przy pomocy tej ustawy fundusze ich przejdą na skarb publiczny, który użyje ich na wprowadzenie przymusowego ubezpieczenia robotników na starość. Klasztory zamykano i rozwiązywano wprawdzie z całą bezwzględnością, rozpędzano przy pomocy siły zbrojnej nawet siostry miłosierdzia i zgromadzenia ściśle filantropijne, nieruchomości ich i majątki konfiskowano, lecz ani nie znaleziono tego miliarda, ani tem mniej nie ubezpieczono robotników na starość.

Mimo to ustawa z r. 1901, wprowadzona w życie z całym fanatyzmem antykościelnym przez Emila Combes'a, utrwaliła rząd francuski w przeświadczeniu, że walka kulturna jest polityką nader dogodną. Nie wchodząc w bliższe omawianie powodów tego zjawiska, należy stwierdzić, że rola, którą odegrali katolicy, a szczególniej ich przywódcy świeccy i duchowni, podczas wprowadzenia tej ustawy w życie, była bardzo nieszczególna, nawet upoka-

rzająca. W kraju, formalnie niemal wyłącznie katolickim, a w rzeczywistości posiadającym w każdym razie kilkanaście milionów katolików prawdziwych, nie natrafiono przy wprost brutalnem stosowaniu ustawy na żaden poważniejszy opór. Lud burzył się tu i ówdzie, lecz przywódcy nie chcieli dopuścić, ażeby przyszło do istotnego wybuchu; oni bronili siostry miłosierdzia i zakonników tylko do chwili, w której komisarz policyi położył im rękę na ramieniu i zażądał ustąpienia w imieniu prawa. Ten zaznaczany tylko opór był gorszym od zupełnej obojętności i rezygnacyi, bo wprowadzał w całą akcyę nieszczerość i fikcyę, działającą demoralizująco na sfery ludowe, nie pojmujące swym zdrowym rozumem wszystkich tych finezyi. Gdy po przygotowaniu się do oporu, po zszeregowaniu się około tych wypędzanych dla rzeczywistej ich obrony, lud spostrzegł, że w gruncie rzeczy zwiedziono go, że kierownicy nie chcieli walki, a rząd wiedział, że jej nie będzie — drugi raz nie dał się już tak łatwo poprowadzić w imię ochrony praw katolików, które w gruncie rzeczy tak łatwo poświęcano. Mimo więc, że w prasie długo i szeroko opisywano trudności, które rząd napotykał przy stosowaniu ustawy o stowarzyszeniach, wiedziano powszechnie, iż nie było ich prawie żadnych. Ci nawet, którzy najniżej oceniali katolicyzm we Francyi, byli zdumieni jego bezsilnością, a skoro ją dostrzegli, bez żadnej już obawy postanowili doprowadzić rzecz całą do końca, postanowili rozpocząć już bezpośredni atak na zasadnicze podstawy organizacyi kościelnej. Brutalnie, bez powodu zerwano stosunki dyplomatyczne z Rzymem i nie oglądając się na konkordat, który był przecież aktem dwustronnym, przeprowadzono drogą ustawy o związkach wyznaniowych t. zw. rozdział Kościoła od państwa. W istocie rzeczy jednak ustawa, której moc obowiązująca rozpoczynała się z dniem 11 grudnia ubiegłego roku, była zupełnie czemś innem, aniżeli ustawą separacyjną. Ustrój rozdziału państwa i Kościoła pozostawia z natury rzeczy Kościołowi zupełną swobodę organizacyi wewnętrznej, jakoteż działania zewnętrznego w granicach ogólnych praw obywatelskich i politycznych. Zasadniczą jego ideą jest doktryna, że dla państwa sfera religijna jest obojętna, że więc jego wmięszanie się w tę dzie-

dzinę stanowi niepotrzebne, a tem samem szkodliwe naruszenie wolności. Tymczasem we Francyi państwo postanowiło, mocą swej władzy, uregulować pewne kwestye kościelne, przedewszystkiem zaś wprowadziło przepisy, niezgodne z zasadami hierarchii kościelnej. Nie była to więc ustawa separacyjna, lecz wręcz przeciwnie ustawa supremacyi państwa nawet w dziedzinie ściśle religijnej, jakkolwiek tę tendencyę starano się pokryć pozorami bezstronności i wolności. Po prostu rzecz cała sprowadzała się do tego, że państwo jednostronnie i samowolnie zwalniało się od wszelkich zobowiązań względem Kościoła, przyjętych w konkordacie, Kościół jednak miał być skrępowany specyalnymi przepisami prawa państwowego, nieliczącego się w wielu kierunkach z zasadami organizacyi katolickiej.

Parlament francuski przyjął ustawę separacyjną, a wybory przeprowadzone na wiosnę ubiegłego roku, zapewniły rządowi tak znaczną większość, że zdawało się, iż jej wprowadzenie w życie nie napotka na żadne trudności. Można było spodziewać się tego tem więcej, że katolików francuskich ogarnęło silne zwątpienie w skuteczność walki, że przygnębieni nie myśleli prawie o obronie. W obozie antykatolickim tryumfowano głośno, liberalizm wszystkich krajów stawiał Francyę na czele narodów cywilizowanych, ona to niosła pochodnię postępu przed całą ludzkością. Katolicyzm i Rzym były zwalczone, starte; okazało się dowodnie, że wpływ swój i znaczenie w innych krajach, zawdzięczają jedynie słabości i nieudolności czynników państwowych. To też w całym szeregu innych państw liberalizm nabiera znowu ducha wojowniczego, który przygasł na lat dziesiątek, pod wpływem smutnych doświadczeń, poczynionych z walką kulturną w Niemczech. W Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech, Anglii, nawet w Austryi walka z Kościołem lub przynajmniej z pewnemi jego urządzeniami, staje się znowu hasłem, mającem zjednoczyć cały obóz wolnomyślny.

Lecz akcya rozpoczęta bardzo szumnie i głośno, przycicha nader szybko, bo z Francyi nadpływają wiadomości, których trudno było się spodziewać. Po owem zupełnem zwycięstwie państwa nad Kościołem, po licznych zapewnieniach, ozdobionych po-

gardliwym tonem pod adresem Rzymu, że wszelki opór złamie się stanowczo i bezwzględnie — rząd francuski zaczyna się cofać na całej linii. Odwrót ten jest tem wyraźniejszy i dla wrogów katolicyzmu przykrzejszy, że wskutek zerwania stosunków z kuryą rzymską, odbywa się jawnie bez żadnych osłon dyplomatycznych; jest tem pewniejszym dowodem bezsilności państwa, że prowadzą go ludzie, których nikt o sympatye dla katolicyzmu posądzać nie może, że przychodzi wkrótce po tych groźbach, któremi niedawno tak hojnie szafowano. A co gorsza zmiana ta nie była bynajmniej skutkiem jakiegoś nagłego a nieprzewidzianego wzmożenia się sił i energii katolików francuskich. Oni dziś jeszcze, podobnie jak w całym okresie poprzedzającym, nie potrafili się zdobyć na żaden czyn energiczny; lecz ów Rzym, tak lekceważony przez polityków radykalnych, rzucił słowa *non possumus* — i to wystarczyło, ażeby ustawa francuska zeszła do rzędu martwej litery.

Trudno rzeczywiście o namacalniejsze wykazanie, ile błędów, niezręczności i nieudolności zawiera w sobie koncepcya polityki liberalnej, zacietrzewionej w walce religijnej. Liberalizm, jakby popychany raz nabytą siłą rozpędową, która nie pozwala mu zatrzymać się u rozsądnych granic, doprowadza swą ideę do ostatnich konsekwencyi i doszedłszy do kresu, spostrzega z niemiłem zdziwieniem, że teraz dopiero musi się uznać zwyciężonym. Ostatnie dwa lata wewnętrznych dziejów Francyi są pod tym względem bardzo pouczające. Najpierw wydają ustawę o utworzeniu stowarzyszeń wyznaniowych, którym państwo zapewnia pewne udogodnienia i pewne prawa majątkowe. Na pozór nie narusza ona w niczem zasad Kościoła katolickiego, w rzeczywistości jednak jest niezgodną z jego hierarchicznym ustrojem. Rząd przypuszczał, że katolicy, a przynajmniej znaczna ich część, podda się tym przepisom, ze względów finansowych i gdy odezwały się pierwsze głosy odmowy, zagroził, że pozamyka kościoły i niedopuści do publicznych nabożeństw. We francuskim świecie katolickim znalazła się istotnie pewna, może nawet dość znaczna liczba takich, którzy gotowi byli przystąpić do utworzenia stowarzyszeń wyznaniowych.

Jednych skłaniała do tego obawa ciężarów, które spadłyby na katolików, gdyby własnemi siłami przyszło utrzymywać duchowieństwo, kościoły, budynki i niezbędne zakłady, drudzy chcieli zastosować się do nowej ustawy, bo długoletnie przyzwyczajenie wpoiło w nich przekonanie, że należy się poddać bezwarunkowo wszystkim zarządzeniom władzy. Każdy chyba przyzna, że jednostki o takich poglądach nie mogą posiadać ani energii, ani samodzielności, że więc uległe wobec gnębiącego je państwa, okażą co najmniej równe posłuszeństwo Stolicy apostolskiej. To też rząd francuski, który widział i popierał te prądy, okazał dziwną nieznajomość elementarnych zasad psychologii mas, łudząc się, że silnej woli papieża będzie można skutecznie przeciwstawić tego rodzaju czynniki. Jeden rozkaz Rzymu rozwiał te nadzieje; papież potępił stowarzyszenia wyznaniowe — i żaden katolik już o nich nie pomyślał.

Od tej chwili sytuacya zmienia się radykalnie, bo gabinet francuski znajduje się nagle w położeniu bez wyjścia. Według doktryny radykalnej dla rządu papież, jako głowa Kościoła katolickiego, nie istnieje; w Rzymie przebywa cudzoziemiec, któremu nie przyznaje się międzynarodowego lub oficyalnego charakteru. Tymczasem od tego cudzoziemca zależy dalszy rozwój wewnętrznej polityki francuskiej, jego wola kieruje milionami obywateli rzeczypospolitej — a nie można się z nim układać, bo państwo przecież nie może wchodzić w polityczne pertraktacye z osobą prywatną! To zapanowanie fikcyi nad rzeczywistością, które jest naturalnym wynikiem całej koncepcyi antyreligijnego liberalizmu, doprowadza z konieczności politykę rządową do zupełnego chaosu. Nie mogąc pokonać piętrzących się trudności, gabinet zamiast kierować się rozsądkiem, poddaje się nerwom i z dnia na dzień zmieniając swą oryentacyę, przerzuca się z jednej ostateczności w drugą — dziś stosuje się najbrutalniejsze środki represyi, jutro okazuje się chęć ustępstw jak najdalszych, a zawsze napróżno.

Najpierw więc, przekonawszy się, że papież nie pozwoli na związki wyznaniowe, spróbowano, czyby nie udało się osłabić jego władzy, zapomocą małej schizmy. Był to epizod wprost komiczny, nie przynoszący zaszczytu rozumowi politycznemu swych intelle-

ktualnych sprawców. Przypuszczać, że jeden z redaktorów dziennika *Matin*, popierającego rząd, potrafi naprawdę skupić około siebie przeciw papieżowi znaczniejszą liczbę osób ze świata katolickiego, albo przynajmniej, że w podobny jego wpływ ktoś może uwierzyć, było co najmniej rozbrajającą naiwnością. Po tej dziecinnej, można powiedzieć, próbie złamania wpływu papieskiego, gdy groźby ministra oświaty, rzucane na różnych zgromadzeniach i bankietach, nie odniosły również wrażenia, rząd rozpoczyna odwrót, korzystając z dawnej ustawy o zgromadzeniach publicznych. Żaden z kościołów, powiada p. Clémenceau, wbrew temu, co niedawno głosił p. Briand, nie będzie zamknięty, nabożeństwa będą mogły odbywać się swobodnie, byleby tylko zgłoszono je władzy, jako zgromadzenia publiczne. Jedno zgłoszenie, uczynione przez proboszcza lub upoważnione do tego osoby, miało wystarczyć na cały rok, jakkolwiek ustawa, na której się oparto, żądała wyraźnie zgłoszenia każdego zgromadzenia z osobna. Rząd więc zrzekł się przeprowadzenia ustawy separacyjnej, zastępując ją dawniejszą, którą jeszcze zmienił dowolną interpretacyą, ażeby tylko wyjść z przykrego położenia. Była to niewątpliwie kapitulacya, dowodząca jasno, że nawet radykalni politycy muszą się pogodzić z myślą, że państwo niema dość siły, ażeby jednostronnie, bez zgody papieża, normować sprawy Kościoła. Po takiem ustępstwie spodziewano się jednak, że cała sprawa będzie już załatwiona, bo przecież Kościół walki nie chciał i nie on ją rozpoczął. Z otuchą więc, ale i z niepokojem wyczekiwano w sferach rządowych wskazówek z Rzymu. Mężowie stanu francuscy znaleźli się z własnej winy w niemiłem, upokarzającem dla siebie położeniu; musieli czekać na aprobatę swych zarządzeń przez Rzym, który ignorowali i dowiadywać się o przyjęciu lub odrzuceniu ich projektów z dzienników, bo zerwali z nim wszelkie stosunki oficyalne. Odpowiedź wreszcie przyszła i wypadła niekorzystnie, bo istotnie niepodobna było zgodzić się na zrównanie nabożeństw ze zgromadzeniem, a więc na wybór przewodniczącego, możliwość ewentualnej dyskusyi i t. p. Wtedy rząd, uniesiony gniewem, chwyta się środków gwałtownej represyi. Duchowieństwo stawia się przed sąd za odprawianie mszy świętej, odbiera się plebanie, seminarya

i pałace biskupie, powołuje się pod broń księży i kleryków, wreszcie wbrew wszelkim tradycyom kurtuazyi międzynarodowej, konfiskuje się papiery w nuncyaturze, a jej ajenta odstawia do granicy pod strażą policyjną.

Była to polityka nerwów, która wywołała niesmak w całym świecie cywilizowanym. W polityce wielu przymyka oczy nawet na zbrodnie, gdy prowadzą do celu, lecz każdy potępia niewłaściwe wybuchy bezsilnej złości. To też i we Francyi musiał przyjść rząd wkrótce do opamiętania, tem więcej, że nie przydała mu się na nic ta bezwzględność, którą zastosował nawet do osiemdziesięcioletnich starców, jak np. do kardynała paryskiego. Powraca więc znowu do myśli zastąpienia katolików własnymi zwolennikami, do próby, która nie udała się już przedtem, gdy Henryk de Houx propagował utworzenie związków wyznaniowych. Kiedy księża, powiedziano sobie, odmawiają zgłoszeń, można je przyjąć od uczestników nabożeństwa, a więc od kogokolwiek. W dziennikach więc zaczynają się pojawiać wiadomości, że tu i tam dwaj obywatele zgłosili nabożeństwo w tym lub owym kościele. Był to wybieg, który nie mógł się ostać wobec publicznego oświadczenia władzy duchownej, że zgłoszeń tych nie uznaje i ich autorom odmawia prawa występowania w imieniu katolików. Opinia publiczna tak jednomyślnie wystąpiła przeciwko temu, tak wyraźnie stwierdziła, że takie środeczki uważa za nieszczere i państwa niegodne pokrywanie bezradności rządu, iż musiał on zarzucić swe plany i zgłaszającym nabożeństwa odmówić do tego legitymacyi.

Tutaj należy umieścić drugi epizod bardzo charakterystyczny. Były prezydent gabinetu, Emil Combes, ogłasza w jednym z wielkich dzienników niemieckich artykuł, w którym krytykując politykę kościelną rządu, potępia przedewszystkiem zerwanie stosunków dyplomatycznych z kuryą rzymską. On, Combes, byłby tego nie uczynił w żadnym razie, lecz prowadząc z nuncyuszem układy, byłby go tak nużył i gnębił przewlekaniem i groźbami, że wkońcu Rzym byłby się zgodził na zniesienie konkordatu. Tymczasem zamiast używać groźby zerwania stosunków jako środka wymuszenia ustępstw, gabinet francuski, nie obliczywszy

się z trudnościami, wybrał drogę, która prowadzi wprost do Canossy.

Nie ulega wątpliwości, że wywody Combes'a miały zarazem podkład osobisty, bo chodziło mu przedewszystkiem o stwierdzenie, że tylko on mógłby zapewnić zwycięstwo rzeczypospolitej nad Kościołem, a więc, że tylko on powinien stać na czele rządu. Jednakże nie podobna odmówić im pewnej słuszności. Jego teorya da się sprowadzić do tezy, że kurya rzymska pragnie za wszelką cenę utrzymać pokój i tylko w ostateczności staje do walki. Groźba wojny może wymusić bardzo znaczne ustępstwa, lecz nie należy się łudzić tą pozorną słabością, bo nie jest ona wynikiem braku sił, tylko płynie z niechęci do walki. To też gdy się Rzym raz zmusi do wojny, będzie ona bardzo ciężka, a rezultat jej nader wątpliwy. Lepiej więc jej nie rozpoczynać, tylko wymuszać coraz nowe koncesye, ażeby się zdawało, że potężne państwo choć może, to jednak nie chce doprowadzić do zupełnego zgniecenia słabego przeciwnika.

Tego rodzaju system wyzysku nastroju drugiej strony i bałamucenia opinii publicznej, nie jest ani szlachetny, ani nawet uczciwy, lecz rzeczywiście może doprowadzić do celu. Polityk, który się nim posługuje uznaje wprawdzie, że państwo niema dość siły, ażeby przełamać Kościół, przyznaje milcząco, że główna zasada liberalizmu, głosząca wszechpotęgę państwa jest błędna i nieprawdziwa, lecz przynajmniej zewnętrznie utrzymuje się na zajętem stanowisku, bo zdobywa ustępstwa na Kościele. Zawdzięcza je wprawdzie tylko swej zręczności i bewzględności, ale na zewnątrz przedstawia się to inaczej, a o to głównie chodzi. Lecz polityka tego rodzaju z punktu widzenia liberalizmu, o tyle tylko jest wskazana, o ile zachowuje się w tajemnicy użyte środki. Publiczne wyjaśnienia jej dróg, tak, jak to uczynił Combes, jest zarazem najlepszem stwierdzeniem bankructwa liberalizmu w dziedzinie wyznaniowej. Człowiek, który doszedłszy do władzy wyzyskał literę prawa, wbrew duchowi ustawy i woli jej twórców, w możliwie najbezwzględniejszy sposób przeciw katolicyzmowi, jest w każdym razie klasycznym świadkiem gdy woła: Państwo może

uzyskać od Kościoła bardzo wiele, licząc na jego ustępliwość, lecz do wojny nie powinno stawać, bo wymusić nic nie jest w stanie!

Rząd francuski, w którym zasiada paru prawdziwie politycznych ludzi, wiedział o tem od dawna, a jeżeli używał dotąd gwałtu i siły to głównie dlatego, że w parlamencie radykalna większość, składająca się przedewszystkiem z lokalnych wielkości, o ciasnym horyzoncie a sekciarskich zapędach, byłaby go obaliła, gdyby wystąpił z pojednawczemi propozycyami. Tak Clémenceau jak i Briand, chcąc się utrzymać u władzy, próbowali najpierw tak rozszerzonej dzisiaj metody terroru. Cel jej był dwojaki. Najpierw możliwą było, a zdaniem ich i prawdopodobną rzeczą, że Kościół, zastraszony tą bezwzględnością, przyjmie jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części podyktowane warunki.

Byłby to dla gabinetu tryumf wielki, którym żaden z poprzedników poszczycić się nie mógł. Gdyby jednak ta rachuba zawiodła, polityka represyi miała zadanie drugie, miała namacalnie przekonać radykalne grupy w izbie, że wyłącznie siłą Kościoła zgnieść nie można. Gabinet stawał w tym wypadku wobec parlamentu bez zarzutu; przejąwszy w spadku ustawę separacyjną, uczynił wszystko co mógł, ażeby ją przeprowadzić. Nie jego jest winą, że rząd poprzedni rozpoczął walkę, nie obliczywszy się z trudnościami; obecnie, po doświadczeniu, najzagorzalsi przeciwnicy Kościoła muszą się pogodzić z ustępstwami, bo przecież nie zechcą otwarcie stwierdzić bezsilności państwa w tej dziedzinie.

Wszystko to może być ze stanowiska obecnego gabinetu zręczne, lecz jedną należy uczynić poprawkę. Prawda, że ustawę separacyjną uchwalono za poprzedniego rządu, lecz generalnym jej sprawozdawcą był właśnie p. Briand, który obecnie jako minister oświaty, ma ją przeprowadzić. Jeżeli więc popełniono błędy przy jej ułożeniu, od winy w żadnym razie nie może uchylić się ten, który w znacznej mierze był jej twórcą i głównym obrońcą. Polityka nie polega przecież na zręcznem posuwaniu figur na szachownicy parlamentarnej, lecz przedewszystkiem na przewidywaniu następstw proponowanych reform i na umiejętnej ocenie sił społecznych, własnych i cudzych. Gdyby jakiś generał parł do wojny na radzie wojennej, a potem, przegrawszy kampanię

zasłaniał się twierdzeniem, że on zmuszony tylko objął dowództwo, bo inni wypowiedzieli wojnę — z pewnością wszyscy odmówiliby mu wojskowych zdolności. Tymczasem w tej samej zupełnie roli występuje Briand — i we wszystkich obozach politycznych podziwiają go jako niepospolitego męża stanu.

W każdym razie, choć późno, rząd francuski stanął wreszcie na gruncie konkretnym, t. zn. zrzekł się myśli jednostronnego unormowania przez państwo stosunków wyznaniowych. Pomijając już ostatnią mowę ministra oświaty w izbie, której wytyczne linie ogromna większość zaakceptowała, tendencya ta wystąpiła tak w dziedzinie ustawodawczej, jak i administracyjnej. Przedewszystkiem więc ministerstwo wniosło projekt ustawy, uchwalony bezwłocznie przez obie izby, mocą której zniesiono obowiązek zgłaszania zgromadzeń publicznych. W ten sposób już po raz drugi w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu, sprawa Kościoła katolickiego posłużyła do rozszerzenia wolności obywatelskich we Francyi, stwierdzając tem wymownie, że nie tylko niema antagonizmu pomiędzy Kościołem a prawdziwą wolnością, lecz wręcz przeciwnie zachodzi ścisła łączność interesów katolicyzmu i racyonalnie pojętej idei wolnościowej. Po upadku królestwa, w połowie XIX stulecia, *lex* Falloux wprowadza wolność nauczania, łamiąc monopol szkoły państwowej, wprowadzony jeszcze przez Napoleona, w celach ściśle politycznych; obecnie rząd radykalny zapewnia wszystkim wolność zgromadzeń, bo nie chce dla Kościoła katolickiego utworzyć specyalnych przywilejów wolnościowych; w jednym i drugim wypadku mogą katolicy poszczycić się śmiało zdobyczą wolności dla siebie i dla drugich.

W ten sposób zapewniono swobodę odprawiania nabożeństwa bez jakiejkolwiek ingerencyi z zewnątrz. Pozostawała jeszcze kwestya używania kościołów, którą rząd pragnie rozwiązać w drodze administracyjnej. Prawnie kościoły są własnością przeważnie gmin, czasem departamentów lub rządu — zależy to od okoliczności faktycznych — jest to jednak jedynie *nuda proprietas*, gdyż ciałom tym nie wolno użyć kościołów do innych celów, jak tylko do tych, na które są przeznaczone, t. zn. do celów wyznaniowych katolickich. Innemi słowy, gminy muszą utrzymywać kościoły

w odpowiednim stanie i mogą ich nawet nie oddać w używanie duchownym, lecz nie mogą ich ani zamknąć, ani przeznaczyć na inne cele. Wskutek tego powstała kwestya najmu kościołów na cele wyznania katolickiego. Ministerstwo, okólnikiem wystosowanym do prefektów, określiło warunki kontraktu; episkopat francuski ze swej strony ogłosił zasady, których należy się trzymać przy zawieraniu podobnych umów. Przewodnią ich myślą jest idea, że umowy identyczne w całej dyecezyi, mają nadać prawo używania kościoła proboszczowi, w jego charakterze urzędowym, a więc bez względu na ewentualną zmianę osoby proboszcza, t. zn., że uprawnienie, przyznane dzisiejszym proboszczom, przechodzi z prawa na ich następców. Rząd natomiast chcąc sobie zastrzedz przynajmniej pośredni wpływ na nominacyę duchownych, nie chciał uznać takiej sukcesyi, wprowadzając do umowy szereg zastrzeżeń, głównie co do kleru zakonnego. Spór ten dotąd jest nierozstrzygnięty, lecz podobnie jak w dziedzinie ustawodawczej, tak i tutaj, zmiana pierwotnie przez państwo zajętego stanowiska jest o tyle znamienna, że po zapędach ku jednostronnemu, administracyjnie przeprowadzonemu unormowaniu tej sprawy, ministerstwo weszło na drogę układów z episkopatem. Prefekt departamentu Sekwany, upoważniony przez ministra, rozpoczął pertraktacye z delegatami kardynała Richarda, a jakkolwiek nie doprowadziły one do rezultatu, to jednak okazały dowodnie, że z konieczności musi się uznać równorzędność obu czynników, Kościoła i państwa. Czy układy toczą się pomiędzy prefektem a arcybiskupem w Paryżu, czy pomiędzy ambasadorem i sekretarzem stanu w Rzymie, lub nuncyuszem a ministrem spraw zagranicznych w Paryżu — to treści rzeczy nie zmienia bynajmniej, bo zawsze państwo, wbrew całej doktrynie liberalnej, godzi się z zasadą, że Kościół katolicki jest podmiotem prawa międzynarodowego, posiadającym swe własne, nienaruszalne prawa, a nie poddanym, któryby podlegał wewnętrznemu ustawodawstwu.

Tak w krótkich zarysach przedstawia się najnowszy akt tego dramatu, który we Francyi nazywają w pewnych kołach obroną rzeczypospolitej przed niebezpieczeństwem klerykalizmu. Państwo znalazłszy tam możliwie najkorzystniejsze warunki dla

walki z Kościołem, przeprowadziło ją bezwzględnie z żelazną konsekwencyą. Doszedłszy do kresu, gdy już zdawało się, że zwycięstwo jest zupełne, przekonało się, że teraz dopiero przychodzi do starcia z moralną siłą Kościoła, której żadna przemoc, ani prawna, ani fizyczna, przełamać nie jest w stanie. Należało więc kolejno wycofywać się z zajętych stanowisk, a odwrót szedł coraz dalej i bynajmniej nie jest jeszcze skończony. Nie wystarczyło odroczenie o rok wprowadzenia w życie ustawy separacyjnej, musiano ją zarzucić i chwycić się dawnych przepisów o zgromadzeniach publicznych. Gdy to nie pomogło, zmieniono je stosownie do żądań, postawionych przez katolików, którzy od razu, bez żadnych wahań oznaczyli, na co mogą się zgodzić, a co odrzucają. Co więcej, zerwano stosunki z Rzymem, a we wszystkich następnych projektach ustawodawczych liczono się z jego wskazówkami; zwinięto ambasadę przy Watykanie, a rozpoczęto układy z kardynałem w Paryżu, upoważnionym przez papieża do pertraktacyi. I z całej tej polityki jeden jest tylko rezultat — nagromadzenie ogromnych trudności, które chciałoby się usunąć, a nie wie się w jaki sposób.

Jest jednak i drugi, znacznie ważniejszy i korzystniejszy, a to zupełne bankructwo doktryny liberalnej w dziedzinie wyznaniowej. Opierając się na wszechpotędze państwa, wyposażonego we wszelkie środki przymusu, wystąpiła ona do walki z Kościołem, nie posiadającym nic prócz swej idei. Materyalna siła miała z łatwością zgnieść pozostałości średniowieczczyzny, koncentrującej się jeszcze w Rzymie — i okazało się, że nawet w naszych, tak pozytywnych czasach, siła moralna jest jeszcze potężniejszą od materyalnej, że wiary i przywiązania do ideałów chrześcijańskich nie przełamie żadna ustawa, ani najbezwzględniejsza nawet represya. Liberalizm chciał dowieść, że Kościół zawdzięcza swój dzisiejszy byt tylko życzliwości państwa, że skoro tylko państwo zechce, obali cały jego ustrój i znaczenie. Tymczasem polityka francuska ostatniej doby okazała jeszcze wyraźniej, niż dawniejsza walka kulturna w Niemczech, że Kościół w dziedzinie duchowej nie potrzebuje obawiać się nikogo, bo jest silniejszym od kogokolwiek. To też liberalizm, zwycięski we Francyi, sam

na siebie wydał wyrok najbardziej pognębiający — bo czemżeż można więcej potępić jakąkolwiek myśl polityczną jak stwierdzeniem, że zastosowanie jej wydaje skutek wręcz przeciwny, aniżeli był zamierzony. A w walce państwa z katolicyzmem tryumfować miało państwo, uledz Kościół; tymczasem Kościół jest zwycięski, a państwo pobite.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

ODYS NAD MORZEM [1].

ODYS

(patrząc ku piaskom wybrzeża)

Co to? — Ludzie
Na brzegu, — okręt! — Czeka tu w przystani?
Na kogo? — —

(nawołuje)

Hej! —

(milczenie)

Zamilkli —

(patrzy z ręką przy oczach)

Okręt stoi pusty.
Śpią przy wiosłach — ?

(woła)

Hej! — kto wy!?

(milczenie)

Cisza —

(podchodzi parę kroków ku brzegowi — cofa się w przerażeniu)

Straszna zjawa.
Piekielna łódź, — bez steru, — bez wioseł, — milcząca. —

(nasłuchuje za świstem wichru)

Dźwięk dziwnej pieśni, — słyszany; —

(wiatr gwałtowny)

Syreny!!!

---

[1] Fragment z dramatu »Powrót Odysa«, który wkrótce opuści prasę. W poprzednich scenach, Odys wraca do domu rodzinnego, morduje gachów i w rozterce ucieka nad morze. *Redakcya.*

(drży — zasłania uszy dłońmi)

Syreny — — wabią mnie, — tam mnie rozszarpią...

HARPIJA

(polatuje nad skałą — przysiada nad urwiskiem — patrzy w Odysa)

ODYS

Kto tu jest!? — Ty skrzydłami kryjesz twarz człowieczą —?

(poznaje — krzyczy — zasłania oczy)

Harpija!!

Ja nie zabiłem ojca, — nie! — Precz, — litości.

(klęka — wicher)

HARPIJA

(czołga się po skałach)

ODYS

(patrzy za nią)

HARPIJA

(przepada w skałach)

ODYS

Przepadła w czeluść skał.

(zmiata ręką czerepy)

Szczęty, — ludzkie kości. —

(w myślach)

W ojczyźnie własnej odnalazłem piekło.
Zaszedłem w cmentarz, — grabarz. Ścierwem cuchnie.
Wicher hula, — pustkowie, — wicher w puszczy głuchnie.
Morze przedemną, — dal — i myśl niezbyta.
Zyję; zabiłem wszystko, — wszystko odepchnąłem;
co było szczęściem kłamanem uciekło.
Nic, nic poza mną; — nic, — nic, — nic przedemną:
Noc, wieczną pustką i ciemną.
Jedyna myśl, — myśl, — — boskie wiano.
Bodaj mi nigdy żyć nie było dano.

(zamyśla się — wicher)

KALIPSO

(wśród skał i wykrotów — ruchem rąk zataczając wielkie kręgi — zda się jakby snuć i dziergać nici barwne)

ODYS

Hej zwodnico. — — — Czy tylko ino przywidzenie?

KALIPSO

(wabi Odysa ku sobie — schodzi po skałach)

ODYS

(idzie za nią)

KALIPSO

(przepada)

ODYS

(zatrzymuje się)

Widziadło — — tu do fali wiedzie mnie — ku sobie.
Zniknęła. — Przywidzenie to. — — Puste wybrzeże.
Łodzi niema. — Powietrza wiew zimny. — Pustkowie.
Pustkowie. — To ojczyste wybrzeże Ithaki:
rozpoznaję te skały, — skłon góry, — te krzaki
kolące; — temi chłopiec przebiegałem szlaki,
goniąc ptactwo. Hej lecą tam mewy morzami:
ptactwo młodości mej, — —

(wpatruje się)

nie — niema nic, — przepadły.
Czyli oczy mi kłamią, czyli zaszły łzami?

(przeciera oczy)

Widziałem, że leciały nad fal czarne tonie. —

(śmieje się)

Przywidzenie. —

(przypominając)

Ich skrzydła lśnią białe...
Czyli mnie kto otoczył i oplótł widziadły?

(daleko na morzu łyska się — za kresem morza otwiera się przez chwilę jasna przestrzeń)

Co to?! — Daleka łyska błyskawica!

(zapatrzony w światło)

Tam! — tam!
Tam jest Ithaka!
Tam! kres i granica!
Tam — jest ojczyzna moja — tam dziecko i żona, —

tam mój ojciec, — tam moja — —
pieśń życia
(leci ku morzu)
skończona!!
(brodzi przez wodę)
(łyska się znowu — otwiera się jasna przestrzeń)

SYRENY

(na brzegu siedzą)

1. Pieśń żywota twego bohatyrze,
pieśń żywota nucę.
Pieśń wieczystą wydzwaniam na lirze,
w pieśni żywot wrócę.

2. Nieśmiertelny zadźwięczysz na lirze,
ciało twoje przeleję na spiże,
pieśń żywota wichrami poniosę.

3. Pieśń wichrami poniosę na światy,
pieśń wichrami poniosę na morza,
pieśń żywota twego bohatyrze,
pieśń wieczystą — — —
(głosy ich giną we wichrze)

ODYS

Syreny! — Wyspa dziewek to tych; — czarownice
tam siedzące na brzegu, — ostre u nich szpony. —
Wabią — —
(ucieka głębiej w morze)

SYRENY

Nikt żywy w kraj młodości raz drugi nie wraca.
Młodość, raz już miniona, minęła niezwrotnie.
Nowe rozpoczniesz życie, — nowa czekać praca:
życie nowe, wznawiane życie — wielokrotnie.

Swiat inny, w którym będziesz, — co już cię otacza,
zmienion jest w twoich oczach myśli twoich zmianą.
Byt duszy nieśmiertelny, — zaś dola tułacza
widzi wszędy daremno ojczyznę kochaną.

We snach ją widzisz jeno, w sennem przypomnieniu,
gdy niema już jej dla cię w prawdzie i sumieniu.

Ojczyznę miałeś w sercu, — dziś masz ją w pragnieniu,
dziś tęsknisz jeno do niej, — cień, — tęsknisz po cieniu.
Dalej i dalej — płyń z falą. —

ODYS

Wołają mnie, — wołają, — skarżą się i żalą,
nawołują. — Ach oczy! Stawcie mi przytomnie!
Przed oczy moje przyjdź, — przyjdź duszo do mnie!
Młodości, kwiecie, wiosno potęgo uroku,
młodości — wróć, — wróć do mnie, nie zgasaj w lat mroku.

SYRENY

Idziesz przez świat i światu dajesz kształt przez twoje czyny.
Spojrz w świat we świata kształt a ujrzysz twoje winy.
Kędyś ty posiał fałsz i fałszem zdobył sławę,
tam najdziesz kłamstwa cześć i imię w czci plugawe.

Kędyś ty żebrał czci i zyskał przebaczenie,
tam znajdziesz gruz i rum, czcicieli twych zniszczenie.
Za tobą goni jęk i klątwa goni, ściga;
tyś mocen jest, jak Bóg, co świat na barkach dźwiga.

Dalej, hej dalej — myśl nowa, — byt nowy, —
hej morze przed tobą, — wód tonie.
W błąkaniu bez kresu, — twój los — twe okowy;
myśl śmigła twój oręż i bronie.

ODYS

Wabią.

(ucieka głębiej w morze)

SYRENY

Pieśń żywota twego bohatyrze,
pieśń żywota wydzwaniam na lirze...

(we wichrze giną ich głosy)

ODYS

(zatrzymuje się wśród fal)

Kędyż Ithaka — ?
Czyli ku niej płynąć?

Ku niej, — mojej ojczyźnie, —
(patrzy ku Syrenom)
Jak zwodnice minąć?
(z ręką na oczach — wpatruje się w brzeg)

SYRENY
(znikają)
(wicher)

ODYS
Czyli to jest Ithaka? — — Pustkowie, — brzeg pusty.
Niemasz tych, co kłamaną pieśń śpiewały usty.
Niemasz nikogo. — Jeszczem nie był wrócił:
wrócić mam do ojczyzny, dawnom ją był rzucił.
Wrócić mam! — Tak powrócić mam dopiero teraz.
Spokój w domu, — spokojność — i skon upragniony
w chacie mej, w mem domostwie, ojca, syna, żony.
Niewidziałem ich dawno. — Nigdy! — — Widzieć muszę!
Zobaczę, — już widokiem ich odzyszczę duszę, —
odzyszczę, com utracił, — hańbę duszy zmyję.
Nie żyłem dotąd wcale, — w domie mym odżyję.
(zbliża się ku brzegowi)
To jest tu. — Tak poznaję, — rozpoznaję teraz
ten kłąb skał, kędy chłopiec wybiegałem nieraz
na szczyt — i myśl bawiłem i wzrok wirem fali,
co tam skłębiona bije pianą, — —
(wicher)
(zatrzymuje się zaniepokojony — słucha)
Ktoś się żali — ?
Zali się — na mnie. — Słyszę to wyraźnie.
Ktoś me imię wymówił — ? Czyli krzywdę komu
zrobiłem ? Kto, — co skarży się aż tu do domu?
Ja niepamiętam nic. — Zle co czyniłem?
Pieśni o mnie śpiewają; nieznam, nic niepomnę.
Jestem u brzegów moich, brzegi mam przytomne,
ojczyste moje skały, mój kraj! — kto się skarży?
(wicher)
(ostro:)
Kto się skarży? — I czego chce? — Przeklęta skargo!

Zmilknij! — Nie ja! — Niewinien ja twojego skonu.
Wichry śpiewają pieśni. — Pożar Ilijonu!
A!!!
Biegnie ku mnie pochodnia płomienia.
Polikseno, któż ciebie w słup ognia przemienia?
Stój! — Tam twoi rodzice, związani w powrozy,
leżą u stóp ołtarza. Ha, już ich dosięga
chyża dłoń Dyjomeda. Cedrowe podwoje
liżą prędkie ogniki. Dym kłębi się w zwoje.
Niemogę patrzeć. — Stój! Stój ręko krwawa! —
Zabiłem ją! — Atrydów za mną idzie wrzawa.
Zmilknij przeklęta wróżko! Ha, chwieją się progi.
Dworzec pada, — już runął w łunach skier pożogi.
Kogo wloką przedemnie!? Kolan mych się chwyta.
Jakaś prośba okrutna, straszliwa, niezbyta:
Nie zabijaj mych dzieci! — nie morduj mych dzieci!
Groźba, co w dymie, w ogniach wszędy za mną leci.
A!!!

(upada na skały — trzęsie się)

Mnie to czeka, bym zabit, zasieczon
w ojczyźnie mojej własnej — przez moich, przez syna,
padł; — tedy moja odkupiona wina
pożogi tej i krzywdy — wielu, — wielu, — wielu.
Skarżą się, — jęczą, — wrzeszczą w powietrzu w weselu.

GŁOSY

Tędy, — tędy — —

(błyskawica w dali — rozświetla kres wód:)

ODYS

(kryje się wśród skał)

Pochwycą! —

GŁOSY

Tędy! — Tu!

(giną we wichrze)

ODYS

Zabiją!

GŁOS

Człowiek tu jest. — Nie mogę przejść. — Ręce tu krwawe. —

GŁOSY

Człowiek tu. — Przejść nie możem.

GŁOS ROZKAZUJĄCY

Tędy!

ODYS

Słychać wrzawę.

(patrzy w górę — ponad skały)

Lecą tu, lecą tłumnie!

GŁOS ROZKAZUJĄCY

Do łodzi! — Do łodzi!

ODYS

(rozgląda się dokoła siebie)

Ktoś je pędzi — ku brzegom; — przez piasek mkną stopy...

(wstaje z poza skał)

Biegą w fale — do łodzi, — w łódź! — Już łódź obsiadły.

(czołga się po brzegu w kierunku morza)

Ha! biegną tuż koło mnie niewidzialni, duszą, —
porywają mnie z sobą, — tam — w morze mnie — zmuszą.

(patrzy z ręką na oczach)

Łódź! — Łódź! Łódź pełna ludzi! — Zagiel rozwinęli.
Zagiel! — Ruszyli z brzegu — na fale. — Minęli
skał wyrzut! — Szybko biegą. — Czego chcą odemnie?
Wszyscy się ku mnie patrzą, — wołają! — Na ciemnie
rozpoznać ich niemogę, — kto są? — Kto są oni!?
Jak ich fala ponosi, — porywa i goni. —
Chcą mi powiedzieć — słowo. Chcą przebaczyć może?
Zagiel łódź precz ponosi. — Wicher przez przestworze
dmie w żagiel. —

(nasłuchuje za wichrem)

Coś wołają, — skarżą się, — weselą?
Fale mnie od ich głosów dzielą, — fale dzielą.

(wbiegł we fale)

(błyskawica rozwiera niebo u kresu wód)

(widać:)

ŁÓDŹ

(pełną ludzi i wielką postać ciemną Hermesa stojącą u przodu łodzi)

ODYS

(patrzy)

Łódź umarłych! — — W za światy płynie, — w zapomnienie.

(krzyczy)

Czekaj! — Stój! — Stójcie!

(biegnie wśród fal)

Stójcie!! — Wybawienie!!

(biegnie w morze)

(błyskawica — grom — burza)

Stanisław Wyspiański.

TEORYA ROZWOJOWA A KATOLICYZM.

NAOKOŁO KSIĄŻKI WASMANNA.

Na miesiąc luty r. 1907 zapowiedziano w Berlinie szereg bardzo interesujących, uczestnikom wiele niezwykłych wrażeń obiecujących wieczorów. Do olbrzymiej sali filharmonii i sali zoologicznej rozchwytano wcześnie wszystkie bilety, a ci, którym losy nie dozwoliły brać bezpośredniego udziału, oczekiwali z niecierpliwością przynajmniej dziennikarskich sprawozdań. Zaciekawienie, obejmujące nie tylko Berlin, lecz rozchodzące się daleko nawet poza granice Niemiec, było niezwykłe — bo też i rzecz je wzniecająca była prawdziwie nowa i oryginalna. Trącąca nieco myszką średniowiecza, w formę wczesnego renesansu wtłaczała treść, zaczerpniętą z najświeższego modernizmu. Chodziło o dysputę publiczną i to dysputę religijną.

W dwudziestym wieku — w Berlinie!

Tezą oczywiście było, że wiara, przedewszystkiem wiara w Boga osobistego i wiara w nieśmiertelność duszy nie stoi w sprzeczności z nauką choćby najbardziej przyrodniczą; bronić jej miał oczywiście ksiądz, Jezuita, i to taki, który pracując fachowo przez lat już trzydzieści w dziedzinie nauk biologicznych, ogłosiwszy około sto pięćdziesiąt prac specyalnych, w kołach najbardziej naukowych zyskał zupełne uznanie, prawo obywatelstwa i prawo przemawiania. Oponentami byli ludzie sławni lub głośni, reprezentujący ile możności wszystkie intelligentne warstwy, które z tezą powyższą z jakich-

kolwiek powodów, czy to natury rzeczowej, czy osobistej, się nie zgadzają, a dający rzeczywiście trafny obraz dzisiejszej antyreligijnej części społeczeństwa. A więc przedewszystkiem uczeni znani i uznani, jak tajny radca i profesor anatomii na uniwersytecie berlińskim, Waldeyer, dalej znany przyrodnik-filozof Plate; następnie występowali kolejno zoolog dr. prof. Dahl i lekarz psychiatra dr. Juliusburger i *Privatgelehrter* p. Itelson i filozof-popularyzator najnowszej nauki Wilhelm Bölsche; następnie wysłannik i asystent monistyczno-ateistycznego apostoła narodów Haeckla, Schmidt, no i wreszcie, do dopełnienia obrazu niezbędny, kapłan-apostata, eks-Jezuita, hrabia Hoensbroech, potomek zacnej, szczerze katolickiej rodziny, który po kilkunastoletnim pobycie w zakonie, porzucił i zdeptał to, co mu przez większą część życia było najdroższe i najświętsze. Odepchnięty ze wzgardą przez zbolałą własną matkę rodzoną i przez dawnych przyjaciół, teraz dla uspokojenia swego sumienia rzuca się z fanatyzmem na wszystko, co mu dawne przypomina ideały.

Od kogo padło pierwsze hasło inscenizacyi, nie wiem. W każdym razie, jak każdy przyzna, pomysł był godny najbardziej ruchliwego impresarya nowojorskiego. Publicznie na odezwie inaugurującej podpisani byli najpoważniejsi przedstawiciele nauk przyrodniczych w Berlinie, jak doktór medycyny Horn, prezydent niemieckiego Towarzystwa entomologicznego; tajny radca profesor doktor Kolbe; wspomniany już wyżej profesor wyższej szkoły rolniczej dr. Plate i dr. Waldeyer, na którego pochwałę dodać jeszcze należy, że jest on stałym sekretarzem Akademii Umiejętności w Berlinie. W samej zaś odezwie czytamy, że O. Wasmann T. J. ma wygłosić trzy odczyty w sali filharmonii a mianowicie pierwszego jest napis: »O nauce rozwojowej, jako hypotezie i teoryi przyrodniczej«; drugiego imię: »Nauka rozwojowa teistyczna i ateistyczna, nauka o rozwoju i darwinizm«. Trzeci wreszcie roztrząsać będzie »Zastosowanie teoryi descendencyi do człowieka«. Czwartego wieczora, dnia 18 lutego, w jeszcze większej sali zoologicznego ogrodu odbędzie się wieczór dyskusyjny *(Diskussionsabend)*, prawdziwy raut naukowy, na którym, jak podpisami swymi sławetny stwierdza komitet, »wszystkim, którzy się

uprzednio u podpisanych albo u wykładającego zgłoszą, daną będzie możność uzasadnienia swego odmiennego stanowiska i jego obronienia w mowie i przeciwmowie *(Rede und Gegenrede)*, jak to się takoż ze strony niektórych podpisanych dziać będzie«.

Jak się odczyty udały? Świetnie. W wymienionej wyżej sali zgromadziło się na nie przeszło tysiąc osób, między tymi najwybitniejsi przedstawiciele świata naukowego i politycznego. O. Wasmann mówił jasno, przystępnie a głęboko, illustrując swój niezmiernie zajmujący wykład obrazami świetlnymi. »Postać O. Wasmana« — tak pisze jeden wcale mu nieprzychylny sprawozdawca — »w swem wystąpieniu i zewnętrznym wyglądzie nie wywierała bynajmniej wrażenia niesympatycznego. Otwarte, ogolone oblicze z przyjaznemi, dobrodusznemi, brunatnemi oczyma i wysokie czoło myśliciela. Mówił spokojnie, z prostotą i rzeczowo, bez pozy i patosu, o ile rzecz toczyła się o faktach i naukowych jego własnych poglądach. Głos podnosił się tylko do pełnego temperamentu ciepła i wzmożonego patosu, gdy przy końcu rozważań trzeba było wyciągać wnioski za istniejącym dogmatem lub walczyć przeciw zbyt daleko idącym, dogmatowi przeciwnym, konkluzyom nauk przyrodniczych; wtedy mały mąż stawał się ciepłym i patetycznym«.

Jakie wrażenie zrobiła dyskusya, która się stosownie do programu odbyła czwartego wieczora w sali zoologicznej? Oczywiście widzów było bardzo wielu i trzeba było osobną straż ustanawiać, by nie wdarli się siłą do sali ci, którzy już kart wstępu dla braku miejsc otrzymać nie mogli. Ochotnych do dyskusyi i do »bronienia swego stanowiska« znalazło się tylu, że prócz paru, których komitet uważał za najważniejszych (między nimi oczywiście ex-Jezuitę Hoensbroecha), dozwolono przemawiać tylko przez 10 minut każdemu a i tak dysputa przeciągnęła się do dwunastej w nocy. A wrażenie z dysputy? Niestety, jak to uznali i zwolennicy i przeciwnicy Wasmanna, ogółem niezbyt dodatnie, lecz mimo to dla nas katolików bardzo a bardzo pouczające. Zanim jednak przystąpimy do jej dokładniejszego roztrząsania, musimy zaznajomić się dokładnie z tem wszystkiem, co ją poprzedziło i spowodowało.

Dysputa, o której mowa, to tylko jeden z epizodów walki i wrzawy, jakie wszczęto z okazyi prawdziwie wartościowej książki O. Wasmanna, która ukazała się przed dwoma laty pod tytułem: »Nowsza biologia i teorya rozwoju«, a która już dziś leży przed nami w trzeciem, znacznie powiększonem wydaniu [1]. Dzieło to, rzec śmiało można, jedno z najwybitniejszych w literaturze świata z ostatniego lat dziesiątka, zrobiło silne wrażenie tak z powodu autora i swej wartości wewnętrznej, jako też ze względu na wypowiadane w niem poglądy. Autor dobrze był już znany w kołach ścisłych badaczy przyrody, gdzie odznaczył się jako myrmekolog, który licznemi pracami swemi i badaniami przyczynił się niezmiernie do rozszerzenia i pogłębienia znajomości mrówek i termitów, owych najintelligentniejszych może zwierząt, jako też biologii i anatomii tak zwanych gości mrówek i termitów, to jest chrząszczy, hodowanych czy żyjących w gniazdach mrówek i termitów. Lecz prócz tego zwrócił uwagę powszechną O. Wasmann i tem, że chociaż ksiądz katolicki, stanął jednak twardo i otwarcie w obozie ewolucyonistów, to jest tych przyrodników, którzy nie uznają stałości bezwzględnej gatunków, lecz sądzą, że żyjące obecnie rodzaje zwierząt rozwinęły się z biegiem wieków z innych gatunków. I gdy lat temu przeszło dziesięć głośny przyrodnik Fleischman ogłosił dzieło, w którem zbijał teoryę ewolucyi i stawiał tezę, że nie mamy żadnych ścisłych dowodów za przechodzeniem jednych gatunków w drugie nie tylko obecnie, lecz i w epokach minionych, O. Wasmann był jednym z pierwszych, którzy wystąpili przeciwko jego twierdzeniom i na podstawie dwudziestoletnich badań swych nad życiem w mrowiskach i w kopcach termitów wykazywał, że ewolucyi w przyrodzie zaprzeczyć się nie da, że bez przyjęcia rozwoju gatunków nie możemy wytłumaczyć sobie rozumnie i w sposób naukowy bardzo wielu zjawisk odnoszących się do budowy i życia zwierząt.

Takie stanowisko O. Wasmanna było z punktu widzenia nauki Kościoła katolickiego zupełnie bez zarzutu, jak to później wykażemy.

---

[1] *Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie* von Erich Wasmann S. J. Freiburg im Breisgau. Herder 1906.

Mimo to u ludzi, stojących zdala od Kościoła, uważających za niepotrzebny trud a nawet ujmę zapoznanie się bliższe i gruntowne z jego filozofią i twierdzeniami, a natomiast dziecinne obrazy i płytkie zdania, pochwycone z trzeciej ręki lub zapamiętane, jak przez mgłę, z nauki katechizmu lat dziecięcych, przedstawiających sobie i innym za dogmaty wiary katolickiej; u takich pisma Wasmanna budzić poczęły nadzieję, że uczony ten badacz zerwie wkrótce i zewnętrznie z Kościołem, z którym, według ich mniemania, wewnętrznie już stoi w sprzeczności.

W zbiorowy umysł ludzkości, podobnie jak w duszę jednostek, wżynają się nieraz zasady i uprzedzenia, przetrzymywane przez jednych z dobrą, lecz ślepą wiarą, szerzone i pielęgnowane przez innych ze świadomością i złą wolą, których wykorzenić żadnymi prawie argumentami niepodobna dlatego, że tkwią one raczej w woli, niż w rozumie. Do takich uprzedzeń należy owo z gruntu fałszywe zdanie, że między wiarą i rozumem, między dogmatem i nauką tak zwaną świecką, istnieje przepaść, niedająca się nigdy wypełnić, tak, że kto głęboko i szczerze przeniknięty jest zasadami wiary, zwłaszcza katolickiej, nie może być człowiekiem nauki, kto zaś naukę duszą całą pokocha, musi ostygnąć w żarliwości wiary, owszem, musi nawet prędzej lub później zerwać z wiarą i wszelką powagą nadprzyrodzoną, która jakoby krępuje swobodę badania i szkodliwe dociekaniom naukowym zakłada szranki. Przesąd to ogólny, przez nieprzyjaciół Kościoła wytrwale i z ogromnym zapałem głoszony, a z bólem przyznać trzeba, że do jego rozpowszechniania przyczynili się i przyczyniają nieraz i sami gorliwi, lecz mniej oświeceni katolicy. Oczywiście, jak wszelki fałsz, nie jest on nowym, lecz też nie będzie i trwałym a wcześniej lub później upaść musi, własnym strawiony fermentem. Tymczasem faktem jest, że obecnie żyje on jeszcze w całej niemal mocy i mnoży się dalej, wyrządzając tak jednostkom, jakoteż organizmom społecznym niezmierną szkodę, szerząc nieufność i niechęć, oddzielając z wielką szkodą i dla wiary i dla nauki od siebie ludzi, których współdziałanie przyniosłoby w krótkim czasie skuteczne lekarstwa na tak ciężkie dziś choroby społeczne i duchowe, przyczyniłoby się niezmiernie do gwałtownego postępu prawdziwej, czystej nauki i do rozsze-

rzenia jej Bożego światła na coraz to szersze masy spragnionych umysłów. Bo nauki i wiary jeden jest przedmiot i jedno źródło: prawda odwieczna, która była przed nami, która istnieje i działa w nas, a objawiwszy się w sposób przyrodzony w całej martwej i ożywionej naturze i jej niezgłębionych prawach, woła do siebie i ciągnie siłą nieprzepartą wszystkie umysły wyższe, wszystkie dusze szlachetniejsze. Tą prawdą, to Bóg, stwórca przyrody i jej prawodawca — lecz nie owa mglista panteistyczna chimera, ale Bóg osobisty, duch nieskończenie potężny i doskonałą pełnię bytu i świadomości posiadający, który o sobie powiedział i ustawicznie mimo wszelkich protestów mówi: »Jam jest, którym jest«, którego imię uwielbione i ukochane przez jednych, niechęcią a nawet fanatyczną nienawiścią przejmuje innych, o którym chcąc nie chcąc musimy myśleć wszyscy, a najczęściej może ci, którzy w ciągłej rozterce i ciemnej walce wewnętrznej radziby Go wyrwać ze siebie, usunąć i wymazać na zawsze ze świata.

Niezgodność wiary i rozumu, nienaukowość pojęcia Boga i duszy nieśmiertelnej, to hasło, koło którego też toczyć się musi najzaciętsza walka. Wyznawcom jego udało się rozszerzyć daleko mniemanie, że dziś autorytet Kościoła przyjmują już tylko chyba »ultramontańscy teologowie« lub ludzie bezmyślni, umysły słabe, naukowo nie wytrenowane. To też kiedy uczony tej miary i sławy co O. Wasmann, zamiast dać folgę swym rzekomym przekonaniom i odwrócić się jawnie od Kościoła, wystąpił ze swą biologią, w której jasno i bez najmniejszych zastrzeżeń lub niedopowiedzeń przyznaje się do zasad na wskroś i głęboko chrześcijańskich i z głęboką nauką a nieubłaganą ścisłością, któremi zdobył już sobie sławę w świecie naukowym w swych poprzednich specyalnych dziełach przyrodniczych, począł występować przeciwko owemu poglądowi o niezgodności wiary i nauki i przeciwko światopoglądowi antychrześcijańskiemu wogóle i wykazywać całą jego bezpodstawność i nienaukowość, zwrócił od razu na siebie uwagę całego świata cywilizowanego, zajął sobą wszystkich, których w jakikolwiek sposób interesują owe najbardziej fundamentalne i zawsze najaktualniejsze zagadnienia początku i celu wszechświata i ludzkości. Najbardziej fundamentalne dlatego, że odpowiedź na nie jest zarazem podwaliną wszel-

kich teoryi i praw etycznych, a nawet całego kierunku rozwoju umysłu i ducha ludzkiego. Cały świat, już nie tylko katolicki, lecz wogóle chrześcijański, wita więc w Wasmannie przez usta najświatlejszych i najgorliwszych swych wyznawców prawdziwego i niezrównanego apologetę nowego typu, na jakiego już dawno z upragnieniem oczekiwano, który nie zadowalnia się pisaniem skompilowanych z różnych dziedzin wiedzy apologii, lecz umiłowawszy szczerze naukę, poświęciwszy życie całe i niezmiernie wiele pracy na rozwój pewnego jej działu, przemyślawszy na wskróś jej zasady, przejąwszy się gruntownie jej metodami, uzyskawszy przez to pomiędzy najniechętniejszymi imię fachowca i prawdziwego uczonego, teraz na mocy swego doświadczenia i w imię tej prawdy naukowej, której życie oddał, z miłością prawdy i skromnością prawdziwego chrześcijanina i uczonego wykazuje, że między nauką ścisłą, opartą na faktach a nie na dowolnych, apryorystycznych postulatach i założeniach, a wiarą oświeconą, sięgającą głęboko w źródła objawienia, nie tylko niezgodności, lecz nawet pozornych sprzeczności niema.

U ludzi zajmujących się wyłącznie naukami przyrodniczemi, lecz stojącymi zdala od wiary i nie wciągającymi do rozważań naukowych kwestyi i systemów filozoficznych, książka Wasmanna spotkała się również z bardzo pochlebną i spokojną oceną, zwłaszcza ta jej część, która traktuje o biologii i rozwoju filogenetycznym to jest rodowym mrówek i ich gości.

Natomiast głośną wrzawę i konsternacyę dzieło Wasmanna wywołać musiało w trzecim obozie krytyków, tych mianowicie, którzy wszędzie i przy każdej sposobności z gorliwością wyznawców usiłują walczyć z chrystyanizmem, a natomiast szerzyć i propagować monistyczno-materyalistyczne zasady. Ci znaleźli się początkowo tym razem w niemałym kłopocie. Wszak ich zwykłym sposobem walki z autorami, którzy odważają się bronić zasad chrześcijańskich, jest ignorowanie i pogarda, a jeżeli kiedy ich dzieła omawiają, załatwiają się z niemi krótko i łatwo, zarzucając autorowi nienaukowość i dyletantyzm. Tymczasem Wasmann podszedł ich z prawdziwie »jezuicką perfidyą«. Długoletniemi pracami ściśle naukowemi i doświadczalnemi zyskiwał powoli sławę

i uznanie, swem stanowiskiem w kwestyi ewolucyi rokował nawet bardzo piękne nadzieje — to też bardzo wiele razy o jego pracach wydawano nadzwyczaj pochlebne sądy, po rozmaitych pismach fachowych przyznawano mu nie tylko głęboką naukę, lecz co może ważniejsza, wielką bystrość i ścisłość w dociekaniach i rozumowaniach. Teraz więc poważniejszym przynajmniej krytykom trudno było użyć stałej a wypróbowanej metody lekceważenia otwartego i ośmieszania, trzeba było koniecznie wymyślić coś nowego. Pomysł znalazł się wkrótce, a głównym jego autorem jest kolega po fachu Wasmanna, znany myrmekolog i »etyk« A. Forel.

Śmiałem cięciem krytyki zręczny ten operator rozszczepił jaźń biednego Wasmanna na dwoje, biorąc asumpt z owych dwóch liter: S. J., jakie Wasmann, jako Jezuita kładzie przy swem nazwisku. Według znanej recepty *divide et impera*, niepomny na swe monistyczne zasady, rozróżnia i poróżnia w swym oponencie dwie natury. Jedna z nich, to Wasmann S., Wasmann *sciens*, — druga Wasmann J., Jezuita. Radząc Wasmannowi, ażeby zerwał nieszczęśliwe małżeństwo między temi dwiema literami, ciągnie dalej ten delikatny i przedmiotowy krytyk:[1] »Wasmann S. jest uczonym, przed którego bystrością i sumiennością zdejmuję kapelusz. Wasmann J. jest scholastycznym Jezuitą. Ale Wasmann S. leży jako niewolnik w więzach u Wassmanna J. i może tylko na tych obszarach być wolnym i samym sobą, na których nie wchodzi w żaden zatarg z Wasmannem J. Skoro tylko zatarg powstaje, natychmiast urywa się naukowe myślenie Wasmanna S. i zaczynają się sylogizmy i scholastyka Wasmanna J., z jej grą słów«. Jak widzimy, sposób wojowania prawdziwie genialny, godny Forela. Dowcipny, łatwy do pochwycenia i spamiętania, a przytem pozory głębokości noszący sarkazm, który u ludzi płytkich daleko zawsze skuteczniejszy od najściślejszych dowodów, zdolen tu od razu, za jednym zamachem, zniszczyć to, co dla monizmu mogło być w znakomitem dziele Wasmanna niebezpiecznego, bo wszak to wszystko pochodzi od Jezuity a nie od przyrodnika. Ten ostatni i nadal wprawdzie w Wasmannie istnieje, lecz jego działal-

[1] *Biologisches Centralblatt* 1905. Str. 485 sq.

ność niema już żadnej wartości. To też nic dziwnego, że fortel ten znalazł ogólne przyjęcie u wszystkich monistycznych krytyków, co Wasmann z słusznym żalem i oburzeniem piętnuje. »Na napad tego rodzaju nie potrzeba właściwie wcale żadnej odpowiedzi« — pisze on — »bo on się sam dostatecznie charakteryzuje... Lepiejby Forel uczynił, gdyby był zamilczał, zamiast występować z tego rodzaju bronią za monistycznym światopoglądem«. Mniej jednak zważając na ten system polemiki Forela i Haeckla w pismach popularnych, z tem większym naciskiem O. Wasmann skarży się, że taki sam sposób walki przeniesiono i na katedry uniwersyteckie, czego przykładem prof. Lotsy z Leiden. Z jednej strony uczony ów w swych wykładach mówiąc o biologii Wasmanna, wyraża się z największem o jej autorze uznaniem: »Wasmann jest Jezuitą, lecz zarazem jednym z najlepszych zoologów doby obecnej, dla którego badań nad życiem mrówek np. jak największy mamy podziw«. Lecz i on, wbrew wszelkim prawom psychologii i logiki, zapominając nadto o tem, że Wasmann pierwej był Jezuitą, niż przyrodnikiem, rozdziela sztucznie Wasmanna na dwie połowy, uczoną i jezuicką.

Mimo wszystko dzieło Wasmanna stało się głośnem po wszem świecie i mogło monistycznemu materyalizmowi niemałe wyrządzić szkody, chociażby przez utrudnienie zyskiwania nowych adeptów czyli innemi słowy przez otwarcie oczu tym, którzy olśnieni zdobyczami nauki nowoczesnej, pociągnięci czarem jej mistrzów, nie umiejąc rozróżnić między faktem a jego interpretacyą, często dowolną, między rzeczywistością a hypotezą, zaczynają chwiać się we wierze chrześcijańskiej a umysł ich i duszę coraz to większe i silniejsze opanowują wątpliwości. Zrozumieli grożące niebezpieczeństwo najgorliwsi menerzy monizmu, ocenił je też należycie jego najgorliwszy prorok, apostoł i najwyższy naczelnik Haeckel. Starzec ten, z niezmiennym zapałem i gorliwością życie swoje oddał na rozszerzenie jednej tylko idei, by wyrugować ze świata pojęcie stwórcy, Boga osobistego, duszy nieśmiertelnej, odpowiedzialnej przed Bogiem za swe czyny, a roz-

szerzyć i zakorzenić w umysłach pojęcia czysto materyalistyczne, zwane od swego proroka hekelianizmem. Uczą one, że między człowiekiem a zwierzęciem niema żadnej istotnej różnicy, że tak pierwszy jak i drugie rozwinęli się tylko czystym przypadkiem z chaosu wiecznej materyi. I przez lat z górą czterdzieści mąż ten pracował i agitował ze zdumiewającą energią, pisał w tym celu dzieła naukowe i popularne, miewał wykłady i odczyty, słowem nie zaniedbywał żadnego środka, żadnej sposobności, by wszędzie i zawsze zwalczać myśl chrześcijańską, a nawet choćby tylko teistyczną, by »wyswobadzać umysły z zabobonów kościelnych«, z wierzeń nadprzyrodzonych. Obecnie przebywa on w Jenie. Otoczony czcią przez swych wyznawców, uważany jawnie lub skrycie za głowę monistycznego świata, czuwa stamtąd pilnie nad trzodą swoją. To też uznając widocznie, jak niebezpiecznym jego działalności wrogiem jest Wasmann, postanowił z całym zapałem resztek sił swoich rzucić się na niebezpiecznego Jezuitę i zgnieść go sławą swego imienia. Zjeżdża tedy do Berlina i tu wygłasza trzy odczyty, których same napisy nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do treści i kierunku. »Walka o stworzenie« a w nawiasie »Nauka o pochodzeniu i wiara kościelna« — oto tytuł wykładu pierwszego. »Walka o drzewo genealogiczne«, odczyt drugi. Wreszcie trzeci, najwięcej obiecujący: »Walka o duszę«, w nawiasie: »Nieśmiertelność i pojęcie Boga«. W przedmowie do tych wydanych następnie drukiem odczytów, oświadcza Haeckel, że już w r. 1901 rozesłał stanowcze oświadczenie, że już więcej z publicznymi odczytami nie wystąpi, tak z powodu zdrowia i sędziwego wieku, jakoteż z powodu pilnych, a czekających jeszcze na wykończenie prac naukowych. Do uczynienia wyjątku obecnie i do odstąpienia od tego silnego postanowienia nakłoniły go tylko natarczywe listy od wielu przyjaciół berlińskich. »Przedstawiali mi oni« — czytamy dosłownie[1] — »jak ważnem jest właśnie teraz wyłożyć osobiście wykształconej publiczności berlińskiej zarysy nauki o roz-

[1] Ernst Haeckel: *Der Kampf um den Entwickelungs-Gedanken.* Drei Vorträge. Berlin 1905.

woju, którą reprezentowałem od lat czterdziestu. Przytem położono nacisk na to, że rosnąca ustawicznie reakcya w kołach kierujących i wzrost zuchwalstwa nietoleranckiej ortodoksyi, przewaga ultramontańskiego papizmu i grożące stąd niebezpieczeństwa dla niemieckiej wolności ducha, dla uniwersytetu i szkoły, domagały się gwałtownie energicznej obrony. A oto przypadkowo właśnie w tych dniach śledziłem za interesującemi próbami« — mówi tu o biologii Wasmanna — »które świeżo przedsiębierze kościół ortodoksyjny, by zawrzeć pokojowy kompromis ze swym śmiertelnym wrogiem, monistycznemi naukami przyrodniczemi; zdecydował się on przecież na to, by naszą nowożytną naukę o rozwoju, którą od lat trzydziestu jak najgwałtowniej zwalczał, aż do pewnego stopnia przyjąć i (chociaż sfałszowaną i pokaleczoną) pogodzić ze swą wiarą kościelną. Ta uderzająca zmiana frontu wojującego Kościoła wydała mi się z jednej strony tak interesującą i ważną, z drugiej tak zarazem zwodniczą i niebezpieczną, że jeszcze zdecydowałem się uczynić ją przedmiotem publicznego wykładu i przyjąć berlińskie zaproszenie«.

Zdaje się, że wobec tych słów najzaciętszego wroga chrystyanizmu bladą byłaby wszelka dalsza pochwała dzieła i zasług Wasmanna. To też właśnie odczyty Haeckla przyczyniły się niezmiernie do rozszerzenia i nadania aktualności poglądom Wasmanna, którego sam Haeckel uważał za wroga tak potężnego i szkodliwego, że osobiście raczył wyruszyć przeciw niemu do boju.

Nie trzeba chyba dodawać, że te senzacyjne odczyty Haeckla cieszyły się ogromną frekwencyą. Stronników i ciekawych zgłosiło się tylu, że pierwsze dwa wykłady gorliwy prelegent powtarzać musiał po dwa razy, by ile możności wszystkich chętnych podnieść na duchu, by usunąć wywołane może przez Wasmanna wątpliwości, a w gruncie rzeczy, by ognistym frazesem, rzucaniem sofizmatów i obelg, roznamiętnić i tem samem odwieść od spokojnego i przedmiotowego zastanawiania się i szukania prawdy. »Jeżeli wydaję się jako »bojownik« bezwzględnym, to pamiętać należy, że »bój jest ojcem wszystkich rzeczy« i że zwycięstwa czystego rozumu nad panującym zabobonem nie można osiągnąć

bez najgwałtowniejszej walki« [1]. To też rozpalony własnym i swych adherentów zapałem nie poprzestał na dwu tylko odczytach, jak w programie początkowo zapowiedziano, lecz dodał jeszcze trzeci, pożegnalny, fanatycznym zapałem bojowym, jeżeli to możebne, tamte jeszcze przewyższający.

Streścić wywodów tego »męża nauki« jest rzeczą wprost niepodobną, można tylko te odczyty czy raczej agitacyjne przemowy scharakteryzować i charakterystykę paru zillustrować cytatami. A więc gorączkowe przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot, np. z zoologii na religię, z paleontologii na politykę i cesarza; śmiałe a gołosłowne stawianie twierdzeń w rzeczach najbardziej zawiłych a przytem podstawowych; przedstawianie teoryi i hypotez zupełnie niepewnych, nawet przestarzałych, za niezbite naukowe wyniki — wszystko zaś na tle tak gwałtownej nienawiści do wszystkiego, co choć z daleka ma związek z chrześcijaństwem, do samego nawet imienia Boga, że wyrobiła się już ona w nim w prawdziwą manię. Oto wrażenie, jakie każdy przyrodniczo choć cokolwiek wykształcony i choćby niewierzący, lecz tylko niefanatyczny a kulturalny czytelnik z przerzucenia tych kartek odnieść musi. Wobec ludzi wykształconych nie są one dla wiary i Kościoła niebezpieczne, lecz owszem są pod pewnym względem apologią wiary, to też nawet zwolennicy autora »Zagadek życia« przyznają, że starzec ten zaczyna już siebie i sprawę kompromitować swemi wystąpieniami i czują żal do jego najbliższego otoczenia, że nie roztaczają czujniejszej nad nim opieki. Nie będziemy też tu zbijać poważnie jego twierdzeń i zarzutów, tak zresztą w niepoważny stawianych sposób, wystarczy dla dopełnienia i udowodnienia powyższej charakterystyki przytoczyć niektóre z tychże.

I tak swego głównego oponenta O. Wasmanna otacza szczególną grzecznością i przyjaźnią; nazywa go [2] »bystrym i boga-

[1] l. c. str. 9
[2] l. c. Str. 32.

tym w wiadomości entomologiem, który już przedtem dał się poznać korzystnie przez szereg znakomitych obserwacyi nad życiem mrówek« a teraz rozproszone po rozmaitych pracach wiadomości w tym przedmiocie zebrał w wydanej obecnie biologii. Zaś bezpośrednio po tych pochwałach czytamy: »Dziwna ta książka Wasmanna jest mistrzowskiem dziełem jezuickiej sztuki przekręcania i sofistyki«. Na innem miejscu czytamy znowu wynurzenia Haeckla o papieżu[1]: »We Włoszech, miejscu narodzin i trwałem gnieździe papizmu, cieszy się tenże w wykształconych kołach ogólnie najgłębszą pogardą; przez wiele lat żyłem we Włoszech i nie poznałem nigdy wykształconego Włocha o tak bigotycznych i ograniczonych poglądach, jak to jest rzeczą zwyczajną wśród wykształconych kół niemieckich katolików i jakie *Centrum* parlamentu niemieckiego z pomyślnym politycznym reprezentuje skutkiem. Dla zacofania niemieckich katolików znamiennym jest fakt, że sam papież ogłasza ich za swych najpewniejszych żołnierzy i stawia za wzór wiernym innych narodów. Jak cała historya rzymskiego papizmu uczy, wielki szarlatan w Watykanie jest wrogiem śmiertelnym wolnej umiejętności i wolnej nauki«. Taki sposób wyrażania się o papieżu, powtarzający się zresztą częściej w ciągu tych »naukowych odczytów«, dosyć dobrze maluje intelligencyę i stopień kultury ich autora. Na zakończenie pierwszego kazania akt ufności: »Spodziewajmy się, że najnowszy zwrot w dziejach nauki o rozwoju, jej uznanie przez jezuicką umiejętność, osiągnie coś zupełnie przeciwnego od tego, do czego ta ostatnia zmierza, zastąpienie ślepej wiary kościelnej przez naukę rozumu«.

(C. d. n.)

Ks. Feliks Hortyński.

---

[1] l. c. str. 37.

MIĘDZYNARODOWE USTAWODAWSTWO ROBOTNICZE

NA KONGRESACH BERNEŃSKICH

(dnia 8—17 maja 1905 r. i 17—26 września 1906 r.)

Idea międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego wyrosła na tle międzynarodowego ruchu handlowego i konkurencyi w przemyśle. Koncentracya kapitału, dzisiejsza forma produkcyi i rozwój komunikacyi wytworzyły po wszystkich krajach przemysłowych mniej więcej te same warunki i stosunki pracy, te same klasy i choroby i niedomagania społeczne. Głównem źródłem nędzy i niedoli robotników we wszystkich krajach, to dzisiejszy kontrakt robotniczy, oparty na zasadzie szerokiej wolności obustronnej. Ze źródła tego płynie zło wszelkiego rodzaju i wyzysk dzieci nieletnich, więdnących po fabrykach, i ucisk kobiet, oderwanych od zajęć rodzinnych i przeciążenie pracą robotników i różne inne uciążliwości. Gdy zło przybierać poczęło przerażające rozmiary, rządy ujrzały się zmuszone pod grozą degeneracyi całych warstw ludności wziąć w obronę kobietę i dzieci a później stopniowo i pracę robotnika. Tak powstało we wszystkich krajach przemysłowych robotnicze ustawodawstwo ochronne. Ale ustawodawstwo to jest bardzo ułamkowe i niedostateczne głównie ze względu na międzynarodową konkurencyę w produkcyi i handlu. Niepodobna bez uszczerbku dla produkcyi i handlu krajowego polepszyć stosunki pracy, jakby tego słuszność się domagała, jeżeli sąsiednie państwo pozwala na znacznie tańszą wskutek wy-

zysku sił roboczych produkcyę. I właśnie państwa o wysoko rozwiniętym przemyśle najwięcej oglądać się muszą na konkurencyę zagranicy, by nie dać się wyprzeć ze zdobytych na targu światowym pozycyi, gdy chcą polepszyć położenie swoich robotników. Ale bo też problem robotniczy jest w gruncie rzeczy problemem międzynarodowym, który tylko drogą międzynarodowego porozumienia i traktatów zupełnie rozwiązać można. Droga to nie nowa. Ruch towarowy i finansowy, komunikacya myślna i osobowa już się od dawna oparły na traktatach międzynarodowych, mając swoje biura międzynarodowe i ujednostajnione ustawodawstwo. Nawet własność duchowa, prawo inwencyi i autorstwa jest uregulowane drogą międzynarodowego porozumienia. Teraz przyszła kolej na najżywotniejsze interesa ludzkości. Chodzi o to, żeby praca ludzka i życie i zdrowie robotnika, żeby przyszłość całych warstw ludności nie zostały starte bezwzględnym rozwojem kapitalizmu. Początek w tej mierze już zrobiony. Dnia 15 kwietnia 1904 r. dwa mocarstwa, Francya i Włochy, podpisały pierwszy traktat pracy, by robotnikom swoim w obu państwach zatrudnionym zapewnić równe dobrodziejstwa, płynące z ustaw robotniczych. W r. 1905 od 8—17 maja 1905 r. odbyła się pierwsza międzynarodowa konferencya przedstawicieli państw w sprawie robotniczego prawa międzynarodowego. A w rok później dnia 26 września podpisały wszystkie prawie mocarstwa przemysłowe Europy pierwsze międzynarodowe traktaty z dziedziny robotniczego ustawodawstwa ochronnego. Punkt to przełomowy w historyi cywilizacyi — wielka idea kulturalna i chrześcijańska odnosi zwycięstwo nad materyalizmem wieku i toruje sobie drogę do lepszej przyszłości. To też zanim przystąpimy do przedstawienia kongresów, warto opowiedzieć w najogólniejszych zarysach jej dzieje.

Idea międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego wzięła początek w głowie wielkiego marzyciela socyalistycznego i przemysłowca Owena, a Legrand, fabrykant w Alzacyi, w r. 1857 po raz pierwszy nadał jej wyraz praktyczny. Wystosował on orędzie celem zwołania międzynarodowego kongresu w tej sprawie do wszystkich przemysłowych mocarstw Europy. Na orędziu jaśnieje następujące motto: »Ustawa międzynarodowa, normująca pracę

przemysłową, to jedynie możliwe rozwiązanie wielkiego problemu, który polega na tem, by udostępnić klasie robotniczej pożądane dobrodziejstwa moralne i materyalne bez uszczerbku dla przemysłowców i bez szkody dla konkurencyi przemysłowej różnych krajów«. Znamienny ten memoryał szlachetnego przemysłowca podaje też w zarysie gotowy projekt robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego. Określony tam maksymalny czas pracy dziennej dla dorosłych robotników, mający wynosić 12 godzin od $5^1/_2$ rano do $8^1/_2$ wieczór. Co się tyczy pracy dzieci, projekt domaga się, by chłopców przed skończonym 10 a dziewcząt przed 12 rokiem nie zatrudniać w fabrykach i przemysłach. Czas pracy dzieci na dobę aż do 13 roku życia niema przekraczać 6, a od 14—18 roku 10 godzin. Ażeby zaś udaremnić obejście ustawy projektuje memoryał urzędowy wykaz co do wieku wszystkich, we fabrykach i przemysłach zatrudnionych dzieci. Wszelka praca nocna od $8^1/_2$ wieczór do $5^1/_2$ rano ma być dla chłopców aż do 18 roku życia, dla kobiet zaś i wszystkich dziewcząt zupełnie zabronioną. Wkońcu domaga się projekt zakazu wszelkiej pracy niedzielnej.

Memoryał powyższy nie wszedł nigdy na drogę urzeczywistnienia, ale idea w nim zawarta poczęła się błąkać po świecie i nie spoczęła prędzej, dopóki nie przyoblekła się w ciało. Ideę tę podjęli najpierw robotnicy a później uczeni i stronnictwa reformy społecznej i rządy.

W roku 1866 na międzynarodowym kongresie w Genewie socyalizm, świeżo występujący na arenę publiczną, domaga się unormowania maksymalnego dnia roboczego dla wszystkich krajów przemysłowych. Maksymalny czas pracy na dobę ma wynosić dla dzieci od 9—12 lat 2 godziny, dla starszych dzieci od 13—15 lat 4 godziny, dla młodocianych robotników od 16—17 lat 6 godzin, dla robotników dorosłych wszystkich kategoryi 8 godzin. Postulat ośmiogodzinnej pracy dziennej dla robotników wszystkich kategoryi i krajów, to widoczne hasło rewolucyjne, które partya socyalistyczna umieściła na swoim programie.

W roku 1886 na międzynarodowym kongresie robotniczym w Paryżu, zwołanym za staraniem francuskich organizacyi zawodowych, uchwalono następującą rezolucyę:

Robotnicy różnych krajów mają domagać się od rządów swoich nawiązania rokowań w sprawie międzynarodowych traktatów i ugód, normujących warunki pracy. Kongres w pierwszym rzędzie stawia następujące postulaty:

1) Zakaz pracy dzieci poniżej lat 14.

2) Zarządzenia ochronne dla młodocianych robotników poniżej 14 lat i dla kobiet (sześciogodzinny dzień roboczy).

3) Wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego wraz z dniem spoczynku tygodniowego.

4) Zakaz pracy nocnej, wyjąwszy wypadki ustawą przewidziane.

5) Obowiązkowe wprowadzenie zarządzeń, mających na celu ochronę zdrowia po pracowniach.

6) Zakaz pewnych fabrykacyi i sposobów produkcyi, które zagrażają w szczególniejszym stopniu zdrowiu robotników.

7) Odpowiedzialność przedsiębiorców wobec prawa cywilnego i karnego przy wypadkach.

8) Kontrola nad warsztatami, fabrykami, pracowniami i t. d. przez urzędników, wybieranych przez robotników.

W r. 1897 odbył się w Zurychu międzynarodowy kongres robotniczy, za staraniem robotniczych organizacyi szwajcarskich, który stał się imponującą manifestacyą na rzecz robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego. W kongresie tym brały udział organizacye robotnicze różnych krajów, wyznań i partyi politycznych i wszystkie uchwaliły jednogłośnie, żeby przedstawiciele polityczni robotników użyli całego swego wpływu, by idea międzynarodowego ustawodawstwa jak najrychlej weszła na drogę urzeczywistnienia. Uchwały te odnosiły się przedewszystkiem do ustalenia wieku najniższego dla dzieci, pracujących po fabrykach, do zakazu pracy nocnej kobiet i młodocianych robotników, do zakazu pracy kobiet w przemysłach szkodliwych dla zdrowia, do zakazu pracy niedzielnej i do ustalenia maksymalnego dnia roboczego. Postulaty w Zurychu uchwalone nie nosiły na sobie piętna rewolucyi i były trzymane w granicach możliwości, ale liczebna przewaga socyalistycznych i radykalnych stronnictw na kongresie obecnych sprawiła, że sfery rządowe i stronnictwa oży-

wione duchem reformy społecznej ale w bliższej łączności z rządami będące, trzymały się zdala od kongresu. Idea międzynarodowego ustawodawstwa ochronnego na kongresach robotniczych podjęta, nie posunęła się ani o krok naprzód w kierunku urzeczywistnienia, ale zapuściła głęboko i szeroko korzenie w sercach milionów robotników we wszystkich krajach. I na tem polega doniosłe znaczenie pod tym względem międzynarodowych kongresów robotników [1].

Obok robotników pracowały nad urzeczywistnieniem tej idei z niemniejszym zapałem różne koła uczonych i polityków socyalnych. W Eisenach (1872 r.), we Frankfurcie n. M. (1882 r.), w Klein-Heubach (1885 r.), na zebraniu katolickich polityków socyalnych, na międzynarodowym kongresie hygieny i demografii w Wiedniu (1887 r.) toczyły się poważne i uczone narady w tym kierunku. Idea nie schodzi już z porządku dziennego, coraz wyraźniej i coraz natarczywiej dobija się urzeczywistnienia. Z pośród uczonych warto tu przytoczyć zdanie w tej sprawie wysokiego pruskiego urzędnika ministeryalnego, Lohmana, który w dziele pod tytułem: *Die Fabrikgesetzgebung der Staaten des europäischen Kontinents* (Berlin 1878) do następującej dochodzi konkluzyi: »Jakkolwiek skutkiem narodowych odrębności i warunków historycznych ustawodawstwa fabryczne rozmaitych mocarstw różnią się obecnie jedne od drugich, możemy jednak przewidzieć w nich stopniowe ujednostajnienie z wszelką pewnością. Z rozwijającym się bowiem przemysłem i niebezpieczeństwa doń przywiązane wystąpią zwolna w całej pełni na jaw tam nawet, gdzie dla tej lub owej przyczyny wpływ ten dotąd jeszcze się nie okazał. I te ludy, które nie są skore do uwzględnienia w ustawodawstwie wymagań ludzkości, przekonają się z doświadczenia, że te chwilowe korzyści, wynikające dla ich przemysłu z nieograniczonej wolności rosną tylko kosztem kapitału przyszłości. Prawo samoza-

[1] *Internationaler Kongress für Arbeiterschutz in Zürich* (1897), *Amtlicher Bericht.* Zürich 1898. Frey: *Zur Geschichte der Idee des internationalen Arbeiterschutzes.* Bern 1900. Mahain: *L'association internationale pour la protection légale des travailleurs, Revue économique internationale.* 1904. Bauer: *Die geschichtlichen Motive des internationalen Arbeiterschutzes, Vierteljahrschrift für Sozial- und Wirthschaftsgeschichte.* 1903.

chowawcze zmusi nareszcie te ludy do rozwinięcia ustawodawstwa fabrycznego odpowiednio do stanu ich przemysłu. Stale rosnąca solidarność i wzajemna zależność dzisiejszych ludów kulturalnych w dziedzinie ekonomicznej tudzież wielkie znaczenie ustawodawstwa fabrycznego dla rozwoju wielkiego, na zaopatrzenie targu światowego pracującego, przemysłu — nie wyklucza możliwości, że rozwój ustawodawstwa fabrycznego stanie się przedmiotem międzynarodowych układów, że również w tej dziedzinie powoli rozwinie się prawo międzynarodowe. To też przedstawiciele pewnych gałęzi przemysłu już obecnie domagają się, by przy zawieraniu nowych traktatów handlowych uwzględniono różnicę warunków produkcyi, wynikającą z różnych ustaw fabrycznych«. Bystre uwagi uczonego urzędnika w niedalekiej przyszłości spełnić się miały. Niepowstrzymany w tym kierunku rozwój idei sprawił, że po kongresach robotników i polityków socyalnych rządy zajęły się tą sprawą. Początek dała Szwajcarya, która nie wciągnięta w wir wielkiej polityki międzynarodowej, wzięła sobie za zadanie nie po raz pierwszy pośredniczyć pomiędzy mocarstwami w wielkich kulturalnych zadaniach i humanitarnych przedsięwzięciach. Sprawą tą zajął się gorąco poseł szwajcarski, Emil Frey, który jako prezydent Rady narodowej najpierw w r. 1876 a następnie w r. 1880 zdołał przeprowadzić w Radzie narodowej następujący wniosek: »Wzywa się Radę związkową, ażeby nawiązała rokowania z głównemi państwami przemysłowemi celem stworzenia międzynarodowego ustawodawstwa fabrycznego«. Na skutek tej uchwały Rada związkowa urządziła za pomocą swoich przedstawicieli dyplomatycznych tajne wywiady u najważniejszych potęg przemysłowych, czy gotowe są wziąć udział w projektowanej konferencyi międzynarodowej. Mocarstwa odmowną dały odpowiedź, z wyjątkiem Austryi i Włoch, które warunkowo przychyliły się do zaproszenia. Wobec tego odroczono całą sprawę na dogodniejszą porę. Ale idea wniesiona raz na arenę parlamentarną nie schodzi już z porządku dziennego opinii publicznej. Z jednej strony podjęły ją z zapałem nietłumionym żadnymi interesami klasowymi ani partyjnymi różne organizacye robotnicze. Na ten czas przypada wyż wspomniany międzynarodowy kongres robotniczy w Pa-

ryżu; w Szwajcaryi zajął się tą sprawą *Grütliverein*, w Niemczech chrześcijańsko-socyalna partya robotnicza umieściła już w r. 1877 w swoim programie międzynarodowe ustawodawstwo ochronne. Z drugiej strony szwajcarski wniosek parlamentarny ozwał się głośnem echem w parlamencie francuskim i niemieckim. We Francyi hr. de Mun a później socyalistyczni posłowie Boyer, Camélinat, Gilly, Basly, Proudhon i Hugues, w Niemczech centrum katolickie i partya socyalistyczna poruszali tę kwestyę w różnych formach. W r. 1885 partya socyalistyczna stawia wniosek w parlamencie niemieckim, żeby rząd celem międzynarodowego porozumienia zainicyował akcyę w kierunku wprowadzenia 10-godzinnego dnia roboczego, zakazu pracy nocnej dla dzieci i wogóle zakazu pracy dzieci poniżej 14 lat w przemyśle. W roku 1888 dnia 26 czerwca posłowie, Decurtins i Favon postawili ponownie w szwajcarskiej Radzie narodowej wniosek zainicyowania akcyi dyplomatycznej w sprawie międzynarodowego ustawodawstwa. Rada związkowa przychyliła się do wniosku i powierzyła wygotowanie memoryału w tej sprawie Decurtinsowi, który za podstawę obrad na konferencyi dyplomatycznej następujące przedstawił punkta:

1) Ustanowienie minimalnego wieku dla dzieci, pracujących w fabrykach i kopalniach.

2) Zakaz pracy nocnej dla kobiet i robotników małoletnich.

3) Zakaz pracy kobiet w niezdrowych i niebezpiecznych przemysłach.

4) Zakaz pracy niedzielnej.

5) Unormowanie maksymalnego dnia roboczego dla małoletnich.

Autor memoryału proponuje nadto założenie międzynarodowego biura pracy, któreby śledziło rozwój robotniczego ustawodawstwa po wszystkich krajach i ustawy międzynarodowe, wchodzące w życie i dbało o ich urzeczywistnienie. Rezultaty tych badań i dochodzeń biura na podstawie sprawozdań urzędowych mają być publikowane.

Rada związkowa wygotowała program i wystosowała zaproszenia na konferencyę dyplomatyczną, mającą się odbyć w Bernie

do wszystkich państw kulturalnych Europy. Oto najważniejszy ustęp z noty:

»Niektóre państwa już wprowadziły w życie ustawy robotnicze, inne przygotowują się do stworzenia takowych. Różne ciała ustawodawcze zajmują się projektami w tym kierunku, poddano nawet pod specyalną dyskusyę kwestyę międzynarodowych i odnośnych konwencyi. Według naszego rozumienia nazwa powszechnie używana: *Législation internationale sur la protection des travailleurs,* nie wydaje nam się szczęśliwie wybraną, przedewszystkiem ze względu na słowo »ustawodawstwo«, lecz trzeba, zdaje nam się, pod szczególniejszą wziąć uwagę dwa punkta specyalne: z jednej strony pewne uregulowanie ustawowe produkcyi przemysłowej i z drugiej polepszenie warunków życiowych robotnika. Droga, jakąby obrać należało, ażeby dojść do porozumienia się międzynarodowego w doniosłej tej kwestyi, zdaniem naszem jest ta: naprzód przedewszystkiem należałoby zwołać konferencyę delegatów różnych państw interesowanych, niemającą żadnego charakteru dyplomatycznego. Konferencya ta, opierając się na programie, przyjętym naprzód, rozpatrywałaby daną kwestyę i ustaliłaby pewne punkta, których wykonanie byłoby pożądanem. Projekt w ten sposób ułożony należałoby następnie przedłożyć rządom odnośnych państw do sankcyi za pomocą konwencyi międzynarodowej«.

Wynik rokowań wypadł korzystnie. Z pośród państw Francya, Austrya, Portugalia, Belgia i Holandya przychylną dały odpowiedź, Anglia i Włochy z pewnemi zastrzeżeniami. Hiszpania notę przyjęła do wiadomości, Niemcy, Dania i państwa skandynawskie głębokie zachowały milczenie a jedna Rosya odmowną dała odpowiedź. Zdawało się, że trudności przezwyciężone[1]. Tymczasem w kilka dni po orędziu szwajcarskiem cesarz niemiecki Wilhelm II ogłosił swe znane reskrypty socyalne, wystosowane do kanclerza rzeszy i ministra handlu w sprawie robotniczego ustawodawstwa ochronnego: »Zdecydowałem się, czytamy w reskrypcie wystoso-

[1] C. Decurtins: *La question de la protection ouvrière internationale.* Bern 1889.

wanym do kanclerza rzeszy, przyczynić się do polepszenia położenia robotników niemieckich. Ale na przeszkodzie polepszenia losu naszych robotników, są trudności, wynikające z konkurencyi międzynarodowej, które tylko pod warunkiem porozumienia się z krajami, będącymi w posiadaniu targu międzynarodowego, jeżeli nie zupełnie to przynajmniej w części usunięte być mogą. W przekonaniu tedy, że i inne rządy również ożywione są pragnieniem, by wspólnie rozpatrzyć te kwestye, nad któremi już robotnicy tych samych krajów międzynarodowe rozpoczęli obrady, życzę sobie, by przedstawiciele moi szczególnie we Francyi, Anglii, Belgii i Szwajcaryi urzędownie zwrócili się do rządów tychże krajów z zapytaniem, czy zechcą wziąć udział w naradach nad możliwością zadosyćuczynienia potrzebom i życzeniom robotników«.

Rzecz ciekawa, te same państwa, które przyjęły nasze zaproszenie — tak się wyraża nie bez odcienia goryczy w nocie dyplomatycznej szwajcarska Rada związkowa — zgodziły się również na konferencyę w Berlinie. Wobec tego Szwajcarya była zmuszoną odroczyć swoją konferencyę na czas nieograniczony.

Międzynarodowa konferencya w Berlinie [1] rozpoczęła się dnia 15 marca 1890 r. i trwała dwa tygodnie pod przewodnictwem pruskiego ministra handlu, barona Berlepscha. Program był rozległy, bo obejmował uregulowanie pracy w górnictwie i pracy dzieci, kobiet i robotników młodocianych oraz zakaz pracy niedzielnej. Rezultat obrad był niewielki, bo miał charakter wyłącznie tylko oryentacyjny co do dalszego rozwoju robotniczego ustawodawstwa ochronnego. *Il est désirable* — kończą się rezolucye długich i mozolnych obrad, by praca górnicza podlegała kontroli państwa, by w spoczynku niedzielnym wszyscy robotnicy mieli udział. Pożądanem jest, by przed skończonym dwunastym a w krajach południowych dziesiątym rokiem nie zatrudniano dzieci pracą fabryczną, by zakazano pracy nocnej kobiet i pracy w ciągu pierwszych czterech tygodni po rozwiązaniu. Dzieci nie mają pracować w przemysłach zdrowiu szkodliwych ani w nocy ani

[1] Evert: *Fabrikgesetzgebung. Handwörterbuch der Staatswissenschaften.* (1900) t. III, str. 782. — *Béchaux sur la »réglementation du travail«* chap. IV. Paris 1904.

w ciągu dnia nie więcej jak 6 godziu. Czas maksymalny pracy dla robotników małoletnich ma wynosić 10 godzin, a czas roboczy dla kobiet 11 godzin. Co się tyczy czasu pracy w górnictwie, wobec zbyt rozbieżnych zdań, nie doszło do żadnego porozumienia. Rezolucya 10-godzinnej pracy podziemnej wydawała się delegatom różnych państw zbyt radykalnem życzeniem.

Chociaż rezultat praktyczny konferencyi berlińskiej nie przekroczył sfery życzeń, to jednak przyznać należy, że obrady te utorowały drogę dalszym rokowaniom w tym kierunku. W historyi rozwoju idei robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego, konferencya berlińska stanowi punkt przełomowy. Idea ta w rękach rządów nie przyniosła żadnych pozytywnych rezultatów ani ich przynieść nie mogła z tej prostej przyczyny, że nie opierała się na rozległym i wyczerpującym materyale faktycznym, przygotowanym do ujęcia ustawowego, że rządy same wogóle niezdolne są do rozwiązania problemów międzynarodowych, które nie zamykają się w granicach polityki gabinetowej lecz żywotnie związane są z interesami ludów. Ale zaprzeczyć się nie da, że od chwili, kiedy w Niemczech zasadniczo oświadczono się za stworzeniem robotniczego ustawodawstwa ochronnego i żywotną zrazu w tym kierunku rozwinięto działalność i inne mocarstwa, niektóre raźniej, inne opornie i powoli obrały tę drogę dla polepszenia stosunków życia robotników. Doniosłej też wagi na konferencyi berlińskiej był postulat, by rządy dbały o wymianę statystycznych materyałów i o dostateczną liczbę urzędników, czuwających nad wykonaniem ustaw robotniczych. Bez dostatecznej kontroli bowiem i najbardziej humanitarna ustawa pozostanie tylko na papierze i niewykonanem życzeniem ustawodawcy.

Nieudane próby i bezowocne usiłowania rządów nie wykazały niemożliwości urzeczywistnienia idei ustawodawstwa międzynarodowego, zepchnęły ją tylko na właściwe tory społecznej inicyatywy prywatnej. Rok 1897 przedewszystkiem popchnął pod tym względem potężnie sprawę naprzód, przynosząc dwa ważne kongresy międzynarodowe. Jeden to wyż wspomniany kongres zurychski, w którym sfery, w bliższej łączności z rządami będące, nie brały udziału. Drugi, to kongres w Brukseli, który się odbył

w miesiąc później po kongresie w Zurychu i w którym wzięli udział głównie uczestnicy konferencyi berlińskiej i liczni przedstawiciele Francyi. I na tym kongresie wyłoniła się myśl akcyi nowej, żywotnej, która wkrótce bogate przynieść miała owoce, mianowicie myśl założenia prywatnego związku międzynarodowego ustawowej ochrony robotników, mającego na celu oświecanie i poruszanie opinii publicznej i przygotowanie międzynarodowego materyału ustawodawczego pod przyszłe obrady w tym kierunku. Myśl ta zgadzała się z wnioskiem, poruszonym przez Decurtinsa w znanym memoryale stworzenia biura międzynarodowej pracy oraz z rezolucyą uchwaloną na kongresie w Zurychu, by w prasie i w parlamencie rozwinąć agitacyę w sprawie stworzenia przez państwa międzynarodowego biura ochrony robotników. Tak idea robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego wchodzi na drogę praktyczną urzeczywistnienia.

W trzy lata później z okazyi światowej wystawy na kongresie w Paryżu, którego głównym celem było założenie międzynarodowego związku ustawowej ochrony robotników zapadła uchwała stworzenia równocześnie dwu instytucyi z siedzibą w Bazylei, mianowicie międzynarodowego biura pracy *Office international du travail* i międzynarodowego związku ustawowej ochrony robotników *Association internationale pour la protection légale des travailleurs*. Co do organizacyi związku na początku zdania były podzielone: Jedni chcieli, żeby rządy zawarły unię, opierającą się o międzynarodowe, robotnicze biuro statystyczne na wzór międzynarodowych biur już istniejących w Bernie (np. unia pocztowa i telegraficzna, międzynarodowa unia transportowa i t. d.) Inni przeciwnie, nie spuszczając się na rządy obrali drogę samopomocy. Akcya dyplomatów wydawała im się zbyt powolną, nie prowadzącą do celu. Programem ich to międzynarodowe stowarzyszenie prywatne i międzynarodowe biuro, zbierające materyały ustawodawcze i statystyczne pod przyszłą robotę prawodawczą. Prezes kongresu Millerand gorąco popiera to zdanie: »Stworzenie oficyalnego biura międzynarodowego, mówi on, napotka na wszelkiego rodzaju trudności. Rządy nie mogą drogą międzynarodowego porozumienia ani przystąpić do rozwiązania, ani rozwiązy-

wać żadnego problemu socyalnego nie rozważywszy wprzód następstw, jakie to rozwiązanie za sobą pociągnąć może lub musi nie tylko ze względu na sam problem, który domaga się rozwiązania, lecz ze względu na mnogie interesy z nim w związku będące. Skoro rządy mają do rozpatrzenia konsekwencye tak różne i skomplikowane, skoro nie mogą uczynić ani kroku nie rozważywszy wprzódy, jakie będą z tego następstwa we wszystkich stosunkach międzynarodowych i politycznych i przemysłowych i handlowych, należy się słusznie obawiać, że biuro stworzone w takich warunkach żyć będzie tylko na papierze... Biuro prywatne nie potrzebuje się oglądać na to wszystko, bo nie ciąży na niem taka odpowiedzialność...« [1] Przeważyło tedy zdanie założenia biura prywatnego, które powstało dnia 1 maja 1901 r.[2] pod kierunkiem prof. Bauera i nosi nazwę *l'Office international du travail.* W kilka zaś miesięcy później we wrześniu 1901 r. na międzynarodowym kongresie w Bazylei ukonstytuował się międzynarodowy związek ochrony robotników: *l'Association internationale pour la protection légale des travailleurs.*

Przypatrzmy się jego organizacyi i na czem polega jego znaczenie?

Związek składa się z sekcyi państwowych, powstałych w poszczególnych krajach, które się rządzą same i pracują nad przygotowaniem materyału ustawodawczego pod peryodyczne obrady związku i nad szerzeniem idei robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego w wpływowych przedewszystkiem sferach społecznych. Sekcye te, na których działalności polega przedewszystkiem główna siła związku, opierają się z powodów łatwo zrozumiałych na zasadach absolutnej neutralności politycznej i mają charakter czysto naukowy. Mieszczą one w łonie swojem przedstawicieli wszystkich obozów i odcieni politycznych, począwszy od socyalistów i demokratów chrześcijańskich aż do konserwatystów umiarkowanych i narodowców liberalnych. Oczywiście wszyscy ożywieni są ideą reformy społecznej — kto nie idzie z po-

[1] Pic: *Le congrès international etc. Revue d'économie politique.* 1901, t. xv, p. 710.

[2] Bauer: *Die Aufgabe des internationalen Arbeitsamtes.* Zürich 1901.

stępem wieku, kto staje w poprzek ewolucyi społecznej, nie znajdzie dla siebie ani w związku, ani w sekcyi miejsca. Tak powstał cały szereg sekcyi krajowych, których zadaniem jest torować drogę idei robotniczego ustawodawstwa międzynarodowego.

Znaczenie międzynarodowego związku ochrony ustawowej robotników — tłumaczy prezydent Wullschleger — polega na tem, że Związek ten stoi otworem dla różnych partyi politycznych, wyznań religijnych, ekonomicznych systemów i różnych klas ludności, by na gruncie politycznej i religijnej neutralności porozumieć się w sprawie ochrony ustawowej robotników. Walcząc w obronie tej ochrony ogranicza on swoją działalność do tego, żeby w gąszcz przesądów i nieznajomości przez zbieranie faktów i systematyczne objaśnienia rzucić pęk światła i nauki, żeby rezultaty doświadczenia razem z wymaganiami nauki i z ruchem organizacyi klasowej i partyjnej stopić z praktycznymi projektami i tak torować drogę żywotnej pracy praktycznej. W ten sposób pracując popieramy praktycznie klasę robotniczą, nie narzucając się jej, w jej usiłowaniach, żeby sobie zapewnić stosownie do równości prawnej udział w zdobyczach dzisiejszej kultury: »Niech obrady te na nowo przypomną ludom i rządom tę ważną naukę, która powinna się stać niezłomną zasadą, że do ich najwyższych i najpilniejszych zadań należy ochrona pracy ludzkiej... Dyrektor zaś ministeryalny z Berlina Caspar określa cel i zadanie Związku na wstępnem zebraniu w ten sposób: Ażeby na drodze reformy socyalnej czynić postępy potrzeba przedewszystkiem dokładnej znajomości stosunków własnego kraju i stosunków socyalnych w innych krajach. Otóż nad szerzeniem tej znajomości pracuje z pożytkiem Związek międzynarodowy. Nadto w pracy socyalnej potrzeba potężnego prądu opinii publicznej, o którą rząd w swoich zarządzeniach oprzećby się mógł. I w tym kierunku pracuje Związek międzynarodowy z pożytkiem. Rozbudzona opinia publiczna wywiera zresztą sama parcie na rządy — żaden rząd, jeżeli się na poważne zakłócenia wewnętrzne nie chce narazić, nie zdoła długo się opierać jej wymaganiom.

Związek szybko rozpostarł się na wszystkie prawie państwa cywilizowanego świata. Już na pierwszem zebraniu między-

narodowem zawiązującego się stowarzyszenia w Bazylei (1901 r.), przewodniczący Scherrer zdając sprawę z początków rozwijającego się Związku z dumą wylicza: W Niemczech zawiązało się stowarzyszenie sekcyjne *Gesellschaft für soziale Reform* pod kierunkiem barona Berlepscha; w Austryi *Oesterreichische Gesellschaft für Arbeiterschutz* pod przewodnictwem prof. Philippovicha; w Szwajcaryi związek międzynarodowej ochrony robotników przystąpił w charakterze sekcyi krajowej do Związku; w obrębie społeczno-naukowego stowarzyszenia w Budapeszcie zawiązała się węgiersko-narodowa sekcya; w Belgii i Holandyi wytworzyły się pod przewodnictwem byłych ministrów handlu Cooreman'a i d-ra Kerdijk sekcye krajowe; we Francyi pod kierunkiem prof. Cauvès; w Stanach Zjednoczonych zawiązuje się sekcya, złożona z zarządów biur statystycznych. W Danii tworzy się sekcya, w Anglii, Hiszpanii, Portugalii i Szwecyi rychło przyjdzie do skutku. Z Kanadą, Nowoselandyą i Japonią już rozpoczęto rokowania w tym kierunku. Tylko Rosya i państwa bałkańskie nie przyłączyły się do związku. To chyba dosyć na pierwsze początki zawiązującego się stowarzyszenia. Na ostatniem zgromadzeniu Związku międzynarodowego, które się odbyło we wrześniu 1906 r., wcielono urzędowo do Związku sekcyę węgierską, angielską, Stanów Zjednoczonych, hiszpańską i duńską. Obecnie należy do Związku 13 sekcyi krajowych i 16 państw, reprezentowanych przez swoich delegatów razem z Stolicą św. i wszystkie prawie stałemi subwencyami zasilają finansowo utrzymanie międzynarodowego Biura pracy. Są to państwa następujące: Francya, Niemcy, Austrya, Belgia, Dania, Hiszpania, Stany Zjednoczone, Anglia, Węgry, Włochy, Luksemburgia, Norwegia, Niederlandy, Stolica Święta, Szwecya i Szwajcarya. To też po pięciu latach bogatej w owoce działalności Związku, ten sam prezydent Scherrer, podkreślając wielką doniosłość Konwencyi berneńskiej, przemówił w te słowa: »Młody Związek międzynarodowy ustawowej ochrony robotników prędko zmężniał. Dowodem wielki sukces w Bernie, który przeważnie opiera się na pracach przygotowawczych Związku. Ale sukces ten wkłada na nas nowe obowiązki. Obok bezpartyjnej, czysto naukowej pracy międzynarodowego Biura pracy

w Bazylei musi związek rozszerzyć sferę swojej działalności, by nowe społeczne pole pozyskać dla uregulowania międzynarodowego. Oczywiście zawsze pomni słowa: *qui trop embrasse, mal étreint.* Międzynarodowe robotnicze traktaty ochronne nie zawierają się codziennie. W każdym razie kamień węgielny dla monumentalnej budowy światowej ochrony robotników już położony — teraz chodzi o to, żeby dalej budować i dla dobra ludzkości ukończyć budowę«. Proste te słowa czyż nie mówią o monumencie trwalszym od spiżu?[1]

Łącznikiem i urzędowym organem sekcyi krajowych jest centralny Komitet międzynarodowy, złożony z delegatów stosownie do liczby członków połączonych w sekcyach. Wszelako liczba delegatów jest ograniczona. Żadna sekcya nie może więcej niż 10 delegatów, uprawnionych do głosowania, wysyłać na zebrania Związku. Prócz sekcyi krajowych i rządy są uprawnione do wysyłania delegatów, którzy w łonie Komitetu centralnego te same mają prawa, co inni członkowie. Komitet centralny odbywa swoje zebrania międzynarodowe co dwa lata.

Teraz jak pracuje Komitet centralny, jaką rozwijają działalność sekcye krajowe?

Otóż najważniejszą organizacyą Związku międzynarodowego to Biuro pracy, opierające się finansowo na stałych subwencyach państwowych, mające swą siedzibę w Bazylei. Biuro to jest w urzędowej łączności z wszystkimi prawie rządami przemysłowych państw, które dostarczają mu materyałów i dokumentów ustawodawczych. To też jednem z głównych zadań Biura jest zbierać i umiejętnie klasyfikować wszelkie materyały ustawodawcze. I te rozległe międzynarodowe stosunki, z sferami rządowemi, fachowemi i stowarzyszeniami robotników i przedsiębiorców po całym świecie rozgałęzione, sprawiły, że biuro bazylejskie stało się już dzisiaj jedyną w swoim rodzaju, wielką, światową w ścisłem znaczeniu instytucyą informacyjną i naukową dla kwestyi robotniczej. Obok dokumentów ustawodawczych bada też Biuro ustawy wchodzące i rozwijające się w życiu, następstwa wszel-

[1] *Soziale Praxis*, 4 października 1906 r.

kich zarządzeń w tym kierunku na podstawie publikacyi różnych komisyi, sprawozdań inspektorów przemysłowych i własnych prac fachowych. Organem biura jest osobny miesięcznik, wychodzący w trzech językach światowych *Bulletin*, który zasilany przez 50 korespondentów fachowych w różnych krajach, daje żywy obraz rozwoju ustawodawstwa robotniczego. Właściwym atoli celem Biura pracy jest przygotowanie i dostarczanie materyałów ustawodawczych dla pracy centralnego Komitetu i Związku międzynarodowego. W Komitecie bowiem i Związku dokonywa się ostatecznie praca najważniejsza. Komitet centralny proponuje pewne kwestye, które po porozumieniu się z rządowymi delegatami uważa za dojrzałe do ujęcia ustawodawczego, a sekcye krajowe rozpatrują je, roztrząsają i badają na tle stosunków poszczególnych krajów. Praca to przygotowawcza o jasno określonych celach, drobiazgowa i ściśle naukowa, rozwija się powoli ale konsekwentnie w dwuletnich peryodach walnych zebrań Związku. Stale urzędująca Komisya utrzymuje konieczną łączność z poszczególnemi sekcyami i ujednostajnia postulaty praktyczne i projektuje rezolucye pod obrady międzynarodowego kongresu.

Pierwszy kongres międzynarodowy, który się odbył w r. 1901 w Bazylei, polecił Biuru przygotować następujące prace:

1) Przeprowadzić studyum porównawcze co do pracy nocnej kobiet, rozpatrzyć skutki tej pracy w przemyśle w różnych krajach i skutki, jakie za sobą pociągnął zakaz pracy nocnej kobiet w niektórych krajach. Sprawozdanie ma przedewszystkiem zbadać dokładnie i szczegółowo ustawowe granice pracy nocnej i jej skutki na ukształtowanie się dnia roboczego w różnych krajach.

2) Ustanowić jednolity szemat statystyki od wypadków w różnych krajach.

3) Zbadać dzisiejsze ustawodawstwo, tyczące się przemysłów, szkodzących zdrowiu i stopień szkodliwości trucizm przemysłowych specyalnie przy fabrykacyi i używaniu farb ołowiowych i białego fosforu.

Prace te mają stanowić naukowy materyał dla rezolucyi przyszłego kongresu. Na skutek tego zlecenia zabrały się sekcye krajowe i Biuro związkowe do pracy. W Niemczech np. w łonie

Gesellschaft für soziale Reform wytworzyły się dla każdej z powyższych kwestyi osobne komisye, które rozwinęły naukowe dochodzenia i badania o pracy nocnej kobiet i pracy robotników, pracujących w szkodliwych zdrowiu przedsiębiorstwach, przedewszystkiem nad fosforem białym i blejwasem, o ujednostajnionym szemacie statystyki od wypadków i przepisach ustawowych co do asekuracyi robotników obcokrajowych. Podobne zarządzono badania naukowe i w innych krajach a rezultaty badań złożono w międzynarodowem Biurze pracy do dalszego ustawodawczego opracowania materyałów.

Na drugim z rzędu międzynarodowym kongresie, który odbył się 1902 r. w Kolonii kwestye powyższe uznano za niedostatecznie przygotowane i wyjaśnione, żeby można jakieś ostateczne w tym kierunku powziąć rezolucye. Co się tyczy zakazu pracy nocnej kobiet, Komitet polecił Komisyi zbadać, w jaki sposób możnaby usunąć liczne wyjątki, istniejące obok zakazu zasadniczego pracy nocnej kobiet. Komisya ta ma w ciągu dwu lat złożyć sprawozdanie w tej mierze. Każda sekcya ma prawo wyboru dwu delegatów do komisyi. Komisya ma do swoich obrad przybrać rzeczoznawców z kół robotników i pracodawców. O nastąpić mających obradach komisyi powiadomione być mają rządy, celem wysłania delegatów na obrady. O niebezpieczeństwach w szkodliwych zdrowiu przedsiębiorstwach zdawali sprawę dr. Kaup z Wiednia i Keuser z Francyi. Referenci zaznaczają, że $^2/_3$ wszystkich zapałek, które się wyrabiają w Niemczech, Anglii i Austryi, są zapałkami trującemi. Tymczasem fosfor biały jest zabójczy dla zdrowia i można go dobrze zastąpić fosforem nietrującym. W przedsiębiorstwach blejwasowych pracuje w Anglii 72.000, w Austryi 44.000 robotników. W Anglii liczba zameldowanych wypadków otrucia ołowiem z powodu ścisłej kontroli wprawdzie znacznie zmalała, bo z 1200 mniej więcej wypadków w ostatnich latach zmniejszyła się w r. 1901 do 863 wypadków. Na Austryę przypada według obliczeń na podstawie lokalnych statystyk corocznie 2.920 wypadków otrucia. Skutki otrucia ołowiem najwięcej dają się we znaki kobietom. W Wiedniu wśród kobiet, pracujących w giserniach czcionek 52% wszystkich urodzeń było poronionych,

11,6% kobiet zachorowało wskutek zatrucia. To też kongres międzynarodowy nałożył na stale urzędującą Komisyę obowiązek przeprowadzenia zakazu używania białego fosforu drogą międzynarodową i rugowania o ile możności blejwasu z przemysłu. Międzynarodowy Komitet rozwinie niezwłocznie za pomocą Biura akcyę w tym kierunku, by rządy przy robotach publicznych używania blejwasu zupełnie zabroniły.

W dwa lata później na kongresie w Bazylei (1904 r.) były minister francuski Millerand zdając sprawę z działalności Komisyi specyalnej proponuje, żeby kwestye białego fosforu i pracy nocnej kobiet w przemyśle, jako wyczerpująco wyświecone, skierować na drogę dyplomatyczną międzynarodowych traktatów ochronnych. Uprzednio zaś na skutek uchwał Komisyi międzynarodowe Biuro wespół z wydziałem (baron Berlepsch, dr. Kerdijk, Millerand i hr. Soderini) wystosowało memoryał w sprawie zakazu pracy nocnej kobiet i używania fosforu białego w fabrykacyi zapałek do rządów 41 państw. A rząd szwajcarski na prośbę tego samego Biura urządził tajne wywiady celem zwołania międzynarodowej konferencyi rządowej. Ten bowiem jest cel ostateczny wszelkich zabiegów i prac Związku i Biura międzynarodowego. Gdy kwestye będące na porządku dziennym Komisya uzna za dojrzałe, Biuro odnosi się do szwajcarskiej Rady związkowej z prośbą o zwołanie konferencyi dyplomatycznej państw, którąby rezolucye Związku ujęła w formę traktatów międzynarodowych. Obecnie mocarstwa przychylną dały odpowiedź. To też członek szwajcarskiej Rady związkowej Deucher oświadcza dnia 13 kwietnia 1904 r. w szwajcarskiej izbie poselskiej *(Nationalrat)*, że »po dziesięcioletniej przerwie dzięki usiłowaniom międzynarodowego Związku dyplomatyczna akcya w Szwajcaryi w sprawie międzynarodowej ochrony robotników ponownie podjętą została«, oraz, że międzynarodowa konferencya odbędzie się, jakby z wszelką pewnością przypuszczać należało w maju 1905 r.[1]

Program pracy Związku ułożony na kongresie w Bazylei

[1] *Soziale Praxis.* 1904, nr. 51.

na lata następne obejmuje zbadanie zarządzeń, zwalczających działanie trucizn w przemyśle a w szczególności trucizn ołowiowych i naukowe dochodzenia w sprawie zniesienia pracy nocnej młodocianych robotników. Do kwestyi tych dodano nadto przemysł domowy w stosunku do robotniczego ustawodawstwa ochronnego i ubezpieczenie obcokrajowców i maksymalny dzień roboczy.

(Dok. nast.).

Ks. Leonard Lipke.

OBECNY RUCH ROZWODOWY W AUSTRYI.

W r. 1902 ukazała się na półkach księgarskich w Wiedniu senzacyjna broszura wielkiego rabina wiedeńskiego d-ra Güdemanna p. t. *Das Judentum in seinen Grundzügen und nach seinen geschichtlichen Grundlagen* (Wien bei Löwit). Oryginalnym tematem tej broszury jest zestawienie kultury talmudyczno-żydowskiej z kulturą chrześcijańską, przyczem autor stara się wykazać wyższość pierwszej nad ostatnią. W tem oczywiście, z jego punktu widzenia, nie byłoby nic dziwnego, gdyby nie ciekawe odkrycie, które on rzekomo uczynił, mianowicie, że kultura żydowska poczyna w rzeczywistości brać w świecie górę nad chrześcijańską. Dowodem tego ma być, między innemi, ruch rozwodowy, który z państw protestanckich przeniósł się do krajów katolickich, i wprowadził do prawodawstwa zasady, na których Żydzi swą etykę małżeńską opierają.

»Ponieważ — pisze on tam — prawie wszystkie państwa cywilizowane *(Kulturstaaten)*, mimo wszystkich protestów ze strony panującego wyznania, rozwody ulegalizowały u siebie, więc jest to fakt, że prawodawstwo dzisiejsze przejęło się w tym kierunku poglądem żydowskim. Ten fakt wystarcza, aby nas (Żydów) uwolnić od obowiązku usprawiedliwiania rozwodów z punktu widzenia etycznego« (str. 12 n.).

Broszura d-ra G. ciekawa, jako *signum temporis*, była zarazem wywiadem do zbadania opinii publicznej w stolicy monarchii. Próba wypadła snać pomyślnie, skoro właśnie od tego czasu

jakieś dziwne objawy spostrzegać się dały na polu społecznem i politycznem w całej Austryi. Widocznie sfery kierujące »ludem wybranym«, w których imieniu przemawiał dr. Güdemann, i inne od nich zależne lub przez nie inspirowane, musiały przyjść do przekonania, że już nie tylko Belgia, Francya, Węgry i t. d., ale nawet »zacofana« Austrya posiada dosyć elementów takich, któreby były gotowe etykę chrześcijańską zmienić na »bezwyznaniową« albo, jak chce dr. Güdemann, »żydowską«, — bo właśnie od tego samego mniej więcej czasu zaczęło się systematyczne »obrabianie« opinii publicznej w kierunku wskazanym przez d-ra Güdemanna, robiące wrażenie prawdziwej kampanii, prowadzonej z planem dobrze z góry obmyślanym, kampanii zajadłej, nie przebierającej w środkach, nie dającej wypoczynku. Dobrze jest jej się przypatrzeć.

Plan cały wygląda mniej więcej tak. Najpierw przeforsuje się podstępem ulegalizowanie rozwodów, potem się zaprowadzi śluby cywilne i metryki, jako nieuniknione konsekwencye tego pierwszego kroku; w dalszym ciągu pozbawi się szkoły charakteru religijnego a wreszcie zaprowadzi zupełny rozdział Kościoła i państwa na sposob oczywiście tak idealnie sympatyczny wszelkim żydom, liberałom, masonom i socyalistom, jak to dziś widzimy we Francyi. Socyaliści wiedeńscy, stojący pod kierunkiem żyda Adlera, z tym planem wystąpili otwarcie, jak tego dowodzi odezwa ich do wyborców, mających w maju nowych posłów wysłać do parlamentu.

Inne partye liberalne, postępowe są ostrożniejsze. Przedstawiciele ich wiedzą dobrze, że tych elementów wrogich chrześcijaństwu oczywiście jest znacznie mniej, niż chcą zwolennikom swym wmówić. Przeważająca większość wyborców, mających zdecydować o składzie nowego parlamentu, jest jeszcze z przekonania katolicką, więc wszelkie zakusy »odchrześcijanienia« swej ojczyzny, zwalczać będzie stanowczo i w danym razie gotowaby wywołać reakcyę w kierunku przeciwnym. Na tę ostatnią ewentualność przechodzi ich mrowie, więc też są oni od swych czerwonych braci ostrożniejsi, — liczą się z »niekulturalnością« i »zacofaniem« tych mas ciemnych, »ogłupiałych atmosferą kle-

rykalizmu« i dlatego nie myślą żądać wszystkiego od razu, tylko powoli. Pazury lepiej na razie schować. Będzie czas, aby je pokazać. Tymczasem zadowolić się trzeba tylko tem, aby do maszyny państwowej, już tak z czasów Józefinizmu i ery liberalnej lat 60-tych obficie naszpikowanej różnymi »postępowymi« paragrafami, — wprowadzić choćby jedną zasadę całkowicie, otwarcie i świadomie bezwyznaniową, bez Boga i Chrystusa. Dość jednej, aby w przestarzałych pojęciach zrobić wyłom, a to na razie wystarczy. Z biegiem czasu, przy dalszem systematycznem obrabianiu opinii, ten wyłom rozszerzać się będzie coraz więcej, aż wreszcie nieznacznie przyjdzie dzień oczekiwany od dawna i zapowiadany przez takich wielkich rabinów wiedeńskich, jak dr. G., że całe prawodawstwo austryackie i cywilne i karne i prywatne i państwowe znajdzie się na podstawie całkiem »bezwyznaniowej«, więc na podstawie przeczącej zasadom, na których społeczeństwo chrześcijańskie opierało się dotychczas, a państwo samo z całą straszliwą potęgą, którą rozporządza, stanie się dla religii katolickiej wrogiem, tem samem zaś dla innych religii przyjaznem.

Na razie więc myśleć trzeba o wyłomie. A ten wyłom gdzie ma być zrobiony! Otóż nie gdzieindziej, jak w prawodawstwie o małżeństwie. Przecież to rzecz jasna, że na małżeństwie, jako instytucyi doniosłości pierwszorzędnej, opiera się społeczeństwo ludzkie. Nic tak daleko i tak głęboko, w życie jednostek, narodów i państw nie wchodzi jak rodzina. Jeżeli się uda oprzeć rodzinę na zasadach ignorujących Kościół, to, rzecz oczywista, że wyłom nie tylko się zrobi, ale będzie on potężny i decydujący. Takich rozwodów oczywiście Kościół katolicki nie zna i nie może znać. O tem ci menerzy wiedzą. Tu Kościół nie może ustąpić i raczej straci miliony swych wiernych, jak to było swego czasu w Anglii, aniżeli w tym kierunku od swej zasady odstąpi. To też ulegalizować rozwody pomiędzy katolikami znaczyłoby tyle, co postawić zasadę zasadom Kościoła katolickiego wprost przeciwną a ponieważ Kościół zasadę tę swą czerpie z woli Boga, który dwoje ludzi połączył małżeństwem w jedno — i z woli Chrystusa, który jako prawodawca Nowego Testamentu je potwierdził,

znosząc zarazem wyjątki Starego Zakonu: — więc zaprowadzenie rozwodów pomiędzy katolikami byłoby ze strony państwa buntem formalnym przeciwko prawu Bożemu i religii katolickiej.

* * *

Hasło tedy zostało rzuconem. »Rozwody! Potrzebujemy rozwodów! Giniemy bez rozwodów!« I począł się hałas, i począł ruch. Zanim przystąpimy do naszkicowania krótkiej ale bogatej jego historyi, pozwolimy sobie podnieść poprzednio cztery cechy charakterystyczne, któremi on, zdaniem naszem, się odznacza:

1) Pierwszą jest przodowanie w nim żydów. Mogłoby się to wydawać dziwnem, kiedy tu właściwie nie chodzi o żydów ale jedynie i wyłącznie o chrześcijan i to chrześcijan-katolików. A jednak tak jest. W stowarzyszeniach powstających jedno za drugiem dla zorganizowania całej akcyi, organizatorami są żydzi, przodują w nich żydzi, w ankiecie o rozwodach zdanie swoje wygłaszają żydzi, w kampanii dziennikarskiej prym trzymają żydzi ze swoją *Neue freie Presse* i innemi pismami tego samego rodzaju. Wreszcie wszędzie cały ten ruch znamionuje semicka czelność i wyzywająca pewność siebie — i dalej hałaśliwość tem większa i tem pewniejsza siebie, im mniej oparta na prawdzie.

2) Systematyczny rozwój akcyi, który robi wrażenie prawdziwej tragikomedyi, obliczonej na efekt. Aktorów, występujących w różnych rolach, w różnych stowarzyszeniach, pismach — w parlamencie nawet — się widzi; ale reżyserów nie. Ci starannie się ukrywają, choć kierują wszystkiem.

3) Wysuwanie w tej akcyi z hałasem na pierwszy plan manekinów afiszujących się głośno, że są »gorliwymi katolikami« *(streng katholisch)*, choć im z katolicyzmu mało co więcej od metryki chrztu pozostało.

4) Wreszcie nieukrywana sympatya, którą ruchowi temu okazują wysokie sfery rządowe i blizkie im sfery prawnicze.

Historya zaś tego ruchu w chronologicznym porządku zawiera następujące fakta[1]:

[1] Ktoby pragnął ruchowi temu dokładniej się przypatrzeć, niech przeczyta broszurę A. J. Peters: *Heirat auf Probe.* (Wien 1906, Milchgasse).

Kwestya rozwodów, przynajmniej częściowych, poruszaną była w parlamencie austryackim jeszcze w r. 1877, kiedy ster rządów spoczywał w rękach liberalnej większości. Wniosek odpowiedni przyjęty został przez Izbę niższą, ale odrzucony przez Izbę panów, przyczem dla osłody tej niemiłej pigułki, wyrażono nadzieję, że »w najbliższej przyszłości rząd wniesie projekt nowego, całkowitego prawa o małżeństwach«.

Ale rząd miał na razie co innego do roboty; potem przyszła kryzys parlamentarna, i dopiero gdy umysły poczęły się uspokajać i powoli wracała nadzieja, że parlament stanie się znowu zdolnym do pracy, pokazało się, że liberali starej daty znaleźli spadkobierców, którzy rozpoczętą przez nich robotę gotowi byli prowadzić dalej.

Rok 1902. Pierwszym krokiem w tym kierunku było założenie stowarzyszenia: *Kulturpolitische Gesellschaft.* Główną jego jeżeli nie wyłączną zasługą było — jak się wyraził jego założyciel i przewodniczący dr. Scheu — »że okiem Argusowem śledziło wszystko, co się w dziedzinie życia publicznego dzieje«. Celem zaś miało być stworzenie nowej »organizacyi ludowej«, opartej na »grupach interesów», t. j. grupach mających »te same cele« bez względu na pojedyncze kraje i narodowości. Te grupy mają razem stworzyć jedno »wielkie stronnictwo kulturalne, z którego ma powstać parlament kulturalny«. Czem jest kultura w ustach niemca tego rodzaju co dr. Scheu, jest aż nadto znane z czasów *Kulturkampfu* w Prusach. Więc ostatecznym celem tego stowarzyszenia, stojącego w najściślejszych stosunkach z masoneryą, jest walka z Kościołem na każdem polu, jest zgniecenie Kościoła. K. P. G. ma zbierać »materyał dla nowego prawodawstwa« *(für künftig zu schaffende Gesetze und Neuschöpfungen).* Ostrożnie, ale jasno.

Rok 1904. Od początku roku w *Illustriertes Wiener Extrablatt* (organie żydowsko-masońskim) raz po raz pojawiają się artykuły pod ogólnym tytułem: »Życzenia i skargi z pośród publiczności«. Otóż wszystkie te życzenia i skargi kończą się zawsze stereotypowem stwierdzeniem potrzeby zaprowadzenia rozwodów. — Jakby innych życzeń i skarg publika austryacka

nie miała. *NB.* Wyżej wspomniane stowarzyszenie, jak to później przedstawiciele jego wyznali, z największym interesem śledziło te wynurzenia — ale »tylko tyle«.

Rok 1904. 8 marca w temże piśmie pojawia się komunikat stowarzyszenia K. P. G., w którym się zapowiada a n k i e t a w kwestyi rozwodów. Ponieważ mógłby ktoś je posądzić o ułożoną akcyę z góry, więc ono każdego uprzedza, kto o tem chce wiedzieć, że działa »bez niczyjej zachęty«, »bez żadnej aktualnej podniety z czyjejkolwiek strony«, tak »całkowicie i świadomie z popędu własnego«.

Rok 1904. 4 kwietnia. Oczywiście także niezależnie od wszelkich wpływów postronnych założonem zostaje stowarzyszenie pań żyjących w separacyi z mężami. (5 kwietnia. *Fremdenblatt.* 1904).

Rok 1904. 9 kwietnia. Frietz Riederer zwołuje walne zebranie mężów katolickich separowanych ze swemi żonami... oczywiście znowu całkiem z własnego popędu niezależnie od owych artykułów i owej ankiety. (9 kwiecień 1904 *Neue freie Presse*).

Dzieje się przy tem rzecz dziwna i niebywała. Oto K. P. G. o zebraniu mężów rozwiedzionych dowiaduje się dopiero z artykułu późniejszego ich prezydenta d-ra Riederera; a że ma w sercu zainteresowanie wielkie dla tego rodzaju niezaspokojonych potrzeb, więc w osobie swego prezydenta spieszy na to zebranie... i tu przekonuje się w ostatniej chwili, że nikt mowy inauguracyjnej nie przygotował. Biedni mężowie separowani byliby »się ośmieszyli«; ale do tego K. P. G. nie może dopuścić, więc dr. Scheu improwizuje (?!) mowę. Tu mu się wyrywa słowo znamienne. »Przyjaciele moi z K. P. G. wraz ze mną śledzili ruch rozwodowy od samego początku bardzo pilnie, bo to, do czego on dąży na polu małżeństwa, zamierzamy p r z e p r o w a d z i ć w r o z m a i t y c h g a ł ę z i a c h życia publicznego«. Zresztą tenże dr. S. przy otwarciu ankiety oświadczył w swej mowie, że założenie stowarzyszenia rozwiedzionych mężów p o c z ą t e k s w ó j wzięło właściwie od K. P. G., bo »nie bez słusznej podstawy można przypuścić, że zapowiedź owej ankiety 8 marca 1904 w zainteresowanych kołach ludowych (!) echem się odbiła, którego rezultatem było założenie tego stowarzyszenia«.

1904. W parę miesięcy potem organizuje się »Stowarzyszenie małżonków katolickich żyjących w separacyi«. *(Verein katholischer geschiedener Eheleute).*

1904. 22 października otrzymuje deputacya tego stowarzyszenia audyencyę u d-ra Körbera, ówczesnego prezydenta ministrów — podczas której przewodniczący deputacyi ośmielił się przemawiać w imieniu 200.000 (z tego na Wiedeń rzekomo 37.000) separowanych katolików. Faktem jest, że w pięć miesięcy później stowarzyszenie K. P. G. liczyło tylko 1.400 członków[1]. Deputacyę przyjęto łaskawie. »Wszystko się zrobi co będzie można, ale pójdzie trudno«.

1904. Wkrótce potem audyencya u ministra sprawiedliwości d-ra Kleina. Ten ostatni oświadczył się nawet za ruchem i radził agitować gorąco *(nur eifrig agitieren)*, to wtedy może się akcya udać.

1905. 27 stycznia rozpoczyna się *ankieta* zapowiadana tak długo przez K. P. G. — a kończy 25 lutego. Przy uroczystem jej zamknięciu poseł dr. Ofner przemowę swą temi słowami zakończył: »Ci, którzy przez obecne prawodawstwo małżeńskie czują się uciśnieni, niech sobie podadzą ręce, niech rozpoczną agitować, bo to jest droga jedyna, aby w dotychczasowem prawodawstwie zrobić *wyłom* i na jego miejsce zaprowadzić inne, bardziej odpowiedne poglądom dzisiejszego świata«. W ankiecie biorą udział: dr. Wiktor Rosenfeld, dr. Siegmund Schilder, dr. Wilhelm Steskel, dr. Moritz Benedikt, dr. Robert Granitsch, poseł dr. Ludwik Vogler, dr. Siegmund Zins, baron dr. Mayr i inni.

Zaczęła się tedy agitacya. Oczywiście na pierwszem miejscu objawiała się ona powodzią artykułów, artykulików, broszur i pism, przyczem wśród innych żydowsko-liberalnych organów prasy wiedeńskiej i prowincyonalnej, prym trzymała *Neue Freie Presse.*

---

[1] W swem dziele *Die Staaten Europas* (str. 354) dr. Juraschek wykazuje, że od r. 1896 do 1901 było w Austryi separacyi: 780, 803, 1047, 1194, 1231, 1383. Ze względu na tendencyę ku zmniejszaniu się liczby separacyi małżeńskich im więcej się cofamy wstecz, możemy za przeciętną liczbę rocznych separacyi wziąć co najwyżej **1.000**. W takim razie 200 lat byłoby potrzeba do otrzymania owych 200.000 mężów!!!

Na szpaltach organu z *Fichte-Gasse*, pojawiały się i pojawiają dotychczas artykuły, w których niewiadomo co więcej podnosić, czy ich przewrotność w przekręcaniu stanu rzeczy, czy bluźnierczą bezbożność, czy też arogancyę, na nic i na nikogo nie mającą względów.

Niedarmo sławny założyciel *Alliance Israélite* Cremieux, rzucił współwyznawcom swoim hasło: »Nie szukajcie pieniędzy, nie szukajcie honorów, ale starajcie się opanować prasę, a wszystko będzie waszem«. Prasa powoli ale skutecznie wytwarza opinię publiczną. Byleby tylko śmiało i wytrwale wytężyła wszystkie swe siły w jednym kierunku, dążąc do niego wprost lub pośrednio, to może dokazać dużo. W naszym wypadku prasa żydowsko-liberalna dała tego dowody wystarczające, że rada p. Cremieux nie poszła w las. To też skutki tej agitacyi nie dały czekać na siebie długo.

Rok 1905. 30 marca. »Dolno-austryackie stowarzyszenie adwokatów« większością wszystkich przeciw dwom głosom oświadczyło się na walnem zebraniu za ... zaprowadzeniem rozwodów, przynajmniej takich, na jakie w Austryi niekatolicy mogą sobie pozwolić.

1905. 26 listopada. Podobnąż decyzyę powzięło stowarzyszenie adwokatów Królestwa czeskiego.

1905. Wrzesień. Na niemieckim wiecu miast austryackich w Bregencyi, w osobnej rezolucyi postanowiono wezwać rząd, aby postarał się zaprowadzić rozwody.

1905. 21 grudnia. Tworzy się komitet do urządzania »masowych demonstracyi« za prawem rozwodowem. W swej odezwie podnosi on z widocznym naciskiem, że ruch cały rozwodowy powstał »z naiwną siłą, jedynie przez to, że sprawa sama przez się wewnątrz dojrzała... i to pomiędzy ściśle *(streng)* katolicką ludnością Austryi« (!!) W swej konkluzyi członkowie tego komitetu poszli trochę dalej niż panowie adwokaci, bo żądali zaprowadzenia ślubów cywilnych i konsekwentnie także rozwodów.

Równocześnie, niby od niechcenia, zajęło się pismo prawnicze fachowe *Allgemeine Österreichische Gerichtszeitung* rewizyą kodeksu cywilnego. Autor odnośnego artykułu stwierdził, że dopóki ruch

(*Strömung*) za zmianą dotychczasowego prawodawstwa i przeciwko niemu nie stanie się silniejszym w jednym kierunku (oczywiście rozwodowym, bo w nim tylko zmiana przez pewną część obywateli austryackich jest pożądana) to o zmianie mowy być nie może«. Przez to dał on do zrozumienia, że byleby więcej hałasu robiono za taką reformą — to ona do skutku przyjść musi.

1906. 6 stycznia. Założono stowarzyszenie do przeprowadzenia tej reformy *(Ehereform)*, które rozpoczęło swą działalność w zbieraniu na wielką skalę za nią podpisów.

Jak nikłym był rezultat tych zachodów, a przeciwnie, jak wielką wywołały one reakcyę przez miliony podpisów przeciwko tej reformie, to wiemy wszyscy.

Równocześnie z tą całą akcyą na zewnątrz dla wytworzenia opinii poruszono sprawę reformy prawa małżeńskiego w parlamencie. Wpłynęły aż trzy wnioski: d-ra Tschan'a, d-ra Ludwika Voglera i ostatni w lutym 1906 r. d-ra Ofnera. We wszystkich trzech cel ostateczny jest ten sam, różnica zachodzi tylko w taktyce. Wszyscy trzej pragną całkowitego ześwieczczenia wszystkiego, co się małżeństwa tyczy, a więc zaprowadzenia ślubów cywilnych, nieoglądania się na prawodawstwo kościelne przy stanowieniu przeszkód małżeńskich i oczywiście ulegalizowania rozwodów. Jeden dr. Ofner do planu tego przyznaje się wyraźnie, bo żąda zaprowadzenia ślubów cywilnych, obowiązujących i to przed aktem w kościele.

Dr. Vogler i Tschan tak daleko na razie nie idą. Oni zadowoliliby się zniesieniem niektórych przeszkód, jak np. przeszkody święceń kapłańskich i zaprowadzenia rozwodów na tej samej podstawie, co są one uznane u protestantów żyjących w Austryi; resztę pozostawiają przyszłości. »Jeżeli nie żądamy zmian jeszcze dalej idących — powiada pierwszy — to tylko dlatego, że wniosek w tej formie, jak go podajemy, ma więcej szans powodzenia u czynników prawodawczych«. A dr. Tschan wyznaje naiwnie: »Reforma zupełna prawa małżeńskiego, opierającego się na uznaniu w małżeństwie czysto świeckiej czynności obywatelskiej *(bürgerlicher Act)*, nie da na siebie czekać długo... Tymczasem warunków po temu niema. Jest tedy bez wątpienia rzeczą lepszą i pra-

ktyczniejszą, uwzględnić stronę wyznaniową tej kwestyi i w pokojowem (!) porozumieniu z kościelnemi partyami w prawodawstwie małżeńskiem cywilnem, przeprowadzić przynajmniej kilka drobnych poprawek, (!) aniżeli w bezowocnej walce przez długie lata mocować się nadaremnie o całość idealną«.

W rezultacie tenże dr. Tschan, jako referent komisyi do spraw prawnych *(Justizausschus)*, wszystkie trzy wymienione wnioski złączył w jeden i w nim, ową drobnostką do której osiągnięcia katoliccy posłowie mieli mu dopomódz i drogę utorować dla innych idealniejszych stosunków, było nie co innego, tylko zaprowadzenie rozwodów. Szczęściem przerachowali się, bo przeciwko wnioskowi większości komisyi prawnej, postawił dr. Schöpfer wniosek mniejszości o przejście do porządku dziennego i ten ostatni został przyjęty.

Tak na razie skończyła się akcya rozwodowa w parlamencie, ale nie skończyła w społeczeństwie. O tem trudno wątpić, kiedy się czyta odezwy takich socyalistów wiedeńskich, takie nawoływania do złączenia się »w imię wspólnych interesów kulturalnych« w różnych obozach politycznych, takie zgromadzenia separatek w Pradze. Agitacya i to wzmocniona prowadzi się dalej. Mobilizuje się masonerya, mobilizuje żydowstwo, mobilizują liberali różnych odcieni. Będzie walka, będzie tem pewniej, że jak to podnieśliśmy wyżej, sfery rządowe centralne, a więc potężne i w danym razie decydujące, skłaniają się na stronę tych, którzy postanowili Austryę odchrześcijanić, a chcą zacząć od odchrześcijanienia jej podstawy, t. j. rodziny.

Ks. Aleksander Mohl.

BITWA NA WAŁACH.

(Dokończenie).

Swietny Hektor z Trojany może do tej pory
Bram nie zdołałby rozbić ni grubej zawory
By nie był Sarpedona słał Zeus płodny w radę,
Syna swego, na ludów Achajskich gromadę
Jak lwa na gładkie wody, ów niósł dla ochrony
Przed sobą krągły puklerz pięknie wyrobiony,
Płytą w spiżu kowaną powleczony z góry
Płatnerz go kuł, a spodem poddał wole skóry,
Złotych, sterczących klińców nabiwszy okołem.
Taką niósł tarcz przed sobą, a wywijał społem
Dwojgiem włóczni. Szedł pędem jak z górskich rubieży
Lew z dawna głodzien żeru, chucią gnany bieży:
Byle zarwał baranów, nawet się poważy
Wpaść do szczelnej koszary, ażci tam skotarży
Najdzie z psy a z oszczepy, iże strzegą trzody;
Wzdy, nim skusi, odegnać nie da się z zagrody
I gdy dopadł to porwie, albo sam już potem
Z ręki pasterza zwinnej ranion będzie grotem.
Tak tam Sarpedon boski rwał się pełen chuci,
Że wał zdobędzie, w niwecz zachrony obróci;
Do Glauka zasię, syna Hippolocha rzecze:
— »Przecz nam, Glauku, prym dawa mniemanie człowiecze
U stołu przy mięsiwie i przy pełnej czarze?

K'nam cała Likia patrzy, by ku bogów parze
A teć nasze nad brzegiem Xantowym dzielnice
Pięknych sadów i łanów rodzajnych w pszenicę?!
Na Likijczyków czele teraz nam przystało
Stawać i przodem pędzić w bitwę zagorzałą.
Z pancernych Likijczyków niejeden niech powie:
— Iście z niemałą sławą ci nasi królowie
Sprawują rząd Likijskiej ziemie i narodu
Wzdy jedzą tuczne owce, wina słodsze miodu
Spijają co wybrańsze — toć mocy w nich wiele
Z Likijczykami bowiem lecą w bój na czele.
Drogi mój, by uciekłszy z wojny w świat daleki,
Krom starości a śmierci żyć można na wieki
Anibym sam wojować nie leciał na przedzie
Ni ciebie słał ku bitwie, co do sławy wiedzie
Lecz skoro niezliczone zatraty boginie
Czyhają zewsząd, których śmiertelnik nie minie
Ani przed niemi ujdzie, przeto idźwa śmiało
Z wrogów kogo, lub siebie dzisiaj okryć chwałą!«
Tak powiedział, a Glaukos posłuchał ochoczo —
Więc lud wiodąc Likijski prosto przed się skoczą.
Na ich widok dreszcz strachu Menestheja bierze
Petejowego syna, bo szli wprost na wieżę,
Ku niemu śmierć niosący. Więc po wojsku patrzy
Achajskiem, żali może kto z wodzów, dopadłszy
Obronić od pogromu zdoła towarzyszy;
Ujrzał: owo Ajasów dwóch do boju dyszy
Z nimi Tenkros — z namiotu wybieżawszy właśnie,
Stał tuż; lecz nie dosłyszą, chocia ku nim wrzaśnie,
Taki był zgiełk i okrzyk bił w niebo straszliwy
I tarcz łoskot i chełmów strojnych w końskie grzywy
I huk brony zawartej, do której szturm wali;
Bo tamci, co nazewnątrz poprzed bramą stali
Kusili się, wierzeje przełomiwszy gwałtem,
Wtargnąć, więc po Ajasa Menesthej tym kształtem
Woźnego Tootesa począł wyprawować:

— »Bież Tooto, boskiego Ajasa przyprowadź,
Obu raczej, ze wszech miar najlepszać to rada
Albowiem w rychle tutaj będzie rzeź nielada
Toli groźnie Likijskie naciskają wodze
Co z dawna w krwawych starciach nastawają srodze;
Lecz gdyby tam ich także wzywał trud orężny,
To niech sam Telamoński przyjdzie Ajas mężny,
A z nim Teukros nauczny szyć łukiem z cięciwy«.
Tak rzekł, posłuchał zasię woźny nieleniwy,
Biegł pędem, gdzie Achaje w pancerzach ze spiżu
Warownię swoją mieli, a stając w pobliżu
Ajasów, tak się do nich natenczas ozowie:
— »Ajasy, w spiż pancernych Achajów wodzowie,
Syn Peteja, wybrańca Zeusowego każe,
Byście go szli na chwilę wzmódz w trudów nadmiarze
I to raczej obydwaj — toć najlepsza rada,
Albowiem tam niebawnie będzie rzeź nielada
Toli groźnie Likijskie naciskają wodze
Co z dawna w srogich starciach nastawają srodze
Lecz gdyby tu was także wzywał trud orężny,
To niech sam Telamoński przyjdzie Ajas mężny,
A z nim Teukros, nauczny szyć łukiem z cięciwy«.
Rzekł; Ajas Telamoński słuchał nieleniwy
I synowi Ojleja lotnem słowem gada:
— »Ajasie, Lykomedzie, rycerzu nielada
Stańcie tu oba w boju zagrzewać Achiwy,
A ja tam pójdę walczyć w bitwie zapalczywej,
Wrócę wnet, onym pomoc dawszy jak należy«
Rzekł Ajas Telamonic i co rychlej bieży.
Z nim Teukros, brat z rodzica wspólnego poczęty
A za Teukrosem Paudion łuk jego niósł zgięty.
Do wieży Menesthiosa gdy doszli bojarze
Wzdłuż wałów do wojsk biegnąc, którym wróg zagraża.
Już ano po zachronach darli się do góry
Jakoby nawałnicy podobni ponurej,
Wodzowie i książęta dzielni Lykejczyków

I na oślep toczyli bój, wśród gromkich krzyków
Więc Ajas Telamonic poparcia dokona
Mężnego Spiklesa druha Sarpedona
Cisnąwszy nań turnicę z wału wyważoną,
Ogromną, co leżała z wierzchu nad zachroną,
Ledwoby ją był z trudem zdolił dźwignąć przecie
Oburącz mocy człowiek, acz w kwitnącem lecie
Jak na dzisiejszych ludzi: on oto kamień gruby
Podniósł w górę i prasnął i chełm czworoczuby
Zdruzgotał, i w czerepie wszystkie naraz kości
Zmiażdżył mu: ten jak mucha runął z wysokości
Wieżycy. Duch mu z kości wyszedł zaraz potem
Zasię Teukros postrzelił wonczas ostrym grotem
Glaukosa, walecznego Hippolocha syna
Kiedy ów już na wały wysokie się wspina;
Ten ujrzał, iż onemu ramię się obnaża,
Trafił w nie i tem z walki wycofał bojarza
Z wału Glaukos czemprędzej zeskoczył cichaczem
By tej rany nie ustrzegł kto z Achajów, zaczem
Słowami chełpliwemi drwiłby zeń w szydzie.
Żal Sarpedona ścisnął, że Glaukos precz idzie,
Gdy to ujrzał, o boju wzdy niezapomina:
Więc Alkmaona włócznią pchnął, Sestora syna
Zgnął w górę, wydarł drzewce, ów na dół przez włócznię
Ściągnion, łbem runął z wału, a kowana sztucznie
Spiżowa zbroja na nim chrząsnęła od ziemi. —
Wtem Sarpedon zachronę rękoma silnemi
Jąwszy, targnął potężnie. Zachrony pokotem
Obaliły się naraz, i wał był już potem
Ogołocony górą. Tak się jego dłoni
Powiodło dla wojsk mnogich zdziałać w twierdzy wyłom.
Ajas i Teukros w tejże natarli nań porze:
Ten mu na piersiach bełtem lśniący pas rozporze,
Na którym wisi pawęż chroniąca człowieka
Lecz Zeus boginie śmierci powstrzymał z daleka
Od syna, by nie poległ, gdzie korabie chyże

Zasię Ajas w natarciu raził go paiżę
Wzdy ostrze skroś nie przeszło, jeno nim zachwiało
W rozmachu — od zachrony wstecz zachwiał się mało
Nie cofnął wszakże kroku bo w sercu nadzieję
Żywił, jako że wielką sławą zajaśnieje.
Zwrócił się i na zacne Likijczyki woła:
— »O Likijczycy, przecz tak zesłabliście zgoła
W natarczywym rozpędzie; toć ja nie dam rady,
Choćbym był najchrobrzejszym, sam takie gromady
Rozbić i drzwi dostatków otworzyć na oścież.
Hejże, kupą w me ślady naprzód kroki nościesz!
Bo gromadą najsnadniej dopiąć przedsięwzięcia«.
Tak rzekł, a ci się zlękli przygany książęcia.
Silniej szturm przypuścili, pospołu zebrani
U boku swego władcy, co mądrze hetmani.
I Argiwi wzmocnili szeregi z swej strony
Wewnątrz twierdzy, do strasznej gotowi obrony;
Ani bowiem Likijcy tak pełni zapału
Nie zdołali rozerwać Achajskiego wału
I wolnej do korabiów otworzyć przestrzeni
Ni Danaje w toczeniu oszczepem ćwiczeni
Likijców nie zdołali odeprzeć z poblizka
Twierdzy, ze zdobytego wprzódy stanowiska.
Jak z obu stron granicy toczą z sobą swary
Dwaj sąsiedzi, a w ręku obaj dzierżą miary
U wspólnej miedzy stoją na małej przestrzeni
O pola sprawiedliwy rozdział pokłóceni —
Tak ich dzielą zachrony. Ponad niemi męże
Jedni drugich u łona razili w pawęże
Krągłe z wołowej skóry i w lekkie paiże
Wielu zaś w żywe ciało siekły srogie spiże;
Tych gdy zwróceni w bitwie odsłonili tyły
Innych i poprzez puklerz brzeszczoty raniły.
I wszędy tako wieże jako i zachrony
Krwią ludzką opłynęły od obojej strony
Od Trojan i Achajów. Nie mogli wszelako

Wprawić w popłoch Danajów, stali więc jednako
Jako gdy wyrobnica rzetelności pełna
Wagę trzyma: na jednej leży szali wełna
A na drugiej ciężarki, ona wagę bierze
Do góry, aż ustawi szale w równej mierze
By dziatki swoją płacą żywić ladajaką —
Tak bój pomiędzy nimi ważył się jednako.
Nim Hektor Priamów tej przeważnej chwały
Nie dostąpił od Zeusa, iż pierwszy na wały
Achajskie wdarł się pędem. Zaczem na Trojany
Podniósł okrzyk ogromny, daleko słyszany:
— »Nuże, jezdni Trojanie w Argiejską warownię
A na statki miotajcie ognia święte głownie!«
Tak ich podżegł i wszyscy krzyk ten wzięli w uszy
Wzdy pędem wprost na wały tłum ogromny ruszy
I po zębatych wrębach ławą w górę idą
Wspinając się — a każdy z wyostrzoną dzidą.
Porwał Hektor głaz polny, co stał wedle brony
Od dołu bardzo gruby, górą zaostrzony
I dwom mocarnym chłopom byłoby niesporo
Z ziemi na wóz go dźwignąć, choć z drągów podporą
Jak na dzisiejszych ludzi. Hektor sam go bierze,
Syn chytrego Kronosa ulżył mu w tej mierze!
Jak pasterz w dłoń bądź którą jąwszy rano tryka
Niesie lekko, bo ciężar nic go nie dotyka
Tak Hektor ku wierzejom niósł ów odłam skały
Co mocne, tęgo zbite bramę zapierały
Dwuskrzydłe a wysokie; dwie na krzyż zawory
Zamykały je wewnątrz w skóbel jeden spory
Wpuszczone. Hektor z blizka podszedłszy pod wrota
Stanął, rozparł się w sobie, głaz w sam środek miota
Rozkraczywszy się tęgo, by rzut nie padł płony,
Rozbił oba zawiasy, a głaz gruchnął w brony
I z hukiem zadudniały wrota uderzone.
Zawory nie wstrzymały, każda w inną stronę
Odleciała wierzeja od rozpędu skały

A pomiędzy nie skoczył Hektor okazały,
Równien obliczem nocy, gdy zapada chyżo
A pobłyskiwał świetnie migocącą spiżą
Z której na całem ciele miał krwawą zbroję,
W obojgu zasię ręku niósł oszczepów dwoje.
Niktby nie mógł przemocą zastąpić mu drogi
Kiedy się w bramę rzucał — chyba jedno bogi.
Zeus ział ogniem żywym; śród ludzkiej nawały
Odwrócon, naglił Trojan, by przeszli przez wały.
Posłuchali zachęty: ci na wał poskoczą
Ci przez budowną bramę do wnętrzu się tłoczą,
Na wydrążone statki pierzchają Danaje
A niemilknąca wrzawa w niebogłosy wstaje.

Lucyan Rydel.

Tonie, 22. VI. 1906.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny psychologii.

W. Heinrich: »Teorye i wyniki badań psychologicznych«. Część pierwsza: »Badania wrażeń zmysłowych«. — Tenże: »O wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych«. — Tenże: »Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnemi«. — Tenże: »O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych«. — Tenże: »O funkcyi błony bębenkowej«. — Stanisław Loria: »Untersuchungen über das periphere Sehen«. — W. Heinrich und L. Chwistek: »Über das periodische Verschwinden kleiner Punkte«.

Po wydaniu prac polemiczno-krytycznych i programowych w języku niemieckim, ogłosił p. Heinrich w 1902 r. dzieło w języku polskim p. t.: »Teorye i wyniki badań psychologicznych« [1].

W przedmowie do tego dzieła czuje autor potrzebę objaśnienia celów i zadań swoich dwu dzieł niemieckich, poprzednio już omówionych, we wstępie zaś powtarza te same myśli po polsku, które w tamtych już był rozwinął. W przedmowie znać, iż przejmuje go obawa wobec wyników, które wyprowadził głośny uczony Mach, wychodząc z tych samych założeń i z tego samego stanowiska. Widzi on, że w takich warunkach badania ścisłe, nie różniłyby się całkiem od nienaukowych fantazyi. Próbuje więc ratować się, wyróżniając sposób pojmo-

[1] »Teorye i wyniki badań psychologicznych«. Część pierwsza. Badania wrażeń zmysłowych. Warszawa. Wydawnictwo *Przeglądu filozoficznego*. 1902. Str. 307. 8-ka.

wania zjawisk od zjawisk samych. Metoda myślenia jest to »ukształtowanie się umysłu badacza, które każe mu z konieczności pojmować zjawiska w określony sposób«. Cóż jednak powiedziałby autor na to, gdybyśmy go zapytali: A jakież to posiadamy gwarancye, że takie pojmowanie zjawisk przez »całe pokolenia badaczy« nie jest także fantazyowaniem? Różnica więc między fantazyowaniem naukowem a nienaukowem polegałaby tylko na tem, że w ostatnim wypadku fantazyuje jeden umysł, a w pierwszym »całe pokolenia«. Ale czyż na takiej opierając się różnicy można cokolwiek zbudować? Tak samo muszę tylko za rozpaczliwy środek ratowania się z błędnego koła sprzeczności uznać uczynione przez autora wyróżnienie (Przedmowa str. V) między »pojmowaniem zjawisk«, a zjawiskami samemi. Jest to przedewszystkiem sprzeczne z zasadą tak zwanego empiryo-krytycyzmu, którą autor wyznaje, przecież zasada ta niedopuszcza wyróżniania formy pojmowanie zjawiska od zjawiska samego, badanie ma być tylko najwierniejszym opisaniem zjawiska i niczem więcej, a zresztą czy jest zjawisko czemś od naszego sposobu pojmowania go niezależnem? Wszak jest ono takiem, jakiem dla nas jest, co poza tem, tego według zasad p. Heinricha dochodzić nie wolno, bo to nienaukowe. Przecież na str. 304 swojego dzieła pisze wyraźnie, że »niema złudzeń przestrzennych, ani barwnych, ani termicznych i t. d., wszystko co jest, danem jest jednakowo rzeczywistem i jednakowo realnem«.

Do czego prowadzi tego rodzaju metodologia, to odpowiedź na to najlepszą mamy w takim oto ustępie z przedmowy: »Jeżeli uznamy, iż tłumaczenie objawów bezpośrednio danych, nie jest niczem innem, jak tylko pewnem ugrupowaniem niektórych z pomiędzy objawów i rozszerzeniem ich przez analogię na inne, jeżeli przyznamy, że stosunek nasz do innych ludzi i odwrotnie, polega tylko na tem, iż nasze wzajemne wypowiedzenia wskazują na pewne bezpośrednio dane zjawiska, to tem samem restytuujemy bezpośredniość danej całości świata, a przez to możemy z łatwością znaleźć rozwiązania współczesnych zagadnień filozoficznych«. Jakto więc ugrupowanie »niektórych« z pomiędzy objawów i ich rozszerzenie przez analogię na inne, to ma być opisaniem wiernem, możliwie najdokładniejszem zjawisk? Zaiste kto się tak do poznania »całości świata« zabiera, temu nie można się dziwić, iż różnym, skutkiem tego ulegnie złudzeniom, iż mu się rozwiązanie zagadnień filozoficznych współczesnych wyda zabawką. Naturalnie, cóż łatwiejszego, jak »niektóre z objawów« w pewien jakiś sposób ugru-

pować, to przez analogię rozszerzyć na resztę, no i sprawa załatwiona, całość świata poznana! Cóż to za niedołęgi byli ci wszyscy filozofowie i uczeni, którzy przez tyle wieków wysuszali sobie głowy, aby świat poznać, kiedy przecież na to taka prosta istnieje recepta. Tak, byłaby ona istotnie jajem Kolumba dla metodologii i teoryi poznania gdyby nie ta okoliczność, iż szanowny nasz autor podlega wraz z całym kierunkiem, do którego należy, tym samym złudzeniom, którym już tylu innych ulegało metafizyków i dogmatycznie nastrojonych uczonych. Średniowieczny filozof Rajmund Lull, wyobrażał sobie także, jako rzecz bardzo łatwą, rozwiązanie wszystkich zagadek światowych — wystarczy wypisać wszystkie pojęcia oderwane i ułożyć je w odpowiednio zbudowanej maszynie, a wychodzące z niej kombinacye pojęć dadzą rozwiązanie wszelkiego rodzaju zagadnień. Pan Heinrich powiada, wystarczy w głowie ludzkiej, jakby w maszynie ugrupować niektóre z objawów, te kombinacye rozszerzyć przez analogię na resztę i świat poznany.

Ale od metodologii wróćmy znowu do psychologii.

Wstępem do dzieła polskiego p. Heinricha nie będziemy się zajmowali, — są tam bowiem powtórzone te same myśli, które już rozwinął w poprzednio omówionej pracy niemieckiej i przejdziemy od razu do rozdziału poświęconego teoryom przestrzeni widzianej. Tu rozpoczyna autor od rozpatrzenia się w dotychczasowych teoryach o przestrzeni. Wspomniawszy o Berkeleyu i Humie, przechodzi następnie do przedstawienia teoryi asocyatywnych, potem teoryi Lotzego, obu teoryi Wundta, wreszcie poglądów Helmholtza i Heringa. Wszystkie te teorye uznaje autor za niewystarczające, w czem z nim najzupełniej się godzimy. Teoryom asocyatywnym słusznie zarzuca, iż »nie dają odpowiedzi na pytanie główne, jak z elementów nieprzestrzennych tworzy się poczucie przestrzeni, w szczegółach zaś są sprzeczne z rzeczywistością« (str. 36). Lotzemu i Wundtowi zarzuca, iż ich »znaki miejsca« nie wyjaśniają, jak powstaje poczucie przestrzeni, gdy poczucia tego niema« (str. 59). »Helmholtz ucieka się — zdaniem jego — do psychologicznych ogólników wszędzie, gdzie natknął się na te same trudności, z któremi nie mogła uporać się psychologia asocyatywna (str. 67), wreszcie Hering staje w sprzeczności nie z faktami, lecz z poglądem mechanicznym na zjawiska wszechświata« (str. 78), wszystkie więc teorye należy uznać za niewystarczające! Zgoda! Ale teraz zobaczmy czem nas autor w ich miejsce darzy. Oto poddaje przedewszystkiem w wątpliwość, czy wogóle poczucie przestrzeni istnieje? Czy jest ono

czemś więcej, jak pewną pojęciową abstrakcyą, powstałą przy rozpatrywaniu pewnej zmienności czuć? (str. 79). Tu uczynimy autorowi zaraz ten sam zarzut, który on uczynił Lotzemu i Wundtowi, a mianowicie zapytujemy: w jaki sposób może powstać pojęciowa abstrakcya przestrzeni, jeżeli pierwej nie było poczucia przestrzeni? Już poprzednio wytknęliśmy autorowi ten sam błąd, t. j. iż przez wyobrażenia i pojęcia pragnie wytłumaczyć coś, co *musi być* pierwotniejszem od wszelkich pojęć i wyobrażeń, tam poczucie się czynnym objaśniał przez wyobrażenie czynności, tu poczucie przestrzeni objaśnia przez pojęciową abstrakcyę, w obu więc wypadkach próbuje objaw pierwotny uczynić zrozumiałym przez wyprowadzenie go z czegoś o wiele późniejszego, z czegoś, coby wcale pojawić się nie mogło, gdyby tamtego nie było. Już taki sposób postawienia zagadnienia musi wydać się jako posiadający wartość wątpliwą.

Autor bardzo słusznie pisze na str. 80, że »każdy przedmiot widzimy przestrzennym, zarówno jak każdy widzimy barwnym. Barwność i przestrzenność są cechami współistniejącemi. Jeżeli więc możemy mówić: że czujemy barwy, to musimy także powiedzieć, że czujemy przestrzeń. Oddzielanie barwy od przestrzeni możliwem jest tylko pojęciowo, nigdy zaś rzeczowo« (str. 80). Uwaga najzupełniej słuszna i trafna! A teraz jakież z tego dalsze wnioski: »Nie można odtworzyć przestrzeni przy pomocy czuć nieprzestrzennych, badanie więc przestrzeni powinno być badaniem związków przestrzennych w przestrzeni bezpośrednio danej. Ta przestrzeń była faktycznym punktem wyjścia wszystkich teoryi«. I teraz przychodzi właściwa myśl autora: »Nie ograniczyły się one jednak na badaniu przestrzeni danej, lecz nadawszy wynikom pewnego sposobu badania wielkości przestrzennych, szczegółowsze znaczenie cech przestrzeni istotnej i uważając wszystko inne za subjektywne ujawnianie się tak sztucznie otrzymanej przestrzeni istotnej, pytały jak zamiana taka się odbywa«. Przytoczyliśmy tu całe nad wyraz zawiłe zdanie, aby dać czytelnikowi jakie takie wyobrażenie o trudnościach, z któremi ma się do walczenia przy czytaniu prac p. Heinricha. Rozważywszy jednak zdanie powyższe o ile możności dokładnie, jakiż z tego możnaby wyprowadzić wniosek? Oto ten, iż autor nie zdaje sobie wcale sprawy o co właściwie chodzi przy teoryach objaśniających doznawane wrażenie przestrzeni. Przecież tu nie chodzi wcale o to, aby wykazać, w jaki sposób »*istotna przestrzeń*« dostaje się do naszego wnętrza. Czem jest istotna przestrzeń, to psychologa wcale nie obchodzi, on pyta, z jakich elemen-

tów da się wrażenie przestrzeni złożyć i genetycznie wyjaśnić. Prawda, że takie wyjaśnienie nie udało się dotąd żadnemu z wymienionych wyżej badaczy, a to dla tej prostej przyczyny, że popełniali ten sam błąd, który i p. Heinrich popełnia, t. j. wkładali w zjawisko to, co w niem objaśniać chcieli. Z tego jednak wcale nie wynika, aby genetyczne objaśnienie należało zarzucić, trzeba je tylko należycie przeprowadzić. Takiego objaśnienia nigdy nie zastąpi »sposób jednorodnego i jednoznacznego określenia danych przestrzennych własności« (str. 81), nie zastąpi zaś tem więcej, że autor nawet nie próbuje wykazać na czem ten jednorodny i jednoznaczny sposób ma polegać. Jeżeli autor sądzi, że psychologia może wyrzec się rozbioru zagadnienia dotyczącego genezy doznawanego wrażenia przestrzenności — to jak mniemam — łudzi się pod tym względem. Choćby Eithofen i dr. Wyczółkowska i nie wiem wielu jeszcze innych uczonych wykazało, iż złudzenia optyczne nie zgadzając się z geometrycznymi kształtami przedmiotów odpowiadają kształtom obrazów na siatkówce, to w objaśnieniu wrażenia przestrzeni przez takie badania ani na krok dalej się nie posuniemy. Pochodzenie złudzenia będzie tylko objaśnione, będzie wykazane, iż złudzenie ma swoją fizyologiczno-zmysłową podstawę i nic więcej. Słusznie autor mówi: »tak otrzymane wyniki nie mówią wcale, iż obraz siatkówki zamienia się u badanego w czucie widzianych kształtów«. Ba! ależ tu właśnie o to chodzi! Dziękuję za całą psychologię, jeżeli ma się wyrzekać takich zagadnień, jak np. z jakich elementów się składa i jak powstaje czucie widzianych kształtów. Takie badanie wrażenia przestrzenności, z jakiem u autora mamy do czynienia, to nie jest badaniem zmierzającem do zrozumienia faktu, to tylko (być może bardzo cenne) objaśnianie szczegółów i szczególików, to wmawianie w siebie, iż obejrzawszy parę drzewek z kraja, przejrzałem i poznałem cały las. Cała też książka p. Heinricha ma te same cechy, co i rozdział o przestrzeni. Mnóstwo w niej bardzo cennych i starannie zebranych materyałów szczegółowych, krytyka cudzych teoryi zwykle trafna, wszystko jednak, co na ich miejsce mamy stawiane, jest takie niewyraźne i niepewne, iż czytelnik znużony stylem ciężkim i zawiłym, odkłada książkę po każdym rozdziale z uczuciem pewnego rozczarowania.

Weźmy np. rozdział o badaniu barw (str. 95—148), jakaż tam obfitość szczegółów, jak dokładna znajomość obecnego stanu całego zagadnienia, jak pod wieloma względami trafną krytyka różnych teoryi, a wynik z tego wszystkiego pozytywny jaki? Prawie żaden! Dowia-

dujemy się dosyć dużo w szczegółach o stosunku zmian zachodzących w organie wzroku do zmian zachodzących w świetle i na tem wszystko się kończy. Z jakich elementów czucie barwy się buduje i wykształca o tem nie dowiadujemy się wcale nic. Skoro tylko zaś autor przejdzie do formułowania ogólnych wskazówek, to zaraz zaczynają się piętrzyć nieporozumienia jedne nad drugiemi. Oto np. jeden z końcowych ustępów rozdziału o barwach (str. 147): »Jeżeli za cel badań fizyologicznych zmysłu wzroku — pisze p. H. — określimy poznanie zmian zachodzących w organie wzroku, stojących w związku z barwami światła, to ogólnie biorąc możemy wystawić zasadę ważną dotychczas w zakresie całej wiedzy ludzkiej, że zmiany związane z sobą odpowiadają sobie jednoznacznie; innemi słowy, że każdej zmianie jednej grupy zmiennych odpowiadać będzie zmiana innej grupy zmiennych. Ta współistność zmian nie mówi jednak nic o ich jednorodności, ani też nie znaczy, że jeden rodzaj zjawiska przekształca się w inny«.

Dobrze, niechby wreszcie była zgoda między nami, na powyższe zapatrywania, ale czyż to przeszkadza rozkładaniu obu grup zjawisk na ich ostateczne elementy, czy przeszkadza wykazaniu, jak one z tych elementów wykształcają się? Co do współistnienia zaś, to czyż funkcyonalne odpowiadanie jednej grupy zmiennych zmianom innej grupy, nie jest w gruncie rzeczy tem samem, co przyczynowa zależność, tylko sposób wyrażania się odmienny. Jeżeli tylko przyznam stałą współistność zmian, to tak jak gdybym przyznał, że jeden rodzaj zjawisk przekształca się w inny. Tak samo bowiem, jak nie wiem w jaki sposób może jeden rodzaj zjawiska przekształcić się w inny, tak też i nic nie wiem o tem, w jaki sposób mogą jedne zmiany współistnieć z innemi.

Te same wady i zalety posiadają i dalsze rozdziały książki, poświęcone badaniom akustycznym, zapachom, smakom, wreszcie dotykowi, wszędzie mnóstwo cennych szczegółów, krytyka cudzych teoryi przeważnie trafna, pozytywne jednak wyniki nad wyraz ubogie. Szczególnie ciekawy materyał zebrał autor w rozdziale o woniach, dobrze też określił, w jakim kierunku badania powinny się rozwinąć, aby do utworzenia jakiejś skali zapachów dojść można. Najnowsze badania Berthelota na tem polu nie mogły być oczywiście jeszcze uwzględnione.

Po rozdziale poświęconym psychofizyce, w którym znowu materyał naukowy obfity a krytyka szczegółów nieraz nawet bardzo udana, przychodzi wreszcie nasz autor do końcowych uwag ogólnych. Mamy tu powtórzone te same myśli, które spotkaliśmy już dawniej, są one

tu jednak wyrażone nieco jaśniej tak, iż stanowisko autora da się wkońcu w następujący ująć sposób: Filozofia starożytna pytała, jak własności ciał odtwarzają się w człowieku, filozofia nowożytna uznała jakości za powstające w człowieku, nie umiała jednak określić ich związku z pobudzeniami zewnętrznemi. Oba stanowiska są więc fałszywe, pozostaje tylko stanowisko trzecie, przyjmujące całość świata; jako bezpośrednio daną, składają się na nią przedmioty barwne i przestrzenne dźwięki, smaki, bóle i t. d., a wszystko w najróżnorodniejszych związkach i połączeniach. Otóż fizyka zajmuje się temi wszystkiemi własnościami świata bezpośrednio danego, które mogą być przedmiotem mierzenia, zadaniem zaś psychologii będzie zbadanie wszystkich bezpośrednio jakościowych cech. Idzie więc o wykazanie współrzędności i współistnienia między zmianami w ciałach ulegających mierzeniu a zmianami w organach fizyologicznych, wyrażonych w reakcyach fizyologicznych, występujących w postaci wypowiedzeń. Skoro psychologia tę współrzędność określi, zadanie jej skończone.

Raz jeszcze powtarzam, że ja na tak pojęte zadanie psychologii zgodzić się nie mogę. Przyjmując nawet, że rzeczywistym jest tylko świat barwny i przestrzenny, świat dźwięków i smaków, godząc się, iż podkładanie temu światu jakichś bezjakościowych ruchów stanowiących niby istotę wszelkich zmian w otoczeniu, jest tylko obrazem upraszczającym przebiegi, tylko abstrakcyą naukową i niczem więcej, uznając, iż niedopuszczalnem jest uważanie ruchów za istotę rzeczy, dźwięków zaś i smaków za coś wyłącznie podmiotowego, to jednak muszę stwierdzić, że rzeczywistość taka właśnie a nie inna, twarda, barwna i dźwięczna, daną nam jest bezpośrednio tylko w świadomości i tylko przy współdziałaniu świadomości z otoczeniem. Na czem to współdziałanie polega? To pytanie jest mi całkiem obojętne, może jest ono funkcyonalnem współistnieniem? Może! — No i cóż z tego! W takim razie właśnie to funkcyonalne współistnienie wygląda tak, jakby było współdziałaniem. Choćby autor nie wiem już jakich użył do tego środków, choćby myśli swoje wyrażał w sposób jeszcze stokroć do zrozumienia trudniejszy — świadomości wraz z psychicznym porządkiem wyeliminować nie zdoła! Jako fakt najpierwotniejszy pozostanie zawsze świadomy stan, rozszczepiający się już jako świadomy na treść wskazującą na otoczenie i na jakąś czysto indywidualnie zabarwioną resztę, wskazującą na własne jestestwo. Nie jest rzeczą ani psychologii, ani teoryi poznania ten najpierwotniejszy dualizm zamazywać, gdyż próby

takie doprowadzą zawsze do wielkich bałamuctw[1]. Niechaj metafizyka łamie sobie nad tem głowę, w jaki sposób dualizm zamienić w monizm. Psychologia i teorya poznania skoro tylko wdadzą się w nieswoje rzeczy, wpadną w bagno metafizyki, wszystko jedno jakiej; choćby takiej, jak metafizyka Avenariusa i naszego autora, z takiego zaś bagna trzeba się potem wyciągać tak, jak to sławny Münchausen czynił, t. j. za własną czuprynę. Zasada zachowania energii nie wymaga wcale, aby dla niej poświęcać psychiczny porządek i psychiczną przyczynowość a to z następujących powodów: Przedewszystkiem należy zważyć, że oba porządki, zarówno fizyczny jak i psychiczny są nam bezpośrednio dane tylko w świadomości, raczej więc w rozpaczliwej ostateczności, należałoby porządek fizyczny wraz z zasadą zachowania energii uważać za odbicie porządku psychicznego a nie odwrotnie. Powtóre, jeżeli przyjmiemy wraz z p. Heinrichem zamiast wzajemnego oddziaływania tylko funkcyonalne współistnienie obu porządków, to pytam się: cóż w takim razie może szkodzić porządkowi fizycznemu wraz z zasadą zachowania energii przyjęcie porządku psychicznego. Wszak one tylko współistnieją, każdemu elementowi fizycznemu przydziela się element psychiczny i na odwrót, to wygląda tylko jak wzajemne oddziaływanie, w gruncie rzeczy zaś będzie tylko funkcyonalnem współistnieniem, w takim zaś wypadku łańcuch porządku fizycznego nie będzie nigdzie przerwany, cóż więc szkodzi przyjęcie zgodnie z faktami osobnego porządku psychicznego wraz z odpowiednią przyczynowością. A wreszcie pamiętajmy przecie o tem, że tak samo jak nie wolno nam pod barwy i dźwięki podkładać ruchów, jako stanowiących tamtych istotę, tak nie wolno czynić tego samego z zasadą zachowania energii. To również tylko nasza zasada, to nie jest jakiś wyraz istoty rzeczy; gdyby zatem nawet wydarzyło się, iż ta zasada stanie w sprzeczności z jakiemiś faktami, to nie wolno nam dla dogmatu, choćby na pozór bardzo naukowego, poświęcać faktów. Nie jest zaiste dopuszczalnem rozumowanie, które dowodzi, że porządek psychiczny niemożliwy, bo stoi w sprzeczności z zasadą zachowania energii. Jeżeli jednak porządek psychiczny jest faktem najoczywistszym, no to bierz licho zasadę zachowania energii, skoro z faktami niezgodna. Tak jednak nie jest; zasada bowiem zachowania

[1] Przypominam, że p. H. sam w pracy wyżej omówionej p. t.: *Zur Prinzipienfrage* i t. d. (str. 2) podniósł, że psychologia wcale nie potrzebuje dualizmu przezwyciężać (ob. wyżej str. 408).

energii da się doskonale pogodzić z porządkiem psychicznym, można pojąć przecież psychiczność jako energię utajoną wyzwalającą się, albo można, stając na stanowisku p. Heinricha, jeszcze lepiej tego dokonać, przyjmując stosunek funkcyonalny obu porządków. Dziwny to zaiste zator ludzkiego myślenia, który pragnie wykreślić z bezpośrednio danej rzeczywistości to, co jest najbardziej oczywiste, t. j. świadomość wraz z porządkiem psychicznym i woła: nie potrzebuję was, mnie do wyjaśnienia świata wystarczą zmiany w ciałach, zmiany w organach fizyologicznych. Dobrze! gdzież jednak dane są te zmiany, jeżeli nie w świadomości? Wszystko, cokolwiek w naszem życiu świadomem jest jednolite, rozumne, prawidłowe, to wszystko ma być odbiciem prawidłowości fizycznej? Odbiciem gdzie? w czem? A zresztą jakiej prawidłowości fizycznej? Czy tej, która tkwi w barwach i dźwiękach? Ale na miły Bóg, gdzie z góry gwarancya, że ta prawidłowość w tym świecie na prawdę istnieje? Może to świadomość ją tam wnosi, może to umysł nasz ujmując zjawiska tak z grubsza tylko, widzi je w świetle prawidłowości, w gruncie rzeczy zaś, kto wie, czy nie panuje tam nieskończenie różnorodna, chaotyczna zmienność. A więc może to fizyczna prawidłowość jest prawidłowością podłożonych pod zjawiska ruchów? Tu przypominam, że p. H. sam niejednokrotnie dowodzi, że niedopuszczalne jest branie tych podłożonych ruchów za istotę rzeczy. Cóż więc pozostaje? chyba jakaś prawidłowość fizyczno-metafizyczna! I oto już siedzimy w bagnie. Cóż zatem z tego wszystkiego wynika? Wynika jedynie słuszne zapatrywanie, że wszelka prawidłowość jest nam daną tylko w świadomościach naszych, nie należy przeto obracać kota ogonem. Świadomość bezwarunkowo nie da się obejść i wyeliminować. W psychologię bez świadomości uwierzę dopiero wówczas, skoro pokażą mi człowieka, który potrafi czynić wypowiedzenia bez względu na to, czy znajduje się w stanie uświadomienia czy nie, a którego wypowiedzenia pojęte jako czyste reakcye fizyologiczne zdołają inni zrozumieć będąc sami pogrążeni w nieświadomości i bez względu na zrozumiałość mowy użytej przez badanego do swoich wypowiedzeń.

Na zakończenie tego ustępu wspomnę jeszcze o formie zewnętrznej dzieł p. Heinricha. Styl jego jest zawiły i do zrozumienia trudny. W dziełach niemieckich znać, że włada językiem niemieckim z trudnością; mnóstwo tam zwrotów polskich, w polskich znowu pracach, sposób wyrażania się i budowa zdań tu i ówdzie niemiecka. Nieraz trudno się pomiarkować, czy autor rozsnuwa własne poglądy czy tylko wyciąga wnioski ze stanowisk cudzych. W niejednem miejscu znać

wahanie się, tudzież wysilenia, aby wybrnąć z piętrzących się trudności. Ostateczne zaś wrażenie wynosi się takie, iż klina największego zabił autorowi naszemu Mach, że z jego stanowiskiem nie umie sobie poradzić i że do całkiem jasnych poglądów jeszcze nie doszedł.

Rozprawiwszy się z zasadniczymi poglądami pana Heinricha, przejdźmy teraz do krótkiego omówienia jego prac, szczegółowym poświęconych zagadnieniom.

Pierwsza z nich jeszcze z r. 1899 zajmuje się wahaniami natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych [1]. Na początku mamy w tej pracy przegląd dotychczasowych teoryi, potem ogólne uwagi metodyczne, których myśl przewodnią już znamy, wreszcie przychodzi materyał doświadczalny w znacznej części przez autora samego zebrany. Metodzie nie można nic zarzucić, jest ona całkiem odpowiednią. Badacz notuje wypowiedzenia badanego, który »wypowiada, że przy obserwowaniu minimalnych wrażeń natężenie ich podlega wahaniom. Pytamy więc, od jakich przyczyn zależy wypowiedzenie badanego? Stawiamy go wobec różnorodnych warunków zewnętrznych, badamy zmiany zachodzące w nim samym i w ten sposób staramy się otrzymać przyczynowo uwarunkowaną ciągłość faktów«. Doskonale! Tylko że to wszystko byłoby niemożliwe do przeprowadzenia, gdyby badany nie znajdował się w stanie całkiem jasnego a nawet bardzo skupionego uświadomienia. Według badań p. H., wahania w natężeniu wrażeń optycznych zależą od napięcia soczewki. Bardzo cenny wynik, w niczem jednak nie przemawia za słusznością założeń autora. Na str. 33 autor tak pisze: »Badania moje wykazały, iż np. podczas liczenia, słuchania i t. d. soczewka przechodzi w stan zupełnego spoczynku«. Cóż to spowodowało ten spoczynek, a w dalszym ciągu i zmniejszenie się natężenia w dostrzeganiu wrażeń minimalnych? Widocznie skierowanie uwagi na liczenie i słuchanie. Mamy tu więc dowód niezbity, stwierdzający działanie idące z wewnątrz od badanego samego.

Druga praca zajmuje się krytycznym przeglądem badań nad wrażeniami barwnemi [2]. Treść jej wcielił autor w znacznej części w wyżej

[1] »O wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych«. W Krakowie. Odbicie z 36 tomu Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Ak. Um. 1899. Str. 45.

[2] »Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnemi«. Kraków. Odbicie z 38 tomu Rozpr. Wydz. mat. przyr. Akad. Umiej. 1900. Str. 40.

już omówione polskie dzieło, niema więc powodu do ponownego tej treści rozpatrywania. Bardzo ciekawą jest w tej pracy polemika z Machem i z jego zasadą ekonomii myślenia (str. 3—4). Zdaniem autora przedmiotem badań nauk przyrodniczych nie są związki elementów czuć, jak tego chce Mach, lecz otaczający nas świat, pojęty naiwnie jako realny i jakościowo różnorodny. Przeprowadzić dowód, że tu subjektywizm żadnej nie odgrywa roli, oto zadanie, które sobie autor wytknął. Wykazuje więc, że »różnorodność barw nie dała się przedstawić jako synteza czuć« (str. 30). Barwa biała okazuje się tak samo bezpośrednią i jakościowo samoistną jak i barwy widma. Jakość zaś barwy da się określić za pomocą własności źródła światła, miejsca w widmie i szeregu warunków, jakim podlegał patrzący, a więc jednak ten patrzący także coś znaczy, bez niego niema świata naiwnie realnego. I tu znowu świadomość obejść się nie da, rozpoznanie bowiem warunków, którym podlegał patrzący jest niemożliwe bez jego świadomych wypowiedzeń.

Trzecia praca zajmuje się znowu stałością wrażenia zaledwie dostrzegalnego przy użyciu tonów czystych [1]. Wynik badań bardzo ciekawy, wykazuje bowiem, że dźwięki zaledwie dostrzegalne, składające się z tonów i szmerów, okazują tem łatwiej zmiany natężenia, im bardziej zbliżają się do szmerów. Są natomiast tem bardziej niezmienne, im więcej zbliżają się do tonów czystych« (str. 7). Dlaczego jednak charakterystyczna różnica między tonem a dźwiękiem ma służyć za argument przeciwko przyjmowaniu czynnika psychicznego, tego zupełnie nie rozumiem. Wszak można przyjąć, że ta różnica polega na przewodzeniu dźwięku przez błonę bębenkową i przez pośrednie ogniwa nerwów — no i cóż z tego? To tylko dowodzi, że do pojawienia się albo inaczej »do funkcyonalnego współistnienia« wrażenia czyli ogniwa psychicznego potrzebną jest akkomodacya organu i przewodzenie takie właśnie, jak p. H. określił.

Przedmiotem wreszcie pracy czwartej są badania nad funkcyą błony bębenkowej [2]. Tu eksperyment akustyczny, przeprowadzony przy pomocy przyrządów optycznych z wielką pomysłowością, przynoszącą zaszczyt eksperymentatorskim zdolnościom p. Heinricha, równie mister-

[1] »O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych«. Kraków. Odbitka z 40 tomu Rozpr. Wydz. mat.-przyr. Akademii Umiej. 1900. Str. 8.

[2] »O funkcyi błony bębenkowej«. Odbitka z 43 tomu ser. B. Rozpraw Akad. Um. W Krakowie. 1904. Str. 20.

nych eksperymentów niewiele możnaby wyliczyć. Zarówno sam eksperyment jak i wynik badań jest może najcenniejszym nabytkiem, którym p. Heinrich wzbogacił psychologię opartą na zużytkowywaniu danych fizyologicznych. Udowodnił on, że błona bębenkowa jest narządem akkomodacyjnym, że przy danym stanie napięcia błona przepuszcza tylko drgania odpowiadające jej stanowi napięcia« (str. 18).

Samych eksperymentów tu oczywiście opisywać nie będziemy, odsyłamy czytelnika do pracy samej i dodamy: takich prac jak ta ostatnia życzymy autorowi jak najwięcej a wówczas zajmie on bez względu na swoje zasadnicze poglądy poczesne stanowisko między współczesnymi na niwie psychologii pracownikami.

Z pracowni p. Heinricha wyszły jeszcze dwie prace wykonane przez jego uczniów, a ogłoszone po niemiecku w *Zeitschrift für Psychologie und Sinnesphysiologie.* Pierwszej z nich autorem jest p. Stanisław Loria, uczeń naszego uniwersytetu, zapowiadający się chlubnie już w tej pierwszej swojej pracy, jako pomysłowy eksperymentator, a przytem umysł ścisły [1]. Zasadnicze stanowisko zajmuje Loria, takie samo, jak Heinrich, jemu wydaje się również, iż wykazanie paraksyalnej akkomodacyi w oku lub dowód, że błona bębenkowa jest narządem akkomodacyjnym wystarczy na usunięcie pierwiastka psychicznego z psychologii. Że to złudzenie, to nad tem nie będę ponownie się rozwodził. Akkomodacya narządu odgrywa niewątpliwie rolę wielką, dla wzroku, doświadczenia Lorii stwierdziły to w sposób niewątpliwy, ale i to jest rzeczą pewną, że zagadnienie uwagi nie jest przez to rozstrzygnięte; zapewne kto pojmuje uwagę jako jakieś mistyczne »h o k u s p o k u s«, wobec tego ma p. Loria słuszność, dla kogo jednak jest ona ogniwem w niedającym się zaprzeczyć porządku psychicznym, z którym współistnieją choćby tylko funkcyonalnie odnośne elementy fizyologiczne, tego nie zadowolą teoretyczno-poznawcze wnioski autora.

Jako ostatnia z tej grupy pozostaje nam jeszcze rozprawa d-ra L. Chwistka, wykonana wspólnie z p. Heinrichem w jego pracowni p. t. »O peryodycznem znikaniu drobnych punktów« [2]. Pan Chwistek wykazał w pracy swojej eksperymentalnie związek między peryodycz-

[1] *Untersuchungen über das periphere Sehen:* Sond. Abdr. aus dem 40 Bd. der Zeitschr. für Psychol. und Physiol. der Sinnesorgane. Leipzig. Ambr. Barth. 1905. Str. 27.

[2] *Über das periodische Verschwinden kleiner Punkte.* Sond. Abdr. aus Zeitschr. für Sinnesphysiol. Bd. 41. J. A. Barth. Leipzig 1906. Str. 16.

nem znikaniem drobnych punktów a zmianami w krzywiznie soczewki. Wynik bardzo pouczający a stwierdzający ponownie wzajemną zależność wrażenia i zmian w narządzie zachodzących.

Prof. dr. Maurycy Straszewski.

Z piśmiennictw obcych.

Z powieści angielskich.

»Donovan Pasha and some people of Egypt«, by Gilbert Parker. — »Double Harness« by Anthony Hope. — »Starvecrow farm« by Stanley I. Weyman. — »The garden of Allah« by Robert Hichens.

Starsi a wierni czytelnicy *Przeglądu Powszechnego* przypominają sobie może szkice Gilberta Parkera [1], malujące życie mieszkańców północnej Kanady, opowiadania o »Czerwonym Łowcu«, strzegącym stada upiornych bawołów, o zasypanych pod śniegiem osadach, o cichym heroizmie młodego małżeństwa zostawionego przez zimę na straży kopalni, o przygodach metysa Joli Pierre i jego przyjaciół. Były to dziwnie barwne, niekiedy bardzo rzewne lub fantastyczne obrazy a tak porywające widoczną szczerością opisów, iż trudno się było domyśleć, że autor kreślił je nie nad brzegiem Hudsonu ale w Anglii, w parę lat po swym pobycie w Kanadzie. Toż samo było z jego szkicami z Australii lub z obrazem czerpanym z przeszłości wyspy Jersey: *The battle of the Strong* (Walka silnych). Nie inaczej też postąpił Sir Gilbert z najnowszą swą pracą dotyczącą Egiptu, sam to w przedmowie przyznaje i twierdzi, że to, co mu po kilkakrotnej podróży nad Nil pozostało w głowie, musiało samo być godnem wspomnienia. System to śmiały a nawet ryzykowny; byłby dobrym, gdyby pamięć ludzka była sitem przesiewającem piasek a zatrzymującem grubsze kamyki. Tymczasem co dnia możemy się przekonać, że się dzieje przeciwnie, często bardzo jakiś drobny szczegół materyalny, jakiś moralny pyłek na powierzchni zostanie, gdy tysiąc razy ważniejsze fakta lub okoliczności od dawna już poszły na dno zapomnienia. Bądź co bądź Parkerowi sztuka się udaje — musi mieć wyjątkową pamięć i zapewne — notatki. *Donovan Pasha* mogłoby równie dobrze być zatytułowanem

[1] 1895, XLVIII, 17, 218.

The Englishmen in Egypt t. j. Anglicy w Egipcie; treść bowiem jest przeważnie poświęcona walce wpływu angielskiego na dworze kedywa Izmaila z wpływem francuskim i opozycyą krajowców. Czy Donovan Pasha istniał w rzeczywistości — nie wiemy; Sefer-pasza (Wład. Kościelski), który długie lata strawił w Egipcie, nic o nim, o ile pamiętam, nie mówił. W szkicach Parkera jest to młody Anglik z najwyższych sfer, ulubieniec kedywa, postrach szalbierczych lub uciskających lud urzędników, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, podziwiany a zarazem nieco lekceważony jako stojący u źródła bogactw a nie czerpiący zeń nic dla siebie, cichy, na pozór skromny, bardzo przenikliwy i w potrzebie stanowczy, robiący sobie osobnego rodzaju sport z prostowania krzywd i zawstydzania winowajców. Obok niego najczęściej występuje lekarz Fielding-Bey — obaj przejęci miłością dla tej prastarej ziemi egipskiej, skazanej, zda się, od mnogich tysięcy lat na wieczny ucisk i wyzysk biednego ludu. Jeden z członków międzynarodowej komisyi rządzącej teraz finansami Egiptu mówił, że przed 11 czy 12 laty po raz pierwszy od początku świata zniżono w tym kraju podatki, a że pomimo to, gdy znoszono wory złota wynikające z poborów, dreszcz przenikał na myśl o łzach i znoju, jakiemi każda z tych złotych monet była okupioną. Bez wątpienia mówił bez przesady, ale... czyż nie możnaby tego samego o większej części »należytości skarbowych« i w innych krajach powiedzieć? Sir Gilbert Parker przedstawia cywilizacyjną działalność Anglików, nawet tych których tu zagnała żądza fortuny lub złamanie życia jednym niehonorowym uczynkiem. Opis walki z cholerą przypomina Weresajewa »Na bezdrożu« — taż sama ciemnota ludu, ten sam brud, taż sama podejrzliwość wobec zrozpaczonych lekarzy. Krajowcy a raczej napływowi Turcy z kedywem na czele wychodzą w smutnym stanie z ogólnego obrazu: sprzedajność, łupiestwo, obłuda, okrucieństwo i lenistwo są ich głównymi rysami. W jednym szkicu ukazuje się podobny do nich ale dzikszy następca Mahdiego; Gordon ukazywany jest z daleka jakoby w opalowej mgle, gotowy do apoteozy; za to pseudomisyjne usiłowania kwakerów spotykają się z pobłażliwym uśmiechem. Wogóle można zauważyć w obecnej pracy Parkera wielkie pokrewieństwo duchowe z Kiplingiem. O naśladowaniu go nie może być mowy, zważywszy, iż Parker wcześniej zda się rozpoczął literacką działalność a przecież niktby się nie dziwił, gdyby na okładce opowiadań o Donovanie paszy widniało nazwisko Kiplinga. Parker dzieli z nim nawet jedną niedogodną dla cudzoziemców właściwość t. j. eufoniczne chwytanie różnych angielskich akcen-

tów i przenoszenie je żywcem do druku. Z tego powodu wielu nie zdołało się poznać na humorystycznym uroku b. kaprala w wojsku anglo-indyjskiem, nieocenionego Mulvaney'a; dlatego też i tu niejeden mało zrozumie ze scen między anglo-egipskimi żołnierzami, opisanych w szkicach Parkera.

Double Harness (Podwójna uprząż) przedstawia w ramach jednej fabuły poszczególne monografie kilku stadeł małżeńskich bardzo od siebie różnych choć należących do jednej społecznej sfery i obracających się w pobliżu siebie. Zamiar autora stworzenia w obrazkach kilku psychologicznych rozprawek zbyt jest widocznym, aby nie wadził jego roli powieściopisarza; trudno jednak nie uznać, że obrazki są równie trafnie pomyślane jak i wykonane misternie. Prym między nimi trzyma młode stadło nieroztropnie sprzężone; mąż bowiem młody jeszcze, praktyczny i wesoły bankier londyński, nie może ani chce dostroić się do górnolotnych sentymentów żony. Idzie jeszcze jako tako dopóki Sybilla nie znajduje w nadziei przyszłego macierzyństwa pola do nowej egzaltacyi, wobec której spokój męża wydaje się jej oziębłością. Gdy zaś po doznanem przez nią przypadkowem wstrząśnieniu, lekarz oświadcza, iż należy wybrać między życiem matki lub dziecka a mąż — jak zwykle bywa — rozkazuje żonę ratować, oburzenie jej niema granic: odtąd widzi moralną przepaść między sobą a »mordercą swego dziecka«. To ostatnie *notabene* zamordowanem nie jest i wbrew obaw przychodzi na świat szczęśliwie — ale to nie rozbraja Sybilli a mąż, zbyt dumny, aby do niej się zniżyć, widzi z boleścią zamierające co dnia ciepło domowego ogniska. Sybilla wprawdzie niemniej od niego cierpi, bo go wciąż kocha, ale wmawia w siebie, że wszelkie zbliżenie byłoby zdradą wobec dziecięcia. Na nieszczęście w najgorszej chwili trafia do niej młodzieniec, który nagrzeszywszy dużo pragnie »stać się dobrym« i szuka bratniej duszy, by mu dopomogła w tem dziele. Tacy właśnie kandydaci do cnoty bywają najniebezpieczniejsi, co też sprawdza się i tu, bo po krótkim peryodzie nawracania, Sybilla z uczniem swoim ucieka. Mąż dogania ją w hotelu portowego miasta i po gwałtownej scenie, odgrywającej się wyłącznie między małżonkami, oświadcza jej stanowczo, iż jeżeli z nim nie powróci, zabije dziecko i siebie. Sybilla tak jest zawziętą, że i na tę ewentualność się godzi, podziwiając przytem skrycie wyniosłą hardość woli męża; tu wszakże występuje z płaczliwym protestem rzekomy kochanek, któremu dotąd nie dozwolili wtrącić ani słówka wśród bardzo nie w smak idącej mu

awantury: toż on rad był odegrać ładną komedyjkę, ale dramatów mieć nie chciał! Widząc jego »słabość«, Sybilla odwraca się z litością i podąża wraz z mężem do domu. Tu życie toczy się jak poprzednio, na pozór gładkie, w rzeczywistości nieznośne, aż mąż, litując się nad coraz to gorzej ukrywanem cierpieniem żony, uznaje w sumieniu, że i sam nie jest bez winy. Nie zmógłszy jej rozumem i wolą, próbuje zwyciężyć miłością i w krótkim czasie dosięga celu. Sybilla upokorzona i ułagodzona zstępuje z chmurnych marzeń na ziemię, gdzie znajduje szczęście między mężem i synem.

Inny obrazek przedstawia znów życie domowe przedsiębiorcy z »City«, człowieka poczciwego, prostego, zakochanego, mimo dłuższych lat pożycia, w ładnej żonie. Ta odpłaca mu się głębokiem przywiązaniem, troskliwością o jego dobrobyt, ale nie miłością. W życiu ma tajemnicę dawno już ubiegłej i pogrzebanej miłości. Z przedmiotem tejże spotyka się nieraz, ale już spokojnie, jakoby z dalekiem wspomnieniem. Aliści mąż jej pewnego poranku widzi się nad brzegiem ruiny i błaga ją, aby udała się w jego imieniu o ratunek do przyjaciela. Krystyna broni się, ale wkońcu ulega i idzie. Powraca z czekiem mającym ocalić męża, ale ten między chwilą odebrania go a chwilą eskontowania dowiaduje się o dawnym romansie żony. Wypędza ją — nie z domu ale ze swojej miłości, czek jednak po długich, strasznych walkach wkońcu eskontuje. Zda mu się przytem, że w oczach Krystyny czyta ciągłą pogardę i tem bardziej sądzi, że godność jego wymaga, aby jej nie przebaczył. Ona zaś, która dawno opłakała swą winę, cierpi mniej nad własnem upokorzeniem, jak nad jego boleścią, aż i tu również poczciwa miłość zwycięża. John oddaje dług i zachowuje żonę, która tymczasem, wplątana w życie Sybilli, przyczyniła się wielce swą prawdomownością do szczęśliwej konkluzyi jej matrymonialnych kłopotów. Prócz tych są inne obrazki, inne osobistości nakreślone bardzo plastycznie. Powieść pomimo to sympatyczną nie jest: czyta się ją z uznaniem ale nie z przyjemnością.

Starvecrow farm, to powieść z r. 1819 czy 1820, osnuta na tle ruchu liberalnego, który się w Anglii wówczas odbijał spóźnionem echem rewolucyi francuskiej. Jest to jednak tylko tło, na którem rozwijają się dzieje młodej dziewczyny romantycznej i egzaltowanej, jakich wiele wówczas bywało. Henrietta Damer jest panną wysokiego rodu, sierotą — jak wszystkie niemal heroiny powieściowe, zaręczoną wskutek układów familijnych z krewnym swoim kapitanem Clyne,

wdowcem i jednym z najtwardszych poskromicieli anarchicznych żywiołów. Clyne uważa ją za dziecko i nie troszcząc się bynajmniej o jej względy, zaniedbuje ją dla spraw publicznych i jedynego synka. Henrietta obrażona, wdaje się na złość w awanturę miłosną ze spotkanym przypadkowo człowiekiem i pewnego dnia ucieka z nim z domu brata w intencyi poślubienia go natychmiast po przebyciu szkockiej granicy. Wiadomem jest, że swojego czasu wszystkie uciekające czułe pary brały ślub na szkockiej ziemi. W drodze jednak Henrietta zauważa już zamyślenie »narzeczonego«; przybywszy zaś wieczorem do oddalonego zajazdu biegnie natychmiast do osobnego pokoju i nie spostrzega, że jej towarzysz na widok urzędnika policyjnego wprzód zląkł się a potem umknął wśród nocy. Biedna dziewczyna budzi się z rana nie tylko opuszczona, ale oskarżona o ułatwienie ucieczki zbrodniarzowi, poszukiwanemu nie tylko za udział w rozruchach, ale za pospolite morderstwa. Walterson kryjący się dotąd pod innem mianem, jest nadto żonatym i ojcem rodziny! Henrietta w głębi duszy uznaje szaleństwo swego czynu, duma wszakże i dziecinny upór zamykają jej usta wobec policyi i sędziów tak, iż goniący jej śladem kapitan Clyne przybywa w sam czas, by ją od więzienia ocalić. Henrietta na jego słowo pozostaje na wpół wolnej stopie w zajeździe pod opieką gderliwej, mądrej a poczciwej gospodyni mrs. Gilson. W kilka dni potem otrzymuje od kapitana Clyne list pogardliwy, namawiający ją do poślubienia, dla naprawy reputacyi, jego domowego pastora, czem do żywego dotknięta, utwierdza się w swojej opornej postawie. Rzecz pogarsza się jeszcze, gdy pewnego poranku rozchodzi się wieść, że synek kapitana został przez anarchistów porwany a równocześnie odkrywają na miękkim śniegu ślady stóp Henrietty, idące z pod jej okna aż na brzeg jeziora, do miejsca, gdzie według wszelkich wskazówek zbóje wylądowali z porwanem dziecięciem. Prawdą jest, że Walterson, kryjący się w poblizkiej farmie, usiłował za namową towarzyszy zrzucić na nią posądzenie o porwanie chłopca i napisawszy do niej list błagający o uratowanie mu życia, zwabił ją późnym wieczorem nad wodę. Tu szczęśliwy zbieg okoliczności przeszkodził ich spotkaniu; niemniej przeto Henrietta widzi się pod niesłusznem oskarżeniem, z którego mogłaby się tylko ocalić wydając na szubienicę Waltersona. Tego zaś znowu nie chce uczynić, choć go nie kocha i nigdy nie kochała na prawdę. Clyne gniewny i zbolały utratą dziecka przestaje ją bronić; Henriettę zabierają do sąsiedniego więzienia. Tymczasem wzgardzony przez nią pastor znajduje wyrzucony przez nią i podarty list Walter-

sona i złożywszy kawałki, przekonuje siebie i drugich o jej niewinności. Uwolniona znowu przez Clyna i już na trzy ćwierci z nim pogodzona dziewczyna postanawia odzyskać jego zupełny szacunek oddaniem mu dziecka. W tym celu rzuca się znów w awanturę; wpada w ręce anarchistów i cyganki, która kochając sama Waltersona mści się na niej z zazdrości. Po paru godzinach męczarni Henrietta widzi się w podziemnym lochu zamkniętą wraz z synkiem Clyne'a. Brak tu miejsca na opisanie dramatycznych przygód, wśród których dziecko i siebie zdołała ocalić, poczem oczywiście musiało nastąpić zupełne pogodzenie dawnych narzeczonych i ślub. Powieść jest oryginalna; charaktery przeważnie nieprzyjemne; postępowanie Henrietty niecierpliwiące od początku do końca. Tło jednak narysowane doskonale bez żadnego anachronizmu tak w ludziach jak w rzeczach, tak iż to, co się zda nieprawdopodobnem w sprawozdaniu, jest naturalnem w toku opowiadania.

Pustynia — to w mniemaniu Arabów *The garden of Allah* — olbrzymi, tajemniczy, płomienny, pełen uroku, majestatu i grozy, »ogród«, po którym Bóg co dnia niewidzialnie stąpa, a w którym człowiek na tle nieskończoności dziwnie w oczach własnych maleje i całą doczesność swoją w jasnych przestworach roztapia. Pustynia dla nich — to nie tylko miejsce, to żywa istota, której głos duszę woła albo ją odpycha, szepce jej tajemnicze słowa, wlewa nieznane uczucia. U brzegu tego przestworza, tam gdzie do niedawna tylko »granic pustyni pilnujące głazy — groźną na Beduina spoglądały twarzą«, wznosi się dziś posąg kardynała Lavigerie i w jednej ręce trzymając krzyż, drugą wskazuje w nieprzejrzane głębie, aż hen ku sercu krain Sudanu, ku tajemniczemu Tombuktu. U stóp posągu rozległa się arabska osada Beni-Mora, nawiedzana przez Europejczyków, jak świadczy kościół z probostwem i hotel z restauracyą i — w powieści p. Hichens — cudny ogród palmowy, pełen wód szemrzących i kwiatów, założony tu jakby na wyzwanie pustyni przez Włocha o duszy arabskiej, hrabiego Anteoni. Ze schodków, wiodących pod szczyt muru dzielącego ogród od piasków, widok rozciąga się w dal na Saharę; w obrębie murów za to jest cisza, jest spokój, jest raj. Spokoju właśnie i ciszy przybyła szukać w Beni-Mora piękna a silna Angielka, Domini [1] Enfielden. Ojciec jej porzucił anglikanizm, aby się z katoliczką ożenić, ale gdy ta, zdra-

[1] Zapewne angielskie skrócenie imienia Dominika.

dziwszy go, uciekła z domowego ogniska, stracił wszelką wiarę i umarł złorzecząc Bogu. Domini w ciągu ostatnich lat żyła jak w piekle; myśl jej się zamąciła, wiara zamgliła. Wstrząśnięta straszną śmiercią ojca, chciała w odmiennym świecie, zdala od ludzi, odzyskać równowagę, odzyskać zwłaszcza blizki stosunek swej duszy z Bogiem. I przyszło jej łatwo gdyż była to dusza gorąca i bohaterska, niemal gwałtowna, ale tą gwałtownością, która niebo zdobywa. Wkrótce też cokolwiek żyło w Beni-Mora jęło się garnąć ku niej, jakoby do swojej królowej, i Arabowie i proboszcz, niedoszły, z powodu zdrowia, kandydat do »Braci zbrojnych« kardynała Lavigerie i wreszcie sam poeta-filozof, hr. Anteoni. Lecz prócz nich, na nieszczęście, był jeszcze ktoś inny; równocześnie z Domini przybył do Beni-Mora podróżny o wybitnych rysach, o głębokich oczach, przybierających w styczności z ludźmi wyraz oczu ściganego zwierza, o rękach spracowanych, nie licujących z wykwintnością postaci. Nosił rosyjskie nazwisko — Borys Androwski; językiem angielskim wszakże równie jak arabskim wyrażał się płynnie. Wogóle mówił mało, Europejczyków unikał, w obejściu niemal dziki z pozoru a w istocie niezgrabny i nieśmiały, zwracał na siebie uwagę wszystkich a najbardziej Domini, której wydał się najgłębszą i najboleśniejszą tajemnicą wśród ogólnej tajemniczości wiejącej tu z każdej istoty i każdego przedmiotu. Źle już bardzo z kobiecem sercem, pragnącem zagadkę męskiej duszy odgadnąć! Poczęła zwolna śledzić go, do czego dopomagały codzienne zetknięcia i fakt, że ten samotnik jej jedynej się nie bał i patrzał w nią, jak pies w oczy swego pana. Gdy raz objawiła zdziwienie, że jeździć konno nie umie, wraz nazajutrz o świcie wsiadł na pustynnego rumaka a uniesiony w szalonym biegu wstrzymał go na miejscu wytężeniem niezwykłej siły fizycznej. Nie tylko jednak koń ale tysiące rzeczy zwykłego życia wydały się mu nieznane: wyglądał jak człowiek, któryby spadł z innej planety. Co gorzej, Domini zauważyła z corazto boleśniejszem zdumieniem, że twarz mu mieni się na każdą wzmiankę o Bogu, że dreszcz go przenika na głos kościelnego dzwonka lub nawoływań muezzina do wieczornej modlitwy. Widziała jak raz, z obliczem pełnem zgrozy, uciekł na widok modlących się ludzi, jak zerwał z piersi swojej drewniany krzyżyk i cisnął... Domini niepostrzeżona podniosła krzyż i schowała a serce jej napełniło się ogromną litością. Ona, której każda myśl, każde uczucie obijało się o niebo, która nie pojmowała życia innego, jak w spójni z Bogiem, postanowiła zdobyć napowrót dla Boga tę biedną duszę. Nie grała przytem sama z sobą komedyi,

nie taiła przed sobą przymieszki ziemskiego uczucia — była to pierwsza miłość jej życia, w którem tak mało zaznała kochania. Wśród żyjących rodziców wyrosła jakoby sierota i łaknęła odrobiny uczucia. Hr. Anteoni spostrzegł wnet, co się święci i jął ją przed nieznajomym ostrzegać; ostrzegał i ksiądz, od którego Androwski odwracał się ze wstrętem — wszystko na próżno. Raz sam Androwski oznajmił jej, że wyjeżdża; wśród widocznej walki wewnętrznej chciał się pożegnać i — został. Wkrótce potem ksiądz, acz z wielką niechęcią, pobłogosławił ich związek; nie wiedząc czemu, miał straszne wrażenie, iż świętokradztwo popełnia... Zaraz po ślubie nowożeńcy puścili się w głąb pustyni. Androwski to szalał z radości, to chwilami pogrążał się w dawną zadumę. Ona zaś bujała jak ptak na wolności, dziękując Bogu za miłość, za szczęście, modląc się za męża i siebie. Trwało tak parę miesięcy; mała karawana przenosiła się z oazy w oazę, aż wkońcu Domini uznała, że nadchodzi czas powrotu z obłoków na ziemię. Ona jak dotąd przewodniczyła w drodze; dla Arabów Borys był »mężem pani«; ona bezwiednie prawie decydowała o wszystkiem. Wszystko zaś szło pomyślnie i gładko. Aż pewnego wieczora, w nieobecności Borysa zjawiła się w obozowisku ich partya francuskich żołnierzy zbłąkanych, od dwóch dni bez pożywienia, bez kropli wody wśród skwaru. Na ich czele był młody oficer, noszący stare bretońskie nazwisko. Domini przyjęła ich z macierzyńską dobrocią, nakarmiła i napoiła żołnierzy, oficera zaprosiła do swego stołu, nakazawszy Arabom wydobyć co najlepszego z zapasów podróżnych. Gdy Androwski powrócił, zastał z niezadowoleniem nieproszonego gościa, który jął się w niego ciekawie wpatrywać. Po wieczerzy, przy której Domini siliła się, by podtrzymywać rozmowę, wyszła zostawiając mężczyzn samych; służący Arab poniósł im tacę z kieliszkami i flaszką likieru z ziół, wyrobu pochodzącego z klasztoru Trappistów w El-Largani, w okolicy Tunisu. Co się wtedy stało — nie mogła pojąć; słyszała gniewnie podniesione głosy a potem brzęk szkła gwałtownie zrzuconego na ziemię. Pan de Trevinhac nie przyszedł już za gościnność dziękować; a gdy wyruszał ze świtem, widziała, że patrzał ze zgrozą na namiot, w którym Androwski spoczywał a potem zwróciwszy się w jej stronę zakreślił krzyż w powietrzu i śpiesznie odjechał.

Androwski nie wytłumaczył tej sceny. Nazajutrz ruszyli ku brzegom pustyni do miasteczka Amara, gdzie wesoły ruch i hałas rozerwały myśli Domini. Przyjeżdżając do Afryki była smutna, więc pragnęła ciszy; obecnie pomimo dziwactw męża była szczęśliwa, więc cie-

szyła się powrotem do ludzi i życia. »Nie można przecież wciąż błądzić z miejsca na miejsce; trzeba osiąść do pracy — mówiła, na co Borys odpowiadał propozycyą zakupienia jakiej oazy i założenia w niej gospodarstwa. Tymczasem jednak byli w Amara, gdzie Domini z radością gościła nie już zgłodniałych żołnierzy, ale miejscowego proboszcza. Ten, człek wesoły i prosty, niepodobny do ascetycznego ks. Roubier z Beni-Mora, cieszył się widokiem darów Bożych, jakich nie kosztował od dawna; gdy jednak zjawił się na stole ów likier wyrobu Trappistów spoważniał nagle i nie chciał w nim ust swych umoczyć. »To zbyt smutna historya — rzekł. – Mnich, który ten skład ziół wynalazł uciekł z klasztoru...« Za powrotem Borysa Domini opowiedziała mu to zajście, zauważając z przestrachem, jak wstrząsające sprawiło nań wrażenie. Odtąd rozpoczęła się między nimi walka podobna walce Anioła Stróża z duszą grzesznika. Borys bronił strasznej tajemnicy, którą mu ona usiłowała wydrzeć wszystkiemi siłami czystego, kochającego serca. Dusza jego wszakże odkrywała się zwolna z pod zasłon milczenia: jego odraza do wszystkiego co święte, to była rozpacz, śmiertelna tęsknota za utraconym skarbem modlitwy, za Bogiem. Wił się jak potępieniec u zamkniętych na zawsze wrót raju... Długa rozmowa sam na sam z księdzem przeważyła nareszcie szalę; wśród gwiaździstej nocy, stojąc u wrót, poza któremi roztaczała się przestrzeń bez końca — Domini wysłuchała wyznania. Owym mnichem, który znikł uciekłszy z klasztoru, był on sam... Ojciec jego zmuszony dla zdrowia żyć na południu, osiadł w Algieryi, gdzie ożeniwszy się z Angielką, trudnił się uprawą winnic. Był niewierzącym, więc gdy umarł cała miłość jego żony zamieniła się w troskę o jego duszę: młodszy jego synek Borys wychował się w atmosferze ciągłej modlitwy. W 17 roku nie zaznawszy życia ani ludzi wstąpił do Trappistów i żył szczęśliwy w klasztorze przez lat dziewiętnaście. Wtedy dopiero przyszła nań pokusa dlatego może, iż czuł się zbyt bezpiecznym, iż nie przypuszczał możliwości upadku. Zrazu była to przelotna chęć wmięszania się w życie ludzkie, które z wyżyn klasztoru widział przesuwające się w dali; potem zjawił się kusiciel w osobie człowieka zepsutego, którego jako gościa przyszło mu przyjmować w gospodzie klasztornej. »To chora dusza — mawiał mu przeor — chyba ty jeden zdołasz go wyleczyć«. Więc Borys próbował leczyć a tymczasem jad trucizny sączył się w jego własną duszę. I przyszła nieszczęsna noc gdzie uciekł z monasteru i zaopatrzywszy się w Tunisie u brata w odzież i pieniądze, puścił się w świat w stronę pustyni...

Domini wysłuchała opowieści bez wybuchu, bez łez i bez skargi. Gdy zamilkł powiedziała mu, aby się modlił i Borys po raz pierwszy mógł paść na kolana, podczas gdy ona sama modliła się w mieszkaniu. Nazajutrz wyruszyli w drogę — z powrotem. Z powrotem do Beni-Mora, gdzie Androwski wykonał spowiedź w tejże świątyni, w której zawarł swój ślub świętokradzki, z powrotem do klasztoru w El-Largani, gdzie Domini — nie już jak siostra nawet, ale jak matka doprowadza go do wrót monasteru i w milczeniu zostawia na zawsze. Ostatni rozdział przedstawia ją w Beni-Mora, w zakupionym od hr. Anteoni ogrodzie. U stóp jej bawi się mały Borys, dziecię, które jej Bóg zesłał na pociechę w sieroctwie. Teraz już wie, czemu ją tak ciągnęła pustynia, rozumie, iż miała tam do spełnienia dzieło, które z rozdartem sercem ale duszą w niebo wzniesioną dokonała mężnie do końca. Więc gdy wieczorem dziecko do snu ułoży i dźwięki arabskiej osady zwolna milkną dokoła, myśl jej widzi w oddali klęczącego w modlitwie człowieka — tego samego, który niegdyś od modlitwy uciekał...

Śliczną jest zwłaszcza ta ostatnia część powieści, owa cierniowa droga powrotu wśród wybuchów bólu i słabnącej co chwila woli Androwskiego, kierowanego i podtrzymywanego silną wolą Domini. Znać, że to dusza potężna sama swą czystością, swą uczciwością wobec Boga, samą miłością swą wobec człowieka, którego duszę ratuje nie bacząc, że jej ziemskie życie zdruzgotał i splamił. Rzadko spotyka się powieść na tak wzniosły ton nastrojoną, nawet wśród coraz częstszych teraz katolickich powieści angielskich. Możnaby w jednym lub dwóch ustępach zarzucić pewien dysonans, tam np. gdzie głęboko wierząca Domini przyjmuje jako rzecz naturalną a nawet radosną wieść, że hr. Anteoni dotąd mętny deista, przeszedł na mahometanizm. Możnaby również zarzucić zbytni liryzm stylu nie licujący z angielskim językiem: te same zdania brzmiałyby cudownie po włosku albo po polsku. Wogóle jednak jest to rzecz bardzo piękna, unosząca myśl nie już do pustyni ale do prawdziwych »Ogrodów Niebieskich«.

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Szkolnictwo i wychowanie. *K. H. Wachtel.* Referat wydziału wykonawczego na III kongres federacyi Polaków-katolików w Ameryce.

Referent przedstawia projekt na szeroką skalę obmyślanej organizacyi szkół polskich w Ameryce. Należy stworzyć szkoły wszystkich typów, od ludowej do uniwersytetów. Kreśli organizacyę, stosunek hierarchiczny szkół, daje projekt uposażenia ich w przybory naukowe, rozmiar i sposób kształcenia nauczycieli. Nie zapomina też o uzupełnieniu nauki dla starszych; proponuje wykłady katechizmu dla starszej młodzieży i grupowanie jej w towarzystwach kościelnych. Dla utrzymania wreszcie solidarności wśród Polonii w Ameryce, wzywa do poddania federacyi Polaków-katolików w Ameryce jako władzy naczelnej wszystkich organizacyi polskich.

Pięknie te wnioski referenta się przedstawiają. Nie znając jednak dokładnie stosunków tamtejszych, nie mamy podstawy do ocenienia, czy będą one możliwe do wykonania w praktyce. Zdaje się nam, że skreślona przez p. Wachtla organizacya szkół rozbije się o przeszkodę najważniejszą, brak środków materyalnych. Obliczenie finansowe referenta nie wydaje się nam zbyt ścisłe; przypuszczamy, że choćby środki, które on przedstawia, zebrały się, nie wystarczą dla popchnięcia całej maszyny. Zważyć należy, że referent głównie liczy na opłaty szkolne. Żeby je można zebrać, muszą przedewszystkiem istnieć szkoły. Wątpić zaś należy, czy Polonia amerykańska rozporządza takimi środkami, by módz zaliczyć na budowę szkół i zorganizowanie personalu nauczycielskiego i czekać dopiero na amortyzacyę tych wkładów przez wpływające corocznie opłaty szkolne.

B.

Rozwiązanie zagadnienia ubóstwa. *Ks. Józef Stanisław Adamski T. J.*

Po określeniu pojęcia ubóstwa kreśli autor stosunek Chrystusa do ubogich i jego naukę w kwestyi ubóstwa. Dlatego Bóg dał więcej jednym, by nadmiaru swych środków mogli użyć na wsparcie potrzebujących. W tym duchu rozwiązuje problem ubóstwa encyklika *Rerum novarum;* w myśl nauki Chrystusa żąda wielki papież stworzenia organizacyi chrześcijańskiej, którąby swą działalnością leczyła nędzę. W program Leona XIII wchodzi obok niesienia pomocy biednym organizacya celem zapobieżenia ubóstwu, uciskowi możnych przez słabszych, wyzyskiwaniu wątłego stanowiska i siły społecznej tych ostatnich.

Dr. A. B.

Rosyjskie partye polityczne i ich stosunek do sprawy polskiej. *L. Płochocki.*

Dla zrozumienia obecnego stanu Rosyi kreśli autor w pierwszym rozdziale swej pracy obraz i rozwój stosunków wewnętrznych w czasie panowania Aleksandra III i za panowania Mikołaja II aż do roku 1903. W drugim rozdziale daje zestawienie stronnictw rosyjskich w przededniu wojny rosyjsko-japońskiej. Trzeci rozdział poświęcony jest zobrazowaniu stronnictw w czasie wojny. Czwarty rozdział, dla nas najaktualniejszy, o-

mawia stosunek stronnictw rosyjskich do sprawy polskiej.

Kwestye i szczegóły podane w tej pracy znane są już przeważnie z artykułów dziennikarskich, którym stosunki rosyjskie dostarczają obfitego tematu. Fizyognomia Rosyi zmienia się z każdym dniem w dobie obecnej, to też i charakter stronnictw i sposób ich ugrupowania uległ w ostatnich miesiącach zmianie odbiegającej od obrazów skreślonych przez autora. W każdym razie jako fotografia danej chwili jest książka Płochockiego ciekawym dokumentem historycznym.

L.

Do granic wiecznego lodu. *Józef K. Jakubowski.*

Opisy podróży to dział w naszem piśmiennictwie do niedawna nieszczególnie reprezentowany. Podróżowaliśmy zawsze, a raczej podróżowała tylko jedna klasa naszego narodu, warstwa najbogatsza. Ale choć podróże były częste w naszym narodzie, bo jeszcze ks. biskup warmiński wyszydza podróżomanię u nas zakorzenioną, to jednak plon z tych podróży był dla piśmiennictwa bardzo skąpy. Przyczyna tego tkwiła w tem, że ci, z których się podróżujący rekrutowali, niezbyt chętnie imali się pióra, by swemi wrażeniami podzielić się z szerszym ogółem. Dopiero gdy ulepszenie i potanienie środków komunikacyjnych zdemokratyzowało podróże, u czyniły je przystępniejszemi dla warstw szerszych, rośnie i piśmiennictwo, wzbogaca się opisami podróży jużto trzymanymi w tonie fejletonowym, jużto podającymi naukowe wyniki podróży.

Do opisów czysto popularnych należy książka, którą mamy przed sobą. Autor rejestruje i opisuje po prostu to, co w podróży swej z Kilonii koło wybrzeży Norwegii aż do Spitzbergen widział, jakich wrażeń doznawał. Czyni to po prostu, opowiada to, co widział i dowiedział się. Niema ni śladu barwności opisu, lekkości i potoczystości opowiadania, głębszego odczucia wrażeń, jakie dać może oryginalna, groźna a piękna przyroda północy. Brak zatem tych najważniejszych przymiotów, które czynią opisy podróży zajmującymi dla czytelników. Za to, jeśli czytelnik chce dowiedzieć się o życiu ludów w krajach, które autor widział, zaczerpnąć nieco wiadomości o organizacyi społecznej, poznać miasta zwiedzane, to opowiadanie autora zawiera cenne w tym kierunku informacye. *B.*

Mikołaj Rej z Nagłowic. W czterechsetną rocznicę urodzin. 1505—1905. *Jan Bystrzycki.*

Obchód rocznicy urodzin Reja wywołał żywy ruch na polu literackiem. Powstało wiele prac o większej lub mniejszej wartości naukowej, zajmujących się tym pisarzem.

Do kategoryi prac popularnych należy broszurka, którą omawiamy. W sposób krótki i przystępny przedstawia w niej autor działalność literacką Reja i jego znaczenie w literaturze. Autor trafnie określa go jako popularyzatora wielkiego ruchu umysłowego XVI wieku. *I.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z katolickiego życia Holandyi.

Po obaleniu gabinetu Kuijpera zdawało się, że dla rządów liberalnych w Holandyi nastanie powoli złota era; lewica otrzymała wówczas 52 głosów przeciwko 48 prawicy. Z taką większością, dość trudno swoją drogą rządzić; tymczasem stosunki jeszcze się pogorszyły. W warowni liberalizmu, w Leyden, zrzekł się mandatu liberalny deputowany, dr. van der Vlugt; sprzymierzeni katolicy i protestanci przeprowadzili tu swego kandydata d-ra de Viszer; wzajemny więc stosunek dwóch zwalczających się w parlamencie stronnictw wynosi obecnie 51 przeciwko 49. Lewicę tworzy: 11 wolnomyślnych demokratów, 8 staroliberałów, 25 liberałów związkowych i 7 socyalistów; na prawicę składa się 25 katolików, 15 antyrewolucyonistów i 9 chrześcijańsko-historycznych. Kiedy jednak stronnictwo liberalne tylko zewnętrznie spaja negatywne hasło: »przeciw klerykalizmowi«, a różni je niesłychanie wiele zapatrywań i poglądów, przedstawia stronnictwo antyliberalne inny zupełnie obraz, a dowodem silnej i solidarnej łączności są właśnie wybory w Leyden.

Dwoma przeciwnymi sposobami starano się prawicę rozbić; za taran, który miał w niej zrobić wyłom, służył dla protestantów dawny straszak »Rzym«.

»Do zjednania sobie stronników, pisze protestancki teolog, dr. de Viszer, w *Nederlander*, służy dzisiaj jeszcze słowo »Rzym«. Śmiech pusty porywa, gdy się patrzy, jak liberali operują tym straszakiem między prawowiernymi protestantami, tem bardziej, gdy sobie przypomnimy, że ci sami liberali począwszy od Thorbecken'a a skończywszy na Borgesiuszu o łaski Rzymu żebrali... Oba stronnictwa (lewica i prawica) liczą się na seryo z Rzymem, nie tylko dla wielkiej liczby naszych katolickich współbraci, ale także dla wielkiej umysłowej i religijnej potęgi Rzymu, z tą jednak różnicą, że prawica liczy się z Rzymem śmiało i otwarcie, a lewica za kulisami... Nieszlachetnie postępują liberali, którzy chcą zjednywać stronników dla swych kandydatów podburzaniem protestantów przeciwko katolikom. Tym sposobem chcą wywołać wrażenie, jakoby ich kandydaci lepiej bronili interesów protestanckich od samej prawicy. To jest po prostu oszustwem, dlatego najpierw, że polityka liberałów za kulisami uczy czegoś całkiem innego, powtóre, że negatywny protestantyzm liberalny niema w sobie żadnej siły odpornej przeciwko jakiejkolwiek zasadzie pozytywnej, religijnej lub kościelnej, że wreszcie każdy choć trochę z praktyczną polityką obeznany dobrze rozumie, że liberali względem prawowiernych protestantów zajmują stanowisko bardziej wrogie i nieprzychylne, jak względem katolików. Gdy to nasi współwyznawcy zrozumieją, nie pozwolą się dłużej przez liberałów przeciwko Rzymowi podburzać«.

Niebezpieczniejszem dla sprawy było pewne rozdwojenie, które zaczęło zagrażać samemu już stronnictwu katolickiemu. Pojawiły się w tem stronnictwie dwa sobie wprost przeciwne prądy. Jedni z roterdamskim *Maasbode* i amsterdamskim *De Tijd* uważali stronnictwo katolickie w Holandyi nie za polityczne, ale za religijne. »Granice działalności Kościoła katolickiego i katolickiego stronnictwa w Holandyi, pisał *De Tijd*, pomijając kilka drobnych różnic, schodzą się z sobą. Katolicy holenderscy tworzą równocześnie stronnictwo wyznaniowe i polityczne, a te stronnictwa w rzeczywistości są czemś jednem«. Ponieważ naczelny kierownik *Gelderlander'a*, van Term, głosił inne zapatrywanie, pewien odłam

prasy gwałtownie przeciwko niemu i jego sojusznikom wystąpił i prawie że od katolicyzmu odsądził.

Tymczasem dawny wielki wódz holenderskich katolików, Schaepman, uwydatniał zawsze polityczny charakter katolickiego stronnictwa i chciał je widzieć ukształtowanem na wzór niemieckiego *Centrum*. Sądzono, że tym sposobem łatwiej będzie można zjednać sobie protestantów, jeżeli katolickiego charakteru partyi nie będzie się zanadto wyszczególniać, że równocześnie ominie się dużo innych trudności. Na poparcie swego twierdzenia przytoczył van Term charakterystyczne zdanie pewnego kapłana, który tak dalece identyfikował pracę religijną z polityczną i socyalną a raczej socyalną i polityczną za tak mało znaczącą w porównaniu z religijną uważał, że słysząc o kształtowaniu się związków robotniczych, zapytał naiwnie: »Na cóż nam związków robotniczych? mamy przecież kongregacye męskie«.

Szczęściem te różnice zdań nie sięgały tak głęboko, żeby aż na prawdę zagroziły jedności katolickiej. »My katolicy, mógł powiedzieć deputowany dr. Aalberse, tworzymy największe polityczne stronnictwo w kraju. W naszych okręgach wyborczych jesteśmy doskonale zorganizowani. Brakuje nam tylko centralnego kierownictwa... Jedność, która teraz panuje, musi w czasie pokoju być wzmocnioną i na przyszłość zapewnioną«. Tem centralnem kierownictwem miałaby być komisya polityczna, któraby objęła ogólne kierownictwo stronnictwa katolickiego, w czasie wyborów czuwała nad całym krajem i starała się o to, żeby wszędzie tej samej taktyki się trzymano.

Ta myśl d-ra Aalberse'go zasługuje ze wszech miar na uwagę, gdyż wbrew jego twierdzeniom organizacya wyborcza katolików nie wszędzie w Holandyi jest bez zarzutu a bez takiej organizacyi o silnem stronnictwie i mowy być nie może.

Dowodem rozumnej jedności i łączności katolików i protestantów w Holandyi w pracy dla ogólnego dobra, nie tylko w parlamencie ale i w życiu codziennem, jest wspólnie podjęta walka przeciwko niemoralności. »Im silniejszą rozwiniemy akcyę przeciwko wszystkiemu, co w życiu podkopuje i niszczy obyczaje, pisze organ reformowanych *De Heraut*, tem łatwiej przyjdzie rzą-

dowi ze swej strony to zło zwalczać. Wielką siłę odporną mieści w sobie wzmocnienie ducha religijnego. Francya, gdzie życie rodzinne zanika, stoi też najniżej pod względem moralnym; rozdział między moralnością i religią był i tu wielkim błędem a chociaż dzisiejsi filozofowie chlubią się swą wyzwoloną moralnością, która religii nie potrzebuje, praktyka życia wykazuje zawsze nieubłaganie, że moralność bez religii na wielkie masy najmniejszego wpływu nie wywiera. Przedewszystkiem starać się o to trzeba, żeby wychowanie młodzieży oprzeć znów na podstawie religii chrześcijańskiej. Tego wymaga nie tylko osobisty interes chrześcijańskich rodziców, ale interes narodu. Bez chrześcijańskiej szkoły o moralności narodu mowy być nie może«.

Słowa te zasługują z pewnością na to, aby nad niemi dobrze się zastanowiły nasze rozmaite kółka etyczne, ożywione najszlachetniejszymi zamiarami, ale w nieuzasadnionej lekkomyślności, niechęci i lekceważeniu ślepe na istotny związek religii z etyką i na ten olbrzymi wpływ, jaki na szerokie masy dobrze zrozumiana religia wywiera.

Warto wreszcie zaznaczyć jeden jeszcze szczegół, oświetlający stosunek protestantów do katolików w Holandyi. Natychmiast po strasznej katastrofie okrętowej w Hoek van Holland, zjawił się na miejscu nieszczęścia kapłan katolicki i razem z innymi udał się wśród tysiącznych niebezpieczeństw i trudności na pokład zburzonego okrętu, aby udzielić umierającym pociech religijnych. Ten fakt wywołał w Holandyi zdumienie i uwielbienie. »Dziwnem było, pisze *De Heraut*, że z łodzią ratunkową wybrał się tylko kapłan katolickiego Kościoła, aby znajdującym się w niebezpieczeństwie śmierci ofiarować swą pomoc religijną. Uwielbiamy odwagę tego księdza. W nim przynajmniej żyło przekonanie, że w takiej chwili potrzebną była pomoc nie tylko dla ciała, ale także dla duszy. Ale nas protestantów taki przykład upokarza. Ani jeden z pastorów nie odważył się spieszyć z pomocą. Nie było nawet słychać o jakiejś pociesze duchownej, udzielonej uratowanym albo głęboko zasmuconym krewnym zmarłych... Nasza protestancka obojętność bardzo ujemnie odbija od takiej gorliwości. Kościół katolicki przez takie postępowanie zyskuje w opinii

publicznej niesłychanie wiele na wpływie i znaczeniu. Dla naszych protestanckich kościołów dobrzeby było, raz wreszcie poważnie nad sobą się zastanowić«. Do tego chóru głosów różnych protestanckich dzienników przyłączył się także głos żydowskiego pisma *Weekblad vor Israelitische Huisgezinnen,* ubolewającego, że żaden rabin nie udał się na miejsce wypadku i podnoszącego z naciskiem bohaterską odwagę katolickiego kapłana. »Proboszcz z Gravezande nie wiedział, czy między ofiarami znajdują się katolicy, a jednak pospieszył na miejsce katastrofy i błagał burmistrza, aby mu pozwolił z innymi udać się na okręt; obojętnem mu było, jakiego wyznania byli dotknięci nieszczęściem, gdyż i Zydzi w godzinę śmierci mogli zażądać jego pomocy. Czuję głęboką cześć dla tego katolickiego kapłana i w tym żydowskim organie składam mu hołd«.

W tym samym czasie urzędnicy francuscy odpychają księdza, który spieszył z Najświętszym Sakramentem do ofiar eksplozyi na okręcie w Tulonie a minister marynarki, Thomson, interpelowany w parlamencie, o tę wprost nikczemną zbrodnię oświadcza cynicznie, że nie można było księdza do konających dopuścić, ponieważ żaden z rannych (wszyscy byli ciężko ranni) tego nie żądał.

Ze stosunków w Belgii.

Posiedzenia belgijskiego parlamentu rozpoczęły się, jak to łatwo zrozumieć można, pochodami socyalistów i liberałów. Miały one na celu zjednać ludność dla prawa o przymusie szkolnym. Katolicy zajmowali wobec takiego prawa stanowisko odporne dlatego, ponieważ liberalizm belgijski zachęcony swego czasu przez kulturkamf pruski i pchany przez lożę belgijską przyjął w swój program przymusową szkołę zlaicyzowaną bez wykładu religii i dążył do urzeczywistnienia tego przymusu za ministeryum Frère van Humbeck'a.

Od tego czasu dużo jednak się zmieniło. Katolicy skłaniają się do prawa o przymusie szkolnym a nie tak dawno temu deputowany katolicki Carton de Wiart w liście do burmistrza brukselskiego wypowiedział się otwarcie za przymusem szkolnym, z tem jednak zastrzeżeniem, żeby przymus nie ograniczał wolności wykładu czyli nie znosił nauki religii. Tego ostatniego żądali libe-

rali, z tem hasłem urządzali swoje pochody po miastach, w swych bezwyznaniowych szkołach rozdają między uczniów ubogich rodziców różną żywność, aby dzieci katolickie do szkół swych ściągnąć, pozornie jednak chcą zadośćuczynić życzeniom katolików; twierdzą, że nie tylko nie myślą znieść wolności nauczania, ale zostawią nawet każdemu wolność posyłania dzieci do jakiejkolwiek szkoły.

Może liberalni tym razem szczerze tak myślą i mówią, choć z pewnością nie z miłości dla religii i katolików; ton jednak w stronnictwie opozycyjnem w parlamencie nadają radykali i socyaliści, a oni wyraźnie świeckiej i bezwyznaniowej szkoły żądają; ich zaś wódz i mowca, dawny brukselski burmistrz, Buls, który orzekł niedawno, że jeżeli chodzi o walkę z klerykalizmem, przyjmie chętnie i szatana za sojusznika, oświadczył bez ogródki, że lewica stoi niewzruszenie przy swoim programie.

Ponieważ jednak większość parlamentarna znajduje się po stronie katolików, jest pewnem, że ta większość antyreligijnego prawa nie przyjmie; z tej więc strony niebezpieczeństwo nie grozi. Może jednak grozić z innej strony, gdyż katolicka większość parlamentarna od kilku ostatnich wyborów stale się zmniejsza, żeby więc ducha katolickiego ożywić i lepiej się zorganizować powzięto myśl zwoływania corocznych wieców katolickich, na wzór wieców niemieckich. Szczególniej deputowani Hellepute i Verhaeghen rozentuzyazmowali się dla tej myśli, usiłowania ich poparła pewna część prasy belgijskiej a prezesi rozmaitych związków i stowarzyszeń katolickich, jak np. ligi demokratycznej lub *Cercles catholiques* postanowili ustanowić komisyę, któraby się zajęła organizacyą podobnych wieców. Wszyscy belgijscy biskupi chcą *in corpore* wziąć udział w pierwszym zjeździe, który na życzenie arcybiskupa Mechlinu prawdopodobnie tam się odbędzie.

Z Hiszpanii. Niebacznie w Hiszpanii wywołana walka kulturna skończyła się upadkiem gabinetu liberalnego a ujęciem steru rządu przez konserwatywnego Maurę, który pragnie również prawo o kongregacyach ograniczyć, chce to jednak uczynić w porozumieniu z Rzymem. Maura zrozumiał dobrze, że radykalizm w rze-

czach religijnych w Hiszpanii nie prowadzi do celu; wykazały to ostatnie lata.

Rządy liberalne udowodniły jasno, że nie dorosły do wymagań chwili, wszak nawet hasła antyreligijne, pod któremi walczyły, obronić ich nie mogły. To też prasa hiszpańska uznała jednogłośnie, że powrót konserwatystów do rządów jest dobrodziejstwem dla kraju, gdyż położy kres gospodarce i anarchii, wykwitłej z rządów liberalnych. Prasa nie tylko katolicka, ale republikańska nawet i liberalna, krytykuje ostro zazdrość panującą w stronnictwie liberalnem, gonitwę za godnościami i ubieganie się o przodownictwo.

Na pytanie, co zawdzięcza Hiszpania ośmnastomiesięcznym rządom liberalnym, odpowiedziano z liberalnej strony: nowych dwadzieścia pensyi dla dymisyonowanych ministrów — to wszystko.

Zawdzięcza im jednak jeszcze co innego. Liberalizm zwalczał wszelkiemi siłami podstawę prawa i socyalnego porządku, katolicyzm, i przyczynił się tem do silnego wzmocnienia i rozrostu anarchizmu, którego siedliskiem dziwną ironią losu stała się Barcelona. Anarchizm i liberalizm podały sobie ręce i godziły razem w Kościół i katolików. Kiedy w ostatnich dniach stycznia kilkadziesiąt tysięcy katolików zgromadzonych w Barcelonie protestowało przeciwko prawu o kongregacyach, anarchiści barcelońscy z rewolwerami w ręku rzucili się na katolików, gdyż cały protest i zgromadzenie nie było po ich myśli. Mimo to słyszeliśmy zdanie, że bójkę rozpoczęli klerykali i że mordercy anarchiści byli sprowokowani, *Nowa Reforma* pouczyła nas nawet, razem z podobnemi sobie pismami, że pierwsze strzały padły ze strony katolików. *Les ésprits forts se rencontrent,* a b r a t n i e organy inaczej o pokrewnych sobie duchem i dążnościami osobnikach pisać nie mogą.

Podwójna miara.

Stara scholastyka zaciera z radości ręce, widząc, jak pruska polityka zrozumiała jej adagium: *duo si faciunt idem, non est idem.* W imię prawa i miłości narzuconej ojczyzny skazuje się na więzienie księży i polskich redaktorów, na więzienie i kary pieniężne ubogich włościan, na rózgi i areszty niele-

tnie dzieci, wypędza z gimnazyów polską młodzież, ponieważ nie chce uznać korzyści pruskiej kultury i chce się modlić do Boga w języku ojców. Równocześnie w Węgrzech hr. Apponyi przygotowuje nowe prawo o szkołach ludowych, na mocy którego pozwala wprawdzie na szkoły niemieckie, ale żąda, aby one uwzględniały język węgierski i tym, które ten język uwzględniają, daje pierwszeństwo przed innemi — i cała prasa niemiecka staje do walki przeciwko hr. Apponyi'emu. »Nie tylko względy uczuciowe zmuszą Niemców w cesarstwie i z tamtej strony Leity do zajęcia się pół trzecia milionami Niemców w Węgrzech. Od nas z kraju musi wyjść głośny protest przeciwko rozszerzaniu granic Azyi aż do bram Wiednia«, pisze inspektor szkolny Rzesnitzek w *Tag*.

Gorzko, bardzo gorzko brzmi odpowiedź kolońskiej *Volkszeitung*. »Nigdzie w ucywilizowanym i nieucywilizowanym świecie nie uwzględnia się tak mało językowych praw mniejszości, jak u nas. Żaden rząd nie obchodzi się z żadnym narodem tak twardo, jak pruski z Polakami... Czyż chcemy się koniecznie na śmiech narazić? Czy rząd węgierski nie może nam słusznie odpowiedzieć: starajcie wy się o waszą Azyę w Poznańskiem? Nigdzie nie znajdzie hr. Apponyi tyle materyału do uzasadnienia swej polityki szkolnej, jak w błogosławionym kraju doświadczeń wynaradawiania. W kraju Borusów może się on nawet zapoznać z taką pedagogią, o której Pestalozzi i Diesterweg nie mieli pojęcia, z tą mianowicie zasadą, że dziecko najlepiej pozna podstawy wiary chrześcijańskiej, jeżeli będą mu one podane w języku obcym, którego albo zupełnie nie rozumie, albo źle... Jeżeli więc jest słusznem i sprawiedliwem, kształcić dzieci w języku państwowym, wykład w ojczystym języku zupełnie pominąć i nawet prywatną naukę w tym języku znieść, jeżeli to wszystko jest sprawiedliwem, wtenczas hr. Apponyi może się jeszcze dalej posunąć, a nam, bez narażenia się na usłyszenie gorzkich słów prawdy, nie wolno do tej sprawy się mieszać«.

Te słowa nie przemówią wprawdzie do przekonania junkrów, bo za nimi stoją w odwodzie bagnety i siła, bo przedewszystkiem ratuje ich dawne *adagium* starej scholastyki.

Pisząc choć mimochodem tylko o strejku szkolnym, nie mo-

żemy pominąć jednego jeszcze szczegółu. Ból gorzki na prawdę przejmuje serce, gdy w tych ciężkich czasach, w których tak nam potrzeba zwartej jedności i wspólnej pracy, niektóre gazety z bezdenną wprost lekkomyślnością bawią się w plotki, niegodne poważnej prasy i insynuacyami i podejrzeniami szerzą nieufność i niechęć. Raz słyszymy, że katedrę poznańską obejmie Polak o usposobieniu niemieckiem, to znowu, że ks. biskup Likowski wydaje poufny okólnik, nakazujący księżom pracować nad usunięciem strejku i tak dalej bez końca. Czyż zadaniem naszej prasy jest zniesławiać bliźniego? Czyż dlatego, że ktoś jest księdzem, niema już prawa do dobrego imienia? Czyż trzeba koniecznie do niego społeczeństwo zniechęcać? Czyż ta prasa, której kierownicy z Kościołem nic wspólnego nie mają, po to tylko istnieje, żeby biskupom pod zaborem ich i tak już ciężkie stanowisko utrudniać? Czyż rzeczywiście plotka, sensacya, nieuzasadnione podejrzenie, ma być najwyższem zadaniem tego odłamu polskiéj prasy, który z dumą nazywa się prasą postępową? Jeżeli postęp ten polegać ma na pomiataniu prawem ludzkiem i bożem, na szerzeniu wzajemnej nieufności, na zniechęcaniu i stronniczych sądach, na wyrabianiu fałszywych poglądów, na insynuacyach, to jest on smutnym bardzo postępem. Żeby taki cel osiągnąć, do tego nie potrzeba prasy; lepiej i prościej do tego celu zdąża ten rodzaj ludzi, który Niemcy nazywają *Klatschbasen.*

Obce głosy o Francyi.

Trzydzieści pięć milionów katolików Francyi, powiedział niedawno Combes, można spokojnie, przy bliższem rozpatrzeniu się, zredukować do pięciu lub sześciu milionów. Przyczyn tego zjawiska jest dużo, kilka z nich rozbiera arcybiskup westminsterski. Episkopat, pisze on, był na mocy konkordatu, niemożliwie ograniczony; większość narodu nie bierze udziału w życiu politycznem, a wszystko, co naród ma lepszego i zdolniejszego, uważa w dzisiejszych warunkach karyerę polityczną za niegodną szanującego się człowieka; rząd scentralizowany wywiera za wielki nacisk na wybory i uniemożliwia ich wolność; urzędnik ma do wyboru: albo iść przeciw głosowi własnego sumienia albo wyrzec się karyery; życie prywatne otoczone całą siecią szpiegów·

Katolicy francuscy, piszą *Neue Züricher Nachrichten*, robią wrażenie »czegoś osłabionego, czegoś omdlewającego; brak w nich zszeregowania się, brak siły i męstwa, głębokich przekonań«. Jeżeli program katolików niemieckich jest jednolitym pod każdym względem, we Francyi miejsce takiego programu zajmuje rozdwojenie i brak jasno wytkniętego celu, przedewszystkiem jednak brak odpowiedniej, wymagania czasu uwzględniającej prasy.

Dla prasy Francya nic prawie nie zrobiła, to też nie dziw, że opinię urabia jednostronnie *Matin* albo tendencyjny *Temps*. Paryż posiada obecnie dwa dzienniki katolickie: *La Croix* i *L'Univers*. *La Croix* bije podobno 200.000 egzemplarzy, nie odpowiada jednak swojemu zadaniu i na intelligentne masy wpływu wielkiego nie wywiera. Dobrze redagowany republikański *L'Univers* liczy 3.200 abonentów, o jakimś wpływie nie może być mowy. Z drugiej strony *Matin* ma 450.000 prenumeratorów, *Journal* 650.000, *Petit Parisien* 1,250.000.

Samo to zestawienie mówi więcej, jak całe tomy dzieł. »Ono pokazuje, jak ciężkiemi są winy katolików, gdy tak zaniedbali katolicką prasę: winy te teraz gorzko się mszczą«. Tem bardziej gorzko się mszczą te winy, że tak prawdziwie genialną była rada, jaką swym współwyznawcom przed pięćdziesięciu laty dał żyd Cremieux: »miejcie sobie wszystko za nic: za nic pieniądze, za nic poważanie; prasa jest wszystkiem. Mając prasę, będziemy mieć wszystko«.

Życzyć sobie tylko należy, żeby podobne głosy przedostały się do Francyi samej, a powoli i otrzeźwienieby przyszło.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z codziennej prasy.

Watykan przed sądem *Nowej Reformy.*

Pod nagłówkiem »Walka o głagolicę« pisze *Nowa Reforma* w nrze 100-ym z 1-go marca 1907-go:

»Narodowości słowiańskiej dał Watykan przed lat tysiącem z górą przywilej używania języka narodowego w obrzędach kościelnych... (przeciw temu przywilejowi) kret germański ciągle rył i kopał pod słowiańską zagrodą... Zawiść rasowo polityczna blizką była zwycięstwa za Leona XIII, ale rozsądek sfer watykańskich zdołał się jeszcze oprzeć pokusom dyplomatycznym...

»Przeciwnicy powiadają, że liturgia słowiańska w Kościele rzymskim jest pomostem do prawosławia... wymogli na kongregacyi rzymskiej, że 18 grudnia 1906 r. uchwaliła usunąć przywilej słowiański i wyrzucić z Kościoła chorwackiego rytuał chorwacki.

»Watykan nie skorzystał tutaj z doświadczenia. Przecież już przed pięciu laty w słowieńskiej wiosce Ricmaniu biskup usunął księdza odprawiającego nabożeństwo po słowiańsku, a jednak, choć mury kościelne parafianom przemocą odebrał, nie zdołał wciągnąć nikogo na nabożeństwo łacińskie. Do dzisiaj pogrzeby w Ricmaniu odprowadza wójt na cmentarz, ludność zawiera tylko śluby cywilne, a dziecku jeszcze ani jednemu chrztu od owego czasu nie wydzielono... nikt słyszeć już nie chce o Rzymie.

»Mimo tego doświadczenia Rzym wydaje rozporządzenie ograniczające liturgię słowiańską... poszczególnym tylko ołtarzom ma być przyznane to, co, według historyi i dokumentów, jest własnością całego narodu.

»...w sprawie tej pielgrzymowały poselstwa świeckie i duchowne do papieża. Ale teraz postanowiono przemówić nie prośbą, ale groźbą«. Następnie *Nowa Reforma* wymienia, gdzie w Dalmacyi i Chorwacyi powstała burza z groźbami przeciw Watykanowi i podniesiono hasło wolności wyznaniowej oraz prośbę, aby sejm tak długo z budżetu nie przyznał Kościołowi żadnych zasiłków, dopóki głagolica nie będzie wszędzie zaprowadzona.

Tak występuje *Nowa Reforma* przeciw n i e d o ś w i a d c z o n e m u Watykanowi; nie mogłaby inaczej postąpić, gdyby służyła naszym przeciwnikom: na ich zarzuty musimy tak odpowiadać, jak przemawiali nasi apostołowie słowiańscy, Cyryl i Metody, aby znaleźć w pa-

pieżach obrońców słowiańskiej liturgii przed potwarcami. Musimy najprzód złożyć oczywiste i najbardziej stanowcze dowody ducha na wskroś katolickiego, a następnie wyłuszczyć ściśle naukowo dziejowe i teologiczne względy, które przemawiają za liturgią słowiańską. Wszystkie wybuchy gniewu a tem bardziej pogróżki służą dla przeciwników za dowód, jakoby nie katolicki to duch w nas przemawiał za słowiańską liturgią, tylko właśnie nastrój ducha skłonnego do odszczepieństwa. Wszelka gadanina nieścisła i brak wiedzy dokładnej w tej sprawie wystawia nas tylko na szyderstwo u wrogów głagolicy, tem silniejszych, im mniej rzeczowo sprawy bronimy.

A właśnie *Nowa Reforma* przedstawia i zwolenników głagolicy i samą siebie w świetle najmniej korzystnem dla słowiańskiej sprawy w Rzymie, a najpożądańszem dla przeciwników. Nadto przedstawia samą sprawę tak opacznie, jakby chciała ją zdradzić przez niezdarną obronę.

Przedewszystkiem nieprawdę pisze, że Kongregacya 18 grudnia 1906-go roku uchwaliła usunąć przywilej słowiański i wyrzucić z Kościoła chorwackiego rytuał chorwacki: bo przeciwnie wyrok kongregacyi ocalił głagolicę w rozmiarach obecnie możliwych.

Nie było możliwem wszędzie zaprowadzać głagolicy, (jak przepisuje prośba do sejmu), bo sama *Nowa Reforma* przyznaje zasadę równych praw i dla łaciny i dla głagolicy: więc żadnego z tych języków nie można wyrzucać z Kościoła. A za każdym z nich stoi obóz, który tylko dla niego żąda praw z krzywdą drugiego. Więc Rzym orzekł, żeby każdy Kościół zachował nadal swój odwieczny język, a gdzie jeszcze za dość świeżej pamięci, z przed trzydziestu lat, nastąpiła zmiana języka łacińskiego na słowiański, tam wrócić ma język dawny i stan ten ma odtąd żadnym nie ulegać zamachom.

I tylko za zasadą równych praw świadczą dzieje, a nie za wyłącznem prawem głagolicy; tylko częściowo służyło jej to, co, według *Nowej Reformy*, jest własnością całego narodu, ale nie według historyi i dokumentów. Niech *Nowa Reforma* przejdzie dzieło źródłowe Farlattiego *Illiricum sacrum*, a ze wstydem pozna, że nie obznajomiona ze sprawą przed swój sąd pozwała Watykan.

Nadto w szczegółach mniejszej wagi *Nowa Reforma* ciągle odbiega od prawdy: a przeciwnicy nasi umieją każdy drobiazg podchwycić w lot i wyśmiać nas Słowian, iż praw swoich dowodzimy polotną wyobraźnią. Wyśmieją nas, że nam przywilejów udzielał przed tysiącem z górą lat Watykan, kiedy był jeszcze niezamieszkaną górą *extra*

muros. Radzi chwycą nowinę, że dopiero od dziewiątego stulecia wywodzimy słowiańską liturgię, od czasów Focyusza, a pomijamy świadectwo Jana Dyakona o słowiańskim języku w liturgii z przed czasów awarskich w Illiryku. Wdzięczni usłyszą o naszym przywileju, bo w przywileju widzą wyjątek z prawa powszechnego, a tymczasem u Farlattiego czytamy pisma papieskie z wywodem, że nie wbrew prawu, ale na mocy zwyczajów Kościoła Powszechnego Grecy i Łacinnicy, Chaldejczycy i Kopci, Ormianie i inni używają swojego języka w służbie Bożej, że zatem Słowianie słusznie zachowują swój język, używany od najdawniejszych czasów, może już nawet od czasów Hieronima. Tak piszą papieże, aby bronić słowiańskiego języka przed napastnikami i wykazać im, że powszechnego prawa kościelnego nie poważali czy nie znali, kiedy żądali przywileju wyłącznego dla łaciny. Nieumiejętnie bronimy swojego prawa, kiedy nie znamy jego źródeł i zamiast mieć za sobą papieża przeciw przywilejom łaciny, nalegamy tak na niego, że musi stanąć przeciw nam i bronić praw łaciny przed rzekomym przywilejem całego narodu do głagolicy. Nie zna dalej stosunków *Nowa Reforma*, kiedy za przeciwników głagolicy dziś uważa kreta germańskiego: tym razem zupełnie kto inny pod słowiańską zagrodą ryje ziemię, szczęśliw, iż winowajców szukamy o setki mil dalej. Również mylnie donosi *Nowa Reforma*, że za Leona 13-go zawiść blizką była zwycięstwa nad głagolicą. Rzadko który papież tyle zdziałał w obronie liturgii słowiańskiej, tak jej strzegł nawet przed łacińskimi wpływami, jak po Benedykcie 14-ym właśnie Leon 13-ty. Dość już wytykać *Nowej Reformie*, że niedość przygotowana do sądu, śpieszy z wyrokiem na »niedoświadczony« Watykan. Nieszczęsna sprawa w Riemaniu, rozruchy po miastach dalmatyńskich, uchwały młodzieży chorwackiej przeciw Rzymowi, występy *Nowej Reformy:* wszystko to woda na młyn przeciwników a niedźwiedzia przysługa dla słowiańskiej liturgii. Aby jej dopomódz, przedewszystkiem trzeba przemawiać w duchu katolickim, a tego ducha *Nowa Reforma* okazuje codzień mniej — niestety.

Ks. K. Czaykowski.

Z nowości geograficznych.

Francuska Sahara.

Konferencya w Algericas zwróciła oko Europy na interesa francuskie w północnej Afryce, których jednym momentem tylko jest sprawa marokańska. Jak w Egipcie panuje Anglia, tak na zachodzie Afryki północnej Francya. Ze swych dawnych posiadłości Tunisu i Algieru, wyciąga Francya swą rękę ponad całą Saharę i podaje ją już swym koloniom nad Nigrem i we francuskiem Kongo. Wszystko to stało się cicho, w skromnej formie wypraw naukowych. Prawda, że wyprawami temi kierowali wyłącznie prawie wojskowi, w otoczeniu silnej eskorty wojskowej, że każda taka wyprawa kończyła się zatknięciem francuskiego sztandaru na coraz głębiej położonych oazach. Ale bądź co bądź wyprawy te były rzeczywiście naukowemi, a nazwiska kapitanów: Fly Saint Marie (1904), Caillies, prof. Gautier i Chudeau, Dinau, Cauvin, Cortier, przedewszystkiem zaś kap. Laperrin i Thevenieux w ostatnich dwu latach okryły się sławą i niemałą zasługą na polu geografii, tak dla bohaterskich swych wypraw, jak i dla wyników badań.

* * *

Przez długie czasy wyobrażano sobie, że Sahara, ta olbrzymia martwa przestrzeń, wielka prawie tak, jak Europa cała (160.000 mil kwadr.), to równa jak stół powierzchnia piaszczysta, jednostajnie pochylająca się ku środkowi ze wszystkich stron, tworząc w ten sposób płaską kotlinę, której wnętrze leży znacznie niżej od poziomu morza. Tu i ówdzie tylko przerywa ogólną monotonię łańcuch piaszczystych wydm. Wychodząc z takiego założenia, kombinowano, w jakiby też sposób można tę olbrzymią płaszczyznę przywołać do życia, zyskać dla kultury... no i może dla kapitału. Między innymi projektami traktowano całkiem na seryo jeden, a mianowicie, aby Saharę zamienić na może śródlądowe, przez doprowadzenie tam wody morskiej. Nie wątpiono w możliwość tego przedsięwzięcia, gorliwie tylko debatowano nad ewentualnymi skutkami tego projektu, a mianowicie: obawiano się powrotu czasów lodowcowych w Europie i znacznego obniżenia temperatury; gdyby Saharę zamieniono w morze, Europa byłaby pozbawioną gorących wiatrów, wiejących z pustyni.

Ale wszystkie te rozumowania były błędne. Ani wiatry pustynne z gorącej Sahary nas nie dochodzą i nie podnoszą temperatury na-

szego klimatu — jak utrzymuje większość klimatologów — ani też Sahara nie jest kotliną, którą możnaby było zalać morzem. Tylko kilka miejscowości na południe od Tunisu i oazy Ammona, znanej w starożytności z pobytu tam Aleksandra W., leżą nieco niżej od poziomu morza.

W rzeczywistości Sahara jest krajem o bardzo urozmaiconej powierzchni. Wielkie góry wznoszą się do 2.500 m. wysokości, pełno skalistych płaskowzgórz, kotlin z gliniastem dnem i słonemi jeziorami, mnóstwo urwisk i stref z wydmami piaszczystemi, obok urodzajnych oaz i piasek nawet, ten nieodrodny przedstawiciel pustyni w naszej fantazyi, nie wszędzie się znajduje. Czasem, jak okiem sięgnąć, ciągnie się płaszczyzna kamienna, bez śladu roślinności i wody. Oko widzi tam tylko głazy, okruchy skalne, lub kompletne morza z kamieni małych, okrągłych, jednakowej wielkości kamyczków, zwanych po arabsku *serir*. Czasem karawana po kilkudniowej wędrówce taką pustynią kamienną, nagle staje przed stromą ścianą skalną; to jak gdyby próg, po którym wstępuje się na nową, jeszcze wyżej położoną znowu kamienną pustynię. Czasem znowu, stanąwszy na takiej wyżej położonej płaszczyźnie kamiennej, rozglądnąwszy się dokoła po widnokręgu, przekonuje się karawana, że stoi na skale-wyspie, t. j. na płaszczyźnie kamiennej, która ze wszystkich stron opada stromo, zupełnie jak skalista wyspa do morza. Wyspy te pustynne są zazwyczaj jednej, równej wysokości wszystkie, robiąc wrażenie, jakgdyby z tej okolicy tylko co ustąpiło morze. Bliższe badanie pokazuje, że to wiatr wydmuchał grunt lotniejszy, pozostawiając twardsze skaliste wyspy.

Góry Sahary niczem nie są pokryte, kamieniste, puste, martwe. Prawdziwie kamień na kamieniu tu rośnie. Tylko w trzechmiesięcznej porze zimowej pokrywa się sam szczyt śniegiem.

W głęboko wyżłobionych dolinach szumią tam po deszczach przepaściste potoki, rwąc głazy, tocząc kamienie i żwir na niziny, gdzie wkrótce choćby najpotężniejsze potoki giną bez śladu, w przepuszczalnym pustynnym terenie — bez najmniejszego nawadniania okolicy. I tylko same doliny górskie i brzegi tych potoków przedstawiają wtedy bujną roślinność — reszta to najdziksza pustynia. Wprawdzie nie jest Sahara pozbawioną całkowicie roślinności; znaleźć można na skałach osiadłe mchy suche, kolące, albo coś w rodzaju naszych ostów i bodiaków, ale to wszystko tak nikłe i wysuszone, że nawet wielbłąd nie uważa tego za roślinę i tknąć się tego nie chce. Wyjątek stanowią oazy. Gdzie odpowiednia gleba potrafi zatrzymać wilgoć lub wodę od

czasu jednego deszczu do drugiego, lub gdzie się sączy źródło wpośród piasków, tam powstaje oaza. Palmy daktylowe dają cień i owoc, trawa obfita paszę dla wielbłądów. Od oazy do oazy ciągną karawany utartym szlakiem — poza tą drogą można odbyć tysiące kilometrów, nie napotkawszy na ślad życia roślinnego nawet. Bo choć po deszczu zazieleni się na chwilę step pustynny, ale że deszcz rzadkim gościem — czasem cały rok i więcej nie spadnie — więc zawsze ziema spalona od gorąca wygląda jak spieczone gorączką usta chorego.

Inny znowu rodzaj krajobrazu pustyniowego, to pustynie piaszczyste, wydmowe. Jest to najsmutniejszy obraz pustyni. Jak oko sięgnie — tylko piasek: nieskończone, nieobjęte, płowe morze piasku, a na niem wydmy, jak olbrzymie, zamarłe fale piaskowe. Czasami wydm tych tyle się zbiera, iż tworzą kompletny labirynt i trzeba doświadczonego przewodnika, aby się stamtąd wydostać. Zazwyczaj wznoszą się one monotonnie w odległości 1—2 km i wyglądają z daleka jak okrągławe, bez życia łysiny. Jedna strona tych wysp jest zawsze łagodna, druga, od wiatru odwrócona, spada tak stromą ścianą, że tworzy przepaść niedostępną. Wydmy są nieruchome, usadowiwszy się w jednem miejscu pozostają tam, odkąd sięga pamięć ludzka; większe mają nawet swe nazwy; lotne wydmy, których istnienie trwa od jednej zawieruchy do drugiej, nie dochodzą nigdy do znaczniejszych rozmiarów; to tylko małe pagórki piaskowe. Ale skąd ten piasek?

Dawniej uważano Saharę za wyschnięte morze, za dno morskie, a piasek pustynny za piasek morski, z okresu dyluwium. Atoli dalsze badania wykazały, że nie znaleziono tutaj żadnych wykopalin ani osadów morskich, któreby świadczyły o istnieniu morza (chyba co najwięcej zaledwie w pierwszej połowie trzeciorzędu). Piaski te są więc produktem pustyniowym, co i dzisiejsza obserwacya stwierdzić może.

Wiadomo, jak raptowne zmiany temperatury zachodzą na Saharze. Skoki temperatury od przejmującego zimna do przykrego gorąca, w przeciągu 24 godzin dochodzą do wysokości 45^0 C!! Jak tylko słońce skryje się za widnokręgiem, w tej chwili następuje zimno tak znaczne, że na wyższych szczytach jeszcze w maju panują mrozy. Najniższa temperatura bywa tu przed wschodem słońca, nierzadko i w lecie zjawia się szron, a gdy słońce raptownie zejdzie, mróz ustępuje miejsca gwałtownemu upałowi. Te raptowne zmiany temperatury wywołują również nagłe kurczenie się i rozszerzanie skał; skały pękają, poczynają się łuszczyć, i odpadają. Czasem spotkać można bloki skalne tak popękane, jakby je kto pokrajał; czasem podziurkowane jak gąbka

skutkiem zwietrzenia. Szczególniej, gdy słońce ogrzewa skałę, składającą się z kilku minerałów, (jak np. granit), z których każdy posiada inny kolor, inny ciężar właściwy i ciepło właściwe, wtedy każda cząstka rozgrzewając się niejednakowo, z niejednakową siłą i prędkością się rozszerza i kurczy, powodując tem raptowniejsze pękania. Blok rozpada się na coraz drobniejsze kamyki, a czego nie dokona słoneczne ciepło, to kończy wiatr. W naszym klimacie mie możemy mieć najmniejszego pojęcia, co to znaczy wiatr na pustyni. Siłą swoją przenosi wszelkie wyobrażenie. Z nadzwyczajną gwałtownością wdziera się on wszędzie, w najwęższe nawet szczeliny skalne, unosząc wszystko, co tylko spotka po drodze: całemi warstwami zdziera z ziemi piasek lub lekki humus. Na jednym cmentarzu arabskim wiatr wydmuchuje ziemię z nad grobów, odkrywając wyschłe jak mumie członki trupów, już w kilka lat po pogrzebaniu. Z taką gwałtownością zaś bije wiatr piaskiem i drobnym żwirem o skały, że mniej twarde ściera na pył, w twardszych zaś rzeźbi dość głębokie rowki. Stąd to powstają charakterystyczne, głęboko rzeźbione linie na skałach pustyni: można się przekonać, że sfinks w Gizeh ma na piersiach i szyi wyraźne (nawet na rycinach widoczne) długie pręgi. To ślady uderzeń, jakiemi wiatr siecze sfinksa od tysiąców lat.

A teraz może łatwiej zrozumieć, jak to jest możliwem, że wszystkie te kotliny i skaliste wyspy, i wydmy, i piaski mogą swój początek zawdzięczać działaniu tych wiatrów, co z tak wielką siłą pracują na pustyni. A działanie ich ustawiczne. Miejscami ta martwa powierzchnia ziemi wydaje się jakby żywa; każde ziarnko piasku się rusza; na wszystkie strony pełzną po żwirze, bez końca, kręte strumyki piasku; oko zmęczone widokiem tylu nieustannych wężowych ruchów, wkrótce musi się odwrócić od tego nużącego obrazu. Jak woda w płytkiem łożysku, tak drobne strumyczki piaskowe wiją się między kamyczkami, to łączą się, to znów rozdzielają na swej drodze. A wśród tego ruchu rozcierają się ustawicznie kamyczki na pył, unoszony znów dalej.

Oto fabryki, w których matka-natura produkuje coraz świeższe masy piasku pustynnego, a wiatr unosi go zaraz dalej, by żyjące jeszcze okolice przykryć tym śmiercionośnym całunem pustyni.

Czy wobec tego, że wciąż przybywa tych piasków lotnych, nie zagraża niebezpieczeństwo, że cała Afryka północna zamieni się w pustynię?

Owszem; w rzeczywistości Afryka zamienia się w Saharę. Aczkolwiek

do pewniejszych wniosków możemy dojść tylko co do zachodniej, francuskiej części Sahary, gdyż dzięki przedsiębiorczości francuskiej i poparciu rządu, tylko ta część jest dokładniej zbadaną.

Jeden tylko rzut oka na mapę Afryki północnej wystarcza, by się przekonać o wysychaniu terenu: liczne łożyska rzek wyschłych — które przecież kiedyś istnieć musiały — świadczą, że chyba ongi nie było tu pustyni.

Jezior czy rzek istniało tutaj tyle, że między Kongo, Nilem i Nigrem, było znakomite połączenie wodne. Musiał to być szereg rzek lub jezior, a w tych wszystkich wodach żyły te same odmiany ryb, gdyż tylko w ten sposób można wytłumaczyć, że dziś spotykamy zupełnie te same gatunki i odmiany ryb w Nilu, Kongo, Nigrze i jeziorze Czad, wodach, które znajdując się w tak odmiennych warunkach musiałyby też inną faunę posiadać.

A z tych obfitych wód cóż dziś zostało? Reszki tylko jezior wysychających i wyschłe koryta szerokich rzek.

Owszem, nawet lasy musiały tu rość; wszak do dziś dnia znachodzi się ślad tego po całej Saharze: to kopalny liść dębu, którego dziś nie zobaczy na pustyni.

Pod tym względem bardzo cenne wyniki przyniosła wyprawa prof. Chudeau i Gautier 1905 r. Natrafili oni mianowicie na cenne bardzo wykopaliska, z których poznali, że centralna Sahara i brzegi rozlicznych, dziś wyschniętych już rzek, zarówno jak i skaliste, puste dzisiaj góry, były ongi zamieszkane przez rolnicze ludy. Mnóstwo rzeźb z życia rolniczego, przedstawia zwierzęta dziś nie istniejące na Saharze, jak np. wołu roboczego, żyrafy, nadto narzędzia rolnicze. Bliższe badania pozwoliły oznaczyć, że początkowo ludność mieszkała tylko u brzegów rzek, a później dopiero zaczęła się cofać w góry, podówczas lesiste. Czy nie z powodu wysychania nizinnej gleby? W każdym razie skonstatować należy, że kraj nie był podówczas pustynnym: gdyż wielbłąd, ten drogowskaz pustyni, nie był tutaj jeszcze znanym. A jest to pewnikiem niezaprzeczonym, że zaaklimatyzowanie wielbłąda w danym kraju jest nieomylną oznaką jego pustynności. Fenicyanie nie używali wielbłądów: wiemy tylko, że mieli słonie; żyły też w północnej Afryce dzikie słonie, — jak o tem świadczą kopaliny, a nadto Herodot, Pliniusz i Strabo. Dziś ich niema. Słoń żyje tylko w strefie o obfitej wegetacyi — dziś Sahara jest pustynią, a więc niegdyś, jeszcze za czasów Fenicyan musiała nią nie być, a przynajmniej nie była tak wielką pustynią. Żyły tutaj sławne konie dzikie,

wysoce cenione w starożytności, ale zginęły podobnie jak i krokodyl. Herodot i Pliniusz wspomina, że to ich kraj rodzinny obok Egiptu. Jeszcze w zeszłym wieku znalazł Aucapitaine, jedynego ostatniego krokodyla w Maurytanii; dziś niema ich ani śladu, bo klimat już dla nich za gorący. Podobnie dzieje się dziś i w Egipcie. Tutaj, gdzie roiło się od krokodyli, gdzie — jak opowiada Strabo, rzymski geograf — karmiono nad brzegami jezior liczne krokodyle, tutaj obecnie krokodyl to *rara avis*. I egipski klimat nie odpowiada już rozwojowi krokodyla, jeszcze tylko w Sudanie się roi od nich i stąd to czasem, uniesiony wielką wodą zabłąka się do Egiptu.

Liczne kolonie greckie, po brzegach rozsiane, takiem bogactwem i świetnością z pewnościąby się nie odznaczały, gdyby leżały wśród pustyni. A i bliższe nas rzymskie czasy, musiały również oglądać Saharę w piękniejszej szacie, niż dzisiejsza. Maternus i Polibius (I wiek przed Chr.) jeździli po Afryce bez wielbłądów, a nawet nie wspominają o nich. Cesar w wojnie z królem numidyjskim zdobył dwa wielbłądy; Juba chował je jako coś nadzwyczajnego, gdy tymczasem dziś bez wielbłąda, niewiadomo, czy możliwem byłoby życie w tych krajach.

Zapobiegliwy Punijczyk, a później gospodarczy zmysł Rzymian uczynił północną Afrykę najżyźniejszym krajem. Świadczą o tem jeszcze do dziś dnia sterczące ruiny wodociągów, cystern, oraz liczne obudowania potoków. Tutaj to, jak świadczy Pliniusz, nachwalić się nie można urodzajności tej ziemi. Nigdzie, tylko w Afryce winna latorośl dwa razy do roku obchodziła święto winobrania, a pszenica przynosiła stokrotny owoc z matematyczną ścisłością. Gleba brzemienna urodzajnością, nie mogła już jej pomieścić, więc wyrzucała ją ze swego łona w dziwacznych tworach, z chorobliwą obfitością. Pod cieniem rodzącej palmy, rosło oliwne drzewo, pod oliwką figi, pod figą granat, pod granatem latorośl, a wreszcie żyto, a w życie jeszcze warzywa! Więcej żądać zaiste nie można, a i to zdaje się chyba już za dużo. Dlatego też chętnie przybywał tutaj rzymski kolonista, a i Libijczyk z ziemi tylko czerpał główne dochody; potrzeba mu było tylko lekko poruszyć ziemię pługiem, do którego zaprzęgał swą żonę w parze z osłem.

Afryka to najbogatsza prowincya, to śpichlerz Rzymu; dostarczał dwa razy więcej, niż urodzajny Egipt, a o wiele więcej przewyższał produkcyę Sycylii. Dostarczała ona samego tylko zboża około 40 milionów rzymskich korcy, o wartości (za czasów Cycerona) około 160 milionów sestercyów. Na owe czasy kolosalny to dochód, nie rachując,

co przynosiła oliwa i winna latorośl. Dalej, na południe od brzegów morza Śródziemnego, poza granicami plantacyi rozciągały się lasy dziewicze i stepy, dostarczając Rzymowi drogocennego drzewa i dzikich koni, sławnych berberyjskich rumaków, nadto słoni i zwierząt do cyrków. Klimat znakomity, powietrze najzdrowsze; słowem, był to kraj ulubiony przez Rzymian. Tutaj najchętniej przebywali oni zastosowując w praktyce zasadę: *Venari, lavari, ludere, ridere, hoc est vivere.* Tutaj najchętniej przybywali skompromitowani patrycyusze, by sobie osładzać ciężkie chwile wygnania, tak, że wreszcie musiano wydać osobne prawo, w którem uznano, że Afryka, nie może uchodzić za miejsce wygnania! A za czasów jeszcze chrześcijańskich, jak kwitnącym krajem pod każdym względem musiała być ta prowincya, wnioskować można stąd, że w IV wieku po Chr. sama afrykańska prowincya kościelna liczyła 700 biskupów, a ci chyba nie nad koczowniczą garstką dzieci pustyni sprawowali rządy biskupie.

Odtąd o Afryce Północnej dość głucho. Dopiero wiemy, że w VIII wieku po Wandalach i Gotach Arabowie dokończyli zniszczenia Afryki i przyśpieszyli czysto naturalne wysychanie kontynentu. Urodzajne oazy giną, jeziora wysychają. Rabunkowa gospodarka wyniszczyła wszelki drzewostan; na morzu Śródziemnem powstała wprawdzie potężna flota korsarzy maurytańskich, ale też i na afrykańskim kontynencie poczęła się coraz więcej rozszerzać pustynna martwota. W wielu miejscach na północnych i zachodnich wybrzeżach pustynia dotarła już do samego morza, coraz więcej zanikają stare studnie — kwestya życia i śmierci na pustyni, a opady atmosferyczne zmniejszają się z roku na rok. Tak np. sławne źródła Apollina w Cyrene, nad samym brzegiem morza, prawie już zupełnie wyschły; w Algierze podają ilość opadów w latach 1838—50 na 800 mm.; w latach 1850—62 na 770 mm.; w latach 1862—70 już tylko 639 mm. Potężne niegdyś jezioro Czad, ta resztka morza afrykańskiego, — wedle zdania niektórych — jest miarodajnym przykładem obumierania Sahary. Od wschodu sypie ustawicznie piasek pustynny: grunt piaszczysty, łatwo przepuszczalny, nie zatrzymuje wody naniesionej przez dopływy; w ostatnich latach 50 zmniejszyła się powierzchnia jeziora o więcej, niż milion hektarów. Dziś to jezioro przedstawia się, jak jedno wielkie bagno; trzcina gnijąca tworzy mnóstwo wysp, kęp, które ustawicznie zmniejszają powierzchnię wody. Tak przedstawia jezioro niegdyś potężne i głębokie jeden z członków Komisyi wytyczającej granicę między posiadłościami angielskiemi i francuskiemi w terytoryum Czad (r. 1906—8).

Wkońcu dodać należy, że nie Sahara tylko temu smutnemu ulega losowi: przecież i piramid nie stawialiby faraonowie na pustyni, ani Heliopolis i inne miasta nie były pustynią, jak dziś; koń nilowy zniknął zupełnie w Egipcie, a krokodyl, którego rodzinnym krajem był Egipt, teraz jest tu rzadkością, jak wspomnieliśmy. I Afryka Południowa nie jest wolna od tej klęski. Małą illustracyą może być w tej mierze jezioro Ngami. W r. 1853 było ono głębokie na 12 stóp, a w czasie powodzi niosły doń rzeki olbrzymie drzewa z korzeniami wyrywane, ale już w r. 1861 było tak płytkie, że niemożliwem było łodzią dojechać do brzegu i lądować; w r. 1886 wyschło do tego stopnia, że brzegi zamieniły się w moczar, pokryty gęstem sitowiem, tak, że z brzegu nie można już było zobaczyć powierzchni wody; w. r. 1891 największa głębia jeziora wynosiła tylko 5 stóp, a w r. 1896 było już martwem to jezioro, o którem Liwingstone mówił, że Ngami, to bardzo wielkie jezioro.

Orania i Vaal, rzeki znane z czasów wojny transwaalskiej, już nie dosięgają podczas wylewów takiej wysokości, jak przed 70 laty, bo kraj cały wysycha. Rzeczpospolita boerska wydelegowała komisyę specyalną celem zbadania tej sprawy; niestety, wybuchła wojna i przyczyny tego zjawiska nie zbadano.

Ks. Kazimierz Konopka.

Ze spraw społecznych.

Rozłam wśród socyalizmu w Królestwie.

Pod sam koniec 1906 roku rozwidniły się nieco mroki, pokrywające przez całe dwa lata podziemną działalność socyalistów i rewolucyonistów Królestwa Polskiego. Spór, który powstał w łonie wywrotowców, nie odsłonił wprawdzie jeszcze całej maszyny »pracującej w suterenach, nie wskazał wszystkich sprężyn ruchu, ludzi i pobudek ich, ale pozwala już widzom postronnym, nie biorącym udziału w tej kreciej robocie, rozwikłać sieć tajemnicy i dać przewodnik prądów i odcieni wojującego socyalizmu«.

Gwałtowny spór wyniknął z pobudek wcale nieideowych. Poszło po prostu o pieniądze, o mamonę. »Bojowcy« Polskiej Partyi Socyalistycznej (P. P. S.), napadłszy bez wiedzy Centralnego Komitetu Rewolucyjnego (C. K. R.) na stacyi w Rogowie na pociąg kolei żelaznej,

wiozący większe pieniądze i zrabowawszy przeszło 30.000 rubli, zagarnęli »konfiskatę« dla siebie, zamiast ją oddać do kasy C. K. R.

Inde lacrimae et irae.

C. K. R. wezwał bojowców P. P. S. do wytłumaczenia się z samowolnego postępowania, bojowcy stanęli sztorcem, nastąpiła kłótnia, rozłam w partyi socyalistycznej, obie strony zaczęły się obrzucać nawzajem zarzutami w swoich organach (w *Robotnikach* nr. 1 i 2) i w ten sposób dowiedzieliśmy się o różnicach w poglądach, jakie dzieliły od pierwszej chwili poszczególnych działaczów Polskiej Partyi Socyalistycznej.

Dziewiąty zjazd Polskiej Partyi Socyalistycznej (w październiku 1906 r.), zwołany w celu »omówienia najważniejszych zagadnień chwili bieżącej, a przedewszystkiem dla uregulowania stosunku partyi do wyrosłej z jej łona organizacyi bojowej, która ujawniła tendencyę do zupełnego wyodrębnienia się od partyi i usamodzielnienia«, był bardzo ożywiony, bardzo gorący. Na zjeździe tym stanęły naprzeciw sobie dwie zasady, dwie idee, kłócące się z sobą od samego początku rewolucyi w sztabie wojującego socyalizmu. Spór ten maluje organ Centralnego Komitetu Rewolucyjnego (*Robotnik* nr. 1) w nrze 200 z dnia 8 grudnia 1906 r. w »deklaracyi do wszystkich towarzyszy« w sposób następujący:

»Rozłam obecny jest wynikiem długich walk wewnętrznych, rozdzierających naszą partyę od samego początku rewolucyi. Wewnętrzne te zatargi wypłynęły z tego, że pomiędzy towarzyszami partyjnymi były wielkie różnice w zapatrywaniu się na rewolucyę w państwie rosyjskiem i na nasz stosunek do tej rewolucyi. Te różnice spowodowały wyraźny podział partyi na dwa kierunki: »stary« (inaczej prawica), obejmujący nieliczną grupę towarzyszy i »młody« (lewica), skupiający w sobie olbrzymią większość partyi. Dla zwolenników »starego« kierunku rewolucya rosyjska przedstawiała się jedynie jako dogodna okazya do podjęcia walki o oderwanie Królestwa od Rosyi. Tymczasem »młody« kierunek uznał zdobycie niepodległości narodowej w toku obecnej rewolucyi w caracie za niemożliwe. Według jego zwolenników zadaniem klasy robotniczej Królestwa jest walka o obalenie caratu i stworzenie na jego gruzach nowego porządku państwowego republikańsko-demokratycznego. Walka ta prowadzona być musi oczywiście zgodnie i wspólnie z klasą robotniczą innych części państwa rosyjskiego. Dla kraju naszego powinniśmy uzyskać w tej walce usamodzielnienie prawnopaństwowe typu federacyjnego, t. j. oddzielne prawo-

dawstwo i oddzielny zarząd (administracyę), niezależne od wspólnego rządu wszystkich części składowych państwa. Lecz związek państwowy z Rosyą w toku obecnej rewolucyi zerwanym być nie może. Co się tyczy niepodległej rzeczypospolitej demokratycznej polskiej, ogarniającej obecnie trzy zabory Polski (rosyjski, austryacki i pruski) to »młody« kierunek nie wyrzeka się tego ideału, ale uznaje, że może on się spełnić tylko przez to, że klasa robotnicza każdego z zaborów Polski, działająca wspólnie z proletaryatem państw zaborczych, będzie walczyła o zaprowadzenie w nich ustroju całkowicie demokratycznego, republikańskiego. W żadnym zaś razie do niepodległości nie może prowadzić droga »powstań narodowych«, mających na celu oderwanie zbrojną ręką tej czy innej części Polski, od państwa zaborczego.

»Z tej różnicy w poglądach na obecny ruch rewolucyjny i jego cele wynikła też różnica w pojmowaniu środków walki. Prawica partyi, zgadzając się na zespolenie ruchu naszego z ruchem rosyjskim, widziała w tem jedynie, jakby sojusz z obcą armią, choć przyjazną. Zwolennicy tego kierunku zastrzegali się jednak bezustannie, aby sojusz ten nie był zbyt ścisłym. Samych zaś sprzymierzeńców (tj. rewolucyonistów rosyjskich) traktowali oni, jako bardzo niepewnych. Podczas okresu, gdy masowy ruch robotniczy w państwie rosyjskiem wzrastał, prawica w partyi naszej trzymała się na uboczu i ograniczała się skargami, że zanadto poddajemy się wpływom Petersburga. Gdy nadeszły czasy reakcyi (tak w Rosyi, jak u nas) zwolennicy »starego« kierunku poczęli coraz energiczniej krytykować tych, co starali się jak najściślej łączyć ruch rewolucyjny w Polsce z ogólno-państwowym ruchem rewolucyjnym i coraz otwarciej starali się skierować partyę na drogę powstania narodowego.

»Ruch rewolucyjny w Polsce jest dla nich w swej istocie przygotowaniem do wojny polsko-rosyjskiej, w której rewolucyjne siły Rosyi mogą odegrać tylko rolę »obcego sojusznika«. Pogląd ten odbija się na najważniejszych kwestyach taktyki. Ogromna większość partyi, uznaje, że nasze zwycięstwo w starciu z caratem jest niemożliwe bez przejścia na naszą stronę znacznej części wojska. Dlatego staramy się usunąć z naszej taktyki wszystko to, co może utrudniać propagandę rewolucyjną w armii. Tymczasem prawica lekceważy stosunek nasz do wojska i nieraz dla chwilowych i niepewnych korzyści, gotowa jest podkopać robotę w wojsku. W ten sposób rewolucyjne, lecz nierozważnie użyte środki walki mogą przynieść wyniki szkodliwe dla sprawy rewolucyi.

»Skoro w ciągu roku 1905 ruch rewolucyjny nie szedł drogami, odpowiadającemi chęciom polityków »starego« kierunku P. P. S., przypisywali oni to żywiołowości i bezładności tego ruchu. Według ich zdania rewolucyę należałoby prowadzić według ułożonego z góry i obmyślonego szczegółowo planu. Za narzędzie do »zrobienia rewolucyi« (pojmowanej w duchu powstańczo-narodowym) miała według ich planu służyć organizacya bojowa, w której wydziale kierowniczym wybitni przedstawiciele »starego« kierunku znaleźli się w większości. Organizacyę tę chcieli oni ukształtować jako olbrzymi spisek, ogarniający liczne zastępy proletaryatu, a zbudowany według zasad wojskowych (bezwzględna komenda zwierzchników nad podwładnymi, podział na oddziały i t. d.). Stworzyli oni w ten sposób fantastyczny plan tajnej, zakonspirowanej armii rewolucyjnej, która miała zastąpić »bezładny« ruch masowy przez planową wojnę z armią carską. Polityey prawicy, ze swojem pojmowaniem rewolucyi, jako fizycznej tylko walki z przemocą carską i ze swą taktyką spiskową oczywiście nie mogli uzyskać wpływu na ruch masowy i na całość organizacyi. Zato uzyskali bezwzględne kierownictwo nad organizacyą bojową. Dzięki koniecznej konspiracyjności tej organizacyi, potrafili ją oni ściśle odgrodzić od reszty partyi i faktycznie usunąć z pod kierownictwa centralnych władz partyjnych. Żadna kontrola ze strony C. K. R. i komitetów okręgowych nad wewnętrznemi sprawami »bojówki« nie była możliwą, gdyż kierownicy Org. Boj. pod pozorem »konspiracyi« albo się uchylali od dawania odpowiednich wyjaśnień, albo wręcz usuwali się od stykania się z instytucyami partyjnemi.

»Wszystko to doprowadziło Org. Boj., stworzoną dla współdziałania z ruchem masowym do przeciwstawienia się reszcie partyi i do coraz ostrzejszych starć z władzami partyjnemi«.

Centralny Komitet Rewolucyjny skarży się w sprawozdaniu ze Zjazdu IX P. P. S., że »bojowcy uchylali się systematycznie od spełniania czynów, wynikających z potrzeb organizacyi i z konieczności reagowania na gwałty rządu, że natomiast domagali się sankcyi na wystąpienia oddzielne, w większości wypadków, niewynikające z potrzeb ruchu«. Między innemi skarży się, że bojowcy odmówili urządzenia »odwetu« za pogrom Żydów w Siedlcach, nakazany przez niego.

Niezadowolony z działalności i samowoli swojej »bojówki«, czyli wojska socyalistycznego. C. K. R. postanowił na IX zjeździe rozwiązać organizacyę bojową, na co mu delegaci bojowców odpowiedzieli jawnym buntem: nie chcecie nas uznać, to my odrywamy się od was zupełnie

i będziemy tworzyli odtąd osobną »frakcyę rewolucyjną Polskiej Partyi socyalistycznej«. Wówczas rzucił C. K. R. na buntowników »wielką klątwę«, pozbawił ich prawomyślności socyalistycznej, »postawił ich poza obrębem P. P. S.«, co nie przeraziło wcale odszczepieńców. W odpowiedzi na anatemę Centralnego Komitetu Rewolucyjnego zabrali mu jego tajną drukarnię, jego składy, jego »inwentarz techniczny«, zaczęli wydawać swój własny organ urzędowy (*Robotnika* Nr. 2) i działać na własną rękę (napady na kasy kolei żelaznych, konfiskaty, bomby, browningi).

Dla widzów postronnych, stojących z daleka od roboty wywrotowej, korzyść z tego sporu taka, że wiedzą nareszcie, jak nasza podziemna rewolucya wygląda. Polska Partya socyalistyczna rozpada się poprostu na dwa odłamy: polski i międzynarodowy. Pierwszy, skoncentrowany głównie w organizacyi bojowej, jest socyalistą polskim, który dąży nie tylko do wcielenia mrzonek kollektywistycznych, lecz marzy także o niepodległej Polsce i składa się prawdopodobnie przeważnie z żywiołów polskich, drugi jest »obywatelem świata«, opierającym się na doktrynach Marksa i stoi prawdopodobnie pod komendą żydów, co wskazuje żądanie urządzenia odwetu za pogrom Żydów w Siedlcach z odmową bojowców.

Trochę jednak trudno pogodzić dążenia kollektywistyczne z patryotyzmem, z celami narodowymi narodu zwyciężonego, spętanego. Sztukę tę usiłuje wytłumaczyć »frakcya rewolucyjna« w swoim programowym artykule p. t. »Programowe żądanie niepodległości w stosunku do chwili obecnej« (*Robotnik Nr. 2* w numerze 204-tym z dnia 31 grudnia 1906 r. — oba *Robotniki*, uważając się za jedynie urzędowe, zachowały numery porządkowego pierwszego, starszego). Dokument to ciekawy dla przyszłego historyka naszej rewolucyi, dowodzi bowiem, że dyalektyka potrafi nagiąć wszystko do swoich celów. Oto on:

»Jesteśmy partyą proletaryatu, dążącego do zupełnego przewrotu stosunków społecznych, do rewolucyi socyalnej. Jako tacy, wiemy, że ta rewolucya odbędzie się tylko wtedy, gdy proletaryat zagarnie rządy w swe ręce, gdy zdobędzie on władzę polityczną, gdy nastąpi jednem słowem dyktatura (panowanie) proletaryatu. Dopiero wtenczas, gdy świadoma część proletaryatu będzie przez swych delegatów rządziła, gdy nad społeczeństwem zapanuje rząd socyalistyczny, — wtedy można dokonać rewolucyi socyalnej, to jest wywłaszczyć prywatnych właścicieli z środków produkcyi i zorganizować produkcyę socyalistycznie, czyli na korzyść społeczeństwa, a nie, jak dziś, oddzielnych je-

dnostek. Otóż takie panowanie proletaryatu możliwe jest tylko w republice i to republice demokratycznej. Tylko przy takim ustroju państwowym, gdzie panuje jak największa wolność polityczna, gdzie rząd zależny jest w zupełności od woli ludu, gdzie parlament, rady miejskie i gminne wybierane są przez wszystkich mężczyzn i kobiety, — tylko tam możliwe jest panowanie (dyktatura) ludu. Wtedy wprowadzenie socyalizmu zależne jest tylko od stopnia uświadomienia proletaryatu, a gdy jego większość zrozumie swój interes, wybije godzina zwycięstwa nowego porządku.

»Oto dlaczego socyaliści wszystkich krajów są demokratami i dążą wszystkiemi siłami do zaprowadzenia ustroju republikańsko-demokratycznego. Widzą oni, że tylko przy zupełnej swobodzie — to jest w ustroju republikańsko-demokratycznym — możliwe jest prawdziwe uświadomienie szerokich mas ludowych. A bez tego uświadomienia nic zdziałać nie potrafimy. Tylko anarchiści wyobrażają sobie, że wystarczy rewolucya zwycięska, choćby masy nie były jeszcze zupełnie świadome. My zaś wiemy, że nie dość zdobyć władzę, ale ją trzeba módz utrzymać i umieć z niej skorzystać, a tego dokonać może tylko proletaryat świadomy. A tej świadomości nie można uzyskać, jeżeli proletaryat nie ma sposobności wyjaśnienia sobie swych interesów na tysiącznych zebraniach, w stowarzyszeniach politycznych i zawodowych, w kooperatywach socyalistycznych, przy wyborach do rad gminnych, prowincyonalnych i do parlamentu, przy wybieraniu różnych urzędników, sędziów i t. d. i t. d. Dlatego też choć socyaliści wiedzą, że ta republika demokratyczna będzie przez pewien czas jeszcze burżuazyjna, ale dążąc do niej gotowi są nawet krwią własną ją okupić, tak nauczyli się ją cenić.

»Ale na tem nie koniec. Ta republika musi też być niezależną. Cóżby bowiem było, gdyby kraj jakiś stanowił tylko prowincyę, podbitą przez inne państwo i rządzoną przez obcą burżuazyę? Jakaby wtedy była możliwa dyktatura proletaryatu? Żeby do niej dojść, należałoby wprzódy oderwać się od tego zwierzchniczego państwa i dopiero wtedy możnaby załatwić się ze swą własną burżuazyą i z rządem, który jej broni. To też urzeczywistnienie socyalizmu możliwe jest dopiero w niezależnej republice demokratycznej i to jest pierwsza przyczyna, dla której P. P. S. to hasło wystawiła. We Francyi, Niemczech i innych krajach, które mają niezależność, nie potrzeba o niej wspominać, ale też tam socyaliści wyraźnie mówią, że nie ścierpieliby najazdu i że gotowi są bronić swego kraju zbrojną ręką, ro-

zumieją bowiem dobrze, że to jest potrzebne w ich własnym, proletaryackim interesie.

»Dalej, przyjrzyjmy się, jak wygląda walka proletaryatu z rządem i burżuazyą w kraju niezależnym, a jak w podbitym? Gdybyśmy posiadali w Warszawie parlament i rząd, czyli ministrów, zależnych od tego parlamentu, albo, co byłoby jeszcze lepszem, wybieranych przez ludność, to oni musieliby szanować wolę proletaryatu daleko więcej, niż wtedy, gdy te władze będą zasiadały gdzieś daleko, naprzykład w Petersburgu i będą od nas tylko częściowo i pośrednio zależni. Wtedy każda demonstracya robotnicza, każdy ruch polityczny proletaryatu zmusi tych panów do poważnego zastanowienia się i oni będą się z nami daleko bardziej liczyli, niż w tym wypadku, jeżeli kraj nasz będzie tylko prowincyą oddaloną. A nasi posłowie w parlamencie mogliby daleko śmielej występować, gdyż mieliby za sobą zawsze masy zorganizowanego proletaryatu, gotowe do poparcia ich wszelkimi sposobami. Przy każdej walce politycznej stalibyśmy wtedy oko w oko z naszą burżuazyą, dla wszystkich stawałoby się jasnem, że ona broni tylko swych własnych egoistycznych interesów, a proletaryat, który zawsze występuje w imię postępu i broniąc swych interesów, tem samem przyczynia się do dobra całego kraju, z łatwością zyskiwałby powszechne uznanie i zmuszałby burżuazyę do ustępstw. Walka z rządem własnym, z większością burżuazyjną parlamentu, zasiadającego w Warszawie, daleko jest łatwiejsza, niż z ministrami rosyjskimi, którzyby sobie dużo z tego nie robili, że tam w jakiejś prowincyi państwa proletaryat jest niezadowolony i żąda tej lub owej reformy.

»Wreszcie pamiętajmy, że żyjemy w ustroju kapitalistycznym, że dziś rządzi nami burżuazya, a każda burżuazya jest nacyonalistycznie usposobiona i dąży do wynaradawiania tego, nad kim panuje. Od tego wynaradawiania nie obroni nas ani powszechne głosowanie, ani demokratyczny ustrój państwa, jak nie bronią one Polaków w państwie niemieckiem lub Irlandczyków w Anglii. Jedynem, prawdziwie skutecznem zabezpieczeniem się przed wynaradawianiem może być zupełne zniesienie obcego panowania, czyli niezależność. Zaś ucisk narodowy w wysokim stopniu jest szkodliwy dla klasy robotniczej; cierpi ona wtedy, gdyż jej interesy kulturalne są zagrożone, gdyż nie może korzystać z oświaty, upośledzona jest w sądzie, w stosunkach z administracyą i to cierpi bardziej od burżuazyi, która za pieniądze może dawać jakie chce wychowanie swym dzieciom; przytem ucisk narodowy szkodliwie odbija się na walce klasowej proletaryatu, gdyż odciąga

umysły wielu robotników od żądań klasowych i pozwala burżuazyi łowić ryby w mętnej wodzie, burżuazya bowiem pod pozorem walki z uciskiem narodowym stara się zjednoczyć wszystkie klasy i wciąga do swych partyi politycznych wielu nieuświadomionych robotników. Żeby temu wszystkiemu zapobiedz, proletaryat musi w swym własnym interesie dobijać się niepodległości«.

Więc niepodległość Polski ma być tylko środkiem do wcielenia dążeń kollektywistycznych, ma socyalistom ułatwić dalszą robotę.

Kiedy się przywódcy, komitety, podkomitety, »władze« socyalizmu wojującego spierają, kłócą o zasady, obrzucają nawzajem zarzutami, — armia ich, robotnicy, płacą tymczasem za ich eksperymenty polityczne głodem, nędzą, krwią. Wielką tragedyą zakończył się w ostatnich dniach 1906 r. dwuletni spór między robotnikami a fabrykantami — lokaut łódzki spadł na socyalizm wojujący gromem druzgocącym, odpowiedział terrorem za terror.

Długo namyślali się fabrykanci łódzcy, zanim zastosowali do socyalistów ich własną metodę, na co złożyło się kilka powodów.

Przedewszystkiem nie trzeba zapominać, że pierwsze strajki robotnicze były uważane za »robotę wolnościową«, polityczną, za »walkę narodu z istniejącym porządkiem«, za odpowiedź na wypadki petersburskie z dnia 22 stycznia 1905 r., która znalazła szerokie echo we wszyskich warstwach społeczeństwa polskiego. Nie tylko socyaliści wywrotowcy *par excellence* byli w r. 1905-tym rewolucyonistami, lecz wicher rewolucyi rzucił także pewną część burżuazyi na wiry i manowce anarchii. Nawet młodzi, gorętsi fabrykanci sprzyjali »ruchowi wolnościowemu« i ponosili dla niego chętnie ofiary ze swoich dochodów. Jest to pierwsza przyczyna wielkich ustępstw na korzyść robotników.

Powtóre wpłynęła na łatwe zwycięstwo socyalistów ta okoliczność, że znaczną część naszych fabrykantów nie łączy żadna nić sympatyczna z interesami kraju. Tych Niemców, którzy przybyli do Polski temu lat kilkanaście, kilkadziesiąt bez butów i dorobili się u nas fortun milionowych, obchodzą sprawy polskie o tyle, o ile pozwalają im spokojnie używać owych fortun milionowych. Tyle zresztą zarobili, tyle lat wyzyskiwali polskiego robotnika, iż nie szło im o kilkadziesiąt tysięcy rubli, iż zgadzali się bez oporu, dla miłego spokoju na żądania socyalistów, mniemając, wierząc, że zażegnają ustępstwami burzę. Już raz w r. 1892, kiedy wybuchnął pierwszy strajk robotników łódzkich, okupili sobie w ten sposób możność dalszego, wygodnego gromadzenia milionów.

Po tymże odegrała spekulacya geszefciarska wielką rolę w zachowaniu się fabrykantów względem robotników. Chciwy fabrykant (głównie Żydzi), spekulował tak: podwyżka robocizny zrujnuje pewną ilość fabrykantów, pożre słabszych, obciążonych długami. Kiedy »małe płotki«, drobiazg przemysłowy, padną, zczezną, my, szczupaki, którzy możemy przetrzymać zawieruchę, zostaniemy sami, będziemy porastali w złote piórka bez konkurencyi.

I blady strach przyczynił się wkońcu dużo do ustępliwości fabrykantów. Gdy bomby, browningi, noże zaczęły pracować, »burżuje« dygotali, szczękali zębami ze strachu, czemu się wcale dziwić nie można, walka bowiem z bezwzględnym towarzyszem nie należy do przyjemności życia. Lepiej stracić garść pieniędzy, niż życie.

Wszystkie te powody złożyły się na bardzo łatwe zwycięstwo socyalizmu. Wziął on fabrykantów wstępnym bojem bez wielkiego wysiłku.

Ale burza rosła... Z politycznej zmieniła się w r. 1906 w ekonomiczną, z rewolucyonistki w anarchistkę. Wodzowie socyalizmu, zmiarkowawszy, że doktryny polityczne i społeczne nie rozpalają do czerwoności tępych mózgów robotniczych, podniecili je, rozgrzali zrozumialszemi dla nich hasłami ekonomicznemi: maltretuj burżujów, a będziesz miał chleb z masłem!

Te hasła zrozumiał robotnik od razu i zaczął się po prostu znęcać nad »burżujami«. Praca w fabrykach stała się niemożliwą. Robotnicy drwili sobie z wszelkiego ładu i porządku, z obowiązku i zwierzchności. Przychodzili do roboty kiedy im się podobało i opuszczali warsztaty kiedy im się podobało. O każdej porze dnia odbywali w salach fabrycznych wiece, »politykowali, urządzali sobie śpiewy chóralne, grali w piłkę, pili, bawili się. Komenda fabryczna straciła wszelką moc. Energiczniejszego dyrektora, inżyniera, majstra wywozili na taczkach z fabryki, a gdy się opierał, zabijali go z za węgła. Właścicielom dyktowali codziennie inne prawa, żądając coraz to niemożliwszych dodatków do podwyższonej już płacy.

Z tej bezprzykładnej samowoli, anarchii wylągł się wkońcu grzech kradzieży. Kiedy praktykowane dawniej rewizye robotników przy opuszczaniu fabryki zniesiono na żądanie socyalistów, jako »uwłaczające godności człowieka«, zaczęli robotnicy gospodarować w cudzym domu, jak u siebie. Kradli bezwstydnie. Znaleźli się tacy mistrzowie w złodziejstwie, którzy wywozili codziennie z fabryki wszystko, co wyrabiali.

W fabryce Scheiblera ukradziono w r. 1906 za 100.000 rubli

gotowego towaru i za 100.000 rubli fabrykatów w jednym tylko oddziale blichu i drukarni. Ukradziono w samej Łodzi miliony, a dokonywano tych kradzieży bez żadnej ceremonii. Za parkanami niektórych fabryk czekały wozy i doróżki, całe bandy żydków-passerów, które zabierały najspokojniej ukradziony towar. Kradziono bez ceremonii, bo który fabrykant, dyrektor, inżynier, majster ośmielił się poszukiwać złodziejów, musiał pisać testament. Browning obrzydził mu niepotrzebną ciekawość. Dowcipniejsi albo cyniczniejsi złodzieje nazwali te kradzieże »braniem *à conto* przyszłej własności kollektywnej«, albo »przyśpieszonem unarodowieniem fabryk«.

Nauka, idąca z góry, nie poszła w las. Rabują, »konfiskują«, »wywłaszczają« komitety, bojówka partyi — dlaczegóżby złodzieje nie mieli sobie używać kiedy można? Bardzo to przyjemnie kraść, rabować, zabijać i uchodzić jeszcze za to za bohatera wolności.

W takich warunkach stał się fach przemysłowca wprost męczarnią.

I sprzykrzyła się nareszcie ta męczarnia fabrykantom łódzkim, zdobyli się na odwagę, ogłosili *lokaut* — zamknęli »budy« pod sam koniec roku 1906 i około 100.000 ludzi zostało na bruku bez chleba wśród ostrej, ciężkiej zimy.

Tak się zakończyła tragedya łódzka, robota wolnościowa socyalistów łódzkich — zakończyła się nędzą, która powiększy niewątpliwie liczny już zastęp bandytów i morderców. Zamiast »uświadomić« masy robotnicze, socyalizm wojujący zdemoralizował je, nauczył swawoli, kradzieży i zbrodni, podniecił, wyprowadził na światło dzienne najniższe instynkty ciemnych tłumów. Krew ludzka leje się w Łodzi codziennie, robotnicy-socyaliści mordują robotników-narodowców i odwrotnie. Ślepa, dzika *vendetha* zabija na prawo, na lewo, jak niegdyś w kopalniach złota Kalifornii. Morderstwo stało się sportem robotnika.

Widzą to sami umiarkowańsi socyaliści, zgrupowani w partyi »Proletaryat«. »Czas uprzytomnić sobie — skarży się »Proletaryat« w jednej ze swoich odezw — że cała dotychczasowa działalność partyi socyalistycznych nie przyniosła korzyści naszemu ruchowi, że spełniła zaledwie w części zadania organizacyi i ich uświadomienia«.

Mądrzy po szkodzie...

Teodor Jeske-Choiński.

ZWYCIĘSKI RZĄD FRANCUSKI.

Kilka miesięcy już upłynęło, odkąd biskupi francuscy w zbiorowej odezwie wypowiedzieli, co przedsiębiorą wobec ustawy rozdziałowej.

W ciągu tego czasu biegły szybko po sobie wypadki: zostawiły dużo światła, aby dać ocenić odezwę biskupią w jej skutkach doniosłych. Dziś już widać, że występ biskupów zajmie piękną stronicę w dziejach Kościoła.

Wartki pęd wypadków wykazał także, że rząd obierał różne drogi, aby dojść do końca z rozdziałową ustawą, ale, dokąd nie zwrócił kroków, cofać je musiał zewsząd bez chwały, aż spostrzegł, że chyba tą jeszcze drogą pójdzie, tą właśnie, której bał się najwięcej. Bał się postawy prześladowczej, przybierał pozory pojednawcze; podstępnym zabiegiem nie wyciągnął jednak Kościoła z jego stanowiska, a na własnem: darmo ustawiał swoje szyki coraz inaczej; wytężał siły i uczuł, że naprzód ruszyć nie zdoła. Musiał zakończyć dobę tej walki, przez którą okazywał światu w sobie niemoc, w Kościele potęgę, zdolną z tych zapasów wyjść tylko zwycięsko.

Biskupi wykryli podstęp. W gromadnej odezwie wytknęli stanowczo kilka ustępów ustawy rozdziałowej, które zdradliwie paczą zamysł rządu, niewinny z pozoru. Niewinnie wygląda myśl o rozdziale państwa od Kościoła, bo rozdział mógłby polegać na takim układzie stosunków, jakie w Ameryce panują między Kościołem i państwem. Tam ustawa rozdziela wyznaniowe sprawy

i świeckie między dwa ustroje niezależne od siebie i swobodne w swoich zakresach: tam państwowy ustrój niema żadnych praw do kościelnego i szczególnych względem niego obowiązków. We Francyi przeciwnie: ustawa zwana rozdziałową powinna chyba nosić nazwę zamachowej, bo nie wnosi właściwie rozdziału między Kościołem a państwem, nie rozmieszcza obu ustrojów na drogach rozbieżnych, ale urządza zamach na Kościół przez stosunki, w których wpływ Kościoła malałby ciągle i pogrążany nieznacznie w niemoc coraz senniejszą, spokojnie znikłby bez niczyjej uwagi, aż niewiara zupełnie wyzwoliłaby Francyę z jarzma praw boskich.

Otóż biskupi wytknęli we francuskiej ustawie te ustępy, które pozornemu rozdziałowi nadają wewnętrzne piętna zamachu na Kościół: odnawiają zasadę wielkiej rewolucyi, aby pod nadzór urzędniczy poddać pracę kościelną; pomiędzy proboszcza a biskupa wciśnięty przedstawiciel władzy rozbija wewnętrzny ustrój i rząd kapłański; nie rozumie obowiązków duszpasterskich na polu naukowem, społecznem, dobroczynnem, obywatelskiem, tylko uznaje księdza obowiązanego kadzić, kropić i urzędować przy ołtarzu i przy tem wszystkiem czuć nad sobą podejrzliwy wzrok stróżów bezpieczeństwa.

Zatem amerykański rozdział Kościoła od państwa nie wymaga od biskupów namysłu, czy poddadzą pracę swoją pod przewództwo rządu i z nim współdziałać będą. Tam państwo żadnego od Kościoła nie wymaga poddaństwa, ani współudziału w ustawie. We Francyi Kościół musiałby poddać księży z ich pracą pod zwierzchników świeckich, współdziałać z państwem nad rozstrojem własnych rządów i rozkładem pracy duchownej, przyjąć obowiązek samobójczy, aby nie narażać państwa na szyderstwo, iż na papierze napisało ustawy, a nie zdołało ich wykonać.

Nim biskupi przemówili, usilnie rząd francuski chciał wymódz na Kościele i wymusić jego podaństwo groźbą i prośbą, gniewem i podstępem, urzędowymi okólnikami i poufną rozmową.

Zaczął od środków surowych. Śmiało wymierzył w duszpasterzy ów pierwszy cios: groźbę niedostatku, przed którym ocze-

kiwał, że duchowieństwo ucieknie pod obronę ustroju, sprzecznego z istotą rządów kapłańskich, zwanego wyznaniówką.

Zarządca kościoła miał zależeć od łaski rządu nierównie więcej niż od władzy biskupa, kiedy chciał posadę objąć i utrzymać się na niej. Ustawodawcy liczyli, że przeważną część duchowieństwa, strwożoną widmem nędzy, ujmą obietnicami dochodu ze składek i opłat za posługi. Także przypuszczali, że może inaczej postąpi jakaś nieznaczna część księży: obierze nędzę prędzej niż służalstwo u rządu; powiedzieliby zawziętym: nie chcecie z roztropnym ogółem jeść chleba? mrzyjcie głodem! wasza to wina.

W nadziei pewnego zwycięstwa rządowcy wyobrażali już sobie, że wyznaniówki powstają jedna po drugiej i bujną, wschodnią wyobraźnią uniesieni, zaczęli w protestanckim *Timesie* z tygodnia na tydzień ogłaszać, jak rośnie liczba księży, uległych ustawie... przechodzi dwudziestkę... dochodzi do czterdziestki... aż prawda wyszła na jaw i zdumiła nowiną, że nikt nie założył wyznaniówki żadnej... przechwałki rządowców ze zwycięstw nad Kościołem okazały się równie wiarygodnymi, jak urzędowe telegramy o bitwach wygranych.

Nadzieja pewnego zwycięstwa zawiodła. Cios głodu zawisł nad czterdziestu tysiącami duchowieństwa, ale wywołał z ich ust tylko sprzeciw w odpowiedzi na ustawę. Karne wojsko nie taiło, że po ludzku czuje pocisk; zawołało: krzywdzicie nas! ale nikt nie opuścił chorągwi.

Kościół francuski po sprzeciwie umilkł. Jeszcze nie wykładał wtedy przed światem powodów, dla których gromadnie obrał niedostatek, zamiast współdziałać ze rządem. A cóżby potrzebował w swoim postępku wykładać? Nie szukał chwały, iż postąpił według sumienia i wolał stracić chleb, niż posłannictwa nie spełnić.

A stracił swój chleb rzeczywiście i nowego szukać musi, a nim znajdzie, przyjąć musi jałmużnę. Ale taka rzesza skazańców na głód nie może znikąd wyglądać wielkiej pomocy. Papież zrobił, co mógł: od początku roku obecnego zapowiedział, że nie dla siebie przyjmie świętopietrze z Francyi, ale dla wyzutych z majątku. Za rzymskim biskupem inni składają datki, nawet włoscy księża, z biedy swojej sławni po świecie, zsypują swoje

centesimi do puszek *Pro Gallia*. Więc najgłodniejsi z ich braci we Francyi dostaną kęs chleba... a ileż jeszcze zostanie tam niedostatku?

Rząd, niespodzianą postawą Kościoła wstrzymany w drodze, stanął bezradny, uczuł porażkę. Gdzie miał zdobyć powolne narzędzie do zaguby wiary, tam spotkał objaw mocy, tam wiara rosła blaskiem potęgi żywotnej. Trzeba zatrzeć pierwszą bitwę przegraną, olśnić oczy choćby bańką mydlaną, na dowód, że po stronie Kościoła tylko bezpodstawny upór występuje pod pozorami bohaterstwa, a państwo tchnie żądzą pokoju, gotowe do ustępstw bez liczby i miary.

Więc zaszumiał w powietrzu nowy pocisk o barwach błyskotliwych: okólnik o przedsiębiorstwach osobistych.

Zgrabniej wyglądał pomysł przedsiębiorstw, niż owe wyznaniówki nie udane. Wyznaniówka poddawała pod władzę urzędniczą cały ustrój pracy duszpasterskiej, od jej zawiązku aż do szczegółów ostatnich. Przedsiębiorstwo od razu oddawało duszpasterzowi świątynię bez próśb pisemnych i zachodów tylu, co wyznaniówka, wystarczyło proboszczowi zgłosić przed urzędem przedsiębiorstwo; a następnie rząd ogłosił, że sami parafianie mogą załatwić sprawę z urzędem, byle proboszcz wiedział i milczał. Oczywiście dalszy nadzór stróżów bezpieczeństwa nad pracą duszpasterską tłumiłby ją w przedsiębiorstwie tak samo jak w wyznaniówce.

I zgrabniej i bezpieczniej mógł Briand wystąpić z przedsiębiorstwem. Który ksiądz w niej odmówi udziału, już nie ujdzie za bohatera, jak kiedy obierał niedostatek zamiast wyznaniówki, tylko narazi sobie parafian, iż przeszkadza im zabezpieczyć świątynię dla nabożeństwa. Powody odmowy wkraczają w dziedzinę kanoniczną, nieznaną ogółowi: nie ochronią przed potocznym zarzutem, że z niedbalstwa proboszcza o nabożeństwo, urząd pieczętuje świątynię. Trwoga przed tym zarzutem godziła w ludzką stronę serca kapłańskiego, ale już podnioślejszą, niż troska o dobrobyt. Obawa już nie przed brakiem osobistym, ale przed brakiem jawnej posługi duchownej dla parafian miała zapędzić du-

chowieństwo na legowisko, gdzie jedni prędzej usnęliby, drudzy mruczeliby dłużej, ale bez szkody dla rozwoju niewiary.

Jak przedsiębiorstwa byłyby na rękę wolnomularstwu, o tem świadczy znamienny wypadek, że pierwsi ową umowę o przedsiębiorstwo zgłosili przed urzędem bezwyznaniowcy; dawniej nie widywani w kościele, najgorliwsi teraz z parafian nalegali na proboszczów, aby ci przez żaden sprzeciw nie pozbawiali parafii dobrodziejstwa rządowego, nie dali zamykać kościołów.

Nacisk był silny. Grot opatrzony mnóstwem świecideł i błyskotek szumiał w powietrzu i wabił oczy i wywoływał okrzyki: czemuż gorliwsi duszpasterze tylko o swoją dumę dbają a nie o owieczki, którym rząd pozamyka świątynie?

Dzienniki wolnomyślne nie szczędziły wtedy czytelnikom opisów i przestróg, jak roztropniejsza część duchowieństwa gani w poufnych rozmowach samolubny upór biskupów, jak sami nawet światlejsi biskupi niechętnie idą w drogę, którą wytyka im Rzym. Nakoniec dzienniki w połowie stycznia doniosły, że pod Perpignan proboszcz z Canches przyzwolił na przedsiębiorstwo, a za nim w ślad pójdą inni, zapewne liczni, bo nawet arcybiskup Ireland potępia nieprzejednane stanowisko duchowieństwa we Francyi. Uwiadomiony o tej potwarzy arcybiskup Ireland bez zwłoki ogłosił w *l'Eclair*, że bez zastrzeżeń podziela wszystko, a nic nie gani, co wraz Rzymem francuskie duchowieństwo myśli i zarządza wobec ustawy rozdziałowej. Również wymysłem okazała się nowina o licznych ochotnikach do przedsiębiorstw. Cały zastęp czterdziestu tysięcy księży trwał karnie na stanowisku, jak rzadko kiedy wojsko równie liczne może wykazać, że w tym stopniu nie widziało wśród siebie tchórza ani odstępcy. A z drugiej strony, jak w dobrej orkiestrze występują dostrojone do siebie instrumenty, tak samo w prasie europejskiej przeróżne czasopisma wolnomyślne w rozmaitych językach na jeden ton nastrojone biły w księży francuskich i sypały zarzutami: Czegóż chcecie? Ciągle państwo do was wyciąga ręce a wy co? Jedynie sprzeciw i męczeńska postawa skrzywdzonych: to odpowiedź z waszej strony na życzliwe wnioski o zgodę i pokój. Czemże rząd was ugłaska? Powiedzcież raz ostatecznie!

Nalegali tak natarczywie, aż usłyszeli odpowiedź, jakiej nie pragnęli ani przewidzieć nie mogli. Na tę odpowiedź nie tylko im na ustach zamarły obłudne przechwałki z ducha pojednawczego, ale wypadła im z ręku broń podstępu, powstał rozłam w ich szykach blizkich rozsypki, zachwiało się w gabinecie stanowisko Brianda, najwybitniejszy zastęp rządowy zawołał przerażony: Kościół zwycięża!

Kościół przedewszystkiem wydał w Białej księdze urzędowy zbiór dowodów, że przez sto lat trwał na stanowisku najmniej dogodnem, aby odwlec wybuch, do którego parli wolni mularze, że nakoniec wyzuty z majątku i pozbawiony swobody, skrępowany w zarządzie wewnętrznym i pracy zewnętrznej nie może istotnie już współdziałać z państwem nad swoją własną zagładą. Dowiódł niezbicie pojednawczego ducha w sobie, w państwie widocznie wręcz przeciwnego.

Następnie zebrał się Kościół francuski na naradę całego zastępu wszystkich swoich biskupów, aby wytknąć szczegółowo, w których ustępach ustawy rozdziałowej żąda zmiany od państwa, aby odzyskać swobodę samorządu i pracy.

A gabinet francuski równocześnie dochodził do krańca śmiesznych pomysłów, aby ocalić pozory ducha pojednawczego: pod grozą rozpraw sądowych, zabraniał urzędnikom używać wyrazów, któreby przedstawiały postępki rządowe jako prześladowcze względem Kościoła. Więc minister sprawiedliwości uwiadomił gabinet, że już rozpoczął sądowe śledztwo przeciw prezesowi sądu Lambertowi za słowa jego, którymi uzasadniał jakiś wyrok, mianowicie: ze względu na zabór dóbr duchowieństwa przez państwo i t. d.

Cóż w tych słowach Lambert wyraził nieodpowiedniego? Wszak ustawa rozdziałowa zarządziła, żeby przeszły na państwo te dobra, z których wielka rewolucya wywłaszczyła Kościół przemocą, a prawowity właściciel używał ich napowrót skutkiem konkordatu: więc ponowny powrót tych dóbr do przywłaszczyciela dawnego stanowi zabór ich powtórny. Wniosek to jasny w oczach sędziego Lamberta i każdego prawnika, który oceni siłę dowodu, a wykryje krętactwo. Ale wolnomyślny minister sprawiedliwości

mógł przed całą Francyą przekręcić prawdę i żądać, żeby urzędnicy mówili wyraźnie o sprawiedliwym powrocie majątków do skarbu państwa, a nie o ich zaborze, jako o czynie przywłaszczycielskim, prześladowczym. Minister widocznie znalazł w kraju znaczną liczbę umysłów powierzchownych, którym trudno rozumować o własnych siłach, każdy wykręt starczy im za dowód: więc biorą za prawdę wnioski gotowe, ktoby ich nie przedłożył.

Tem bardziej wypadało biskupom przemówić do takich umysłów, aby im przystępnie przedłożyć obowiązek Kościoła wobec ustawy rozstrojowej.

Najuchwytniejszą częścią tej ustawy, najdostępniejszą dla każdej pary oczu zdrowych, jest sprawa nabożeństwa po kościołach. Wyrzucić nabożeństwo z kościołów, a mury świątyń bożych obrócić na widowiska, wystawy, muzea i inne świątynie muz wszelakich: znany to kres zabiegów wolnego mularstwa. Ale gdyby ustawa rozdziałowa taką gospodarkę po świątyniach zaprowadziła niezgrabnie, gdyby państwo miało odpowiadać samo za świecki użytek budynków wyznaniowych: wtedy niejedno przykre następstwo mogłoby spotkać twórców ustawy i jej wykonawców. Widok kościołów po całym kraju albo pozamykanych albo pozamienianych na świecki użytek, mógłby przeciw państwu francuskiemu obudzić grozę świata całego, nie tylko wywołać opór własnych obywateli. A opór wyznaniowy wywołuje żywszą wiarę... Wiary podniecać wolnomularstwo nie pragnie... Więc zgrabniej musiała ustawa urządzić wolnomularską gospodarkę, aby nie samo państwo za nią odpowiadało, tylko właśnie duchowieństwo.

Otóż wyznaniówka czy przedsiębiorstwo pozostawia świątynie w ręku duchownych, ale na takich prawach, że prędzej czy później sami duszpasterze znękani poopuszczają kościoły; porzucone budowle przejdą na państwo bez obrazy i krzywdy niczyjej, a państwo w razie potrzeby przeznaczy pustkę na użytek już dobrze widziany przez ogół.

W takich zamiarach potrzebuje państwo współudziału Kościoła.

Kościół dla własnej pracy dzisiaj nie potrzebuje we Francyi obstawać przy nabożeństwie jawnem w budynkach wyznanio-

wych. Może wykazać, ze statystyką w ręku, że liczba i rozmiary francuskich świątyń wielekroć przewyższają potrzebę wiernych dzisiejszą. Poprzednie wieki pobożne wznosiły olbrzymie świątynie jedną po drugiej, bo do trudu tego i wydatku pobudzała ich myśl, że z przyrostem liczby mieszkańców w kraju katolickim zabraknie miejsca w dawnych kościołach. Ale tę nadzieję dawnych wieków zawiodły czasy najnowsze. Liczba mieszkańców we Francyi przestała wzrastać, a i między nimi miliony przychodzą do kościoła na pierwszą spowiedź i ślub, a przez dziesiątki lat zostawiają miejsca swoje puste w przestronnych obszarach kościoła. W tych pustych przestworach statystyka spotyka ledwo kilkanaście, a często tylko kilka osób przy wielkanocnej spowiedzi i Komunii. Dla tych garstek, dziś zupełnie nikłych wśród olbrzymiej świątyni, wystarczy i bez kościołów miejsca po domach obywatelskich. Tam poufnie odprawiane nabożeństwo wystarcza dziś Kościołowi, aby spełniał swoje posłannictwo. Umiał tak spełnić swój obowiązek w Rzymie za Neronów, w Paryżu za Robespierrów; a że pracował wtedy z pożytkiem, o tem świadczą następne objawy wiary silnej w późniejszych okresach swobody. I dziś umiałby bez wspaniałych świątyń wywierać wpływ przez pracę ukrytą wobec władz nieprzychylnych. Tego też potężnego wpływu Kościoła w katakumbach dziś nie chcą wolni mularze. Wolą jeszcze ubezwładniać Kościół przez swój nadzór nad jawnem nabożeństwem w otwartych świątyniach. Nim obmyślą środki do walki z Kościołem ukrytym, prą na razie, żeby duchowieństwo zatrzymało świątynie na prawach, przydatnych do przemiany jawnego nabożeństwa w pusty obrzęd bez ducha.

Niezwykły to widok, żeby odarci z majątku, skrzywdzeni na sławie, skazańce na zagładę, odnosili się do sprawców i wykonawców swojej krzywdy z takimi względami, z jakimi podeszli do państwa wolnomularskiego biskupi we Francyi. Państwo na razie bardzo potrzebuje duchowieństwa do posługi kościelnej, ale nie przyznaje się, że pragnie księży, aby oparte o nich przejść ślizki kawałek drogi: przeciwnie, przedstawia wielką łaskę, którą wyświadczy duszpasterzom, iż pozostawi im świątynie na użytek wyznaniowy. Kościół na razie nie bardzo potrzebuje państwa,

aby wykonywać swoją posługę; przyznaje, że z mniejszą wygodą pracowałby bez świątyń po domach obywatelskich; ale owa wygoda mało znaczy wobec krzywd, ucierpianych od państwa; nie trzeba po taką łaskę nieznaczną wyciągać ręki do krzywdziciela. Choćby ta łaska rzekoma nie pokrywała zasadzki, któż chce przyjąć jałmużnę od krzywdziciela? kto nie woli o własnych siłach pędzić biedę, niż kłaniać się o trzaskę przed wydziercą lasu?

Kto krzywdzicielowi usługę wyświadcza, w tym podziwiać musimy rzadki widok chrześcijańskiego ducha, bo dostał boleśnie w jeden policzek i nadstawia drugi.

W tym duchu postanowili biskupi zjechać się na wspólną naradę nad sposobem, w jaki dostaliby od państwa prawo do jawnego nabożeństwa w świątyniach.

Wyprawili zawczasu do Rzymu biskupa Dadolle'a, z Dijon, aby z sekretarzem papieskim umówił drogę bezpieczną, którą zebrani biskupi mogliby znosić się ciągle z Watykanem bez przeszkód możliwych ze strony rządu.

Jaką drogę znaleźli, dotąd tego nie wyjawili, ale śmiało wyznawali, po co pragnęli przez swojego wysłańca porozumiewać się bezpiecznie z papieżem. Wiedzieli, że pisma wolnomularskie przedstawiają w nich jakoby niewolników, gotowych zrzucić jarzmo papieskie i spragnionych przymierza z rządem. Otóż, gdyby nie chcieli ulegać Rzymowi, tedy zjazd nastręczałby im chwilę sposobną, aby jednolitym zastępem stanęli za rządem swoim przeciw papieżowi. Przeciwnie postąpili: papieżowi ułatwili związek ścisły z całym tokiem każdej obrady, prawdziwe przewodnictwo na niej w sposób niezbadany przez rząd, a rządowi utrudnili do siebie dostęp, uniemożliwili wpływ wszelki na wynik narady. Tak zręcznie pokazali światu, czy prawda to, że uważają papieża za natrętnego przewódcę we walce, którą pod jego przymusem toczą ze rządem.

Po tych krokach przygotowawczych, zastęp osiemdziesięciu kilku biskupów zmierzał do zamku Muette, a sąsiedni Paryż po drodze obrzucał ich ciekawym wzrokiem i zapytywał: od iluż to pokoleń wodzowie Kościoła francuskiego, nie schodziliście się tak, jak dzisiaj, na wojenną naradę przeciw wolnomularstwu! Czy nie-

zaprawieni do wspólnej pracy, zdołacie zgodnie powziąć jaką uchwałę, nim długie upłyną tygodnie a może miesiące?

I z Francyą katolicką na zjazd jej biskupów obracał oczy katolicki kraj jeden po drugim ze starych części świata i z nowych. I jedna prowincya kościelna po drugiej posyłała listy do Kościoła francuskiego, zebranego pod cudzą strzechą, jak bezdomny wygnaniec: do niego szły listy zbiorowe z podpisami po kilkunastu, po kilkudziesięciu biskupów, arcybiskupów, kardynałów, prymasów. Razem kilkaset dyecezyi uroczyście świadczyło, że przy katolickiej Francyi i jej biskupach Kościół cały stoi po wszystkich częściach świata, cały życzy jej od Boga błogosławieństwa na ciężką drogę, cały podziela jej stanowisko wobec rzekomego rozdziału.

I z listami zbiorowymi, ze setkami biskupów, z głosami najdalszych narodów na ziemi, złączył biskup rzymski swój głos przewodni w liście, w którym przypomina najważniejszy powód, dla którego nie przystał na wyznaniówki i przedsiębiorstwa: wymienia przepisy, którymi rząd w swoich ustawach, okólnikach i nakazach podtrzymuje zasadę niemożliwą dla duszpasterzy, bo wydaje ich na pastwę samowoli urzędniczej i wnosi w ich pracę bezrząd, rozstrój i zastój, a po nim rozkład śmiertelny.

Tak widzieli biskupi francuscy, że przy nich staje cała potęga Kościoła Powszechnego, gotowa popierać ich aż na końcach kuli ziemskiej i nie żałować dla nich wysiłków, kiedy w duchu Kościoła wytkną sobie stanowisko, z którego odpowiedzą na wolnomularskie pociski.

I biskupi francuscy, z rzymskim bez przerwy połączeni przy każdym wniosku swoim, przy każdej uchwale, urządzili naprzód między sobą wzajemny podział wszelkich dochodów, aby zasobniejsze dyecezye najoszczędniej zaopatrywały własne potrzeby, a całą nadwyżkę oddawały biedniejszym.

Nastąpiły obrady nad sposobem, jak duszpasterze objęliby od państwa świątynie na użytek wyznaniowy, a zapewniliby dla pracy swojej bezpieczeństwo przed samowolą urzędników. Dość liczne głosy i dość mocnymi dowodami przemawiały przeciw wszelkim zachodom Kościoła, aby u państwa zabezpieczyć jawną pracę

duszpasterską; stawiali te dowody biskupi, którzy przewidywali, że wolnomularstwo udaremni wszelkie zabiegi Kościoła a na księży złoży winę, iż ustępują ze świątyń: więc wypada biskupom nie obmyślać zachodów daremnych, tylko natychmiast ułożyć przepisy dla ukrytej pracy i nabożeństw domowych.

Przeciw temu pośpiechowi z nabożeństwem ukrytem przemawiało wielu biskupów, zwłaszcza Awinioński podniósł zarzuty bardzo poważne i zjednał dla swoich wywodów przeważną część biskupów. Po stronie ich stanął Pius 10-ty.

Zwyciężyła zasada, że trzeba państwu wykazać i przedstawić dokładnie, co wnioski jego rozdziałowe kryją zgubnego dla Kościoła, jak wnioski te mają stracić swoje znamiona prześladowcze, aby państwo za współudziałem Kościoła mogło przeprowadzić ustawę, już w tym razie rzeczywiście rozdziałową tylko, a nie obmyślaną na zagładę Kościoła.

W tym duchu tedy powzięli biskupi pierwszą uchwałę, aby zabezpieczyć obrzędy jawne, dopiero po niej przeszli do następnej; ustanowili przepisy dla nabożeństwa ukrytego, którego jednak nie pozwolili odprawiać, jak tylko w ostatecznych razach z koniecznej potrzeby.

Na obrady biskupi nie dopuszczali obcych, aby żaden rządowiec nie krępował swobody wolnego słowa; ale po odbytej każdej naradzie nie okrywali tajemnicą wyniku rozprawy i najważniejszych z niej szczegółów. Zdawali z niej tedy sprawę pisemnie i okazali dowodnie, że ze strony Piusa 10-go nie przeszkodę znaleźli do współudziału z państwem, a silną zachętę. Tą nowiną widocznie pobudzony rząd do nowych nadziei, przybrał pozory układne, aby ułatwić Kościołowi dostęp do siebie z wyrazami poddaństwa. Łaskawie zarządził kilka drobiazgów, co dzienniki szumnie rozdmuchały do rozmiarów pokoju wyznaniowego.

Otóż właśnie w czasie obrad biskupich, burmistrz w Montreuil zamknął przed księdzem kościół i obstawił strażą: rząd zaraz usunął gorliwego urzędnika, który przecie tylko zastosował wiernie paragraf ustawy rozdziałowej, bo ta orzeka, że w braku wyznaniówki przez kilka miesięcy, urząd świecki zamyka budynek wyznaniowy. Inni zapaleńcy żądali, żeby rząd przeszkodził

do wspólnego nabożeństwa, które biskupi zamierzali uroczyście odprawić w przeddzień rozjazdu: rząd pospiesznie roztelegrafował po świecie, że pozwala biskupom na wspólne nabożeństwo. Nim biskupi opuścili Muette, już ajencya Havasa doniosła, że prezydent ministrów 23-go stycznia przedłoży nowy wniosek, aby ułatwić Kościołowi współudział z państwem w ustawie rozdziałowej.

Istotnie rząd wystąpił z wnioskiem nabożeństw już wcale niezgłaszanych w urzędzie i znaleść miał ostatecznie Izbę i Senat zgodny na tę już trzecią przeróbkę ustawy rozdziałowej. Nabożeństwa niezgłaszane istotnie ułatwiałyby duszpasterzom dostęp do świątyń i mniej wkraczałyby w wewnętrzny zarząd kapłaństwa, niż wyznaniówki i przedsiębiorstwa, ale również poddawałyby zewnętrzną pracę duszpasterską pod nadzór stróżów bezpieczeństwa.

Wypadało rządowi wystąpić z dowodem, że znalazł Kościół wzajemnie gotowym do współudziału z nim w ustawie: więc w swoich dziennikach doniósł, że powstaje już coś w rodzaju wyznaniówki, która objęła od rządu świątynię po Barnabitach i urządza nabożeństwo jako Kościół powszechno-francusko-apostolski.

Nim wyszło na jaw, co to był za Kościół, już rząd, ośmielony złamanym rzekomo uporem biskupów, począł sobie śmielej i dla ministerstwa robót zajął pałac arcybiskupi w Paryżu.

Pałac ten stanowił jedno ze środowisk wpływu kościelnego, uświęconych pamięcią takich pasterzy, którzy za owczarnię cierpią i umierają. W roku 1793-cim napadnięty arcybiskup de Quellen w tym pałacu przez czerwonych, ledwo uniknął śmierci. W roku 1848-ym wywleczony stąd arcybiskup Affre poniósł śmierć męczeńską. W roku 1781-ym arcybiskup Dorboy również śmiercią poparł świadectwo o Bogu-Chrystusie. Przed kilku miesiącami wyszedł pod przemocą kardynał Richard z tego pałacu na tułaczkę. Zamknięte dotąd bramy pałacu zakładały na swój sposób także sprzeciw Kościoła na przemoc przywłaszczycieli. Ale teraz rząd widział biskupów potulnych, gotowych współdziałać z rozdziałem: więc wywiesił swoje godła nad bramami pałacu i... doznał przykrego zawodu: tłum nawet lekkomyślnych Paryżan spoj-

rzał okiem oburzonem na ministerstwo bezwyznaniowe, rozgospodarowane w przybytku bohaterów Francyi katolickiej.

Rząd po niewczasie spostrzegł, że zbyt lekceważył nastrój społeczeństwa, a zawodu doznał nowego i wstydu, kiedy pisma niezależne wykryły, jakiej to wyznaniówce rząd zwycięski oddał Kościół Barnabitów.

Twórcami jej okazały się jednostki, zaliczane rzeczywiście do stanu duchownego, ale nie należne do Kościoła Powszechnego, zwłaszcza ich głowa, arcybiskup Villate, otrzymał wszystkie sakramenty, od chrztu aż do ostatnich święceń, z ręku samych wywołańców z Kościoła.

A tymczasem biskupi określali coraz poważniej i ściślej, na jakiej podstawie mogliby współdziałać z państwem. Po zjeździe zostało ich trzydziestu kilku przy kardynale paryskim, aby ostatecznie opracować zbiorowe orędzie o wyniku uchwał, powziętych na zjeździe. Wysłali z tem pismem kilku z pomiędzy siebie do Rzymu i według nowych wskazówek Piusa 10-go — jak zapewnia *Figaro* — silniej niż poprzednio zaznaczyli troskę o jawne nabożeństwo.

Oświadczyli wkońcu, że obejmą świątynie, byle rząd zabezpieczył je na użytek wyznaniowy przez dłuższy czas, byle oddał je wszystkie bez wyjątku na jednakowych prawach i pozostawił w nich dozór nad porządkiem wyłącznie duchowieństwu.

Tę uchwałę ostateczną Kościoła przywitał głos powszechny bardzo życzliwie. Ogół pism, czy to katolickich czy wolnomyślnych uznał, że biskupi zajęli stanowisko poważne, na którem chcą współdziałać z państwem, w ustawie zaprowadzić rozdział prawdziwy, bez nowych krzywd dla nikogo. Zagorzalcy jedynie odpowiedzieli okrzykiem, że Kościół słowami biskupów wzywa państwo do konkordatu nowego.

Briand powściągał zagorzalców i z początkiem lutego wystąpił z nowym okólnikiem, którym jednak nie ucieszył skrajnego obozu, ale dogodził przeważnej części pism bezwyznaniowych i zasłużył nawet na pochwałę od nich, jakoby istotnie zabezpieczał pokój wyznaniowy, bo duchowieństwo miało zadowolnione podziwiać pojednawczego ministra i odbywać narady, aby stanąć

pod przewodnictwem kardynała Richarda do układów z rządem, a najprzód umówić się co do dyecezyalnych świątyń paryskich z prefektem nadsekwańskim.

Rozsławiony okólnik zbywał jednak dwuznacznie sprawę najistotniejszą, ową nieszczęsną opiekę urzędników nad nabożeństwem. A w parę dni po okólniku dostali prefekci i merowie poufne pismo, w którem Briand wyraźnie poleca im nadzór, nadto występuje z nowym wykrętem: że wszelką umowę rząd zerwie, jeżeli duszpasterz nie utrzyma świątyni i jej skarbca w stanie należnym.

Cóż który urzędnik uzna za stan należyty? jakich wydatków samowolny służbista zażąda od księdza, aby w razie odmowy zamknąć świątynię?

Briand o tem milczał: widocznie zawczasu przygotował podstawę prawną, na wszelki wypadek, aby z winy księży poodbierać im kościoły, bo znajdzie je źle utrzymane i nie zabezpieczone przed nieporządkiem podczas nabożeństw.

Czyż biskupi w myśl powziętych uchwał swoich mogli obejmować świątynie na podstawie umów, jakich Briand wymagał od naczelników gminy?

Ciekawą nowinę dzienniki służalcze obwieściły, że wielu biskupów pozawiązywało już umowy po myśli Brianda i musieli rozwiązywać je pod przymusem papieskim.

Ciekawa to nowina! Biskupi sami w zbiorowej uchwale bronią duchowieństwo przed nadzorem państwa przy obrzędach, sami na każdym kroku szukają papieskiej wskazówki: a nagle bez papieża zawierają umowy najpoddańsze względem urzędu świeckiego i potrzebują przymusu z Rzymu, aby cofać zgodę na niewolniczy stosunek.

Łatwiej można przypuścić, że sami biskupi obstawali stanowczo przy swoich zasadach, a wojenne telegramy rządu zrzuciły winę na papieża, bo było to dla rządu istotnie przykrym zawodem, gdyby znalazł biskupów niewzruszonych na stanowisku raz zajętem. Znaczyłoby to, że biskupi żądają bezwzględnie takich zmian w ustawie, które przerobiłyby wolnomularski zamach przeciw Kościołowi na jakieś stosunki podobne do amerykańskich.

Cóż tedy Briand? W połowie lutego oświadczył przy interwiewie z *Gaulois*, że w sprawie użytku kościołów nie istnieją zasadnicze różnice poglądów między państwem a Kościołem; że trzeba tylko znaleźć prawny wzór stosownej umowy; że już znalazł sam Briand taki wzór, ale nie mówi o nim przed czasem, bo sprawa wymaga głębszej rozwagi.

I właśnie w tych dniach z wielkim naciskiem i rozgłosem dokazał, że senat przyjął wniosek, żeby ksiądz nie potrzebował zgłaszać nabożeństwa w urzędzie. Po odezwie biskupiej mógł przewidywać Briand, że to trzecie wydanie rozdziałowej ustawy rzeczowo nic nie znaczy, że tak z nią, jak bez niej duchowieństwo nie ulegnie nadzorowi państwa nad obrzędami. Ale ustawa taka senatu rozsławiała na nowo rząd jakoby zwycięski i zdolny przeprowadzić ustawę rozdziałową.

Zaraz też *Echo de Paris* udało, że bańkę mydlaną bierze za prawdę rzeczywistą i rozradowane witało jutrzenkę dni spokojnych. Przecie Briand rozwiązał najtrudniejszą zagadkę: umożliwił biskupom osiągnąć oba zamiary ich najważniejsze, a mianowicie obrzędy jawne i swobodę od nadzoru urzędowego. Kraj może odzyskać spokój, a Kościół wolny spełni swoje posłannictwo.

Ile tam pracy trzeba było włożyć w społeczeństwo, aby zamącić pojęcia i dla takich wywodów czytelnika znaleźć, z jakimi wystąpiło *Echo!*

Ale Briand potrzebował czemś uchwytnem zaspokoić skrajnych przeciwników Kościoła, więc tegoż samego dnia witali Francuzi umiarkowańsi zapowiedziany pokój wyznaniowy, a skrajniejsi oklaskiwali opis, jak w St. Meen władze znalazły drzwi zabarykadowane w seminaryum, z którego mieli usunąć kleryków; ci widocznie ośmieleni rychłą nadzieją pokoju wyznaniowego nie myśleli wychodzić. Wezwana pomoc wojskowa wyrzuciła ich przemocą i uwięziła kilku najuporniejszych.

Zapowiadane od paru tygodni nakoniec nastąpiły narady między przedstawicielami Kościoła i państwa, odbywane jednak w rozmowach poufnych bez piętna urzędowego.

Arcybiskup paryski Richard rozpoczął pierwszy między biskupami od połowy lutego porozumiewać się o użytek kościołów.

Wyprawił w tej myśli swojego koadjutora, biskupa Amette, do pana de Selves, prefekta nadsekwańskiego, aby ułożyć wzór umowy, którąby jednakowo wszędzie zawierało duchowieństwo z władzą państwową. Jednego wzoru powszechnego pragnie arcybiskup stanowczo, w myśl uchwały zjazdu biskupiego, ale bez ogródek zauważył, że gdzieniegdzie biskupi znajdą miejscowe stosunki zbyt odrębne od stanu ogólnego, tam przystaną na odpowiednią zmianę wzoru powszechnego, bo niezbędne a rzadkie wyjątki nie naruszają zasady ogólnej.

Czy taka zasada jednolitej umowy może dogadzać rządowi, który zamierza ułatwić swoim urzędnikom cichą a nieustanną samowolę, aby pod przeróżnymi pozorami zamykali świątynie? Samowola taka znalazłaby dogodne dla siebie pole w umowach, wyrażanych nieściśle, narażanych na przeróżne wykłady, zależnych w każdem miejscu od zachcianki urzędnika. Przeciwnie prawo duchowieństwa i świeckiej władzy, omawiane ściśle i wszędzie jednakowo, zabezpiecza obie strony od niespodzianek i prowadzi do prawidłowego rozwoju stosunków. Więc nie dziw, że Briandowi nie odpowiadała zasada jednostajnej wszędzie umowy: oświadczył, że oczywiście pozostawia każdemu urzędnikowi swobodę, żeby zawarł ugodę albo odrzucił.

Nadto Briand wystąpił już jawnie z nowo wynalezionym kruczkiem, żeby zarządca świątyni odpowiadał osobistym majątkiem za należyty stan budynku i skarbca.

Nakoniec Briand zażądał, żeby biskupi powierzali świątynie księżom wyłącznie francuskim i świeckim, a nie cudzoziemcom albo członkom rozproszonych zakonów. Za powód tego przepisu podaje Briand swoją troskę o duchowieństwo świeckie i o bezpieczeństwo państwa: temu szkodzi pobyt obcokrajowców, a świeckie duchowieństwo doznałoby krzywdy, gdyby biskup obsadzał kościoły zakonnikami.

Nawet wrogi Kościołowi *Siècle* wyśmiewa Brianda z rzekomej troski o księży świeckich i bezpieczeństwo państwa; zwraca uwagę na brak seminaryów, zamykanych skutkiem rozdziału; któż zastąpi ubytki duchowieństwa świeckiego, jeżeli na ich miejsce biskup nie użyje zakonników? wszak żadna ustawa francuska nie

przyznaje głosu rządowi w sprawie duszpasterstwa: na jakiejże podstawie Briand przepisuje biskupom, komu powierzą zarząd kościoła? Nakoniec nieznaczna cząstka księży we Francyi posiada osobisty majątek dostateczny, aby utrzymać w należytym stanie wspaniałą świątynię: obowiązku tego nie może podjąć się ogół; zatem pomysł Brianda skazuje tysiące świątyń na brak obsługi duchownej.

Czy Briand na ten pomysł wpadł z obawy, aby wydatkami nie obarczać państwa, gdyby z jego skarbu wypadło utrzymywać kościoły? Nie utrzymywać ich: wszak to wyglądałoby na dzikie niedbalstwo o dziejowe zabytki świetnego budownictwa. Jakże tedy radzić? Znalazł Briand radę, godną poklasków wolnomularskich. Zachowuje pozory: troskę o cenne budowle powierza uprzejmie duchowieństwu, a wie, że jego siły takiemu obowiązkowi nie podołają; zatem księża poustępują ze świątyń, a jedną po drugiej pozbawioną zarządcy i nieużywaną do obrzędów państwo zajmie jako budowlę opuszczoną, aby użyć ją na muzeum, teatr czy pałac wystawy. Gdyby nieopatrzne duchowieństwo przyjęło dziś obowiązek nad siły, za niewiele dni pozostałoby tylko przy najskromniejszych kościółkach, nim potraciłoby i te ostatki pod ciosami dokuczliwych urzędników.

Musiał tedy arcybiskup bardzo ostrożnie przeglądać każdy wyraz w umowach i rozważyć dokładnie zakres obowiązku nakładanego na zarządcę kościoła. Przewidywać mógł, że cała ta praca nie doprowadzi do pokoju wyznaniowego, ale nie chciał z góry wątpić o skutku. Istotnie doszedł do wyniku korzystnego dla sprawy Kościoła, bo wykrył przecie jawnie złą wolę urzędników. W departamencie Morhiban, na 276 parafii, zdołało tylko 231 uzyskać podpis mera na umowę, czterdzieści kilka spotkało odpowiedź odmowną z różnych powodów. Również biskup z Grenoble znalazł tylko 139-ciu merów zgodnych na układ, dwunastu odmówiło, a 336-ciu odroczyło odpowiedź.

Nikt już nie mógł wątpić, po czyjej stronie występuje duch pojednawczy. Dość wymownie okazała swojego ducha rada gminna w Raches. Umowę z proboszczem o użytek Kościoła pojęła w ten sposób, jakoby miała prawo wyznaczyć jednostronnie roczną opłatę

dzierżawną i zażądać jej natychmiast z góry. Otóż proboszcz, ks. Gardenne, nie chciał uiścić opłaty jednostronnie uchwalonej, zato rada gminna postanowiła wydalić proboszcza, starca stodwuletniego, osiadłego w miejscu od czterdziestu lat.

Briand na widok tak zawieranych umów spostrzegł, że naraża swoją sławę zwolennika pokoju i jeszcze raz zapowiedział nowe przepisy co do ugody o wyznaniowe budynki. Wywołał teraz burzę taką przeciw sobie ze strony skrajnych obozów, że już milczy od kilku tygodni.

Czwarty ów pomysł Ustawy rozdziałowej na tem polegał, żeby aż do roku 1922-go naczelnicy gmin musieli oddawać świątynie każdemu księdzu, uwierzytelnionemu przez pismo biskupie. Ale wobec wywodów pana Clemenceau miał Briand uznać, że tego pomysłu nie przeprowadzi w Izbie, więc przedłożył wniosek, żeby naczelnicy gmin mogli zakładać sprzeciw, gdyby biskup przysłał niedogodnego dla nich księdza do kościoła. Biskupi obstawali przy zasadzie, żeby urząd świecki nie miał prawa przebierać między księżmi.

Odtąd, w drugiej połowie lutego, znikają jedne po drugich ślady nadziei, że państwo pozyska spółudział Kościoła, aby przeprowadzić rozdział wolnomularski. Briand przestaje obiecywać i zapowiadać zgodę, chyba mruknie coś niewyraźnie. Dzienniki niezależne od rządu donoszą sprzeczne nowiny, jakby traciły przewodnią drogę śród mnóstwa ścieżek, oświecanych błędnymi ognikami.

Zaczyna jednak w tym zamęcie przezierać myśl, że rząd chce, choćby bez spółudziału Kościoła, przeprowadzić rozdział z nim na jego zagładę. Przez umowę z duszpasterzami łatwiej państwo nałożyłoby na nich ciężary a następnie oskarżałoby ich o zaniedbane obowiązki: łatwiej zyskiwałoby pozór prawa do świątyń, opuszczonych z winy duchowieństwa. Bez umowy sprawa to trudniejsza, ale przecie możliwa: trzeba tylko pilniej czatować na stosowne wypadki, a o jakieś przestępstwo nie trudno, choćby o jakąś bójkę czy zamieszkę w świątyni; zawalidrogów łatwiej znaleźć za gotówkę, niż wielkich bohaterów.

Prawda, że wygląda to śmiesznie dla państwa: trzy razy

zdobyć w Izbie i Senacie ustawę, ale najpoprawniejszej nie wykonywać otwarcie i poważnie, tylko szukać ciemnych przesmyków śród labiryntu, aby dojść chyłkiem czy podleźć do upragnionego kresu. Więc służalcze pisma odwracają uwagę czytelnika od śmiesznego stanowiska ministrów, zaczajonych w kryjówkach: donoszą raz o rzekomym spisku Kościoła z Niemcami, o dumnej pogardzie, z jaką zwycięski minister odrzucił prefekta nadsekwańskiego z arcybiskupim wnioskiem co do układu o świątynie, to o nowych wnioskach arcybiskupa zgodniejszych ze zasadami ministra, to o rozbitych na razie układach z powodu obaw ministra co do ducha byłych zakonników, nakoniec doniosły dzienniki o straconej już zupełnie nadziei pokoju wyznaniowego.

I tę nowinę potwierdził początek marca: przyniósł głosy biskupów a następnie wskazówki kardynałów, zbieranych na długie narady, że czas już ułatwić księżom nabożeństwo ukryte, bo wszelkie prawdopodobieństwo już znika, żeby rząd utrzymał świątynie pootwierane. Jakaby przecie nie zapadła uchwała rządu, księża mają z woli papieża pozostać przy kościołach aż do chwili ostatniej.

Rząd istotnie przybiera postawę codzień dokuczliwszą: pozywa przed sądy sporą liczbę księży, jakoby winnych namowy do rokoszu; rozgłasza przeróżne nowiny dziwne a drażliwe dla Francyi, jakoby czerpane z archiwum nuncyatury, choć jej członkowie wszystkiemu stanowczo zaprzeczają; Briand zapowiedział już dobroczynnym towarzystwom, że będą obowiązane utrzymywać świątynie z części dochodów po-kościelnych, którymi rozporządzają mocą Ustawy rozdziałowej: czyż Briand już odstąpił od myśli, że księża obowiążą się utrzymywać świątynie? wszak zastrzegł, że nie odda duchowieństwu budynków wyznaniowych, chyba, że duszpasterz każdy utrzyma swoją świątynię z osobistych dochodów: więc żaden ksiądz takiej nie zawarł umowy? Clemenceau wręcz wyznał, że za nieszczęście dla państwa nie poczytuje odmownego stanowiska Kościoła względem wniosków Brianda i zostawi jeszcze świątynie pootwierane.

I urzędnicy miejscy i wiejscy widocznie czują, że im już nie grozi przygoda burmistrza z Montreuil za zatarg z probosz-

czem. Więc w Nantes policya poprawcza przed swój sąd sprowadziła Urszulanki i obłożyła setkami franków grzywny za pobyt w klasztorze. Więc w Saint-Denis i w Saint-Gervais urzędnicy tak postępowali z proboszczami, że tym sił zabrakło do dokuczliwej walki i podziękowali za posady. Nie mają być jedynymi w podobnych stosunkach, jak zapewnia *Figaro.*

I coraz częściej od pierwszej połowy marca napływają szczegóły o zatargach między urzędnikami a duchowieństwem: biskupi z Bourges, Tours i Sens nie zdołali z burmistrzami swoich dyecezyi nic umówić w sprawie świątyń, również biskup lugduński z radą gminną w Derdille. W Ville Neuve burmistrz zażądał, żeby proboszcz ustąpił dobrowolnie z probostwa; proboszcz odmówił; burmistrz wszczął kłótnię, która doszła do bójki, ale ani burmistrz nie chciał proboszcza siłą wyrzucić, ani proboszcz nie chciał wyjść, chyba siłą zmuszony; burmistrz wezwał siły zbrojnej, przed którą proboszcz zabarykadował bramę. Obrońcy ojczyzny bramę wysadzili ale proboszcza nie tknęli, tylko powyjmowali w całym domu drzwi i okna. Mroźna zima tegoroczna nie dała proboszczowi pozostać na probostwie.

Słowem, jak przed odezwą biskupów czytaliśmy co parę dni szyderstwa z nieprzejednanego Kościoła, tak w ostatnich miesiącach czytamy często wymowne telegramy o nieprzejednanem już państwie. Rząd jednak jeszcze nie dogadza skrajnym żywiołom, których liczba rośnie; przedstawiciel ich, poseł Gayrand, podał w Izbie wniosek z naganą dla ministrów, iż nie wykonują ustawy rozdziałowej. Izba liczyła dnia 21-go marca już prawie trzecią część posłów za tym wnioskiem, mianowicie 134 głosy przeciw trzystu kilkudziesięciu głosom za rządem.

A minister Briand o swoich drogach do pokoju wyznaniowego milczy. Nie milknie o nim pogłoska, że poróżniony z Clémenceau, zawstydzony postawą Kościoła, tekę złoży i z pola bitwy ustąpi.

Kościół francuski błysnął przed oczami nawet skrajnych przeciwników jako potęga zwycięska, zdolna nałożyć Francyi nowy konkordat. W zapasach dotąd chlubnych uniemożliwił nad sobą przewagę państwa, wytrącił z jego ręku skrytobójczą broń,

którą podstępnie rażony, miał opuścić domy Boże spokojnie i zniknąć cicho z widowni. Teraz czeka na rozdział taki, w jakim żyje swobodnie za oceanem, albo na przemoc jawną, na te ciosy prześladowcze, których boi się Briand wraz z przeważną częścią Senatu i Izby.

Nim rząd albo cofnie się, albo wywrze ucisk jawny, Kościół poczyna sobie swobodnie, jakby innych stosunków nie oczekiwał i w obecnych zamyślał urządzić się na stałe. Więc ostatniego marca kardynał Richard kazał wybierać rady parafialne, zamiast dawnych zarządów kościelnych, które z Konkordatem ustały, i zapowiedział na koniec maja synod prowincyonalny.

Tak przebył francuski Kościół pierwszą dobę zapasów i powstrzymuje napór wolnych mularzy nie tylko we Francyi. Ostudził ich w zapale, z jakim liczyli, że Francyę opanują jednego dnia, Europę drugiego. Widzą już szyki swoje pomieszane i potrzebują czasu do namysłu, czy pora już z nad Sekwany nad Dunaj i Wisłę przenieść walkę z Kościołem... jeszcze liczą na nowy parlament w Austryi... a zwłaszcza na brak pracy obronnej ze strony naszej; sami pracują skrzętnie, gotowi odnieść nad nieopatrznymi zwycięstwo świetniejsze, niż zwycięstwo ministra Brianda.

Ks. K. Czaykowski.

TEREN POLITYKI KOLONIALNEJ NIEMIEC.

Od najdawniejszych czasów można w stosunku macierzystych państw do kolonii zauważyć przykłady bezwzględności, często zepchnięcie kolonii do roli niewolnic ekonomicznych. W pogoni za zyskiem, państwa krępowały swobodny rozwój kolonii, dyktując im bezwzględne warunki, często wkraczające już w dziedzinę osobistej swobody i wolności wyzyskiwanych ekonomicznie krajowców.

Epokowym przykładem wielkiej reakcyi przeciw narzuconej sile jest walka Stanów Zjednoczonych, sławna walka o niepodległość, świetnym uwieńczona skutkiem.

Ta walka Stanów Zjednoczonych i późniejsza walka Burów przeciw Anglii i nowsze analogiczne wypadki, jak powstanie Hererów w Afryce, ostrzegają Europę przed nieuczciwą polityką kolonialną.

Najwyższym celem polityki kolonialnej powinno być: dać koloniom zupełną swobodę rozwoju i największego rozkwitu. Kraj macierzysty, pod względem osobistej korzyści, powinien poprzestać na swobodnem nawiązaniu stosunków handlowych.

Przekroczenie tej zasady prędzej czy później pomścić się musi nawet na najmożniejszych państwach. Państwa bowiem europejskie tak długo dyktować będą warunki koloniom, póki rozkwit ekonomiczny i polityczna dojrzałość, a co za tem idzie i poczucie własnej godności kolonii, nie popchnie ich do ogłoszenia się samoistnemi państwami a w każdym razie do rozpaczliwych wysiłków celem zrzucenia z siebie przygniatającej je przewagi.

Dowodem tego kolonie niemieckie. Kiedy potęgi morskie zabiegały około kolonii, Niemcy a właściwie Prusy nie mogły jeszcze o tem myśleć, nie były jeszcze państwem morskiem, nie były jeszcze nawet potęgą lądową. Były jeszcze mocno zajęte sobą, budową swego państwa w Europie. Kiedy zaś organizm tego państwa na gruzach narodów wypartych brutalną siłą się ustalił, — zagarnąwszy wybrzeże morza Bałtyckiego i Północnego z ziemiami polskiemi, i Szlezwikiem i Holsztynem, Niemcy zaczęły stwarzać swą potęgę morską.

»Niemcy« — pisze Hänsch [1] w swej rozprawce o koloniach — »wskutek swego położenia nad morzem Północnem znalazły się w polityczno-geograficznem sąsiedztwie Holandyi i Anglii, dwóch starych potęg kolonialnych. To samo morze oblewa ich wybrzeża, ta sama światowa droga otwiera im Ocean. Czyż polityka kolonialna, która dla obydwu tych potęg północnego morza była i jest organiczną i naturalną, miałaby być dla Niemiec niegeograficzną?!«

Niemcy upatrując potęgę swych sąsiadów w ich ekonomicznem znaczeniu na zewnątrz, naśladując ich, rzucili się na politykę kolonialną. Ogarnął ich »febryczny ruch kolonialny«. Potrafili oni od niedawna, bo dopiero od 1884 r. zająć pod swój protektorat wcale rozległe terytorya w Afryce wschodniej, zachodniej, w Oceanii i w Azyi. Międzynarodowa konferencya w Berlinie w roku 1885 przyznała im posiadłości na wybrzeżu południowo-zachodniem Afryki, na północ od Caplandu, jak i na wschodniem nad Oceanem Indyjskim. Nadto pozyskały Niemcy w Afryce, w Gwinei, wśród posiadłości francuskich i angielskich kraj Togo z jednej strony, z drugiej zaś o wiele rozleglejszy Kamerun; poza Afryką zaś w Oceanii zajęły część wybrzeża Nowej Gwinei, wyspy Samoa, parę drobniejszych i wreszcie nabyty w r. 1900 kupnem od Hiszpanii archipelagi Karolin i Maryanów. Po wojnie zaś japońsko-chińskiej zyskali port Kiau-czou na Chinach. Razem $2^1/_2$ miliona km², na 540,743 km² powierzchni państwa niemieckiego w Europie!

Polityka kolonialna Niemiec, dzięki konfliktom z Anglią

[1] *Das deutsche Kolonialreich. Eine politisch-geograph. Studie.* Na tem też głównie dziele, obok innych głosów tylko niemieckich uczonych, opiera się niniejsza praca.

i Francyą, jako też znanym wypadkom wewnątrz państwa, wyszła dziś na pierwszy plan. W takiej chwili rozglądnięcie się w terenie geograficznym tej polityki ma swoje doniosłe znaczenie, tem bardziej, że geografia ta kryje, w tym wypadku, pewne zagadki pierwszorzędnej wagi.

Rozpocznijmy od kolonii afrykańskich. Wogóle mówiąc, kolonie w Afryce nie odpowiadają potrzebie Niemiec. One potrzebują kolonii rolniczych, emigracyjnych. Obecne kolonie niemieckie mogą być tylko kupieckiemi, a każde usiłowanie Niemiec do zapuszczenia silniejszych korzeni, do silniejszego ugruntowania swojej władzy, do zamienienia tych kolonii na kolonie rolnicze, wywołuje silną reakcyę tak ze strony krajowców, jak i samego społeczeństwa niemieckiego, jaką jest i obecne zachowanie się *Reichstagu* wobec nowych kredytów kolonialnych.

Zresztą rzućmy okiem na te kolonie, jak się one przedstawiają.

Najmniejszą kolonią niemiecką w Afryce jest wspomniana już T o g o, nad zatoką Gwinejską. Wybrzeża jej »złote«, »kości słoniowej« i »niewolnicze« zajęły od dawna państwa europejskie, głównie Anglia i Francya. Niemcy przyszli tu najpóźniej, kolonia ich jest też najmniejsza; mikroskopijnie mało dostało się tu Niemcom tego tak cennego wybrzeża. Togo wcisnęło się wązkim pasem o obszarze około 87,200 km², ciągnącym się od wybrzeża ku północy, między kolonie angielskie i francuskie. Ujście wązkie tego kraju wychodzi na wybrzeże Niewolnicze. Długość granic nadbrzeżnych tego kraju, wynosząca 52 km, jest w stosunku do obszaru kraju anormalnie mała, bo na 1740 km² przestrzeni, przypada 1 km wybrzeża. Kto wie, że wybrzeże jest dla każdego państwa, a przedewszystkiem dla kolonii, tem oknem, co dostarcza światła i powietrza niezbędnego dla zdrowia i ekonomicznego życia kraju, ten widzi już tutaj zarodek suchotniczego wegetowania tej niemieckiej kolonii. Ostatecznie i Kongo belgijskie, choć 25 razy większe od kolonii Togo, niema dłuższego wybrzeża, ale ma za to ujście rzeki Kongo, która w całym swoim biegu i dorzeczu objęła kraj i jest wprost świetnym łącznikiem. Niemcom i tego brak. Posiadają oni wprawdzie jedną rzekę spławną, Woltę, ale ujścia

tej rzeki należą do Anglii. Jeśli do tego dodamy »macierzyńską« opiekę Francyi i Anglii, która swemi koloniami, jedna od północy i wschodu, druga od zachodu roztaczają swą opiekę nad niemieckimi interesami, jeśli dodamy brak granic naturalnych, to dopiero wtedy będziemy mieli obraz całkowity tej nędzy: pod względem politycznym i co za tem idzie ekonomicznym, położenie fatalne. Niepewność i brak ubezpieczonego posiadania handlu — na granicach wprawdzie ciągła wymiana towarów z sąsiedniemi koloniami, ale i te płody jak i towary z niemieckich kolonii odchodzą znowu spławnemi rzekami do portów... francuskich i angielskich. Stąd znowu ciągłe nawoływania o kolej, którąby przebiegała kraj cały, aż do wybrzeża. To znowu wymaga ofiar ze strony państwa niemieckiego, a może nie usunęłoby ujemnych skutków i niebezpieczeństw położenia politycznego.

Nadto jeszcze niebezpieczeństwo panislamizmu, grożące od północy Niemcom, zarówno jak i wszystkim koloniom europejskim nad zatoką Gwinei, oto cały szereg kłopotów i możliwych powikłań związanych z tą kolonią. Chyba nieświetne widoki.

Idźmy do kolonii drugiej — do Kamerunu.

K a m e r u n leży również nad zatoką Gwinejską. Przegradza go zaś od Togo francuska kolonia Dahome i angielska kolonia nad dolnym Nigrem. Łączy obydwie kolonie niemieckie wspólna zatoka Gwinejska. Olbrzymi ten kraj (495,000 km²), również bardzo małą stosunkowo częścią swych granic dotyka zatoki. Wygląd jego bardzo dziwaczny. Ciągnie się ku północy aż do jeziora Czad i rzeki Schari, która też stanowi północno-wschodnią granicę kolonii. Reszta granic to są sztuczne, idealne. Cały kraj można podzielić na dwie części. Większy południowy kraj, przylega do zatoki, a mniejszy północny przylega do wspomnianej już rzeki Schari. Dzieli zaś cały ten kraj na dwie części wciskająca się klinem kolonia francuska. Linie graniczne pociągnięte są tak niegeograficznie, że odbierają kolonii wszystkie korzyści komunikacyjne, gdyż wszystkie spławne rzeki leżą już poza posiadłościami niemieckiemi, tak, że ku zatoce skierowanym jest tylko handel z części bezpośrednio do zatoki przylegającej, północna zaś część kraju jest od tego ruchu odcięta. Rzeka Schari skierowana ku północy do

jeziora Czad, już mniejsze posiada znaczenie, gdyż jest linią komunikacyjną do... centralnej Sahary! Stąd znowu konieczność budowy kolei, na którą już poważniejsza część społeczeństwa niemieckiego łożyć nie chce, zwłaszcza gdy uwzględnia owo dążenie rządu niemieckiego do zamiany tych kolonii handlowych na rolnicze. To położenie zatem kolonii, niezgodne z naturalnem położeniem terenu, to napawa tak wielką troską Hänscha co do przyszłości kolonii. Wyraża on nawet kilkakrotnie zasadę, że granice, położenie państw, jego rozmiary powinny odpowiadać przyrodzonym właściwościom geograficznym terenu. Wysuwa tę zasadę, ile razy chodzi o rozszerzenie granic kolonii niemieckich. Pragnie on ciągle tę zasadę wszędzie widzieć w zastosowaniu.

Z jaką znowu przewrotnością odwraca Hänsch przytoczoną wyżej zasadę w stosunku do szczepów kolonie niemieckie zamieszkujących, powołując się i cytując zdanie z Ratzla: *Eine kluge Politik wird darnach streben, die ethnischen und sozialen Gegensätze in einem Staate nicht allzu geographisch werden zu zulassen, um ihnen nicht die Kraft zuzuführen, die sie aus der Verbindung mit dem Boden in gefährlichem Masse ziehen könnten.*

Metoda próbowana w Europie, lecz jak się pokazuje bezskutecznie. Cała rozprawka Hänscha, to jeden wielki problem zaborczy, upozorowany naukowymi wywodami, humanitarnemi dążeniami wobec plemion podległych i niepodległych.

Co do handlu to mają tu Niemcy wiele kłopotu ze zniszczeniem dawnych naturalnych szlaków handlowych, uporczywie mimo ich nieekonomiczności się utrzymujących, a zaprowadzeniem nowych kierunków życia handlowego, zastosowanych do sztucznej konstelacyi kraju i interesów niemieckich. Znowu więc nawoływania o koleje, któreby mogły jako sztuczne środki komunikacyjne do sztucznej sytuacyi się zastosować.

Właściwe znaczenie ekonomiczne kolonii Kamerun polega na jej położeniu nad zatoką. Jest to okolica niezdrowa, zajęta lasami dziewiczymi, w której utrudniony jest chów bydła, nadto panujące tam tsetse. Tak mało widoków powodzenia ma na razie ta kolej, że nawet projektów co do budowy kolei, niewiele. Czarno maluje też Hänsch położenie Kamerunu pod względem kulturalnym.

Kamerun według niego, to punkt, w którym stykają się dwa kierunki silnego naporu mahometanizmu, jeden od Trypolis, drugi od Nubii. To »niebezpieczeństwo« islamu przychodzi bardzo w porę, dla usprawiedliwienia bezwzględnego wobec krajowców postępowania.

Kolonie te zamieszkują liczne drobne plemiona, jak zresztą wszystkie inne kolonie niemieckie. Przedewszystkiem wyróżniają się tu plemiona muzułmańskie od pogańskich Negrów. Granica terytoryalna między temi plemionami idzie w poprzek Kamerunu i ostro się zarysowuje. Otóż to Hänsch biada nad tem, że Kongres berliński zupełnie nie liczył się z indywidualizmami tymi i w sposób bezwzględny te państwa poprzecinał od wschodu na rzecz Anglii, od zachodu na rzecz Francyi. A najgorszem jest to, że zasobne państwo Adamaua z małem terytoryum dostało się Anglii i pozbawiły państwo to jego naturalnego centrum! Wskutek usadowienia się zaś od wschodu Francuzów, powstały w tem miejscu bardzo nienaturalne granice, zwężające niesłychanie kolonię niemiecką! Grozi więc ze strony tych ludów wielkie niebezpieczeństwo, one kiedyś upomną się za rozerwanie ich na części!? Niemcy muszą się tedy z tej strony zabezpieczyć przez to, że ściśle swe terytoryum od wpływu bratnich plemion odetną.

Niech mi wolno będzie zaznaczyć, że stanowisko to państwa kolonialnego, wyrażone ustami Hänscha, jest typowem nie tylko u Niemców ale i u Francuzów, gdy chodzi np. o kwestyę katolicyzmu lub wogóle chrześcijaństwa w koloniach.

Zresztą może nie potrzebaby dopiero w Kamerunie szukać dowodów tej wysoce etycznej polityki? We własnym kraju, w Europie, czy inne całkiem zasady, jak w koloniach? Oto owa najczarniejsza strona t. zw. polityki, będącej jej nadużywaniem. Państwo etyczne jako zbiór jednostek, tak samo zobowiązane jest do trzymania się zasad jak jednostka etyczna. Przewrotność stosowana przez państwo na równi je zniszczy, jak stosowana przez jednostkę.

Największą (995,000 km²) kolonią afrykańską jest Afryka wschodnia. Kolonia ta zawdzięcza całe swoje znaczenie wpływowi Oceanu Indyjskiego. Całe to wogóle wybrzeże wschodnie Afryki jest w ciągłym kontakcie z Arabią i Indyami dzięki sprzy-

jającym tej komunikacyi, peryodycznie powtarzającym się, monsunom. Stąd to na tem wybrzeżu potworzyły się państwa arabskie.

Wpływy te islamu dotarły najprzód do leżącej naprzeciw kolonii wyspy Zanzibar i stąd rozeszły się po wybrzeżu.

Do niedawna całe wybrzeże to zależne było od sułtanatu zanzybarskiego, od 7 lat Niemcy zupełnie to wybrzeże posiedli. Obecnie tylko — obok klęsk elementarnych, a przedewszystkiem srożącej się tu epidemii snu — wyspa Zanzybar zagraża handlowi kolonii. To wysuwanie kwestyi ekonomicznej jest zapowiedzią Niemców zagarnięcia i tej wyspy, zwłaszcza, że zachodzi pewna rywalizacya z Anglią.

Kolonia ta ma przeważnie, bo aż w połowie granice nadbrzeżne, przylega ona bowiem z zachodu aż do czterech jezior i do Oceanu Indyjskiego. Znaczna jednak część, to granice sztuczne, co po części znowu zmniejsza korzyści z tak znacznej części granic nadbrzeżnych.

Przez środek jednak tej kolonii w kierunku północnym ciągnie się kotlina, która dzieli jakby w naturalny sposób kolonię tę na część wschodnią ku wybrzeżu i na część zachodnią ku lądowi. Tak więc kolonia wschodnio-afrykańska jest jakby odciętą od reszty Afryki i posiada położenie skrajne, otwarte od północy i południa, gdzie sąsiaduje z Anglią, a na znacznej przestrzeni od południa także z kolonią portugalską: *Mozambik*. Sąsiedztwo to grozi kolonii niemieckiej zupełnem osaczeniem. Dla Anglii jest ta kolonia niemiecka poważną przeszkodą i przerwą w wykonaniu jej zapędów imperyalistycznych zagarnięcia całej Afryki wschodniej. Kolonia ta niemiecka znajduje się wśród dwóch silnych prądów ekspanzyi politycznej Anglii, jednego wychodzącego od kraju Przylądkowego, od południa, a drugiego od Egiptu, od północy. Etapami na tej drodze są: kraj Przylądkowy, kraj Beczuanów, a od północy zajęty już prawie przez Anglików Egipt, Nubia, Sudan, Kordofan, Chartum, Darfur; Bahr el Ghazal i Uganda-Protektorat. Tak więc graniczące tu z kolonią niemiecką kolonie angielskie mają już za sobą cały szereg terytoryów angielskich grożących jej wprost uduszeniem. Do tego północne i południowe kończyny posiadłości angielskich zbliża ku sobie

podłużne jezioro Tanganika, tak, że od ostatniej kończyny północnej tego jeziora do ostatniej kończyny lądu północnej kolonii angielskiej jest zaledwie kilkaset metrów. Połączenie tych kończyn jest kwestyą przedłużenia istniejącego już telegrafu od Udjidji ku północy. Jak miłym jest intruz niemiecki przeszkadzający temu połączeniu dwóch rzędów potęg terytoryalnych angielskich, łatwo zrozumieć.

Już nawet Anglia pertraktowała z państwem Kongo o »dzierżawę« wązkiego pasa lądu dla wybudowania kolei wzdłuż jeziora Tanganika i dalej aż do połączenia z kolonią północną. Do tego połączenia prędzej czy później przyjść musi. Temu Niemcy zapobiedz nie mogą, a kolej taka zabierze niemieckiej kolonii także wielką część jej korzyści handlowych. Że ta ekspanzya obu kolonii angielskich i po wybudowaniu kolei wzmoże się i dążyć będzie do swobodniejszego połączenia., nie ulega wątpliwości, jak również nie ulega wątpliwości, że Niemcy wobec tego z założonemi rękami siedzieć nie będą.

Pierwszym krokiem przeciwdziałania ze strony Niemiec będzie zapowiedziana już budowa kolei wewnętrznej, łącząca wybrzeże z wnętrzem kraju. Osobna komisya pracuje obecnie w tym celu na granicy portugalsko-niemieckiej.

Ale i Anglicy już pracują nad wybudowaniem kolei konkurencyjnej wzdłuż rzeki Schire. Od północy zaś jezioro Wiktorya łączy z wybrzeżem kolej, ale znowu angielska.

Wprawdzie zachodnie ujście jeziora Tanganika, Lukuga, łączy to jezioro z rzeką Kongo, ale cóż, kiedy cały handel w Kongo jest pod »protektoratem« Belgii i zwrócony na zachód, do zatoki gwinejskiej, kolonia niemiecka zatem najmniejsze ciągnie tu pożytki z tych tak klasycznych środków komunikacyjnych. Jeżeli jeszcze przyjdzie do projektowanej przez Anglików kolei łączącej obie kolonie angielskie, to powstanie tu olbrzymia komunikacya, przebiegająca całą Afrykę od południa ku północy, zaczynająca się od ujścia Zambezy a kończąca u ujścia Nilu. Ta potężna linia komunikacyjna wyjdzie na korzyść Anglii, a kolonia niemiecka zwróconą będzie wyłącznie ku Oceanowi Indyjskiemu, ku któremu jednak zwrócone też są posiadłości znowu angielskie i por-

tugalskie. Zamierzone jeszcze budowy kolei wewnętrznych będą mieć tylko lokalne znaczenie, będą tylko obroną przeciw zupełnemu zastojowi kolonii niemieckiej. Główna i stara droga łącząca zachodnią część kolonii z wschodnią, z wybrzeżem jest nadto bardzo niebezpieczna z powodu przypadającego właśnie na tę linię starcia plemion północnych z południowemi. Stąd to pochodzi owa potrzeba ciągłej wysyłki wojsk do tej posiadłości, stąd to pochodzą owe podejrzenia o jakieś zdobywcze zamiary rządu niemieckiego.

Nie, chodzi tu tylko o utrzymanie *status quo*, a akcya ta wiele jeszcze ofiar ze strony państwa niemieckiego wymagać będzie.

Ostatnią kolonią w Afryce jest niemiecka Afryka, południowo-zachodnia. Ma ona położenie geograficzne pod względem klimatycznym bardzo sprzyjające osiedleniu się Europejczyków. Niestety! wybrzeże tej kolonii, odcięte od północy rzeką Kunene, od południa dolnym biegiem rzeki Oranje, zupełnie nierozwinięte, wprost nieprzystępne. Jedyna tylko odpowiednia zatoka Wielorybia, otwierająca podwoje do tego kraju, jest w ręku Anglików. Znowu posterunek angielski, spełniający tu analogiczne zadanie, jak hiszpańska Fernando Po przed Kamerun, angielski Zanzybar przed niemiecką Afryką wschodnią, jak zresztą i wyspy Pinguin naprzeciw wybrzeży w mowie będącej kolonii.

Zabranie Niemcom jedynego przystępu do tej posiadłości, bez wszelkiej zresztą korzyści dla siebie ma na celu wstrzymanie rozwoju posiadłości niemieckiej, jak zresztą zmierza do tego i zajęcie ujść Wolty w Togo, odcięcie spławnych rzek w Kamerun. Słowem Anglia w licznych miejscach popsuła Niemcom kolonie i wybrzeża. Tak więc kolonia ta jest zupełnie na uboczu, nie ma kontaktu z oblewającem ją morzem, a od reszty lądu odcięta jest pustyniami i stepami. Kraj nadaje się do rozwinięcia rolnictwa, przedewszystkiem przy zaaklimatyzowaniu tutaj wielbłąda, jako siły roboczej, ale kolonia ta ma jedno niebezpieczeństwo t. j. ogrom przestrzeni: 835,000 km² obszaru! Wskutek tego 15000 wybranych żołnierzy pracuje tu już od 2 lat bezskutecznie nad uśmierzeniem trwającego jeszcze dziś powstania krajowców Hererów. To niebezpieczeństwo zmniejszyć może tylko liczna sieć komunikacyjna.

Koleje mają tu nie tylko ekonomiczne, lecz także polityczne znaczenie. Ilość sieci kolejowej jest miarą potęgi politycznej państwa w koloniach.

Stąd odmowa budżetu kolonialnego wprawiła dziś wielkiego cesarza w rozdrażnienie, w którem o wybrańcach narodu miały paść z ust jego wyrażenia nie licujące nawet z godnością poddanych najniższego gatunku.

Brak tu prawie zupełnie wszelkiej komunikacyi z sąsiednią kolonią angielską. Granice od tej strony idealne, w rzeczywistości nieprzebyte lasy i stepy. Nieszczęsna klauzula, zabraniająca budowy kolei z Windhock do zatoki Wielorybiej, uniemożliwia zakończenia budującej się właśnie tej kolei w jednym porcie Otavi Swakopmund. Ku wschodowi zaś prowadzi jedyna droga t. zw. »ścieżka Ngami«.

Brak zatem dostatecznej ilości komunikacyi jest najczarniejszą stroną tej posiadłości.

W budowie będąca kolej Swakopmund-Windhock ma być przerwaną z powodu wielkich trudności, a małych widoków korzyści. Odnoga tej kolei ma ją łączyć z budującą się koleją Otavi.

Wszystkie te budowy są narazie w zastoju z powodu ciągle trwającego powstania Hererów. Zakończyć go mają olbrzymie środki tak pieniężne, jak w ludziach, będące właśnie na porządku dziennym obrad Reichstagu.

Przejdźmy do kolonii niemieckich w Australii, które ograniczają się do północno-wschodniej części Nowej Gwinei, wyspy Samoa, Karolin, Maryanów i Marszalskich, razem przeszło 231,000 km². Niemcy usadowiły się tu mimo protestu mocarstw, dopatrujących się w każdym nowym sąsiedzie więcej sposobności do konfliktów. Musiały zaś Niemcy i tu się usadowić w rzędzie mocarstw pacyfikacyjnych, by bronić stałej komunikacyi z Australią!

W szczególności posiadłość niemiecka w północno-wschodniej części Nowej Gwinei pod nazwą kraju cesarza Wilhelma, sąsiaduje od południa z posiadłością angielską, znowu prawie równą geometryczną linią od niej oddzielona. Drugą zachodnią połowę Nowej Gwinei zajmują Niederlandy, z którą, nawiasem powie-

dziawszy, stosunki Anglii są bardzo dobre. Ten podział wyspy z którego połowa jej przypada Niederlandom, a jedna czwarta Anglii na równi z Niemcami, dotyka niewątpliwie ambicyi Anglii i kieruje jej niechęć z tego powodu oczywiście znowu do Niemiec, przybyłych tu zresztą dopiero w r. 1885.

Na północny wschód od Gwinei w półkolu leżący archipelag ochrzczony przez Niemców mianem Bismarcka, odkryty przeważnie przez Anglików jeszcze w XVII wieku, należy również dopiero od 1885 r. do Niemiec. Nie bardzo sami poczuwają się za właścicieli tego archipelagu, skoro tak starannie wszystkie od dawna istniejące tu nazwy angielskie wysp i portów zamienili na odpowiednie nazwy niemieckie. Jest tu i Wilhelm i Bismark i Pomorze i Meklemburg i Hanower i t. d. Słowem rodzime Niemcy.

Zresztą kolonie te wogóle będą pod względem handlowo-politycznym zależne zawsze od Australii, głównie jako stacye handlowe, aczkolwiek dość skupione, nie nadają się nawet jako wygodne składnice węglowe. Wielki wpływ mieć będzie także Ameryka a w najnowszych czasach Japonia może nadać także pewien kierunek tym koloniom w Oceanii.

A teraz słynne chińskie Kiau-czou.

Rozwój handlu międzynarodowego spowodował atak państw europejskich na zamknięte dla międzynarodowej wymiany Chiny i Japonię. Opierające się dłużej Chiny zmuszone były większe jeszcze poczynić koncesye na rzecz mocarstw europejskich. Nie tylko musiały otworzyć szereg portów, ale nawet odstąpić poszczególnym państwom niektóre porty. Po wojnie japońsko-chińskiej dostała Rosya Port-Artur, Anglia Wei-hai-wei, a Niemcy port Kiau-czou nad Morzem Żółtem. Zabór tych portów upozorowano dyplomatyczną formą dzierżawy na lat 99. W ten bowiem sposób dokonywa się dziś zabór terytoryów w sposób ugodowy.

Port ten niemiecki mimo powstania Boxerów w Chinach, mimo nawet wojny rosyjsko-japońskiej, ciągle się rozwija. Z marnej mieściny powstało dziś wielkie miasto, wspaniale pięknymi gmachami zabudowane.

Sam port został po europejsku urządzony i koleją z lądem połączony. Kolej ta, Szantung, przyszła do skutku wśród bardzo

ciężkich warunków. Trudności przy wywłaszczaniu gruntów pod budowę kolei z powodu bardzo zawiłych stosunków prawno-prywatnych w Chinach z jednej strony, nieprzeliczona ilość grobów chińskich na trasie kolejowej z drugiej strony. Groby te musiano z wielką ostrożnością przenosić. Chińczycy zachowują się wobec gospodarki Niemiec powolnie, gdyż czerpią z niej wielkie korzyści materyalne a nawet dali Niemcom pewnego rodzaju monopol handlowy na tej linii kolejowej. Kolej przechodzi przez miasto Wiehsien obfitej kopalni węgla. Port ma klimat południowej Europy, a więc bardzo sprzyjający osiedleniu się Europejczyków. W ciągu tych kilku lat wzrost ludności miejscowej i europejskiej bardzo się wzmógł. Mogłaby to może być jedna z najkorzystniejszych kolonii niemieckich, gdyby nie była najbardziej w istnieniu zagrożoną przez znane komplikacye, jakie wiążą się z wojną rosyjsko-japońską. Może nie bez precendensu dla Niemiec, akcentują Anglicy zwrot zabranego przez siebie Chinom portu Wei-hai-wei.

Jak już przy rozbiorze poszczególnych kolonii widać było, kolonie są jabłkiem niezgody między Anglią a Niemcami. Odbywa się z tego powodu między temi mocarstwami cicha walka na śmierć i życie. Każde zaniedbanie ze strony Niemiec wyjdzie na korzyść Anglii. Ta wcześnie zajęła wszystkie korzystne posterunki. A i tak jeszcze Anglia czuje się skrępowaną przez ekspansyę Niemiec. Przed rokiem 1884 nie doznawała Anglia żadnej zapory w swojem działaniu w Afryce.

Może nawet akcya Niemiec w Afryce spowodowała pewien pośpiech w Anglii. Wobec grożącego niebezpieczeństwa szybko zajęła obojętne nawet terytorya, z niektórych nawet pozycyi już przez Niemców zajętych ich wypierając.

Wprawdzie traktaty międzynarodowe unormowały te sprawy, te wzajemne dążenia, ale pozostawiły tyle punktów zaczepnych, że ciągłe starcia między temi państwami są nieuniknione.

Niemcy tymczasem sięgają gdzieindziej znowu swymi wpływami: przez kolej bagdadzką, przez udział w kolei po Arabii Skalistej a wreszcie Marokko! Niepowodzenia kolonialne chcą tutaj

powetować, ale Anglia sprawy nigdy nie zaśpi. Państwa te zawistnem okiem spoglądają na każdą zmianę w stosunkach kolonialnych. Każda drobnostka wzmaga tu zarzewie niezgody. Dowodem choćby ostatni rzut oka na polityczny horyzont.

Potęga kolonialna Niemiec jest w stosunku do angielskiej i francuskiej mała. Przeglądając sprawozdania ich publikacyi kolonialnych widać, że korzyści materyalne Niemiec z kolonii są jeszcze nikłe, warunki ekonomiczne ciężkie. Do tego błędy w zarządzie koloniami stworzyły kwestyę kolonialną w państwie niemieckiem. Nie mówię już o wielkich nadużyciach i zachłanności Niemców, chcących się na koloniach wzbogacić, o nietakcie prasy wobec kolonii, który doprowadził do formalnej wojny między koloniami. Nienaturalny pośpiech, z jakim Niemcy postępują, zagarniając co się da, może być także powodem nietrwałości tych nabytków, nadto i z powodu wielkich kosztów z tą procedurą złączonych.

Przeczuwają te niebezpieczeństwa i sami Niemcy, skoro właśnie zreorganizowali cały zarząd kolonii, ustanawiając ścisły etat personalny i zupełnie odrębny i samodzielny urząd kolonialny z licznemi sekcyami i oddziałami i sekretarzem państwa na czele.

Przyszłość okaże, czy te, nawet tak daleko idące środki ostrożności i olbrzymi budżet kolonialny, do którego państwo niemieckie dopłaci kilkanaście milionów, usunie kwestyę kolonialną.

W każdym razie kwestya kolonialna stworzyła dziś rozłam w państwie niemieckiem. Po jednej stronie rząd z tym ogółem szowinistów niemieckich, który bezpośrednie czerpać ma korzyści z uchwalonych olbrzymich sum na kolonie, z drugiej strony katolickie *Centrum,* Polacy i socyaliści. Wszystkie te trzy stronnictwa przeciwne dotychczasowej a wogóle intenzywnej polityce kolonialnej są stronnictwami ideowemi, stającemi w tym wypadku, w obronie słuszności i prawa. Może ich rząd niemiecki chwilowo pokonać, stłumić, lecz idea ich prędzej czy później odniesie tryumf nad pruską pikielhaubą.

Dr. Stanisław Weiner.

PIERWSZY AUSTRYACKI KONGRES OCHRONY DZIECI

(d. 18, 19 i 20 marca 1907).

Dwie rzeczy wyróżniały pierwszy austryacki kongres ochrony dzieci [1] od innych podobnych zjazdów: poparcie ze strony rządu i zapowiedź rychłego przeobleczenia poważnej części jego żądań w szatę ustawodawczą. Minister sprawiedliwości, dr. Klein, w świetnej mowie, w której forma z treścią składały się na znakomitą całość, zajął wobec ochrony dzieci stanowisko, godne przedstawiciela nowożytnego państwa: »Dotąd ograniczaliśmy się do rozporządzeń, a więc do środka, którego znaczenie w dziedzinie ochrony prawnej jest bardzo ograniczone... Naraz jednak otwarły

[1] Program obrad kongresu.

I. Ochrona dzieci.

1) Jakie środki należałoby przedsięwziąć dla ochrony dzieci, pozostających na opiece u obcych osób (Zieh- Halte- und Kostkinder) i jakie prawa należałoby przyznać wychowawcom ze względu na tego rodzaju dzieci?

Referenci: Dr. Gustaw Riether, prymaryusz i kierownik dolno-austryackiego Zakładu dla podrzutków.

Dr. Paweł Vittorelli, prezydent Sądu kraj. dla spraw karnych w Wiedniu.

2) Czy jest wskazanem, przelewać na pewne związki, zakłady i stowarzyszenia, w których opiece znajduje się dziecko, prawa i obowiązki ustawowej opieki, względnie pod jakimi warunkami jest to możliwe?

Referenci: Dr. Hugo Schauer, radca ministeryalny.

Dr. Edward książę Lichtenstein, wicesekretarz w ministerstwie handlu.

Dr. Ryszard Weiskirchner, dyrektor Magistratu wiedeńskiego.

Dr. Henryk Reicher, docent pryw. na uniw. w Wiedniu.

3) Czy jest rzeczą wskazaną, stworzyć w poszczególnych gminach

się serca dla smutnej doli nieletnich, którym twardy los odmówił szczęścia, jakie daje opieka i wychowanie w ognisku rodzinnem; budzi się zrozumienie dla delikatnych uczuć młodzieńczej duszy i coraz bardziej toruje sobie drogę to przekonanie, że dzisiejsze urządzenia, dostosowane do miary dojrzałych i za swe czyny odpowiedzialnych jednostek, tylko przez odpowiednią zmianę mogą skutecznie działać także i na młodzież... Do tego zaś dołącza się jeszcze i ten ważny moment, że właśnie ta potęga, którą zazwyczaj najtrudniej przekonać, rząd, znajduje się już w tym samym obozie i jest również przekonany o konieczności uzupełnienia i udoskonalenia ochrony dzieci i opieki nad nieletnimi... Niema dla państwa i dla narodu większego skarbu nad jego młodzież, bo państwo i naród żyją dla przysłości; teraźniejszość jest tylko przygotowaniem tego, co ma nastąpić i czego się

---

specyalne organa, któreby miały wspierać sądy w wykonywaniu czynności nadopiekuńczych?

Referent: Dr. Hugo Schauer, radca w min. sprawiedl.

4) Czy jest rzeczą wskazaną, wprowadzić szczególne postanowienia prawno-karne dla ochrony zdrowia, tudzież rozwoju fizycznego i moralnego dzieci?

Referent: Dr. Henryk Lammasch, prof. uniw. itd.

5) Jakie szczególne stosunki natury sanitarnej należy wziąć pod rozwagę w kwestyi ochrony dzieci i jakie środki należy w pierwszym rzędzie przedsięwziąć w tej dziedzinie?

Referent: Dr. Artur Schattenfroh, prof. uniw. itd.

6) Przyczyny dręczenia dzieci i środki zaradcze przeciw temu.

Referent: Lydia v. Wolfring, prezesowa Związku Pestalozzi'ego.

7) Doświadczenia lekarzy sądowych na polu dręczenia dzieci.

Referenci: Dr. Albin Haberda, prof. uniw.

Dr. Aleksander Kolisko, prof. uniw.

II. Wychowanie ochronne.

Organizacya wychowania ochronnego w Austryi.

Referent: Dr. Henryk Reicher, docent pryw. na uniw. wiedeńskim.

III. Prawo karne dla nieletnich przestępców.

Zarys prawa karnego dla nieletnich przestępców w Austryi.

Referent: Dr. Józef Marya Baernreither, b. minister.

Dr. Adolf Lenz, prof. uniw. w Czerniowcach.

Dr. Henryk Reicher, doc. pryw. uniw. wiedeńskiego.

z utęsknieniem wygląda. Dlatego ze względu na ogół, na społeczeństwo i jego zadania, nie możemy dopuścić do upadku młodzieży. Wtedy tylko, gdy przyświecać nam będzie ta wielka idea, że skarb przyszłości ratować trzeba, będziemy w stanie opanować wszelkie trudności, pozyskać dla naszego zadania pomoc całej potęgi państwa i ponieść chętnie, z wyzbyciem się wszelkiej małoduszności, te ofiary, jakich domagać się będzie od nas organizacya ochronnego wychowania i opieki nad opuszczonemi dziećmi w duchu nowoczesnym«. Nie dziw, że po takich słowach nastąpiła zapowiedź ważnych zmian i reform na polu ustawodawstwa karnego i cywilnego. W pierwszej linii rozchodzi się o dopuszczenie kobiet do sprawowania opieki, o tworzenie rad opiekuńczych, o lepszą, niż dotąd, opiekę nad dziećmi nieprawego łoża. Drugą wielką grupę reform stanowi zmiana kodeksu karnego.

W tym ostatnim kierunku należy się spodziewać zrealizowania prac kongresu już w najbliższej przyszłości i dlatego przedewszystkiem obrady sekcyi trzeciej, t. zw. »karnej«, zasługują na szczególną uwagę. W dyskusyi, która się rozwinęła nad referatami dr. Baernreithera, dr. Lenza i dr. Reichera, górowały przedewszystkiem dwie myśli: przesunięcie granicy nieodpowiedzialności prawno-karnej poza 14 rok życia i wprowadzenie okresu odpowiedzialności warunkowej. Karanie dzieci między 10 a 14 rokiem życia okazało się szkodliwem i bezskutecznem, gdyż więzienie zabijało w nich nie tylko poczucie obowiązku, że prawa należy przestrzegać, lecz wykorzeniało z młodej duszy nawet o b a w ę przed karą, czyli usuwało ostateczny środek, jakim prawo karne rozporządza, aby jednostkę powstrzymać od spełnienia zbrodni. Z chwilą, gdy dziecko przekracza próg więzienia, ciążyć na niem poczyna przekleństwo kryminalisty, które zwykle pcha je do dalszych zbrodni, gubi je raz na zawsze dla społeczeństwa. Dlatego kongres oświadczył się za przesunięciem granicy nieodpowiedzialności karnej po 16 rok życia i za wprowadzeniem warunkowego zasądzania między 16 a 20 rokiem. Sędzia ma wziąć pod rozwagę nie tylko sam czyn karygodny, lecz także właściwości fizyczne i duchowe przestępcy, jego przeszłość i wychowanie, tudzież środowisko, wśród którego dotąd się obracał, by według

tego orzec na przestępcę karę lub oddać go do zakładu wychowawczo-poprawczego pod nadzorem państwa. Nowoczesny sędzia musi posiadać obok fachowych wiadomości prawniczych, odpowiednie wykształcenie socyalno-polityczne. Słusznie podniósł dr. Ofner, że raz już trzeba zerwać z dotychczasowym systemem, wychowującym prawników, którzy nie umieją czytać w duszy ludzkiej, dla których wszystkiem jest nagi czyn, osoba zaś przestępcy niczem. Skoro *malum necessarium* w postaci więzienia stanie się nieuniknionem, to młodociani przestępcy nie powinni być zamykani razem ze starymi mistrzami zbrodni, więzienie nie powinno się dla nich stawać szkołą zawodową i w tym celu niezbędnymi są specyalne zakłady karne dla nieletnich zbrodniarzy.

Jednakowoż nawet najlepsza reforma ustawodawstwa karnego nie jest w stanie uzdrowić dziś panujących stosunków, bo prawo karne łączy się nierozdzielnie z pojęciem odwetu za popełnione już czyny. Jest zaś bardzo trudno, leczyć tego, kto raz już stał się zbrodniarzem. Dzieci najlepiej można chronić przed występkiem zapomocą środków zapobiegawczych w chwili, gdy jeszcze nie dotknęły się zbrodni, a już się znajdują w niebezpieczeństwie. I do tego celu zmierza ochrona dzieci pod względem prawnym, hygienicznym, etycznym i intellektualnym, ochrona, która w razie potrzeby chwyta się środków przymusowych w kierunku wychowawczym. I pod tym względem prace kongresu były nadzwyczaj ciekawe i doniosłe.

Ochrona dziecka wymaga z jednej strony opieki prawnej, z drugiej zaś odpowiedniego wychowania w kierunku fizycznego, moralnego i intellektualnego rozwoju. Ogłoszone zawczasu referaty wybitnych prawników i lekarzy pozwoliły uczestnikom kongresu należycie się zoryentować w dotyczących zagadnieniach, a wybitny udział duchowieństwa i nauczycielstwa sprawił, że obrady zjazdu zyskały dla swej treści pożądane uzupełnienie i zaokrąglenie.

Dwa są główne rodzaje wychowywania dzieci, pozbawionych rodzicielskiej opieki: u osób prywatnych (Zieh- Halte- und Kostkinder) w odpowiednich zakładach wychowawczych. Najważniejszą rzeczą jest w tych wypadkach ochrona dziecka przed powolnem zabijaniem nie tylko przez katowanie, lecz także wskutek niedba-

łego lub nieumiejętnego odżywiania. Znaną jest rzeczą, że istnieją zawodowe »fabrykantki aniołków«, że często wyrodna matka, oddaje swe dziecko podobnej opiekunce »na wychowanie« właśnie w tej nadziei, że niebawem pozbędzie się niemiłego dla siebie ciężaru. Nie dziw, że jednem z naczelnych zagadnień, któremi się kongres zajmował, była właśnie ta straszna plaga dzisiejszych czasów. Pod tym względem przeważało na kongresie zdanie, że przyjęcie obcego dziecka na wychowanie powinno być zależnem od poprzedniego zezwolenia władzy. Opiekun czy opiekunka mieliby w ciągu oznaczonego terminu zgłosić w swoim urzędzie gminnym przyjęcie dziecka i poddać je zbadaniu lekarskiemu. Również śmierć dziecka lub oddanie go innej osobie, powinno być w tensam sposób zgłoszone. Gminy utrzymywałyby spisy dzieci, znajdujących się w ich obrębie u obcych osób na wychowaniu z obowiązkiem wykonywania odpowiedniego nadzoru. Ponieważ w razie choroby dziecka, koszta połączone z leczeniem, często odstraszają jego wychowawców od zasięgania rady lekarza, żądano słusznie wprowadzenia bezpłatnej pomocy lekarskiej w podobnych wypadkach. Niemniej szczęśliwą była myśl nagradzania takich osób, które okazały się w wychowaniu przyjętych dzieci szczególnie troskliwemi i tęgiemi. W związku z tem poruszył jeden z mowców sprawę mamek i żądał, aby wolno było oddawać się mamczeniu tylko wtedy, jeżeli dotycząca osoba karmiła swoje własne dziecko przynajmniej przez sześć tygodni. Biura, pośredniczące w dostarczaniu mamek, powinny być poddane ścisłej kontroli lekarskiej. Również dzieci osób, przyjmujących obowiązek mamek, należałoby otoczyć należytą ochroną, a na pokrycie powstałych stąd kosztów miałby służyć szczególny podatek, jako *Luxussteuer*.

Zdarza się jednak czasem, że nie tylko dzieci, pozostające w opiece u osób prywatnych wymagają ochrony, gdyż często statystyka śmiertelności wykazuje poważne braki także i w zakładowej opiece. Przyczyną jest tutaj zwykle brak doświadczenia u osób, kierujących podobnymi zakładami. Jeżeli zatem reforma nie ma być tylko połowiczną, to musi ona objąć także i zakłady wychowawcze, ochronki, przytułki i t. d. Sprawę tę podniósł

dr. Kumaniecki z Krakowa, który postawił wniosek, aby kierownictwo wszelkiego rodzaju ochronek i zakładów podrzutków powierzano tylko osobom, doświadczonym na polu wychowywania i pielęgnowania dzieci z równoczesnem poddaniem tego rodzaju instytucyi ciągłej i jak najściślejszej kontroli głównie w kierunku wychowawczo-sanitarnym.

Nie można się dziwić, że w ciągu dyskusyi wyłoniło się także pytanie, kto i w jaki sposób pokryje koszta, połączone z tak daleko sięgającą reformą. Zaraz jeden z pierwszych mowców, członek dolno-austryackiego Wydziału Krajowego, p. Bielohlawek, zwrócił uwagę na to, że n. p. Austrya niższa już dzisiaj ma na swym funduszu niemal 20.000 podrzutków; w przyszłości można się spodziewać tylko wzrostu kosztów, a przecie kraje już stanęły u granicy swej wydatności finansowej. Przyłączył się do powyższych wywodów także i p. Adamek z Pragi.

Dr. Gargas, sekretarz Tow. opieki nad sierotami we Lwowie, wskazywał przedewszystkiem na niedostateczne uposażenie Galicyi na cele opieki nad sierotami. Krajowy fundusz sierocy przynosi przeciętnie 70.000 K. rocznie, podczas gdy zapotrzebowanie dochodzi do 3 milionów K. rocznie. Koniecznem byłoby zatem powiększenie funduszu sierocego przez przydzielenie całych nadwyżek zbiorowych kas sierocych, tudzież części przynajmniej grzywien sądowych i gminnych, gdyż w przeciwnym razie nie może być mowy o poprawie stosunków.

Z drugiej jednak strony zwrócił dr. Gargas i na to uwagę, że zbyt daleko idące ułatwienia w zakresie opieki publicznej nad sierotami, przyczyniają się nieraz do powiększenia liczby dzieci nieprawych, ułatwiając niesumiennym rodzicom porzucanie niemowląt. Na dowód tego przytoczył mowca wymowne daty z francuskiej statystyki żłobków.

Często się zdarza, że rodzice, którzy całemi latami nie troszczyli się o dziecko, wychowywane w zakładzie, zgłaszają się po nie wtedy, kiedy ono przedstawia dla nich już pewną wartość, jako siła robocza lub środek zarobkowania. Wówczas zakład jest bezsilny, dziecko musi oddać, a temsamem od razu zniszczyć pracę całego szeregu lat. Kongres oświadczył się za reformą istniejących

przepisów w tym kierunku, aby na zarządy zakładów poprawczych i podrzutków, tudzież ochronek, stojących pod kontrolą państwa, przelewać prawo opieki nad umieszczonemi w nich dziećmi i w ten sposób uniemożliwiać niezdrową spekulacyę niesumiennych rodziców.

W związku z tem wyłoniła się sprawa opieki generalnej. Większość mowców stanęła na tem stanowisku, że opiece generalnej należy przyznać tylko znaczenie posiłkowe. Podstawę zdrowia społecznego stanowi rodzina; utrzymanie nierozerwalności ogniska domowego powinno być pierwszem i głównem zadaniem wszelkiej reformy. Tam zaś, gdzie związek rodzinny uratować się nie da, należy w pierwszej linii pozostać przy systemie opieki indywidualnej. Opiekunowi musi się jednak udzielić pomocy w postaci należycie zorganizowanej i odpowiednio działającej rady opiekuńczej. Niezbędną również jest rzeczą, wprowadzić opiekunów według zawodów i dopuścić do opieki kobiety. W dziedzinie opieki należy rozróżnić strzeżenie interesów prawnych od czuwania nad rozwojem i wychowaniem dziecka. W pierwszym kierunku można liczyć na pomoc opieki generalnej, w drugim owoce wydać może tylko opieka indywidualna.

Podobna reforma łączy się nierozerwalnie z organizowaniem r a d s i e r o c y c h i o p i e k u ń c z y c h. Rozchodzi się o to, aby rady opiekuńcze przez znajomość stosunków miejscowych mogły pomagać sądom przedewszystkiem w dostarczaniu odpowiednich opiekunów, a dalej w wykonywaniu nadzoru i badaniu stosunków osobistych pupilów. Aby jednak radcy opiekuńczy mogli rozwinąć należytą działalność, muszą uzyskać tęsamą ochronę prawną, pod jaką stoją organa prawno-publiczne w wykonywaniu czynności urzędowych. W miarę jakby postępowała zamierzona reforma ochrony i wychowania opuszczonych dzieci, to również rozszerzałaby się działalność rad opiekuńczych, n. p. w pewnych wypadkach mogłoby się okazać rzeczą pożyteczną, przelać na rady opiekuńcze prawo wydawania zezwoleń na przyjmowanie obcych dzieci w opiekę. W ciągu dyskusyi dr. Gargas ze Lwowa wskazał na konieczność indywidualizowania stosunków poszczególnych krajów koronnych przy ustawodawczem uregulowaniu

kwestyi rad sierocych i pozostawienie tej sprawy ustawodawstwu krajowemu. Gminne rady sieroce są niemożliwe tam, gdzie brak sił fachowych i odpowiednich do sprawowania funkcyi radców sierocych. Również i parafialne rady sieroce nie są odpowiednie tam, gdzie, jak w okolicach wyznaniowo mięszanych, istnieją parafie różnych wyznań i obrządków, bo ich okręgi terytoryalne nie są z sobą zgodne. Poza tem kompetencya rzeczowa tych rad powinna obejmować władzę, wchodzącą częścią w zakres władz szkolnych częścią politycznych, a członkowie tych rad powinni być wyposażeni w rzeczywistą władzę. Rady te winny wychodzić z wyboru.

Docent uniwersytetu wiedeńskiego, dr. Reicher, przedłożył kongresowi obszerny referat o wychowaniu zapobiegawczo-ochronnem wraz z projektem dotyczącej ustawy państwowej, według którego sąd opiekuńczy mógłby małoletnich poniżej lat 18 oddać na wychowanie ochronne w następujących wypadkach:

1. Jeżeli fizyczny, umysłowy i moralny rozwój dziecka jest przez to na szwank narażony, że ojciec, matka lub opiekun zaniedbują zupełnie wychowanka względnie dają mu zły przykład pijaństwem, żebractwem, włóczęgą lub występnem, względnie niemoralnem prowadzeniem się.

2. Jeżeli małoletni, będąc w wieku obowiązku szkolnego, okazuje skłonności ku niemoralnemu postępowaniu, a stosunki osobiste i prowadzenie się jego rodziców względnie opiekunów nie daje gwarancyi, by pod ich wpływem nieletni mógł się poprawić, dalsze zaś jego uczęszczanie do szkoły grozi niebezpieczeństwem dla współuczniów.

3. Jeżeli nieletni popełni czyn karygodny który przy uwzględnieniu istoty występku, osoby sprawcy i jego rodziców względnie wychowawców wskazuje na zaniedbane wychowanie.

Wychowanie ochronne odbywałoby się albo u odpowiednich rodzin, albo w odpowiednich zakładach, do których założenia byłyby zobowiązane kraje z obowiązkiem państwa do ponoszenia połowy kosztów. Gdyby sejm pewnego kraju koronnego zaniedbał urządzenia podobnego zakładu, to może to nastąpić w drodze ustawy państwowej. Wprowadzając ten przepis do § 27 swego

projektu, kierował się dr. Reicher widocznie myślą przyspieszenia akcyi zakładania podobnych domów wychowawczych. I gdy się weźmie pod uwagę, że mimo ustaw w wielu krajach koronnych niema dotąd jeszcze ani domów poprawczych, ani zakładów przymusowej pracy, to musi się autorowi do pewnego stopnia wybaczyć ten szczególny zamach ustawodawczy na rzecz centralizacyi. Jeżeli mimo to jednak dwaj mowcy z Galicyi — adwokat dr. Steinberg z Krakowa i sędzia dr. Serkowki — wystąpili przeciw § 27 projektu, to uczynili to nie tylko ze względu na ustawodawstwo krajowe, ale i z tego powodu, że projekt dr. Reichera zupełnie nie uwzględniał właściwości poszczególnych prowincyi, tak różnych obszarem i ludnością, jej kulturą i stanem ekonomicznym. Sprawozdawca, co do swej osoby, uważa § 27 projektu w pewnych warunkach za jedyny środek, prowadzący do urzeczywistnienia organizacyi ochronno-wychowawczej równomiernie i równocześnie w całej Przedlitawii i nie widziałby w nim tak wielkiego niebezpieczeństwa, gdyby samą organizacyę dostosowano do potrzeb i charakteru poszczególnych krajów. Tego jednak właśnie brakowało w znakomitej zresztą pracy wiedeńskiego profesora i dobrze się stało, że tak ważną sprawę podnieśli galicyjscy uczestnicy kongresu. Dr. Serkowski w dłuższem przemówieniu wykazał, że n. p. w Galicyi skoncentrowanie całego wychowania ochronnego w rękach jednej centralnej komisyi krajowej jest niemożliwe. Proponował zatem wprowadzenie (obok krajowej) komisyi obwodowych, mających nadzorować zakłady wychowania ochronnego; przy każdym zaś sądzie powiatowym urzędowałaby komisya powiatowa, którąby miała do pewnego stopnia także charakter ciała doradczego dla sądu opiekuńczego.

Gdy po trzech dniach bardzo wyczerpującej pracy kongres został zamknięty, wszyscy jego uczestnicy byli pod wrażeniem, że wielkie dzieło ochrony dziecka doczekało się nareszcie i w Austryi opieki i że weszło na drogę, wiodącą do urzeczywistnienia wielkiej idei. Jeżeli minister oświaty, dr. Marchet, powiedział w swej mowie, że »najważniejszym kapitałem państwa jest człowiek« — to nie byłby jeszcze oddał właściwej treści zadań, jakie stoją przed państwem w nowoczesnym stylu. Wartość tego ka-

pitału znało także i państwo dawniejsze, lecz patrzyło nań tylko pod kątem widzenia siły zbrojnej i dochodów państwowych. Nowoczesne państwo musi wejść głębiej i musi się oprzeć na szerszych podstawach, a wyrazem tego, były słowa tego samego przedstawiciela rządu: »Das wichtigste Kapital des Staates ist der Mensch. Dieser schöne und im wahrsten Sinne des Wortes soziale Ausspruch gilt nicht nur für den erwachsenen Menschen, sondern auch für den heranwachsenden, den werdenden Menschen, dessen Entwiklung zum grossen Teil noch in fremder Hand liegt!«

Dr. K. W. Kumaniecki.

TEORYA ROZWOJOWA A KATOLICYZM.

NAOKOŁO KSIĄŻKI WASMANNA.

Ciąg dalszy.

To było w odczycie pierwszym. Na początku drugiego uderza nas w wydaniu książkowem piękna rycina, przedstawiająca szkielety człowieka, goryla, szympansa, orangutana i gibbona, jednak nie w proporcyach naturalnych, lecz, ze względów pedagogicznych, wszystkie jednakiej wielkości. Celem tej pięknej illustracyi jest naoczne udowodnienie pochodzenia człowieka od małpy, na mocy oczywistej maksymy, że z dwóch rzeczy podobnych do siebie, jedna koniecznie musi pochodzić od drugiej. We wstępie samego odczytu znajdujemy znowu bardzo oryginalny pogląd o stosunku Kościoła do descendencyi, a następnie przyjacielską radę, skierowaną do O. Wasmanna[1]: »Walka o naukę o pochodzeniu gatunków właściwie dopiero na początku XX-go stulecia doprowadziła do pełnego zwycięstwa przez to, że jej najgorliwszy i najniebezpieczniejszy przeciwnik, Kościół, widział się zmuszonym do jej uznania. Otwarte przyznanie Jezuity O. Wasmanna zasługuje przeto na największe uznanie; można teraz z natężeniem wyczekiwać jego (t. j. O. Wasmanna) dalszego rozwoju. Jeżeli jego wierność przekonaniom i jego odwaga moralna dostatecznie są silne, to wyciągnie on konsekwencye ze swego głęboko sięgającego poznania przyrody i wystąpi z Kościoła rzymskiego, jak to uczynili niedawno dwaj wybitni Jezuici, wielce zasłużony

---

[1] Str. 41.

hrabia Hoensbroech i zdolny geolog profesor Renard w Gent«[1]. Tu już nadmienić trzeba, o czem będziemy mieli jeszcze sposobność obszerniej mówić, że Kościół katolicki nigdy nie był przeciwnikiem teoryi o pochodzeniu gatunków, co się zaś tyczy psychiki O. Wasmanna, to z pewnością Haeckel jest chyba najmniej zdolnym do tego, by o niej sądzić i wskazywać drogę jej dalszej ewolucyi. Nie ulega wątpliwości, że gdyby O. Wasmann za jego poszedł radą, reklama monistyczna postawiłaby go od razu w rzędzie pierwszych uczonych świata, skoro takiemu paszkwiliście o całkiem miernych zdolnościach, jakim jest Hoensbroech, nadaje przez usta swego najwyższego duchowego zwierzchnika, miano wielce zasłużonego.

Przerwijmy jednak dalsze refleksye, bo oto mistrz porusza przedmiot, który jako z naukami przyrodniczemi i walką o genealogię zwierząt, o której ten odczyt według napisu ma traktować, niezmiernie ściśle związany, w tego rodzaju wywodach naukowych nigdy nie powinien być omijanym. Przedmiotem tym, to Zakon Jezuitów i ich głośna zasada o celach i środkach[2]. »Byłoby daremnem trudzeniem się, gdybyśmy chcieli liczne fałszywe konkluzye i nieprawdy nowszych Jezuitów pojedynczo wykrywać i zbijać naukowo za pomocą argumentów rozumowych. Na tem bowiem zasadza się straszna potęga tego najniebezpieczniejszego mniszego zakonu, że oni jedną część nauki samej przyjmują i jej używają, by przez to tem pewniej zniszczyć jej część drugą i ważniejszą«. Biedna taka nauka, której jedną część i to ważniejszą zbić można drugą! Lecz słuchajmy dalej wykwintnych słów krytyki. »Ich mistrzowska sztuka sofistycznego przekręcania, ich dwuznaczny »probabilizm«, ich kłamliwa *reservatio mentalis*, zasada, że cel wyższy uświęca najgorsze środki, osławiona moralna Liguorego i Gurego, cynizm, z którym wyzyskują najświętsze zasady do zadowolenia swej egoistycznej żądzy panowania, wybiły na Jezuitach owo czarne piętno, którego odsłonięciem zyskał sobie świeżo hrabia Hoensbroech szczególniejszą zasługę«. Oto najlepsze świadectwo, wygłoszone przez naj-

[1] l. c. str. 41. [2] l. c str. 66.

głośniejszego męża, wobec doborowej publiczności pierwszorzędnej stolicy, na korzyść żywotnej działalności Jezuitów, uznanie, że starają się oni zawsze przyjmować jedną część nauki a mianowicie tę, która jest opartą na faktach, a więc prawdziwą i z jej pomocą zbijać fałsze tych, którzy budują teorye dowolne i ogłaszają je za część nauki i to »część ważniejszą«, że trzymają się zawsze wiernie tej najwznioślejszej etyki czyli teologii moralnej, którą tak wspaniale rozwinął ów ostatni lecz wcale nie najmniejszy doktór Kościoła, Redemptorysta, św. Alfons Liguori. Jeżeli prawdą jest, że *disce hominem ex inimicis eius*, to i nauka katolicka i Jezuici wdzięczni powinni być rozpalonemu starcowi za jego szczerość i bezwzględność.

W trzecim wykładzie, poprzedzonym, podobnie jak drugi, agitacyjną illustracyą, przedstawiającą zarodki nietoperza, gibbona i człowieka, atak na wiarę w istnienie duszy nieśmiertelnej, oddzielnej od ciała. Jak wszędzie, tak i tu, przedewszystkiem pewność zwycięstwa zupełnego, w które, mówiąc nawiasem i sam wódz nie wierzy. »Ostrej linii granicznej pomiędzy człowiekiem, a pozostałemi zwierzętami *(sic!)*, jaką chciał pociągnąć Descartes, już nie można utrzymać« [1]. Największy jednak cios otrzymać miało pojęcie duszy od psychofizyki: »Najsilniejszego wstrząśnienia doznało panujące metafizyczne wyobrażenie życia duszy przed trzydziestu laty przez nowsze metody psychofizyki. Zapomocą bystrych doświadczeń pokazali dzielni fizyologowie Teodor Fechner i Ernest Henryk Weber w Lipsku, że ważną część czynności duchowej można tak samo dokładnie zmierzyć i z pomocą matematycznych formułek oznaczyć, jak inne fizyologiczne procesy np. drganie mięśni: stałe prawa fizyki opanowują więc jedną częścią życia duszy równie absolutnie, jak i nieorganicznemi prawami przyrody«. Z powyższego zdania widać, jak niezmiernie nizkie miał Haeckel wyobrażenie o wykształceniu i zdolności myślenia swych słuchaczów. Lecz przecie czuje, że przeszedł pod tym względem wprost granice przyzwoitości, cofa się więc nieco i dodaje: »Co prawda, psychofizyka częściowo tylko wypełniła

[1] l. c. str. 71.

wysoko sięgające oczekiwania, które wówczas do jej monistycznego znaczenia przywiązywano; ale zawsze pozostanie fakt ważny, że część życia duchowego również bezwarunkowo przywiązana jest do praw fizycznych, jak i inne zjawiska przyrody«. Tylko, że o tej części wiedziano już bardzo a bardzo dawno, że zaś ta część psychofizyki, która miała wstrząsnąć przekonaniem o istnieniu duszy nie ziściła się, to nic nie szkodzi — nie jeden krytyczny słuchacz wyjdzie przekonany i bogatszy o nowy frazes naukowy, że psychofizyka obaliła wiarę w istnienie duszy. Haeckel jest mistrzem w psychologii mas.

Lecz oto druga nauka, psychologia, stwierdziła znowu bezpodstawność mniemań o istnieniu duszy nieśmiertelnej:[1] »Poszukiwania, które Wilhelm Preyer w Jenie rozpoczął przed 25 laty nad duszą dziecka, jego staranne obserwacye nad duchowym rozwojem człowieka w pierwszych latach życia, jakoteż uzupełniające poszukiwania wielu nowszych fizyologów potwierdziły ...że dusza nie jest istotą niemateryalną, lecz sumą pewnej ilości do siebie przynależnych funkcyi mózgowych. Gdy mózg umiera, to tem samem i dusza do swego dobiegła kresu«. Podobnie z zakresu psychologii porównawczej »doświadczenia przekonywują nas jednozgodnie, że dusza ludzka także filogenetycznie rozwinęła się powoli do jej obecnej wysokości, że różni się ona od duszy wyższych ssaków tylko ilościowo, nie jakościowo, a więc, że w żadnym wypadku nie może być nieśmiertelną«. Sądzić należy, że po tak przekonywujących dowodach naukowych, wielu ze słuchaczów święcie uwierzyło, że »ontogenetyczny dogmat starego Kościoła, że dusza »wstępuje« w pewnym oznaczonym czasie w nieożywione ciało zarodka, jest równie niedorzecznym, jak filogenetyczny dogmat najnowszych Jezuitów, że duch Boży w pewnym oznaczonym czasie dziejów rodowych »tchnął« w pozbawione ducha ciało małpy-człowieka i tak stał się nieśmiertelną duszą ludzką. Można na ten wielce umiłowany dogmat Atanizmu(!) patrzeć i badać go, jak się tylko podoba, zewsząd okaże się on tylko mistycznym zabobonem«[2].

---

[1] l. c. str. 82. [2] l. c. str. 89.

A więc z istnieniem duszy nieśmiertelnej, od ciała odrębnej, sprawa zupełnie skończona i udowodniona. Trzeba tylko jeszcze zapobiedz, żeby przypadkiem komu nie wpadło do głowy, iż ma wolę, a więc, że za swe czynności jest w jakikolwiek sposób odpowiedzialnym. To też słuchamy dalej: »Podobnie jak wiary w nieśmiertelność duszy, także i drugiego dogmatu psychologicznego, wiary w wolność woli człowieka, nie da się pogodzić z nowszą ideą rozwojową. Nowsza psychologia przekonywa nas jasno i niedwuznacznie, że wola u człowieka, podobnie, jak u zwierzęcia, nigdy nie jest wolną, lecz zdeterminowaną przez organizacyę mózgu... Teoretycznie jest determinizm, przekonanie o skrępowaniu naszych czynności i woli, dawno stwierdzony«. Wobec tego dla ukaranego zbrodniarza jedyną pociechą być musi, że i ci, co go do więzienia zamykają, działają również pod przymusem, z powodu niedoskonałej »organizacyi mózgu«. Gdy po wiekach ludzkość w dalszej swej ewolucyi udoskonali się o tyle, że przejmie się na wskróś monistyczną ideą rozwojową, ustaną sądy polowe i pokojowe, a każdy będzie tak robił, jak jego własna organizacya mózgu mu przepisze.

Ale przedtem trzeba usunąć jeszcze jeden przesąd. Oto: »z wiarą w absolutną wolność woli i osobistą nieśmiertelność duszy łączy się u wielu i to wysoko wykształconych, cywilizowanych ludzi jeszcze dzisiaj (!) trzeci artykuł wiary, wiara w osobistego Boga... Dziecinne wyobrażenia o tym pozaświatowym, naprzeciw świata materyalnego jako samoistna istota stojącym Bogu, stworzycielu osobistym, utrzymującym i rządzącym wszechświatem, całkowicie nie dadzą się już pogodzić z posuniętem naprzód poznaniem przyrody XIX stulecia, a mianowicie z jej obu największymi tryumfami, prawem zachowania materyi i monistyczną nauką o rozwoju«. Niestety! Ten tryumf XIX wieku, jak Haeckel nazywa prawo zachowania materyi, już zaczyna się zapadać i przejdzie w dzieje nauki, jak brama tryumfalna dawnych, zapomnianych zwycięzców, a tymczasem wiara w nieśmiertelność duszy i Boga osobistego trwa — owszem, rozszerza się »jeszcze dzisiaj« między ludźmi kulturalnymi — czego najlep-

szym dowodem trwożliwe miotanie się na nią spadającego w zapomnienie wodza jej wrogów.

Lecz spyta ktoś może, po co tyle cytatów tak bluźnierczych, tak przykrych i odrażających już nie tylko dla każdego katolika, lecz także dla każdego człowieka, mającego pewne wyższe etyczne i choćby tylko estetyczne wymagania. Oto chcieliśmy pokazać, że dziś, po minionej epoce rycerskiego romantyzmu, nastaje nie tylko w świecie politycznym, lecz i w naukowym prosta brutalność, ta sama, która często w życiu prywatnem uwalnia »panów z monistycznego obozu« od zachowania względem kapłana najzwyklejszych przepisów towarzyskich, a która w nauce posługuje się teraz zamiast przedmiotowej krytyki, frazesem, odmawia wszelkiej naukowej kompetencyi każdemu, ktoby śmiał się oświadczyć ze swem katolickiem *credo*. Nie tylko w polityce i społeczeństwie, lecz także i w nauce odkryto już maskę. Lat temu jeszcze kilkadziesiąt, kto był ateistą — a takich między prawdziwie uczonymi prawie zupełnie nie było — poglądy swoje chował dla siebie, a co najwyżej głosił, że sprawy wiary nie należą do nauki. Dziś występuje się jasno i jawnie z głoszeniem materyalizmu ateistycznego, powstaje neopoganizm, który z tą samą zaciekłością, a z większem wyrafinowaniem co poganizm starożytny, rzuca się na chrystyanizm. Jeżeliby kto uwagi powyższe uważał może za przesadzone, to posłuchajmy, co Haeckel sam mówi na zakończenie swych odczytów:[1] »Musimy przypomnieć, że sam Goethe określił się wyraźnie jako »zdecydowany niechrześcijanin. Wielki poganin z Weimaru« właśnie w swych najwspanialszych utworach poetyckich, we »Fauście« i »Prometeuszu«, w »Bóg i świat« dał najjaśniejszy wyraz swemu panteistycznemu wyznaniu wiary. Jakżeby miał tak potężny myśliciel, w którego duchu rozwój życia organicznego przebył wiele lat milionów, hołdować krótkowidzącej wierze w żydowskiego proroka i marzyciela, który przed 1900 laty chciał odkupić ludzkość przez swą śmierć ofiarną?« — A więc przeciw chrystyanizmowi występuje neopoganizm, osło-

[1] l. c. str. 92.

niony wygodnym, bo zupełnie w niczem człowieka niekrępującym panteizmem.

W parę tygodni po tych odczytach ogłasza Wasmann obszerny list do Haeckla w dwu największych organach katolickich w Niemczech, t. j. w *Germanii* i w *Kölnische Volkszeitung*, jako odpowiedź na liczne zarzuty i obelgi. W tonie szlachetnym i spokojnym, lecz ciętym, wytyka perfidyę i sofizmaty Haeckla, zupełnie rzeczowo wyłuszcza jeszcze raz stanowisko swoje wobec najważniejszych problemów filozoficzno-przyrodniczych, powtarzając z naciskiem to, co już powiedział w swej biologii, a co Haeckel przewrotnie przekręcił i oświadcza stanowczo, że stoi zawsze na stanowisku ściśle katolickiem. Ponieważ z poglądami O. Wasmanna zapoznamy się obszernie później, przeto listu tego streszczać nie będziemy, przytoczymy tylko końcowy jego ustęp, odpowiadający na owo wezwanie do opuszczenia zakonu, jakie Haeckel nie wahał się rzucić w twarz Wasmannowi. Piękny ten ustęp brzmi dosłownie:

»Czcigodny panie profesorze! Na zakończenie jeszcze jedno poważne słowo. Zdaje się, że pan odwróciłeś się w swym drugim wykładzie od optymistycznych nadziei, które w swym pierwszym wykładzie przywiązałeś do zjawienia się mej książki o biologii i teoryi rozwojowej; to było bardzo rozumnie ze strony pańskiej. Jednak udzieliłeś mi pan rady, że, podobnie do niektórych innych z moich Braci zakonnych, których nazwałeś po imieniu, powinienem wystąpić z zakonu Jezuitów. Niektóre sprawozdania dziennikarskie radę tę tak rozszerzyły, że powinienem ogłosić także moje wystąpienie z katolickiego Kościoła. Otóż teraz powiem panu otwarcie i uczciwie moje o tej radzie zdanie.

»Wychodząc z pańskiego stanowiska, rada ta nie jest wcale niespodzianą, lecz właściwie bardzo zrozumiałą. Jeżeli rzeczywiście — jak pan utrzymujesz — niema osobistego Boga, ani duszy nieśmiertelnej, ani też życia wiecznego na tamtym świecie, to byłbym właściwie wielkim głupcem, gdybym nadal chciał na siebie brać życie ofiarne chrześcijanina, nie mówiąc już nic

o życiu katolickiego zakonnika. Jeżeli jednak — a to jest moje silne przekonanie — istnieje Bóg osobisty i dusza niesmiertelna i życie wieczne w przyszłości, wtedy głupota jest nie po mojej, lecz po pańskiej stronie. I ty także, panie profesorze Erneście Haeckel, będziesz się o tem musiał kiedyś raz przekonać — oby tylko nie za późno!«

Listem otwartym ogłoszonym w odpowiedzi przez Haeckla, pełnym zwykłych kalumnii, fałszów i obelg, zakończył się jeden okres walki o światopogląd, walki między chrystyanizmem a poganizmem. *Nil novi sub sole.*

Po tych listach nastąpiły wspomniane na początku odczyty berlińskie O. Wasmanna. Nie były one jednak wcale skierowane wprost przeciw Haecklowi, jak to wyraźnie sam prelegent na wstępie oświadcza. »Mów wojowniczych z różnych stron miano już dosyć. Rozszerzyć rzeczowe wyjaśnienie, oto mój cel i sądzę, że tem spełnię czyn dobry w każdym kierunku«.

W wykładach tych O. Wasmann właściwie żadnej myśli całkowicie i gruntownie nie rozebrał, bo na to w ciągu trzech wieczorów nie mogło starczyć czasu, streścił on w nich tylko niejako swe *credo* filozoficzne i naukowe. Ale właśnie dlatego, że są one wyciągiem i zestawieniem poglądów uczonego przyrodnika, tak nadto głębokiego i oryginalnego myśliciela, zasługują chyba na to, żeby z niemi dokładnie się zapoznać. Logicznie rozwiniętą treścią i prostą a szlachetną formą górują one niezmiernie nad wykładami Haeckla. Nic to jednak dziwnego; zadanie Wasmanna było bez porównania łatwiejsze, wszak broni on prawdy, wystarczy więc tylko bezstronnie pozestawiać i powiązać fakty a cel będzie osiągnięty. Tej też metody trzyma się O. Wassmann w ciągu swych wykładów.

Pierwszy odczyt roztrząsa teoryę o rozwoju gatunków ściśle ze stanowiska nauk przyrodniczych, pomijając zupełnie argumenty czerpane z wiary, a nawet z filozofii. Zaznaczywszy na wstępie, jak bardzo jest usprawiedliwione obecnie panujące ogólne zainteresowanie się problemem rozwojowym, grupuje prelegent od razu w dwa obozy odpowiedzi, jakie problem ten u różnych wywołuje.

Kiedy weźmie się na uwagę istniejące obecnie gatunki roślin i zwierząt i zestawi się je z tymi, których już na ziemi nie znachodzimy, a których znajomość czerpiemy tylko ze szczątków i okruchów, jakich poleontologia dostarcza, każdy choć trochę myślący zapytać musi: Jaki jest stosunek istot obecnych do roślin i zwierząt wymarłych? Czy gatunki teraz naszą ziemię ożywiające są i były zawsze niezmiennie takimi, jak je dziś widzimy, czy też są tylko dalszym ciągiem ewolucyi organizmów kopalnych?

Na to niezmiernej doniosłości pytanie, słyszymy u ludzi nauki dwojaką, a zupełnie sobie przeciwną odpowiedź. Jedni są zwolennikami stałości gatunków, stąd utrzymują, że rodzaje systematyczne, jak je dzisiaj przedstawia zoologia i botanika, są wielkościami niezmiennemi, bo i fakty ścisłego badania nie dostarczają nam żadnych danych, nie przedstawiają żadnych dowodów, któreby przemawiały za zmiennością gatunków i wykazywały zjawisko przechodzenia kiedykolwiek jednego gatunku w drugi. Do tego czysto przyrodniczego zdania dodają jeszcze nadto inni, że teorya o rozwoju gatunków jest tylko płodem ateizmu, który z jej pomocą usiłuje zniszczyć światopogląd chrześcijański.

Przeciw tym wywodom występują inni przyrodnicy, zwolennicy teoryi rozwojowych. Ci usiłują dowieść, a nawet za pewnik już przedstawiają, że na dzisiejszy świat roślinny i zwierzęcy należy patrzeć jako na końcowy produkt rozwoju minionych stadyów, jako na funkcyę nieprzeliczonych różniczkowań i całkowań, dokonywanych przez naturę w ontologicznym świecie bytów. Dodać znowu i tu należy, że także niektórzy zwolennicy tej teoryi, wychodząc poza dziedzinę ścisłych nauk przyrodniczych, utrzymują za Haecklem, że »teorya rozwojowa jest główną bronią w ciężkiej artyleryi monistycznej przeciw chrystyanizmowi«.

A więc wobec tych różnych kierunków staje przed nami nierozstrzygnięte pytanie zasadnicze: Czy gatunki istot organicznych rozwijając się, przechodzą jedne w drugie, czy też nie?

Jest rzeczą z gruntu fałszywą uważać teoryę rozwojową za wytwór ateizmu. Pytanie powyższe o stałości lub zmienności ga-

tunków jest wyłącznie i czysto kwestyą naukową, a wyłoniło się ono z nieubłaganą koniecznością z coraz to większego, a ciągle rosnącego rozwoju zoologii, botaniki i paleontologii. Tak rozumiana nauka o rozwoju organizmów, mianowicie jako teorya czysto przyrodnicza, ma przed sobą dwa i tylko dwa zadania: Po pierwsze, wykryć i zbadać, w jakim szeregu i w jakim porządku rozwijały się i powstawały gatunki i familie, jak zbudować drzewo genealogiczne, którego ostatniemi gałązkami i listkami byłyby istniejące dziś rodzaje istot organicznych. Po drugie zadaniem przyrodniczej teoryi rozwojowej jest wytłumaczenie i wyjaśnienie, w jaki sposób i dlaczego ten rozwój, to przechodzenie jednych gatunków w drugie się odbywało, czyli jakie były tej ewolucyi naturalne przyczyny i okoliczności.

Oto jedyne dwa zadania tej naukowej teoryi rozwojowej. Co zaś nie jest przedmiotem nauki o ewolucyi? Jej przedmiotem nie jest i być nie może wyjaśnienie początku życia na ziemi. Pytanie, czy pierwsze życie powstało przez samorództwo, to jest przez rozwój z nieorganicznej materyi, na mocy swoistych, w niej już przedtem istniejących sił, czy też z pomocą osobnego aktu stwórczego, leży już poza obrębem teoryi rozwojowej czysto przyrodniczej. Ten problem jest mięszanym, mianowicie przyrodniczo-filozoficznym. O nim też będzie mowa w drugim wykładzie.

Należy koniecznie pamiętać, że tak pojęta nauka o rozwoju organizmów, chociaż jest nauką przyrodniczą, nie jest jednak nauką doświadczalną, a to dlatego, że o rozwoju gatunków nie możemy się przekonać ani za pomocą doświadczenia, ani też przez obserwowanie faktów, jakich nam dostarcza sama przyroda, na jedno bowiem i na drugie nie starczyłoby nam czasu i nie tylko nam, lecz całemu rodzajowi ludzkiemu, którego istnienie jest tylko jedną chwilą w porównaniu do owych milionów lat, w ciągu których wytwarzały się i przetwarzały istoty przed człowiekiem na ziemi żyjące. Dlatego o dokonanych przemianach gatunkowych możemy tylko wnioskować z tych szczątków, pomników i śladów, jakie w biegu wieków po sobie pozostawiły. Nie jest to więc badanie doświadczalne, lecz jakby praca sędziego śledczego, który z poszlak i drobiazgowych dowodów stara się odtworzyć dokładny

i prawdziwy obraz całego zdarzenia. Tak pojęte »dowody«, na których się wspiera nauka o rozwoju gatunków, podzielić można na dwie grupy; mianowicie dowody wprost i nie wprost.

Pierwsze z nich, to są owe słabe ślady przekształcenia się gatunków, jakie my sami bezpośrednio obserwować możemy, a na jakich opiera znany botanik Hugo de Vries swą teoryę mutacyi czyli przemian gatunków. Uczony ten badacz u niektórych roślin rzeczywiście zaobserwował i udowodnił fakty sporadycznego lecz szybkiego powstawania odmian, które zachowują się następnie, jak prawdziwe rodzaje. Na tem oparł on następnie swą teoryę rozwojową. Teoryę jednak jego silnie zachwiały badania nad motylami Standfussa, który wykazał, że tylko te zmiany mogą mieć trwałe znaczenie dla nowych gatunków, które powstały przez przystosowanie się do pewnych warunków zewnętrznych, a które potem przez dziedziczenie w dalszem potomstwie się zachowują i wzmagają.

Dowody nie wprost, owe jakby poszlaki, które skrzętnie zbierając sędzia śledczy, oskarżonego w coraz to trudniejsze stawia położenie, czerpiemy z rozmaitych działów nauk przyrodniczych. Przedewszystkiem więc dostarcza ich morfologia t. j. nauka o kształtach roślin i zwierząt, dalej anatomia porównawcza, wykazująca pewne podobieństwo w wewnętrznej budowie istot, embryologia, czyli nauka o rozwoju osobników, biologia, badająca sposób życia i zwyczaje zwierząt, geografia zwierząt i roślin, a wreszcie paleontologia. Szczególnie ta ostatnia nauka, podająca rozmaite formy organizmów, dziś już w wielkiej części nieznane, a mimo to pod wieloma względami podobne do żyjących obecnie gatunków, zmusza nas do przypuszczenia, że formy dzisiejsze nie powstały przez oddzielny akt stwórczy, lecz sposobem czysto naturalnym rozwinęły się z form dawniejszych. Tak np. znachodzi się w bursztynie morza bałtyckiego setki kopalnych rodzajów mrówek, między nimi takie, które żyją dziś jeszcze, lecz nie są z teraźniejszymi identyczne. Trudno przecież przypuścić, że te obecne formy, tak do dawnych podobne, Bóg stworzył przez osobny akt swej wszechmocy. Tak samo porównanie użyłkowania skrzydeł naszych szwabów kuchennych i niektórych żyjących jeszcze termitów czyni

wielce prawdopodobnem, że termity i wymienione wyżej nasze szkodniki domowe z jednego pnia biorą swój początek.

Na potwierdzenie tych wywodów o wytwarzaniu się nowych gatunków z już istniejących, przedstawił O. Wasmann cały szereg obrazów świetlnych z tego zakresu, w którym sam jest mistrzem i jedną z największych powag, to jest ze świata mrówek, termitów i chrząszczy, przebywających w gniazdach mrówek i termitów. Więc przedewszystkiem Dinarola, chrząszcz żyjący u mrówek, który według obserwacyi O. Wasmanna właśnie obecnie wytwarza nowy gatunek. Dalej Doryloxenus z Indyi Wschodnich, tem ciekawy, że przed niedawnemi stosunkowo czasy przesiedlił się z gniazd mrówczych do mieszkań termitów, i w ten sposób wytworzył całkiem nowy rodzaj systematyczny. — Pokazał też prelegent obrazy mrówek pasożytnych *(Anergatis atratulus)*, które żyjąc w gniazdach innych mrówek i kosztem swych gospodarzy, nie potrzebują już same zarabiać na chleb codzienny, nie mają więc już całkiem robotnic, lecz tylko uskrzydlone samice i bezskrzydlne samce. Oczywiście nie ulega wątpliwości, że i ten gatunek, podobnie jak i inne, miał swoje pracownice, jednak po przystosowaniu się do życia pasożytnego, takowe, jako niepotrzebne, utracił. Interesujące są również okazy z pośród chrząszczów, żyjących pasożytnie u mrówek i termitów, czyli tak zwanych gości mrówek i termitów. Owady te wydzielają ciecz, bardzo przez mrówki ulubioną, a w zamian za to otrzymują od swych owadzich chodowców pokarm, a nawet często zjadają młode swych panów. U takich chrząszczów wytworzyły się też osobne organy, wydzielające tę ciecz obficie. Otóż byłoby rzeczą naiwną twierdzić, że Bóg stworzył np. dla każdego gatunku mrówek osobny rodzaj pasożytnych chrząszczy. Jedynem naturalnem wyjaśnieniem tego zjawiska jest tylko teorya rozwojowa, dlatego ją przyjmujemy.

Przyjąwszy tak stanowczo i jasno teoryę ewolucyi, która uczy, że gatunki nie są stałe, lecz przechodzą jedne w drugie, zapytać się teraz należy, jak daleko ta przemiana gatunków się rozciąga? Czy mianowicie można przypuścić, że wszystkie istoty organiczne, tak rośliny, jak i zwierzęta wspólny mają początek, to znaczy, czy rozwinęły się z jednej formy macierzystej, a więc

monofiletycznie, czy też należy utrzymywać, że form pierwotnych, to jest takich, z których powstały później istniejące gatuki i rodzaje, było więcej niż jedna, może cały szereg, a więc czy przechylić się na stronę rozwoju polifiletycznego. Otóż jeżeli się spokojnie i bez uprzedzeń rozważy wszystkie dane i dowody, jakie ścisła nauka podaje, musi się dojść do przekonania, że rozwój monofiletyczny całego świata organicznego jest »pięknym snem bez przyrodniczych dowodów«, natomiast można znaleźć dosyć silne dowody przemian gatunków i rodzajów, gdy chodzi o rozwój w obrębie pewnych tylko gatunków. Do tego samego, co Wasmann rezultatu, doszli także i inni przyrodnicy, również wyłącznie na mocy badań naukowych, których zresztą w żaden sposób nie można podejrzywać o jakieś przesądy teologiczne. Należą tu zoologowie Oskar Hertwig, Boveri, paleontologowie Steimann, Koken i wielu innych.

Wyłożona powyżej i tak postawiona hypoteza o rozwoju gatunków organicznych nie stoi całkiem w sprzeczności z nauką chrześcijańską. Pismo święte mówi wprawdzie, że Bóg stworzył zwierzęta i rośliny »według rodzaju swego«, lecz wyrażeń tych nie trzeba mierzyć według najnowszego słownictwa zoologicznego. Księgi święte nie są podręcznikiem nauk przyrodniczych w naszem tego słowa znaczeniu, lecz księgą służącą do celów czysto nadprzyrodzonych. Przyrodnicze kwestye, o ile w biegu opowiadania zachodzić muszą, przedstawione są tam według panujących za czasów danego autora poglądów. To też gdy Geneza mówi o »rodzaju«, nie można brać tego wyrazu w znaczeniu podanem o wiele wieków później przez Arystotelesa, ani też w sensie ustanowionym w wieku XVIII po Chrystusie przez Linné'go i Cuviera. Rozumie się tu rodzaje naturalne, stanowiące właśnie owe formy pierwotne, z których rozwinęły się późniejsze wszystkie inne gatunki i rodzaje. Ile mogło być takich »naturalnych rodzajów«, dziś jeszcze nie wiemy. Z pewnością wiele jeszcze setek lat usilnych potrzeba będzie badań, by do rozwiązania tego problemu się przybliżyć.

A więc z badań czysto naukowych, wolnych od wszelkich uprzedzeń wynika, że trzeba przyjąć ewolucyę gatunków, a mia-

nowicie ewolucyę polifiletyczną t. j. nie z jednej, lecz z wielu form pierwotnych, powstałych z materyi przez bezpośrednią ingerencyę Boga-Stwórcy. Na taką teoryę zgodzić się także może bez żadnej obawy każdy chrześcijanin, bo nie ubliża ona w niczem pojęciu Stwórcy. »Jeżeli Boga uważać będziemy jako Stwórcę wszech rzeczy i przyjmiemy, że stworzony przez Niego świat rozwinął się samodzielnie i samorzutnie, to mamy wspanialszą nawet o Bogu ideę, aniżeli gdybyśmy Mu kazali wszędzie wkraczać w prawa przyrody. Wyobraźmy sobie dwóch grających w bilard, którzy mają kierować stu kulami. Jeden potrzebuje na to stu uderzeń, drugi zdoła jednem pchnięciem porozmieszczać wszystkie kule, jak tylko mu się podoba; ostatni jest przecież bez wątpienia o wiele zręczniejszym! Już Tomasz z Akwinu wywodził, że potęga jakiejś przyczyny jest tem większą, im pośrednio na dalsze rozciąga się działania. Bóg nie wkracza bezpośrednio w porządek przyrody, gdzie może działać przez przyczyny naturalne. Nie jest to nową, lecz owszem bardzo starą zasadą, która sprawia, że teorya rozwojowa, jako przyrodnicza hypoteza i teorya, o ile rzeczywiście możliwą jest do udowodnienia, wydaje się nam zupełnie i doskonale możliwą do pogodzenia z chrześcijańskim światopoglądem. Według takiego przedstawienia można rozwój świata organicznego przyrównać do małego wiersza w owej z milionów kart złożonej księdze rozwoju całego kosmosu, na której karcie tytułowej jeszcze do dziś dnia niezatartemi głoskami stoi wypisane: »Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię«.

Odczyt drugi rozpada się na dwie części. Pierwsza zajmuje się teistyczną i ateistyczną teoryą rozwojową, druga zaś określa stosunek teoryi rozwojowej do tak zwanego darwinizmu. W wykładzie tym stoi już Wasmann na stanowisku przyrodnika-filozofa. Jak już widzieliśmy, teorya rozwojowa czysto przyrodnicza, t. j. nie wychodząca poza ramy świata organicznego roślin i zwierząt, nie stoi w żadnym koniecznym związku z jakimkolwiek światopoglądem, czy to chrześcijańskim, czy monistycznym, jak to nieraz sądzą chrześcijanie, a jak tego samego z drugiej strony dowieść usiłuje Haeckel. Jest potrzebą ducha ludzkiego, kiedy zastanawia

się nad całokształtem organicznego świata i jego wewnętrzną ewolucyą, sięgnąć myślą dalej i zapytać o jego ostateczne powstanie i ogólną przyczynę — słowem, połączyć tę teoryę z jakimś ogólniejszym światopoglądem. W tej chwili i na tem tle stają wrogo przeciwko sobie dwie teorye: teorya rozwojowa teistyczna i teorya monistycza. Każdy z tych światopoglądów opiera się na pewnych uprzednich założeniach. Jedno takie założenie ma Chrystyanizm, który przyjmuje Boga, osobistego, ostatecznego Stwórcę wszech rzeczy,[1] więcej natomiast założeń ma monizm, który przyjmuje wieczność materyi i wiele innych twierdzeń, nie dających się całkiem udowodnić.

Co do monizmu należy rozróżnić dwa jego rodzaje: Jeden to »monizm naukowy«, zwany także kauzalizmem, który dla każdego zjawiska naturalnego żąda także naturalnej przyczyny. Przeciwko takiemu monizmowi nie można mieć nic do zarzucenia. Lecz istnieje jeszcze drugi monizm, metafizyczny, którego cechą główną jest zidentyfikowanie, zlanie całkowite Boga ze światem. Stąd też powstała nazwa »monizm«, w przeciwstawieniu do dualizmu, który twierdzi, że między Bogiem i światem jest istotna różnica. Dwa te światopoglądy, monistyczny i dualistyczny, wykluczają się wzajemnie. Ażeby lepiej poznać nigdy nie dającą się wyrównać między nimi różnicę, należy zestawić postulaty i założenia obu i zbadać ich wartość.

A więc najpierw postulaty monizmu:

1. Niema osobistego, oddzielnie od świata istniejącego Stwórcy. Wszechświat ze swemi prawami trwa od wieków, jest bez początku.

2. Odpowiednio do tego trzeba przyjąć, że pierwsza istota organiczna, pierwsze życie na świecie, powstało przez tak zwane samorództwo, to jest rozwinęło się samorzutnie z nieorganicznej materyi [2].

---

[1] Streszczenie stenograficzne *Germanii*, z którego czerpiemy, w tem miejcu nie jest wierne. W chrześcijańskiej religii istnienia Boga nie zakładamy, lecz je udowadniamy.

[2] Niektórzy monistyczni przyrodnicy-filozofowie sądzą, że nie tylko

3. Niema wcale dążenia do celu, nawet u istot żyjących, a wszystko odbywa się na podstawie praw mechanicznych.

4. Niema istotnej różnicy pomiędzy człowiekiem, a zwierzęciem, niema duszy nieśmiertelnej.

Postulaty światopoglądu teistycznego natomiast opiewają:

1. Musimy wyjść z założenia osobistego Stwórcy, istoty nieskończenie doskonałej, wiecznej, bez początku, która racyę swego bytu ma sama w sobie. Jest ona obecną we wszystkich rzeczach i ustawicznie a czynnie współdziała ze stworzeniami. Ta wszechobecność i to współdziałanie Boga ze stworzeniami nie jest jednak takiem samem, jakie swojemu Bogu przypisują moniści. Idee swoje zapożyczyli tu oni od chrześcijan, lecz spaczyli je w zupełności i z Boga zdarli przymiot najważniejszy, jakim jest bezsprzecznie osobista świadomość. Temsamem zniszczyli też zupełnie pojęcie Boga, tak, że są oni prawdziwymi ateistami.

2. Pojęcie aktu stwórczego. Wyobrazić sobie wprawdzie nie umiemy, jak mogło zacząć istnieć to, czego przedtem zupełnie ani w tej ani w innej formie nie było. Mimo to pojęcie stworzenia nie zawiera sprzeczności filozoficznej, bo jako przyczynę powstawania rzeczy z nicości uważamy Istotę obdarzoną potęgą nieskończoną, która więc sama w sobie mieści niejako wszystko, co istnieje i co istnieć będzie, lub może.

3. Już w same elektrony i atomy, przy wywołaniu ich z nicości, włożył Stwórca tę prawidłowość, która potem przez dalszą ewolucyę z początkowo bezładnych zapewne zbiorowisk atomów wytworzyła cały, obecnie istniejący nieorganiczny wszechświat.

4. Do powstania pierwszych organizmów, z których się następnie inne rozwinęły, potrzeba było tak zwanego aktu stwórczego. Mówimy »tak zwanego«, bo nie jest to stwarzanie w ścisłem tego słowa znaczeniu, które, jak wiadomo, oznacza wywołanie bytu z nicości, wytworzenie czegoś, co zupełnie przedtem nie istniało. Lecz ten akt stwórczy, o którym tu mowa, zasadzał

---

materya nieorganiczna, lecz i życie jest wieczne. Na ziemię mogłoby się przenieść z innych planet jakimś meteorem.

się tylko na tem, że Bóg z istniejącej już materyi nieorganicznej, wywołał życie. — Postulat ten jednak wcale nie jest związany ściśle z chrześcijańskim światopoglądem, to znaczy, nie wypływa koniecznie z jego założeń. Owszem ma on swój początek w naukach biologicznych, które twierdzą, że samorództwo jest niemożliwe. Jeżeli niemożliwe, to oczywiście życie mogło powstać tylko przez nową ingerencyę potęgi Bożej. Gdyby jednak naukom przyrodniczym udało się udowodnić możliwość samorództwa, to ten czwarty postulat możnaby zupełnie wykreślić, bez żadnej szkody dla chrześcijańskiego światopoglądu.

5. W chwili utworzenia pierwszych organizmów żyjących włożył też Stwórca w świat orgaiczny pierwsze prawa rozwojowe. Trzeba sobie to tak wyobrazić, że najpierw pchnął Stwórca owe istniejące nieorganiczne konstelacye atomów w pewnym dalszym kierunku rozwoju, a po drugie dał im pewne formalne, wewnętrzne pierwiastki życiowe, których istnienie przyjmują zresztą Driesch i inni dzisiejsi witaliści. Same bowiem zjawiska chemiczne i fizyczne życia nie tłumaczą, i zdaje się nigdy wytłumaczyć nie zdołają. A więc prócz materyi podlegającej prawom chemicznym i fizycznym, trzeba jeszcze w istotach żyjących przyjąć coś, co nie zamącając prawa zachowania energii, temi energiami niższemi a więc przedewszystkiem chemiczną i fizyczną, kieruje, co przyjmuje w skład organizmu martwe atomy, takowe wespółożywia, jednem słowem, jakieś wewnętrzne dążenie do celu.

6. Istnieje w człowieku duchowa, nieśmiertelna dusza. Filozofowie chrześcijańscy przyjmowali duszę także i u zwierząt i zawsze występowali przeciwko poglądom tych, którzy chcieli uważać zwierzęta za zwykłe odruchowe machiny. Lecz ta dusza zwierzęca nie sięga poza sferę zmysłów. Obejmuje ona zmysłowe postrzegania, kojarzy je, pamięta i zmienia nawet czynności zwierzęcia wskutek nabytych doświadczeń zmysłowych. Ponad te jednak właściwości żadnych innych zjawisk psychologicznych u zwierząt nie napotykamy. U człowieka natomiast obserwujemy jeszcze całe mnóstwo zjawisk, różniących się zasadniczo od dopiero co wyliczonych przymiotów duszy zwierzęcej. Ich fundamentem jest zdolność myślenia, czyli rozumowania i wola. Czło-

wiek może wznieść się ponad sferę wrażeń i zmysłowych postrzeżeń, może tworzyć pojęcia oderwane i ogólne i przez rozumowania wyciągnąć z nich wnioski. Ta właśnie zdolność doprowadziła ludzkość do wytworzenia sztuki, nauki i religii. Otóż ponieważ temi czynnościami duchowemi człowiek zasadniczo różni się od zwierząt, więc na ich wytłumaczenie trzeba przyjąć w człowieku jakiś pierwiastek psychiczny, odrębny zupełnie od tego, jaki przyjmujemy u zwierząt. I ten pierwiastek życia intellektualnego człowieka nazywamy duszą. Dusza ludzka jest koniecznie niemateryalna, w bycie swym od materyi niezawisła, jednak jest z ciałem substancyalnie złączona, i obejmuje też i te funkcye zmysłowe, jakie u zwierząt spełnia dusza zwierzęca. Niema przeto u człowieka dwóch dusz, jakby komuś zdawać się mogło, niższej i wyższej, materyalnej i duchowej, lecz tylko jedna, niemateryalna. Dalsze zastanawianie się nad właściwościami duszy ludzkiej doprowadzić nas musi do zupełnie pewnego wniosku, że ta dusza ludzka musi być nieśmiertelną, to znaczy, że przy śmierci człowieka rozłącza się wprawdzie z ciałem, zachowuje jednak dalej swój byt świadomy. Funkcyi jednak niższych oczywiście wtedy już wykonywać nie może, z powodu braku narzędzia, to jest ciała. — Ten szósty postulat jest najbardziej narażony na pociski i napady monistycznego obozu. Z drugiej jednak strony trzeba zaznaczyć, że najtęższe umysły ludzkości, od samego początku cywilizacyi aż do doby obecnej przyjmowały i przyjmują stale istnienie duszy nieśmiertelnej w człowieku.

Zestawiając te postulaty monistyczne i chrześcijańskie, widzimy, że przeciw jednej zagadce teistycznej, zagadce stworzenia, stoi niezmierne mnóstwo dowolnych założeń monistycznych, jak np. wieczność materyi, sposób wyjaśniania prawidłowości zjawisk w przyrodzie i wewnętrznego dążenia organizmów do celu. »Muszę powiedzieć otwarcie« woła O. Wasmann — »co do mnie żadną miarą nie wstydzę się jako przyrodnik, że jestem zwolennikiem światopoglądu teistycznego, bo uważam go za jedynie słuszny. Nie jest to skierowane przeciwko osobom, które lgną do monizmu, lecz przeciwko rzeczy. Jestem przekonany, że zarzuty,

jakie ze strony monistycznej przytaczają przeciwko chrzescijańskiemu światopoglądowi, po największej części polegają na nieporozumieniach«.

W drugiej części tego odczytu zajmuje się O. Wasmann przedewszystkiem sprostowaniem pojęć panujących co do znaczenia wyrazu »darwinizm«. Teorya descendencyi, czyli teorya rozwojowa i darwinizm, to są dwie zupełnie różne rzeczy. Podczas gdy pierwsza twierdzi, że istniejące gatunki rozwijając się mogą tworzyć nowe, to darwinizm tłómaczy sposób, w jaki to rozwijanie się cech i powstawanie nowych gatunków się odbywało a tłumaczy to zapomocą doboru naturalnego. Przyrodnicy wszyscy dobrze o tej różnicy między teoryą rozwojową a darwinizmem wiedzą, natomiast pomiędzy szerszemi, nie fachowemi kołami wytworzyło się mniemanie, że teorya ewolucyi a darwinizm, to jedno. Zdanie to błędne rozszerzył i umyślnie sztucznie podtrzymuje Haeckel, który przy pomocy doboru naturalnego pragnie wyjaśnić ową celowość w organizmach, której istnienia zaprzeczyć nie może, a której wspomnienie tak wielkiego kłopotu nabawia zawsze zwolenników monizmu. Prócz tego pod wyraz »darwinizm« podsuwa się jeszcze i inne znaczenie. Otóż, żeby temu zamięszaniu pojęć raz koniec położyć, trzeba sobie jasno uprzytomnić znaczenie, jakie ów wyraz »darwinizm« u różnych ludzi przyjmuje. Znaczeń tych jest cztery.

Najpierw mamy darwinizm w ścisłem tego słowa znaczeniu, jako teoryę doboru naturalnego. Podobnie jak chodowca roślin lub zwierząt dobiera i kojarzy te osobniki, które posiadają wymagane przez niego zalety, a następnie przez dziedziczenie właściwości te utrwala, tak samo dzieje się i w naturze. Osobniki, których przymioty więcej odpowiadają warunkom ośrodka, wśród którego żyją, które przeto są w walce o byt mocniejsze, zachowują się przy życiu i przez dziedziczenie przekazują swe korzystne przymioty potomstwu. Przez dalsze dziedziczenie przymioty te wzmagają się tak, że powstaje nowy gatunek. Jednem z założeń, na których ta cała teorya się opiera, jest przypuszczenie, że gatunki mogą się rozwijać w różnych kierunkach bez żadnych ograniczeń. Teorya ta doboru naturalnego jest w wielu wypadkach

słuszną, lecz jej doniosłość w sprawie rozwoju i powstawania nowych gatunków nie jest tak wielką, jak jej zwolennicy początkowo sądzili.

W drugiem znaczeniu wyraz darwinizm jest tożsamościowy z monistycznym hekelianizmem, który naucza, że Stwórcy niema, świat jest wieczny, a rozwija się tylko na mocy praw zwykłej mechaniki.

W znaczeniu trzeciem darwinizm jest przystosowaniem teoryi doboru naturalnego do człowieka. Według takiego darwinizmu człowiek jest tylko najdoskonalszem zwierzęciem, a doszedł do tego stopnia rozwoju, jaki obecnie posiada, tylko przez dobór naturalny i walkę o byt.

Po czwarte wreszcie identyfikuje się darwinizm z teoryą rozwojową. Dało to powód do wielu nieporozumień, i nie jeden badacz, przyjmując teoryę rozwojową, ściągał na siebie z tego powodu niesłuszne zarzuty i podejrzenia.

Co do krytyki darwinizmu trzeba zaznaczyć, że wielu dzisiejszych zoologów, jak np. Driesch, odrzuca zupełnie teoryę doboru naturalnego. Znaczenie, jakie doborowi naturalnemu przypisywano dawniej, było wprawdzie przesadzone, jednakże opierając się na własnych badaniach nad mrówkami sądzi O. Wasmann, że darwinistyczna teorya selekcyi jest koniecznym czynnikiem pomocniczym do wytłumaczenia wielu zjawisk napotykanych w świecie organicznym. Główną jednakże przyczyną rozwoju gatunków będą zawsze czynniki wewnętrzne, gatunkowi swoiste, one bowiem tylko wywołać mogą w pewnych okolicznościach zmiany pozytywne, nowe przymioty dodatnie, podczas gdy teorya doboru naturalnego ma przedewszytkiem znaczenie czysto negatywne, z jej pomocą można wyjaśnić znikanie cech dla gatunku nieprzydatnych lub szkodliwych. Ważnym czynnikiem w rozwoju organizmów jest także zdolność dostosowania się do warunków zewnętrznych. Nigdy jednak same przyczyny zewnętrzne nie zdadzą należycie sprawy z powstawania nowych cech gatunkowych, do tego potrzeba koniecznie współdziałania czynników wewnętrznych i zewnętrznych. Co to są te przyczyny zewnętrzne, o tem dzisiejsza wiedza rozstrzygać nie może, chyba po wieko-

wych badaniach powstaną jakieś dokładniejsze, więcej ugruntowane teorye.

Na zakończenie tego zestawienia poglądów chrześcijańskich i monistycznych zaznaczyć jeszcze należy, że w niektórych kołach przyrodniczych panuje pewien rodzaj teofobii, która drży na samo wspomnienie Stwórcy. Pochodzi to znowu po większej części z nieporozumień i nieznajomości filozofii chrześcijańskiej. Pomiędzy dawniejszymi przyrodnikami choroba ta prawie że nie była znaną, a sam Darwin był, jak wiadomo, teistą. Na końcu jego książki o pochodzeniu gatunków czytamy ów sławny ustęp, który warto tu za prelegentem przytoczyć dosłownie: »Jest to zaiste pogląd wspaniały, że Stwórca tchnął zarodek życia, jakie nas otacza, tylko w niewiele lub tylko w jednę jedyną formę i że podczas gdy nasz planeta, idąc za najściślejszemi prawami siły ciężkości, pędził wokoło, z tak pojedynczego początku rozwinął się nieskończony szereg najpiękniejszych i najcudowniejszych form i jeszcze rozwija«. »Sądzę, że po tych słowach« — kończy O. Wasmann — »nie potrzebuję, jako przyrodnik, uniewinnienia, że sam przyznaję się do światopoglądu teistycznego«. —

Odczyt trzeci zajmuje się kwestyą najdrażliwszą, bo pytaniem, czy i o ile można teoryę rozwojową rozciągnąć i na człowieka. Wiadomo, że według monistów, człowiek powstał ze zwierzęcia i niczem się od zwierzęcia nie różni. Tymczasem religia mojżeszowa i chrześcijańska utrzymuje, że Bóg stworzył człowieka i to w sposób zupełnie odmienny, jak inne zwierzęta. Dlatego już z tych powodów należy stanowczo wystąpić przeciwko zdaniu, że kwestya pochodzenia człowieka należy wyłącznie do zoologii. Możnaby się na to może zgodzić, gdyby człowiek był tylko zwierzęciem, to jest gdyby się od innych zwierząt różnił tylko pewnemi nieistotnemi właściwościami anatomicznemi i biologicznemi. Lecz, jak już wspomniano, u człowieka musimy chcąc nie chcąc uznać cały szereg zjawisk, które wykazują, że prócz tej niższej części istoty, wspólnej ze zwierzętami, posiada jeszcze człowiek część wyższą, duchową. Dlatego gdy pytamy, skąd się wziął człowiek, musimy mieć na względzie przedewszystkiem

kwestyę, skąd się wzięła wyższa część człowieka, która stanowi istotną cechę, odróżniającą go od innych stworzeń, a nie część jego niższą, zwierzęcą. O pochodzeniu tej ostatniej może coś mówić zoologia, nigdy jednak o pochodzeniu części wyższej, bo tu ma głos tylko psychologia.

Według biblii Bóg utworzył ciało pierwszego człowieka z ziemi i »tchnął weń duszę«. To ostatnie wyrażenie jest oczywiście tylko obrazowem i oznacza, że dusza ludzka jest bezpośrednio od Boga stworzoną. Co zaś do utworzenia ciała z ziemi zauważyć należy, że »ziemia« w potocznem słowa znaczeniu może być organiczną i nieorganiczną. Dlatego też filozoficznie rzecz biorąc, pochodzenie c i a ł a ludzkiego od zwierząt nie jest niemożliwem. Pismo święte nie jest podręcznikiem nauk przyrodniczych w nowszem tego słowa znaczeniu, lecz używa wyrażeń odpowiednich do pojęć ludzi współczesnych natchnionemu autorowi. Słowa więc tekstu biblijnego należy brać w znaczeniu zwykłem, jakie samo się narzuca z kontekstu tak długo, jak długo skądinąd nie będzie nam o przenośni wiadomo. Tak samo i tutaj, gdy chodzi o stworzenie człowieka. Bliższe i dokładniejsze badania o pochodzeniu ciała ludzkiego należą do zoologii i do nauk przyrodniczych w ogólności. Gdy one udowodnią, że ciało ludzkie pochodzi od zwierząt, teologia z pewnością dowód ten przyjmie.

Obecne dowody, jakie nauka dotychczas za pochodzeniem człowieka od zwierząt podaje, dzielą się na dwie grupy, mianowicie są to dowody zoologiczne i paleontologiczne. Pomiędzy dowodami zoologicznymi na pierwszem miejscu trzeba uwzględnić argumenty zaczerpnięte z morfologii porównawczej, czyli z porównawczej nauki o kształtach ciała zwierząt i ludzi. Nie ulega wątpliwości, że ciało ludzkie jest podobne do zwierzęcego, chociaż przedstawia typ jego najdoskonalszy i najwyższy. Mimo to przy bliższem rozpatrywaniu dostrzegamy różnice bardzo znaczne. Prócz prostej postawy człowieka, widocznej na pierwszy rzut oka, uderzać musi bardzo silny rozwój wyższej części czaszki zawierającej mózg. Dlatego też np. Ranke, biorąc człowieka ze stanowiska czysto zoologicznego, oznacza go jako zwierzę czaszkowe, w przeciwstawieniu do innych zwierząt ssących. U małp, nawet

do człowieka najpodobniejszych, wyższa część czaszki, w której mózg się mieści, jest stosunkowo do innych części szkieletowych głowy znacznie mniejszą, niż u człowieka, natomiast rozwijają się u nich bardzo silnie kości twarzowe, jako punkty zaczepienia i podpory potężnych mieśni żuchwowych i zębów, będących konieczną bronią w walce o byt. Przeskok ten między czaszką najwyższej małpy, a człowieka, jest tak olbrzymi, że dotychczas żadnymi szkieletami ani zwierząt żyjących obecnie, ani też kopalnych, zapełnić go nie można.

Drugi zakres, z którego zoologia czerpie swe dowody o pochodzeniu człowieka, to porównawcza embryologia albo ściślej porównawcza historya rozwoju jednostki. Podstawą zasadniczą jest tu tak zwane prawo biologiczne, wygłoszone po raz pierwszy przez Müllera, powtórzone i rozszerzone przez Haeckla. Opiewa ono, że jednostka powtarza w rozwoju swoim, od zarodka począwszy, aż do formy doskonałej, te same stadya, które w ciągu swej ewolucyi przebiegał cały gatunek, do którego ta jednostka należy. Chociaż to prawo wcale nie jest pewne i niezawodne, mimo to, zdaniem Wasmanna, nie należy go odrzucać zupełnie, jak to czynią niektórzy zoologowie, lecz owszem ze znajomości indywidualnego rozwoju zwierzęcia można niejednokrotnie czerpać wskazówki i wyszukiwać ślady, mogące nieraz oddać cenne usługi w oznaczaniu kierunku, w jakim rody dane się rozwijały. Lecz dzieje rozwoju indywidualnego nie mogą stanowić dokumentów niezawodnych. Jasną zresztą jest rzeczą, że im zwierzę wyżej stoi w hierarchii systematycznej, im więcej skomplikowaną ma budowę ciała, tem też więcej przebiegać musi stopni rozwoju, by z jednokomórkowego zarodka wytworzył się doskonale zróżniczkowany organizm.

Dalszych wskazówek o pochodzeniu ciała ludzkiego dostarczyć nam mają tak zwane organa rudymentalne, to jest organa po większej części zmarniałe, których znaczenia fizyologicznego w organizmie wytłumaczyć sobie nie umiemy. Do takich zaliczyć należy np. u człowieka wyrostek robaczkowaty ślepej kiszki, którego funkcyi całkowicie nie znamy, a który dla wielu już jednostek był przyczyną ciężkich chorób a nawet śmierci, dalej gru-

czoł tarczykowaty i inne. Tu jednak trzeba być ostrożnym, bo nieraz przyrodnicy, nie umiejąc sobie wytłumaczyć funkcyi jakiegoś organu, rozcinają krótkim sposobem trudność, uważając go po prostu za organ zmarniały, odziedziczony po przodkach, u których ten organ istnieje i ważną odgrywa rolę. Stąd znane zdanie: *Was man nicht erklären kann, das sieht man als Rudimentum an.*

Wreszcie ostatni dowód zoologiczny, to zjawisko odkryte przez Friedenthala, mające rzekomo wykazywać powinowactwo krwi pomiędzy małpą a człowiekiem. Oczywiście takie pokrewieństwo chemiczne nie może stanowić żadnego ścisłego dowodu pokrewieństwa systematycznego.

Przeciw tym dowodom można również z zoologii przytoczyć inne, które przemawiają przeciwko pochodzeniu ciała ludzkiego od zwierząt, a przynajmniej od małp. Skłoniły też one większość dzisiejszych zoologów do przechylenia się na stronę poglądu, że człowiek nie rozwinął się wprost z małpy, lecz że najwyższe małpy i ludzie są końcowymi etapami rozwoju dwu linii, spokrewnionych gdzieś daleko ze sobą, bo wyprowadzających swe wspólne pochodzenie od jakiegoś hypotetycznego, bliżej nieznanego zwierzęcia.

Wszystkie powyższe wywody zoologiczne są tylko raczej mniej lub więcej prawdopodobnemi przypuszczeniami. Rozstrzygnąć mogłaby tu tylko paleontologia — tymczasem i ona nie dostarcza żadnych pewnych danych, jak to widać przy dokładniejszym przeglądzie opinii fachowych, a bezstronnych uczonych, o tych szczątkach szkieletowych, które mają stanowić jakoby ogniwo anatomiczne pomiędzy zwierzętami a ludźmi.

Odczyt ten ostatni kończy O. Wasmann wyrażeniem we wzniosłych słowach swego przekonania, że te fale, jakie dziś biją o skałę chrześcijańskiego światopoglądu, nie zatopią wspaniałego gmachu wiary, na niej się wznoszącego. »Skała i fala są naturalnymi przyjaciółmi: ludzka wiedza i wiara nadprzyrodzona nie stoją przeciwko sobie jako nieprzyjaciółki, obie są strumieniami z pierwszego źródła jednej i tej samej prawdy Bożej. Nie mogą się one sobie sprzeciwiać, czy przemawiają do nas w tym lub

owym języku. Dlatego jestem silnie przekonany, że między chrześcijańskim światopoglądem, a naukami przyrodniczemi, nie może być żadnego prawdziwego przeciwieństwa«.

Jak ze streszczenia tego widać, O. Wasmann rzuca śmiało wspaniałe i głębokie myśli, które odgraniczając przedewszystkiem ściśle zakres nauk przyrodniczych i dziedzinę nauk teologicznych, usuwają przez to sposobność do mnóstwa nieporozumień. Szkicowo, lecz wspaniale i pod względem filozoficznym bez zarzutu, udowadnia on tę prawdę, że między nauką a wiarą sprzeczności niema. Powstaje ona dopiero tam, gdzie się nauki chce nadużyć do popierania swych sekciarskich, fanatyczną nienawiścią teizmu i chrześcijaństwa tchnących światopoglądów.

(C. d. n.).

Ks. Feliks Hortyński.

MIĘDZYNARODOWE USTAWODAWSTWO ROBOTNICZE

NA KONGRESACH BERNEŃSKICH

(dnia 8—17 maja 1905 r. i 17—26 września 1906 r.)

(Dokończenie).

II.

W dwu ostatnich lat dziesiątkach dużo się zmieniło na korzyść ustawodawstwa robotniczego i w opinii publicznej i w sferach rządowych. Rosnąca wśród robotników nędza i krwawe cyfry wlokące się za kwitnącym rozwojem przemysłu, poddały w wątpliwość błogosławieństwa wolności kontraktu robotniczego i obaliły wszechwładztwo zasady: *laissez faire, laissez passer*. Wzmagający się po każdych wyborach do parlamentu w liczebną potęgę socyalizm, popchnął dbałe o mocarstwowe swe stanowisko rządy do ustawowej obrony życia i zdrowia robotników. Z drugiej strony opinia publiczna przejmuje się coraz więcej ideałami nowoczesnego humanizmu, coraz częściej mimo egoistycznych interesów klasowych i w prasie i na wiecach i z trybuny parlamentarnej występować poczęła w obronie pokrzywdzonych ludzkich praw robotnika. Tak powstały robotnicze ustawodawstwa ochronne po wszystkich prawie państwach cywilizowanego świata.

Ewolucya ta tak znamienna od czasu konferencyi berlińskiej, na której jeszcze przeważała teorya indywidualizmu ekonomicznego, na której delegaci różnych państw w myśl udzielonych im instrukcyi bacznie i trwożliwie czuwają nad tem, by nie dopuścić

do żadnej śmielszej w tym kierunku rezolucyi — wywołała też w różnych krajach podobne potrzeby i podobne ustawy fabryczne. I spoczynek niedzielny i ochrona młodocianych robotników i kobiet i dzieci i ochrona życia i zdrowia robotników, pracujących w niebezpiecznych przedsiębiorstwach — wszystko to ujęte zostało i unormowane w podobne do siebie przepisy prawne. Tak powstała siłą rzeczy wspólna podstawa do akcyi wspólnej, podatny grunt do traktatów międzynarodowych i międzynarodowego porozumienia się w dziedzinie socyalnej.

Niektóre państwa stosując się do ducha czasu i idąc za ewolucyą wieku wstąpiły też po części na tę drogę traktatów. W r. 1904, jak już wspomnieliśmy, zawarła Francya z Włochami pierwszy traktat robotniczy. Również Niemcy zawierając traktaty handlowe z Austro-Węgrami, zobowiązują się obopólnie (art. 6) do zapewnienia robotnikom obu stron równych korzyści ustawodawczych. Podobna ugoda w sprawie asekuracyi robotników istnieje też pomiędzy Włochami i Niemcami. Zanim więc doszło do międzynarodowego porozumienia w tym kierunku, niektóre państwa już obrały drogę traktatów i to ogromnie ułatwiło akcyę rządu szwajcarskiego celem zwołania konferencyi międzynarodowej w sprawie robotniczej.

Dnia 30 grudnia 1904 r. wystosował prezydent szwajcarski Rady związkowej, Comtesse, wraz z kanclerzem Ringierem do wszystkich państw Europy dokument następującej treści:

»Z polecenia Komisyi, która się wytworzyła na zebraniu delegatów międzynarodowego Związku ustawowej ochrony robotników w Kolonii, uprasza nas Biuro tegoż Związku, abyśmy zwołali międzynarodową konferencyę celem uregulowania następujących kwestyi z dziedziny ochrony robotników:

1) Zakazu używania białego fosforu przy fabrykacyi zapałek. 2) Zakazu pracy nocnej kobiet w przemyśle«.

Co do drugiego punktu to z dyskusyi Biura i rezolucyi wyż pomienionej Komisyi (rozprawy z dnia 10 i 11 września 1903 r. w Bazylei) wynika, że kwestya ta następujące obejmuje postulaty:

a) Przez słowo »kobiety« należy rozumieć wszystkie robotnice bez różnicy wieku;

b) zakaz pracy nocnej polega na tem, że wszystkie w jakiemś przedsiębiorstwie przemysłowem albo poza domem pracujące robotnice będą miały zapewniony dwunastogodzinny bez przerwy spoczynek od pracy od wieczora do rana;

c) zakaz ten obejmować może przewidziane wyjątki na wypadek grożącego przedsiębiorstwu albo faktycznego niebezpieczeństwa;

d) robotnice, które pracują nad materyałami, ulegającymi szybkiemu zepsuciu, np. w rybołostwie albo w pewnych przedsiębiorstwach, przerabiających owoce, otrzymają w każdym wypadku koniecznym pozwolenie na pracę nocną celem uniknięcia strat w materyale;

e) w przedsiębiorstwach o pracy sezonowej spoczynek nocny bez przerwy ma wynosić 10 godzin, ażeby przez dodatkowe godziny pracy można nadążyć potrzebie;

f) dla wprowadzenia w życie powyższych reform można naznaczyć ściśle określone terminy.

Szersze wyjaśnienie wyż pomienionych kwestyi zawierają dwie publikacye: »Memoryał o zakazie używania białego fosforu w przemyśle zapałkowym« i »Memoryał o zakazie pracy nocnej kobiet w przemyśle«. Publikacye te wysłało w imieniu Komisyi Biuro Związku międzynarodowego do różnych państw 1904 r.

»Urządziliśmy u Rządów całego szeregu państw poufne wywiady, ażeby dowiedzieć się, jakie przyjęcie znajdzie projekt szwajcarski w sprawie zwołania międzynarodowej konferencyi. Prawie wszystkie państwa przychylną dały odpowiedź w sprawie odbycia konferencyi. W takich warunkach Rada związkowa mniema, że w myśl dotychczasowych starań należy stosownie do żądań podjąć akcyę w tym kierunku. I gdyby nareszcie, choć tylko w ograniczonej mierze, idea międzynarodowego porozumienia się co do pewnych kwestyi ochrony robotników weszła w życie — fakt ten powitalibyśmy radośnie. Mamy usilną nadzieję, że konferencya nie zadowolni się teoretycznemi rozprawami, ale usiłować będzie utorować drogę do rzeczywistego porozumienia

się pomiędzy państwami. Mniemamy, że konferencya w tym celu powinna ustalić zasady międzynarodowych porozumień; oczywiście nie żeby przesądzać zamiary Rządów na konferencyi reprezentowanych, albowiem ostateczne porozumienie najzupełniej zależnem będzie od późniejszych dyplomatycznych rokowań.

Proponujemy tedy, by pod cyframi 1 i 2 i lit. a—f bliżej określone kwestye włączyć do programu Konferencyi. Ideę zakazu pracy nocnej zastosować również do młodocianych robotników, nie uważano z wielu stron za odpowiednie i pominięto ją. Należy się spodziewać, że z powodu ograniczenia programu do niewielu punktów na Konferencyi prędzej przyjdzie do żywotnego porozumienia.

Międzynarodowa Konferencya zbierze się w poniedziałek dnia 8 maja 1905 r. o godzinie 3 popołudniu w sali Stanowej Domu Związkowego w Bernie. Zapraszając Wysoki Rząd do wzięcia udziału w Konferencyi, upraszamy o podanie nam nazwiska swoich delegatów« [1].

Tak tedy dnia 8 maja 1905 roku rozpoczęły się w pałacu szwajcarskiej Rady związkowej w Bernie międzynarodowe obrady ustawodawcze. Z wyjątkiem Rosyi i państw Bałkańskich o słabo rozwiniętym przemyśle, wzięły w konferencyi udział wszystkie państwa Europy. Z pośród delegacyi, które składały się przeważnie z wysokich urzędników i rzeczoznawców, wyszczególniały się przedewszystkiem doborem i składem osób grupa niemiecka, francuska i szwajcarska, które razem z grupą włoską stanowiły w Radzie jakby blok odrębny i pierwszy zawiązek międzynarodowego porozumienia. Stosownie do programu Konferencya postawiła sobie za zadanie przeprowadzić zakaz używania białego fosforu przy fabrykacyi zapałek i pracy nocnej kobiet w przemyśle fabrycznym. Kwestye te po ogólnych obradach na ogólnem posiedzeniu wstępnem przekazano oddzielnym komisyom, które

---

[1] *Soziale Praxis.* 1905 i 1906. — *Revue économique internationale.* 1905 i 1906. — Mahaim: *La Conférence de Berne concernant la protection ouvrière* i *La protection ouvrière internationale — les Conventions de Berne.* — *Schweizerische Blätter für Wirtschafts- und Sozialpolitik.* 1906. — Frey: *Verhandlungen der diplomatischen Konferenz für internationalen Arbeiterschutz.*

miały ustalić punkta ugodowe i przygotować międzynarodowe traktaty w zarysie. Ten bowiem był cel konferencyi: wygotować i przedłożyć rządom gotowe traktaty w zarysie, jak to w przemowie wstępnej zaznaczył radca związkowy Deucher: »Rozwiązanie musimy znaleźć i ono się też znajdzie, tylko nie należy poprzestawać na pięknych oświadczeniach platonicznych; państwom trzeba przedłożyć praktyczne rozwiązania, któreby służyć mogły za tekst traktatów«. I tem się różni Konferencya obecna od berlińskiej. Na konferencyi berlińskiej podpisano rezolucye, które wyrażały tylko życzenia *il est désirable* i do niczego nie obowiązywały, obecnie zaś Konferencya ma przedłożyć delegatom państw gotowy projekt traktatów do podpisania, które na następnej konferencyi stać się mają traktatami rzeczywistymi.

Kwestya fosforu zdawała się być jasną i prostą do rozwiązania, bo chodziło tylko o jedną gałąź przemysłu, o zwalczenie jednej z najstraszliwszych trucizn w przemyśle. Więcej już skomplikowaną jest praca nocna kobiet, która najeżona rozmaitemi trudnościami łączy się z całym szeregiem różnych interesów i w najróżniejszych istnieje przemysłach. Tymczasem wbrew przewidywaniom, Konferencya wręcz przeciwnym poszła torem. Kwestya fosforu na największe napotkała trudności. Naprzód nie zaproszono na Konferencyę Japonii, największego na Wschodzie producenta trujących zapałek fosforowych. Rząd bowiem szwajcarski w przypuszczeniu, że Rosya weźmie udział w Konferencyi, nie chcąc łączyć w przyjacielskich obradach dwu w wojnę uwikłanych potęg, ograniczył zaproszenia swoje tylko do państw europejskich. Tymczasem Rosya nie wzięła udziału a z powodu nieobecności Japonii obrady w sprawie fosforu na warunkowych skończyły się rezolucyach. Powtóre postęp w technice wyrabiania zapałek i surowe przepisy hygieniczne w niektórych krajach sprawiły, że liczba wypadków otrucia robotników przy fabrykacyi zapałek zmalała i to dało powód, przynajmniej formalny, do powstrzymania się od uchwał, które bądź co bądź fabrykantów zapałek na niemałe musiałyby narazić straty. Na zakaz białego fosforu zgodziły się bez trudności państwa, które mając w ręku monopol albo ze względów hygienicznych zamknęły swe granice

dla zapałek trujących i wogóle nie produkują na eksport, jak Francya, Niemcy, Szwajcarya i Hollandya. Ale z państw mających kwitnący u siebie przemysł zapałkowy i wytwarzających zapałki fosforowe na eksport, żadne nie chciało w międzynarodowem współzawodnictwie na rynku światowym ustąpić pola ani Japonii ani swoim współzawodnikom europejskim, żadne nie śmiało narazić pomyślnie rozwijających się fabryk na ruinę lub prawdopodobne straty nieobliczalne z powodu ich przekształcenia na innego rodzaju przedsiębiorstwa. To też rezolucye co do fosforu uchwalone na Konferencyi zgoła nie odpowiedziały życzeniom inicyatorów Kongresu. Delegaci z Hiszpanii i Portugalii oświadczyli, że ich państwa dopiero po pewnym czasie mogłyby zakaz taki u siebie przeprowadzić. Dania, Anglia, Norwegia i Szwecya powstrzymały się od głosowania. Delegat duński oświadcza, że zakaz używania białego fosforu w przemyśle zapałkowym w Danii już od lat 30 istnieje — cała kwestya więc dla Danii nie przedstawia żadnego interesu praktycznego. Stanowisko na prawdę dziwne kulturalnego narodu wobec kulturalnych zadań ludzkości. Przedstawiciel Szwecyi dowodzi, że z powodu ustawowych zarządzeń ochronnych w Szwecyi, wypadki otrucia fosforowego prawie wcale się nie pojawiają lub też są łatwo uleczalne. Wobec tego trudno domagać się, by państwo przyczyniło się do zniszczenia przemysłu, który przynosi corocznie krajowi $4^1/_2$ miliona franków i zatrudnia 1500 robotników. Przedstawiciel Anglii M. Cunynghame dowodzi szeroko, że wobec postępu techniki i ostrych zarządzeń hygienicznych liczba ofiar nekrozy fosforowej stale się zmniejsza. Na 2000 robotników stykających się przy fabrykacyi zapałek bezpośrednio z fosforem umierało aż do roku 1897 rok rocznie przeciętnie 9 osób wskutek otrucia. Odtąd dzięki hygienicznym zarządzeniom liczba śmiertelna stale się zmniejsza. W r. 1900 umarło na nekrozę fosforową 3, w roku następnym 4, w 1902 r. zmarła tylko jedna osoba a w dwu następnych latach nie było żadnej ofiary z wyjątkiem kobiety, zakażonej już w r. 1902. Należy więc przypuścić, że ściśle przeprowadzone przepisy sanitarne zdołają siłę jadu jeśli nie zupełnie przezwyciężyć, to przynajmniej stłumić do rozmiarów minimalnych, zwłaszcza, że po-

stęp w technice przychodzi tu w pomoc hygienie fabrycznej. W r. 1902 wprowadzono do produkcyi zapałek maszynę amerykańską, która niebezpieczeństwo fosforu zupełnie usuwa. Za pomocą bowiem maszyny tej robotnik wogóle nie styka się z trucizną — zapałki wychodzą gotowe z maszyny. Tylko więc kraje o mało rozwiniętym przemyśle zapałkowym będą narażone na straszne działanie nekrozy fosforowej. Ale i one znajdą się wkrótce siłą rzeczy wobec alternatywy: albo wprowadzić maszyny, które czynią biały fosfor mało szkodliwym albo uledz w światowem współzawodnictwie krajom kulturalnym o przemyśle, stojącym na wyżynie techniki i wymagań hygieny. Rozumowanie niewątpliwie słuszne w świetle teoryi wolnohandlowej, ale życie idzie innym torem. Nim słońce wejdzie, rosa oczy wygryzie. W krajach mniej kulturalnych jad straszliwy pożera rok rocznie mnóstwo ofiar a kiedyż postęp techniki razem z przepisami hygieny fabrycznej zetrze jego siłę zabójczą? Zresztą cóż znaczą najlepsze przepisy, jeżeli nie są zachowane? I konkurencya nic tu nie sprawi, bo zwyczajnie, produkcya najmniej kulturalna, najmniej kosztuje. Tu Anglia stanęła na stanowisku bezwzględnego egoizmu handlowego. Przy zawieraniu traktatów handlowych zazwyczaj państwa nie liczą się tak z interesami eksportowymi jakiejś drobnej gałęzi przemysłu, zwłaszcza gdy ten przemysł nie wymaga kosztownych instalacyi i łatwo przekształcić lub zastąpić się da przemysłem nieszkodliwym. Ostatecznie zgodziły się na zakaz używania białego fosforu w przemyśle zapałkowym następujące państwa: Niemcy, Austrya, Węgry, Belgia, Hiszpania, Francya, Włochy, Luksemburgia, Hollandya, Portugalia i Szwajcarya. Ale konwencya ta jest tylko warunkową. Art. 1 brzmi, że »od 1 stycznia 1911 r. fabrykacya, import i sprzedaż zapałek, zawierających biały (żółty) fosfor mają być wzbronione«, a art. 4 czyni ugodę powyższą zależną od akceptacyi Japonii i wszystkich państw na konferencyi reprezentowanych. »Konwencya staje się prawomocną, gdy przyłączą się do niej państwa na konferencyi reprezentowane i Japonia«. Przedstawiciele Danii, Anglii, Norwegii i Szwecyi wstrzymali się od głosowania.

Druga kwestya, która była przedmiotem obrad na Konfe-

rencyi, to zakaz pracy nocnej kobiet. Że praca nocna kobiet jest przyczyną i źródłem całego szeregu złego wszelkiego rodzaju i powinna być bezwarunkowo zakazaną, na to wszyscy mniej więcej się zgadzają. Praca fabryczna i warsztatowa wogóle — utrzymują zgodnie wszyscy lekarze okręgów przemysłowych — jest dla kobiet źródłem nadmiernego wytężenia i w następstwie licznych chorób. Przez pracę fabryczną kobiet ulegają degeneracyi całe pokolenia. Zupełna ruina rodzin, częsta bezpłodność, liczne poronienia, przedwczesne zgony dzieci: oto zwyczajne następstwa takiej pracy. A cóż dopiero mówić o pracy nocnej, działającej zabójczo na organizm i popychającej częstokroć do rozwiązłości obyczajów? Wszystkie te skutki straszliwe pracy fabrycznej kobiet, oparte na bogatym materyale statystycznym, oświetliły na nowo umiejętne i wszechstronne wydawnictwa[1] międzynarodowego Biura pracy.

Obecne zaś ustawodawstwo co do nocnej pracy kobiet w Europie przedstawia się tak: w Szwajcaryi istnieje absolutny zakaz pracy nocnej kobiet, w Anglii zaś, Francyi, Niemczech, Austryi, Holandyi i we Włoszech (tylko na rok 1907) istnieje zakaz taki z licznymi wyjątkami. Reszta zaś państw europejskich, pomiędzy niemi przemysłowa Belgia, żadnych pod tym względem nie posiada przepisów ustawowych. Wobec takiego stanu rzeczy Konferencya berneńska, stosownie do przedłożonego jej programu, podwójne miała zadanie, mianowicie przeprowadzić zakaz pracy nocnej kobiet w przemyśle oraz ujednostajnić i określić konieczne z natury przemysłu lub toku produkcyi wynikające wyjątki. Jaki był rezultat rokowań?

Po długich i nader interesujących obradach zgodzono się ostatecznie na jedenastogodzinny bez przerwy spoczynek nocny. Rezolucya ta jest rezultatem kompromisu pomiędzy zwolennikami dwunasto- i dziesięciogodzinnego spoczynku. W gruncie rzeczy nie chodziło tu o spoczynek nocny jak raczej o dzień roboczy. Dwie te kwestye bowiem ściśle są ze sobą połączone tak, że roz-

[1] *Le travail de nuit des femmes dans l'industrie. Rapport sur son importance et sa réglementation légale.* Publication de l'Office international du travail. 1903, Paris (Le Sondier).

wiązanie jednej pociąga za sobą nieuchronnie unormowanie drugiej. Kto domaga się dla robotników dwunastogodzinnego spoczynku nocnego, ogranicza tem samem pracę dzienną do 10 lub $10^1/_2$ godzin, gdyż reszta przypadnie na konieczne wśród pracy przerwy. Otóż niektóre państwa nie chcąc ograniczyć pracy dziennej do 10 lub $10^1/_2$ godzin, żadną miarą nie chciały zgodzić się na dwunastogodzinny spoczynek nocny. Największy opór stawiała Belgia. Ogromna zaś większość państw: Niemcy, Austrya, Węgry, Luksemburgia, Dania, Holandya i Szwajcarya wraz z Francyą i Anglią, gdzie już istniał 10-godzinny dzień roboczy dla kobiet, oświadczyła się za 12-godzinnym spoczynkiem nocnym. Chwilami zdawało się, że rezolucya 12-godzinnego spoczynku przyjdzie do skutku mimo oporu i z wyłączeniem Belgii. Wówczas Włochy proponują kompromisowy 11-godzinny spoczynek i Belgia, widząc niebezpieczeństwo izolacyi społeczno-politycznej, poddaje się uchwałom większości pod warunkiem, że w pierwszych trzech latach pory przejściowej wolno jej będzie wprowadzić dziesięciogodzinny spoczynek nocny. Postęp to ogromny wobec dotychczasowego braku wszelkiego zakazu pracy nocnej kobiet w Belgii. Tak w najbliższej przyszłości zapewne państwa, które mają 11-godzinny maksymalny dzień roboczy, ograniczą go dla kobiet na 10 godzin, a państwa, w których praca kobiet wogóle unormowaną nie była, wprowadzą u siebie na razie 12-godzinny maksymalny dzień roboczy. Ustępstwo dla Belgii znalazło wyraz w § 2 art. 2 Konwencyi.

Jedenastogodzinny spoczynek ten niema się rozpocząć o godzinie ustawowo oznaczonej, lecz zależeć ma do pewnego stopnia od decyzyi fabrykanta. Przepis ten wprowadzono na skutek opozycyi Holandyi, której przedstawiciel p. Regout zwalczał z zasady ideę uregulowania spoczynku nocnego. W Holandyi, mówi on, zwyczajnie ustawowy, maksymalny dzień roboczy wynosi 11 godzin w granicach czasu od 5 godziny rano do 7 wieczór. W ten sposób możliwa jest wielka swoboda co do czasu rozpoczęcia i zakończenia pracy dziennej. W granicach bowiem 14 godzin odbyć się ma 11-godzinna praca dzienna. W systemie zaś, w którym bezpośrednio unormowano spoczynek nocny, by pośrednio unie-

możliwić przedłużenie dnia roboczego, swoboda ta w nader ciasnych mieści się granicach. Dwunastogodzinny bowiem spoczynek nocny o ściśle oznaczonych godzinach suponuje dziesięciogodzinny dzień roboczy o ściśle oznaczonych godzinach.

Konferencya przyznała słuszność uwagom p. Regout, ale nie odstąpiła od systemu uregulowania bezpośredniego spoczynku nocnego, który z innych względów okazał się dogodnym. Obrano drogę pośrednią: obok siedmiogodzinnego bezwzględnego spoczynku nocnego o ściśle oznaczonych godzinach wprowadzono nieoznaczony co do godzin jedenastogodzinny spoczynek, w obrębie którego ma się mieścić bezwzględny spoczynek nocny.

Art. 2 Konwencyi określa spoczynek ten tak: »Spoczynek nocny, pomieniony w artykule poprzednim, ma trwać co najmniej 11 godzin jednym ciągiem. W granicach tych 11 godzin, jakiekolwiek byłoby ustawodawstwo państwowe, ma się mieścić międzyczas od 10 wieczór do 5 rano.

W państwach atoli, w których praca nocna kobiet, zatrudnionych w przemyśle, nie jest jeszcze uregulowaną, spoczynek bez przerwy może przejściowo najwyżej do trzech lat wynosić 10 godzin«.

Teraz co się tyczy wyjątków.

W ustawodawstwie fabrycznem każda prawie ustawa liczne ma wyjątki, stosownie do wymagań techniki produkcyjnej i rodzaju przemysłu. Zdarza się, że do ustawy niejednej z biegiem czasu tyle wprowadza się wyjątków, że zasada i ustawa gubi się i niknie wśród mnóstwa rozporządzeń dodatkowych. Ażeby więc temu zapobiedz Konwencya zajęła się sprawą wyjątków, zwłaszcza, że pod ogólną ustawę podciągnięto kopalnie i kamieniołomy. Do przemysłu drobnego, zatrudniającego mniej niż 10 osób Konwencya się nie odnosi. I słusznie, tu bowiem ani wielkie interesy eksportowe ani konkurencya międzynarodowa, przynajmniej na razie, nie wchodzą w grę — wystarczy więc do uregulowania pracy kobiet w przemyśle drobnym ustawodawstwo krajowe. Co innego gdy chodzi o przemysł domowy, który ogromną odgrywa rolę w produkcyi wielkiej i konkurencyi międzynarodowej, ale tu nie

przygotowano jeszcze materyałów ustawodawczych. To przedmiot do obrad przyszłych konferencyi.

W art. 3 Konwencya przewiduje następujące wyjątki, w których zakaz pracy nocnej kobiet nie obowiązuje: 1) w wypadkach nadzwyczajnych i nieprzewidzianych; 2) przy przerabianiu materyałów szybko psujących się; 3) w przemysłach sezonowych. We wszystkich tych wypadkach Konwencya znacznie rozszerzyła wyjątki, przewidziane w rezolucyach międzynarodowego Związku ustawowej ochrony robotników, które były podstawą obrad. I tak międzynarodowy Związek mówi o wyjątkach tylko w przemyśle konserw i rybołostwie, Konwencya zaś wyjmuje z pod ogólnej ustawy wogóle przerabianie materyałów, ulegających szybkiemu zepsuciu. Ustawowe zaś określenie takich materyałów zależeć ma od ustawodawstwa krajowego. Związek mówi tylko o przemysłach sezonowych, Konwencya zaś robi z wyjątku ustawę i obejmuje nią nie tylko przemysły sezonowe, lecz wszystkie wogóle przemysły, znajdujące się w warunkach nadzwyczajnych z tem zastrzeżeniem, że spoczynek nocny wynosić ma 10 godzin, a praca nadzwyczajna nie przeciągnie się dłużej jak 60 dni w ciągu roku.

W art. 5 (8) Konwencya przedłuża wyjątkowo termin wprowadzenia w życie zaprojektowanych uchwał do 10 lat: 1) dla cukrowni, 2) dla fabryk przędzy wełnianej i 3) dla prac górniczych w wysoko położonych kopalniach, które wskutek surowego klimatu co najmniej przez 4 miesiące w roku zawiesić trzeba. Pierwsze i ostatnie ustępstwo odnosi się do Austryi, drugie do Belgii. Delegaci Austryi i Węgier tłumaczą, że ich cukrownie absolutnie zmuszone są w ciągu kilku tygodni przy pomocy okolicznej ludności rolnej kończyć produkcyę cukru oraz domagają się przedłużenia terminu dla robotnic, pracujących w wysoko położonych kopalniach górskich. Delegaci zaś Belgii żądają przedłużenia terminu dla robotnic, zatrudnionych w przędzalniach i czesarniach wełny.

Dnia 17 maja 1905 roku zgromadzili się delegaci w pałacu Rady Związkowej po raz ostatni na publiczne tym razem posiedzenie pod przewodnictwem radcy związkowego Deuchera, który

po przemówieniach różnych delegatów zamyka Konferencyę w te słowa:

»Szczere były nasze usiłowania, aby to co możliwem było, osiągnąć. Rezultaty są skromne mianowicie w sprawie zakazu fosforu, podczas gdy donioślejszej wagi opieka nad pracą kobiet posunęła się o dobry krok naprzód. Prawda, długi jeszcze przeciąg czasu naznaczono, zanim ustawa wejdzie w życie, ale pierwsze lody już przełamane, początek zrobiony. Przy takich usiłowaniach międzynarodowych owoce dojrzewają powoli, ale za to są one tem cenniejsze, im większe jest terytoryum kulturalne, które obejmują. To też rzeczą jest wysokich Rządów państwowych ocenić, czy materyał przez nas dostarczony odpowiada celowi, czy podstawa przez nas obrana jest wystarczającą do zadawalniającego ze wszechmiar opracowania. Mam nadzieję, że tak jest i że wszystkie na tym Kongresie reprezentowane Rządy nie omieszkają do szczęśliwego doprowadzić załatwienia to, co im przedłożyliśmy. Niech duch szlachetnego humanizmu i dobroczynnej miłości bliźniego ożywi także i te koła, które są powołane do wprowadzenia w życie tego dzieła. A rozrzucone ziarno w niedalekiej przyszłości przyniesie dobry owoc dla dobra całego ludu«.

Tak tedy w 4 lata po założeniu międzynarodowego związku społecznych partyi reformatorskich wszystkich krajów, wytworzył się międzynarodowy związek Rządów wszystkich prawie państw w Europie. Porozumienie przyszło do skutku. Chodzi teraz o to, żeby te uchwały zamieniły się w traktaty międzynarodowe. W tym celu Rząd szwajcarski w rok później dnia 14 czerwca 1906 r. rozesłał ponownie zaproszenia do odnośnych państw i do Japonii na konferencyę tym razem dyplomatyczną.

Konferencya ta rozpoczęła się dnia 17 września 1906 roku, w pałacu, jak poprzednia, Rady związkowej w Bernie. Wzięli w niej udział dyplomaci, akredytowani przy Rządzie szwajcarskim oraz osobne delegacye następujących państw: Anglii, Niemiec, Austryi, Węgier, Belgii, Danii, Francyi, Włoch, Luksemburgii, Holandyi i Szwajcaryi. Byli to przeważnie dawni znajomi z poprzednich obrad, wytrawni weterani na polu reform społecznych, ale obok nich wystąpił tu po raz pierwszy świat dyplomatyczny,

który nadał obradom jakąś uroczystą powagę międzynarodową. Uwagę dyplomatów zwracał na siebie przedewszystkiem przewodniczący delegacyi angielskiej, Herbert Samuel, młody dyplomata i podsekretarz stanu w ministeryum spraw wewnętrznych, wysłany w ważnej misyi na międzynarodowe obrady do Berna. Rzecz dziwna, w ciągu roku Anglia w dziedzinie międzynarodowej polityki socyalnej całkiem odmienną obrała drogę. Podczas gdy w r. 1905 przedstawiciel jej w żadnem głosowaniu nie brał udziału i całą swoją działalność na Konferencyi ograniczył do wygłoszenia kilku mów, wyrażających sympatyę wszelkim w tym kierunku usiłowaniom, obecnie Anglia już z góry zapowiada, że na Konferencyę z doniosłym przychodzi projektem. Chodzi mianowicie o to, żeby »w celu ścisłego przestrzegania postanowień« Konwencyi »stworzyć trybunał albo Komisyę, celem rozpatrywania wypadków w razie niezachowania przepisów w jakiemś państwie«. Z roli więc obojętnego widza Anglia przedzierżgnęła się w gorącego zwolennika sankcyi międzynarodowej.

Naprzód przyszła pod obrady sprawa fosforowa.

Uchwały, tyczące się fosforu z roku 1905 były warunkowe: zgodzono się na zakaz białego fosforu w przemyśle zapałkowym pod warunkiem, że Japonia i wszystkie państwa, biorące udział w Konferencyi, przystąpią i trzymać się będą bez zastrzeżeń uchwał Konwencyi. Głównym podówczas przeciwnikiem była Anglia i państwa Skandynawskie, które uchyliły się od głosowania. Obecnie przedstawiciel Anglii oświadcza, że akceptuje uchwały Konwencyi, jeżeli tylko współzawodniczące na rynku światowym z zapałkowym przemysłem angielskim państwa, t. j. Norwegia, Szwecya i Japonia zabronią u siebie używania fosforu białego. Co prawda ofiara niewielka wobec uprzednio znanej kategorycznej odmowy Japonii i Norwegii pod tym względem, ale bądź co bądź oświadczenie to, będące wynikiem zmiany kierunku w międzynarodowej polityce socyalnej Anglii, zasługuje na uznanie całego świata kulturalnego. Odmowa Japonii, zapytanej pod tym względem stosownie do polecenia poprzedniej Konferencyi przez szwajcarską Radę związkową brzmi: »Uznając najzupełniej doniosłość kwestyi ze stanowiska sanitarnego, żałujemy, iż na razie żadnej w tym kie-

runku powziąć nie możemy decyzyi ostatecznej, ani co za tem idzie przyłączyć się do rezolucyi, powziętych na Konferencyi w r. 1905«. Norwegia zaś wycofała się z kłopotliwego położenia w ten sposób, że na obecną Konferencyę wogóle żadnego nie wysłała przedstawiciela. Do oświadczenia Anglii przyłączyła się Szwecya. Podobną też deklaracyę, jak uprzednio, złożyła Austrya, Węgry i Belgia tak, że jedność w sprawie fosforu okazała się niemożliwą. Pozostały tylko Niemcy, Holandya, Szwajcarya, Francya i Dania, które już uprzednio nie używały ani nie wyrabiały trujących zapałek i dlatego trwają przy bezwzględnym zakazie fosforu białego. Do nich przyłączyły się Luksemburgia, która żadnego i Włochy, które skromny tylko posiadają przemysł trujących zapałek. I te państwa wytworzyły pomiędzy sobą Konwencyę, której uchwały przytoczymy poniżej.

Rezultat skromny, ale doniosły ze względu na przyszły rozwój ustawodawstwa w tym kierunku raz dlatego, że odtąd każde państwo utorowaną ma już drogę i wielce ułatwiony przystęp do Konwencyi a powtóre, że do zakazu fosforu przyłączy się niebawem ustawowa walka z innymi truciznami przemysłowemi.

Dużo pomyślniejsze znalazła rozwiązanie wśród dyplomatów kwestya zakazu pracy nocnej kobiet w przemyśle. Tu już wszystkie państwa na uprzedniej konferencyi w zasadzie zgodziły się na zakaz pracy nocnej kobiet w przemyśle. Chodziło więc tylko o definitywne zawarcie konwencyi, do której obecnie i Anglia i Szwecya się przyłączyły i o kwestyę egzekutywy, którą Anglia poruszyła. Propozycya też Anglii, niezmiernie doniosła dla prawa i polityki i fabrycznego ustawodawstwa międzynarodowego, stała się punktem atrakcyjnym, około którego toczyły się rokowania, rozwinęła nader interesująca dyskusya dyplomatów.

Naprzód stawia Anglia następujący wniosek, który pozyskał aprobatę wszystkich państw: »Każde z Państw kontraktujących ma zapomocą koniecznych zarządzeń administracyjnych dbać o to, żeby w obrębie swoich granic zapewnić ścisłą egzekutywę postanowieniom obecnej Konwencyi«.

»Wysokie Strony kontraktujące zakomunikują sobie drogą dyplomatyczną ustawę i postanowienia, tyczące się przedmiotu

obecnej Konwencyi, które już są albo będą w życie wprowadzone we własnym kraju, oraz peryodycznie zdawać sobie będą sprawę z ich zastosowania«.

Najważniejsza, wywodzi przedstawiciel Anglii w motywach wniosku, to zachowanie ustawy. Niejedna ustawa — nawet w Anglii — pozostała martwą literą, dopóki nie postarano się o dostateczną egzekutywę. I ten był powód, dlaczego Anglia trzymała się zdala od rezolucyi na poprzedniej Konferencyi — powód, który można było wziąć jakby za objaw nieufności wobec Państw kontraktujących. Wniosek Anglii wcielono po art. 4 projektu 1904 r. do Konwencyi.

Następnie przyszedł pod obrady nader interesujący projekt sankcyi socyalnych traktatów międzypaństwowych.

Gdy chodzi o traktat, zawarty pomiędzy dwoma państwami np. włosko-francuski, na straży ugody stoją korzyści materyalne i finansowe, które w razie niespełnienia warunków ugody, każdej chwili cofnąć można. Inaczej się atoli rzecz przedstawia, gdy chodzi o socyalny traktat międzypaństwowy. Jaka gwarancya tu istnieje, że traktat w czyn się zamieni? Reforma społeczna w interesie robotnika i narodu całego raz do ustawodawstwa i w życie wprowadzona już cofnąć się nie da, choćby sąsiednie państwo nie dotrzymało warunków Konwencyi. Koncesye materyalne, finansowe i ekonomiczne, jakie mają miejsce w traktatach handlowych, tu zastosowania nie mają.

Jest przedewszystkiem opinia publiczna albo raczej narodowe poczucie prawa, które stanowi sankcyę tego rodzaju traktatów. Trzeba państwom niedbałym i wiarołomnym wykazać na oko ich niewłaściwe postępowanie. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby one sobie zdały sprawę z własnych czynów, żeby sobie przypomniały swoje zobowiązania.

Ale tu niemała nasuwa się trudność, mianowicie jak zorganizować ten trybunał międzynarodowej opinii publicznej, jak określić jego granice i zadanie, żeby nie wkraczał w sferę suwerenności państw.

Możliwe są tu cztery sposoby, różniące się bardzo co do skutku:

1) Korespondencya dyplomatyczna, nota albo pojedyncza albo kolektywna do państwa nie zachowującego traktatu, przyjacielskie przedstawienia ze strony jednego lub kilku państw;

2) Częste konferencye podobne do berneńskiej, na których z okazyi traktatów możnaby przedstawić zażalenia.

3) Komisya stała, rodzaj strażnicy i biura czuwającego nad traktatami, któreby zbierało informacye i dokumenty i śledziło co się w tym kierunku w każdem państwie robi. Tak każde państwo miałoby swoją tekę zasług i zaniedbań na tem polu.

4) Wkońcu trybunał rozjemczy, któryby rozpatrywał zażalenia, wniesione przez jedno lub kilka państw przeciwko państwu niezachowującemu Konwencyi. Trybunał ten ferowałby wyroki potępiające lub uwalniające.

Otóż z wymienionych tu sposobów korespondencya dyplomatyczna nie prowadzi do celu; od wzięcia udziału w konferencyi międzynarodowej każde państwo uchylić się może; trybunał rozjemczy też nie ma warunków ani widoków rozwoju. Któż bowiem zniewoli państwa obżałowane do przyjęcia wyroków, zwłaszcza że urzędowanie takiego trybunału wielce byłoby utrudnionem. Pozostaje więc tylko komisya stała, którąby miała za zadanie czuwać nad wykonaniem Konwencyi *surveiller,* przyjmować zażalenia *plaintes* i rozpatrywać kwestye sporne. Zadanie Komisyi polegałoby tylko na ogłoszeniu swego zdania i sprawozdania w danym razie. Ale wypowiedzenie zdania znaczy niekiedy tyle, co ogłoszenie wyroku.

Do powyższych motywów dołączył p. H. Samuel następujący projekt:

»Wysokie Strony kontraktujące godzą się na stworzenie Komisyi, mającej czuwać nad wykonaniem poleceń obecnej Konwencyi.

Komisya ta składać się ma z delegatów różnych państw kontraktujących. Pierwsze zebranie jej odbędzie się w .....; Komisya wybiera sobie prezydenta i naznacza miejsce przyszłego zebrania.

Każda z Wysokich Stron kontraktujących będzie reprezentowaną w Komisyi przez jednego delegata albo przez delegata i przydzielonych mu pomocników.

Austrya i Węgry będą uważane oddzielnie jako strony kontraktujące.

Komisya ma za zadanie wyrazić swoje zdanie co do kwestyi spornych i zażaleń, które będą jej przedłożone.

Ona ma jedno tylko zadanie: skonstatować i zbadać. Ona o wszystkich kwestyach i zażaleniach, które będą jej przedłożone, uczyni sprawozdanie i zakomunikuje je Państwom interesowanym.

W ostatniej instancyi kwestya sporna na żądanie jednej z Wysokich Stron kontraktujących przedłożoną będzie do wyroku rozjemczego

W razie gdyby Wysokie Strony kontraktujące zamierzały zwołać konferencyę w sprawie położenia robotników, Komisya bierze na siebie obowiązek przedyskutować program i służyć za organ wymiany zaprojektowanych poglądów«.

Oczywiście śmiały i głęboko w socyalną politykę międzynarodową wkraczający projekt Anglii spotkał się z stanowczym oporem ze strony imperyalizmu niemieckiego. Niemcy z nieodstępną sojuszniczką swoją Austryą, do których przyłączyła się Belgia, stanęły po stronie opozycyi. Przewodniczący delegacyi niemieckiej von Bülow oświadczył, że projekt jest nie do przyjęcia. Projektowana bowiem Komisya krzyżowałaby tylko ustawy i zarządzenia administracyjne różnych państw i zagrażałaby ich suwerenności. Byłby to trybunał rozjemczy w ścisłem znaczeniu; chcąc bowiem ferować zdania, trzeba urządzać ankiety i wkraczać w sferę autonomii narodowej. Daremnie p. H. Samuel z wielkim zapałem i energią umiejętnego i zręcznego dyplomaty porusza wszystkie sprężyny i wskazuje na doniosłość i konieczność takiej instytucyi. Już w roku 1902 Konwencya w sprawie przemysłu cukrowego postanowiła podobną Komisyę międzynarodową a większość państw w Bernie zebranych zgodziła się na nią. Któż ukróci i powstrzyma nieuczciwą konkurencyę jednych państw wobec drugich, związanych Konwencyą? Stale urzędująca Komisya zresztą poniekąd konieczną jest dla interpretacyi traktatów i dla przygotowania przyszłych Konwencyi. Zdaniem p. Samuela prace Związku międzynarodowego są wielce pożyteczne, ale rządy powinny postarać się o własne ognisko działalności, powinny same

wyznaczyć kwestye, któreby należało uregulować drogą międzynarodową. Daremnie delegacya francuska energicznie i umiejętnie popierała projekt angielski. Na jej wniosek wyeliminowano słowa *surveiller* i *plaintes*, które zbyt raziły poczucie suwerenności i niezawisłości niektórych państw. Zadanie Komisyi sprowadzono do roli »wyrażenia zdania na żądanie jednego albo kilku państw, należących do Konwencyi, o kwestyach, mogących wyniknąć z interpretacyi albo wykonania Konwencyi«. Wskazano jako rodzaj apelacyi odwołania się od sprawozdania Komisyi do sądu rozjemczego. Delegat francuski Fontaine zwrócił uwagę na usługi wielkie, jakie Komisya oddać może z punktu czysto technicznego i mianowicie interpretując tekst Konwencyi i ułatwiając jej zastosowanie do kolonii i krajów o odmiennych warunkach klimatycznych. Dyskusya rozpoczęła się dnia 18 września i trwała 8 dni. Zmieniano kilkakrotnie tekst projektu, osłabiając znacznie jego charakter i doniosłość. Gdy przyszło ostatecznie do głosowania dnia 26 września okazało się, że opozycya trwa nieodmiennie przy swem zdaniu. Cofnięto więc wniosek i przekształcono go na wotum, które mimo opozycyi podpisało dziesięć państw: Francya, Anglia, Szwajcarya, Hollandya, Luksemburgia, Włochy, Hiszpania, Szwecya, Portugalia i Dania. Wotum to dołączono do protokółu Kongresu.

Taka już jest tradycya Niemiec. Na konferencyi Berlińskiej gdy Szwajcarya przedłożyła wniosek założenia Biura międzynarodowego, Niemcy proponowały zamiast Biura urzędową wymianę sprawozdań inspektorów przemysłowych. W Bernie 1905 r. proponuje Szwajcarya założenie jakiejś instytucyi, któraby pełniła kontrolę w sprawie fosforu, Niemcy oparły się temu stanowczo i to zawsze w imię suwerenności i niezawisłości życia państwowego. Obecnie Niemcy wraz z wierną sojuszniczką Austryą odrzucają w wysokim stopniu humanitarny i kulturalny projekt Anglii. Ale jak Belgia dostała się do opozycyi? Belgia ulękła się ustawodawstwa socyalnego. Łatwiej bowiem nie brać udziału w Konferencyi międzynarodowej, niż się wycofać jak Norwegia, lub podnieść opozycyę w stale urzędującej Komisyi międzynarodowej.

Oprócz projektu Anglii zajmowała się Konferencya sprawą

kolonii i terminem prawomocności Konwencyi – dwie kwestye, które z uprzedniej konferencyi pozostawiono dyplomatom do rozstrzygnięcia.

Co się tyczy kolonii, Anglia proponuje, by krajów zamorskich nie podciągać pod Konwencyę, wyjąwszy, gdy Rząd wyraźnie o tem powiadomi szwajcarską Radę związkową. Wniosek ten przyjęto bez zastrzeżeń. M. Fontaine tłumaczy tu dlaczego zupełne zastosowanie Konwencyi w koloniach jest niemożliwe, i jakie korzyści płyną ze stopniowego wprowadzenia ustawodawstwa fabrycznego i inspektoratu przemysłowego w krajach zamorskich.

Teraz kiedy rozwiązanie Konwencyi jest dopuszczalne? Niemcy i Austrya proponują, by po 15 latach, od chwili wymiany notyfikacyi Konwencya była rozwiązalną, Anglia domaga się terminu pięcioletniego. Holandya wogóle nie chce się na dalszy przeciąg czasu wiązać jak na pięć lat. Zgodzono się na termin dwunastoletni a to głównie dlatego, że dla niektórych przemysłów Konwencya dopiero wejdzie w życie po 10 latach.

Dnia 26 września wieczór podpisały w sprawie zakazu pracy nocnej kobiet, pierwszy międzynarodowy dokument dyplomatyczny z dziedziny ustawodawstwa robotniczego wszystkie państwa uprzednio wymienione t. j. razem 14 państw. Rzeczą teraz społeczeństw udzielić traktatom swojej aprobaty parlamentarnej, ażeby ustawy mogły wejść w życie. Tak stało się rzeczywistością to, co przed niewielu laty uchodziło jeszcze za utopię. Wiek XX rozpoczął się zwycięstwem wielkiej idei kulturalnej w wirze międzynarodowego ruchu i życia gospodarczego.

Oto uchwały, które w dziejach ustawodawstwa robotniczego stanowią punkt przełomowy:

Konwencya międzynarodowa w sprawie zakazu pracy nocnej kobiet w przemyśle.

Art. 1. Zakaz pracy nocnej w przemyśle ma się odnosić do wszystkich kobiet bez różnicy wieku, z zastrzeżeniem przewidzianych wyjątków, jak poniżej.

Konwencya rozciąga się do wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych, w których pracuje więcej jak dziesięciu robotników lub robotnic, nie obejmuje atoli w żadnym wypadku warsztatów, gdzie pracują tylko członkowie rodziny.

Każde państwo, należące do Konwencyi ma określić, co należy rozumieć przez przedsiębiorstwo przemysłowe. W każdym razie zaliczają się do takowych kopalnie, kamieniołomy i przemysły wyrabiające i przerabiające artykuły fabryczne. Ustawodawstwo krajowe naznaczy pod tym względem granice pomiędzy przemysłem z jednej a rolnictwem i handlem z drugiej strony.

Art. 2. Spoczynek nocny pomieniony w artykule poprzedzającym, ma trwać co najmniej 11 godzin jednym ciągiem. W granicach tych jedenastu godzin, jakiekolwiek byłoby ustawodawstwo państwowe, ma się mieścić międzyczas od 10 wieczór do 5 rano. W państwach atoli, w których praca nocna kobiet dorosłych, zatrudnionych w przemyśle nie jest jeszcze uregulowaną, spoczynek bez przerwy może przejściowo najwyżej do trzech lat wynosić 10 godzin.

Art. 3. Zakaz pracy nocnej nie obowiązuje:

1) w razie konieczności, gdy w przedsiębiorstwie nastąpi przerwa, niemożliwa do przewidzenia i nie powtarzająca się peryodycznie;

2) w razie fabrykacyi materyi szybko psujących się, gdy okaże się konieczność ratowania materyału przed nieuchronną stratą.

Art. 4. W przemysłach sezonowych i w wypadkach wyjątkowych w każdem przedsiębiorstwie może spoczynek nocny bez przerwy być ograniczonym do 10 godzin przez 60 dni w ciągu roku.

Art. 5. Każde z Państw kontraktujących ma zapomocą koniecznych zarządzeń administracyjnych dbać o to, żeby w obrębie swoich granic zapewnić ścisłą egzekutywę postanowieniom obecnej Konwencyi.

Rządy zakomunikują sobie drogą dyplomatyczną ustawy i postanowienia dotyczące się przedmiotu obenej Konwencyi, które już są, albo będą w życie wprowadzone w własnym kraju, oraz peryodycznie zdawać sobie będą sprawę z zastosowania tych praw i postanowień.

Art. 6. Postanowienia obecnej Konwencyi nie odnoszą się do kolonii ani do krajów, będących w posesyi lub pod protektoratem, chyba że Rząd metropolitalny osobną notę w tym kierunku wystosuje w swojem imieniu do szwajcarskiej Rady związkowej. Rząd podając do wiadomości przyłączenie kolonii lub kraju, będącego w posesyi lub pod protektoratem może złożyć oświadczenie, że Konwencya nie będzie się stosować do tych kategoryi prac, nad któremi kontrola byłaby niemożliwą.

Art. 7. W Państwach poza Europą oraz w koloniach i krajach, będących w posesyi lub pod protektoratem, można, stosownie do wymagań klimatu i do warunków krajowej ludności, nieprzerwany spoczynek nocny ograniczyć poniżej minimum czasu, naznaczonego przez obecną Konwencyę pod warunkiem, że przerwy w ciągu dnia wynadgrodzą skrócenie nocnego spoczynku.

Art. 8. Ratyfikacya obecnej konwencyi i złożenie dokumentów w szwajcarskiej Radzie związkowej ma nastąpić w czasie najpóźniej do 31 grudnia 1908 r.

Akt złożenia ma być wciągnięty do protokółu, którego kopia uwierzytelniona ma być przesłana drogą dyplomatyczną do każdego

z państw należących do Konwencyi. Niniejsza Konwencya staje się prawomocną w dwa lata po spisaniu protokółu archiwowego.

Termin wprowadzenia w życie niniejszej Konwencyi ma być przedłużony do 10 lat:

1) dla cukrowni przerabiających buraki;

2) dla fabryk, gdzie czeszą i przędą wełnę;

3) dla prac w kopalniach za dnia, gdy wskutek wpływów klimatycznych co najmniej 4 miesiące w roku się nie pracuje.

Art. 9. Państwa, które nie podpisały niniejszej Konwencyi mają w razie przystąpienia do niej donieść o tem dokumentnie szwajcarskiej Radzie związkowej, która poda to do wiadomości poszczególnych państw, należących do Konwencyi.

Art. 10. Termin prawomocności, przewidziany w art. 8 dla państw, które nie podpisały niniejszej Konwencyi oraz dla kolonii, dla krajów w posesyi lub pod protektoratem, liczy się od chwili przystąpienia do Konwencyi.

Art. 11. Niniejsza Konwencya nie może być wypowiedzianą ani przez państwa, które ją obecnie podpisały ani przez państwa, kolonie, kraje w posesyi lub pod protektoratem, które później do niej przystąpiły, przed upływem 12 lat, licząc od chwili spisania protokółu przy złożeniu ratyfikacyi.

W latach następnych wypowiedzenie nastąpić może z roku na rok.

Konwencya międzynarodowa, tycząca się zakazu białego fosforu w przemyśle zapałkowym.

Art. 1. Wysokie strony kontraktujące zobowiązują się zakazać w obrębie swoich terytoryów fabrykacyę, import i sprzedaż zapałek, zawierających biały (żółty) fosfor.

Art. 2 jak art. 5 Konwencyi, dotyczącej pracy nocnej kobiet.

Art. 3. Uchwały obecnej Konwencyi nie odnoszą się do kolonii, ani krajów, będących w posesyi lub pod protektoratem, chyba że Rząd metropolitalny w swojem imieniu doniesie o tem szwajcarskiej Radzie związkowej.

Art 4. jak art. 8 poprzedzającej Konwencyi wyjąwszy: Niniejsza Konwencya staje się prawomocną w 3 lata po spisaniu protokółu archiwowego.

Art. 5 jak art. 9 poprzedzającej Konwencyi z dodatkiem: Termin prawomocności, przewidziany w art. 4 dla państw, które nie podpisały niniejszej Konwencyi oraz dla kolonii, dla krajów w posesyi lub pod protektoratem, liczy się od chwili doniesienia o przystąpieniu do Konwencyi.

Art. 6 jak art. 11 wyjąwszy, że Konwencya nie może być wypowiedzianą wcześniej, jak co pięć lat.

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Polska pierwotna w naszej poezyi ostatniej doby.

1. Żeromski Stef.: »Powieść o Udałym Walgierzu«. Warszawa 1906 — 2. Płażek Feliks: »Pogrom«. Lwów 1907 — 3. Marcinowska Jadwiga: »Wyśniony dramat«. Kraków 1907 — 4 Wolska Marya: »Svanta«. Lwów 1907 — 5. Wyspiański Stanisław: »Skałka«. Kraków 1907.

W znakomitej rozprawie »O duchu i źródłach poezyi w Polsce« pisał niemal wiek temu Maurycy Mochnacki: »Gałąź poezyi romantycznej, zaszczepiona na bujnej niwie słowiańskich starożytności, może wykształcić najpiękniejszą część literatury ojczystej, bo ożywioną geniuszem przyszłości i najdroższemi wspomnieniami, jeżeli usiłowania naszych młodych pisarzów ku temu celowi zostaną zwrócone« [1]

Warto przypomnieć mądre słowa krytyka, skoro przewidziały powstanie szeregu pięknych utworów sztuki, a może zawierają wróżbę pomysłów jeszcze głębszych, dzieł jeszcze doskonalszych, talentów jeszcze większych, niż wymienione w nagłówku. Sięgał w dziedzinę starożytności słowiańskich już Słowacki, twórca »Balladyny i Lilli« kusiły się o nią nieraz i poematy i powieści, aż oto znowu niedawno zwrócił ku niej oczy autor »Legendy« i choć ta »lampa z kryształu« ośmiła się skazami i pyłem, to jednak »gdy w jej sercu postawiono świecznik«, wnet ukazały się »świeże barwy i kraśne kobierce«.

Łatwo z powyższych tytułów wymiarkować, że obok czterech

[1] *Dziennik warszawski*, r 1825, t. 1, str. 150—151.

dramatów pierwsza Żeromskiego — powieść. Jednak — ponieważ ukazała się najwcześniej, ponieważ jest właściwie pięknym, symbolicznym poematem, ponieważ obok starożytniczych barw malowidła posiada nader silne akcenty uczuć dzisiejszej polskiej duszy, — nie cofam jej z tego szeregu. Przyznaję z góry, że uważam dzieło za poemat symboliczny i będę w sprawozdaniu oświetlał te właśnie momenty, które mi dostarczą klucza do rozwikłania symbolu. Nader skąpe jądro powieści legendarskiej z IX wieku o Walgierzu, Helglundzie i Wisławie, księciu wiślickim — zachowane wiernie, małoznaczne i w pomyśle nawet jako rdzeń rzeczy obojętne. Żeromski napełnił suchą wzmiankę kronikarza Baszka czarodziejskich wymyśleń pełną treścią.

I śledząc je trzeba wciąż w dalekiem echu czasów przeszłych dosłuchiwać się wołania ku myślom i uczuciom dzisiejszej duszy. Pieśń ta prawdziwie ma stać się »arką przymierza między dawnemi a nowemi laty«.

Król polski wojował z Sasami. Pieśń kazał śpiewać słowiańską. »Pieśń pomstą pomstuje. Ku niemu leci (ku królowi), ku jego sercu z żelaza, ku piersiom, szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu jako żyw nie zaznały. Słychać w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenice. Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów, nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach, pośrodku bagien i w tynach nad słodkiemi wodami, gdy się z najezdcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali«.

Król kazał umilknąć srogiej pieśni, i wzywał woje do walk z Niemcami, i dary sute rozdzielił, i miłosierdzia nad wrogiem nie mieć obiecał. Wtem zjawili się rycerze niemieccy z biskupem ubogim, bosym, *asceza,* unękanym. »Święty człowiek«, zakonnik płakał i wzbudził litość w sercu króla. Wówczas zawrzało w wojsku. Czterej bohaterowie: Walgierz Udały z Tyńca, Nosal z za Dunajca, Wydrzyoko z za Pilicy i Mściw z puszczy, gdzie się Czarna Nida poczyna, — podnieśli rokosz. Król chciał ich hamować, wspominając dobrodziejstwa. Wydarł ich z Morawskiej pięści, uczynił rycerzami, powiódł w bój ku Niemcom, ziemiom kazał wrosnąć w swoje ziemie, jego siły są z ich sił: »siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuistą, rzecz pospolitą« (16).

Walgierz jednak nie chciał już wojować z królem. Samoczwart nocą uciekli. Przybyli do Mściwa. Tu miał Walgierz sen, że czeka go nieszczęście. Pojechali więc do wróża pogańskiego, aby odczynił. Ten wzdragał się, bo krzyż mieli na piersi, ale że »w sercu mieli bogi« nie krzyż, przeto wróżył Udałemu: »S ł a w a jego w lochach płacze... C h w a ł a wysoko polata. Niech się nad wodą nachyli. A skoro siebie zobaczy, niech się dobrze przypatrzy, żeby poznał siebie samego p o c z a s a c h«. (33) We wróżbie tej dana wskazówka, że Walgierz — ów rycerz, który nie mógł zgodzić się na litość, wrogowi przez króla okazaną, symbolizuje siłę przez wieki trwać mającą. Towarzyszy mu sława czynów spółczesnych — i ta wkrótce »w lochach zapłacze«, udziałem jego jednak będzie chwała późniejsza i ta »wysoko polata«. »Po czasach« przybierze postać odmienną. Można przyjąć, że Walgierz uosabia Polskę. Pędzi do Tyńca. W drodze postanawia uwolnić »koniądza żupy wiślickiej« Wiślimierza, który w podziemiu tynieckiem jęczał. Pragnął go ugościć, zawrzeć z nim pobratymstwo przeciw polskiemu i czeskiemu królowi. Gdy przybył, zwabiony przez Cudną do wieży i okuty do żelaznego słupa w ścianie, w kuszy na ręce i nogi, okrągłe skoblice pod gardziel i pod pachy — zaczyna za swą litość ku Wiślimierzowi — cierpieć męki. Ciągle patrzeć musi, jak Cudna oddaje się Wiślimierzowi. Urągają mu krwawo, znęcają się srogie sługi, które niegdyś psami szczuł z zemsty, kiścieniem pędził do pracy.

Aż raz w nocy zerwał łańcuchy częściowo; lecz nim się całkowicie uwolnił, skuli dziesięćkroć, stokroć ciężej... To wysiłek Polski aby się z krępujących więzów niewoli wydobyć: — daremny. Teraz zaczyna się długa duchowa praca Walgierza, pełna głębokich rozmyślań, dyktowanych przez nieszczęście i przez szarpane nieszczęsnym losem sumienie. »Czy kiedy był za drzwiami jęku? Ażali wstępował do ciemnicy serca, co bije ostatni raz? Gdzie był noszony przez konie sławy we wichrach, gdy p o b i t y przezeń żegnał oczyma zorzę niebiosów?« W tych ciężkich i bolesnych rozmyślaniach poznaje Walgierz, że był egoistą, dzikim, siłą swą pysznym. A teraz? Czy na wieki niewola?

Idą pokusy.

W i ś l i m i e r z kusi, aby się wyparł siebie, aby zapomniał o tem, czem był i co mu przynależy. »Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu. W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę

zarygluj w pieśń. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości«. Jest to analogiczne z kuszeniem Geniusza w »Wyzwoleniu« Wyspiańskiego.

Podnieście się duchem ze mną,
Wzlećcie duchem za mną,
rzucajcie ziemią kłamną.
Powiodę was do górnych sfer,
do szczytów, szczytów ducha,
gdzie wielkość nawy dzierży ster
i kędy wieczność słucha...
Przyjmijcie tutaj z mojej dłoni
pokarm i napój niepamięci...[1]

Jest to symbolizowanie stanu duszy, jaki się wytworzył przez messyaniczne ideały poezyi naszej. Walgierz śpiewa w odpowiedzi na kuszenie Wiślimierza pieśń o swem osamotnieniu. Chce niedoli swej śmiało spojrzeć w oczy, ujmie młot najemnego nędzarza, aż spoglądnie w komorę tajemną i będzie kuł. W czarnej ścianie »on sam wrośnięty w kamień leży«. Będzie bił, aż wykuje rozwarte oczy, aż zwali obuchem w puste piersi kamienne. Uderzy siebie samego oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwyci puste kamienne piersi«... (51).

Po pierwsze pieśń ta pozostaje w związku z proroctwem wróża. Kamienna postać, którą Walgierz chce ciosami młota swego wykuć i ożywić — to on sam »po czasach«, jak siebie widział u wróża we wodzie.

Powtóre on niegdyś władły i twardy jak kamień zaznał litości, dobroci, popadł w niewolę — i musi się w dawnym kamiennym obudzić na nowo. Nie uległ pokusie Wiślimierza. Wnet idzie druga.

Mściw znikczemniały i niewolniczy kusi, aby uległ. I teraz nie usłuchał.

Wnet jawi się Cudna i niesie łaskę. Niech wyrzeknie się minionej sławy i snu o sławie, niech odda pokłon Wiślimierzowi i jej, a ona go uwolni. Walgierz się zgodził, ale gdy Mściw przyszedł rozkuwać, nie chciał wolności. »Jeszcze się siłami straszliwemi nie podkopał pod samego siebie i jeszcze samego siebie z kamiennych ramion, z ramion nieżywych: bardzo zgarbionych nie zwalił«. (59).

Nie trudno pojąć znaczenie drugiej pokusy, nie trudno i trzeciej, którą przynosi Cudna. Jest już w »Anhellim« Słowackiego rozdział o Konfederacie Barskim ostatnim, który miał za jedyny majątek

[1] Akt III, str. 167.

jabłoń, okrytą czerwonym owocem. A gdy celnicy carscy jęli się domagać podatku i zrywać chcieli owoce, wówczas Anhelli — uosobienie miłości ojczyzny stanął pod jabłonią: owoce olśniły się takim blaskiem, iż carscy słudzy przerażeni uciekli. — Owa jabłoń i czerwone cudowne jabłka, jedyny skarb ostatniego konfederata — to narodowa tradycya, związek miłosny między teraźniejszością a przeszłością, miniona sława i sen o sławie, którego radzi Cudna wyrzec się Walgierzowi. Nakoniec po raz czwarty spływa ku znękanemu bohaterowi pokusa w postaci zdrady, rodzonej siostry Wiślimierza. Przypomina się piękny wiersz z »Echa kołyski« Asnyka: »zdrada ci oczy otworzy« ... Rozkuła i uwolniła Walgierza. A on? Zdradę zdusił na śmierć, Wiślimierza i Cudną zabił, trupami sług drogę usłał, uwolnił brata Wydrzyoko, zgromadził woje i na króla iść się gotuje. »Pokaże królowi duszę kamienną«.

Rozumiem tedy, że Walgierz — to Polska rycerska.

Wiślimierz zaś i Cudna — to wróg wszelaki.

Niewola urobiła duszę bohatera tak, że poznał cierpienie, musiał myśleć o dobroci, o współczuciu dla niedoli, o pokorze, o życiu zagrobowem. On — dawniej jak głaz twardy i łzom nieprzystępny, teraz doznawał pogardy i urągania. Ale utrwalił się w tem, że owe uszlachetniające pierwiastki nie dają wyzwolenia, że natomiast siła, egoizm, dzikość, zdrada — dusza kamienna — jako czynniki wyzwalające więcej posiadają mocy, aniżeli tamte. Poznawszy to, czekał chwili, aby od zdrady przyjąć wyzwolenie, ale zdradę wnet zdusił. Z pęt uwolniony szedł królowi duszę swą kamienną ukazać t. j. wziąć się z nim za bary i stoczyć bój. Nie należy do krytyki ocena zapatrywań politycznych czy społecznych poety, symbolizującego przyszłość narodu. Żeromski nie kryje się zgoła ze swemi sympatyami dla partyi rewolucyjnej w spółczesnej Polsce pod zaborem rosyjskim. Stąd wypływa synteza końcowa powieści. Warto atoli zauważyć, że skuteczność czynników kulturalnych i pierwotnych w walce plemion obrazował zarówno Słowacki w »Lilli Wenedzie«, jak Wyspiański w »Wyzwoleniu«.

Wenedowie, wyżsi od Lechitów o całe niebo, giną pod ciosami dzikusów. Konrad w dramacie Wyspiańskiego nie przebiera w środkach, obcesowo zrywając z marzeniami i ułudami poezyi.

Warto też zauważyć, że po długiej niewoli zdobyta wolność taki sam rozpęd bierze już w Legionie Wyspiańskiego, jaki wzięła w Walgierzu. Przypominam scenę dziesiątą, kiedy Mickiewicz —

Brutus przecina więzy niewiasty; Wolność rwie naprzód bez pamięci aż niewiasta pada, a młodzieńcy w żałobie niosą ją z zapalonemi gromnicami. Czy Walgierz taki sam los zgotuje niewieście?

Powieść Żeromskiego należy do najpiękniejszych jego utworów. Głęboki a dość zrozumiały symbolizm znalazł tu przepiękną formę. Język nie jest archaizowany sztucznie za pomocą słownictwa, wyszukiwanego po leksykonach mozolnie. Żeromski bądź nader szczęśliwie tworzy sobie wyrazy, bądź czerpie je z narzeczy: plenice, jelce koncerza, widnie jeziorne, ostrowiec gór, łąki zawilgłe od niecieczy, pawłoka brzozowych bugajów, ochopnia domowa, ciekoty leśnych strumieni, płań jeziorna, święte tęgobory, kielce wygięte wieprza, kozubek z osikowej kory, ostuch wichrowego polotu i t. p. Zwroty działają suggestyą rytmiczności swej i przenoszą wyobraźnię czarodziejską w prastarą dal wieków. Ale symbolizm każe jej czuwać i szukać w spółczesnych uczuciach wytłómaczenia dla obrazów. I w tem leży mistrzostwo. Przeszłość z obecnością się brata i o przyszłości myślą...

Nasycony duchową treścią dzisiejszego pokolenia jest też dramat p. Feliksa Płażka p. t. »Pogrom«.

Zamierzchły świat jutrzni bytu narodowego odzywa się do nas głosem, w którym brzmi wołanie: nadszedł czas budzić do życia tych, co śnią. Woła Wróżka:

Zwycięstwo pójdę grać
Wszechwładna ducha moc!
Idę zwyciężyć noc!
Wrota życia rozewrę!
Szeroko rozewrę! Złota jaśń
Wpłynie falą potężną,
Ożywi każdy prochu pył!

Budzi też lud Wenedów do boju z najezdnikami, ukazuje Popielowi cudowną harfę, mającą dać zwycięstwo. Popiel ponury, blady a bohaterski marzy o królestwie, w duszy roi mu się, że już Lechitom wszechpotężnie włada. Ale aby się sny ziściły, musi Lech być duchem wolny. Około niego słyszeć się dają złe wróżby. Ger zapowiada, że Popiel zginie, bo nie jest z tych, którym dana myśli moc. Sam on słabnie, wije się w rozpaczy, gdyż sercem przylgnął do Włady, córy Lecha. Wśród srogiej walki ze sobą musi wybór czynić: Włada lub sława.

Nic mi po sławie!
Jam ciebie bardziej niźli sławy spragnion —

kwili żałośnie, padając pod jarzmem miłości. Nareszcie w pewnej chwili jakby oczarowania, zwabia Władę na brzeg Gopła, zabija ją, wrzuca ciało do fal i odnosi — rzekłbyś — zwycięstwo nad sobą, nad swą miłością, nad losem. Wtem ujrzał harfę, rzuca się ku niej wściekle, zrywa struny, ciska o ziemię i ucieka. Teraz, mści się los. Urasta w siłę Gwynon, syn Lecha; pragnie on siać ciemń i zniszczenie dokoła. Podjudził Ziemowita do walki z Popielem o władzę. Popiel atoli nie ma już tej dzielności, co niegdyś. Dusza w nim odmieniła się. Niegdyś marzył o wielkiej sławie, miłość zabił dla sławy, a teraz w gruz rozpadł się sen — i Popiel kona. Nie ceni ani narodu pod mogiłami, który ma wstać, gdy zagrzmi harfy pieśń, ani też harfy. Gdy Wróżka pragnie na jego duszy zagrać pieśń obudzenia, Popiel odmawia:

Dusza ma czysta już, ale nieżywa:
Na próżno będziesz śpiewać: Twe śpiewanie
będzie, jak w puszczy głos, co brzmi przez leśń:
Ale się znikąd żadne echo nie odzywa,
i słychać jeno wielkiej ciszy łkanie... (59).

Gdy Ziemowit, syn Piasta witezia-kmieta, wpada na scenę, prawie bezbronnego zabija, gdyż Popielowi miecz wydarto. Zwycięzca został królem, Wróżka każe Gwynonowi podpalić gród Lechów.

Za Słowackim poszedł utalentowany dramatyk, snując wątek losu Wenedów po zwycięstwie Lecha nad nimi. Są w »Lilli Wenedzie« Słowackiego przepysznego blasku pełne chóry, kończące akt każdy. Oczywiście pozostają te chóry w ścisłym związku z rozwojem tragiczności, ale ponadto są one rozgłośnym krzykiem Słowackiego do współrodaków w kraju i na emigracyi, są one wołaniem duszy emigranta, spragnionej wolności i wyzwolenia. Oto chór trzeci:

O, święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serce dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala,
Będziecież wy, jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy, jak morska czekać fala?
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełzące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych, jak wy, serc się hańba lęże?
Już czas wam wstać i bić i truć oręże.

W treści, w głębokiem uczuciu, w rozdarciu tych zaklinań i jęków słychać pobudkę, wezwanie do narodu, który tylko pasmem lat dziesięciu oddzielał się od pogromu. Przypomnijmy sobie »Wesele« Wyspiańskiego. Zbiera pokusa upatrywać właśnie w tym chórze pomysł końcowych scen »Wesela«, gdyby nie to, że w dzisiejszem sercu sposobem spontaneicznym zrodzić się mogły też same uczucia, w wyobraźni dzisiejszej też same wizye, jakie pod wpływem losów powstawały w genialnych duszach dziesięciolecia po listopadowem powstaniu. Otóż w tem tkwi tajemnica analogii pomiędzy np. »Walgierzem Udałym« a »Pogromem« p. Płażka. Tam niewola i tu niewola, tam potężne pragnienie wyzwolenia i tu podobnie, tam cierpienie rzeźbi duszę ale ubezwładnia moc — i tu tak samo. Wskazując te analogie, nie mam zamiaru kształtować ich w zarzut. Byłoby niedorzecznością między tak różnemi w gruncie dziełami upatrywać naśladownictw. Analogie w pomysłach, uczuciach, w poetycznych wizyach są nieodzowne i dowodzą tego, że poeci czują się cząstką narodowej duszy, ubierając we formę jej właśnie aspiracye.

Walgierz utrwalił się w przekonaniu, że dusza kamienna, jako czynnik wyzwalający, więcej posiada szans na powodzenie, niż litość; Popiel, uwolniony z więzów przez Władę, tasakiem jej ranî Gwynona, obala Lecha, ma stanąć na czele zbudzonego harfą ludu, ale oto harfa nie obudziła ludu, bo Popiel nie był »duchem wolny«: i tu czynnik energii słabnie przez miłość. Takie pojmowanie leżało może na dnie duszy prastarej — i trudno bardzo przeciwko temu oponować; ale takie pojmowanie leży na dnie wielu dusz dzisiejszych, czego dowodzi wcielanie w kształty poetyczne pomysłów w taki a nie inny sposób. Jest to — rzekłbym — symptomatyczny objaw chwili bieżącej. Że artyści za pomocą dzieł swych mają coś do powiedzenia rzeszom, spragnionym słuchania ich, rzecz nader pocieszająca. Wzmaga się oczywiście odpowiedzialność artystów. A że szukają oni przytem uroczego tła naszych dziejów mitologicznych, czynią doskonale, gdyż odgadywanie mrokami omglonej duszy narodowej nie przedstawia takich utrudnień, jakieby się nastręczały, gdyby to nie były ojczyste dzieje mitologiczne, ojczysta przyroda, swojscy ludzie i w najgłębszych swych sztolniach takie same rasowe pokłady ducha.

(Dok. n.)

Ant. Mazanowski.

Kazania Eucharystyczne o Najśw. Sercu Pana Jezusowem. *Ks. dr. Władysław Chotkowski.* Lwów 1906.

Imię ks. prał. Chotkowskiego łączy głównie z literaturą kaznodziejską cały szereg mów i kazań okolicznościowych, w których tak niezwykle wybitny talent mowcy religijnego objawił, że słusznie głos jego był ozdobą i wyrazem wszystkich wybitnych chwil radości i żałoby naszej ojczyzny. W innym kierunku, ściślej, że się tak wyrazimy, kaznodziejskim w dwóch dziełach dawniejszych: »Sześć kazań o kwestyi socyalnej« (Poznań 1880), »O wychowaniu dzieci« (tamże 1881), w których cyklem kazań pasyjnych objął swój przedmiot, złożył już owoc swej pracy, trzecie obecnie oddaje w ręce publiczności, a dzieło to bynajmniej nie kreślone pod wpływem tylko samego natchnienia i porywu, jakie dają kaznodziei myśl i chwile przygotowania się na ambonę, ale dzieło tej pracy, które po latach, po przebrzmieniu pierwszych wrażeń ceni je i waży coraz głębszem doświadczeniem i pewnym spokojem równoważącym przedmiot z wrażeniem. Być może, że często w takiej redakcyi kazania mniej się można wczytać w duszę kaznodziei, bardziej zacierają się ślady samej twórczości, więcej wieje chłodu, są to wszakże konieczne jej charakterystyczne.

Nie dotykając historyi ani dogmatycznej istoty samego kultu Serca Jezusowego styka ks. Chotkowski serce nasze z Sercem Boskiego Mistrza, pragnąc, by ono było naszem zwierciadłem cnót i naszych ułomności, wzorem codziennego życia. Odpowiednio celowi zagaja kazaniem wstępnem o potrzebie kształtowania naszego serca na wzór Najśw. Serca Pana Jezusowego, w następnych odtwarzając nam całą szkołę Serca Jezusowego w tem sercu czujnem, cierpliwem, o skrzydłach miłości, gorejącem, spragnionem, najsłodszem, królewskiem, zranionem. Każdy syn Kościoła, to żołnierz Chrystusowy, a jak żołnierzowi naśladować wodza i sprostać mu zadaniem zaszczytnem, tak nam wznioślejszem wyrównać w doskonałości najwyższego hetmana Jezusa, a ponieważ mistycznie widzimy najbliżej ten wzór w tajemnicy prawdziwego Ciała i Krwi Jezusowej, zbliżenie więc tematu do Eucharystyi w pomyśle kaznodziejskim wynikło jakby z samej natury, podnosząc go i namaszczając, a w kwestyi zastosowania dając najbliższy środek prowadzący w praktyce do osiągnienia trudnego celu. Czy atoli ten sposób pojęcia usprawiedliwia dostatecznie nazwę tego cyklu tytułem kazań eucharystycznych? Tak, zapewne.

Bo chociaż sam przedmiot eucharystyczny widzimy prawie tylko ubocznie w pewnych zwrotach do życia praktycznego, czujemy prze-

cież, że to wszystko, co kaznodzieja głosi, znajdujemy w Eucharystyi i do niej się odnosi, a tak znajdujemy się w prawdziwem środowisku eucharystycznem i innego ustroju duszy nie możemy sobie wyobrazić.

Z natury obranej materyi kazania te są moralne, w zastosowaniach więc nie rozwodzi już autor morału; ale raz po raz dobitniej podkreśla cnotę, którą pragnie szczepić, a zło, jakie wykorzenić musimy z serca, by upodobnić je do Boskiego wzoru, a daje sposób zbliżenia się do tegoż. W rozwinięciu tematu dochodzi do celu swojego logicznie psychicznem zastosowaniem samego przedmiotu, a rozwinięciem go na tle tych momentów w życiu Chrystusowem, które w szczególniejszy sposób wyrażają dane przymioty Jego serca. Obok tego ważną niezmiernie, w podobnych kazaniach, wyzyskał podstawę filozoficzną, naginając ją do celów kaznodziejskich, z czem wogóle nader rzadko na ambonie spotkać się można, tłumacząc zarówno pojęcia, jak i eksperymentalny ich rozwój. A to uczyniło, że kazania te nie stały się czystem moralizowaniem, ale głęboką, wystudyowaną stanowią całość kaznodziejską, którą słuchacz z wzoru Chrystusowego znajduje w życiu swojej duszy. Dodajmy do tego teologiczną w tem dziele naukę, opartą na nader starannie zestawionych tekstach i obrazach biblijnych, licznych, krytycznie zebranych cytatach Ojców Kościoła, Brewiarza rzymskiego i celniejszych pisarzów duchownych; sposób wyrażania odpowiednio materyi spokojny, poważny, urozmaicony przedziwnie pięknemi porównaniami, w których subtelnie cieniuje grę uczuć wewnętrznego naszego życia, to artystycznem słowem maluje charaktery i falowanie usposobienia czy pod wpływem ludzkich namiętności czy tchnienia łaski Bożej lub trudny swój przedmiot uprzystępnia niemi; dużo pobożnego uczucia zwłaszcza w inwokacyach i peroracyi; ujęcie całości w poprawnej formie kaznodziejskiej i symetrycznie rozmieszczonej, a znajdziemy kazania eucharystyczne niezwykle pięknem dziełem kaznodziejskiem.

W wykończeniu dzieła widzimy nader dodatni wpływ właściwego kaznodziei oratorskiego talentu, który rozwinął się w kierunku zawodowej jego pracy historycznej. Tam, gdzie przemawiał w chwilach żałoby czy uroczystości narodowej czy religijnej, szeroki temat znalazł szerokie nierównie do rozwinięcia krasomowstwa pole, tu przeniesiony na obcy mu zdawałoby się teren, a ciaśniejszy horyzont nie mógł przecież pozostać bez śladu. Nie mówiąc już o zaletach stylu oratorskiego, które tak obficie dał nam w tych kazaniach ascetyczno-moralnych, o tych przepięknych przykładach historycznych i zwyczajach

pierwszych czasów chrześcijaństwa, sumienności historyka w oznaczeniu każdego cytatu, zda wyrywać się ten talent nieraz gwałtem w dźwiękach ulubionej sobie narodowo-społecznej struny, kiedy w sercu swego słuchacza rzeźbi prawdziwą miłość ojczyzny i »za nic mu kraje piękniejsze, nad którymi słońce cały rok świeci i gorącymi promieniami przepyszną roślinność krzewi«, bo mu »wszystko w tej ojczyźnie drogie i miłe: lasy szumiące, bory ciemne, łąki zielone i te łany, na których zboże wiatrem się kołysze. I te kościoły ubogie, pełne ludu pobożnego, i te dzwony co na pacierze zwołują, i te groby, w których śpią ojcowie«, toż woła z głębi serca za swą uciśnioną ojczyzną w pięknie złożonej figurze powtórzenia i stopniowania do Króla wszechmocnego, by też łaskawem okiem spojrzał na naszą ziemię, nad którą zaciężył dopust Boży, do Króla sprawiedliwego na bezprawia, które się na niej dokonują, na krzywdy, które się dzieją nieszczęśliwemu narodowi, a że pod wrażeniem dnia opracowania i wydania dzieła, wielkopolskie serce jego zapłakało, przeto folgę daje temu bólowi, potęgując swe wołanie nie tylko do króla wszechmocnego, nie tylko do króla sprawiedliwego, ale gorzkie to wołanie posypując popiołem uniżenia przed Panem wszechmocnym, a zagniewanym, odzywa się do Króla miłosiernego, »niech królewskie serce Twoje wzruszy, jeśli już nie płacz naszych dzieci, to pacierz, którym Ciebie chwalić muszą w cudzej mowie« i przedstawia usprawiedliwiając niejako tę potężną skargę, »jak pisklęta garną się pod opiekę Twojego królewskiego serca, chronią się pod skrzydła Twojej miłości, w tej trwodze najstraszniejszej, że mogłyby utracić wiarę odziedziczoną po przodkach, którzy jej krwią serdeczną bronili« i wreszcie uniżenie swoje wzmaga uderzając prośbą do Króla pokornego, by serca nasze pozbyły się resztek pychy, a w pokorze ducha poznały, co jest ku pokojowi naszemu. Co za przepiękna gra uczucia duszy narodowo-katolickiej. Czyż nie odezwały się tu do serca naszego na ambonie podobne skargi miłości i wiary »Polskiego Betleem« Rydla lub skromnego, ale tak przemawiającego nowego »Boże coś Polskę«, podpisanego znanym Laskowskiego *el?* Tak, bo dusza kaznodziei nie oderwała się od chwili, od społeczeństwa, ale poszła duchem Pańskim za nią, zapragnęła stanąć apostołem Bożego zwiastuna wśród współczesnych sobie dusz, czując i myśląc wraz z niemi i stać się wyrazem uczucia narodu.

Roztrząsając dzieło kaznodziejskie nie tylko jako podręcznik, ale dzieło literackie, obowiązkiem sumiennego sprawozdawcy wniknąć w naturę talentu i jego odtworzenie w dziele, w związek pomiędzy

niem, a społeczeństwem, odgadnąć uczucia i okoliczności, jakie one stworzyły. Z tych refleksyi przekonujemy się, że lubo dzieło to, dziełem wielu lat pracy i ta praca ciężką, koniecznie piętno swoje wywarła, ale talent ujęła w pewną określoną miarę, indywidualności jego nie zacierając, a wylewem uczucia, jakie chwila wywiera na dusze wyższe, aktualnie łączy je z rokiem wydania.

Nie potrzebujemy już chyba zaznaczać, że »Kazania Eucharystyczne« jako podręcznik dla ambony przypuszczają słuchacza nie tylko wykształconego, ale słuchacza pragnącego nadto rozumnie włodarzyć dobrami swej duszy, nie poprzestającego więc na najniższym stopniu życia chrześcijańskiego, by nie stracić jedynie tylko łaski poświęcającej, ale dążącego do pomnożenia w duszy talentów ewangelicznych, do szczęścia drogą doskonałości, wobec którego kaznodzieja bezpiecznie zaprzestać może nawoływań do powstania z grzechów, zrzucić obawę o utratę dziecięctwa Bożego, a roztoczyć wzniosłość ascezy katolickiej; wobec takiego tylko słuchacza można tak mówić o kształceniu serca, odkrywając to najświętsze z serc, Serce Boga-Człowieka w Eucharystyi utajone.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Portrety i sylwetki. *Ludwik Dębicki.* Serya I. 1905. Str. 192. Serya II, t. I. 1906. str. 319. W 16-ce.

Katolicyzm nie powinien być z miłości Ojczyzny, ale patryotyzm z miłości Boga — pisał zasłużony wobec narodu przewodnik jego na drodze oświaty, zdobywca dla niego Królestwa przez orędownictwo za nim na zjeździe mocarzy, długoletni przedstawiciel jego praw, słuchany z powagą przez rządy.

Adam Czartoryski — ten patryota z wiary — zebrał dość zasług, żeby nawet u przeciwników zdobyć imię cenione; ale czy nie stanowił wyjątku? czy przejął kogo swoim duchem z pożytkiem dla kraju? Na to pytanie odpowiada dzieło wymienione, którego dotąd dwie części wyszły.

Pod kilku chorągwiami wybitni myśliciele i pracownicy prowadzili ziomków w poprzedniem pokoleniu: między przywódcami zastęp patryotów z wiary zasłużył na wdzięczną pamięć za to, iż na drodze naszego postępu łamał wiele zapór w dobie może najburzliwszej ubiegłego stulecia.

Do zastępu tych patryotów zbliża nas pisarz, który zastawia przed czytelnikiem prawdziwą ucztę duchową, bo nie tylko wytwor-

nym językiem opowiada, ale jako świadek, w znacznej części naoczny, zapoznaje nas z wypadkami i ludźmi.

Stajemy naprzód przed siwymi wodzami z wojen napoleońskich. Najstarszy z nich wiekiem, pod Kościuszką już walczył, pułkownik Napoleona Tarnowski, z dziesiątym krzyżykiem na plecach, pała ogniem na myśl o nowych porywach powstańczych, dojeżdża konia codzień, aby nie zgnuśnieć, nim trąbka wezwie na bitwę, a oburzony słucha, że pobudka wojenna grozi nam zgubą ostatnią.

Jego nie ostudziły zimne mury Petropawłowska, ale u młodszych stygła wiara w zwycięstwo orężne, choć ci sami zwyciężali pod Stoczkiem i Wawrem. Skrzynecki rozpala w młodszych chęć do pracy w duchu, w którym prowadzi Montalemberta ku miłości Boga. Kruszewski z towarzyszami broni Gawrońskim i Jabłonowskim nie lubi opowiadać o wybuchu listopadowym i wraz ze starcami w Krakowie załamuje ręce na wieść o ruchu w puszczy Kempinowskiej, ze łzami zaklina młodzież przed udziałem w zgubie narodu. Chłapowski do pracy w kraju popycha, nad kim tylko zdoła wpływ wywrzeć.

Myśl wodzów przechodzi na podkomendnych. Przed ostatnim powstańcem Kościuszki staje przy śmiertelnej jego pościeli kapitan napoleoński z wojskowym raportem: Już czas pułkowniku! Zdaj komendę: Bóg woła. I zaopatruje ostatnimi Sakramentami. Był to biskup Łętowski, jeszcze wolnej Polski syn, który po pożarze państwa zbiera i ocala piśmienne niedogarki. Wzorem kapitana szły do seminaryum krakowskiego dziesiątki oficerów naszych po Ostrołęce, aby pracą kościelną u Boga Polskę wysłużyć.

Nie do seminaryum poszedł ze sztabu Różyckiego major Wielogłowski. Stanął przy Mickiewiczu i Jańskim. Od wieszcza usłyszał, że to tylko pismo coś warte, które ludzi mądrości uczy i do Boga prowadzi. Od wskrzesiciela chrześcijańskiej myśli na wychodztwie przyjmuje program, żeby prócz uczuć patryotycznych i narodowych nie podtrzymywać żadnych sporów wśród stronnictw, tylko przedewszystkiem prowadzić żywot chrześcijański, o ile można doskonale, bez względu na stan i zawód. W tym duchu staje Wielogłowski z Pawłem Popielem w Krakowie, aby Polskę nie wywalczyć, nie wyspiskować, ale wypracować, a sama jak owoc dojrzały z drzewa niewoli nam spadnie.

Pod Wawelem spotyka Wielogłowskiego towarzysz broni, ułan Helcel, który wzorem kapitana Łętowskiego zasłynął jako umiejętny wydawca piśmiennych skarbów. Do Kościoła, sam wyznał, że doszedł drogą poglądu na dzieje, bo mówił: gdy dowodów namacalnych nie

znajdujemy o świecie po tamtej stronie, przecie widzimy dowody prawdy objawionej w tem, co po naszej stronie: co w dziejach i porządku społecznym i postępie oświaty wyłoniło się z chrześcijaństwa.

Przy Helclu stają dwaj młodzi bojownicy, równo z nim przejęci zapałem do służby Bożej w pracy dla rodaków. Jeden z nich — Jerzy Lubomirski — z dozgonnym przyjacielem księdzem Sztulcem, pamiętali wzajemne usługi od czasów wszechnicy: Nauczyłeś mię, jaka praca odradza naród, mówił Jerzy; a dawny bezwyznaniowiec odpowiadał: Przez ciebie poznałem, jak służyć Ojczyźnie w Bogu. Drugi, w duchu Helcla, stanął do pracy Adam Potocki, z zasadami filozofii chrześcijańskiej, nabytej pod wpływem Nicolasa.

Po chwili gromadka rosła. Najśmielej wśród nich wystąpił adjutant Chłopickiego Leon Rzewuski, od spowiedzi odbytej przed proboszczem z Ars, pasowany na bojownika chrześcijańskiego. Za pióro chwyta Mann, przy nim Maurycy Dzieduszycki piórem i czynem walczy z udziałem Kaliksta Orłowskiego. Zabiera głos Golian i widzi przy sobie krótko odnowiciela wiary na wschodnich kresach: księdza Ożarowskiego. Ten syn kościuszkowskiego jenerała błysnął w Krakowie, oddany usilnej pracy, której wymagało odrodzone sumienie katolickie: pokrzepił siły nowego zakonu, którego był współzałożycielem wraz z księdzem Prokopem — i w puszczy bielańskiej znikł. Na jego miejsce miał przybyć adjutant Skrzyneckiego, Władysław Sanguszko, niezłomny wyznawca chrześcijańskich zasad w stosunku do ruskiego narodu. Przeciwnikiem znajduje wolnomyślnego Leszka Borkowskiego.

Przybywa nowa postać katolickiego pisarza: Pol. I o nim wymowne szczegóły rzucają światło na drogę pracy narodowej. Ale w ciasnych ramach oceny nie można zmieścić mnóstwa postaci, dzielnych bojowników z pod chorągwi katolickiego patryotyzmu, z którymi zapoznaje nas omawiane dzieło.

Nim o częściach jego następnych osobno mówić wypadnie, tu na koniec wystarczy ogólny pogląd na dwie części dotąd wydane. Kto je przeczytał, niecierpliwie czeka na dalszy ciąg, tak mile choć z przykutą uwagą spędził czas nad ciekawymi portretami i sylwetkami. Rozjaśnił niejedno pojęcie, mgliście już nabyte z prac tegoż pisarza poprzednich, w tymże duchu wydanych, zwłaszcza o trzech pokoleniach w Krakowie, z »Teki dziennikarza« (obie części) i innych. Zwłaszcza dzieło omawiane pozwala ściśle osądzić, ile wydatnych nasion rzucili w skiby narodowe zwolennicy Czartoryskiego i jego patryotyzmu z wiary. Żywo brali udział w przeprawach i walkach, kiedy wśród spiętrzonych

przeciwieństw, wewnętrzna praca w naszem społeczeństwie szła na tory i ścieżki, gdzie nasze pokolenie dziś ją zastaje.

Zastaliśmy zamęt porywów i haseł... przebywamy mękę chwyceni w sieć zagadek, którą bieg wypadków zarzucił na prawdy żywotne dla nas i ułożył złośliwie, aby nie naprowadzać nas na właściwą odpowiedź.

Czekamy dziejopisów i spostrzegamy, że dla nich przewodnią myśl snuje omawiane dzieło, wśród zaplątanych łamigłówek. Żywe świadectwo naocznego widza i uczestnika wielu wypadków, złożone w długim ciągu dzieł, od »Puław« — niestety niedokończonych — do »Portretów«, stanowi niewyczerpaną skarbnicę i poważne źródło dla zawodowych badaczy doby minionej. I właśnie takie źródło wymaga tu jeszcze uwagi z prośbą, aby zasłużony autor zechciał w następnem wydaniu dokładniej wyrazić parę szczegółów. Drobne to odcienie, które nie zasługiwałyby na wzmiankę w pracy mniej cennej, w dziele źródłowem potrzebują wykończonego ruchu pędzla. Np. wspomniany w »Portretach« ksiądz, który pobudził Dzieduszyckiego i ks. Załęskiego do pracy, nie z niemieckiej rodziny pochodził, jakby Braun, ale zrodzony na morzu bałtyckiem w okręcie, z matki Francuski i ojca Anglika, po nim odziedziczył nazwisko Brown, a ojczyzny nie miał innej prócz Polski. Także ks. Baworowski nie poniósł śmierci skutkiem razów, otrzymanych przy napadzie z powodu Ubrykównej, ale w lat blizko dwadzieścia po wypadku umarł 27 września 1887. O Marcinie Tarnowskim twierdzą, że nie do właściwych dekabrystów należał, tylko do związku polskiego, zbliżonego do dekabrystów. Nadto nazwiska Abdelkadera przez omyłkę weszło do opisu walk w pułkach kaukaskich.

Każdy czytelnik widzi, że w takich drobiazgach nieuknione pomyłki nie zmniejszą wysokiej ceny dzieła weterana w naszem piśmiennictwie. Jeszcze raz o dalszy ciąg tego dzieła prosić trzeba i... o koniec Puław!

Oby z innych obozów także piśmiennictwo polskie dostawało portrety zasłużonych pracowników!

Ks. K. Czaykowski.

Z piśmiennictw obcych.

Compendium theologiae moralis P. Ioan. Petri Gury S. J. opera *P. Ioan. B. Ferreres eiusdem Societatis.* Barcinonae — apud Subirana fratres, editores. 1904.

Casus conscientiae propositi a P. Ioan. Gury S. J., novis casibus aucti opera *P. Ioan. B. Ferreres eiusdem Societatis.* Barcinonae apud Subirana fratres, editores. 1903.

W dziedzinie teologii moralnej ostatniej doby żaden może podręcznik nie doczekał się tak szerokiego wzięcia i szerszego jeszcze rozpowszechnienia, jak *Compendium* Gurego. Niewielka stosunkowo jego objętość, należyte ujęcie i opanowanie obszernego przedmiotu, przejrzystość w podziale, treściwość i jasność wykładu, zwięzłość w określeniach i wywodach, wyłuszczenie najniezbędniejszych zasad teoryi, natomiast bogactwo i obfitość w przywiedzionych zastosowaniach w *resolves,* dopełniona jeszcze okolicznościowo szeregiem dobranych pytań i krótkich, jędrnych odpowiedzi — oto zalety i metoda książki, a zarazem rozwiązanie zagadki jej powodzenia. Ponieważ podręcznik zbyt jest zwięzły i już naprzód na małe obliczony ramy, stąd rozumie się, niejedna rzecz nie znalazła w nim miejsca, choć nie bez korzyści zamieszczoną być mogła. Znaleźli się przeto komentatorowie, jak O. Ballerini, a później O. Palmieri, którzy dołączyli potrzebne notatki, gdzie brak takowych dotkliwie odczuwać się dawał, tekst jednak i metodę zostawili nietknięte. Owszem metodę O. Gurego przyswoili sobie moraliści tej miary jak OO. Marc i Aertnys C. SS. R., a nawet przeciwnicy kazuistycznego systemu, jaki przeważa w dziele O. Gurego, częstokroć na niego się powołują. Wystarczy wskazać liczne, nieraz i przydługie cytaty z Gurego w »Moralnej teologii« Kocha [1].

Zaznaczyć jednak trzeba, że od pierwszego wydania Gurego do chwili obecnej upłynęło niemało czasu, a stąd wiele nowych wyłoniło się zagadnień, których autor albo wcale nie porusza, albo pobieżnie tylko dotyka. Niejeden też dekret Stolicy Apostolskiej, ostatnimi wydany czasy, nowego, odmiennego wymaga sposobu postępowania w rzeczy często wielkiej wagi. Dodajmy różne miejscowe warunki i potrzeby, nieuwzględnione w podręczniku, a stanie się rzeczą jasną, że podręcznik Gurego w swojej pierwotnej postaci, dla nas już nie wystarcza,

[1] *Lehrbuch der Moraltheologie.* Freiburg im Br. 1905 — passim.

potrzebuje uzupełnienia, a w niektórych partyach (zwłaszcza *de iustitia et iure*) znacznej przeróbki. Tego zadania podjęło się kilku teologów. I tak O. Bulot T. J.[1] wydał Gurego w przeróbce, z uwzględnieniem miejscowych potrzeb dla Francyi, a uczony profesor teologii moralnej, Hiszpan, O. Ferreres T. J., głównie dla Hiszpanii, którego dzieło obecnie omówić mamy.

Co zachował, jakie poczynił zmiany? Zachował bez zmiany naukę, układ i metodę, a nawet pierwotny tekst, o ile jego zmiany nie żądały nowe dekrety lub zmiana stosunków i potrzeb. Kwestye o kaplicach prywatnych i napół publicznych, o absolucyi papieskich rezerwatów, o prawie książkowem i t. d., przerobił z gruntu w myśl nowo zapadłych postanowień Stolicy Apostolskiej. Rozszerzył przytem i pogłębił zagadnienia, które za czasów pierwszego wydania Gurego były mniej aktualne, dziś jednak stały się piekącemi. Do takich naprzykład należą partye o płacy robotników, o strejkach, o spekulacyach giełdowych i t. p. Rozszerzył też rzecz o konstytucyi *Apostolicae Sedis,* o hypnotyźmie, korzystając prawie wszędzie z nowych zdobyczy naukowych. Zmiany poczynione zamieszczał wydawca nie w notatkach, jak to czynili dwaj wyżej wspomniani poprzednicy, lecz w samym tekscie, aby uczącemu się nie mącić jednolitego toku rzeczy. Wyrzucone zostało to, co dziś straciło swoje zastosowanie czy to z powodu nowych dekretów, czy też ze względu na postęp nauki. Dla odróżnienia tekstu Gury'ego od wtrąconego tekstu wydawcy oznaczono ten ostatni tłustemi czcionkami, paragrafy zaś nowo dodane opatrzono gwiazdką.

Chociaż książka dostosowana jest w traktatach poszczególnej natury np. *de iustitia et iure* przedewszystkiem do stosunków lokalnych Hiszpanii i »Ameryki łacińskiej«, jednak w kwestyach ogólnych, w zasadach podstawowych przedstawia jasno i przystępnie ogólną katolicką naukę. Owszem zmiany poczynione mogą mieć i dla nas aktualną wartość. Wobec tylu wypadków emigracyi ludu nie tylko do Stanów Zjednoczonych, ale i Ameryki Południowej, może duszpasterz w dziełku O. Ferreresa znaleźć wiele cennych wskazówek tak dla odjeżdżających na emigracyę jak dla emigracyi samej.

Casus conscientiae Gurego w wydaniu Ferreresa polecają się własną swoją wartością. Zmiany tu wprowadzone są mniej więcej te same,

---

[1] *Compendium theologiae moralis ad mentem* P. Gury S. J. Parisiis-Lugduni, 1905.

jakie zaznaczyliśmy w *Compendium*. A więc dołączone wypadki o hypnotyźmie, strejkach, o ubezpieczeniach, o głosowaniu przy wyborach. Nader cenny jest jeden *casus* o udzieleniu św. Sakramentów pozornym nieboszczykom, co w przekonaniu otoczenia uchodzili za rzeczywistych umarłych. Niedawno poruszył tę samą myśl Antonelli w swej »Pastoralnej medycynie« [1]. Konkretny wypadek dokładnie obrobiony czytaliśmy niedawno w *Wiadomościach pasterskich* [2]. Pomieniony *casus* zasługuje na szczególniejszą uwagę duszpasterzy, rozjaśnia bowiem nowe poglądy nauki na chwilę śmierci i mógłby niejedno zmienić w postępowaniu kapłana ze świeżo zmarłymi. Nie potrzebuję dodawać, że oba dzieła, staraniem Ferreresa wydane, zyskały ogólne uznanie i przychylną krytykę wśród wszystkich nowszych teologów.

Ks. R. Kudasiewicz.

Lehrbuch der Moraltheologie von *Dr. Anton Koch,* Prof. der Theologie an der Universität Tübingen. Freiburg. Herder. 1905. (XIV i 654).

We wstępie omawia autor podstawowe wiadomości o teologii moralnej, o jej stosunku do innych gałęzi wiedzy teologicznej, o źródłach, na jakich się opiera, o metodach w niej używanych, wreszcie dołącza krótki, lecz dokładny pogląd na historyczny jej rozwój w okresie patrystycznym, średniowieczno-scholastycznym i nowożytnym.

Ogólną część I-szą wypełnia nauka o moralnym ustroju świata: *a)* o moralności i jej normie; *b)* o zakłóceniu ustroju moralnego przez grzech; *c)* o przywróceniu ustroju moralnego przez łaskę i środki do otrzymania łaski, Sakramenta św. i sakramentalia.

W II-giej części szczegółowej jest mowa o urzeczywistnieniu ustroju moralnego przez pojedynczego człowieka i całą ludzką społeczność. *a)* Osobiste obowiązki człowieka względem samego siebie, jako cielesno-duchowej istoty. *b)* Stosunek człowieka do Boga. Cześć wewnętrzna: cnoty teologiczne i występki im przeciwne; cześć zewnętrzna, zwyczajna: adoracya, modlitwa i różne jej rodzaje; cześć zewnętrzna nadzwyczajna: ofiara, ślub, przysięga i t. p. *c)* Powinności człowieka względem bliźnich i całej społeczności.

Już przez ten podział książka zwraca na siebie szczególniejszą uwagę. Jest to znaczny odskok od dotychczasowej tradycyi, zachowy-

---

[1] Antonelli: ***Medicina pastoralis.*** Rzym 1905.

[2] ***Wiadomości pasterskie.*** Styczeń 1905. Str. 45 sq.

wanej we wszystkich podręcznikach teologii moralnej. Pierwszy zerwał z tą tradycyą F. X. Linsenmann, a autor chciał pójść w jego ślady i w wielu rzeczach, jak sam zeznaje, był od niego zależny. Przyznać trzeba, że pod wielu względami szczęśliwiej pokonał stojące zwykle na początku nowych dróg trudności, niż jego poprzednik. Pod względem metodycznym jest więc książka ta nową próbą uczynienia z teologii moralnej nauki odrębnej i samoistnej. Prąd ten był w ostatnich latach szczególniej ożywiony.

Bezsprzecznie układ ten ma to za sobą, że występuje w nim na pierwszy plan o wiele wybitniej i w ostrzejszych rysach główny przedmiot teologii moralnej — człowiek. Jak teologia dogmatyczna zajmuje się tylko Bogiem, tak teologia moralna ma za zadanie zbadać wszechstronnie pod względem moralnym człowieka, wskazać mu cel życia ostateczny i bezpośredni, podać mu środki do tego celu prowadzące, przestrzedz go o przeszkodach, które od niego odwodzą. Dzięki temu przy tym układzie otrzymujemy na owem obszernem morzu kwestyi moralnych jeden punkt stały, z którego możliwy jest pogląd na te rozległe przestrzenie. Zyskuje na tem niezmiernie jasność i przejrzystość.

Dalszem następstwem powyższego układu jest i to, że w nim każda, choćby najmniejsza poszczególna kwestya znajdzie jakieś swoje miejsce, które jej się należy, jako cząstce organicznej wielkiej całości, a którą się może w innym systemie, dla jej szczupłych rozmiarów, zupełnie pomija, lub tylko nawiasowo omawia.

Zarzucićby tylko można temu systemowi to, że w nim jest się zmuszonym na różnych miejscach do tych samych kwestyi powracać. Trudności tej nie zna dawny, tradycyjny układ.

Poświęćmy teraz kilka uwag książce, o ile jest przewodnikiem spowiednika. W twierdzeniach swoich opiera się autor na nauce Ojców św., nowszych i starszych zwłaszcza moralistów (Gury). Wszędzie przytacza dosłownie, lub z podaniem miejsc, teksty patrystyczne, teologów lub orzeczeń Kościoła, co zajmuje wiele miejsca wprawdzie, ale w zamian za to daje czytelnikowi, prócz wielkiej i różnorodnej praktycznej użyteczności dzieła i tę pewność, że ma przed sobą rdzennie katolicką naukę.

Więcej samodzielnym, z natury rzeczy, musiał być autor w opracowaniu kwestyi, które dopiero w naszych czasach się wyłoniły. Za ten trud należy mu się prawdziwa wdzięczność. Zagadnień takich poruszono tu bardzo wiele, a wszystkie objaśnione wywodami z nauki

objawionej, rozumu, historyi i t. d. Bogaty materyał socyologiczny jest wielką zaletą dzieła, zwłaszcza w chwili obecnej. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje opracowanie sprawy tanich mieszkań (str. 237), kary śmierci (str. 473), palenia zwłok (str. 494), pojedynku (str. 506), kwestyi kobiecej (str. 618).

Poważnemu ze wszech miar dziełu niewiele można zarzucić. Życzyćby sobie tylko należało, by autor, wszędzie wystarczająco uwzględniający zarzuty, czynione teologii katolickiej przez protestantów, nieco szerzej się był rozpisał *de praeceptis mere poenalibus*. Przedmiot ten uchodził zawsze u protestantów za dowód antypaństwowego charakteru Kościoła [1].

Niesłusznie, zdaje się, występuje autor przeciw ustalonemu już zdaniu, że żaden teolog nie bronił nigdy laksyzmu, jako prawdziwego systemu (str. 96). Autor wielu, zwłaszcza Jezuitom, stawia ten zarzut. Atoli dowody jego może trochę za słabe. Że któryś z tych teologów postawił w jakiej materyi zdanie zbyt swobodne, — oto jedyny dowód autora — z tego jeszcze nie można wnosić, że laksyzm był jego systemem.

Gorzej jeszcze obszedł się autor z probabilizmem. Zarzuca mu wielki brak logiki i jawną niemoralność. Normą moralności, mówi autor, nie jest prawdopodobieństwo jako takie, ale prawda. Byłoby więc nielogicznem i niemoralnem iść w danym wypadku za tem, co jest więcej od prawdy oddalone, czyli co jest mniej prawdopodobnem. Niestety, nie zawsze to, co nam się więcej prawdopodobnem wydaje, jest tem samem przedmiotowo bliższe prawdy, owszem nieraz zachodzi wprost przeciwny wypadek. Póki prawda nie jest już wpierw poznaną, póty, wedle prawideł samej logiki, nie można stanowczo twierdzić, że to zapatrywanie więcej się zbliża do prawdy, niż drugie.

K. Feliś.

Die Jenseitsmoral im Kampfe um ihre Grundlagen. Von *Dr. Ph. Kneib.* Freiburg im Br. Herder. 1906. (w 8-ce, VIII, 282).

W obecnej chwili rozwija się niemal gorączkowo wszędzie ruch etyczny. Istnieje on w Ameryce, w Anglii, w Niemczech, istnieje i u nas. Jest tak powszechny, że obejmuje wszystkie warstwy społeczeństwa, przeciska się i do młodzieży, która łączy się i zrzesza

[1] Cfr. *Der Ultramontanismus als Weltanschauung auf Grund des Syllabus.* Von Dr. L. K. Goetz. 1905.

w przeliczne stowarzyszenia i kółka etyczne. Mnożą się z dniem każdym czasopisma, tym celom poświęcone.

Co sądzić o tem zjawisku?

Jeżeli je chcemy ocenić z najogólniejszego stanowiska, o ile ono jest tylko dążeniem do moralności, to przychodzi nam stwierdzić, że cnota ma swój powab i piękno, że człowiek z wrażliwości na cnotę nie potrafi się nigdy otrząsnąć. Ideał etyczny nie spadnie nigdy do rzędu przestarzałych frazesów. Stąd i dzisiejszy ruch etyczny nie jest bynajmniej pierwszą nowością; w historyi już nieraz odzywały się nawoływania do moralności.

Jeżeli atoli przypatrzymy się bliżej temu zjawisku, to przekonywujemy się, że cały ten ruch dzisiejszy, jest w poważnej swej części, tylko nową placówką na terenie powszechnej obecnie walki z Bogiem, z Kościołem. Jest to walka etyki niezależnej z etyką katolicką, a nawet chrześcijańską.

Książka d-ra Kneiba zapoznaje nas właśnie z tą walką. Charakter jej niemal wyłącznie polemiczny. Autor przeto nie podaje nam w niej systemu etyki katolickiej, ani nie przedstawia w całości różnych systemów etyki niezależnej, ale jedynie, sformułowawszy w cztery grupy wszystkie zarzuty, podnoszone zasadniczo przeciw nauce o chrześcijańskiej moralności, stara się je odeprzeć.

Oto szkic najgłówniejszych zarzutów, który jest zarazem zasadą podziału książki na cztery wielkie rozdziały.

Przeciwnikom moralności chrześcijańskiej niepodoba się jej charakter heteronomiczny, czyli opieranie tak powinności jakoteż normy etycznej na czemś człowiekowi obcem, t. j. na Bogu, na woli Jego. Moralność w tym wypadku, zdaniem ich, traci zupełnie na swej wewnętrznej wartości, staje się czczą, zewnętrzną legalnością, poniża człowieka. Źródłem wszelkiego obowiązku i normy etycznej, winien być sam człowiek, samo piękno cnoty, nie zaś Bóg i Jego przykazania. Człowiek, który nie jest w stanie w samym sobie odszukać motywu do życia dobrego, jest bankrutem moralnym. Dlatego też moralność chrześcijańską przejęły tylko narody duchowo wyczerpane i przeżyte, które nie miały już w sobie siły do stworzenia własnej moralności, które były już niezdolne do życia dobrego. (Hegel str. 8).

Bardziej jeszcze poniża moralność chrześcijańską, zdaniem jej przeciwników, to wprost nieszlachetne związanie czynów etycznych z nadzieją nagrody i obawą kary. Na tym punkcie jest moralność chrześcijańska czystym, samolubnym eudemonizmem, (Hartmann str. 110)

jest »prostym handlem żydowskim, (Schaftesbury str. 113) gdzie za pewną część nieba daje Bogu człowiek odpowiedni stopień doskonałości i prawości etycznej. To też zapatrzenie się Chrystyanizmu w niebo, w życie pozaziemskie czyni go wrogiem kultury, cywilizacyi a już ta okoliczność musi w naszych czasach wysokiej kulturalnej pracy przyprawić o wieczną śmierć moralność chrześcijańską (str. 133 sq.).

Niemniej oburza tych etyków zależność moralności chrześcijańskiej od pisemnych pomników Objawienia, czyli od Pisma św. Najmniej nadaje się do tych celów Stary Testament. Moralność Starego Testamentu jest właściwie niemoralnością. Ileż nieetycznej treści zawiera w sobie samo pojęcie i charakterystyka Boga. Opowiada Hartmann, (str. 190) jak mu się już w 7 roku życia niespodobał Bóg Starego Zakonu, kiedy się w szkole dowiedział o owej grymaśnej ofierze, jakiej zażądał Bóg od Abrahama. Tu Bóg, według Hartmanna, był niczem więcej, jak tylko okrutnym eksperymentatorem. Bardzo ostro piętnuje ten szczegół i Stendel (str. 191). Takie postępowanie zdaje mu się być podobnem do tresowania psów!!

Podobnymi zarzutami obciąża się i historyę o grzechu pierworodnym. Nieetycznym jest zakaz dojścia do poznania zła i dobra, nieetyczną jest tak strasznie mściwa kara całego rodzaju ludzkiego za przewinienie jednej pary ludzi (Döring str. 191), w najwyższym stopniu nieetycznem jest uznanie za karę i przekleństwo tego, co jest prawdziwem szczęściem i błogosławieństwem człowieka, t. j. pracy (Wundt str. 193). Niemoralnym jest ten Bóg, który swemu wybranemu narodowi pozwala a nawet rozkazuje tępić i niszczyć swych nieprzyjaciół. Chyba takie prawa nie mogą mieć miejsca w Objawieniu, przypisywanem Bogu (Happel str. 196).

Ale może Nowy Testament jest lepszem źródłem nauki o moralności? — Niestety, nauka Chrystusa nie podoba się tym uczonym. Jest ona najpierw skrajnie fanatyczną. Takiem n. p. jest według nich zdanie z kazania na górze: »I kto cię bije w policzek, nastaw i drugiego« Łuk. 6, 29. Wprost obrażającem jest napominanie Chrystusa do nienawiści rodziców, krewnych i t. d. Nauka Chrystusa jest jeszcze przeciwną kulturze i antysocyalną; niema w niej nic jak tylko biadania na bogaczy, biadania na troskliwość o dzień jutrzejszy i t. d. Pozatem jest zbyt ogólnikową i zawiera nawet sprzeczności.

Ostatnią grupę stanowią zarzuty przeciw ścisłej łączności moralności chrześcijańskiej z religią i motywami religijnymi. Religia niema

nic wspólnego z etyką; owszem w wielu wypadkach oddziaływa bardzo nieetycznie na ludzi, gdyż ich dzieli na wyznania, podczas gdy etyka żąda łączności i braterstwa ludzi. Co więcej! Takie opieranie moralności na wierze i religii jest nawet niebezpieczne. Dziś religia zanika wszędzie, więc niebawem musiałaby kiedyś zginąć zupełnie moralność. Ta obawa wkłada w usta niektórych uczonych z przeciwnego nam obozu tę pieczołowitą przestrogę, by Kościół katolicki, w imię ochrony etyki i dobrych obyczajów w społeczeństwie, nie opierał swej moralności na dogmatach religijnych. (Döring str. 251).

Przegląd tych zarzutów daje nam wiele do myślenia. Widoczna że podniesiono tu walkę na wielką skalę, że niema w moralności chrześcijańskiej ani jednego nieomal punktu, któregoby nie zaczepiono. Widocznem jest dalej, że ze strony nieprzyjaciół bardzo wielką rolę odgrywa nawet zła i przewrotna wola. Tak musimy napiętnować to tak częste fałszowanie i przekręcanie twierdzeń etyki chrześcijańskiej, wyszydzanie i ośmieszanie niektórych jej, może umyślnie źle zrozumianych szczegółów. Przeto też tem bardziej podziwiamy autora za niezmierny spokój, jaki zachował w bronieniu naszych, tak nieraz niegodnie szarpanych i atakowanych świętości.

Odpowiedzi na powyższe zarzuty są trafne i gruntowne; przyczem autor w omawianiu swej kwestyi umiał zachować odpowiednią miarę i proporcyę. Nie lekceważy nawet najdrobniejszych szczegółów, ale najwięcej uwagi poświęca zarzutom ważniejszym. Stąd bardzo obszernie omówione tu dwie pierwsze grupy zarzutów. Z drugiej grupy na szczególną wzmiankę zasługuje opracowanie kwestyi stanowiska moralności chrześcijańskiej do kultury i cywilizacyi (133—169). Z wielkiem zadowoleniem czyta się ustęp następny o celach etyki niezależnej. Jest to niewdzięczny punkt dla zwolenników niezależnej etyki. O ile u nich przy określeniu natury moralności jednostka jest wszystkiem, jest niezależnem od nikogo bóstwem, tak znów przy określeniu celów ostatecznych tej etyki jednostka ludzka musi zstąpić z tego szczytnego miejsca i zaprzągnąć się w pozbawiającą ją wszelkiej osobistej godności służbę ogółu: państwa lub ludzkości. Etyka autonomiczna staje się mimowoli okrzyczaną etyką heteronomiczną, lecz nie boską, jak u nas, ale czysto ziemską. Bezwątpienia tylko chrześcijańska etyka teonomiczna umie pogodzić względny stosunek jednostki do ogółu z jej wielką osobistą godnością i wartością.

W III rozdziale udatnie wypadła autorowi charakterystyka absolutnej wzniosłości nauki Chrystusa (str. 231—239).

Może trudniej przyszłoby się zgodzić z autorem na wyprowadzenie oczywistego dowodu istnienia Boga z prawa i obowiązku moralnego, zapisanego w naszem sumieniu. Na ten dowód i teologowie dość sceptycznie się zapatrują. (Cfr. Billot: *De Deo Uno,* Q. II, § 6).

Również może za słabo odpowiedział autor na zarzut, jakoby Stary Testament nieznał innej pobudki do czynów dobrych, jak tylko karę i nagrodę. I w Starym Testamencie samo piękno cnoty, jako pobudka moralna, bardzo często występuje, o wiele częściej, jak to autor zaznaczył. Zato relatywność moralności Starego Zakonu w porównaniu z absolutną moralnością Nowego Zakonu wcale wyczerpująco jest tu opracowana.

Wreszcie jeszcze jeden zarzut natury więcej formalnej. Dzieło zamało uwzględnia literaturę pozaniemiecką. Czytelnik odnosi wrażenie, jakoby tą kwestyą tylko w Niemczech się zajmowano. Wprawdzie rzecz sama zasadniczo na tem nie traci, ale przecież spór o etykę żyje i w innych krajach, zwłaszcza w Ameryce i w Anglii a w ostatnich czasach i w Rosyi.

Mimo te nieliczne i małej wagi zarzuty książka d-ra Kneiba odpowiada zupełnie wymogom poważnego przedmiotu a dzisiejsza gmatwanina pojęć o moralności chrześcijańskiej winna w każdym obudzić odczucie potrzeby zaznajomienia się z tem, lub z innem tego rodzaju dziełem.

K. Feliś.

Etudes morales sur l'antiquité. Par *Constant Martha,* membre de l'Institut. Quatrième édition. Paris. Librairie Hachette.

Studya nad moralną stroną starożytności klasycznej dość rzadkiem są zjawiskiem w nowej literaturze historyczno-naukowej; a jednak posiadać one mogą znaczenie niemałe i to podwójne: mogą się bardzo przyczynić do wyjaśnienia życia psychicznego ludów starożytnych, szczególnie Rzymian, u których zagadnienia etyczne tak wielką odgrywały rolę, a przytem mogą rzucić dużo światła na stan i rozwój owych zagadnień w Europie nowożytnej, która i pod tym względem, jak pod wielu innymi, wiele skorzystała od swych mistrzów greckich i rzymskich.

Autor wyżej wymienionego zbioru »studyów moralnych nad starożytnością« jest jednym z nielicznych i jednym z najkompetentniejszych pono badaczy w tym zakresie. Zajmująca nas tu jego książka nie jest nowością: napisana przed laty kilkunastu, obecnie na nowo

w czwartem pojawiła się wydaniu, ale i dzisiaj godna jest ze wszech miar uwagi, nie tylko przez swą trwałą wartość naukową, ale także z powodu szczupłej liczby prac tego rodzaju.

Ze względu na sposób opracowania i formę literacką, rozprawy w niej zawarte stanowią nader charakterystyczny wytwór nauki francuskiej: łączą w sobie ścisłość badawczą z jasnością wykładu i wdziękiem stylu, w którym ani śladu ciężkiej, uczonej pedanteryi, przynoszącej zazwyczaj niemałą ujmę nader cennym skądinąd naukowym dziełom niemieckim. Autor francuski daje nam tu przedmiot z natury nie lekki, a przytem — jak już tytuły poszczególnych rozpraw zdają się świadczyć — mało zajmujący, dotyczący bardzo wyłącznych stron starożytności rzymskiej, a jednak jak umie wzbudzić dlań interes przez odpowiednie ujęcie formalne i oświetlenie artystyczne.

W sześciu rozprawach ukazuje nam różne strony moralnego i duchowego życia Rzymian z różnych epok, począwszy od najdawniejszej starożytności pogańskiej, aż do schyłku cesarstwa i pierwszych objawów chrześcijaństwa. Na czele mamy rzecz o mowach pogrzebowych u dawnych Rzymian. Zasługują one na uwagę nie tylko z powodu swego wielkiego rozpowszechnienia i starodawnych swych początków, lecz także ze względu na to, że stanowiły nader charakterystyczne i oryginalne przejawy rzymskiej obyczajowości i rzymskiego życia, które w swem słownem odbiciu na kartach literatury na ogół, jak wiadomo, zabarwione jest bardzo wpływami greckimi. Mowy pogrzebowe Rzymian — wygłaszane obowiązkowo przy zwłokach zmarłych, przez najstarszych członków rodziny — rzadko kiedy wznosiły się wprawdzie do wyższej wartości literackiej; czasem jednak osiągały ją istotnie w ustach znakomitych mowców, czasem znów, o ile wysławiały zasłużonych krajowi obywateli stawały się cennymi dokumentami historycznymi, zawsze zaś, jako ściśle w ciągu wielu wieków przestrzegana praktyka pobożna, stanowiły znamienny wyraz pietyzmu rodzinnego czyli jednego z głównych ogniw politycznej i społecznej więzi starożytnego Rzymu. W tym ostatnim szczególnie swym charakterze, na tle uroczystości i obrzędów pogrzebowych, uprzytomnia nam je bardzo żywo studyum uczonego francuskiego.

Ciekawsze jeszcze jest drugie z kolei studyum zbioru, osnute na fakcie dość powszechnie znanym, ale tu po raz pierwszy pono przedstawionym w całem swem znaczeniu i swych konsekwencyach historycznych. Jest to fakt przybycia do Rzymu w r. 156 przed Chrystu-

sem w pewnej sprawie politycznej trzech wysłańców ateńskich, pomiędzy którymi jaśniał sławą i talentem filozof Karneades, założyciel sceptycznej szkoły filozoficznej, znanej pod nazwą nowej Akademii. Przemówienia jego w senacie, a także rozmowy prywatne ze znakomitymi obywatelami posiadają epokowe znaczenie w rozwoju umysłowości rzymskiej, stanowiły bowiem jeden z pierwszych, silniejszych bodźców, który ją zbudził z dotychczasowej drzemki barbarzyńskiej i zwrócił ku przebogatym skarbom filozofii greckiej. Autor w barwnie nakreślonym obrazie przedstawia nam wobec grubych, niewyrobionych kulturalnie natur rzymskich, typową postać wyrafinowanego Greka, skupiającego w swej umysłowości najjaśniejsze promienie duchowej kultury attyckiej; rzuca też przytem na Karneadesa nieco nowego światła, ukazując go nie jako sceptyka igrającego lekkomyślnie z pojęciami (za co zwykle uchodzi) lecz raczej jako myśliciela krytycznego, dla którego zwątpienie nie jest kresem, lecz tylko jedną fazą w rozwoju poważnych dążeń umysłowych.

Następne dwa studya: »O pociechach w starożytności« i »Rachunek sumienia u starożytnych« stanowią także bardzo cenne przyczynki do badań nad życiem moralnem u Rzymian. Pierwsze z tych studyów zajmuje się więcej stroną obyczajową życia, ujawniającą się w praktyce listów kondolencyjnych z wielkim też pietyzmem w Rzymie przestrzeganą — drugie dotyczy bardzo ważnego zagadnienia etycznego, które w całej pełni rozwinięte zostało dopiero w chrześcijaństwie, ale już w szkole Pitagorejskiej, a za jej przykładem i u Rzymian późniejszych, jako mniej lub więcej głębokie wnikanie w głąb swego sumienia dość znaczne osiągnęło rozpowszechnienie.

Ostatnie dwa studya wkraczają już w chrześcijański okres starożytnego świata i zajmują się bardzo interesującemi zjawiskami przejściowemi od pogaństwa do chrześcijaństwa. W pierwszem autor przedstawia nam chrześcijanina, powracającego do wiary pogańskiej — cesarza Juliana Odstępcę, w drugiem poganina, który nawrócił się na wiarę chrześcijańską Syneziusza — naprzód wybitnego pisarza-retora, następnie biskupa. Oba te studya zawierają doskonałą, z wielkim artyzmem rozwiniętą charakterystykę odnośnych osób historycznych i tła życiowego, na którem one występują — oba łączą w sobie starannie umotywowane poglądy naukowe z powabami zewnętrznej formy stylowej. Dzięki tym przymiotom, które w mniejszym lub większym stopniu znamionują wszystkie rozprawy niniejszego zbioru, jest on zara-

zem pożyteczną i przyjemną książką do czytania, która w lekkiej, przystępnej formie dostarczyć może dużo wiadomości i dużo zadowolenia estetycznego.

W. Gostomski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Katorżnik czyli pamiętnik Sybiraka. Napisane przez *Jana Siwińskiego*. Kraków.

Sześć lat pobytu na Sybirze, to długi okres czasu, tem dłuższy dla Polaka, który przywiązany do ziemi rodzinnej, o setki mil od niej odcięty, zdala od swych kochanych i blizkich, pędzi żywot pełen tęsknoty, nie mając nadziei powrotu. Tak spędził swe wygnanie autor pamiętników, póki amnestya nie skończyła jego męczeństwa. Po przebyciu tej Golgoty u schyłku swego żywota zapragnął autor podzielić się z młodszem pokoleniem tem, co przeżył w latach wygnania i dał nam opis od chwili wzięcia do niewoli aż do powrotu do kraju. Przesuwają się przed naszemi oczyma obrazy pochodu na Sybir, przechodzimy z opowiadającym drogę etapem, życie i pracę wygnańców i aresztantów na Sybirze. Przytem zapoznaje nas autor z miastami, które przebywał, z ludami, z którymi się zetknął, z przyrodą, która go otaczała.

A wreszcie przyszła amnestya i powrót. I w tym powrocie kreśli nam samowolę władz, objawiającą się nawet w przedłużaniu czasu wygnania rzekomo za złe sprawowanie.

Opis prosty, ale interesujący swą realistyczną prawdą. Widać, że autor przeżył to, co opisał, że odczuł to całem swem jestestwem. A to nie tylko los odosobnionej jednostki, lecz to wszystko przebyły i przecierpiały szeregi innych; cała Syberya zaznaczona krwią i cierpieniami synów Polski.

L.

Kronika Jana z Czarnkowa. Przełożył z łacińskiego, wstępem i przypisami uzupełnił *I. Żerbiłło*. Warszawa.

Kronika Jana z Czarnkowa jest pierwszorzędnym materyałem historycznym zwłaszcza do epoki, w której autor żył i działał t. j. do okresu rządów Ludwika. Prawdziwość faktów przez niego podawanych, co stwierdzić można przez porównanie z innemi źródłami, podnosi jej wartość. Dlatego też przekład z oryginału łacińskiego, jaki się ukazał, stanowi poważny dorobek naszego piśmiennictwa.

We wstępie kreśli tłumacz żywot Janka z Czarnkowa, dodane przypiski uzupełniają i wyjaśniają niejasne miejsca tekstu. *E.*

W pięćsetną rocznicę założenia klasztoru Bożego Ciała na Kazimierzu w Krakowie (1405—1905). Szkic dziejów opactwa XX. Kanoników Regularnych Lateraneńskich. Kraków 1905.

Dla znajomości naszych przeszłych dziejów nie obojętne jest poznanie rozwoju zakonów na ziemiach polskich. Zakony u nas jak i wszędzie były rozsadnikami kultury, przodowały nauką i cywilizacyą.

Rok 1405 zaznacza się założeniem pierwszego opactwa Kanoników Regularnych.

W książce omawianej mamy skreślone powstanie zakonu, przybycie jego do Polski. Dalej podaje autor życie i działalność poszczególnych przełożonych.

W rozdziale IV mamy opis Kościoła Bożego Ciała, jego zabytków i nabożeństwa.

Z kościołem tym łączy się Bractwo Przenajśw. Sakramentu i Zwiastowania Najśw. Panny.

Do kościoła tego należała i szkoła parafialna.

Rozdział VII poświęca autor podaniu innych kanonii tego zakonu w Polsce.

E.

Bracia i przybycie ich do Anglii. Przekład z Tomasza z Ecclestonu. Z wstępną rozprawą o duchu i początku Zakonu franciszkańskiego. Przez *O. Cuthberta O. S. F. C.* Tłumaczone z angielskiego za upoważnieniem autora. Tarnów 1906. Str. 177, VI.

Zajmująco wydana i treścią i zewnętrznym wyglądem książka daje nam wiele wiadomości o Zakonach Braci Mniejszych, stopniowem ich powstawaniu i rozpowszechnianiu po świecie. Rozprawa wstępna o duchu i początku Zakonu Franciszkańskiego, bliżej nas zaznajamia z założycielem onego, św. Franciszkiem z Assyżu. Dalsze rozdziały zajmują się przybyciem Braci na ziemię angielską i pierwszymi krokami, nad którymi zdala czuwał Patryarcha z Assyżu, ściśle bacząc, żeby reguła ubóstwa, pomimo ofiarności dobrodziejów Zakonu, naruszaną nigdzie nie była.

Autor wybiega jednak często w swojej narracyi poza krańce wyspy, co jest koniecznem, gdy idzie o fundowanie nowych domów i zarząd kustodyami i prowincyami, co o św. Franciszka a dalej o jego następców się opierało. Dziełko całe pisane z prawdziwie angielskim spokojem, objektywnie, pozostawia czytelnikowi możność oryentacyi w swoich sympatyach lub uprzedzeniach, bo zarówno wysokie cnoty podnosi, jak, czasem nawet w zabawny sposób, szczero ludzkie wady poszczególnych członków wytyka. Proste cnoty i proste usterki prostaczków, bo Bracia Mniejsi przeważnie rekrutowali się z gminu, a pierwsi uczeni już wstępowali do Zakonu z wychowaniem i nauką, nabytemi w poprzedniem życiu. Takich uczonych autor wielu wymienia w angielskich prowincyach zakonnych. Książkę zamyka dopisek, z którego dowiadujemy się, że autor rozprawy wstępnej wydał w »Rocznikach franciszkańskich« (maj 1904) artykuł p. t. »Indywidualizm franciszkański« *(Franciscan Individualism)*, który myśl jego lepiej rozwija, znajdujemy też w owym dopisku, niektóre ciekawe ustępy z tego artykułu.

A. R.

Wizytki wileńskie w Jaśle. Skreślił *ks. Władysław Sarna.* Przemyśl 1905.

»Nigdzie może klasztorne kroniki nie zawierają tyle kart męczeńskich, co w Polsce«. Temi słowy zaczyna ks. Sarna swoje dziełko. Tak bolesnemi zgłoskami zapisane są również dzieje Sióstr Wizytek w Wilnie. Prześladowane od r. 1841, w r. 1865 na rozkaz z Petersburga wywiezione zostały za granicę i osiadły w Wersalu. Wskutek polityki antykościelnej rządu francuskiego zmuszone były znów wyjechać z Francyi i osiadły początkowo w starym dworze w Cieklinie, a następnie zbudowawszy gmach na klasztor i pensyonat w Jaśle, osiadły tam na stałe i gromadząc pod swemi

skrzydłami liczne zastępy dziewcząt, kształcą je i wychowują w duchu Bożym.

C.

Chleb duchowny dla prawowiernych katolików. Tomów 8. Nakładem Karola Miarki. Mikołów-Warszawa.

Pod powyższym tytułem podaje nam ks. Józef Stagraczyński w ośmiu zgrabnych tomikach spolszczenie dzieła ks. Franciszka Ser. Hattlera T. J. zatytułowanego po niemiecku *Christkatholisches Hausbrod.*

O zaletach i zasługach O. Hattlera wie dobrze każdy, kto jako tako obeznany jest z najnowszą literaturą ascetyczną niemiecką. Przez długie lata jako kierownik *Posłannika Najśw. Serca* w Innsbrucku, ogłaszał tam O. Hattler coraz to nowe pobożne traktaty, które choć różne co do opracowywanego tematu, tym samym wszystkie tchnęły duchem i do tej samej dostrajały się harmonii. Miłość nieskończona Zbawiciela świata ku ludziom, jak promień słońca rozbity na barwy tęczy, coraz innym ale niemniej pięknym odbijała się blaskiem, czy to natchniony autor pisał o prawdach wiecznych, czy o Najśw. Pannie, o życiu lub śmierci, o występkach lub cnotach. Podnieść, porwać serca czytelników do kochającego ich Pana, rozpalić w nich ogień miłości Bożej: oto cel całej działalności zbożnej O. Hattlera. To też nie dziw, że go nazywają »Apostołem Serca Najśw«.

Co w długoletniej swej pracy przedtem drukiem ogłaszał powoli, to potem zebrał O. Hattler w jedną całość i zbiór ośmiu niezależnych, ale ślicznie ze sobą się harmonizujących traktatów nazwał »Chlebem powszednim chrześcijanina«.

Zaiste pożywić się tam jest czem. Chleb, jaki w tej książce przed duszą chrześcijanina roztacza autor, jest »podobnie do manny na puszczy zdrowym, treściwym, smacznym i rozkosznym zarazem«, jak powiada organ duchowieństwa tyrolskiego: *Briksner Priesterconferenzblatt* (1892, str. 65). A czcigodny ks. biskup Aichner dodaje: »Chleb ten powszedni« przedewszystkiem p o u c z a, bo nadzwyczaj gruntownie rozprawia o najważniejszych prawdach; ale przytem p o r u s z a i z a c h ę c a, do czego dobroć autora i jego ojcowski sposób wzięcia się do rzeczy służy znakomicie. W dodatku przedstawia on prawdy wiary żywo, przystępnie i nie nużąco, łagodząc coby w nich było przygnębiającego i męczącego, miłem i obfitującem w obrazy przedstawieniem, tak, że kto zaczął go czytać, ten nie przestanie aż nie przeczyta wszystkiego«.

Dodajmy do tego, że sposób pisania, myślenia i czucia O. Hattlera w dziwny sposób odpowiada naszej polskiej naturze. To nie północny, suchy, wyrachowany i napięty Niemiec, ale dobroduszny, poczciwy, szczery, szlachetny Tyrolczyk, — to syn tego kraju, w którym żywość wiary i zewnętrzne jej objawy jak nigdzie indziej przypominają wiarę naszego chłopa, — tego chłopa, o którym twierdził O. Antoniewicz, że połowa nieba przez niego będzie zapełnioną.

To też ks. J. Stagraczyński podjął się pracy zbożnej choć żmudnej i trudnej, kiedy zabrał się do spolszczenia ogromnego, bo koło 1200 stronic liczącego dzieła. Przytem bardzo szczęśliwą miał myśl, że nie wydał wszystkiego od razu w jednym tomie, jak ma niemiecki oryginał, ale w małych tomikach w 16-ce z osobna, tak, że jego »Chleb duchowny«, to cykl ośmiu książeczek, z których każda odpowiada jednej części dzieła O. Hattlera. Wydanie samo przez się wy-

padło świetnie, dzięki z rokiem każdym w technice się wydoskonalającej drukarni Karola Miarki w Mikołowie. Druk duży, wyraźny, papier ładny, illustracyi sporo i trafnych, oprawa bardzo gustowna.

Z punktu widzenia językowego możnaby zarzucić ks. St. znaczną ilość zwrotów i wyrazów prowincyonalnych, które w Księstwie Poznańskiem się zachowały a poza niem trochę ucho rażą. Podobnież tu i owdzie czuć w tłumaczeniu niemieckiego ducha, z którego przy spolszczeniu myśl nie dosyć została oczyszczoną. Ale to są drobne i nic nie znaczące braki wobec samej rzeczy i ogromnej przysługi, którą te książeczki nie omieszkają naszemu społeczeństwu przynieść. Mówimy: społeczeństwu, dlatego, że i prostaczek z nich skorzysta i człowiek wykształcony chętnie je weźmie do ręki; bo kto umiał przetrawić prawdy Boże i całym ich blaskiem wokoło rozświecić tak, jak O. Hattler, ten musi trafić zarówno do »mądrych jak i prostaczków« — nie inaczej, jak słowo Boże trafia do jednych i drugich.

A. M.

Das katholische Kirchenjahr. Eine Gedichtsammlung. Von *Philomena.* Wien 1906.

Myśl bardzo piękna, wywołana chęcią objaśnienia i przejęcia duchem poszczególnych świąt katolickich mnóstwa dusz, które te święta obchodzą, rzec można, powierzchownie, nie wnikając w ich żywotne znaczenie. Autorka, kryjąca się pod mianem »Philomena«, objęła pieśniami swemi wszystkie święcone w kościele chwile żywota Chrystusa Pana i N. Panny, oraz dni Krzyżowe, Adwent, Wielki Post i t. d. Pole zatem obrała bardzo obszerne, przedmioty bardzo przejmujące, zawsze nowe, choć opiewane od dwóch tysięcy lat. Wiersz wszędzie poprawny i gładki, uczucie szczere, gorące, wyrażone z prostotą. Pieśni poszczególne może zbyt długie: zyskałyby na większem skrystalizowaniu myśli lub nawet na obcięciu mniej potrzebnych strof. Zbyt długą np. jest śliczna pieśń na Boże Narodzenie, choć można ją śmiało uznać za najlepszą z całego tomu obok tłumaczenia z *Veni sancte Spiritus* i pieśni na dni Krzyżowe. Jedno w tej książce skrytykować można, to rozmiary jej i kształt: wydana w małym formacie, w postaci niby książki do nabożeństwa znalazłaby i pokup większy i łatwiejsze zastosowanie, zwłaszcza, że zawarte w niej rymowane modlitwy i parafrazy z ewangelii i epistoł mogą śmiało być czytane i rozmyśliwane w kościele. Szkoda tem większa, że dochód przeznaczony jest na cel dobroczynny.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z zamętu protestanckiego.

Nie od dzisiaj przedstawia Kościół protestancki w Niemczech obraz całkowitej rozterki i moralnego rozkładu; od czasu do czasu jednak objawy te występują silniej i drastyczniej, a wówczas dopiero prawie namacalnie poznać można, co jeszcze z chrześcijaństwa protestantom pozostało.

Takim drastycznym objawem, pominąwszy już wiele innych, była głośna sprawa turynskiego pastora, Cesara. Miał on objąć kierownictwo gminy protestanckiej w Dortmundzie, ponieważ jednak jawnie do tego się przyznawał, że nie wierzy w Bóstwo Chrystusa, odmówił mu konsystorz królewski w Monasterze zatwierdzenia. Ten krok konsystorza wywołał wielką burzę.

Śląski Liberalny Związek Kościelny wystosował do Wyższej Rady Kościoła Ewangelickiego gwałtowny protest, który podpisało prawie jedenaście tysięcy osób, między nimi trzystu teologów. Protest ten stwierdza, że nikt nie może od pastora żądać jakichś zobowiązań się względem formułek, zawierających w sobie wyznanie wiary, jak długo jego postępowanie nie wywołuje zgorszenia. »Jest to warunkiem istotnym życia Kościoła ewangelickiego, aby sług Kościoła nie krępowano w ich badaniach teologicznych«. Jedno ich tylko wiązać może:

obowiązek sumienia, który im nakazuje przyjąć Boską prawdę ewangelii; poza tem władza kościelna niema prawa zobowiązywać ich do jakiejkolwiek formuły religijnej. Istnienia komisyi, badających zapatrywania religijne pastora, nie można pogodzić z duchem ewangelickiego niemieckiego Kościoła narodowego, a samo odnoszenie się do decyzyi konsystorzów sprzeciwia się idei tegoż Kościoła.

Protest ten umieściła *Chronik der christlichen Welt* i opatrzyła go w odpowiednie komentarze. Zapatrywań królewskiego konsystorza z Monasteru nie można uważać za zapatrywanie Kościoła; nie można pozwolić na to, aby kapłan był sądzony, gdyż przeciwnie obowiązkiem konsystorza jest bronić go w interesie całego Kościoła. Konsystorz nie uwzględnia poglądów współczesnych teologów, choć wie doskonale, że tysiące pastorów dzieli ich zapatrywania a praca ich przynosi bogate owoce. Nie można absolutnie zgodzić się na to, aby konsystorz stwarzał, zatwierdzał i do wierzenia jakieś formuły dogmatyczne podawał. »Jedynie uszanowanie dla wszystkich formułek realnej wiary ewangelicznej zagwarantuje Kościołowi czystość wiary i nauki pastorów«.

Te oderwane, zagmatwane, sprzeczne, świadczące o niesłychanej nieznajomości ludzkiego ducha poglądy, nie są wcale zjawiskiem odosobnionem. Niemiecki Związek Protestancki zwołał na dwunastego kwietnia wielkie zgromadzenie do Berlina; zgromadzenie to powzięło następujące uchwały: »Kościół ewangelicki jest w przeciwieństwie do katolickiego tylko historyczną a zatem zmienną formą niezmiennej, wiecznej treści chrześcijańskiej religii. Jego pojęcie jako dogmatycznego urzędu nauczycielskiego nie odpowiada więcej potrzebom nowoczesnej pobożności. Dlatego jego właściwa istota żąda, aby się przekształcił powoli w silne, moralno-religijne społeczeństwo bez żadnych dogmatycznych obowiązków względem wiary i jej nauki, w ideał, o jakim marzył przed stu laty Schleiermacher, jeden z największych ewangelickich teologów. Ta przemiana powinna się odbyć na drodze reformy ostrożnej, pełnej pietyzmu dla przestarzałych zasad, i jak długo się da, bez gwałtownych wstrząśnień społecznego życia kościelnego. Stąd za najważniejsze postulaty najbliższej przyszłości uwa-

żamy: 1) zmianę ustawodawstwa kościelnego w tym celu, by zabezpieczyć ewangelicką wolność wierzenia, któraby dopomogła do zdrowego, dalszego rozwoju wyznania ewangelickiego... 3) przelanie władzy rozstrzygania w kwestyach wiary w ręce instancyi niezależnej od kościelnych władz administracyjnych a to dlatego, aby tak duchownych jak gminy od obecnych chwiejnych praw uwolnić; 4) ustawą poręczone pociągnięcie do odpowiedzialności Wyższej Rady Kościelnej na wypadek, gdyby konsystorze prowincyonalne ograniczać chciały wolność wierzenia i sumienia tak duchownych, jak i gmin«.

Takie zasady przechodzą powoli w krew i życie licznych jednostek z duchowieństwa protestanckiego; w tym względzie jest dość charakterystycznem stanowisko, jakie pewien procent pastorów zajął względem na wskroś niechrześcijańskiego niemieckiego Związku monistów, na którego czele stoi osławiony profesor z Jeny, Ernst Häckel, która to okoliczność już sama wyraźnie o celu Związku świadczy. Do Związku zaczęli przystępować i pastorzy, między nimi szerzej znani, Steudel, Moritz i zmarły już Kalthoff. I dziwna rzecz! krok ten wywołał jednak niezadowolenie w pewnych kołach pastorskich i te właśnie koła wymusiły na Komisyi senatu dla spraw kościelnych wezwanie do rzeczonych pastorów, by ze Związku wystąpili. Pastorzy po długiej apologii Związku, gdzie pragną wykazać, że nie staje on w sprzeczności z zasadami chrześcijaństwa, lecz chce tylko wytworzyć jednolity, na poznaniu natury oparty pogląd na świat i życie, zawiadamiają, że w interesach kościelnego pokoju zdecydowali się złożyć tę ofiarę i wystąpić ze Związku »zastrzegając sobie jednak zasadnicze trwanie w swych poglądach i zapatrywaniach«, — zasadniczo więc uznają i nadal wprost niechrześcijańskie stanowisko Związku.

Dlatego też dziwić nie może nikogo następstwo takich zapatrywań; jest niem coraz to silniejsza akcya, dążąca do zupełnego zliberalizowania protestanckiego Kościoła, akcya nie przebierająca w środkach a nie umiejąca zrozumieć, jakie będą tego wszystkiego owoce w przyszłości. To też kiedy chodziło np. o wybory do komitetu kościelnego w Kolonii, socyaliści rozwinęli sza-

loną agitacyę, by przeprowadzić jak najwięcej »przyjaciół wolności ewangelicznej« i cel ten w zupełności osiągnęli. Kiedy znowu w ostatnich tygodniach zawrzała gorąca walka o szkołę, nie tylko socyaliści niemieccy i liberali, ale i Niemiecki Związek Protestancki na zgromadzeniu w Berlinie oświadczył się za szkołą bezwyznaniową. Miejsce religii w tej szkole powinna zająć botanika, zoologia, chemia, fizyka i ustawodawstwo; ponieważ jednak to wszystko od razu przeprowadzić się nie da, trzeba dążyć przynajmniej do usunięcia nadzoru duchownego ze szkoły i pracować powoli nad przeprowadzeniem ideału bezwyznaniowej szkoły francuskiej.

Z tego zamętu rzadko tylko dobywa się głos trzeźwy i spokojny, nawołujący do rozwagi i zastanowienia się.

Walka o szkołę i o usunięcie nadzoru duchownego — pisze konserwatywny *Reichsbote* — jest tylko środkiem prowadzącym do zupełnego przewrotu w państwie; chodzi o to, czy nowa wiedza czy stara wiara ma być zadaniem nauki w szkołach ludowych. »Wiadomem jest przecież, jak anarchizm, socyalna rewolucya i brak karności szerzy się w armii i marynarce francuskiej — takie charaktery tworzy bezwyznaniowa francuska szkoła. Lecz cóż to obchodzi liberałów, że i u nas od zaprowadzenia małżeństw cywilnych, świętość stanu małżeńskiego i uszanowanie dla niego w szerokich masach ludu coraz bardziej zanika; dla nich wszystkie te rzeczy są stopniami, po których zdążają do usunięcia wszelkiego wpływu Kościoła i chrześcijaństwa na lud. Jak zły duch opanowała ich ta dążność i robi ich ślepymi na wszystkie szkody i nieszczęścia, jakie brak wiary i ducha religijnego w ludzie wywołuje. Zwalczają i bezustannie w swej prasie podejrzywają i osłabiają moralne wpływy Kościoła i szkoły chrześcijańskiej a potem się skarżą na małe znaczenie tychże czynników... Łączyć się z nimi zakazuje nam miłość prawdy, miłość najwyższych i najszlachetniejszych dóbr narodu, miłość naszej ojczyzny. Odstręczyć nasz naród od chrześcijaństwa i wiary, to przecież znaczy zrujnować go nie tylko pod względem religijnym i moralnym, lecz konsekwentnie i ekonomicznym i państwowym«.

Wszystkie za to pisma i stronnictwa protestanckie łączą się wzorowo, kiedy chodzi o zwalczanie katolików; tu stosuje się

zasadę dwojakiej moralności. Znaną jest burza, jaka w ostatnich dniach przed rozwiązaniem parlamentu zerwała się przeciwko *Centrum* i katolikom w Niemczech. Ale ci sami pastorzy, którzy łamią ręce z boleści widząc, jak potęga i znaczenie katolicyzmu oddziaływa i w polityce i którzy wszelkiemi siłami ten wpływ katolicki w polityce zwalczają, uważają jako rzecz zupełnie naturalną, żeby im przypadło w życiu publicznem odgrywanie pierwszej roli.

»Nasz Kościół ewangelicki — pisze *Badische Post* — ma wielkie interesa w tem, żeby zasady ewangelickie szerzyły się w całem życiu narodu. Kościół musi tego pragnąć, aby członkowie jego, tak świeccy jak i duchowni, nieśli w politykę zasady ewangelicko-protestanckie... Byłoby to samobójstwem i zbrodnią ze strony Kościoła, gdyby w czasach, w których się rozbiera stosunek państwa do Kościoła a Kościoła do szkoły, Kościół stał obojętnie na uboczu... Pastor powinien według sił swoich przyczyniać się do szerzenia zdrowych sądów o działalności politycznej duchowieństwa w społeczeństwie, w tym mianowicie sensie, aby wykazać, że ten wpływ jest czemś zupełnie naturalnem i koniecznem. To jednak będzie tylko przygotowaniem lepszej przyszłości, w której słowo Kościoła wśród walk stronnictw będzie wszystkiem a słowo duchownego, jako sługi Kościoła, znajdzie to uznanie, na jakie zasługuje«.

Katolicy przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy z pewnością nic nie mają, ale mogą i muszą żądać, aby gdy o nich i ich działalność polityczną chodzi, nie przypominano im § 16 b, c ustawy kościelnej.

To zacietrzewienie się protestantów w ich walce przeciwko katolikom wydaje czasami dziwnej woni kwiaty. Tak np. organ niemieckiego związku dla ochrony zwierząt, *Ibis*, wykazuje moralną niższość katolicyzmu w porównaniu z protestanckim Kościołem stąd, że Kościół katolicki wolał raczej utracić cały naród, aniżeli zezwolić na drugi ślub Henryka za życia pierwszej żony, że mordował tysiące, które przeczyły jakiemuś dogmatowi, ale — cytujemy dosłownie —: »dla wołu, którego godzinami po arenie ścigano, bito, kłuto i dręczono, aż padł skutkiem zmęczenia albo

pod włócznią swego chrześcijańskiego przeciwnika, nawet palcem nikt nie ruszył. Czyż samo to przeciwstawienie nie wykazuje jasno, że papiestwo nie mogło lub nie chciało odróżnić jądra od skorupy chrześcijaństwa?« Nikt wprawdzie nie będzie się entuzyazmować dla hiszpańskich walk byków, ale ostatnie twierdzenie i mija się z prawdą i dziwną logiką do niemniej dziwnej prowadzi konsekwencyi.

Rozumie się, że w zaognieniu stosunków dostaje się ze strony protestanckiej i istotnym instytucyom Kościoła katolickiego; spowiedź szczególniej jest im solą w oku. To też *Hamburger Fremdenblatt* (n. 67) ogłasza następującą petycyę do parlamentu: »W ostatnich walkach wyborczych katolicy w wprost o pomstę wołający sposób połączyli religię z polityką; tak dalej być nie może. Co się w konfesyonale działo, czy odmiennych politycznych zapatrywań nie piętnowano tam, jako ciężkich, nieodpuszczalnych grzechów, czy za nie nie grożono karami wiecznemi, to się z pod kontroli usuwa. Publiczna opinia jednak twierdzi zawsze na nowo, że istotnie tak było a bezpodstawnem to podejrzenie chyba nie będzie. Co bez żadnych osłonek publicznie się dzieje, czemuż niema się dziać i w cichości? Czy konfesyonał, którego politycznie nadużywać można, jest wogóle urządzeniem, któreby nowoczesne państwo w przyszłości tolerować mogło? Że tak zwana spowiedź do ucha nie jest religijną koniecznością, wykazuje dostatecznie wieki trwająca, odmienna praktyka Kościoła protestanckiego; przecież i Kościół katolicki mógłby się bez niej obejść i publiczną i ogólniejszą formę spowiedzi przyjąć. W każdym razie państwo niemieckie powinno postarać się o absolutną pewność, że polityka będzie z Kościoła wykluczona. W tym celu podpisani proszą Wysoki Niemiecki Sejm Rzeszy, aby raczył wpłynąć na kanclerza państwa, by tenże wniósł w parlamencie zarys prawa, któreby Kościołowi katolickiemu na całej przestrzeni państwa niemieckiego i jego kolonii pod surowemi karami zakazało słuchania spowiedzi, jako czynności, której państwo kontrolować nie może. Takie prawo przyczyniłoby się z pewnością niemało do sanacyi naszych narodowych i religijnych stosunków«.

W kilka tygodni po tej sławnej odezwie wychodzi w Lipsku

osobna tej kwestyi poświęcona książka, napisana przez znanego w Niemczech, jako fanatycznego wroga katolików, d-ra Moltmanna. Nie możemy się tu obszerniej nią zajmować, gdyż ostatecznie na to nie zasługuje; przytaczamy z niej tylko napisy kilku rozdziałów, wykazujących, czego się po niej spodziewać można: »Niemieccy katolicy! do was zwracam się z mojem pierwszem, rozpaczliwem słowem. — I jeszcze raz, niemieccy katolicy, zwracam się do was. — A teraz słowo świętego gniewu przeciwko wam, zdrajcy narodu, hańbiciele Lutra. — Czy wogóle nie jesteście lekkomyślnymi, niepojęcie lekkomyślnymi. — Tortura spowiedzi. Czy księża mają być sędziami czy pośrednikami? — Fanatyczne zaprzeczenie natury ludzkiej. — Ultramontanizm, jako czynnik polityczny. — I jeszcze jedno serdeczne wezwanie do was, kochani katoliccy niemieccy współbracia, do waszej niemieckiej duszy i niemieckiego serca. — *Ceterum censeo, Romam esse delendam*«.

Takiemu stanowisku ostatecznie dziwić się nie można, gdyż *Fränkischer Kurier* z Norymbergi wykrył rzecz, od której każdemu prawowiernemu protestantowi włosy na głowie stają: »Całe kierownictwo rzymskiej kuryi i Kościoła — pisze w n-rze 206 — zdobyli Ojcowie z Towarzystwa św. Ignacego Lojoli... W redakcyach każdego wybitniejszego centrowego pisma znajduje się uczeń Ignacyanów, który swe tajne wskazówki otrzymuje z *Collegium Germanicum* przy ulicy *San Nicola da Tolentino* w Rzymie«.

Dość jednak już tych ciemnych, na serdeczną tylko litość zasługujących obrazów. Od czasu do czasu zdarza się, że jakaś wybitniejsza siła po stronie protestanckiej stanie w obronie katolików lub przynajmniej stara się o oddanie im sprawiedliwości. Do takich, pewnym wpływem cieszących się uczonych, należy profesor Foerster. W swych pracach wyrażał się on o katolicyzmie zawsze z takiem uznaniem i sympatyą, że podejrzywano go aż o chęć konwersyi. Foerster zaprzeczył tej pogłosce, tłumacząc, że jeżeli przychylnie omawiał sprawy katolickie, czynił to z poczucia sprawiedliwości i z naukowego przekonania, dodając równocześnie, że protestanci dużo od katolików nauczyć się mogą. Takie postawienie kwestyi nie mogło się, rzecz jasna, protestantom podobać i dlatego szwajcarska *Theologische Zeitschrift* zwróciła się

do Foerstera z życzeniem, żeby trochę dokładniej i szczegółowiej wyjaśnić raczył, czego mianowicie protestanci od katolików nauczyć się mogą. Foerster odpowiedział w tej samej *Theologische Zeitschrift* artykułem: »Czego protestancka pedagogika od Kościoła rzymskiego nauczyć się może?« i bez ogródek dał protestantom kilka gorzkich pigułek do połknięcia.

Wyrzuca protestantom ich jednostronność i przecenianie się, które sprawiają, że »gdy protestant usłyszy słowo Rzym, myśli zaraz o antychryście a nigdy nie pojmuje, jakie przecenianie własnych sił i jaka pogarda ludzkości leży w tem, że całej wielkiej połowie kulturnej ludzkości odmawia głębszych, wewnętrznych stosunków do chrześcijańskiej religii«. Kościół protestancki dlatego już może od katolickiego się uczyć, że ten ostatni jest o piętnaście wieków starszy, a objawił swoją moc w odnowieniu upadłego świata i ucywilizowaniu dzikich narodów dziewiczych puszcz. »Ta siła wychowawcza wywołuje na prawdę uczucie uszanowania«. Katolicyzm może nauczyć protestantów ascezy, która jest konieczną dla wychowania. »Cwiczenie, jakie się znajduje w walce woli ze zmysłowym człowiekiem, może jedynie człowiekowi wolność ducha zapewnić. Na wszystkich polach uważamy ćwiczenie za rzecz niezbędną; ćwiczymy rozum, pamięć, głos — od woli tylko domagamy się wszelkich możliwych rzeczy nie kształcąc i nie koncentrując jej. A przecież kto sobie nigdy niczego dozwolonego nie odmówił, ten pewnie nie odmówi sobie i rzeczy zakazanych... Współczesna psychoterapia zwraca się w wielu punktach do ascetycznej pedagogii«. Szczególniej w kwestyi zwalczania popędów płciowych, asceza dużo uczyć może, ponieważ »fałszywem jest twierdzenie, że uświadamianie jest pierwszą i najważniejszą ochroną, gdy w rzeczywistości przygotowanie woli, ćwiczenie w zwalczaniu popędów jest jedynym, o wszystkiem decydującym ratunkiem«. Duch powinien panować nad ciałem. »Im kto głębiej w rzeczach przemijających pogrążony, ten mniej nieprzemijające pojąć potrafi«. Z uszanowaniem wyraża się Foerster o świętych katolickich, których heroiczne życie dla uwielbienia Chrystusa i wyrobienia woli niesłychanie wiele zrobić może. »Musisz, to z pewnością wielkie i ważne słowo, ale niemniej ważnem jest wzniosłe

możesz, które z takich przykładów« ludzi słabych jak i my, płynie. »Niezrównana suggestya spływa z zastępów takich bohaterów na osłabioną wolę ludzką«. Niemniej ważną jest nauka katolicyzmu o sztuce; przez nią kładzie tamę napływaniu nizkich pierwiastków do wyobraźni: »Trzeba wyobraźnię zapełnić obrazami wyższego świata, element religijny trzeba przenieść ze sfery samej nauki w konkretne życie«, tem bardziej dziś, »gdy przewrotna i niczem nie hamowana zmysłowość ze wszystkich stron zatruwające obrazy do bezbronnej fantazyi niesie«. Wielkie znaczenie przypisuje wreszcie Foerster katolickiej nauce o powadze władzy, o kompetencyi i granicach krytyki, która w protestanckim obozie wszelkie tamy przerywa a tylko przez powrót do prawdziwej pokory uleczoną być może. Tylko tym sposobem położy się kres »bałwochwalstwu dzisiejszej tak zwanej naukowości».

Piękne to i sprawiedliwe słowa, ale pozostaną one głosem wołającego na puszczy, tem bardziej, że pochodzą od protestanta nie z Prus, ale ze Szwajcaryi.

Wreszcie kilka jeszcze słów o bliżej nas obchodzącej sprawie z pod zaboru pruskiego. W kwestyi strajku szkolnego, który z początkiem kwietnia znowu wzmagać się zaczął, wpada prasa hakatystyczna w prawdziwy szał i przysłowiowy *furor teutonicus.* »Oburzające zachowywanie się naszych polskich współobywateli — pisze *Posener Tageblatt* — było tak często i tak dokładnie w prasie omawiane, że zdaje się nic nowego już dodać nie można. Wykryto wszystkie nici, któremi za nos wodzono pozbawiony swej woli lud, zwrócono uwagę na następstwa, jakie grzeszne zachowanie się reżyserów dla życia narodowego i rodzinnego sprowadza... Z radością witamy fakt, że rządowi udało się wreszcie znaleźć środek, który prawdopodobnie złemu stanowczo zaradzi: wydalanie rodzeństwa strajkujących z wyższych szkół«. Ponieważ jednak i to jeszcze nie wystarcza, radzi *Posener Tageblatt,* żeby uczniom polskim albo zupełnie uniemożliwić albo przynajmniej utrudnić uczęszczanie do szkół fachowych i uzupełniających, dodając przytem, że »jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą, jeżeli rodzeństwo strajkujących uczniów będzie wydalone względnie nieprzyjmowane

do technicznych szkół średnich i fachowych oddziałów szkół uzupełniających«.

Radykalny środek na zażegnanie strajku szkolnego wynalazł w ostatnich dniach przewodniczący poznańskich sądów przysięgłych, Uecker. Twierdzi on, że strajk dzieci wywołany przymusowem nauczaniem religii w języku niemieckim, równa się nieuzasadnionej nieobecności w szkole i jako taki powinien być karany. »Ta duchowna nieobecność jest równoznaczną z nieobecnością osobistą i dlatego karaną być musi«. To niezwykłe odkrycie wywołało zdumienie nawet w hakatystycznym obozie. »Z niemiecko-narodowego stanowiska — piszą *Berliner Neueste Nachrichten* — witamy radośnie fakt, że rząd przeciwko polskiemu strajkowi szkolnemu wystąpił energicznie i rozważnie. Skutki takiego kroku widoczne już dzisiaj, gdyż ruch ustaje i gdy rząd w ten sam rozważny sposób i nadal postępować będzie, prawdopodobnie wszystko wkrótce się uspokoi. Prawniczemi łamigłówkami za to, jak je rozstrzygnięcie sądu w Poznaniu podaje, osiągnie się w sam raz przeciwny skutek. Polacy będą przez takie pojmowanie sprawiedliwości sądowej, której zresztą zupełnie słusznie zrozumieć nie są w stanie, tylko niepotrzebnie rozgoryczeni i do większego jeszcze oporu zagrzani. Silne i niezłomne zachowanie się rządu mogą tak niezwykłe wyroki sądowe tylko osłabić«. Nawet *Tägliche Rundschau* sądzi, że tego dziwotworu o »duchowej nieobecności« nie można uważać ani za szczęśliwą ani nawet za pożyteczną myśl.

Humorystycznym w tej bolesnej sprawie epizodem był niefortunny publiczny występ ministra Studta. Chcąc ratować sytuacyę, powoływał się na Belgię, gdzie rzekomo w flamandzkich prowincyach wykłada się religię po francusku i na Bretanię, gdzie to samo się dzieje. Tymczasem trafiła kosa na kamień; pisma francuskie i belgijskie obeszły się z ministrem bez ceremonii, nazywając jego twierdzenie *radicalement erronée* i zaznaczając równocześnie, że w szkołach ludowych w Belgii niema ani jednego dziecka, któreby pobierało naukę religii w języku niezrozumiałym i że w Bretanii w jednym departamencie tylko wykładają religię po francusku, ale nieszczęściem ten właśnie departament jest na wskroś francuskim. Może ta nauka nie pójdzie w las i nauczy

trochę oględności i ostrożności, z którą nawet pruski minister liczyć się musi.

Jeżeli ta okoliczność niemiłe w Niemczech wywarła wrażenie, to więcej krwi psuje w hakatystycznej prasie ciągle jeszcze nowe prawo szkolne w Węgrzech. To prawo »stwarza — wedle *Kreuzzeitung* — dla Niemców węgierskich stosunki nieznośne, okrutne i niesprawiedliwe«, mają przecież protestanckie szkoły niemieckie podlegać kontroli rządu węgierskiego, książki w tych szkołach używane mają być drukowane w kraju, językiem wykładowym ma być węgierski, jeżeli przynajmniej połowa dzieci nim mówi albo go rozumie. Słusznie choć gorzko odpowiada na te lamenty i wzdychania *Kölnische Volkszeitung* (n. 303): »W obecnych warunkach nie mamy najmniejszego moralnego prawa krytykować węgierskiej polityki szkolnej, inaczej staniemy się podobnymi do tego pijaka, co innym zarzuca, że nie są abstynentami i nie należą do bractwa wstrzemięźliwości. Przerażona woła *Kreuzzeitung:* ‚Celem tego prawa szkolnego jest, aby każde, a więc i niewęgierskie dziecko mogło się po węgiersku porozumieć'. Tak! to jest na prawdę straszne! U nas w tolerancyjnych Prusach coś podobnego zdarzyć się nie może. Nie żądamy przecież tego, żeby polskie dzieci po węgiersku rozumiały. Po niemiecku muszą się wprawdzie uczyć, że aż głowa trzeszczy, ale to jest co innego, gdyż my jesteśmy narodem panów i wolno nam innych ludów prawa gwałcić, nie możemy jednak pozwolić, żeby z nami ktoś podobnie postępował. I dlatego jesteśmy w całym świecie tak lubiani«.

Oto kilka rysów z zamętu protestanckiego!

Ks. Wiktor Wiecki.

Listy z Warszawy.

Trzeci rok rewolucyjny, rok 1907-my, rozpoczął się w Warszawie bardzo uczciwym, bardzo rozumnym dokumentem politycznym, ogłaszającym dokonaną koncentracyę narodową (dnia 4 stycznia). Dokumentem tym jest odezwa utworzonego Centralnego Komitetu Wyborczego na Królestwo Polskie. Oto ona:

»Myśl zjednoczenia sił społecznych w imię wspólnej pracy dla dobra kraju i w celu zwalczania niebezpieczeństw zagrażających przyszłości Ojczyzny, ogarnęła w ostatnich czasach z tak nieprzepartą siłą szerokie warstwy naszego ogółu, że zmieniła się wreszcie w przeważną wolę Narodu.

»W poczuciu tej woli trzy stronnictwa, stojące szczerze na narodowej podstawie, oraz wielki zastęp ludzi bezpartyjnych, podjęły wobec zbliżających się wyborów do Izby Państwowej łączne usiłowania w celu stworzenia wspólnej organizacyi wyborczej.

»Na tej drodze powstały Komitet Centralny czuje i wie dobrze, że skupiając się około zbawczej zasady zjednoczenia, stworzy dla naszego społeczeństwa prawdziwą podwalinę siły.

»Dzielić nas mogą różnice poglądów na poszczególne sprawy, tak polityczne jak społeczne, zarówno jak na przyszły ich rozwój. Wszyscy jednak jesteśmy głęboko przekonani o tej prawdzie, że nie otworzy się przed nami szeroki szlak tego rozwoju, jeżeli nie osiągniemy podstawowych praw, jeżeli nie zdobędziemy dla kraju zasadniczych reform, dających rękojmię lepszej przyszłości.

»Niezmożona potęga życia, niezamierająca moc postępu sprawiła, że w państwie rosyjskiem powołanem zostało przedstawicielstwo narodowe do udziału w pracy prawodawczej. Jakkolwiek dalekim od doskonałości jest ten nowy ustrój państwowy, niemniej stanowi on moment dziejowy doniosły, a nam daje możność otwartego walczenia o przyrodzone prawa naszego Narodu.

»Prawa te pozyska Naród o tyle, o ile będzie chciał i umiał zdobywać je wytrwale, o ile potrafi w pracy tej być siłą spójną w jedności, rozumną i wytrwałą w działaniu.

»A więc ramię do ramienia! Szeregujmy się w zwarty zastęp tam, gdzie odpowiedzialność największa, praca najtrudniejsza, a potrzeba umiejętnego działania najbardziej oczywista.

»Tylko takie przedstawicielstwo polskie będzie godnem swej nazwy, które wysoko nosząc sztandar naszej narodowej samodzielności nie wystąpi jako rzecznik stronnictwa lub wyłącznej warstwy społecznej, ale stanie jako istotny wyraz woli kraju i myśli narodowej w głębokiem poczuciu tego, co nam wszystkim przekazał trud dziejów, ofiarna i znojna praca pokoleń, tradycye wolności, tolerancyi wobec wyznań i przekonań, oraz uczciwe uznanie równych praw każdego obywatela.

»Posłowie nasi powinni być zarazem przejęci do głębi i tą myślą, że wobec stronnictw rosyjskich reprezentują nie jedno więcej stronnictwo, ale cały odrębny naród. Pójdą oni do Izby Państwowej walczyć pośród różnych i różnolitych dążeń i poglądów o autonomię kraju naszego. To jest główny i przeważny cel naszego działania i pracy w przyszłej Izbie Państwowej — cel, dla osiągnięcia którego musimy skupić wszystkie nasze siły, stanąć solidarnością narodową i z niej wyrosłą solidarnością naszych przedstawicieli w Kole poselskiem.

»Komitet centralny krajowy zdaje sobie trzeźwo i dokładnie sprawę z trudności i przeszkód, jakie im przyjdzie przezwyciężać — pragnie przeto, aby wybór padł na ludzi, którzy obok głębokiego a wyrozumiałego patryotyzmu odznaczają się rzetelną znajomością spraw krajowych i potrzeb szerokich warstw społecznych, wyrobieniem politycznem i umiejętnością wynajdywania dróg, które wśród zawikłanych stosunków w państwie wiodą najprościej i najpewniej do celu.

»Nie mierzmy ludzi stronniczą ich przynależnością, ale patrząc głębiej, bierzmy rzeczywiste wartości w społeczeństwie, a wytworzą one siłę najlepszą, najsprawniejszą, siłę, która przedstawicielstwu naszemu da prawdziwą powagę i do liczenia się z niem przymusi.

»W tej myśli, silny poczuciem, że wyraża istotną wolę polskiego społeczeństwa, zwraca się Komitet Centralny w imię tych haseł do ogółu obywateli z wezwaniem do oddania głosów poleconym przez niego kandydatom i z wiarą, że kraj łączny w myślach i uczuciach, stanie wobec wyborów zgodnie i stanowczo pod chorągwią narodowej jedności.

»Lecz zwycięstwo jedności wówczas tylko będzie zupełnie pewnem, gdy wszyscy obywatele spełnią sumiennie swój obowiązek wyborczy. Obojętność i zaniedbanie są w takich razach grzechem przeciw narodowi. Oczywistą rzeczą jest, że im większą przedstawiciele nasi będą mieli za sobą liczbę głosów, tem większy będzie ich wpływ i powaga. Niech więc wszyscy, którzy prawdziwie kochają swój kraj,

którym drogą jest przyszłość Narodu, którzy chcą wolności, sprawiedliwości i ładu w tej naszej polskiej ziemi, staną jak jeden mąż do urny wyborczej pod hasłem: Ojczyzna i obowiązek«.

Po takiej bardzo ładnej, bardzo rozumnej odezwie należało się spodziewać, że wszystkie trzy »skoncentrowane« stronnictwa: Narodowa demokracya, Realiści i Polska Partya Postępowa, stojące na gruncie polskim, zwalczające żywioły międzynarodowe i socyalistyczne, pójdą ręka w rękę w miłości i zgodzie, staną do urny wyborczej jako ciało jednolite, że zapomną sobie nawzajem, że zapomniały już wszelkie urazy, pretensye, gniewy, dąsy.

Ale teorya swoją drogą, a praktyka, życie swoją — czyli, ładne, rozumne odezwy co innego, a co innego ludzkie ambicye, namiętności, zarozumiałości i t. d.

Skoncentrowane »przedstawicielstwo polskie nie wystąpi jako rzecznik stronnictwa lub wyłącznej warstwy społecznej, ale stanie jako istotny wyraz woli kraju i myśli narodowej« — i »Komitet Centralny Wyborczy pragnie, aby wybór padł na ludzi, którzy obok głębokiego a wyrozumiałego patryotyzmu odznaczają się rzetelną znajomością spraw krajowych i potrzeb szerokich warstw społecznych, wyrobieniem politycznem... Nie mierzmy ludzi stronniczą ich przynależnością, ale bierzmy rzeczywiste wartości społeczne« i t. d.

Doskonale... Trzeba było w istocie »nie mierzyć ludzi ich stronniczą przynależnością, lecz brać rzeczywiste wartości społeczne«, okazało się bowiem, że najsilniejsze liczbą stronnictwo (Narodowa demokracya), że armia narodowa posiada bardzo mało zdolnych oficerów, a jeszcze mniej jenerałów. »Koło Polskie« w pierwszej Dumie nie miało ani jednego oratora sejmowego w większym stylu i ani jednego wodza politycznego. Narodowa Demokracya posłała do Petersburga samych podrzędnych oficerów, którzy razem wzięci, jako korporacya, jako ciało jednolite, zachowywali się rozważnie, słuchali karnie komendy z Warszawy, nie popełnili żadnego błędu, w szczególności jednak nie odciął się ani jeden z nich od szarego tła, czy talentem, czy pomysłowością. Więc trzeba było dla »honoru domu« poszukać w innych stronnictwach, należących do koncentracyi, choćby kilka wybitniejszych zdolności krasomówczych lub szerszych głów politycznych.

Tak nakazywał rozum polityczny, tak nakazywała lojalność po dokonaniu koncentracyi narodowej.

Demokracya Narodowa, dzięki swej sile liczebnej, wodzirej koncentracyi, powinna była uwzględnić realistów, Polska Partya Postępowa

bowiem jest tak słaba liczbą, reprezentuje tak szczupłe koło intelligencyi, iż waży nie wiele w ruchu politycznym.

Wprawdzie nie rozporządzają także realiści (byli ugodowcy) armią, w skład ich jednak wchodzą żywioły czysto polskie i osobistości już znane z długoletniej działalności politycznej. Nie wnieśliby oni do sejmu żywiołowej siły Narodowej Demokracyi i jej młodego temperamentu, ale służyliby Kołu Polskiemu niewątpliwie spokojem i rozwagą, byliby w razie potrzeby pożytecznym hamulcem szkodliwego rozmachu.

A właśnie względem realistów zachowała się Demokracya Narodowa nielojalnie, »mierząc ich stronniczą przynależnością«, walcząc z nimi, obniżając ich wartość rozmyślnie w swoich głównych organach *(Goniec* i *Gazeta Polska)*, bojkotując przy wyborach ich kandydatów na posłów, dowiodła ona po raz tysiączny, że ładne słowa i frazesy dezw politycznych są jako ten wiatr, co w polu wieje.

Demokraci Narodowi nie mogą zapomnieć realistom (byłym ugodowcom) ich pogrzebanej przez wypadki ugodowości, ich ostrożnej lojalności, nie rozważywszy, że przed wojną japońską i ogłoszeniem konstytucyi była w Królestwie polityka odważna, zaczepna, niemożliwa, bo byłaby ją zdusiła represya biurokracyi rosyjskiej, jak rozgniewany buldog dusi szczekającego kundla. Zmienione warunki zmieniły także metodę byłych ugodowców, rzuciły ich siłą wypadków na szerokie podłoże narodowe. Są oni dziś tak samo patryotami, jak Narodowi Demokraci.

Zajmując się polityką jawnie, publicznie, wówczas, kiedy inne stronnictwa mogły uprawiać tylko podziemną robotę, realiści są politycznie więcej wyrobieni od przedstawicieli innych partyi i mogliby w turnieju politycznym być doskonałą przeciwwagą przeciw zbytecznemu rozpędowi reformatorskiemu.

Mimo koncentracyi narodowej i mimo bardzo uczciwej i bardzo rozumnej odezwy przedwyborczej, robili Demokraci Narodowi przy wyborach wszystko, aby nie dopuścić kandydatów realistów do sejmu. Woleli poprzeć i przeforsować wbrew woli ludu postępowców (P. P. P.), dwóch neofitów, adwokatów: Henryka Konica (w ziemi płockiej) i Stanisława Sunderlanda (w ziemi siedleckiej).

Demokracya Narodowa zwyciężyła po raz wtóry, bo musiała zwyciężyć, bo nie mogła nie zwyciężyć. Wygrana jej jest naturalnym skutkiem położenia kraju.

Nic naturalniejszego nadto, że społeczeństwo, które wegetowało przez lat czterdzieści w piwnicznej atmosferze niezwykłego ucisku, którego instyktowe odruchy narodowe krępowały kleszcze wrogiego wszelkiej polskości systemu, które duszone za gardło, nie miało nawet prawa do skargi mordowanego zwierzęcia, że takie społeczeństwo, gdy zmienione warunki polityczne pozwoliły mu nareszcie odetchnąć świeższem powietrzem i spojrzeć na jasne słońce swobody, zapragnęło przedewszystkiem być sobą, narodem polskim i garnie się do tego stronnictwa, które wywiesiło sztandar narodowy bez żadnych zastrzeżeń. Któżby się temu dziwił? Nie może być inaczej.

Ale te zmienione warunki podziałały nie tylko na wielkie masy narodu. Odświeżyły one także tych działaczów politycznych, którzy się przed wojną japońską i przed rewolucyą zajmowali polityką, zmieniły także i byłych ugodowców, obecnych realistów. I oni są obecnie patryotami polskimi.

Nie są nimi, nie chcą być, tylko żywioły międzynarodowo-ogólnoludzko-postępowe — Demokraci Postępowi *vulgo* oświeceni, Żydzi, bundyści i socyaliści, czemu się zresztą dziwić nie można, bo żadna nić sympatyczna nie łączy ich z tradycyą historyczną Polski.

Żydzi stanęli przy wyborach do pierwszej Dumy gromadnie po stronie Demokracyi Postępowej, spodziewając się zwycięstwa w Warszawie, w Łodzi i w niektórych miastach Królestwa.

Poniesiona klęska wytrzeźwiła rozważniejsze żywioły żydowskie. Z wrodzonym tej rasie zmysłem praktycznym, zrozumieli nawet ciemni hasydzi, że sojusz ze stronnictwem, pozbawionem siły nie jest »żadnym interesem«, że interes nakazuje trzymać się poły mocniejszego. Z całą naiwnością szczerego kupca, odezwał się jakiś »husyta« w jednem z pism żydowskich: »My prości Żydzi, mieszkamy w Polsce, mamy różne interesy z Polakami i chcemy żyć z nimi w zgodzie. Nasza intelligencya poprowadziła politykę, która pokłóciła nas z Polakami i nie dała nam ani jednego posła Żyda. Na taką politykę my się nie godzimy, i czy nasi intelligentni przedstawiciele pojednają się z Polakami czy nie, my przy wyborach głosować będziemy na polskich kandydatów narodowych«.

I syoniści, czyli nacyonaliści żydowscy, nie byli zadowoleni z działalności Demokracyi Postępowej. Jeden z ich przywódców drwił na jakimś wiecu postępowo-demokratycznym z gospodarzów zebrania, nazwał ich »partyą najmarniejszą, handlarską, składającą się nie z autentycznych Polaków, ale z faktorów żydowskich«.

Wobec tak wyraźnie nieżyczliwego usposobienia mas żydowskich dla intelligencyi żydowskiej, należało się spodziewać, że te masy pójdą przy wyborach ręka w rękę z koncentracyą polską. Utworzył się w istocie komitet żydowski, łączący się z Narodową Demokracyą, w ostatniej jednak chwili zwarli się Żydzi z nielicznymi wyjątkami w legion przeciwpolski i głosowali za swoimi kandydatami. A legion ten okazał się groźnym w Warszawie i w Łodzi. Koncentracya narodowa zwyciężyła tak drobną przewagą głosów, iż jej powodzenie w przyszłości nie jest bardzo pewnem.

Separatyzm żydowski zemści się na żydach. Antysemityzm wzmaga się ciągle, rośnie, przybiera formy gwałtowne. Nawet żywioły spokojne, obojętne, życzliwe żydom, zaczynają się od nich odwracać.

Rozkołysały się podczas wyborów namiętności polityczne, rozwiązały się złośliwe języki, jak na całym świecie. Poszczególne stronnictwa, walcząc z sobą, miotały na siebie: chuliganami, czarną sotnią, wstecznikami, głupcami, zdrajcami, parchami i t. d. Było »wesoło« w Warszawie w styczniu i w lutym. Głównie postępowi demokraci i socyaliści starali się wyczerpać cały słownik straganiarski.

I narodowcy nie próżnowali.

Wychodziła podczas wyborów »Bomba wyborcza, ostatnie wieści uciesznej treści, wielkie pismo bardzo polityczne«, — świstek humorystyczno-satyryczny, który wylał cały kubeł pomyj na postępowych demokratów. Dostało się głównie pp. Świętochowskiemu, Krzywickiemu, Niemojewskiemu i braciom Kempnerom. Ze Świętochowskiego drwi »Bomba«, że »śnił mu się własny pomnik na skwerze na Krakowskiem Przedmieściu obok Mickiewicza«, o Niemojewskim opowiada, że »zaniemógł poważnie, gdyż o północy zaczął mówić rozsądnie«. Nawet wierszami dokuczono redaktorowi *Niepodległej myśli,* »osobistemu wrogowi Boga«:

PAN ANDRZEJ NIEMOJOWER.

Niby pęcherz koszerny, skroś nadęty pychą
Wszędy musi warcholić, nigdy siedzieć cicho...
Apostata — bez tronu, Renan — bez nauki,
To mędrzec z Pociejowa, po groszu od sztuki,
Wróg Boga, ale z butą Heroda — tetrarchy
Wierzy w cztery P: pychę, patos, plucie, parchy.

Bomba za sześć groszy! — wykrzykiwali chłopcy na ulicach, a publiczność rozchwytywała »Bombę« i bawiła się doskonale cudzym kosztem.

Trzeba mieć bardzo strawny żołądek i chorą ambicyę, aby chcieć zabawiać sobą publiczność. Ale panowie politycy mieli zawsze bardzo strawne żołądki i prawie zawsze chorą ambicyę, brodzącą przez wszelakie rynsztoki do władzy, do zaszczytów.

Rozkołysały się namiętności polityczne podczas wyborów, rozkołysała się także pasya mówienia.

Naród, który musiał milczeć przez lat czterdzieści, oglądając się na prawo i lewo, czy go kto niepotrzebny nie podsłuchuje, dorwawszy się do swobody słowa, gada, gada bez końca. Sesya idzie po sesyi, wiec po wiecu, — w długim szeregu ciągną się te straszliwie nudne popisy oratorskie, ożywione tylko od czasu do czasu jakimś skandalem. Legion różnych próżniaków zabija w ten sposób czas, z którym nie wie, co robić, wystawiając sobie przytem, że pracuje ogromnie, że służy sprawie narodu, ludzkości.

Rozgadały się także nasze niewiasty, urządziły sobie w styczniu i w lutym »wiece matek«, »wiece małżeńskie«, »wiece w sprawie równouprawnienia kobiet« i »wiece córek«.

Rozprzęga się rodzina, podstawa społeczeństwa, upada autorytet rodziców. Dzieci »uświadamiają się«, mają rodziców za baj-baju, lekceważą profesorów, drwią sobie ze szkoły, z jej karności.

Tak skarżą się rodzice, nauczyciele, publicyści.

Był u mnie kiedyś Kazimierz Kaszewski, nestor warszawskiej prasy i literatury. Sędziwe lata wycofały go już z tartaku roboty bieżącej, ale nie ostudziły jego serca gorącego, uczciwego, bijącego niezmiennie dla sprawy publicznej.

Chwyta mnie za ręce i mówi cały wzburzony:

— Czytał pan?

— Cóż takiego?

— Ten bezecny adres dzieci do arcybiskupa.

— Czytałem.

— Panie, dokąd my idziemy?! — mówił starzec ze łzą w oczach.— Okropnie!

Nikt rozważniejszy nie może pochwalić politykowania gimnazistów i pensyonarek, po prostu dlatego, że polityka odrywa dzieci od książki, a dzieci powinny się przedewszystkiem uczyć, aby, nauczywszy się czegoś, mogły brać kiedyś same udział w życiu publicznem.

Ale nie urodził się jeszcze ten mistrz, któryby przekonał dzieci o tej prostej prawdzie. Politykowaliśmy wszyscy w szkołach, byliśmy wszyscy w 16-ym, 17-tym, 18-ym roku życia tytanami, których nie

przerażała żadna trudność, żadna przeszkoda, którzy pną się z wielkim animuszem na każdą wieżę Babel, nie wiedząc, że im się po drodze pomieszają klepki i języki. Mieliśmy wszyscy w pierwszej młodości rodziców, starszych krewnych, profesorów za mamutów, za idyotów, za nieznośnych zrzędów. Zachodziła jednak różnica między nami, starszem obecnie pokoleniem, a pokoleniem najmłodszem. Mieliśmy się wprawdzie w porównaniu z naszą »władzą» za geniuszów, Salomonów, Sokratesów, Brutusów, Napoleonów, za orły i lwy, ale po cichu, w swojem kółku; podrwiwaliśmy sobie z »nudnych mamutów«, ale na boczku, gdy nas one mamuty nie słyszały. Powaga rodziców i profesorów, poparta w razie potrzeby panem Boćkowskim albo Karcerem, trzymała nasz rozpęd tytaniczny na smyczy.

Ta powaga już nie istnieje; stargały ją, porwały niemądra pedagogika i niemądrzejsza od niej anarchia.

Ostatnie lat pięćdziesiąt były »królestwem dzieci«. Najnowsza »eksperymentalna« pedagogika zepchnęła rodziców i wychowawców do rzędu sług, niewolników dzieci, usunęła ze sztuki wychowania kary, postawiła zasadę pełnej swobody, kazała przemawiać tylko do rozumu, do serca, do dobrej woli dziecka i t. d. Dzieci ostatnich dwóch pokoleń chowały się jako »źrebięta przy oślicy«, były bożyszczami rodziców, królewiętami domu, tyranami ojca i matki. Wszystko im było wolno, niech Pan Bóg broni karać, trzeba prowadzić dzieci tylko dobrocią i argumentacyą rozumową...

Pedagogikę tę stworzyli niewątpliwie mędrcy, którzy albo nie mieli sami dzieci, albo, mając je, nie zajmowali się ich wychowaniem. Mądrość swoją wysnuwali z doktryny *a priori*. Bo kto ma dzieci i zajmuje się niemi, ten wie, że dziecko przeciętne lekceważy słabą dobroć, pobłażliwość, a szanuje tylko silną władzę. Bardzo kochające matki i bardzo słabe nianie mogą potwierdzić to doświadczenie. Im więcej pieszczą, ubóstwiają dzieci, tem większą mają z niemi biedę. Zalecanie zresztą przez pedagogikę dobroci względem dziecka jest zgoła zbyteczne, każdą bowiem przeciętną matkę (nie mówi się o zwyrodniałych) uczy tej cnoty instynkt macierzyński, silniejszy od najsilniejszych argumentów. Uczyćby raczej trzeba matki ze sfer kulturalnych, aby nie psuły dzieci słabą pobłażliwością.

Dzieci trzeba chować, wciskać, wtłaczać w obrożę życia, przyzwyczajać do karności, porządku i pracy, a taka tresura nie może się obyć bez kar, za czem oczywiście nie idzie, aby drobiazg bić, poniewierać. Wystarczają kary łagodne, działające na dziecko wrażliwe tak

samo, jak surowe. Ale dziecko musi znać »mores« przed ojcem, matką i nauczycielem, musi ich szanować i słuchać. Lepiej, że ojciec i matka ukarzą dziecko, jak żeby je życie miało później chłostać za słabość rodziców.

Tego »moresu« nie uczyliśmy dzieci w ostatnich latach czterdziestu i oto pierwszy powód ich obecnej swawoli.

Potem przyszły doktryny pozytywistyczne, materyalistyczne, obywające się bez Boga, bez religii, zachwalające »niezawisły rozum« i »niezawisłą etykę«, potem teorye modernistyczne z chorobliwym indywidualizmem, z »nadczłowiekiem«, czyli rozpętanym egoizmem, w końcu rewolucya, druzgocąca wszelką powagę wogóle, a więc i rodzicielską i nauczycielską.

Do gotowego już materyału palnego włożyli lonty nierozumni agitatorowie, powołujący dzieci, uczniów gimnazyalnych i pensyonarki z trybun wiecowych do »roboty wolnościowej«, wciągający młodziuchne serca, młodziuchne dusze w wiry chaosu rewolucyjnego, w krwawe męty anarchii, wciskający im do rąk wywrotowe broszury, nienawiścią przepojone odezwy, rewolwery, bomby, wzywający ich wprost do nieposłuszeństwa względem rodziców,... »mydlarzów, mamutów, burżujów bez serca, odwagi i zapału«.

Wszystkie te przyczyny złożyły się na wprost nieznośny stosunek młodzieży do rodziców i profesorów. Doszło do tego, że rozważniejsza, uczciwsza młodzież ogłosiła w swoim organie p. t. *Znicz* protest przeciw »anarchii, jaka się zagnieździła i rozpanoszyła w murach uczelni prywatnych«. Doszło do tego, że drugi protest przeciw swawoli i rozpolitykowaniu młodzieży ogłosił »Związek nauczycieli polskich« (26 lutego 1907 r.):

»Protestujemy przeciw wprowadzaniu jakiejkolwiek polityki w życie szkoły polskiej — wołają nauczyciele.

»Protestujemy przeciw polityce nauczycieli i uczniów, dyrektorów i rodziców, o ile polityka ta zechce ujawnić się i wystąpić w szkole.

»Protestujemy przeciw wciąganiu młodzieży naszej do akcyi politycznej dorosłych, a w szczególności do wszelkiego rodzaju agitacyi.

»Protestujemy przeciw odrywaniu jej od nauki, przeciw wyzyskiwaniu w sposób niegodny najlepszych instynktów dusz młodocianych, przeciw podsuwaniu jej przykładów i obrazów wstrętnych, przeciw rzucaniu w nią zarzewia namiętności politycznych i walk partyjnych.

»Protestujemy przeciw marnowaniu i psuciu przez społeczeństwo tego, co to samo społeczeństwo kosztem ofiar i wysiłków niezmiernych zdobyło.

»Wzywamy niniejszem wszystkie nasze korporacye społeczne, wszystkich ludzi, jak my myślących, wszystkich rodziców i nauczycieli i samą młodzież, o którą tu chodzi, do przyłączenia się do naszego protestu«.

W dniu wyborów warszawskich — skarżą się nauczyciele — »żadna prawie szkoła męzka nie była zdolna funkcyonować prawidłowo, acz nie było to ani święto narodowe, ani święto społeczne, tylko pospolita mobilizacya żywiołów głosujących, nic ze szkołą nie mająca wspólnego. W dniu tym młodzież szkolna i poza szkolna powołana była do szeregu, aby walczyć w imię nazwisk przyszłych posłów każdego ze współubiegających się stronnictw, w dniu tym zamiast poić młodzież czystą atmosferą nauki wyciągnięto ją z murów szkolnych i kazano czerpać naukę, przykłady i wzory z rozpętanej agitacyi ulicznej«.

Mądry Polak po szkodzie...

I nie tylko Polak. Wszystkie społeczeństwa tracą w chwilach burzliwych głowę. Dopiero w takich chwilach widzi się, jak mało głów spokojnych, rozważnych posiada każde społeczeństwo. Ale wszystkim zdaje się, że odgadły tajemnicę uszczęśliwienia ludzkości.

Lamentują teraz publicznie publicyści, nauczyciele, młodzież. Ale publicyści zachwycali się z nielicznymi wyjątkami »odwagą patryotyczną« dzieci, oklaskiwali ich »zapał wolnościowy«, a nauczyciele podtrzymywali skwapliwie ten »święty ogień patryotyzmu i zapału«.

Rekrutując się przeważnie z żywiołów radykalnych, na prędce, z powodu braku doświadczonych pedagogów, sfabrykowani profesorowie szkół polskich, pijani »entuzyazmem wolnościowym«, zachwyceni »bohaterstwem bojówki socyalistycznej«, potracili w pierwszej chwili głowy, jak wielu innych działaczów i popierali zachętą swawolę młodzieży, widząc w niej »naturalny odruch przebudzonego patryotyzmu«. Zamiast dzieci uczyć wiecowali razem z niemi, dysputowali, wchodzili w śmieszne kompromisy, traktowali rozbrykanych chłopców, jak dorosłych mężów. Teraz dopiero, kiedy nie mogą przełknąć nawarzonego przez siebie samych piwa, kiedy widzą, że anarchia szkolna przerosła ich siły i powagę nauczycielską, — »protestują«. A protestując, zwalają winę na społeczeństwo, które jakoby »nie poparło ich rozumnych zamiarów«, znieważają społeczeństwo zarzutem warcholstwa. Kowal zawinił, cygana wieszają.

A im to właśnie, panom profesorom, pomieszały się klepki w głowie. Nawet w »proteście«, który ma przywrócić porządek w szkole,

nie potrafili zapomnieć o swoich przekonaniach radykalnych, wskazując palcem »agitacyę klerykalną«, której w Królestwie niema wcale. Cała »agitacya klerykalna« polega u nas na tem, że prefektowie szkół i rozumniejsi rodzice żądają nauki religii, co się różnym filozofom z Psiej Wólki nie podoba, co nazywają wstecznictwem, obskurantyzmem, ogłupianiem dzieci.

I tacy to mędrcy rzucają społeczeństwu w twarz zarzut, że nie poparło ich »rozumnych zamiarów«, że swojem rozpolitykowaniem zdemoralizowało młodzież. Na protest nauczycielów odpowiedział bardzo dobrze i bardzo odważnie (bo trzeba być dziś u nas odważnym, by nazwać warcholstwo warcholstwem) ksiądz Szkopowski, jeden z prefektów szkół prywatnych, »listem otwartym do polskiego związku nauczycielskiego«.

»W sprawie »protestu« — pisze ks. Szkopowski — ogłoszonego przez Polski Związek nauczycielski, w którym rzucono w oczy społeczeństwu »gorzki wyrzut«, że nie spełniło ono swoich obowiązków wobec młodej i »chorej« szkoły polskiej, że wprowadziło ono do tej szkoły »politykę«, że młodzież tę z »czystej atmosfery nauki« wyprowadziło »na ulicę« i wplątało w »agitacyę wyborczą«, śmiem zapytać dzisiejszych członków Związku, czy przypominają sobie zebranie nauczycielskie z dnia 4-go listopada 1905 r., na którem wygłaszali, że »młodzież powinna brać udział w życiu politycznem chwili«, że »należy ją wyprowadzić na ulicę, gdyż na ulicy może się więcej nauczyć, aniżeli w szkole« i t. p. Przypominam wreszcie, że przed urojonem niebezpieczeństwem klerykalizmu już było i jest prawdziwe niebezpieczeństwo agitacyi bezwyznaniowej, prowadzonej z fanatyczną zaciekłością, która wprowadza do szkoły zamęt, niedający się opisać.

»Wobec powyższych danych uważam, że Polski Związek nauczycielski nie miał prawa ciskać w oczy społeczeństwu swojego »protestu«.

Głównie dyrektorowie (przedsiębiorcy) prywatnych szkół polskich z obawy utraty uczniów, zmniejszenia się ich liczby (dochodów), nie mieli odwagi narazić się na niełaskę dzieci, zalecali pobłażliwość, wchodzili z chłopcami i panienkami w konfidencye i kompromisy, patrzeli przez szpary na ich politykowanie, zapominając, że młodzież zachowuje się względem słabego nauczyciela bezwzględnie, wprost brutalnie, ma go za ścierkę, uciera sobie nim nos, a szanuje tylko tego profesora, który potrafi młodą niesforność trzymać w kleszczach mocnej woli.

Dzieciom nie można się dziwić, że im się w głowach przewróciło, bo skądże miałby się wziąć u dzieci rozum, który jest zawsze

owocem dłuższego doświadczenia. Ale agitatorowie, poświęcający dla swoich ambicyi i ambicyjek dorastające pokolenie, burzący świadomie rodzinę, zasługują na pręgierz. Słyszeliśmy przecież tych oszalałych ambitników, wzywających z mownic i z łamów pism dzieci do jawnego buntu przeciw rodzicom: nie słuchajcie tych starych głupców, wy i tylko wy, żaczkowie szkolni, jesteście pochodnią przyszłości, wy tylko posiadacie prawo do budowania gmachu tej przyszłości; uczyć nie potrzebujecie się niczego, albowiem przynieśliście ze sobą na świat jasnowidzenie i geniusz polityczny...

W ten sam mniej więcej sposób, temi samemi prawie słowami przemawiali doktrynerzy i szczekacze *(aboyeurs)* wielkiej rewolucyi francuskiej do motłochu, do ulicy, do przedmieść Paryża.

Rodzina się rozprzęga, upada autorytet rodziców — lamentują teraz różni działacze i zwołują różne wiece w celu porozumienia się, jak zaradzić złemu.

I »matki« wiecowały.

Szczególne były te »wiece matek«, na których przemawiali mężczyźni i perorowały feministki, albo stare panny, niemające jako bezdzietne wyobrażenia o obowiązkach matki, albo mądre mężatki, pochłonięte do tego stopnia polityką, agitacyą rewolucyjną, iż zbywa im na czasie do zaglądania do pokoju dziecinnego.

I o czem rozprawiały te »matki«?

O konieczności »uświadamiania« chłopców i dziewcząt, czyli wtajemniczania ich w misterye małżeństwa.

I o czem jeszcze?

O »wyemancypowaniu dziecka z pod tyranii Kościoła«, o konieczności zdjęcia z niego nieznośnego ciężaru nauki religii«, która »uczy obłudy, gasi samodzielność myśli«.

I jeszcze o czem?

O szkodliwości bohaterstwa, bohater bowiem, obrońca ojczyzny, to »zwyczajny morderca, zbój« i t. d. Leonidas powinien zniknąć z podręczników historycznych, obrony Częstochowy nie trzeba apoteozować, wszelkie bowiem obrony, bitwy są barbarzyństwem. Według tych pań lepiej, »kulturalniej« pozwolić się zarznąć najezdcy aniżeli się bronić.

Dziewczyny wiejskie w Płockiem modlą się żartobliwie: »Święty Prokopie daj nam po chłopie«.

Święty Prokopie, daj po chłopie tym filozofującym, politykującym feministkom i rewolucyonistkom, a może przestaną wichrzyć i gorszyć młode pokolenie.

Bo te wszystkie »uświadamiające« wiece, o których dowcipna Warszawa mówi »wiece to hece«, te wszystkie popisy oratorskie niemądrych bakalarzów i rozczochranych feministek są po prostu publicznem zgorszeniem. Salę »Filharmonii«, najwygodniejszą arenę tych turniejów gadaniny, wypełnia zwykle po brzegi młodzież płci obojga. I ta młodzież, te panienki, ci chłopcy, słyszą w tej sali słowa, frazesy, określenia, mądrości, które podniecają ich fantazyę, ich zmysły, zachęcają ich do »swobody obyczajów«, do lekceważenia religii, domu, rodziców, szkoły, które rzucają w ich młode, niedoświadczone głowy i serca, anarchię pojęć i uczuć, budzą w nich grzeszne apetyty i zwierzęce namiętności.

Natura sama »uświadamia« człowieka w porze właściwej. Rozmyślne przyspieszanie jej roboty nie służy ani moralnemu ani fizycznemu zdrowiu.

Ale tego nie chcą zrozumieć nasi mędrcowie od wczoraj. Tym panom i tym paniom zdaje się naprawdę, że są słońcem, którego blaski opromienią i odrodzą cały świat. Wszakżeż jeden z tych proroków, dr. Wróblewski, redaktor pisma *Czystość* nadął się na »wiecu małżeńskim tak pysznie, iż wołał: nasze wiecowanie etyczne może wpłynąć na zmianę opinii publicznej u nas i zwrócić oczy całej Europy na Polskę, z której popłynąć mają na świat całe snopy nowego etycznego światła«.

»Wiecowaniem etycznem« nazywają bezmyślni wywrotowcy swoją niechlujną, rozpustną gadaninę — podniecanie zmysłów dzieci, zachęcanie ich do krytyki rodziców i profesorów, domaganie się małżeństw cywilnych, lekceważenie religii, propagandę »swobody sumienia i obyczajów«.

Warszawę, zwącą się postępową, ogarnął szał wywrotowy. Wszystko, całą przeszłość, całe doświadczenie setek lat, usiłują przewrócić do góry nogami, przenicować, ci naiwni w swoim entuzyaźmie reformatorowie, których burza rewolucyjna wyrzuciła na wierzch i niesie ich niewiadomo dokąd.

Teodor Jeske-Choiński.

Ze świata artystycznego.

Rozwydrzenie form plastycznych. — Wzajemna adoracya artystów. — Jubileusz dziesięcioletni Towarzystwa »Sztuka«. — Jan Stanisławski, wspomnienie pośmiertne. — O braku katedry architektury na Akademii sztuk pięknych. — Polichromia.

Bądźmy szczerzy. W tej sztuce najnowszych prądów, obok świetnych malarskich zdobyczy, obok kapitalnych dzieł nowożytnej rzeźby, znajdujemy jakieś dziwne majaczenia, fantasmagorye. Wpatrzywszy się w nie i zapomniawszy o własnem istnieniu, zdaje mi się, że jestem w śnie, jakaś gorączka mnie trawi, tamuje bicie serca, a nienaturalne zjawy plastyczne przygniatają mi piersi i lęk budzą swą potwornością. Wtórują im w tej rozwydrzonej igraszce form i najdzikszych pomysłów pienia dekadentów na cześć ich i chwałę. Pełno tych hymnów bałamucących ogół, nieszczerych, pozornie wysubtelnionych, w rzeczywistości czczych i próżnych, nielogicznych i wyszukanych. Wspomnijmy tylko na te trzy bezczelnie nagie, stare hetery obrazu p. Vlastimila Hofmanna — wystawione tak nieskończenie długo w zeszłym roku w salach Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie. Ludzie odwracali się ze wstrętem, sarkali głośno lecz bezskutecznie przeciw wystawianiu takiej ohydy form, lecz na próżno. Stałem krótko przed tym obrazem, który potem długo i długo nękał mnie, bo wpił się szponami w mózg i jak Harpie nieziemskie ścigał mnie odrazą swojej zgnilizny. Wybryk pomysłu na tle seksualnem. Na próżnobyś się nieraz silił, widzu, odgadnąć cele i zamiary artysty, bo ich chyba nie było, ale bądź pewny, że znajdzie się zawieruszony literat lub towarzysz-artysta, który potrafi wysnuć z tego całe stosy zapisanego papieru.

Dzisiejszy pisarz-recenzent, naturalnie także artysta, upadłszy na twarz, tarza się w pyle, jak przed bożyszczem, przed osobą artysty i woła wielkim głosem: o jakiś ty wielki! Na krytycyzm, na rozbiór trzeźwy zalet i wad dzieł omawianego artysty naturalnie niema tam miejsca. Następuje atoli prawdziwa powódź wyszukanych, przesłodkich słów chwalby, potoki pięknie brzmiących wyrazów *in superlativo*, które w istocie nie są niczem innem, jak skrzętnie ze słownika wypisanymi przymiotnikami. Aby nabrać o tem pojęcia, dość wziąć do ręki np. *Nasz Kraj* i przeczytać jedną z recenzyi takiego artysty-pisarza. Wszystkie one jednakie, którąkolwiekbądź przejrzysz, czytasz jak tą metodą

lukrowania recenzyjnego dzieł artystów nowego kursu szerzy się kult wzajemnej adoracyi...

Dziesięć lat minęło od chwili założenia Towarzystwa »Sztuka«, liczącego zwartą grupę 24 malarzy tudzież jednego rzeźbiarza. Pierwsza silna organizacya artystyczna, która świadoma celów, jednolita duchem, jaki ją zawsze przenikał, bezwzględna wobec innych kierunków potrafiła zdobyć w krótkim czasie uznanie w kraju i za granicą. Od pierwszego występu swego r. 1897 w Krakowie i Lwowie umiała pozyskać »Sztuka« dla siebie prasę, tem więcej, iż także w swojem gronie liczyła członków tęgo władających piórem. Poczuła się na siłach. W r. 1902 wyruszyła z występami gościnnymi do Wiednia i Pragi, po zdobytych tam wawrzynach szła już śmiało naprzód zdobywając natychmiast wstępnym bojem uznanie: St. Louis, Düsseldorf, Lipsk, Drezno, Monachium, Londyn, to pamiętne miejsca zwycięstw w międzynarodowem współzawodnictwie sztuki polskiej.

Największe tryumfy odnosili w chwalebnych usiłowaniach: Wyczółkowski, Wyspiański, Mehoffer, Axentowicz i Fałat — ale najintelligentniejszym, właściwym przywódcą był nie kto inny tylko:

JAN STANISŁAWSKI,

którego śmierć w dniu 6 stycznia b. r., w chwili otwarcia jubileuszowej wystawy kirem ją powlekła.

Poświęćmy słów kilka wspomnienia typowej postaci Stanisławskiego. Urodził się (d. 24 czerwca 1860 r.) na Ukrainie, która też na rodzaju jego twórczości wywarła swój wpływ niemały, bo krajobrazy rodzimych stron snuły mu się przez cały ciąg twórczości artystycznej. Syn tłumacza »Boskiej komedyi« Dantego, wychował się w odległym od Polski Kazaniu, gdzie ojciec jego zesłany a jako profesor uniwersytetu wykładał filozofię prawa. Wśród studyów nauk matematycznych na Uniwersytecie warszawskim i w petersburskim Technologicznym instytucie ulegał urokowi sztuki. Przygodne zwiedzanie Galeryi obrazów w Petersburgu zbudziły w nim zamiar zostania malarzem.

Gerson w szkole rysunkowej warszawskiej, Łuszczkiewicz w krakowskiej, wreszcie w r. 1885 Karol Durand byli mu przewodnikami w pierwszym okresie urobienia się artystycznego. Wojciecha Gersona znaczenie w polskiem malarstwie gruntuje się głównie na jego pedagogicznej i pejzażowej działalności, ta ostatnia była wprawdzie niewielką, ale znaczącą, w niej okazał się Gerson szczerym artystą. Pejzaż Gersona oddziałał też trwale na kierunek Stanisławskiego. W Paryżu w znakomitym francuskim portreciście Karolu Durand, zwolenniku a po-

niekąd naśladowcy Velasqueza, znalazł on przewodnika artystycznego, który go wywiódł z pracownianej atmosfery na świat, ku bezpośredniemu zetknięciu się ze światłem i barwą, do *plein-airu*. Obok Duranda doradcą i przyjacielem był mu Chełmoński, natomiast mistrzami jego były dzieła kolonii artystycznej z Fontainebleau, szkoły francuskiego *paysage intime* [1]. Dwaj malarze oddziałali przez swoje obrazy na Stanisławskiego silniej od innych. Jednym z nich był Teodor Rousseau († 1867), na płótnach jego zjawia się tylko wyjątkowo ludzka postać, aby jako barwna plama uzupełnić harmonię obrazu, — hołdując szczegółom, był on raczej epikiem niż lirykiem, — znamienny silnymi kolorystycznymi akordami tonów i słonecznem oświetleniem pejzażu. Drugi to Kamil Corot (1796—1876), mistrz cudownej poezyi krajobrazu: woniejących poranków, marzycielskich godzin wieczornych, w czasie których wolno zanika kontur lub mgła lekka rzuca na widok zasłonę; on to jeszcze silniej pociągnął ku sobie Stanisławskiego.

Sztuka Corota dawała żywszy oddźwięk tej duszy, która wyrosła w krainie tęsknych dumek, synowi Ukrainy. Trzecim jego francuskim mistrzem, którego manierę rzadziej i mniej szczęśliwie naśladuje, był Claude Monet. Zamiast farby mieszać na palecie, używa Monet farb czystych, w kolorach zasadniczych i kładzie niemi wprost plamy barwne na płótnie. Z blizka patrząc podobna faktura nie daje wrażenia obrazu, lecz zbioru niezrozumiałych i nieforemnych kleksów farb różnych, wypełniających płótno w ramach. Z należytego oddalenia, skąd granice kleksu dla oka zanikać poczynają, stapiają się one, dysonanse się gubią, kolory spływają nie łamiąc swej siły świetlnej i żaru, wtedy obraz gra życiem. Metoda ta na większych płótnach daje niejednokrotnie świetne rezultaty; dla małych obrazków, obliczonych na blizki punkt widzenia, jest mniej korzystna. Artyście, dla jego studyów wśród natury, oddaje ona znakomite usługi.

Stanisławski był utalentowanym artystą, nie miał wprawdzie geniuszu Chełmońskiego, który szczerością oddania swych uczuć i zrozumienia ciągle odradzającej się przyrody, głębiej zajrzał w jej tajniki

[1] Do słynnej z piękności i wielkości kniei koło Fontainebleau pielgrzymowali około r. 1830 na letnie studya Rousseau, Corot, Diaz i ich przyjaciele. Tu w wiosce Barbizon wypoczywali po trudach dnia spędzonego w leśnej samotni. W studyach tych nie rozchodziło im się o kopiowanie krajobrazu, ale o uchwycenie nastroju, podpatrzenie duszy przyrody drzemiącej w leśnem zaciszu i oddanie jej na płótnie według własnego, indywidualnego pojęcia.

i podpatrzył jej życie, ale był bądź co bądź artystą wybitnym, idącym z najnowszym prądem w sztuce, wykształconym na najlepszych wzorach pejzażystów francuskich. Tworzył liczne drobiazgi artystyczne o wysokiem lirycznem napięciu, choć zarazem znamienne niejednokrotnie kosmopolityczną fizyognomią. Były to jakby wyśnione w słońcu lub o wieczornym zmroku marzenia o drzewach i ostach, o kwiecistych cmentarzach, bodiakach i naddnieprowych równinach lub skrzydlatych wiatrakach. Barwa jaśniejąca je krasi, lecz równocześnie smutek i cisza z nich wieje. Z prawdziwą maestryą malował odległości, w niezrównanej perspektywie powietrznej dostrzegał ruchliwą sylwetę drzewa, wibrowanie pyłu i mgły w atmosferze stepowej lub wiejskiego sadu. Nie ożywi je atoli wzlot ptaka, ani widok oracza lub zrośniętego z pejzażem chłopa z jego szkapą. Sztafaż, zda się, wyklęty z jego płótna. Dlaczego? Bo siatkówka jego czuła tylko na kolor i światło, na sylwetę ogólną krzewu roślinnego, z trudem zmagała się z bryłowatością ciała i jego modelunkiem. Forma plastyczna była mu więcej obcą, jej sprostać nie umiał i w tem zrozumieniu własnej niemocy nie porywał się na rozwiązanie trudnego dla siebie zadania. Zatrzymał się u progu własnego talentu.

Wspomnieliśmy, że niejednokrotnie pozbawione są jego obrazki cech swojskiego pejzażu, jego widoki z nad Wisły, z Tyńca, ogrody z pod Krakowa równie dobrze posądzone być mogły o francuskie lub inne pochodzenie. Dla porównania warto przywieść na pamięć krajobrazy Chełmońskiego, Fałata, Ruszczyca lub Wyczółkowskiego. Ileż w nich polskości, jakież inne zagony ojczystej ziemi, lasy lub wichury jesienne czy halne wiatry. Odnaleźli oni właściwą formę, powietrze, grę światła, połyski śniegu, opary leśne i nucą »pieśń o ziemi naszej«. Stanisławski barwom tęczy, w zaszczytnej gonitwie za efektami powietrza, nieba i nastroju w świecie roślinnym podporządkował pierwiastek narodowy, zepchnął go na drugi plan. Jak marzyciel błądził wśród błyskotliwych melodyi barwnych wymarzonego świata. Nie stworzył dzieła wielkiego znaczenia artystycznego. Był twórcą bardzo licznych i bardzo pięknych drobiazgów artystycznych, którymi ożywiał wystawy i wyróżniał się świetnością kolorytu i niezrównaną umiejętnością oddania przestrzeni.

Dziesięć lat przebył wśród mistrzów paryskich, — prace jego były pokupne, natrafiały na łatwy zbyt. Pierwsze odznaczenie spotkało go dość późno. Dopiero w czasie wystawy lwowskiej w r. 1894 otrzymał medal bronzowy za wiosenny »Wieczór«.

Gdy w r. 1903 wystawił w Secesyi wiedeńskiej swój nastrojowy »Wschód księżyca«, nabyło obraz ministerstwo oświaty dla *Moderne Galerie* w Wiedniu. Był to niewątpliwie najzaszczytniejszy sukces jego za granicą kraju.

Stanisławski w życiu i szkole był typowym radykałem-artystą. Wysoce wykształcony, intelligentny, drwiący, w określeniach nieraz brutalny i namiętny, w wypowiadaniu sądu bezwzględny, był groźnym przeciwnikiem swoich adwersarzy. Przygniatał swe otoczenie swem przywództwem duchowem i oddziaływał na kierunek artystyczny Akademii. Czy był czynnikiem wyłącznie dodatnim, budowniczym, któryby nie burząc dawnych, nowe pewniejsze zakładał fundamenty, to inna kwestya, którą może kto inny, bliżej stojący Akademii, wyjaśni.

U młodych wychowanków Akademii dają się dostrzedz dwa uderzające wyniki na wystawach w Pałacu sztuk pięknych. Otóż bardzo znaczną część młodych uczni ś. p. Stanisławskiego charakteryzuje pobieżność obserwacyi natury, ignorancya rysunku i bryłowatości, modelunku. Zjawiają się na wystawie liczne szeregi duchowych synów Stanisławskiego bez talentu swego mistrza, którzy, jak niegdyś uczniowie Matejki, niosą kajdany ukute jego ręką i głową, »energią jego suggestyi«. Charakteryzuje ich nadto brutalność sądu, pogarda dla tych, których przeszłość wyniosła na piedestał ideału, dla tych, którzy niegdyś geniuszem i wielką pracą zbudowali podwaliny sztuki polskiej, wygórowane pretensye tych, co zaledwie opuścili progi szkolne, odwaga niesłychana debiutu — oto smutny nad wyraz objaw a jeżeliby to miało być wypływem pedagogicznej Stanisławskiego działalności, to ten drugi wynik kierunku drogi, jaką obrał, przyniósł artystyczne fiasko.

Dziś już odezwały się głosy za zniesieniem katedry pejzażu, aby zapobiedz dalszej derucie pod względem rysunku i modelunku. Sądzimy, że zniesienie tej katedry byłoby błędem. Zło należy wykorzenić chyba innym sposobem

Skoro już mówimy o brakach naszej Akademii sztuk pięknych, to trudno nam pominąć właśnie braku katedr architektury i malarstwa religijnego. O potrzebie nauki malarstwa religijnego mówiłem już obszerniej w *Przeglądzie Powszechnym* zeszłego roku z okazyi Ankiety (tom LXXXIX, str. 170) i wyłuszczyłem w tym względzie nasze dezyderaty. Znajomość architektury i to dokładna u artysty-dekoratora jest pierwszorzędnego znaczenia. Projekty jego na malowanie wnętrza kościołów, sal lub wogóle budowli, nie powinny rywalizować z archi-

tekturą, jak to najczęściej bywa, lecz z nią harmonizować, dostroić się rozumnie do stylu, stać się w nim celowym pierwiastkiem ściśle dekoracyjnym. Ileż to razy na ścianach barokowego kościoła kwitną nonsensa gotyckie, żebra i gwiazdy malowane na beczkowem sklepieniu lub odwrotnie w gotyckim kościele; malarz nie znający zasad architektury, jakby umyślnie kolorem i linią walczy przeciw pięknym proporcyom i wprowadza zamęt i niesmak w całości, dekoruje nieudolnie szczegóły, które same przez siebie są dekoracyą i nie potrzebują jego nowej pretensyonalnej malatury. Zapewne, że w ostatnich latach wskutek znaczniejszej czujności społeczeństwa bacznego na stan posiadania artystycznego, dalej wskutek wydatnej działalności instytucyi konserwatorskiej i towarzystw opiekujących się zabytkami wzmogła się tendencya poprawnego załatwienia tej kwestyi. Sama jednak kontrola nie wystarczy, jeżeli nie będziemy mieli dostatecznej liczby w tym kierunku uzdolnionych malarzy.

Leonard Lepszy.

Ze spraw społecznych.

Nasza emigracya.

O doniosłej tej sprawie pojawiły się w ostatnich miesiącach dwie ważne publikacye d-ra Leopolda Caro w języku niemieckim. Jedna p. t. *Die Statistik der österr.-ungar.- u. polnischer Auswanderung nach den Vereinigten Staaten von Nordamerika*, pojawiła się w lutym b. r. w większem czasopiśmie naukowem: *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik u. Verwaltung*, drugą stanowi odczyt o losie naszych wychodźców opracowany na podstawie rękopiśmiennych źródeł dostarczonych autorowi przez ministerstwo spraw wewnętrznych — wygłoszony 15 stycznia b. r. w tow. austr. ekonomistów a wydany przez to towarzystwo.

W pierwszej pracy zestawia autor statystykę immigracyjną amerykańską ze statystyką portową europejską, omawia antagonizm natywistów bostońskich przeciw immigracyi słowiańskiej i na zasadzie dat statystycznych wykazuje, że Irlandczycy, Anglicy, Francuzi i Niemcy o wiele częściej siedzą w kryminałach, zapełniają domy ubogich i szpitale niż Słowianie, których umiarkowaniu i trzeźwości oddaje pochwały najwyższe zarówno urzędowe *Census Office*, jak

i opinia prezydenta Unii Roosevelta w rozmowie z arcyb. Symonem, powtórzonej w drukowanem sprawozdaniu dla Stolicy św. z jego amerykańskiej podróży. Po szczegółowych datach, dotyczących stopnia wykształcenia, majątku, wieku i płci emigrantów wedle narodowości autor odkrywa, że z portu Rotterdamskiego stale odpływa znaczna przewyżka kobiet z Austryi, z portu Antwerpskiego także przewyżka kobiet z Węgier pochodzących, w stosunku do mężczyzn. Wobec tego, że na ogół znacznie więcej przyjeżdża do Ameryki mężczyzn niż kobiet a taką samą proporcyę wykazują inne porty europejskie, nasuwa się tu podejrzenie, czy handlarze dziewcząt obu tych portów nie obrali na teren swojej akcyi. Po szczegółowem przedstawieniu ustawodawstwa immigracyjnego obowiązującego w Stanach omawia ilość rewertentów dochodząc do wniosku, że co najwyżej wraca 30% i domaga się dokładnego ich obliczenia przez władze portowe amerykańskie a opłaty przy tej sposobności pobierać się mające radzi obrócić na stworzenie w Stanach Kas chorych i zakładów ubezpieczeń od wypadków — dalej podaje szczegółowe daty z rozmieszczeniem się Polaków, Rusinów i Litwinów w różnych stanach Unii a w końcu omawia kwestyę stosunku liczby emigrantów do ilości urodzeń, oraz kwestyę przesyłek pieniężnych. Praca powyższa jest najszczegółowszą z dotychczasowych a ze względu na ciągłe zestawienia z datami statystyki portowej, pierwszy raz ogłoszonej drukiem, oraz na szereg nowych wniosków zasługuje na zapoznanie się zwłaszcza ze strony polskiego czytelnika.

W odczycie o losie naszych wychodźców, z którego w wiedeńskich czasopismach szpaltowe były relacye a w naszych charakterystyczne milczenie tak różniące się od trąby reklamowej, ilekroć ktoś z deklarowanych pupilów opinii publicznej choćby wniosek nagły postawi w parlamencie — autor daje szczegółowy plan badań kwestyi emigracyjnej, historyę parlamentarną tej sprawy w Austryi od głośnego procesu wadowickiego począwszy, historyę nadużyć ajentów w tym samym czasie, wykazuje bezplanowość polityki rządu, obsadzanie konsulatów osobistościami zajmującemi się jednostronnie protegowaniem handlu i nieznającemi języków emigrantów, szczegółowo przechodzi wszystkie przedsiębiorstwa okrętowe i o każdem z nich nie wyłączając *Austro-Amerikana* opowiada szereg smutnych a wymownych faktów, dalej przechodzi do losu wychodźców sezonowych, wyzyskiwanych niemiłosiernie przez ajentów, tudzież do agitacyi rządów południowo-amerykańskich za emigracyą. Przechodząc do ankiety

emigracyjnej odbytej 1905 r. w Wiedniu, wykazuje jej główny błąd w tem, iż przeważnej liczbie jej reprezentantów chodziło o to, by podnieść Tryest i tamtędy skierować emigracyę, nie zaś o to, by pokierować nią tak, by emigrantom samym było najlepiej — przeprowadza więc szczegółową polemikę z bezwzględnymi zwolennikami Tryestu, objaśniając niższość Tryestu od portów morza północnego pod względem wydatków, czasu, urządzeń humanitarnych itd. Co do wychodźtwa sezonowego sprzeciwia się wnioskowi koncesyonowania ajentów i zmonopolizowania w ich rękach całej czynności pośrednictwa z pominięciem biur publicznych, wykazując bezcelowość i szkodliwość podobnego przemysłu, wreszcie zaś stawia szereg postulatów do uwzględnienia w przyszłej — da Bóg blizkiej akcyi ustawodawczej i społecznej w kierunku opieki nad wychodźcami.

Z.

Druk ukończono 7 maja 1907 r.

PIERWSZE POWSZECHNE GŁOSOWANIE
W AUSTRYI.

I.

Wybory powszechne posiadają wszędzie, prócz swego znaczenia politycznego, zarazem i poważną doniosłość społeczną, albowiem ilość głosów, oddanych na poszczególnych kandydatów, wskazuje na siłę rozmaitych organizacyi politycznych i opinii, panujących w społeczeństwie. Tem ciekawszym jest wynik pierwszych wyborów powszechnych, poznajemy z nich bowiem po raz pierwszy dokładniej zapatrywania tych licznych sfer, które dawniej, wykluczone od głosowania, nie mogły ich objawić. Prawda, że rezultat głosowania nie jest bynajmniej idealnym tego probierzem. Ilość oddanych głosów na rozmaitych kandydatów, zależy nietylko od ich programu, lecz także — i to w wysokim stopniu — od agitacyi, osobistych ich właściwości i licznych innych postronnych czynników — w każdym jednak razie cyfry, uzyskane przy głosowaniu, są nader pouczające, bo przynajmniej w najogólniejszych zarysach malują nam nastrój społeczeństwa.

W tej chwili wybory we wszystkich krajach koronnych, prócz Galicyi, już się ukończyły, u nas we wszystkich okręgach odbyło się już pierwsze głosowanie. Wobec tego można już zdać sobie sprawę z ich wyniku. Rozpoczynam najpierw od krótkiej charakterystyki wyborów w innych krajach koronnych, ażeby potem zająć się dokładniej rezultatami galicyjskimi.

Przedewszystkiem wybory w Austryi, wyraźniej może niż gdziekolwiek, wykazały, że obecnie ścierają się w rzeczywistości jedynie dwa kierunki — chrześcijański z antychrześcijańskim. Już przy pierwszem głosowaniu wyszli w znaczniejszej liczbie tylko kandydaci różnych odcieni chrześcijańskich i socyaliści, a przy wyborach ściślejszych zarysował się ten podział jeszcze silniej, gdyż prawie wszędzie, szczególniej zaś w okręgach niemieckich, wszystkie stronnictwa t. zw. wolnomyślne połączyły się wraz z socyalistami dla obalenia kandydatów chrześcijańskich. Ludność chrześcijańska może śmiało mówić o wielkiem i co ważniejsza na własnych tylko siłach opartem zwycięstwie, bo nietylko, że nikt jej nie pomagał, lecz wręcz przeciwnie, spotkała się z koalicyą wszystkich przeciwko sobie. Pomimo tego na 410 mandatów uzyskali kandydaci wybitnie chrześcijańscy 140, t. j. Niemcy 96, Czesi 15, Słoweńcy 18, Włosi 10 i jeden Polak na Śląsku, podczas gdy wszystkie stronnictwa liberalne, począwszy od socyalistów, a kończąc na postępowych, przeprowadziły 186 posłów, z czego na samych socyalistów przypada 81. Obok tych dwóch wielkich odłamów, można powiedzieć, dwóch odrębnych cywilizacyi, wybrano jeszcze 84 posłów, którzy nie zaliczają się wyraźnie ani do jednej, ani do drugiej grupy, którzy jednak w przeważnej swej większości nie pójdą w żadnym razie w kierunku antychrześcijańskim. Pomiędzy nimi największa liczba przypada na agraryuszy, a mianowicie 17 Niemców i 31 Czechów.

Socyalistów wybrano prócz Galicyi 81, a mianowicie z Czech 33, z Austryi niższej 16, z Moraw 8, ze Śląska i ze Styryi po 6, z Tryestu 4, z Austryi wyższej 3, z Karyntyi i Tyrolu po 2, z Bukowiny 1, z innych krajów koronnych żadnego. Według narodowości przypada na mandaty niemieckie 50, na czeskie 23, na włoskie 5, na polskie na Śląsku 3 socyalistów. Stosunek socyalistów odpowiada mniej więcej ich najwyższej sile w parlamencie niemieckim, do którego również uzyskali w r. 1903 81 mandatów na 397 deputowanych, podczas gdy u nas ta sama ilość socyalistów wypada na 410 posłów.

Bardzo charakterystyczne są cyfry, odnoszące się do ilości

głosów, uzyskanych przez stronnictwa chrześcijańskie i socyalistów w poszczególnych krajach koronnych. Pomijam w tem zestawieniu Dalmacyę, jakoteż rumuńskie i ruskie okręgi Bukowiny, tam bowiem ukształtowanie stronnictw było odmienne. Zresztą w Dalmacyi nie było wogóle głosów socyalistycznych, na Bukowinie w okręgach rumuńsko-ruskich padło ich tylko 828. Również nie liczę tu polskich okręgów na Śląsku, którymi zajmę się bardziej szczegółowo poniżej. Zarazem zaznaczam, że obliczenie to odnosi się do pierwszych wyborów z 14 maja, przy ściślejszych bowiem, wskutek kompromisów, nie występują już tak wyraźnie różnice partyjne — i opiera się na cyfrach prowizorycznych, gdyż ostateczne, poprawione już wyniki, będą ogłoszone znacznie później.

Otóż stosunek głosów oddanych na kandydatów chrześcijańskich, t. zn. występujących wyraźnie pod hasłem chrześcijańskiem i socyalistycznych, przedstawia się według krajów koronnych w następujący sposób:

Kraj koronny	Okręgi miejskie		Okręgi wiejskie		Razem	
	chrześć.	socyal.	chrześć.	socyal.	chrześć.	socyal.
Austrya niższa . . .	240.221	176.558	158.141	19.665	398.362	196.223
» wyższa . .	13.224	12.577	94.878	8.706	108.102	21.283
Solnogród	3.521	4.866	16.416	2.586	19.937	7.452
Styrya	12.850	32.573	88.607	15.026	101.457	47.599
Karyntya	299	702	17.994	9.802	18 293	10.504
Kraina	1.524	641	46.080	4.369	47.604	5.010
Tyrol i Przedarulania	15.406	9.587	110.717	7.116	126.123	16.703
Pobrzeże	1.958	8.215	32.196	7.259	34.154	15.474
Czechy	12.394	126.293	104.164	308.522	116.558	434.815
Morawy	14.071	52.273	106.427	91.698	120.498	143.971
Śląsk (bez okr. pols.) .	5.798	20.458	5.137	15.609	10.935	36.067
Bukowina okr. niem.	2.929	3.302	—	—	2.929	3.302
Razem . .	324.195	448.045	780.757	490.358	1,104.952	93.8403

Ilość głosów oddanych na kandydatów chrześcijańskich przewyższa znacznie, bo prawie o 20% ilość głosów socyalistycznych, a jedynie w Czechach i na Śląsku socyaliści mają dużą, na Morawach niewielką przewagę. Bez Czech i Śląska so-

cyaliści uzyskali 467.521, kandydaci chrześcijańscy 977.459 głosów, a więc przeszło dwa razy więcej. W miastach, jak to zresztą było do przewidzenia, przewaga głosów socyalistycznych jest bardzo wielka, tak że z wyjątkiem obu Austryi, Krainy i niemieckiej części Tyrolu, socyaliści wszędzie otrzymali większą ilość głosów od stronnictw chrześcijańskich. Szczególniej znaczna jest większość socyalistyczna w Czechach, na Morawach i w Tryeście, przyczem należy zauważyć, że okręgi czeskie przedstawiają się pod tym względem gorzej niż niemieckie. Mianowicie oddano w okręgach miejskich głosów na kandydatów

		socyalistycz.	chrześcijańs.	na jeden głos chrześć. wypada socyal.
Czechy	okręgi czeskie	89.682	6.861	13.07
»	» niemieckie . .	36.611	5.533	6.62
Morawy	» czeskie	29.864	7.414	4.03
»	» niemieckie . .	22.409	6.657	3.37
Tryest	» włoskie . . .	7.927	1.958	4 05

Opanowanie przez socyalizm miast czeskich występuje tu tem wyraźniej, że główne środowiska przemysłu i górnictwa znajdują się w okręgach niemieckich.

W okręgach wiejskich socyalizm zdobył sobie znaczniejszą liczbę zwolenników jedynie w Czechach i na Śląsku, gdzie przewyższa głosy chrześcijańskie, jakoteż w niemieckiej części Karyntyi i na Morawach, gdzie niewiele za nimi pozostaje w tyle. W okręgach tu należących oddano ogółem 229.197 głosów chrześcijańskich na 425.631 socyalistycznych, natomiast we wszystkich innych 64.727 socyalistycznych na 551.560 chrześcijańskich. Przy porównaniu okolic czeskich z niemieckiemi dostrzegamy wręcz przeciwne stosunki, aniżeli w miastach. Jakkolwiek socyalizm zdobył sobie bardzo wielu zwolenników wśród ludu czeskiego, to jednak daleko mu jeszcze do tej przewagi nad kierunkiem chrześcijańskich, jaką osiągnął w okolicach, zamieszkałych przez ludność niemiecką. W wiejskich okręgach oddano głosów na kandydatów

		socyalistycz.	chrześcijańs.	na jeden głos chrześć. wypada socyal.
Czechy	okręgi czeskie	184.775	76.536	2.41
»	» niemieckie . .	123.747	27.628	4.48
Morawy	» czeskie	71.785	90.914	0.79
»	» niemieckie . .	19.913	15.513	1.28

Wszędzie więc w okręgach niemieckich wiejskich jest stosunek dla socyalistów prawie dwa razy korzystniejszy niż w czeskich.

Wobec tych dwóch potężnych kierunków, reprezentujących właściwie dwie cywilizacye, inne stronnictwa, z wyjątkiem tylko agrarnego, przedstawiają się nader skromnie. Wyborcy w krajach i okręgach niemieckich oddali 770.831 głosów kandydatom chrześcijańskim, 516.311 socyalistycznym, 140.384 agrarnym, podczas gdy na niemiecko-ludowych, dotąd najsilniejszej partyi niemieckiej, padło 140.340 głosów, na postępowych 105.760, na oba odłamy wszechniemców 95.433, na radykalnych wszystkich odcieni 9.228. W okręgach czeskich kandydaci socyalistyczni otrzymali 390.634 głosów, agrarni 200.947, chrześcijańscy 182.827, młodoczesi 115.642, socyaliści narodowi 74.588, staroczesi 29.075, realiści, radykalni i inni wolnomyślni 21.590. Słoweńcy oddali 92.420 głosów kandydatom chrześcijańskim, 36.832 liberalnym, 10.351 socyalistycznym i 4.960 agrarnym; Włosi 58.874 chrześcijańskim, 30.896 liberalnym, 20.286 socyalistycznym i 1.999 agrarnym. Ogółem głosowało na postępowych, liberalnych i radykalnych wszystkich stronnictw 350.791 Niemców, 211.820 Czechów, 36.832 Słoweńców i 30.896 Włochów, a więc razem 629.329 wyborców, t. zn. o połowę mniej niż na socyalistów. Należy przytem zauważyć, że udział w wyborach był nadzwyczaj liczny, gdyż nie licząc Galicyi, Dalmacyi, polskiej części Śląska, jakoteż rumuńskich i ruskich okręgów bukowińskich oddano ogółem, prócz rozstrzelonych, 3,159.141 głosów. Ponieważ w tych krajach było uprawnionych około 3,530.000 osób, przeto ze swego prawa skorzystało około 89·5% wyborców. Trudno więc, ażeby stronnictwa liberalne tłómaczyły małą ilość swych głosów abstynencyą swoich zwolenników.

Chcąc dokładniej ocenić wzajemną siłę rozmaitych stronnictw

TAB. I.

Względna siła głównych kierunków politycznych.

	Kraj koronny	Ze stu głosów, oddanych na kandydatów większych stronnictw, padło na kandydatów																			
		w okręgach niemieckich					w okręgach czeskich					w okręgach słoweńskich					w okręgach włoskich				
		chrześcijańskich	agrarnych	liberalnych	socyalistycznych	Razem	chrześcijańskich	agrarnych	liberalnych	socyalistycznych	Razem	chrześcijańskich	agrarnych	liberalnych	socyalistycznych	Razem	chrześcijańskich	agrarnych	liberalnych	socyalistycznych	Razem
1.	Austrya niższa .	61.30	0.28	8.23	30.19	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
2.	Austrya wyższa .	67.44	10.60	8.67	13.29	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
3.	Solnogród . . .	51.69	8.57	20.26	19.48	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
4.	Styrya	47.67	8.52	15.84	27.97	100	—	—	—	—	—	54.53	8.00	30.52	6.95	100	—	—	—	—	—
5.	Karyntya	30.07	—	47.05	22.88	100	—	—	—	—	—	100	—	—	—	100	—	—	—	—	—
6.	Kraina	33.33	66.67	—	—	100	—	—	—	—	—	74.88	—	17.07	8.05	100	—	—	—	—	—
7.	Pobrzeże	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	50.50	3.93	38.69	6.85	100	34.19	—	42.78	23.03	100
8.	Tyrol i Przedarulania	81.67	—	9.78	8.55	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	70.03	3.49	13.07	13.41	100
9.	Czechy	8.13	22.52	30.13	39.22	100	12.50	21.75	24.65	41.10	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
10.	Morawy	15.98	3.99	49.56	30.47	100	30.18	15.77	22.88	31.17	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
11.	Śląsk	19.44	6.57	31.34	42.65	100	5.07	20.28	7.83	66.82	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
12.	Bukowina . . .	15.76	9.24	57.07	17.93	100	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	Razem . . .	43.36	7.89	19.71	29.04	100	18.01	19.80	23.73	38.46	100	68.83	3.46	25.52	7·19	100	52.54	1.78	27.57	18.11	100

w poszczególnych krajach koronnych i u różnych narodowości, należy pominąć głosy oddane na kandydatów nie zaliczających się do żadnej z większych partyi (samoistnych, przemysłowych, urzędniczych i t. d.) jakoteż na kandydatów narodowych, postawionych w okręgach, zapewnionych innej narodowości, np. na czeskich w Wiedniu, lub niemieckich w Pradze. Pozostałe dopiero głosy mają istotnie charakter partyjny i można je podzielić na cztery wielkie działy, na chrześcijańskie, socyalistyczne, liberalne i agrarne. Pewną trudność w ugrupowaniu sprawiają stronnictwa liberalne, wskutek swych podziałów, zaznaczam przeto, że nazwą liberalnych obejmuję u Niemców stronnictwo postępowe, niemiecko-ludowe, wszechniemców, wolnych wszechniemców, radykalnych i wolnych socyalistów, u Czechów młodoczechów, realistów, socyalistów narodowych, stronnictwo prawno-państwowe, wreszcie staroczechów, jakkolwiek dla nich należałoby właściwie wytworzyć osobną kategoryę. Na to jednak mieli oni za mało głosów, bo 6.255 w Czechach, a 22.820 na Morawach.

Z pierwszej tablicy wynika, że wszystkie stronnictwa liberalne, razem wzięte, zdołały skupić na swych kandydatów zaledwie piątą część głosów niemieckich, a czwartą czeskich, słoweńskich i włoskich. Pomijając Karyntyę, która przedstawia w pewnej mierze odrębne stosunki i Bukowinę, mającą okręgi niemieckie tylko miejskie — widzimy, że liberalizm jest nadzwyczaj słaby wszędzie, gdzie mieszka ludność narodowo jednolita i zwarta, podczas gdy najlepszy dla niego teren stanowią kraje o potężnej walce narodowościowej, jak południowa Styrya, gdzie wre walka słowiańsko-niemiecka, Czechy i Morawy czesko-niemiecka i Pobrzeże słowiańsko-włoska. Podczas gdy na kandydatów liberalnych padł w obu Austryach co dwunasty głos, w Tyrolu niemieckim co dziesiąty, w włoskim co ósmy, a w górnej Styryi i Krainie co szósty, uzyskali wolnomyślni kandydaci niemieccy na Morawach prawie połowę głosów, w Czechach i na Śląsku blisko trzecią część, w Pobrzeżu tak słoweńscy jak i włoscy przeszło trzecią część, w południowej Styryi słoweńscy prawie jedną trzecią, czescy w krajach korony czeskiej prawie jedną czwartą. Rezultat ten odpowiada dość dobrze całemu dotychczasowemu rozwojowi opinii pu-

blicznej. Liberalizm umiał wyzyskać dla siebie moment walki narodowej; szerzono systematycznie i z wielkiem powodzeniem doktrynę, że jedynie stronnictwa wolnomyślne są prawdziwie patryotyczne, które, nie ogladając się na nic, bronią bezwzględnie a skutecznie praw narodowych. Twierdzenie to, nie mające żadnych realnych podstaw, bo liberalizm w najlepszym razie jest tylko równie patryotyczny jak inne partye narodowe, oddziałało, dzięki prasie, suggestywnie na społeczeństwo i dopiero w ostatnich czasach przejawia się coraz wyraźniej zwrot ku zapatrywaniu, że z wyjątkiem stronnictwa socyalistycznego, jako kosmopolitycznego, wszystkie inne są równie narodowe i żadne z nich nie może sobie rościć prawa do zmonopolizowania patryotyzmu, wyłącznie w swych własnych szeregach. Liberalizm jednak, jak widzimy, korzysta jeszcze na razie z zakorzenionych dawniej poglądów, bez nich upadek jego byłby jeszcze znacznie większy. W każdym razie podstawy jego wpływu są bardzo kruche; jak wszędzie, tak i w Austryi czas jego panowania, zdaje się, już minął.

Najznaczniejszą część spuścizny po liberaliźmie obejmuje socyalizm, jako kierunek wyraźniejszy i radykalniejszy. Widać doskonale, że równolegle z siłą liberalizmu idzie i potęga socyalizmu, podczas gdy w krajach o nastroju chrześcijańskim ilość jego zwolenników jest znacznie mniejsza. W okręgach słoweńskich nie posiada on wogóle żadnego wpływu, za to w Czechach i na Śląsku i w czeskich okręgach Moraw tworzy stronnictwo stosunkowo najsilniejsze. Najwięcej rozszerzył się socyalizm pomiędzy ludnością czeską, która okazała się zarazem najbardziej oporną wobec haseł chrześcijańskich.

Kierunek agrarny występuje z większą siłą tylko w Czechach, gdzie u obu narodów oddano mu mniej więcej piątą część głosów, jakoteż w czeskiej części Sląska i Moraw. Niemieckich głosów w Krainie nie można brać w rachubę, bo odnoszą się tylko do jednego okręgu wyborczego. W innych krajach agraryusze zdobyli co najwyżej dziesięć procent głosów, co tłómaczy się w znacznej mierze i tem, że znaczna część kandydatów chrześcijańskich posiada zarazem charakter agrarny.

Stronnictwa chrześcijańskie wreszcie uzyskały absolutną

większość głosów we wszystkich krajach alpejskich z wyjątkiem Karyntyi, a bardzo niedaleko im do niej i na Pobrzeżu. Podział pomiędzy krajami koronnymi jest bardzo wyraźny ze względu na siłę idei chrześcijańskiej. Wszystkie kraje niemieckie, słoweńskie i włoskie, z wyjątkiem miasta Tryestu, zaliczają się w swej przeważającej większości do obozu chrześcijańskiego; na Morawach siła stronnictw chrześcijańskich, szczególniej u Czechów, podniosła się znacznie, natomiast w Czechach i na Śląsku nie zdobyły one sobie dotąd należytego wpływu.

II.

W Galicyi utworzono, jak wiadomo, 70 okręgów, z czego przypada 34 na miejskie, a 36 na dwumandatowe wiejskie. Miasta zachodnio-galicyjskie otrzymały 14, wschodnie 20 mandatów, z okręgów wiejskich 17 jest polskich, 10 polsko-ruskich, a 9 ruskich. Chcąc wyrobić sobie jasne wyobrażenie o naszych wyborach, należy każdą z tych grup omówić osobno.

W tablicy II. zestawiłem rezultat pierwszych wyborów miejskich, dzieląc okręgi na wschodnio i zachodnio-galicyjskie. Głosy oddane na kandydatów żydów, postawionych przez Radę narodową, lub uznających bezwzględną solidarność Koła polskiego, złączyłem razem, bez względu na odcienia partyjne, ponieważ już przy tworzeniu okręgów miejskich, pewną część ich przeznaczono żydom. Wogóle stawali w dziewięciu okręgach kandydaci żydowscy, uznający solidarność Koła i uzyskali 18.419 głosów, z czego 11.252 padło na demokratów, 3.903 na narodowych-demokratów, a 3.264 na konserwatystów. Rozdzielając te głosy partyjnie, przekonywamy się, że w naszych miastach oddano najwięcej głosów na demokratów, bo 36.255, dalej socyalistów 33.094, konserwatystów 28.871, syonistów 17.634, narodowych demokratów 13.123, Rusinów 9.643, centrowców 4.119 i ludowców 877. Łącząc z jednej strony wszystkie narodowe stronnictwa polskie, z drugiej zaś socyalistów, syonistów i Rusinów, przekonywamy się, że w miastach zachodnio-galicyjskich było 34.944 głosów narodowych wobec 17.064 nienarodowych, w wschodnio-galicyjskich 48.301 wobec 43.854, ogółem 83.245 narodowych i 60.918 nienarodowych.

TAB. II.

Pierwsze głosowanie w galicyjskich okręgach miejskich.

Okręg miejski	Oddano głosów na										Razem
	centrowców	konserwatystów	demokratów: narodowych	demokratów: innych	ludowców	socyalistów	żydów: zatwierdzonych przez Radę nar.	żydów: syonistów i niezawisłych	Rusinów	innych rozstrzel. i unieważ.	
8. Kraków	—	—	—	1.663[1]	—	941	—	—	—	—	2.604
9. »	—	—	—	1.238[1]	—	854	—	—	—	—	2.092
10. »	—	—	—	1.478[1]	—	644	—	—	—	—	2.122
11. »	—	—	—	1.328[1]	—	1.137	—	—	—	—	2.465
12. »	—	—	—	—	—	—	1.589[2]	1.990[3]	—	9	3.588
16. Tarnów	—	—	2.113	289	—	1.296	—	728	—	—	4.426
18. Biała	1.413	780	—	1.522	—	778	—	—	—	83	4.576
19. Bochnia	—	3.792	—	—	—	1.581	—	—	—	29	5.402
20. Nowy Sącz	—	—	1.644	1.461	—	2.398	—	—	—	41	5.544
21. Rzeszów	—	2.233	—	514	—	703	—	—	—	5	3.455
22. Jarosław	—	—	546	2.316	—	948	—	—	—	54	3.864
23. Mielec	—	3.500	—	19	—	—	—	1.200	—	—	4.719
24. Jasło	2.431	—	—	568	—	260	—	—	—	238	3.497
25. Sanok	—	—	—	2.507	—	638	—	—	321	88	3.554
Galicya zachodnia	3.844	10.305	4.303	14.903	—	12.178	1.589[2]	3.918[3]	321	547	51.908
1. Lwów	—	—	—	1.374	—	339	—	—	347	32	2.092
2. »	—	—	—	1.373	77	1.657[4]	—	—	313	10	3.430
3. »	—	—	—	—	—	1.667	1.675[2]	853	—	—	4.195
4. »	—	—	1.284	214	—	340	—	—	219	16	2.073
5. »	275	—	860	697	—	695	—	—	229	30	2.786
6. »	—	—	1.014	37	—	918	—	—	155	24	2.148
7. »	—	—	1.759	—	—	2.915[5]	—	—	441	93	5.208
13. Przemyśl	—	—	—	2.496	—	3.533	—	—	—	11	6.040
14. Stanisławów	—	—	—	1.151	—	222	1.119[6]	1.204	134	55	3.885
15. Tarnopol	—	—	—	—	—	—	1.379[6]	1.056	1.529	495	4.459
17. Kołomyja	—	—	—	—	—	1.137	1.970[6]	824	—	—	3.931
26. Sambor	—	3.832	—	319	—	—	—	—	—	1.207	5.358
27. Drohobycz	—	—	—	—	—	551	3.935[6]	1.231	1.518	114	7.349
28. Stryj	—	—	—	—	—	2.015	1.331[6]	1.722	482	5	5.555
29. Brzeżany	—	—	—	2.439	800	—	—	1.141	743	42	5.165
30. Żółkiew	—	4.861	—	—	—	—	—	639	928	66	6.494
31. Brody	—	—	—	—	—	1.245	1.518[6]	1.483	533	52	4.831
32. Buczacz	—	3.067	—	—	—	1.888[7]	—	2.194	—	98	7.247
33. Złoczów	—	—	—	—	—	—	3.903[8]	—	1.751	16	5.670
34. Rozdół	—	3.542	—	—	—	1.794[4]	—	1.269	—	120	6.725
Galicya wschodnia	275	15.302	4.917	10.100	877	20.916[9]	16.830[10]	13.616	9.322	2.486	94.641
Razem	4.119	25.607	9.220	25.003	877	33.094[9]	18.419[11]	17.534[3]	9.643	3.033	146.549

UWAGI. [1]) kandydaci kompromisowi wszystkich stronnictw narodowych.
[2]) konserwatysta.
[3]) z tego 1867 głosów otrzymał kandydat niezawisłych żydów.
[4]) niezawisły socyalista
[5]) z tego niezawisły socyalista 4.
[6]) demokrata.
[7]) socyalista ruski.
[8]) narodowy demokrata.
[9]) z tego socyalista niezawisły 3.455, ruski 1.888.
[10]) z tego konserwatysta 1.675, narodowy demokrata 3.903.
[11]) z tego konserwatyści 3.264, narodowy demokrata 3.903.

W miastach, z wyjątkiem piątego okręgu lwowskiego, bialskiego i nowo-sądeckiego, nie było właściwie walki pomiędzy kandydatami narodowymi. Rozdział głosów przeto nie daje wyobrażenia o wzajemnej sile stronnictw narodowych, lecz może tylko posłużyć do stwierdzenia, jak wielka była ilość wyborców, która głosowała na kandydatów nienarodowych. Otóż nie licząc głosów rozstrzelonych, unieważnionych i oddanych kandydatom samoistnym, ze stu wyborców oddało głosów kandydatom

w miastach	narodowym	socyalist.	syonist.	ruskim	Razem
Galicyi zachodniej . .	68.04	23.71	7.63	0.62	100
» wschodniej .	52.41	22.69	14.77	10.13	100
Całego kraju	58.00	23.06	12.22	6.72	100

Do socyalistów zaliczyłem głosy oddane na socyalistę niezawisłego Breitera, które wynoszą 3.74% głosów wschodnio-galicyjskich, a 2.41% głosów całego kraju, jakoteż głosy oddane na socyalistę ruskiego w Buczaczu, stanowiące 2.05%, względnie 1.31%. Bez nich obu głosy oddane na socyalistów wyniosły w Galicyi wschodniej 16.90%, w całym kraju 19.34%, a ruskie, przy doliczeniu socyalisty ruskiego, 12.18% i 8.03%. Z głosów syonistycznych przypada na kandydata niezawisłych żydów w Krakowie 3.63% Galicyi zachodniej, 1.30% całego kraju, tak że właściwych głosów syonistycznych było w Galicyi zachodniej 4.00%, w całym kraju 10.92%.

Cyfry te dowodzą przedewszystkiem, że socyalizm w naszych miastach nie jest wcale silny, jeżeli bez czysto lokalnej kandydatury Breitera, przy całej swej organizacyi i agitacyi, mógł zgromadzić zaledwie 20.65%, t. zn. piątą część głosów. W jednem tylko mieście, w Przemyślu, potrafił skupić niezbyt znaczną większość, bo 58.60%, w Nowym Sączu i Stryju uzyskał więcej niż trzecią część, a mniej niż połowę głosów, w Tarnowie, Bochni i Kołomyi między czwartą a trzecią część, w Jarosławiu, Brodach i Buczaczu czwartą, w Rzeszowie piątą część, we wszystkich innych miastach prowincyonalnych znacznie mniej, a w sześciu nie stawiał wcale kandydatów. W obu stolicach głosy rozdzieliły się natomiast w następujący sposób:

		kandyd. narodowi	socyaliści	socyalista niezawisły	syoniści i niezawiśli żydzi	Rusini
Kraków		7.305	3.576	—	I.990	—
	%	56.76	27.78	—	15.46	—
Lwów		10.633	6.870	1.661	853	1.704
	%	48.93	31.62	7.64	3.92	7.89

Jakkolwiek więc w miastach stołecznych siła socyalistów jest stosunkowo znaczniejsza, to jednak daleko im bardzo do tej przewagi, którą posiadają w innych krajach koronnych. W każdym razie różnica na korzyść Krakowa jest bardzo znaczna. Mimo, że Kraków uchodził dotąd za centrum socyalizmu galicyjskiego, liczba głosów socyalistycznych stanowi nie wiele więcej niż czwartą część, podczas gdy we Lwowie dochodzi, a z Breiterem i przenosi znacznie część trzecią.

Uderzającą jest wielka liczba głosów syonistycznych. W miastach, w których pojawiły się kandydatury syonistyczne — z wyłączeniem stolic — oddano na nie na zachodzie 21.08%, na wschodzie 23.36%, a z wyjątkiem Przemyśla, Sambora i Złoczowa wystąpili oni we wszystkich miastach wschodnich. Syonizm, którego siły nikt nie przewidywał, stanął do walki tam, a nawet można powiedzieć, przedewszystkiem tam, gdzie nasz narodowy stan posiadania silniej był zagrożony. Wskutek niego jeden mandat miejski jest już stanowczo stracony, w czterech innych sprowadził on ściślejsze wybory. Jasną jest rzeczą, że takie wrogie polskości prądy, dość silne, ażeby przynieść nam znaczne szkody, nakazują zastanowić się poważnie nad pytaniem, czy nie należałoby zmienić oryentacyi naszego dotychczasowego stanowiska w kwestyi żydowskiej.

Głosy ruskie dowodzą, jak słabym jest w miastach żywioł ruski, gdy w trzech tylko okręgach, w Tarnopolu, Drohobyczu i Złoczowie potrafił uzyskać więcej niż piątą część głosów. W każdym jednak razie okazało się, że Rusini mogą być niebezpieczni, wprawdzie nie sami, lecz w koalicyi z socyalistami i syonistami.

Wobec zupełnego prawie braku walki partyjnej pomiędzy narodowemi stronnictwami polskiemi, nie można z ilości oddanych głosów ocenić wzajemnej ich siły. Dla dokładności więc tylko

zaznaczam, że na 100 głosujących oświadczyło się za kandydatem

w miastach	centrum	konserwat.	narod. dem.	demokrat.	ludow.	żydow. uznając. solid. Koła	nienarod.	Razem
Galicyi zachod.	7.48	20.07	8.37	29.02	—	3.10	31.96	100
» wschod.	0.30	16.60	5.34	10.96	0.95	18.26	47.59	100
Całego kraju .	2.87	17.84	6.43	17.42	0.61	12.83	42.00	100

Jeżeli kandydatów żydowskich rozdzielimy według ich przynależności partyjnej, otrzymamy rezultat następujący:

w miastach	centrum	konserwat.	nar.-dem.	demokr.	ludowcy
Galicyi zachodniej .	7.48	23.17	8.37	29.02	—
» wscho6niej .	0.30	18.42	9.57	23.17	0.95
Całego kraju	2.87	20.11	9.15	25.26	0.61

Z cyfr tych zdaje się wynikać, że w miastach posiadają stronnictwa demokratyczne stanowczą przewagę, lecz że narodowa demokracya nie liczy zbyt wielkiej liczby zwolenników.

Trzecia, czwarta i piąta tablica przedstawiają rezultaty pierwszego głosowania w naszych okręgach wiejskich. Cyfry w nich pomieszczone nie mają pretensyi do absolutnej pewności, gdyż dane, ogłoszone w dziennikach, nawet urzędowych, różnią się niekiedy pomiędzy sobą dość znacznie. W tablicach przeto zamieszczałem, w razach wątpliwych, zawsze cyfry najwyższe w przypuszczeniu, że ich ewentualna redukcya polegała na unieważnieniu pewnej ilości głosów, co ma niewątpliwie pierwszorzędne znaczenie ze stanowiska prawnego, lecz nie wchodzi w rachubę, gdy ma się dać obraz nastroju społeczeństwa. W Galicyi wschodniej kandydatów postawionych przez Radę Narodową nie dzieliłem według stronnictw, podając jedynie w uwagach ich przynależność partyjną, albowiem oddane na nich głosy nie miały charakteru politycznego, lecz wyłącznie narodowy. Natomiast przeprowadziłem ten podział w Galicyi zachodniej, przyczem do każdego stronnictwa zaliczałem głosy oddane na kandydatów, przyznających się do jego programu, chociażby stawali na własną rękę lub choćby głosowano na nich, jakkolwiek nie kandydowali. Tylko

TAB. III.

Pierwsze głosowanie w wiejskich okręgach polskich.

	Okręg wyborczy		Ilość głosów oddanych na kandydatów										Razem
			centrum	konserwatywnych	narodowo-demokratycznych	demokratycznych	ludowców	socyalistów	syonistów	Starorusinów	samoistnych	rozbitych i unieważnionych	
1.	35.	Chrzanów	8.338	—	809	—	1.093	6.432	1.161	—	28	674	18.535
2.	36.	Biała	11.191	—	94	—	2.256	3.002	—	—	—	92	16.635
3.	37.	Wadowice	5.370	—	347	—	10.799	2.266	—	—	—	1.259	20.041
4.	38.	Żywiec	17.290	—	491	534	2.360	1.929	—	—	360	645	23.609
5.	39.	Nowy Targ . . .	8.933	2.175	4.063	2.112	3.026	—	—	—	—	1.336	21.645
6.	40.	Kraków	480	4.726	—	—	7.514	7.842	—	—	—	385	20.947
7.	41.	Bochnia	6.355	4.728	3.949	—	5.139	—	—	—	198	588	20.957
8.	42.	Tarnów	6.499	—	907	—	10.105	—	—	—	837	970	19.318
9.	43.	Ropczyce	3.098	—	—	—	14.692	—	—	—	13	237	18.040
10.	44.	Dąbrowa	6.456	67	—	—	14.203	—	—	—	168	153	21.047
11.	45.	Tarnobrzeg . . .	2.695	1.676	3.675	571	9.420	—	—	—	756	1.313	20.106
12.	46.	Rzeszów	3.572	2.984	—	—	7.958	—	—	—	—	1.631	16.145
13.	47,	Łańcut	—	5.052	—	—	10.071	—	—	—	—	5.529	20.652
14.	48.	Nowy Sącz . . .	10.813	—	173	—	6.024	—	—	4.585	1.109	268	22.972
15.	49.	Gorlice	2.055	—	1.569	—	11.006	—	—	3.046	—	505	18.181
16.	50.	Krosno	4.548	—	—	—	10.985	—	—	1.979	—	631	18.143
17.	52.	Brzozów	3.550	—	3.756	—	6.772	—	—	—	—	1.444	15.522
		Razem	101.243	21.408	19.833	3.217	133.423	21.471	1.161	9.610	3.469	17.660	332.495

TAB. IV.

Pierwsze głosowanie w wiejskich okręgach polsko-ruskich.

	Okręg wyborczy		Ilość głosów oddanych na kandydatów										Ilość głosów	
			Polskich				Ruskich				socyalistów	syonistów	rozbitych i nieważnych	Ogólna
			Rady narodowej	ludowców	innych	Ogółem	Ukraińców	Starorusinów	radykalnych	Ogółem				
1.	51.	Sanok	7.992 [1]	3.872	—	11.864	—	14.870	—	14.870	—	—	418	27.152
2.	53.	Sambor . . .	6.949 [1]	3.980	—	10.929	17.774	1.944	—	19.718	—	—	829	31.476
3.	60.	Buczacz . . .	6.988 [1]	—	1.145	8.133	—	406	19.892	20.298	—	2.158	2	30.591
4.	61.	Przemyśl . .	14.004 [2]	2.430	—	16.434	17.062	6.090	—	23.152	—	—	1.001	40.587
5.	63.	Złoczów . . .	12.631 [3]	1.240	—	13.871	8.004	14.483	—	23.487	—	—	593	36.951
6.	64.	Lwów	6.123 [2]	2.260	—	8.383	11.713	2.360	—	14.073	4.593 [4]	—	788	27.837
7.	67.	Jarosław . . .	8.979 [2]	3.511	5.028	17.518	10.409	5.335	—	15.744	—	—	--	33.262
8.	68.	Tarnopol . .	9.448 [1]	—	—	9.448	5.843	2.267	—	8.110	11.576	—	246	29.380
9.	69.	Trembowla .	5.796 [1]	1.857	487	8.140	19.167	564	—	19.731	234	2.780	123	31.008
10.	70.	Skałat	9.404 [2]	762	—	10.166	—	2.228	18.287	20.515	—	1.587	41	32.309
		Razem . . .	88.314 [3]	19.912	6.660	114.886	89.972	50.547	38.179	178.698	16.403 [4]	6.525	4.041	320.553

UWAGI. [1] narodowo-demokratyczny.
[2] konserwatywny.
[3] z tego 51.141 konserwatywnych, 37.173 narodowo-demokratycznych.
[4] z tego niezawisły socyalista 4.593.

TAB. V.

Pierwsze głosowanie w wiejskich okręgach ruskich.

	Okręg wyborczy		Ilość głosów oddanych na kandydatów									Ilość głosów	
			Polskich			Ruskich				socyalistów	syonistów	rozbitych i nieważnych	Ogólna
			Rady narodowej	innych	Ogółem	Ukraińców	Starorusinów	radykalnych	Ogółem				
1.	54.	Drohobycz . . .	7.192 [1])	—	7.192	8.716	10.558	—	19.274	14.343	—	—	40.809
2.	55.	Dolina	11.366 [1])	—	11.366	10.212	8.572	14.627	33.411	—	—	25	44.802
3.	56.	Kołomyja	4.465 [2])	—	4.465	7.819	4.470	29.652	41.941	—	1.085	671	48.162
4.	57.	Stryj	8.012 [1])	—	8.012	24.100	16.735	—	40.835	—	—	337	49.184
5.	58.	Borszczów . . .	10.278 [2])	—	10.278	38.974	—	—	38.974	—	—	—	49.252
6.	59.	Stanisławów . .	7.372 [2])	—	7.372	13.295	5.130	19.870	38.295	2.426	—	212	48.305
7.	62.	Rawa ruska . .	9.974 [1])	65	10.039	19.254	21.279	—	40.533	—	—	584	51.156
8.	65.	Sokal	10.396 [2])	—	10.396	17.099	24.373	—	41.472	—	—	132	52.000
9.	66.	Brzeżany	5.167 [1])	—	5.167	20.261	11.150	10.356	41.767	—	156	—	47.090
		Razem	74.222 [3])	65	74.287	159.730	102.267	74.505	336.502	16.769	1.241	1.961	430.760

UWAGI. [1]) narodowo-demokratyczny.

[2]) konserwatywny.

[3]) z tego 32.511 konserwatywnych, 41.711 narodowo-demokratycznych.

tych kandydatów, których barwa polityczna jest nieznana, pomieściłem w rubryce kandydatów samoistnych.

W Galicyi zachodniej uderza przedewszystkiem bardzo znaczna ilość głosów rozbitych, unieważnionych i oddanych kandydatom lokalnym, bez cechy partyjnej. Jest ich wszystkich 21.129, t. zn. 6.8%. Prawda, że w tem mieści się 5.529 głosów okręgu łańcuckiego, który przedstawia obraz bardzo oryginalny. Unieważniono tam 552 głosów, a z pozostałych 20.100 ważnych nie ogłoszono nigdzie, ile głosów uzyskali kandydaci, którzy pozostali w mniejszości. Każdy z wybranych natomiast otrzymał ściśle tyle, ile mu było potrzeba do przejścia; ludowy kandydat 25 głosów ponad absolutną większość, kandydat konserwatywny 27 głosów ponad 25%. Takiego drugiego okręgu nie było chyba w całej Austryi. Lecz nawet w pozostałych okręgach jest jeszcze 15.600, t. zn. przeszło 5% głosów, można powiedzieć straconych, co wskazuje na mało sprężystą organizacyę i jest osłabieniem stronnictw narodowych i umiarkowanych, bo całe rozbicie odbywało się tylko ich kosztem.

Wogóle w 17 okręgach czysto-polskich oddano 311.366 głosów, które można rozdzielić według stronnictw. Z tego procentowo przypada 32.52% na centrum, 6.88% na konserwatystów, 6.37% na narodową demokracyę, 1.03% na demokratów, 42.85% na ludowców, 6.89% na socyalistów, 0.37% na syonistów i 3.09% na Rusinów. Najsilniejszem przeto stronnictwem są ludowcy, którzy skupili 133.423 głosów, potem idzie centrum z 101.243 głosami. Inne grupy polityczne nie wchodzą prawie w rachubę, bo ludowcy wraz z centrum otrzymali razem 75.37% głosów, podczas gdy wszystkie inne stronnictwa narodowe 14.28%, a socyaliści, syoniści i Rusini 10.35%. Przytem należy podnieść, że ilość głosów centrowych była w rzeczywistości jeszcze większa. Najpierw dla pewnej części kandydatów centrowych, którzy pozostali w znacznej mniejszości, niema osobnych danych i głosy na nich oddane mieszczą się w rubryce głosów rozbitych, a powtóre centrum traktowało w okręgach bocheńskim i rzeszowskim kandydatów konserwatywnych, w krakowskiem konserwatywnego i ludowego

jako kompromisowych, wskutek czego między oddanymi na nich głosami mieszczą się także głosy centrowe.

Bardzo interesujące jest zestawienie głosów oddanych kandydatom partyjnym, można powiedzieć, poważnym, t. j. takim, którzy stawali rzeczywiście do walki z nadzieją zwycięstwa. Stosunkowa liczba głosów oddana na nich wskazuje bowiem, o ile stronnictwa patrzą realnie na swe siły, a w jakim stopniu oddają się złudnemu optymizmowi. Otóż kandydaci stronnictwa ludowego występowali we wszystkich okręgach prócz 35 i uzyskali tam 45.09% głosów, centrowi we wszystkich prócz 40 i 47 i otrzymali 36.65%, socyalistyczni w 35, 36, 37 i 40 — 27.80%, konserwatywni w 39, 40, 41, 46, 47 — 21.91%, wreszcie narodowo demokratyczni w 35, 39, 41, 42, 45, 48 i 52 dostali 13.38% głosów. Widać z tego doskonale, że najbardziej przeceniło swe siły stronnictwo narodowo-demokratyczne, które w siedmiu okręgach stanęło do walki i otrzymało w nich tylko ósmą część głosów, podczas gdy inne partye skupiły na swoich poważnych kandydatów co najmniej część piątą, ludowcy prawie połowę, centrowcy przeszło trzecią część. Iluzye narodowych-demokratów charakteryzuje najlepiej fakt, że w Galicyi zachodniej Rada narodowa zatwierdziła trzech ich kandydatów, w okręgach 35, 42 i 48. Jakkolwiek w okręgach tych przeszło czterech posłów, uznających solidarność Koła, padło na kandydatów narodowo-demokratycznych tylko 3.32% ogółu głosów partyjnie rozdzielonych, a 6.86% tych, które oddano na rzecz kandydatów, uznających naszą bezwzględną solidarność w Wiedniu.

Stanowczą przewagę posiada centrum nad ludowcami w sześciu okręgach t. j. w chrzanowskiem, bialskiem, żywieckiem, nowotarskiem, bocheńskiem i nowosądeckiem, w trzech (Tarnobrzeg, Rzeszów, Brzozów) siły stronnictw, uznających solidarność Koła, równoważą się mniej więcej z siłami ludowców, w pozostałych ośmiu dominują ludowcy. Z ogółu oddanych głosów absolutną większość mieli ludowcy w sześciu okręgach (37, 42, 43, 44, 49, 50), stronnictwa zastąpione w Radzie narodowej w pięciu (36, 38, 39, 41, 48), w sześciu ani jedni ani drudzy nie mieli większości, przyczem w jednym, t. j. 35, ludowcy byli bez znaczenia. Wobec

tego nawet przy jednomandatowych okręgach ludowcy mogliby co najwyżej uzyskać 17 mandatów, a więc zaledwie o dwa mniej niż istotnie w Galicyi zachodniej otrzymali. A nie można przytem zapominać, że agitacyę klasową ułatwiał właśnie znaczny rozmiar okręgów wyborczych i że na rzecz ludowców, obok niewątpliwie sprężystszej i bardziej jednolitej organizacyi, działała jeszcze bardzo skutecznie możność stawiania tylko jednego kandydata i głoszenia haseł najradykalniejszych. Stronnictwa, wyznające zasady bezwzględnej solidarności Koła, nie mogły poprzestać na jednym tylko kandydacie, bo z góry już zrzekłyby się drugiego miejsca na rzecz przeciwników. Wszędzie więc stawało z ich ramienia dwóch, lub nawet i więcej kandydatów, a ponieważ postępuje się zwyczajnie po linii najsłabszego oporu, więc nieraz zamiast zwracać się przeciw ludowcom, zwalczano się nawzajem. Poprostu nie spodziewając się odebrać ludowcom większej liczby głosów, próbowano zabrać je tym, którzy w zasadniczej idei taktyki narodowej byli pomiędzy sobą zgodni. Że takie stosunki musiały wyjść na korzyść obozu, stojącego po za Kołem, to chyba rzecz jasna.

Błędy organizacyjne, jakoteż brak dostatecznej karności wystąpiły również w dość znacznym stopniu. W znacznej części polega to na zupełnie poronionej kreacyi komitetów powiatowych. Komitety te złożone dowolnie, z t. zw. powiatowych wielkości, które jednak zupełnie nie znały stosunków, przedstawiały nieraz kandydatów, nie mających żadnych szans powodzenia, inne znowu, wskutek ukrytej lub jawnej gry indywidualnych ambicyi, nie powzięły żadnych uchwał, albo też zdecydowały się na wybór kandydatów dopiero w ostatniej chwili, gdy już było zapóźno. Najdrastyczniejsze tego przykłady widzimy w okręgu chrzanowskim, tarnowskim, tarnobrzeskim i nowosądeckim. Z ośmiu postawionych tam przez komitety powiatowe kandydatów, pięciu dostało razem 3.927 głosów, t. zn. 5·24% wszystkich głosów partyjnych, a 11.10% głosów, oddanych na zwolenników Koła polskiego. Ponieważ na trzech innych kandydatów, postawionych tam przez komitety powiatowe, padło 13.162 t. j. 37.23% takich głosów, przeto 18.267 głosujących, czyli 51.67%, poszło

wbrew opinii komitetów powiatowych, jakkolwiek uznawało bezwzględną solidarność. Jeżeli do tego dodamy, że kandydatów, nie przyjętych przez komitet powiatowy, zwalczano bardzo silnie, to zrozumiemy, ile na takiej akcyi musiały skorzystać stronnictwa radykalne.

W stronnictwach samych również nie było dostatecznej karności, z wyjątkiem tylko socyalistów. Cyfrowo mogę to stwierdzić w stronnictwie centrum, w którem 84.987 głosów oddano kandydatom zarządu, a 16.710 idącym na własną rękę. Z ogółu przeto głosów centrowych poszło 16.60% bez oglądania się na uchwały stronnictwa. Jak wielką stanowi to stratę dla stronnictwa, dowodzi najlepiej fakt, że z kandydatów centrowych samoistnych przeszedł tylko jeden, podczas gdy głosami karnymi przeprowadzono ich trzynastu, t. zn. że w tym wypadku na jednego wystarczyło około 6.500 głosów, w pierwszym 16.700. Lecz i u ludowców, pomimo pozorów karności, w gruncie rzeczy było inaczej, bo jednoczyła ich jedynie klasowość. Gdy przy ściślejszych wyborach w rzeszowskiem nakazano wyborcom głosować przeciw chłopu, wyborcy nie zastosowali się do tego, jakkolwiek kierownictwo partyi ludowej rozwinęło tam bardzo żywą agitacyę, ażeby obalić kandydata centrowego. Ta klasowość, rezultat hasła »chłopi wybierajcie chłopa« przebija się w ogromnej ilości głosów oddanych na kandydatów włościańskich. Ludowcy skupili na nich 119.478, centrowcy 32.114, narodowi-demokraci 3.675, samoistni kandydaci 3.421, razem więc 158.688 głosów. Stanowi to, nie licząc Rusinów, syonistów i głosów rozbitych lub unieważnionych, 52.19% ogółu.

W dziesięciu okręgach polsko-ruskich oddano Polakom 36.29% głosów, nie licząc rozbitych i unieważnionych. Na 100 głosów polskich padło 76.87% na kandydatów Rady narodowej, 17.33% na ludowców, 5.80% na innych, nie licząc zaś jarosławskiego i sanockiego, w których nie mogło być mowy o niebezpieczeństwie ruskim, głosy polskie rozdzieliły się pomiędzy powyższe grupy w stosunku 82.47, 15.64 i 1.89 na sto. To rozbicie sprowadziło decyzyę Rusinów przy wyborach ściślejszych w trzech

okręgach, a wskutek tego wybór dwóch syonistów i jednego ludowca.

Gorzej jeszcze przedstawiają się stosunki dla nas, gdy się porówna udział w wyborach ludności polskiej i ruskiej. Mianowicie przyjmując, że Polacy, jakoteż rzymsko-katolicy głosowali na kandydatów polskich, a Rusini, względnie unici na ruskich, przekonywamy się, że głosowało na sto

	Polaków	rz.-kat.	Rusinów	gr.-kat.
we wszystkich okręgach . .	15.09	19.51	18.56	18.11
w ośmiu (bez jarosławskiego i sanockiego)	14.94	19.38	18.78	18.57

Widać z tego przedewszystkiem, że udział Rusinów w wyborach był znacznie silniejszy, a co ważniejsza, że w ośmiu okręgach wątpliwych pospieszyli oni jeszcze tłumniej do urny, podczas gdy u nas było, niestety, odwrotnie. Powtóre różnica u Rusinów pomiędzy ustosunkowaniem głosów według religii i narodowości jest bardzo drobna, szczególniej w okręgach zagrożonych. Znaczy to, że tylko drobna garstka unitów mogła oddać swe głosy kandydatom polskim. U nas porównanie religii i narodowości nie da się przeprowadzić równie dokładnie ze względu na znaczną ilość ludności żydowskiej, w każdym razie jednak widać, że gdyby nawet żydzi nie głosowali wcale, a rzymsko-katolicy głosowali w równym stopniu jak Rusini, Polacy mieliby 109.296 głosów ogółem, a 83.818 w ośmiu okręgach niepewnych. Różnica więc jest bardzo drobna w porównaniu z istotnie osiągniętymi rezultatami, 5.590 głosów w pierwszym, a tylko 2.684 w drugim razie. Ponieważ w tych okręgach przyznało się do narodowości polskiej, prócz rzymsko-katolików, jeszcze 172.000, względnie 133.000 osób, przeto powinnoby nam było przybyć, licząc tylko głosujących po 15 na 100 we wszystkich okręgach 25.800, w zagrożonych 19.900 głosów. Cyfry te dowodzą, w jak małym stopniu ludność żydowska poparła polskich kandydatów.

Nie podobna zaprzeczyć, że przyczynił się do tego w pewnej mierze niezbyt szczęśliwy wybór kandydatów. Jakkolwiek tam, gdzie w grę wchodzi interes narodowy, osoba kandydata

nie powinna odgrywać najmniejszej roli, to jednak, prowadząc wybory, nie można było zajmować stanowiska teoretycznego, lecz należało się liczyć z realnymi stosunkami. Otóż co do niektórych kandydatów było wiadomem, zanim jeszcze oficyalnie ich się postawiło, że w okręgu wyborczym będą mieć do czynienia z niechęciami i trudnościami. Upierać się przy nich było błędem, bo wybory nie są właściwem polem do podjęcia walki z naszemi wadami narodowemi. A wyborami kierowała Rada narodowa, która wiedziała, że z naszym wybujałym indywidualizmem i brakiem karności, gdy się jest osobiście innego zdania, liczyć się wypada. Tymczasem przeszło się nad tem do porządku dziennego. Komitety powiatowe, podobnie jak w zachodniej części kraju tak i tutaj, złożone widocznie jednostronnie, powzięły częściowo uchwały, które zatwierdziła wprawdzie Rada narodowa, lecz które nie znalazły u wyborców dostatecznego poparcia. W każdym razie kandydatury obywateli wiejskich okazały się popularniejsze od innych. Postawiono pięciu konserwatystów, którzy wyszli wszyscy i pięciu narodowych demokratów, z których wybrano tylko dwóch. W okręgach zagrożonych, zupełnie równo rozdzielonych pomiędzy te dwa stronnictwa, przeszli wszyscy czterej konserwatyści, a tylko jeden narodowy demokrata. Stosunek oddanych głosów, był dla nas także korzystniejszy w okręgach, w których kandydowali konserwatyści, niż w narodowo demokratycznych. Mianowicie w stosunku do ogółu ludności głosowanie dało następujący rezultat:

Okręgi wyborcze, w których postawiono kandydatów	Na 100 Polaków głosowało na kandydatów Rady narodowej		Na 100 Rusinów głosowało na kandydatów Ruskich	
	we wszystk. okręgach	w niepewn. okręgach	we wszystk. okręgach	w niepewn. okręgach
konserwatywnych	12.18	13.33	18.02	17.99
narodowo-demokratycznych	10.89	11.10	18.68	19.75

Tam więc, gdzie stawali narodowi-demokraci, był znacznie mniejszy wysiłek po stronie polskiej, a za to o wiele większy po ruskiej, nic więc dziwnego, że rezultat był niekorzystny. Czy to przypiszemy niedostatecznej agitacyi i brakom organizacyjnym, czy też ostrzejszemu charakterowi tych kandydatur, które Rusini, jako bardziej wrogie, tem usilniej zwalczali — jest rzeczą obojętną·

w każdym razie okazały się one ze stanowiska interesu narodowego mniej od innych właściwe.

W ogólnym rezultacie można niestety stwierdzić, że Rusini przewyższyli nas organizacyą i solidarnością narodową. Jeżeli pominiemy zresztą bardzo nieliczne osoby, przyznające się do innych narodowości, przekonamy się, że na 100 przypadało

	na Polaków		na Rusinów	
	we wszystkich okr. miesz.	bez Sanock. i Jarosławsk.	we wszystkich okr. miesz.	bez Sanock. i Jarosławsk.
Z ludności przynależnej .	42.32	40.49	57.68	59.51
Z oddanych głosów . . .	37.62	35.10	62.38	64.90
W stosunku do ludności głosów polskich za mało, a ruskich za dużo o %	—11.11	—13.31	+ 8.15	+ 9.06

W okręgach ruskich głosy polskie wynosiły 17.32%, jakkolwiek Polacy stanowią tam tylko 16.67%, Rusini 83.33% ludności przynależnej, jeżeli się pominie inne narodowości. Na stu Polaków przypada 20.11 głosów, na stu Rusinów 19.32, lecz i tutaj widać organizacyę ruską w tem, że w niektórych okręgach, w których Polacy stanowią znaczniejszą część ludności, ilość głosów, oddanych polskim kandydatom jest stosunkowo o wiele mniejsza, niż tam, gdzie przewaga Rusinów jest bardzo wielka. Mianowicie w trzech okręgach (58, 59, 65) ludność polska wynosi 21.44%, ruska 78.56%, w trzech innych (54, 55, 57) polska tylko 13.14%, ruska 86.86%. Otóż w pierwszych głosy polskie wynosiły 16.37, w drugich 32.24 na stu Polaków, t. zn. że w tamtych przestrzegano, ażeby Rusini nie głosowali na Polaków, podczas gdy w pewnych mniej już o to dbano.

Socyaliści wraz z Breiterem otrzymali w Galicyi wschodniej 33.172 t. j. 4.45% głosów, nie można jednak zapominać, że obok nich wystąpili radykali ruscy z 109.854 głosami, a więc 14.74% ogółu, a 21.32% głosów ruskich.

W końcu dodaję, że we wszystkich okręgach wiejskich oddano przy pierwszem głosowaniu 1,083.808 głosów, a mianowicie 471.866 polskich, 524.810 ruskich, 44.643 socyalistycznych i 8.927 syonistycznych.

TAB. VI.

Drugie głosowanie w wiejskich okręgach polskich.

		Okręg wyborczy	Ilość głosów oddanych na kandydatów: Centrum	konserwatywnych	narodowo demokratycznych	demokratycznych	ludowców	socyalistycznych	staroruskich	rozbitych i nieważnych	Razem
1.	35.	Chrzanów	9.672	—	—	—	247	5.034	—	503	15.456
2.	36.	Biała	10.885	—	—	—	795	3.194	—	128	15.002
3.	38.	Żywiec	20.238	—	—	1.760	—	998	—	36	23.032
4.	39.	Nowy Targ	9.125	2.422	4.381	329	2.887	—	—	209	19.353
5.	40.	Kraków	—	5.501	—	—	8.730	5.547	—	99	19.877
6.	41.	Bochnia	6.935	4.853	3.162	—	4.977	—	—	73	20.000
7.	45.	Tarnobrzeg	1.423	1.977	4.739	—	9.467	—	—	761	18.367
8.	48.	Nowy Sącz	11.224	—	—	—	5.219	—	4.315	174	20.932
9.	50.	Krosno	3.627	—	—	—	11.658	—	1.526	397	17.208
10.	52.	Brzozów	2.208	—	3.621	—	7.534	—	—	56	13.419
		Razem	75.337	14.753	15.903	2.089	51.514	14.773	5.841	2.436	182.646
Pierwsze głosowanie w tych okręgach			74.193	13.305	17.010	3.217	54.589	19.205	6.564	10.988 [1])	199.071

UWAGA. [1]) z tego samoistni 2.451, syoniści 1.161, głosy nieważne i rozbite 7.376.

TAB. VII.

Drugie głosowanie w wiejskich okręgach polsko-ruskich.

	Okręg wyborczy		Ilość głosów oddanych na kandydatów								Ilość głosów	
			Polskich				Ruskich			socyalistycznych	rozbitych i nieważnych	Ogólna
			Rady narodowej	ludowców	innych	Ogółem	ukraińców	Staro-rusinów	Ogółem			
1.	61.	Przemyśl . .	12.966 [1]	2·370	—	15.336	18 541	3.694	22.235	—	221	37.792
2.	63.	Złoczów . .	12.990 [1]	—	—	12.990	7.707	13.307	21.014	—	941	34.945
3.	64.	Lwów . . .	7.166 [1]	—	—	7.166	12.225	913	18.138	3.898 [5]	183	24.385
4.	67.	Jarosław . .	8.727 [1]	3.569	1.839	14.135	9.538	4.268	13.806	—	1.004	28.945
5.	68.	Tarnopol . .	8.796 [2]	—	—	8.796	6.180	—	6.108	12.618	11	27.605
		Razem . .	50.645 [3]	5.939	1.839	58.423	54.191	22.182	76.373	16.516 [5]	2.360	153.672
		Pierwsze głosowanie w tych okręgach .	51.185 [4]	9.441	5.028	65.654	53.031	30.535	83.566	16.169 [6]	2.628	168.017

UWAGI. [1]) konserwatywny.
[2]) narodowo-demokratyczny.
[3]) z tego 41.849 konserwatywnych, 8.796 narodowo-demokratycznych.
[4]) z tego 41.637 konserwatywnych, 9.448 narodowo-demokratycznych.
[5]) z tego niezawisły socyalista 3.898.
[6]) z tego niezawisły socyalista 4.593.

TAB. VIII.

Drugie głosowanie w wiejskich okręgach ruskich.

	Okręg wyborczy		Ilość głosów oddanych na kandydatów					Ilość głosów	
			Polskich	Ruskich			socyalistycznych	rozbitych i nieważnych	Ogólna
			Rady narodowej	ukraińców	Starorusinów	radykalnych	Ogółem		
1.	54.	Drohobycz	7.770 [1]	5.308	5.368	—	10.676	14.010	455	32.911
2.	55.	Dolina	9.871 [1]	11.461	6.749	13.127	31.337	—	480	41.688
3.	57.	Stryj	7.824 [1]	22.888	15.289	—	38.177	—	2.413	48.414
4.	59.	Stanisławów	6.228 [2]	13.245	3.132	21.241	37.618	—	18	43.864
5.	62.	Rawa ruska	9.315 [1]	18.067	19.257	—	37.324	—	1.448	48.087
6.	65.	Sokal	9.327 [2]	17.293	24.248	—	41.541	—	—	50.868
7.	66.	Brzeżany	1.592 [1]	20.359	9.061	9.134	38.554	—	1.550	41.696
		Razem	51.927 [3]	108.621	83.104	43.502	235.227	14.010	6.364	307.528
	Pierwsze głosowanie w tych okręgach		59.544 [4]	112.937	97.797	44.853	255.587	16.769	1.446 [5]	333.346

UWAGI. [1]) narodowo-demokratyczny.
[2]) konserwatywny.
[3]) z tego 15.555 konserwatywnych, 36.372 narodowo-demokratycznych.
[4]) z tego 17.768 konserwatywnych, 41.776 narodowo-demokratycznych, 65 innych.
[5]) z tego 156 syonistów.

W dwudziestu dwu okręgach wiejskich musiano przystąpić do drugiego głosowania, bo pierwsze nie dało żadnego rezultatu. W tablicach szóstej, siódmej i ósmej zawarte są dane z drugich wyborów, nie omawiam ich jednak bliżej, gdyż nie dają już jasnego wyobrażenia o nastroju opinii wobec tego, że niektóre kandydatury beznadziejne odpadają i przychodzi już do kompromisów. Ogólna ich charakterystyka da się streścić w zdaniu, że udział wyborców był już mniejszy, nie o tyle jednak jak powszechnie przypuszczano, a najwięcej utraciły stronnictwa skrajne. Nie licząc głosów rozbitych i nieważnych, głosowało w Galicyi zachodniej mniej o 4.77%, w powiatach polsko-ruskich o 7.39%, w ruskich o 9.30%. Lecz podczas gdy stronnictwa, uznające solidarność Koła, zyskały w Galicyi zachodniej 1.157 głosów, tj. trochę więcej niż 1%, ludowcy stracili ich 5.63%, socyaliści 23.07%. Dowodzi to, że agitacya radykalna pracowała już przy pierwszem głosowaniu z największym wysiłkiem i skupiła na swych kandydatów nie tylko głosy własnych zwolenników, lecz także znaczną ilość innych wyborców, niemających w gruncie rzeczy nic wspólnego z tym kierunkiem. Widać to najlepiej u socyalistów. Prawdziwą walkę stoczyli oni przy wszystkich trzech głosowaniach w okręgu chrzanowskim i krakowskim, przy dwóch w bialskim. Otóż ich kandydaci uzyskali w okręgu:

Głosowanie	chrzanowskim	krakowskim	bialskim
pierwsze	6.432	7.842	3.002
drugie	5.034	5.547	3.194
trzecie	4.850	5.280	490

Różnicę między drugiem a trzeciem głosowaniem można wytłumaczyć mniejszym udziałem wyborców, lecz zniżkę przy drugiem głosowaniu niepodobna wyjaśnić inaczej, jak tylko tem, że socyalistom odpadły głosy, nie socyalistyczne, lecz te, które zawdzięczali jedynie agitacyi. Bo i w bialskiem w istocie rzeczy mamy do czynienia z upadkiem, gdyż socyaliści otrzymali część głosów ludowców. Mianowicie przy pierwszym wyborze socyalista i ludowiec mieli razem 5.258, przy drugim tylko 3.989 głosów. Ponieważ znana jest karność i silna organizacya partyi socyalno-demokratycznej, przeto nie można utrzymywać na seryo, ażeby

jakakolwiek akcya wyborcza mogła jej odebrać głosy prawdziwie socyalistyczne. Te pozostały przy każdym wyborze, lecz właśnie ich porównanie z rezultatami pierwszego głosowania dowodzi, jak słaby w istocie jest u nas socyalizm i ile zawdzięcza pomocy postronnych i przygodnych, często nieświadomych nawet sprzymierzeńców.

W okręgach, w których ścieraliśmy się z Rusinami, widać niestety te same braki po naszej stronie, które podniosłem już poprzednio. W okręgach mieszanych znaczna część wyborców, która głosowała poprzednio na ludowców lub kandydatów samoistnych, usuwa się, nie oddając swych głosów kandydatom Rady narodowej. To też głosy ruskie zmniejszają się tylko o 8.60%, polskie o 11.02%. W okręgach czysto ruskich stosunek jest jeszcze gorszy, lecz tam można go, przynajmniej w pewnej mierze, usprawiedliwić beznadziejnością większej części polskich kandydatur.

Na zakończenie tych statystycznych zestawień parę cyfr odnoszących się do Śląska. Mieliśmy tam trzy okręgi czystopolskie i jeden górniczy, polsko-czeski. W jednym tylko wyszedł kandydat polski, ze stronnictwa katolickiego, w trzech innych socyaliści. Najgorzej jednak świadczy o tamtejszych stosunkach fakt, że w 13-tym okręgu śląskim, przy ściślejszych wyborach, uzyskał mandat socyalista, jakkolwiek przy pierwszem głosowaniu przeważały głosy narodowe. Na 11.551 głosujących otrzymał tam w pierwszem głosowaniu socyalista 4.514 głosów, polski kandydat katolicki 4.110, protestancki 2.080, przychylny Niemcom 847. Przy drugiem głosowało 11.691, z tego na socyalistę 6.475, na katolickiego kandydata 5.216. Głosy protestanckie przeto poszły w połowie na socyalistę, przenosząc walkę partyjną nad interes narodowy. Wogóle w czterech polskich okręgach śląskich oddano 42.554 głosów, z tego 23.758 uzyskali kandydaci socyalistyczni, 12.240 katolicy, 7.655 inni narodowi.

III.

Ostateczny rezultat wyborów w naszym kraju przedstawia się w następujący sposób. Ze 106 mandatów galicyjskich było przeznaczonych 78 dla Polaków, 28 dla Rusinów. W okręgach

ruskich wybrano jednego Polaka, natomiast dzięki poparciu Rusinów, przeszli w dwóch okręgach mieszanych, zamiast Polaków, syoniści. Ogółem wybrano 54 posłów, uznających bezwzględną solidarność Koła polskiego, 16 ludowców, 4 socyalistów polskich, 1 socyalistę niezawisłego, 3 syonistów, 1 niezawisłego żyda, 14 Ukraińców, 5 Starorusinów, 6 radykalnych Rusinów i 2 socyalistów ruskich. Do tego należy doliczyć ze Śląska 1 posła narodowego i 3 socyalistów. Wszystkie stronnictwa polskie wchodzą mniej więcej w równej liczbie, mianowicie ludowcy mają 16, centrum z jednym mandatem śląskim również 16, konserwatyści 14, demokraci 13, narodowi-demokraci 12 posłów. Charakterystyczną cechą wyborów jest w pierwszej linii stanowcza klęska socyalistów, w drugiej znaczny wzrost ludowców i polskiego centrum ludowego. Socyaliści nie zdołali zdobyć w Galicyi zachodniej żadnego mandatu, we wschodniej, z wyjątkiem jednego okręgu lwowskiego, otrzymali je tylko dzięki poparciu Rusinów i syonistów. Z czterech socyalistów dwóch przeszło we Lwowie, jeden w Przemyślu, jeden w Stryju, a należy zaznaczyć, że tak jeden okręg lwowski, jak i stryjski należy do t. zw. okręgów żydowskich. Trudno więc dziś już będzie głosić, jakoby lud polski znajdował się w obozie socyalistycznym.

Ludowcy, którzy w poprzedniej Izbie mieli pięciu posłów, przeprowadzili ich szesnastu. Z tego jednak zawdzięczają jeden mandat Rusinom, w samborskiem, jeden solidarnemu poparciu wszystkich narodowych żywiołów w krakowskiem, a dwa, w nowosądeckiem i bocheńskiem wewnętrznej walce stronnictw, skonfederowanych w Radzie narodowej. Samodzielnie więc przeprowadzili 12 posłów, a więc mniej więcej tę ich liczbę, którą z góry przewidywano. Polskie centrum ludowe uzyskało jeden mandat w miastach, jeden na Śląsku i 14 w zachodnio-galicyjskich okręgach wiejskich. Miało ono w poprzedniej kadencyi 1 mandat miejski i 6 wiejskich zachodnio-galicyjskich, a prócz tego należało do centrum dwóch posłów z okręgów mieszanych, w których obecnie nie stawiano kandydatów, ze względu na solidarność narodową. W zachodniej przeto Galicyi uzyskało centrum przeszło podwójną ilość posłów. Wskazuje to niewątpliwie na wielką siłę i popular-

ność jego zasad, tem więcej, że do wyborów poszło się zanim jeszcze organizacya była dostatecznie wykształcona i że w interesie narodowym zwalczało się hasła klasowe i skrajne, wiedząc doskonale, że przez to traci się pewną część wyborców, opanowanych na razie radykalizmem. W zachodniej Galicyi na 34 mandatów wiejskich 15 przypadło ludowcom, 14 centrowcom, 3 narodowym demokratom i 2 konserwatystom — cyfry te są chyba bardzo wymowne.

Stronnictwa konserwatywne poniosły największą stratę, bo podczas gdy dawniej rozporządzały przeszło trzydziestu mandatami, teraz zdobyły tylko czternaście. Nie należy jednak zapominać, że reforma wyborcza zniosła kuryę większej własności, z której wychodzili wyłącznie konserwatyści, t. zn. że niejako ustawowo już odebrano im 20 miejsc. Uwzględniając to, muszę stwierdzić, że wybory wypadły przynajmniej o tyle na korzyść konserwatystów, że tak w miastach jak i na wschodzie konserwatyści przechodzili z łatwością. Wobec ogólnej opinii, że konserwatyzm jest znienawidzony powszechnie, rezultat ten jest uderzający, bo zdaje się wskazywać na to, że niechęć do polityki konserwatywnej nie przeszkodziła uznaniu indywidualnych zalet poszczególnych osób z tego obozu. Natomiast u ludu polskiego w zachodniej Galicyi stronnictwa konserwatywne nie posiadają istotnie żadnego gruntu.

Stronnictwa demokratyczne przychodzą w liczbie 25 posłów, o kilku więcej, niż mieli ich poprzednio. Podział ich na liczne odcienie nie pozwala na ścisłe oznaczenie zysków lub strat każdego odłamu demokratycznego. W każdym razie, jak już podniosłem poprzednio, grupa narodowo-demokratyczna nie będzie miała tak wielkich sił, jakich spodziewano się w pewnych kołach. Szczególniej na głównym swym terenie, w Galicyi wschodniej, nie zdołała ona sobie zapewnić przewagi, w zachodniej tem bardziej znajduje się w mniejszości. Licząc tylko posłów, uznających bezwzględną solidarność Koła, wybrano ich w Galicyi wschodniej 22, w zachodniej 32, z tego na narodowych demokratów wypada 7, względnie 5, a mianowicie na zachodzie 2 w miastach, 3 po wsiach, na wschodzie 4 w miastach, z czego trzech we Lwowie i 3 po wsiach, z czego jeden w okręgu czysto ruskim.

Przygotowanie i przeprowadzenie wyborów nasuwa wreszcie następujące uwagi:

1. Okręgi dwumandatowe okazały się w części bezużyteczne, a w części szkodliwe. Najpierw w 22 okręgach, t. zn. w blizko dwóch trzecich, nie uzyskano przy pierwszym wyborze żadnego rezultatu, powtóre w 11 wybrano najpierw tylko posła większości, to znaczy, że o reprezentancie mniejszości zadecydowała znowu większość, która już miała swego posła. Wyszło to głównie na korzyść stronnictw radykalnych i ruskich. W tych okręgach przeprowadzono przy ściślejszych wyborach powtórnie dwóch ludowców, dwóch Rusinów i jednego centrowca, a prócz tego Rusini przeciw kandydatom Rady narodowej zadecydowali o wyborze jednego ludowca i dwóch syonistów, tak że tylko w trzech okręgach większość, powołana powtórnie do urny, oświadczyła się za kandydatami Koła polskiego. Do tego należy doliczyć jeszcze dwa okręgi, w których ludowcy wyszli tylko wskutek tego, że dwumandatowy system zmusza inne stronnictwa do stawiania dwóch kandydatów, co prowadziło do walki wewnętrznej. Najlepiej widać bankructwo systemu w tem, że zamierzony rezultat, t. zn. równoczesny wybór posłów większością i mniejszością, osiągnięto tylko w ośmiu okręgach. Trzeciego głosowania oczywiście nie liczę, bo przy nim możliwe już były najrozmaitsze kombinacye, kompromisy i przerzucania głosów z jednego kandydata na drugiego, Mimo, iż żadna partya w kraju nie opanowała jeszcze zupełnie techniki wyborczej, przy trzecim wyborze wybrano jednak jako posłów większości siedmiu takich, którzy przy drugim przychodzili dopiero na drugiem lub trzeciem miejscu.

2. Równie niekorzystnem było faworyzowanie miast, szczególniej w Galicyi wschodniej. Wskutek tego osłabiono tam znacznie żywioł polski w okręgach wiejskich, a z dziewięciu straconych narodowo mandatów, przypada siedm na miasta wschodniogalicyjskie, nie mówiąc już o tem, że w wielu innych kandydat narodowy był również bardzo zagrożony.

3. Trzy terminy głosowania, w połączeniu z nieszczęśliwym wyborem okręgów, od których miało się rozpocząć, okazały się szkodliwe. Na początek wysunięto okręgi najbardziej zagrożone

lub zradykalizowane. Zwycięstwo w nich żywiołów skrajnych, musiało z jednej strony oddziałać niekorzystnie na ustrój psychiczny reszty kraju, z drugiej zaś ułatwiło i w innych okręgach zadanie stronnictwom radykalnym, pozwalając im skupić swój aparat agitacyjny i powoływać się na uzyskany już rezultat. Znający stosunki nie byli nim zbytnio zdziwieni, bo wiedzieli, gdzie koncentruje się siła naszego radykalizmu, lecz na innych musiał wynik ten oddziałać deprymująco. A depresya żywiołów umiarkowańszych, które i tak okazują zwykle zbyt mało energii, jest jedną z głównych dźwigni sukcesów wyborczych radykalizmu.

4. Działalność Rady narodowej, opierającej się o komitety powiatowe, nie była zawsze szczęśliwą, dzięki właśnie tym komitetom, które w wielu okręgach okazały wielką nieznajomość stosunków i jednostronne tendencye partyjne, jak to już podniosłem poprzednio. To też przy ustanowieniu kandydatów narodowych popełniano liczne omyłki, co szczególniej na wschodzie przyniosło znaczne szkody.

5. Ludność żydowska okazała się pod względem narodowym bardzo niepewna i poszła w znacznej liczbie za kandydatami nam wrogimi. Objaw to tem donioślejszy, że tendencye antypolskie przejawiły się przedewszystkiem na wschodzie, gdzie są najniebezpieczniejsze i że ten odłam żydów, który stoi na gruncie narodowym, nie doceniał tych prądów, przeceniając równocześnie własny wpływ na swych współwyznawców.

6. Wreszcie co najważniejsze, stronnictwa narodowe nie miały dostatecznej organizacyi. Skrajnym partyom zastępują ją w pewnej mierze hasła klasowe i radykalne, a mimo to organizacya ich stała niewątpliwie wyżej od organizacyi stronnictw narodowych i umiarkowanych. Dziś wobec nas staje jako najpierwszy obowiązek podjęcie pracy organizacyjnej, trwałej i silnej, któraby działała stale i zastąpiła te nieudałe kreacye, które potworzono na czas wyborów. Na zachodzie jest to przedewszystkiem zadaniem polskiego centrum ludowego, które nie idąc demagogicznie, nie dość jeszcze przygotowane, potrafiło jednak zgromadzić pod swym sztandarem przeszło sto tysięcy głosów.

Pomimo wszystkich tych braków, pierwsze wybory po-

wszechne wypadły u nas znacznie lepiej, niż w innych krajach koronnych. Pod hasłem solidarności narodowej wybrano przeszło dwie trzecie wszystkich posłów z okręgów przyznanych Polakom, na stanowisku nienarodowem stoi tylko ośmiu deputowanych. Idea demokracyi chrześcijańskiej, jakkolwiek z wielu spotkała się trudnościami, okazała siłę, równą najradykalniejszym i egoistyczno-klasowym prądom — a za to socyalizm, któremu powszechne wybory miały przynieść takie tryumfy, który w innych krajach istotnie pozyskał wielkie masy zwolenników: u nas objawił całą swą słabość — jest stronnictwem drobnem, które mimo największych wysiłków nie może w prawdziwie polskich okręgach liczyć na zwycięstwo.

Pracujmy teraz wytrwale, uświadamiajmy i organizujmy szerokie warstwy ludu wiejskiego i robotniczego, a przy następnych wyborach otrzymamy już wyniki zupełnie pomyślne, zwalczymy i te niezdrowe prądy, które dziś jeszcze opanowały pewną część wyborców, nie własną siłą i pracą, lecz wskutek braku dostatecznej i dobrze pojętej roboty po naszej stronie.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

„LOURDES“ ZOLI I „LOURDES“ HUYSMANSA.

W połowie maja przyniosły telegramy z Francyi wiadomość, że zmarł tam Karol Huysmans, »wielki winowajca«, jak go nazwała krytyka francuska, gdy wydał swe powieści *A rebours* i *Là-bas,* »wielki konwertyta«, gdy pisał *En route, La Cathédrale, Sainte Lydwine de Schiedam* i *L'Oblat,* w każdym razie i jako »winowajca« i jako »konwertyta« jedna z typowych i zajmujących postaci w literackim świecie współczesnej Francyi.

»Gorący wielbiciel i oddany przyjaciel« Zoli, jak sam się scharakteryzował w przedmowie do *Les soeurs Vatard,* nie dorównał mistrzowi talentem; nie potrafił tak, jak on, ożywić szerokich mas i kreślić duszy tłumu, przewyższył go za to w oddaniu nastroju duszy pojedynczej, w przedstawieniu tejże duszy rozwoju i uczuć, które badał aż do dna serca, przewyższył go przedewszystkiem szlachetnością charakteru.

Zawsze jednak zostawał pod wpływem Zoli. Jak Zola mikroskopijnie analizował przygody swojej *Nany,* tak analizował Huysmans duszę des-Esseintsa lub Durtala a swą mistyczno-nerwową uczuciowość łączył równocześnie z takim balastem erudycyi, jaką przywykliśmy spotykać tylko w fachowem piśmie, nigdy w powieści. Z Zolą miał długi czas jeszcze jedno wspólne zamiłowanie: wybór tematów brudnych, chorobliwych.

A jednak w jego najbardziej chorobliwym, może i najohydniejszym utworze, w *A rebours,* widać już powoli dokonywującą się zmianę, która jaśniej wystąpiła dopiero w *En route.*

Praca ta wywołała skrajnie sprzeczne i odmienne zdania. Ze strony wielbicieli Zoli i jego szkoły był to jednomyślny głos protestu, gdyż intuicyjnie zrozumieli, że *En route* to odstępstwo od mistrza i jego kierunku; katolicy gorszyli się tą spowiedzią, którą charakteryzowała przerażająca wprost szczerość i tak naturalistyczne odsłanianie szczegółów, że chyba tylko po klinikach z podobnymi zapoznać się można. Jedni i drudzy nie wiedzieli, co ostatecznie o rzeczy sądzić.

Zdawali sobie wprawdzie wszyscy dokładną sprawę z tego, że w życiu i w duszy pisarza nastąpił przewrót, lecz podczas gdy jedni sądzili, że jest to tylko wybryk nerwów i fantazyi przesyconego życiem i wrażeniami literata, innym trudno było uwierzyć w szczerość a przedewszystkiem w trwałość nawrócenia. Mimo wszystko przemiana ta, abstrahując nawet od pierwiastka łaski, była psychologicznie umotywowaną i zrozumiałą.

»W *Là-bas*, gdzie po raz pierwszy spotykamy się (z Durtalem), jest on młodym, utalentowanym pisarzem, który do syta zaznał niemoralnego życia swoich towarzyszów. Jeżeli od tego wszystkiego się odwrócił, to przyczyny szukać należy nie tak w pozytywnym akcie woli, jak raczej w jej osłabieniu skutkiem tego właśnie przesytu. Na tem się jednak zadanie jego życia nie skończyło. Pisze biografię niejakiego Gilles de Rais i podaje czytelnikowi rękopis kawałkami tak, jak powstaje. Za motto tej biografii możnaby wziąć zdanie Platena: ‚w duszy znajdują się przepaście od piekielnych głębsze'. W te przepaście — dlatego *Là-bas*— zagłębia się Durtal nie tylko o tyle, o ile je zna z dokumentów, odnoszących się do jego tajemniczego rycerza z czasów Karola VII, lecz o tyle także, o ile je z sobą niesie realne życie. Boć i we współczesnym Paryżu znajdują się stronnicy katolicyzmu *à rebours*, stronnicy satanizmu, tego dziwnego kierunku ducha, który w niepojęty sposób bluźni Bogu i wszystkiemu, co święte, a to nie z powodu niewiary, ale dla tego właśnie, że w Boga wierzy. Co w tej książce o satanizmie i jego kulcie czyli o czarnej mszy czytamy, przechodzi wszystko, co sobie wyobraźnia przeciętnego człowieka uroić może, i dla tego już nosi na sobie cechę prawdopodobieństwa. Durtal w tej grozą przejmującej wieczornicy cza-

rownic nie ginie; zachowuje przeciwnie wszędzie zimny spokój bezstronnego badacza. Kiedy jednak w ten sposób poznał i przeszedł ziemię i piekło, nie może już więcej zadziwić, że w najbliższej książce spotkamy go ‚w drodze' do nieba. To oznacza tytuł *En route*... Ponieważ świat zewnętrzny go odstrasza, zagłębia się coraz więcej w siebie i szuka pokoju w Kościele« [1].

Pisał wprawdzie w początkach swego nawrócenia Durtal: »*La Trappe* mnie złamała; uwolniła mnie od pożądliwości, ale dla tego tylko, aby mi dać choroby, których przedtem nie znałem. Ona, tak pokorna, powiększyła moją próżność i w dziesięćkroć pomnożyła dumę; potem kazała mi odejść tak słabym i zmęczonym, jak nigdy przedtem. Odtąd nie mogę pokonać tego duchowego wyczerpania sił, nie mogę zasmakować sobie w Mistycznym Pokarmie, który przecież jest mi niezbędny, jeżeli nie chcę umrzeć dla Boga. I po raz setny pytał siebie samego: jestżem ja szczęśliwszym dzisiaj, jak przed mojem nawróceniem się? a nie chcąc kłamać, musiał odpowiedzieć: tak« [2]. Znalazł więc ostatecznie Durtal a raczej Huysmans to szczęście w Kościele, nie zawiódł położonych w nim nadziei, stał się gorliwym i praktykującym katolikiem a ostatnią pracą jego życia, gdzie składa hołd Niepokalanej Dziewicy, jest książka *Les foules de Lourdes*, »Tłumy w Lourdes« [3].

Huysmans pracował nad tem dziełem kilka lat i można było przewidzieć od dawna, że tego dla katolickiego pisarza tak ponętnego tematu nie pominie. Po raz pierwszy zajął się obszerniej objawieniami w Lourdes w powieści *La Cathédrale*. »Bóg — pisze tam — wsławił La Salette, nie uciekając się do środkow świeckiej publicystyki; teraz zmienia taktykę. Równocześnie z Lourdes występuje na scenę reklama. To upokarza. Jezus decyduje się użyć lichych sztuczek ludzkiego handlu i wstrętnych forteli, z których korzystamy, aby rzucić w świat jakiś towar lub zareklamować jakieś przedsięwzięcie. Możnaby zapytać, czy to nie jest strasznie przykra lekcya pokory, dana człowiekowi i bardzo silna nagana,

[1] *Das litterarische Echo*, rocznik I, str. 1208 nast.
[2] Huysmans: *La Cathédrale*. Wyd. VII, 1898, str. 43 nast.
[3] J.—K. Huysmans: *Les foules de Lourdes*. Paris. 1906, str. 314.

rzucona w twarz nieczystemu amerykanizmowi naszych dni. Bóg zniża się raz jeszcze do nas, mówi naszym własnym językiem, korzysta z naszych pomysłów, — wszystko w tym celu, byśmy się wsłuchali w jego głos i jemu się poddali; nie próbuje już nawet dać nam poznać swoich własnych planów przez siebie samego. Zaiste w osłupienie wprawia sposób, jakiego używa Zbawiciel, by wsławić łaski, przygotowane w Lourdes. Nie ogranicza się do tego, by sobie o cudach tylko opowiadano — nie; zdaje się, że trudniej było dla Niego zjednać uznanie dla Lourdes, jak dla La Salette — ucieka się więc od razu do wielkich środków. Wzbudza człowieka, którego książka przetłumaczona na wszystkie języki, niesie w najdalsze okolice wieść o objawieniu i potwierdza prawdę zdziałanych w Lourdes cudów.

»Aby takie dzieło na masy podziałać mogło, musiał autor do osiągnięcia tego celu wybrany, być przezornym przedsiębiorcą i człowiekiem bez osobistego stylu, bez nowych idei, jednem słowem: człowiekiem bez talentu. I ta taktyka dziwić nie powinna, gdyż w kwestyi zrozumienia sztuki publiczność katolicka została daleko w tyle poza publicznością świecką. Pan Bóg też dobrze rzecz urządził — wybrał Henryka Lasserre. W następstwie założona mina wybuchła, wstrząsając duszami i kierując tłumy na drogę do Lourdes.

»Płyną lata; sława świętego miejsca ustalona. Staje się ono świadkiem nadprzyrodzonych uleczeń, których nie można zaprzeczyć a które są zbadane i potwierdzone przez klinikę; tej znowu nie można odmówić ani dobrej wiary, ani wiedzy. Lourdes święci swoje tryumfy.

»Powoli jednak, z biegiem czasu, choć pielgrzymki nieustannie płyną, zainteresowanie się grotą zmniejsza się. Znaczenie Lourdu słabnie, nie w świecie religijnym, ale w ważnem środowisku obojętnych lub niepewnych, którychby trzeba było przekonać. I Zbawiciel uznał za dobre, zwrócić na nowo uwagę na dobrodziejstwa, jakich udziela Matka Jego.

»Lasserre nie był już w stanie zainteresować dla niewyczerpanej mimo wszystko wziętości Lourdu. Publiczność była jego książką przesycona, wchłonęła ją we wszelkich formach — cel był

osiągnięty; niezbędne tegoż narzędzie, registrator cudów, znalazł się między rupieciami.

»Potrzebną była teraz książka, któraby różniła się w zupełności od książki Lasserre'a, któraby mogła oddziałać na tę olbrzymią publiczność, do której nie mogła dotrzeć zakrystyańska proza Lasserre'a. Lourdes powinno się było przedostać do szerszych a mniej uległych warstw, do publiczności mniej pospolitej a trudniejszej do zadowolenia. Nowe dzieło musiało więc być napisane przez człowieka z talentem... przez człowieka szeroko znanego, którego kolosalne nakłady mogłyby zrównoważyć nakłady Lasserre'a. W całej literaturze jeden tylko znalazł się człowiek, który mógł zadosyćuczynić tym nieodzownym warunkom: Emil Zola. Próżno szukalibyśmy innego. On jeden był w stanie swojem niezwykłem znaczeniem, swoim niesłychanym pokupem, swoją potężną reklamą Lourdes na nowo wsławić! Prawda! przeczył on nadprzyrodzonemu pierwiastkowi i silił się naiwnemi przypuszczeniami tłumaczyć uzdrowienia, które się wytłumaczyć nie dadzą. Prawda! ugniatał on lekarską mierzwę Charcota, aby nią swoją biedną tezę spoić. Mniejsza jednak na razie o to. Główną rzeczą było to, że daleko rozbrzmiewające walki powstały koło jego dzieła, którego przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy rozniosło imię Lourdu po całej ziemi...

»Ostatecznie można podtrzymać zdanie, że Lasserre i Zola byli dwoma pożytecznemi narzędziami; pierwszy bez talentu ale tem samem do głębi wzruszający szerokie masy safandułów; drugi przeciwnie czytany przez publiczność intelligentną i wykształconą a czytany z powodu tych wspaniałych kart, gdzie się przewijają tłumy wśród ogni procesyi, gdzie w huraganie bólów tryumfuje wiara białych pociągów« [1].

Pomijając ekscentryczność tych poglądów i niekoniecznie sprawiedliwy sąd o Henryku Lasserre, zdaje się nam, że już wówczas, gdy Huysmans te karty pisał, zrodziła się w nim myśl, aby i on, szeroko w świecie znany talent, w tej sprawie zabrał głos; nie mógł przecież nie zdać sobie dokładnej sprawy z bądź

[1] J. K. Huysmans: *La Cathédrale*. Str. 18. nast.

co bądź fatalnej w dalszych następstwach powieści Zoli. Pisał wprawdzie w swym optymizmie i duchu chrześcijańskiej wyrozumiałości o romansie Zoli: »Samo bałamuctwo jego dowodów, naiwność ‚uzdrawiającego tchnienia tłumów', przyjętego wbrew wszystkim danym tej pozytywnej wiedzy, którą się chełpił, ażeby wytłumaczyć te niezwykłe uzdrowienia, których był świadkiem i których rzeczywistości ani też liczbie zaprzeczyć nie mógł, to wszystko było aż nadto wystarczającem, żeby przekonać ludzi nieuprzedzonych i dobrej wiary o prawdziwości cudów, które się stale w Lourdes dzieją. Takie publiczne uznanie niebywałych wprost rzeczy wystarczało do wprawienia w nowy ruch szerokich mas« [1].

Może to jest i prawdą, wolno jednak na rzecz i z przeciwnego punktu widzenia się popatrzeć: »Proszę sobie wyobrazić biedną chorą, która wierzyła w Lourdes. Lekarz wioskowy przyszedł ją odwiedzić, a w jego oczach i w oczach swych krewnych czytała nieubłagany wyrok, że, po ludzku mówiąc, niema już dla niej żadnej nadziei. Posiadała jednak zawsze, jako ostatnią ucieczkę, wielką siłę tych, którzy mają wiarę i w cichości serca powtarzała bezustanku słowa chorego z ewangelii: Pójdę a On mnie uzdrowi. Pójdę do Lourdes i kiedy w procesyi poniosą Najświętszy Sakrament, upadnę przed Nim czołem a ufając Dziewicy z groty, znajdę jeden z tych akcentów, które przenikają do Serca Boga i wywołują cud. I jednego dnia wpada jej w ręce książka Zoli; dowiaduje się z niej, że te wszystkie cuda są iluzyą i oszukiwaniem, że cud jest tylko wytworem mniej lub więcej przedłużonej suggestyi, która do swego najwyższego napięcia doszła w Lourdes. Wobec tych wszystkich k t ó ż w i e, tych wszystkich m o ż e wiara jej zniknie i zwiędnie, jak wdzięczny kwiat zimnym podmuchem rażony. Wobec bardzo wielkiej popularności Zoli w pewnem środowisku wyrzeknie do siebie samej słowa słabych i bojaźliwych: ‚czem jestem ja, żeby rozpocząć walkę i sprzeciwić się sławnemu powieściopisarzowi, którego dzieła rozchodzą się w tysiącach?'« [2]

Opinia Huysmansa da się więc podtrzymać, o ile chodzi

---

[1] *La Cathédrale.* Str. 21.

[2] Boissarie: *Zola. Le roman et l'histoire.* Paris 1895. Str. VI nast.

o nieliczne, prawdziwie intelligentne sfery, posiadające do tego jeszcze sporą dozę dobrej woli; na wszystkie inne warstwy, a więc na olbrzymią większość dzieło Zoli wywrze z pewnością najfatalniejsze wrażenie. Dla tej też racyi książka pisarza tej miary i tego znaczenia, co Huysmans, była z pewnością na czasie i wskazana.

Les foules de Lourdes różnią się już zewnętrznie od dzieła Zoli. *Lourdes* Zoli, to powieść z pewnemi dodatniemi, więcej jednak ujemnemi stronami. Dzieło Huysmansa nie jest powieścią; nie jest ono nawet pracą naukową, historyczną lub teologiczną, lecz zbiorem obrazów, opisów i wrażeń, często z sobą dość luźno połączonych, czasami nawet porozrywanych — historya, teologia i mistyka odgrywają tu raczej podrzędną rolę i służą albo za ozdobę albo za łącznik, potrzebny dla lepszego zrozumienia lub przeprowadzenia myśli.

Pierwsze sprawozdanie, jakie się o *Les foules de Lourdes* u nas pojawiło [1], widziało w dziele autora rehabilitacyę i obronę Zoli. Nas takie postawienie kwestyi na prawdę zdziwiło, gdyż między tymi dwoma utworami leży niezgłębiona przepaść: wiara Huysmansa i niewiara Zoli, a jeden jedyny punkt styczny, gorzkie słowa, których tak Zola, jak i Huysmans nie szczędzą i surowe wytknięcie ujemnych stron Lourdu, różnią się między sobą celem i sposobem przeprowadzenia, nie należą też bynajmniej do istotnych części obydwóch prac.

Powieści Zoli przyznała krytyka katolicka właściwie tylko jednę dodatnią stronę, tę mianowicie, że pięknie opisuje same obchody, tłumy cisnące się do groty, olbrzymie procesye na przepysznem tle granitowych budowli i pirenejskich szczytów, zaznaczyła jednak równocześnie, że owe obchody opisuje dobrze jedynie co do zewnętrznego wyglądu, że nastrój tych tłumów modlących się, ton ich śpiewów, wygląda wymuszenie, dziko, tchnie nie pobożnością, lecz namiętnością życia [2]. Poza tem oceny przeważnie wypadły ujemnie. Zarzucono mu, że najniepotrzebniej wprowadził w powieść *la bête humaine*, że wyciągał różne brudy, że nie

[1] Wojciech Dąbrowski: »Zola — Huysmans« w 32 n. *Nowej Reformy.*
[2] Ks. M. Morawski w *Przegl. Powsz.* t. 44, str. 119.

rozumie wiary, którą uważa za uśmiercenie rozumu, za imaginacyjny wytwór istot upośledzonych i za majaczenia chorych, tak iż wydawało mu się nawet, że w Lourdes zaczyna się nowa religia; że nadzwyczajne rzeczy, które się w Lourdes dzieją, on nie znający ani wiary, ani nauk medycznych tłumaczył sobie n a u k o w o, to znaczy: egzaltacyą, wyobraźnią, nerwowem podnieceniem, histeryą, newrozą, hypnozą, autosuggestyą.

Pomijamy zarzuty, które się odnoszą do powieści Zoli, jako utworu literackiego i do jej wartości estetycznej, obchodzą nas tu jedynie te, które ją wyróżniają od dzieła Huysmansa. Zarzuty te w sposób Zolę miażdżący sformułował dyrektor biura medycznego w Lourdes, dr. Boissarie: »Zola nie chciał ani światła, ani prawdy; jeżeli z pod jego pióra nie wypłynął pierwiastek nadprzyrodzony, to tylko dlatego, że tak go szukał, jak szukają duszy, rozczłonkowując nożem anatomicznym mózg.

»Co u Zoli najwięcej uderza, to świadoma lub nieświadoma nieznajomość przedmiotów, którymi się zajmuje. W Lourdes przebywał on trzynaście czy czternaście dni, pochłonięty ciągłemi wizytami, otoczony chmurą reporterów, zajęty troską o swoją popularność. W tych warunkach wszystko widział, o wszystkiem sądził...

»Zola bawił dwie godziny w biurze medyków; nie zrobił sobie żadnej notatki, nie śledził żadnych uzdrowień, których był świadkiem, nie urządził żadnego dochodzenia a napisał w swej książce przeszło dwieście stron o owych uzdrowieniach.

»Jeżeli jego nieznajomość wywołuje zdziwienie, to znowu dobrej wiary przyjąć u niego nie można; gdy ktoś opiera się szczegółowemu badaniu, unika dyskusyi o najbardziej w oczy bijących rzeczach, o zagojonych ranach, gdy ktoś utrzymuje (w swej książce), że umarli chorzy, którzy się dobrze czują, gdy ktoś stwarza wprost nieprawdopodobne typy, tego usprawiedliwić nie można.

»Powieściopisarze mają swoje przywileje. Ale nie mają prawa, pod pretekstem powieści, fałszować historyi, ośmieszać najświętszych rzeczy. Można mieć swoje odmienne zdania i poglądy, nie wolno jednak nikomu świadomie przekręcać faktów, nie wolno

tak stawiać fałszywych twierdzeń, że się jest przekonanym o ich nieprawdziwości nawet, choć się je drukuje. Jest niegodnem pisarza zastąpić szczere i otwarte dowodzenie ciągłemi insynuacyami, nieuzasadnionemi powątpiewaniami, znakami zapytania; nie wolno przedstawiać faktów w fałszywem świetle, obcinając je umyślnie. Tak jednak postępował Zola. Nie tylko świadomie sfałszował najbardziej sprawdzone fakta, owszem! insynuacyami, dowcipami w złym guście obracał w śmiech osoby i rzeczy, to wszystko, co nawet przeciwnikowi szanować się każe« [1].

Ten ostry sąd jest niestety! aż zbyt uzasadnionym. Książkę Zoli stworzyło pragnienie wypowiedzenia zdania o tych dziwnych rzeczach, które są w Lourdes na porządku dziennym. Zola mógł był przyjąć lub odrzucić pierwiastek nadprzyrodzony, w każdym razie powinien jednak uzasadnić swoje zapatrywania. Tymczasem zamiast dowodów daje nam »źle poznane, nieznane nawet siły przyrody, autosuggestyę, wstrząśnienie przygotowane od dawna, uniesienie wywołane podróżą, modlitwy i śpiewy, rosnącą egzaltacyę a przedewszystkiem uzdrawiające tchnienie i nieznaną potęgę, która wydobywa się z tłumu na skutek podnieconej wiary« [2], i pyta się: »gdybyśmy się odważyli naszych suchotników wrzucić do zimnej wody, kto wie?« — ale te przypuszczenia stoją w takiej sprzeczności z faktami, z naturą uzdrowień, że widocznie sam Zola je odczuwał, skoro uzdrowienia fałszował i w nieprawdziwem przedstawiał świetle.

I tak np. czternastoletnia dziewczyna Klementyna Trouvé, występująca w powieści jako Zofia Couteau, zostaje uzdrowiona w sadzawce w jednej chwili z próchnienia kości, trwającego trzy lata a stwierdzonego świadectwami lekarzy i mieszkańców okolicy, w której żyła — wszyscy wiedzieli dobrze, że chora chodzić nie mogła. Zola był w pierwszej chwili zmieszany: »Ależ to prawdziwy cud, który mi pan tu pokazuje«. Po tej małej chwili zapomnienia następuje zaraz otrzeźwienie. »Widzianoż tę ranę przed jej uleczeniem?« »Jasna rzecz! Widział ją doktór, który ją leczył

[1] Boissarie l. c. str. 2 nast.

[2] Zola: *Lourdes*, 48-my tysiąc, str. 199.

od trzech lat, widzieli ją krewni, sąsiedzi, zakonnice, które jej w chwili wyjazdu nogę opatrywały«. »To mnie nic nie obchodzi; pan nie skonstatowałeś faktu przedtem i wmawiasz teraz uleczenie we mnie«. Na propozycyę, żeby wglądnąć w akta, Zola opuścił biuro a w dalszym ciągu powieści podał w wątpliwość prawdomowność dziecka, uzdrowienie przypisał *à une force ignorée, à un faux diagnostic du médecin, à un concours d'erreurs et d'exagérations*[1] i nasunął myśl, że uzdrowienie przygotowywało się powoli i od dawna.

Gorzej jeszcze postąpił sobie Zola z Maryą Lemarchand, którą w swej powieści nazwał Elizą Rouquet. Straszliwy wilk toczył jej twarz a Zola tak chorą opisuje: »Był to wilk, który zajął nos i usta, powoli się stamtąd rozchodził, podczas gdy jątrzenie szerzyło się bez przestanku pod strupami i niszczyło błony śluzowe. Głowa, wydłużona w paszczękę psa z szorstkimi włosami i wielkiemi, okrągłemi oczyma, stała się straszną. Chrząstki nosowe były prawie zupełnie stoczone, usta, skręcone w lewo przez nabrzmienie górnej wargi, cofnęły się w bok i stały się podobne do ukośnej, zanieczyszczonej i nieforemnej szpary. Krwawy pot zmieszany z ropą wypływał z olbrzymiej, zsiniałej rany. Ksiądz wzdrygnął się patrząc, jak Eliza Rouquet ostrożnie wsuwała małe kawałki chleba w zakrwawiony otwór, który jej służył za usta. Cały wagon zbladł na widok tak odrażającego zjawiska. I jedna tylko myśl zajmowała wszystkie te dusze, ufnością wezbrane. ‚Ach! święta Dziewico, Dziewico potężna, jakiż to byłby cud, gdyby podobna choroba została uleczoną'«[2]. I cud się stał. Marya Lemarchand przybyła do Lourdes 20 sierpnia, 21 sierpnia została uzdrowiona w sadzawce i to w jednej chwili i zupełnie, jak stwierdzają akta i świadectwa lekarzy, literatów i dziennikarzy. Zola, który był tego świadkiem, twierdzi jednak wbrew oczywistemu faktowi, że rana pod wpływem obmywań wodą ze źródła zaczęła schnąć i blednąć, nie była jeszcze zagojoną, lecz znać było, że »już się rozpoczęła cicha praca uzdrowienia«, i wraca

[1] Zola l. c. str. 71.
[2] Zola l. c. str. 16.

znowu do swej »naukowej« teoryi, utrzymującej, iż »można wykazać, że wiara, która ulecza, jest w stanie zupełnie wyleczyć rany, między innemi pewien rodzaj fałszywych wilków«[1] i t. d.

Ostatecznie posunął się Zola jeszcze o krok dalej. Marya Lebranchu, nazwana w powieści jego La Grivotte, była suchotnicą; matka i ojciec umarli na suchoty; świadectwa lekarzy paryskich stwierdzały, że od dziesięciu miesięcy leżała nieustannie w łóżku, wymiotowała krwią, straciła 48 funtów na wadze, jej spluwaczka była zawsze pełną ropy, wszelką żywność zwracała; »były to suchoty w ostatniem stadyum«. Lękano się w tym stanie choroby wykąpać Maryę w sadzawce, wreszcie skłoniono się do jej prośby i po kilkominutowej kąpieli wyszła z sadzawki zupełnie uzdrowiona. Biuro lekarskie w Lourdes skonstatowało fakt: »Badaliśmy ją uważnie i nie słyszeliśmy w jej piersi ani rzężenia, ani ciężkiego oddechu, nie znaleźliśmy nawet śladu rany w płucach. Badaliśmy ją na nowo na drugi dzień; dawna chora nie kaszle, nie wyrzuca krwi, je z apetytem. Codziennie, aż do jej odjazdu, konstatujemy, że uzdrowienie jest trwałem«[2]. Marya wraca do Paryża. Tu bada ją kilku lekarzy, którzy uznają, że jest zupełnie zdrowa a prymaryusz szpitala odzywa się do asystującej Siostry zakonnej: »Nie będę odtąd wydawał świadectw dla Lourdes; ta kobieta, Siostro, robi ze swem ciałem, co jej się tylko podoba«. Po roku wróciła Marya do Lourdes bez śladu jakiejkolwiek choroby.

Taką była historya Maryi Lebranchu; co z niej zrobił Zola? Faktowi zaprzeczyć nie mógł: »Osłupiały spoglądał na nią Piotr. Byłażby to ta sama dziewczyna, którą widział ostatniej nocy kaszlącą i wyrzucającą krew, o trupiej twarzy? Nie poznawał jej więcej. Wyprostowana, wysmukła, rumieńce na policzkach, oczy błyszczące... Wiemyż jednak, czy w pewnych warunkach mroźna kąpiel nie może uleczyć suchotnika? Wolnoż nam przemawiać w imię absolutnych praw nauki? Gdzież są te prawa? Pokażcie mi je?... Zle zbadane siły przyrody działały tu: podrażnienie podróżą, modlitwy, śpiewy a przedewszystkiem uzdrawiające tchnie-

[1] Zola: *Lourdes* str. 194. [2] Boissarie l. c. 34.

nie, nieznana potęga, która się wydobywa z mas żywą wiarą podnieconych«. I pyta się dalej, czy te suchoty nie były może nerwowemi, i czy to uleczenie, raczej pozorne jak rzeczywiste, nie było następstwem chwilowego wzruszenia. Że tak być nie może i nie jest, na to odpowiedziała Zoli nauka i on sam czuł, że stąpa po niepewnym gruncie, gdyż ucieka się znowu do fałszu i kłamstwa; w czasie powrotu do Paryża »zdziwiło Piotra zachowanie się Grivotty... Wyprostowała się i w nagłym niepokoju uczepiła się przepierzenia. W blasku lampy zdawało się, że na nowo schudła; twarz miała bladą i cierpiącą.

»Uważaj pani, ona się wywraca — zawołał ksiądz na panią de Jonquière, która, przymknąwszy oczy, drzemała.

»Ta się pospieszyła, lecz uprzedziła ją siostra Hyacynta. Schwyciła w swe ramiona Grivottę, którą gwałtowny atak kaszlu rzucił na ławkę. Biedactwo dusiło się w przeciągu pięciu minut, wstrząsane tak silnym kaszlem, że jej biedne ciało rwało się prawie. Wreszcie popłynęły czerwone strugi, pełnem gardłem wyrzucała krew... Atak przeszedł, lecz wróciła się tak wielka słabość, że nieszczęśliwa mogła zaledwie wybełkotać słowa: e! to nic. Jestem uzdrowiona, jestem uzdrowiona, uzdrowiona zupełnie«. W Bordeaux rozpoczęła rzężeć i gwałtownie oddychać, w Poitiers drżała od silnej febry i cierpiała na nowo silne ataki kaszlu, w Paryżu przeniesiono ją w pożałowania godnym stanie natychmiast do szpitala [1] — reszty, jej śmierci mianowicie, domyśleć się już można.

Wybraliśmy z powieści kilka tylko wybitniejszych faktów, lecz i te już wystarczają, aby wykazać, jak się przedstawia poszukiwanie prawdy ze strony Zoli a równocześnie, jak słusznymi są zarzuty, stawiane mu przez krytykę katolicką i przez d-ra Boissarie. To też nie zadziwi nikogo, że najsilniejszym akcentem, jaki Zola w Lourdes znalazł, był ten: »Trzeba tolerować Lourdes, jak się toleruje kłamstwo, które pomaga życiu« [2].

Odrzuciwszy w ten sposób wszelki nadprzyrodzony pierwiastek Lourdu, nie uznając nawet niezwykłości wydarzeń, jakich

---

[1] Zola l. c. str. 555 nast.
[2] Zola l. c. str. 591.

Lourdes codzień jest świadkiem, nie mógł Zola darować, rozumie się, i postaci Bernadetty. Podoba mu się to młode dziewczę, które jest »na prawdę interesujące, powiem więcej, zachwycające; można usiłować tłumaczyć ją po ludzku, to nie ubliży bynajmniej tej wdzięcznej postaci dziecka... Czarowały wszystkich jej oczy pełne ekstazy, piękne oczy wizyonerki... W jej wzroku czytał jej proboszcz z troską to wszystko, co w niej rozwinąć się miało: astmę, która dręczyła jej biedne ciało... Anioł Pański odmawiany w szczerem polu i powtarzany aż do halucynacyi, nadzwyczajne zdarzenia słyszane od mamki, wieczory spędzane przed ołtarzami kościoła«. Ostatecznie robi Zola z Bernadetty, według surowego wyrażenia d-ra Boissarie, idyotkę i histeryczkę.

I w tworzeniu charakteru tej dziewczyny wykazał Zola sporą dozę złej woli. W biurze d-ra Boissarie spotkał się on z d-rem Balencie, który przez ośm lat znał Bernadettę a, nie wierząc jej objawieniom, badał ją długo i często, nigdy jednak nie wątpił o jej dobrej wierze i nigdy nie widział w niej histeryczki. Żył jeszcze za pobytu Zoli w Lourdes urzędnik podatkowy, Estrade, który towarzyszył Bernadecie do groty, przyjmował ją często u siebie i był obecnym przy jej przesłuchaniach; żył jej spowiednik, ks. Pomian, który ją przygotował do pierwszej komunii św. i był jej właściwym wychowawcą. Tych wszystkich Zola pominął; porozmawiał za to we wsi Bartrès z kilku chłopami, zachwycał się pięknem położeniem wioski i — stworzył swoją Bernadettę, choć najgorzej trafił, gdyż w Bartrès przebywała Bernadetta rzadko i krótko. Lecz Zoli nie chodziło o istotną prawdę; chodziło mu tylko o to, żeby suggestyą, podnieceniem, nerwami i wiarą wszystko wytłumaczyć [1]. Nawet Huysmans, choć przyznaje, że Zola delikatnie i z uczuciem o Bernadecie się wyraża (ten ustęp ma być w myśl p. Dąbrowskiego rehabilitacyą i obroną Zoli), stwierdza, że ją zrobił postacią mistyczną i histeryczką, mimo, że ani jedną ani drugą nie była [2].

Tak się w krótkim zarysie przedstawia stanowisko, jakie

---

[1] Boissarie l. c. str. 4 nast.

[2] Huysmans: *Les foules de Lourdes.* str. 239.

w swej powieści Zola względem Lourdu zajął, przyczem, aby uniknąć nieporozumień, zaznaczamy, że nie chodziło nam w naszej pracy bynajmniej o obronę nadprzyrodzonego charakteru Lourdu ani o dokładne udokumentowanie trzech, przez nas podniesionych uzdrowień, — o tem pisano już tomy —; chcieliśmy przeciwnie wykazać tylko to, że Zola z uprzedzeniem i ze złą wolą do rzeczy przystąpił, nie cofając się przed insynuacyą a nawet kłamstwem i fałszem, — wszystko w tym celu, by obniżyć znaczenie świętego miejsca.

To zrozumiała też francuska prasa różnych obozów. »Zola, donosiła swego czasu *La France Nouvelle*, pisząc swą książkę o Lourdes stracił dobrą okazyę do milczenia. Niech pisze powieści, nikt mu w tym względzie nie zaprzecza ani prawa ani talentu, odrzucić jednak musimy jego pretensye do pracowania na polu historyi. Jasnem jest przecież, że podczas, gdy chciał nam dać Lourdes takie, jakiem jest, dał nam w sam raz takie, jakiem nie jest«.

Jak się teraz przedstawia r e h a b i l i t a c y a Zoli w dziele Huysmansa?

(Dok. n.)

Ks. Wiktor Wiecki.

KONGRES WSZECHBRYTYJSKIEGO IMPERYUM.

Kilka dni temu, 14 maja b. r. ukończył swe obrady piąty z rzędu kongres kolonialny angielski. Brały w nim udział prawie wszystkie, po całej kuli ziemskiej rozproszone kolonie angielskie. Potęga kolonialna Anglii przedstawiła się tutaj w całym swym majestacie.

Na olbrzymim obszarze przeszło 28 milionowym km² żyje pod berłem angielskiej korony 360 milionów ludności. Rozmiarami przechodzi Anglia wszystkie dotychczasowe monarchie światowe, począwszy od monarchii Aleksandra Wielkiego aż do Imperium Romanum i potęgi ongi Habsburgów, w których kraju słońce nigdy nie zachodziło. Najśmielsza nawet wyobraźnia nie śmie marzyć o tak olbrzymiem państwie z tylu narodów, ras, religii i monarchii, co obejmuje ziemie trzy razy większe od Europy, co dzierży w swej dłoni handel połowy świata!

Z całej tej monarchii zjechali się wszyscy gubernatorowie, prezydenci i wielkorządcy, by zadecydować o przyszłości tej monarchii, o stosunkach handlowych i prawno-państwowych tych wszystkich ziem do macierzystego kraju, Anglii.

Niespełna lat temu trzydzieści Anglia prawie że nie dbała o swoje kolonie: jej wystarczała zależność handlowa i dobre interesa kupieckie z koloniami. Dopiero w r. 1872 Disraeli Baconsfield zwrócił uwagę na ten wielki błąd w polityce angielskiej.

Dilke pisze książkę o zadaniach kolonialnych Anglii [1], a profesor Seeley o ekspansyi wielkobrytańskiej *(Expansion Englands)*.

Tymczasem zjawia się nowy kolonizator na morzu, Niemiec, nowe potęgi morskie, Japonia i Stany Zjednoczone: wobec tego Anglia czuje się zagrożoną w swych koloniach.

Więc politycy pragną silniejszymi węzłami złączyć kolonie ze sobą i macierzystą Anglią, za pośrednictwem tych właśnie konferencyi kolonialnych. Śledząc rozwój tych myśli, widzimy jak przed oczyma naszemi dokonywa się wielkie przeobrażenie, a ogromne, wszechświatowe państwo brytyjskie, będące dotąd raczej geograficznem pojęciem, zaczyna być jednym czynnikiem politycznym i społecznym, co świadomie dąży do panowania nad światem całym.

I co dziwne, goręcej może niż sama Anglia, pragnęły tego kolonie. »One pragną — mówi Balfour — aby rząd przeprowadził jakiekolwiek zmiany, byle w duchu imperyalistycznym«.

Szkoda, że nie opublikowano istotnych uchwał kongresu, choć i tak nie wszystkie jego tajniki byłyby znane. Za to tem ważniejsza zebrać zapatrywania premierów kolonialnych, jakie wypowiadali na częstych przyjęciach i publicznych występach. Przemówienia te miały, swoją drogą, często charakter wykładów z zakresu ekonomii politycznej, często posługiwano się i statystyką lub powoływano na rozwój kolonii i odmienne stosunki. Były jednak te przemówienia na tyle jędrne, że złożyły się na dość wyrazisty obraz polityki kolonialnej angielskiej [2].

Całość obrazu wymaga cofnięcia się w historyę kolonialną Anglii [3].

Nie bardzo politycznymi były początki polityki kolonialnej Anglii.

Za Elżbiety, podczas wojen Hiszpanii z Anglią, Anglicy za

---

[1] Dilke: *British Empire*. Londyn 1899. *Problem of Greater Britain* 2 t. 1886, tamże.

[2] *The Times* za marzec, kwiecień, maj b. r.

[3] Cf Macaulay: »Szkice i rozprawy«, Kraków 1894. »Dzieje Anglii« Warszawa 1873.

przykładem Holendrów po raz pierwszy poczęli się puszczać za ocean, łupić bezbronne kolonie hiszpańskie i trapić kupców. Najsławniejszym bohaterem tych wypraw był Franciszek Drake, chluba angielskiego narodu, który wśród tych wypraw opłynął — śladem Magellana — całą ziemię dookoła, okrywając swe imię admirała angielskiego-korsarza nieśmiertelną chwałą. Równocześnie prawie zaczęto zakładać w Ameryce Północnej pierwsze kolonie (Virginia) i nawiązywać stosunki z Indyami wschodniemi, gdzie panowała wszechwładna »Kompania wschodnio-indyjska« towarzystwo holenderskie, wyposażone w monopol handlu z Indyami, i mające na celu właściwie tylko zwalczać interesa hiszpańsko-portugalskie.

Przedewszystkiem wzmogły się te rozboje po całkowitem zniszczeniu floty hiszpańskiej, »niezwyciężonej Armady« w r. 1688.

Atoli wszystkie te wyprawy, jak wspomnieliśmy, były właściwie tylko napadami korsarskimi. Anglicy, częstokroć na współkę z Holendrami, wyłapują srebrne floty hiszpańskie, zuchwale napadają nie tylko kolonie zamorskie, ale nawet porty hiszpańskie w Europie i zajmują je (Coruna, Kadyks), niszcząc nagromadzone tam zapasy, zabierając co się da.

Okres ten pierwszy polityki kolonialniej angielskiej możnaby więc wobec tego określić, po prostu właściwą nazwą, okresem r a b u n k o w y m polityki kolonialnej.

Wkrótce jednak polityka ta miała się przemienić w politykę handlową, więcej racyonalną. Dobrobyt kwitnących państw kolonialnych Hiszpanii i Holandyi działał i na Anglię, więc wśród tych ustawicznych napadów korsarskich powstawały tu i ówdzie bądź osady małe, bądź załogi, w każdym razie w wielu miejscach poczęli Anglicy nawiązywać interesa kupieckie (1600 Kompania angielska we Wschodnich Indyach). Interesa te jednak równały się prawie zeru, ponieważ Holendrzy dzierżyli w swym ręku monopol handlu zamorskiego, i oni to wyłącznie zaopatrywali całą Europę w produkty zamorskie, mając na swe usługi dwie wielkie kompanie handlowe, jedną we Wschodnich, drugą w Zachodnich Indyach. Aby wyrwać się od tej zależności handlowej, wydaje Cromwell pamiętny Akt nawigacyjny (9 paźdz. r. 1651), mocą którego: 1) pozaeuropejskie towary mogą być przywożone

do Anglii tylko na angielskich okrętach, i to takich, których załoga składa się w większej części z Anglików; 2) europejskie zaś towary mogą być przywożone do Angli tylko na okrętach angielskich albo tych krajów, z których sam towar pochodzi; 3) solone ryby mogą być przywożone wyłącznie tylko na angielskich okrętach; 4) wreszcie żadne okręty obce nie mają wstępu do angielskich portów. Nakoniec dodano (w r. 1660), że wszystkie kolonie angielskie są zamknięte dla obcych państw i narodów.

Z tekstu ustawy widać, że jest ona wymierzona przeciw pośrednictwu w handlu, więc przeciw Holandyi, jedynej w owych czasach pośredniczce handlowej między Europą a krajami zamorskimi. Na razie akt ten sprowadził na Anglię ciężką wojnę z Holandyą, jednak w przyszłości musiał spowodować ogromny rozwój angielskiego, rodzinnego handlu i, co za tem idzie, dobrobytu.

Główne jednak podwaliny swej potęgi kolonialnej zyskała Anglia dopiero po wojnie sukcesyjnej hiszpańskiej, w pokoju w Utrechcie w r. 1713. Pokój ten potwierdził Anglii posiadanie tak ważnej pozycyi, jak Gibraltar, Minorka. W Ameryce otrzymała zatokę Hudsona, Acadię i Nowo-Funlandyę. Nadto uzyskała Anglia monopol handlu niewolnikami w koloniach hiszpańskich. Również skutkiem traktatów handlowych dostała Anglia w swoją moc interesa kolonialne Portugalii.

Skutkiem tych traktatów Anglia uzyskała przewagę kolonialną już wtedy. I już wówczas zaczęła pomnażać swą flotę do tego stopnia, żeby była silniejszą od wszystkich państw w Europie razem wziętych.

Był to wielki krok naprzód w kolonialnej polityce.

Wtedy to polityka kolonialna weszła na tory więcej h a n d l o w e, stawiała sobie za cel korzyści kupieckie, zawsze jednak ograniczała się tylko do faktoryi kupieckich. Kompanie handlowe, tak francuskie jak i angielskie, miały na wybrzeżach kilka obwarowanych miejsc opłacając za nie dzierżawny czynsz władcom tubylców; rywalizowały te kompanie ze sobą, nie myśląc wcale o podbojach, bo punkt ciężkości polityki był zawsze jeszcze w Europie wyłącznie, a kolonie były tylko środkiem do szkodzenia w polityce, w wpływach i t. d., i to środkiem bardzo kosztownym, wymagającym wiele nakładów.

Punktem zwrotnym był tu pomysł Francuza Dupleix'a. Był on gubernatorem francuskim w Indyach, i zrobił ten niezmiernie ważny wynalazek, że utrzymanie kolonii stanie się bardzo łatwem, jeśli zamiast utrzymywania z wielkim nakładem pieniężnym wojsk europejskich, celem utwierdzenia swego panowania w koloniach, będzie można tego dokonać za pomocą krajowych sił zbrojnych, pozostających pod wodzą Europejczyków. Funduszów dostarczy sam kraj kolonijny. Rząd angielski przejął ten pomysł i począł go stosować w Indyach.

Odtąd rząd posługując się wyłącznie prawie krajowemi siłami, popiera i rozwija je i celem jego bezpośrednim nie jest już tylko eksploatowanie kolonii, ale owszem popieranie rodzimych czynników, celem rozwinięcia samodzielnych sił kolonii. Kierunek ten, na pozór bardzo liberalny, jest właściwie tylko manipulacyą, mającą za cel ostateczny utylitaryzm jak największy. Boć jasna, że im więcej będą rozwinięte rodzime siły kolonii, tem też większe korzyści z kraju tego można ciągnąć.

Zasady te urzeczywistniał minister spraw zagranicznych Pitt William (i ojciec i syn). Za cel swej polityki postawił on sobie zyskać i upewnić przewagę Anglii w koloniach, opierając się w nich zawsze na krajowcach, na tubylczej ludności, jak mu to nakazywało doświadczenie ostatnich wojen, a przedewszystkiem wojny w Ameryce północnej.

Anglia posiadała tutaj bardzo obszerne kolonie, powiększone jeszcze nabytkiem Kanady, w pokoju paryskim (r. 1765).

Kraj podzielono na dwie prowincye z osobnymi gubernatorami i odrębnym parlamentem; podobnie jak i w koloniach angielskich Ameryki północnej rządzili gubernatorowie mianowani przez króla, a parlamenty miały prawo uchwalania podatków na pokrycie własnej administracyi i sądownictwa. Z Anglią łączył je stosunek takiej zawisłości, że tylko z Anglią mogły prowadzić handel, ale za to wolne były od wszelkich podatków na rzecz wojska lub amortyzacyi długów angielskich. A doznając równocześnie opieki angielskiej w handlu morskim podczas wojny (sukcesyjnej austryackiej) z Francyą, chętnie znosiły tę zależność ekonomiczną od Anglii. Ale gdy po ukończeniu wojny Anglia, celem

opędzenia kosztów wojennych nałożyła na kolonie podatek t. zw. stempla, wybuchł spór, spotkała się tutaj po raz pierwszy z oporem w ostrej formie. Wystąpili bowiem koloniści w obronie zasady, że obywatel angielski ma tylko wtedy obowiązek płacić podatki, jeśli je uchwalą delegaci przez tychże obywateli wybrani. Z drugiej strony znowu, uchwały parlamentu obowiązują w całym państwie, a więc i w koloniach także, chociażby nawet nie było w parlamencie deputowanych z kolonii. Zasady te, obie wypielęgnowane na gruncie angielskiego parlamentaryzmu, po raz pierwszy wystąpiły tutaj w koloniach, a odtąd powtarzają się raz po raz, choć w nieco odmiennej formie — ostatnia, też i w obecnej konferencyi jako jej nić przewodnia snuje się na tem samem tle.

Zakończenie tego sporu jest wszystkim wiadomem. Gdy Anglia chciała absolutystycznie sprawę załatwić, obrażeni w swych patryotycznych uczuciach koloniści wyrzekli się swej matki-ojczyzny Anglii, wybuchła wojna (o niepodległość Ameryki) i Anglia upokorzona musiała pokojem wersalskim (1783) uznać niezawisłość Stanów Zjednoczonych.

Ale straty angielskie w Ameryce wyrównały się prawie zupełnie zyskami, jakie w owych czasach odnosiła Kompania wschodnio-indyjska. Wiadomo, że kompania ta założona r. 1600 i wyposażona w monopol handlowy, była zarazem bezpośrednią zwierzchniczką wszystkich posiadłości angielskich w Indyach.

W r. 1773 »Bill wschodnio-indyjski« ograniczył nieco tę niezależność kompanii, na korzyść angielskiej korony. Odtąd nie samowładnie rządzić będzie ta kompania, ale obok 24 dyrektorów Kompanii, którzy dotychczas rządzili jej interesami z Londynu, nadto jeszcze mianować będzie rząd radę nadzorczą, złożoną z 6 członków, którzy mieli kontrolować wszystkie czynności tej kompanii, dotyczące wojskowości, finansów, i zabronionej jej odtąd polityki.

Równocześnie prawie, pod koniec XVII wieku, admirał Cook począł zajmować Australię. Służyła ona właściwie tylko za kraj deportacyjny, i jako w takim rządził tutaj samowładnie, z nieograniczoną niemal władzą gubernator mianowany z Londynu.

Wkrótce jednak miała Anglia przejść znowu niemałą próbę. Wybuchła rewolucya francuska, a Napoleon nie mogąc na morzu

zgnębić Anglii (która w dotychczasowej z nią walce nie klęski, ale tryumfy tylko zbierała), chce ją pozbawić środków do życia, przeciąć jej życiodajne arterye, zgnieść jej handel. W tym celu żąda bezwzględnego zamknięcia wszystkich portów w Europie dla towarów angielskich (r. 1806). Jak bardzo był już wówczas rozwiniętym handel angielski i dla Europy niezbędnym, dowodem, że sprzymierzone z Napoleonem państwa wolały raczej stracić jego przyjaźń (abdykacya Ludwika króla holenderskiego), a nawet zerwać się do wspólnej przeciwko niemu z Anglią walki i ułatwić w ten sposób Anglii zwycięstwo, aniżeli powoli dogorywać z powodu odcięcia dróg handlowych. Z wojny tej wyszła znowu Anglia zwycięsko i z nowymi jeszcze nabytkami: Ceylon, kraj Przylądkowy, Malta, a nadto na oceanie wiele wysp Francyi odebranych. Ruch wolnościowy, jaki owiewał wszystkie narody po rewolucyi francuskiej, znalazł odtąd jeszcze gorętsze poparcie w Anglii, zwłaszcza gdy na czele gabinetu stanął Canning.

Popiera on ruch wolnościowy w Meksyku przeciwko Hiszpanii, zaczyna walkę przeciwko niewolnictwu (zakończoną dopiero 1834) celem zrujnowania handlu w hiszpańskich koloniach i zaszachowania Stanów Zjednoczonych Ameryki półn., popiera rozruchy w koloniach portugalskich, rozszerzając równocześnie własne posiadłości w Indyach, Afryce i Australii. Naturalnie dalekim był rząd od jakichś idealnych, humanitarnych tendencyi — w całej tej polityce jedna tylko idea przyświecała: poparcie interesów handlowych Anglii, a ponieważ szerokie masy zaczęły być decydującym dla rządów czynnikiem, więc na nich trzeba się oprzeć. Kierunek ten, oparcia się na wolności ludów, uwydatnił się najbardziej i zyskał prawo obywatelstwa za trzydziestokilkoletnich rządów Palmerstona (1830—1865). Najprzód ujawnił on się w zmianie parlamentu, skąd po przypuszczeniu do rządów większości mieszczańskiej, przeszedł na teren handlowy i polityki kolonialnej. Niemałe przewroty wywołane podówczas zastosowaniem nowych wynalazków w przemyśle (maszyna parowa) obok kierunku wolnościowego, zmieniły do reszty system polityki kolonialnej. Objawił się on najprzód w zażartej walce, toczonej w parlamencie przeciwko cłu zbożowemu, jakie wniesiono na rzecz wielkich właści-

cieli jeszcze w r. 1815. Liga przeciwzbożowa *(Anti-cornlaw-league)*, założona w Manchester 1838 r. była początkiem tej walki, która zasady wolnego handlu rozszerzała. W r. 1842 wyszedł bill zbożowy (za ministeryum Peela) znoszący cło od zboża, a w cztery lata później drugi bill, uznający zupełnie wolny handel. Wreszcie 1849 r. zniesiono zupełnie akt nawigacyjny Cromvella (kilkakrotnie już w XIX wieku łagodzony) tak, że od r. 1864 już wszystkie okręty zagraniczne mogą zawijać z towarami do portów angielskich. W ten sposób zarzucono system protekcyjny zupełnie, a pozostałe cła nieznaczne, mają znaczenie finansowe tylko i ograniczają się do niewielu przedmiotów, jako to: herbata i kawa, tabaka, wino i inne spiritualia (taryfa celna z r. 1875).

Naturalnie, że wobec tego musiała zakończyć swe istnienie uprzywilejowana Kompania wschodnio-indyjska. W r. 1864 zamieniła się ona na instytucyę czysto polityczną, która wszelkimi sposobami pracowała nad rozszerzeniem granic angielskich. Wskutek tego wszczął się groźny bunt (w r. 1857—58) sipajów, a po jego zgnieceniu rząd zniósł zupełnie Kompanię. Dziś Indye podlegają bezpośrednio Koronie angielskiej. Rządy sprawuje tutaj cesarz Indyi a król angielski (unia personalna), przez swego sekretarza dla Indyi w Londynie, z radą 15 członków. Ten jest członkiem angielskiego gabinetu, i jak wszyscy ministrowie angielscy odpowiedzialny przed parlamentem. Na miejscu w Indyach rządzi, raczej tylko reprezentuje rząd, wicekról z przyboczną radą sześciu (ministrami), mianowanymi przez koronę. Ci wraz z dobranymi przez wicekróla kilkoma członkami stanowią władzę prawodawczą. Władcy indyjscy mają pozostawioną zupełną niezależność (z wyjątkiem polityki zagranicznej) i uznają tylko zwierzchnictwo Anglii, oraz w reprezentacyi zastępuje ich rząd angielski. Zresztą mają zupełną wolność i tylko rezydenci angielscy przebywający na ich dworach w charakterze doradców, pilnują interesów angielskich. Rząd wogóle dba nadzwyczaj o podniesienie kraju, ale różnice religijne, tradycya dawnej cywilizacyi i odmienne obyczaje sprawiają, że zawsze trwa wielki przedział między ludnością tubylczą a Anglikami, i powoduje raz wraz groźne wybuchy i bunty. Częste

choroby, klimat niezdrowy dla Europejczyków, częste klęski głodowe, niebezpieczeństwo przed fanatyzmem muzułmańskim i pogan utrudniają niemało rządy w tym kraju najbogatszym, najcenniejszym z zamorskich posiadłości angielskich.

Mówiąc o innych krajach, trzeba zaznaczyć, że między nimi panuje wielka różnica w stosunku do macierzystego kraju. Każdy Anglik gdy mówi o posiadłościach swej ojczyzny dokładnie to uwydatnia: *India, the Colonies, and other British possesions.* Każdy z tych krajów jest wolnym od podatków na rzecz armii, nie ma udziału w parlamencie w Londynie, ma gubernatora, nadesłanego z Anglii (utrzymanie daje im zawsze kolonia) i jest zależny od sekretarza dla Indyi lub dla kolonii (obaj rezydują w Londynie), również względem wszystkich kolonii przysługuje Koronie prawo *veto:* co do reszty jednak prawno-państwowych urządzeń, to wszystkie niemal kolonie się różnią. Stosownie do tego, uwzględniając tylko najważniejsze różnice, można je podzielić na:

1) Samodzielne (wolne) kolonie: Kanada i N. Funlandya, Kraj Przylądkowy, Natal i kolonie australskie z N. Żelandyą. Zależność tych kolonii polega właściwie tylko na tem, że otrzymują z Anglii gubernatorów, stojących na czele kolonii i sprawujących niejako funkcye króla konstytucyjnego (właściwie czysto reprezentacyjne), istotne zaś rządy sprawują ministrowie, zamianowani przez niego z pośród większości parlamentu w każdej kolonii; ministrowie ci są przed tymże parlamentem odpowiedzialni. Kolonie te nie ponoszą żadnych ciężarów na rzecz Anglii, i korzystając z jej opieki militarnej, utrzymują z nią tylko stosunki handlowe, dostarczając jej swych produktów surowych i zaopatrując się w angielskie fabrykaty.

2) Reprezentacyjne kolonie. Wszystkich urzędników naznacza rząd angielski, władzę prawodawczą zaś sprawuje wybrana reprezentacya ludowa i członkowie rady umyślnie w tym celu mianowani. Tak np. Malta, wyspy Mauritius, Jamaica, Bahama, Bermudas i inne.

3) Kolonie koronne, w których ludność tubylcza niema żadnego wpływu na rządy, stoją pod władzą gubernatorów lub pre-

zydentów albo komisarzy i t. p. Afryka wschodnia, Gibraltar, Orania, Falklandzkie wyspy, Honduras, Nowa Gwinea i t. d.

4) Wreszcie protektoraty (opieka angielska z zachowaniem tubylczych władców) np. Centralna Afryka, Nigeria i tereny okupowane, np. Cypr, albo wydzierżawione (Wei-hai-wei). Niektóre mniejsze posiadłości są oddane w zarząd kompaniom handlowym [1].

Wreszcie wypada wspomnieć i o Egipcie, gdzie aczkolwiek Anglia nie posiada kolonii, jednak dobrze bardzo ulokowała swoje interesa. W latach 1870—1880 nabyła Anglia od Chedywa 176.602 akcyi za sumę 4,080.000 f. szt. a w r. 1882 wojska angielskie dokonały okupacyi Egiptu, celem »ubezpieczenia przejazdu na kanale Suezkim: przywrócenia porządku, a głównie gospodarki finansowej«. Finansami Egiptu rządzi odtąd Anglia, robiąc tutaj zarazem świetne interesa. Czy długo? »Tak długo — wedle ostatniej konwencyi angielsko-francuskiej z r. 1904 — dopóki rząd uznawać będzie okupacyę za potrzebną dla tych, którym zależy na pomyślności i dobrym zarządzie Egiptu«, domyśleć się trzeba »Anglików«. Dowcipne określenie, a zarazem typowe dla skrystalizowania całej polityki kolonialnej Anglii. Dba ona mądrze o swój własny interes: synowie Albionu dziesiątkami tysięcy wyjeżdżają do kolonii na dobre urzędnicze posady: każda kolonia Anglię na pierwszem miejscu zaopatruje w swe produkta.

W latach 1900—1904 przedstawia się ten handel w następujących cyfrach (1000 f. szt.) [2]

	Wywóz całk.	do Anglii	w proc.	Przyw. całk.	z Anglii	w proc.
Kanada	39.340	21.957	= 55.8%	43.165	10.593	= 24.5%
Australia (Commonwealth)	49.046	23.633	= 48.2%	39.866	23.354	= 58.6%
Kraj Przylądkowy	18.100	16.271	= 89.9%	26.887	17.051	= 63.4%
Natal	2.526	1.268	= 50.2%	11.904	6.891	= 57.9%
Indye	87.334	23.532	= 26.9%	55.745	36.218	= 65.0%
i t. d. i t. d.						
Wszystkie kolonie razem	344.782	140.942	= 45.4%	319.821	153.683	= 44.0%

[1] T. zw. *Chartered Company*

[2] *Die Weltwirtschaft*, Jahrgang 1906.

Podczas gdy handel Anglii wynosi (za r. 1905).

Anglia (milionów funtów szterlingów)

	1903	1904	1905
Netto przywóz	473.0	480.7	487.5
Całkowity przywóz	542.6	551.3	565.3
Wywóz	290.5	300.7	330

Również i przywóz jest silnie uwzględnianym z Anglii (bo prawie zawsze więcej, niż w połowie). Kolonie wiedzą o tem, i przez usta swych premierów otwarcie mówią, że Anglia ciągnie z kolonii znakomite korzyści, i dziś już tak uformowały się pod tym względem angielskie stosunki, że bez kolonii Anglia kompletnie istniećby nie mogła.

Stan jej jest pod tym względem zupełnie wyjątkowym, bo przecież żaden kraj nie jest w takim stopniu zależnym od dowozu żywności jak Anglia. Zależność ta jest tak wielka, że żadna normalna oszczędność, żadna przezorność lub zabiegliwość tem mniej powstrzymanie się od zbytku nie zdołałoby nawet chwilowo uzupełnić braku w regularnym dowozie żywności. Jest to objaw całkiem świeży. Przecież jeszcze w latach 1860—70 można było wyżywić angielskiem zbożem 60% ludności w Anglii, czyli 18 milionów ludzi: lat temu 20 już tylko 30%, bo od czasu zniesienia cła zbożowego kapitał i cały zasób pracy rodzimej angielskiej coraz więcej zwraca się w kierunku przemysłu, gospodarstwo zbożowe musi upadać, oglądać się na import z kolonii lub obcych krajów. Ale najprostsze zasady kupieckie nie pozwalają Anglii płacić za zboże i wydawać pieniądze tym krajom, z którymi nie wiążą jej stosunki wzajemnego handlu, więc też musi się trzymać tylko handlu z koloniami. Dlatego też mężowie stanu i politycy usiłują ścieśnić te luźne dotychczas bardzo węzły między Anglią a koloniami.

I tak powstaje imperializm angielski.

Pierwszym jego aktem w kierunku rzeczywistego zjednoczenia imperium, było zwołanie kongresu kolonialnego w r. 1887 do Londynu. Myśl ta wyszła z łona *Africander-Bounds* w Kraju Przylądkowym. Zaprowadzono tutaj pewną reformę taryfy celnej, gdyż w ostatnich latach 25 zaczął wzrastać import towarów za-

granicznych do kolonii od 27.5% — 38.7% naturalnie ze szkodą handlu angielskiego.

Był to początek niebezpieczeństwa, jakie zaczynało już grozić Anglii przez inne państwa.

Drugi kongres zwołano do Ottawy w r. 1894, — gdzie groziło i dotychczas grozi Anglii największe niebezpieczeństwo z powodu sąsiedztwa St. Zjednoczonych, i niewielkiego patryotyzmu angielskiego w Kanadzie.

Trzeci do Londynu w r. 1897.

Anglia wypowiedziała traktat handlowy z Belgią i Niemcami, aby umożliwić Kanadzie przeprowadzenie jednostajnej taryfy celnej, którą też zaraz wprowadzono w życie. Anglii i koloniom użyczono przywilejów wchodowych i protekcyi dla towarów angielskich w koloniach i towarów kolonialnych w Anglii. Ten system preferencyjny nie znosi zupełnie cła między Anglią a koloniami, ale umniejsza je mniej więcej n. p. w Kanadzie, do $^2/_3$ normalnej opłaty celnej. Zmiany te, zaprowadzone w Kanadzie rozciągnął i trzeci kongres kolonialny na wszystkie inne kolonie. Skutek tych nowych stosunków kolonialnych był ten, że papiery tych kolonii w ciągu ostatnich 20 lat poszły niezmiernie w górę. I tak n. p. dla Kanady wedle notowania na giełdzie londyńskiej podniosły się walory o 230 pr. dla Australii o 340 pr. Nadto ogromny rozwój pod względem kolei żelaznych, poczt (1 pocztana 300 km². w Indyach, na 100 kilkadziesiąt km² w Australii i Kraju Przylądkowym), fabryk, przedsiębiorstw i. t. d. tak, że bezsprzecznie przyznać trzeba, iż stoimy wobec ewentualnego rozwoju kolonii angielskich, do jakiego tylko rozwój Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej porównać można.

A jednak Anglia traktowała te kolonie po macoszemu! Bo pojąć nie można, jak to możebnem, żeby kraje tak bardzo ściśle połączone z Anglią pod względem ekonomicznym i politycznym, nie miały dotychczas żadnego udziału w rządzie. I to kraje cywilizowane, z których każdy jest większy kilkakrotnie od Anglii a nawet Europy! Przyjrzyjmy się bodaj kilku liczbom[1].

---

[1] Cf. *Geographisch-statistisches Weltlexikon* u Hartlebena 1907.

	Obszar km²	ludności	ludzi na 1 km²
Anglia	315.142	41,609.320	132
Kraj Przylądkowy	716.850	2,501.635	3
Rodesia	1,500.000	1,000.000	0.7
Kanada	2,229.900	5,371.315	2.4
Indyjskie cesarstwo	4,576.000	294,360.356	60
Australia	7,929.009	4,312.000	0.5
Razem wszystkie kolonie i posiadłości zamorskie	22,597,922	358,811.709	16

Żeby takie przestrzenie krajów nie miały reprezentacyi i wogóle żadnego wpływu na rząd, to zaiste zjawisko niewytłumaczone. Dlatego też przed ostatnią konferencyą kolonialną, jaka się odbyła w bieżącym roku, wprost stawiano sobie w Anglii tę alternatywę. Albo się rozłączyć, i otrzymać niezawisłość, albo też połączyć się w jedno, jaknajściślej ze sobą związane państwo, przyłączając się temsamem do zarządu państwa. Pierwszy sposób rozwiązania tego dylematu, byłby ruiną dla Anglii i dla kolonii, bo wobec znanej zaborczości państw ościennych, bezbronne i sobie zostawione kolonie musiałyby zginąć bądź w walce handlowej, bądź w walce orężnej. A i dla Anglii byłoby ruiną, gdyby od razu utraciła tyle rynków zbytu dla swego handlu. W razie połączenia zaś w jedno państwo, kolonie muszą otrzymać zupełne równouprawnienie pod względem handlowym; muszą wziąć czynny udział w zarządzie państwa: musiałyby również ponosić znaczne ciężary na rzecz wojska, jakie dziś sama Anglia ponosi, monopolizując wszystkie ciężary, ale też i wszystkie przywileje i władzę. Do tej kwestyi wojskowej wrócimy niżej.

Ale kwestya teraz, jak przeprowadzić to zjednoczenie?

Nad tem właśnie debatować trzeba, i oto wspólny interes Anglii jak i kolonii daje asumpt do zwoływania kongresów. Na tych kongresach występują kolonie z żądaniami, czasem może zbyt jaskrawemi. Słusznemi w każdym razie są, gdy żądają n. p. łatwiejszej komunikacyi. Między Anglią i koloniami, jeśli one mają stanowić jedne ściśle ze sobą połączone kraje, powinnaby być lepsza komunikacya, bo dzisiejsza jest zbyt utrudniona, zbyt powolna, niżby to na jeden kraj przystało. Handel, co najważniejsza, wymaga wielu zmian radykalnych. Bo w razie zjedno-

czenia wszystkich posiadłości angielskich, dotychczasowy system wolnego handlu musiałby ustać, a przynajmniej uledz znacznym zmianom, i być podporządkowanym handlowi z krajami kolonialnymi, bo Anglia musiałaby popierać przedewszystkiem handel kolonii, a nie rozpraszać swych sił handlowych poza granicami swego kraju, po obcych rynkach i nie pozwalać też z widoczną szkodą dla kolonii, by inne państwa urządzały w Anglii rynki zbytu, dzięki swobodom, jakich udziela Anglia przez swój system wolnego handlu.

Ten też ostatni moment napotkał na największe przeszkody: wszelkie argumenty nie zdołały ruszyć opozycyi angielskiego rządu.

Oto są trudności, z których wyłoniła się idea kongresów, a zarazem dążności, rzucające zupełnie nowe światło na przyszłe ukształtowanie się wszechbrytyjskiego imperium. I naczelny rząd i kolonie wyciągają sobie społem ręce do zacieśnienia żelaznej obręczy państwowej na luźny względnie dotychczas aglomerat państw i krajów, rozsypanych po świecie całym. W tej wzajemnej dążności są jeszcze punkty martwe, jakie stwarza egoizm, ale po to właśnie są kongresy, by ostrze tego egoizmu stępić. I jeżeli gdzie, to w Anglii jest wszelka gwarancya po temu, że pomyślna ewolucya tych dążności, pójdzie szybszym tępem.

Gwarancyę tę daje już samo zachowanie się rządu wobec krytyki bardzo ostrej jaką się słyszy z ust premierów. Krytyka ta, po największej części niesłuszna, przeholowana — rząd jednak nie hamuje bynajmniej wolności słowa, ale owszem pozwala, by przez usta swych premierów wypowiedziały kolonie, co im na sercu leży, wychodząc z tego rozumnego założenia, że konferencya ta, to młode wino, co im lepiej zfermentuje i wyszumi się, tem wytrawniejszym napojem się stanie. Trudno też przypuścić, słuchając tej krytyki żeby Anglia była tak barbarzyńskim krajem, co niczego nie czyni dla kolonii, z których przecież sama byt czerpie, że nie chce im pomódz: że politycy angielscy krótkowidzami być muszą, jeśli nie chcą ściśle zjednoczyć z macierzystym krajem bogatych posiadłości zamorskich. A i to zapatrywanie byłoby zbyt niesłusznem. Rząd angielski w szerokości

swych poglądów i swobód zostawia koloniom całkowitą samodzielność i wzorem mógłby być pod tym względem dla niejednego państwa kolonialnego; przecież usilnie stara się o podniesienie kraju n. p. że wspomnieć tylko kwestyę szkolną.

W Indyach np. (rok 1902—3): uniwersytetów 5, kolegiów 194, szkół zawodowych 1.228, szkół średnich 5.144, szkół ludowych 102.215, czasopism w języku narodowym wychodzi 1.810, czytać umie 5.4%.

Australia ma trzy uniwersytety, czwarty zakłada się obecnie, a we wszystkich koloniach i Australii istnieje przymus szkolny, naturalnie o ile się on da przeprowadzić, dla braku szkół.

Również komunikacya jest bardzo rozgałęziona dzięki staraniom Anglii. Np. w Indyach (do końca 1904 r.): gościńce wynosiły 304.000 km, koleje żelazne 44.360 km, poczt było 1.543, telegraficznych stacyi 2.127, długość przewodów 341.706 km.

W Australii poczt 6.501, telegraficznych przew. 303.689 km, kolei żelaznych 20.259 km.

Kanada: kolei żelaznych 30.353 km, a 980 km kolei elektrycznych, poczt 9.958; telegraf (długość przewodów) 218.600 km.

Kraj Przylądkowy: koleje 9.811 km, telegrafy (długość przewodów) 27.243 km i t. d.

Obecnie pracują nad połączeniem kolejowem i telegraficznem między Kairo a Afryką Południową.

W Australii istnieje już taka śródlądowa linia.

Cyfry powyżej podane, może bardzo małemi się wydadzą, w porównaniu z krajami europejskimi, gdzie (np. w Anglii) przypada 1 stacya pocztowa na 13.7 ludzi, 1 stacya telegraficzna na 3.400 ludzi, a na obszar 25.4 km², podczas gdy w Indyach przypada 1 stacya pocztowa na 305 ludzi, 1 stacya telegraficzna na 138.876 ludzi, a na 620, 1 km², ale zważyć trzeba, że Indye a więcej jeszcze kraj Przylądkowy lub Australia albo inne kolonie mają wiele pustkowi, jakich Anglia i wogóle kraje cywilizowane nie posiadają.

Ale lepiej może uwidoczni się ten rozwój w cyfrach, które przedstawiają kapitał nakładowy dla budowy i konserwacyi kolei za rok 1904:

w Kanadzie	254,260.000	f. szt.
w Australii	131,930.000	»
w N. Zelandyi	20,700.000	»
w Kraju Przylądkowym (r. 1903)	25,700.000	»
w Natalu	2,562.000	»
w Indyach (r. 1905)	244,196.314	»

Wogóle jest w Indyach i Kanadzie trzy razy więcej kolei niż było w r. 1880; w Australii cztery razy więcej, w południowej Afryce pięć razy więcej. To cyfry dobrodziejstwa angielskiego!

Żadne inne kolonie nie stoją pod tym względem tak wysoko, jak angielskie. Naturalnie, że wszystkie koszta na to ponosił kraj kolonialny, nie Anglia, mimo to jednak wszystko angielskim wpływom i gospodarce należy przypisać. Kapitały wkładowe zebrane są przeważnie w Anglii (850 mil. f. szt.). Angielska polityka opiera się w tym względzie na rozwinięciu krajowych zasobów i sił rodzimych. Naturalnie, że nie we wszystkich koloniach jest odpowiednia ich ilość; niektóre kolonie absolutnie nie przedstawiają żadnego materyału podatnego na kulturę, jak np. Australczycy. I tem też należy tłumaczyć nierówne stanowisko prawno-państwowe kolonii, nierówny u nich stopień rozwinięcia. Gdzie zaś przeważa ilość Europejczyków, choć już od wieków tam osiadłych, tam naturalnie, że i kraj lepiej się może rozwijać, np. Afryka południowa, Kanada. Wyjątek stanowią Indye, gdzie już tubylcy posiadali swoją własną bardzo wysoką kulturę. Takim też krajom chętnie daje Anglia samorząd, nie krępując niczem ich swobody rozwijania się, otacza je imieniem swej potęgi, nie mieszając się wcale w ich wojskowe kwestye. A jeśli nie bardzo się kwapi z przyłączeniem tych krajów w jedną całość z koroną angielską, to dlatego, iż dobrze sobie zdaje z tego racyę, że byłby to zbyt wielki ciężar dla budżetu kolonii. Polityka angielska bowiem jest jak Anglik, trzeźwą, rozumną, wszystko czyni z wyrachowaniem, spokojem, nie zapala się od razu choćby najidealniejszemi hasłami. Tak się ma i tutaj. Anglia sobie zdaje z tego racyę, że połączenie się z koloniami wymaga powiększenia siły zbrojnej. Wprawdzie kolonie posiadają swoje wojsko pod europejskimi oficerami, ale to nie wystarcza.

Np. Indye (w r. 1903) mają 342.600 ludzi, z tego $^{7}/_{10}$ krajowców, floty 22.913 R. T.

Kraj Przylądkowy 7.500 wojska kolonialnego.

Kanada 40.700 (200.000 w razie wojny), nadto nieznaczny garnizon angielski.

Australia 23.500 (tylko 1.930 regularnego wojska), flota 19.696 R. T.

Inne kraje mają nieznaczne załogi angielskie.

Siły te zupełnie nie wystarczają do obrony granic i właściwie mają na celu tylko utrzymanie wewnętrznego spokoju i porządku. Kolonie nie łożą dotychczas nic na utrzymanie armii angielskiej, i tylko wymienione kolonie wolne wstawiają w swe budżety nieznaczne kwoty na utrzymanie swej milicyi. W razie złączenia z Anglią czy zdołałyby ich finanse już teraz sprostać ciężarom militarnym? Tem bardziej wobec niezmiernie droższego uzbrojenia Anglii, bo morskiego, które mimo akcyi pokojowej, wciąż rosną na budowę coraz to nowych okrętów[1]. Tem bardziej, że o wiele bardzo trzebaby zwiększyć stan armii, w razie zjednoczenia kolonii.

Kolonie przebywają obecnie dość ciężkie jeszcze czasy, i absolutnie nie mogłyby sprostać wydatkom militarnym. Afryka południowa z powodu wojny boerskiej jeszcze żadnej nadwyżki nie daje, ani nawet dochodów, choć daje samego złota i dyamentów wartości około 20 mil. f. szt., w Indyach ciągłe niepokoje i klęski materyalne. Australia rozwija się dopiero, jak i inne kolonie, dając gwarancyę, że kiedyś będą mogły wszystkie wziąć na siebie część ciężaru na utrzymanie armii. Dziś jeszcze nie.

Aby temu zaradzić, już na pierwszym kongresie r. 1887 próbowano zaprowadzić opłatę w wysokości 2% od wartości importowanego z zagranicy towaru, ale ta propozycya upadła, podobnie jak i druga, na obecnym kongresie postawiona, aby przynajmniej 1% od wartości zagranicznego importu opłacać jako podatek, na fundusz wspólnej obrony oraz subwencyi, celem poparcia handlu i przemysłu. Atoli tej ofiarności ze strony kolonii nie mógł przyjąć rząd angielski. Ze strony kolonii jest to rzeczywiście ofiara,

[1] Cf. *Lloyds Register* za rok 1906.

nakładać na siebie dobrowolny podatek, ale jeszcze większą ofiarą byłoby ze strony Anglii, ponieważ na niej zaciążyłby ten podatek najwięcej. Bo ta opłata 1% wyniesie dla Australii 100.000 f. szt., dla wszystkich kolonii razem tylko 590.000 f. szt., sama zaś Anglia musiałaby płacić aż 3,900.000 f. szt., proporcyonalnie do swego importu. Więc $7^1/_2$ razy więcej, niż wszystkie kolonie razem; ostatecznie postanowiono na próbę tylko przyjąć opłatę 1 pensa (10 hal.) za 1 kg. importu.

Tak mała opłata nie jest żadnem spłacaniem wzajemnego długu wdzięczności względem Anglii, gdyż rząd wyraźnie się zastrzegł, że wzajemne usługi kolonii i Anglii są tego rodzaju, iż nie można ich oceniać wedle pieniężnej wartości ani też porównywać z korzyściami ze wzajemnych stosunków handlowych i opłatami na cele obrony granic. Ponad korzyści pieniężne mogą tutaj górować tylko korzyści z wzajemnych dążności celem ścisłego zespolenia krajów.

Czy ostatni kongres posunął tę sprawę naprzód?

Może być, że opublikowanie całego toku obrad wyświetliłoby tę kwestyę. Obecnie nie opublikowano ich jeszcze, choć podobno już nawet wniesiono do izby projekt, celem powzięcia odpowiedniej uchwały — jednak nie wiadomo, czy i wtedy będzie można dokładnie wiedzieć o wszystkich zamiarach rządu angielskiego, czy publikacya będzie kompletna. Na razie znane są tylko luźne szczegóły, swoją drogą dość ważne, bo stwierdzające to przypuszczenie, że Anglia nie odrzuca wcale projektu zjednoczenia wszystkich posiadłości swych w jedno państwo, ale tylko urzeczywistnienie tego planu nie uważa obecnie za stosowne. Odsuwa to na późniejsze czasy. Dowodem tego i rezolucye, które rząd częściowo nawet już przyjął z góry, wszystkie zaś te rezolucye mają na celu zacieśnienie węzłów łączących kolonie z macierzystym krajem.

Jedną z najwybitniejszych pod tym względem rezolucyi jest polecenie, aby rząd starał się o ulepszenie komunikacyi między Anglią a koloniami, oraz kolonii między sobą. W tym celu nawet omawiano na seryo budowę drugiego kanału suezkiego, za pomocą tylko angielskiego kapitału, aby też angielskie i sprzymierzone

kolonialne okręty nie ponosiły tak uciążliwej obecnie taksy za przejazd. Nowe kable i przez rząd subwencyonowane, pospieszne linie okrętowe z Anglii do Kanady, stąd zaś przez wyspy Oceanii mają łączyć jakby naturalnym jakim pomostem Anglię z koloniami, Kanadę, Australię i Indye. Byłaby to najszybsza a pewna, bo przez swoje posiadłości prowadząca droga z Anglii do Indyi.

Również wszystkie następne rezolucye brzmią w tymże duchu zjednoczenia.

Uprzywilejowanym powinienby być nie tylko handel angielski, ale i wzajemny handel wszystkich kolonii między sobą.

Odtąd ma stale rezydować w Londynie nie minister już tylko dla bieżących spraw kolonialnych, ale całe biuro sekretaryalne dla spraw handlowych, oraz w celu przygotowania materyałów, potrzebnych do konferencyi kolonialnych, które odtąd mają się zbierać regularnie co cztery lata, pod przewodnictwem ministra handlu. Dla ważnych jednak spraw, nie cierpiących zwłoki, można zwołać nadzwyczajną konferencyę.

Również żądały kolonie jednakowego dla wszystkich kolonii sądownictwa apelacyjnego w Londynie, ponieważ każdy kolonista ma prawo być sądzonym w apelacyjnym trybunale najwyższej instancyi przez komitet tajnej rady królewskiej *(Privy Council)*.

Ważna też była rezolucya mająca na celu popierać emigracyę raczej do zamorskich posiadłości angielskich, jak do innych krajów zupełnie obcych. Zażądano w tym celu opieki rządu centralnego.

Najważniejsza i najwięcej dająca do myślenia jest jednak rezolucya dotycząca zjednoczenia armii.

W koloniach jest wprawdzie po kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy wojska, są i zapasy wojenne. Wojsko to niedostatecznem jest jednak, by obronić kolonie od najazdu obcych, potężnych mocarstw. I nie wojsko też, ale raczej moralna potęga Anglii i obawa przed nią broniła kolonie przed wielkiemi niebezpieczeństwami. Ale oto teraz sam agielski minister wojny wnosi projekt, żeby w Anglii była wprawdzie jak dotąd główna siła wojskowa monarchii, ale oprócz tego, żeby w Londynie była

główna komenda wszystkich wojsk kolonialnych, które w ten sposób będą zjednoczone, i choć rozrzucone, tworzyć będą jeden nieprzerwany łańcuch wojskowy, opasujący całą ziemię. W skład tego sztabu wchodziliby delegaci ze wszystkich kolonii, celem jednolitej działalności. I oficerowie i prości żołnierze byliby przenoszeni — i to dość często — z Anglii i z jednej kolonii do drugiej, celem dokładniejszego poznania terytoryum, i łatwiejszego zaaklimatyzowania się.

Oto najważniejsze z tych rezolucyi.

Zaraz na pierwszy rzut oka widać, że wszystkie te rezolucye jednym i tymsamym duchem owiane, jednozgodnie brzmią w celu zjednoczenia, i są wyraźnem domówieniem tego, do czego dąży i Anglia i kolonie.

Czy tylko dojdą do zjednoczenia w jedno państwo?

Zależność handlowa, popieranie wzajemnych interesów handlowych, przedwstępne kroki do przeprowadzenia unii celnej, komunikacya bezpośrednia, pozwalająca zapominać o rozdzielających te kraje przestrzeniach, wreszcie zjednoczenie pod względem wojskowym, oto etapy, po jakich się postępuje do unii ściślejszej, do połączenia w państwo jedno w całem tego słowa znaczeniu. Mocą analogii, trzeba się spodziewać, że Anglia jest obecnie na tej drodze, na jakiej doszły Prusy do zjednoczenia w jedno państwo niemieckie, postępując tąż samą drogą wspólnych interesów handlowych, związków celnych.

W jaki sposób to jednak nastąpić może, wobec jawnej nieprzychylności rządu, a i wielkiej części opinii angielskiej, zwolenników wolnego handlu? W sposób ten, w jaki przechodzą w Anglii wszystkie projekta i nowe prądy. Głos podniesiony choćby tylko przez jednostkę, dostaje się w ramy prasy i zależnie od lepszej lub gorszej informacyi, społeczeństwo zaznajamia się z tym projektem lub zapomina o nim. Potem urządza się cały szereg meetingów, mowami wzbudza zapał dla nowej idei, zyskuje się pewną ilość wybitniejszych ludzi, co obiecują walczyć w parlamencie celem urzeczywistnienia krzewionej zasady. Przez wybory wchodzą oni do parlamentu, dawny, nieprzychylny gabinet musi upaść, bo powstaje nowy gabinet parlamentarnej większości,

który przeprowadza żądaną zmianę. W ten sposób przeprowadzono w Anglii wszystko, począwszy od emancypacyi katolików i uspokojenia Irlandyi za Gladstona, aż do agitacyi Chamberlaina i Cecila Rodesa. Wobec tego czyż idee zjednoczenia kolonii w jedno wszechświatowe państwo, nie mogą się skrystalizować?

Dnia 16 kwietnia bieżącego roku, podczas uroczystości nadawania obywatelstwa angielskiego generałowi Bootha, obecnie gubernatorowi Transvaalu, w Guildehall wśród grzmiących oklasków zebranych tłumów, uścisnął Bootha dłoń Robertsowi z przed 5 laty swemu zwycięzcy.

Czy to nie wróżebny obraz przyszłego zjednoczenia krajów kolonii z macierzystą Brytanią?

Ks. K. Konopka.

Z SAMOTNYCH WIECZORÓW.

I.

Aby zrozumieć czem jest prawdziwa samotność, trzeba znaleźć się na wsi. Kto wraca z miasta do swojego domu pustego na wsi, ten zrozumie głos dziwnie wyrazisty, jakim przemawia do osamotnionej duszy ta cisza zewnętrzna, właściwa przyrodzie.

Kontrast miasta i wsi uderza potężnie w takiej chwili samotnego wieczoru w głuchym, pustym domu. Rozumie się wtedy różnicę życia wśród pól dążącego do skupienia w sobie, głęboko odczuwającego każdą zmianę zewnętrzną.

Cisza... czy w mieście ma się ją kiedy taką absolutną, zupełną, jak na wsi? Chyba nie. Wieczór odpoczywają wozy ładowne; ale mimo tego miasto jest pełne hałasu, ostrych poświstów i głuchego huku. Nawet przez okno zamknięte przechodzi ten mętny, szumiący głos miasta z jakimś upartym pomrukiem potęgi — tego zbiorowego życia wielkiej ilości ludzi skupionych na małej przestrzeni. My sami każdym ruchem i oddechem i poruszeniem, tą drobną codzienną naszą ruchliwością dodajemy też jakiś atom do wszechwładnej, głośnej atmosfery miasta, karmiącego się życiem tysięcy ludzi. Smoki w podaniach ludowych nigdy nie zasypiają — i wielkie miasta nie znają bezwzględnej ciszy, samotnego milczenia.

Kto tę ciszę prawdziwą chce poznać, musi się znaleźć w smutnej pustce domu na wsi, gdzie prócz samego siebie nie słyszy

się i nie widzi się nikogo żywego, i gdzie długie godziny wieczoru spędza się w cichej tylko rozmowie z własnemi myślami, czy też duszami tych, co zaklęli w słowo pisane część swej istoty.

W taki długi wieczór w samotnym domu cisza aż dźwięczy: słyszy się pulsowanie krwi we własnych skroniach, słyszy się ciche falowanie powietrza przepływającego przez ściany, szczeliny okien, drzwi. Najgłośniejszy głos w tej ciszy, to stukot sprężyny zegarka, nabierający znaczenia jakiegoś pospiesznego rozbijania się o przeszkodę, niespokojnego i nieustannego śpieszenia — gdzieś — dokądś — i po coś...

Dziwnie kojący urok wywiera taka cisza na serca zbolałe: i dziwnie wydelikaca wrażliwość na najcichsze głosy przyrody.

Oto nagle zmieniać się zaczyna coś zewnątrz nas. Nadleciał wicher z zachodu niosąc oddech dalekich stron - zrazu słaby, jak tchnienie piersi podnoszącej się cichą skargą.

Ale wnet nabiera siły ta fala — i suche od mrozu gałązki bezlistne drzew potrąca; wydają one jakiś głos jęczącej, przeciągłej boleści...

Każda pora roku ma inny swój wyraz: na wiosnę, w maju i czerwcu, brzmi cisza na wsi, jak przygłuchły ton organu stłumionego, — pobrzmiewającego jeszcze, choć melodyę niewidzialna ręka przestała wygrywać. To kwiaty i zioła miękkiemi łodygami swojemi poddają się z pieszczotliwem kołysaniem powiewom wiatru. Na tem tle wychodzą dopiero wyraziście mrugające, zestraszone wołania ptaków polnych, klekotania młynów, monotonne zawodzenie żab.

W lecie dojrzałe zboża i suche trawy dają ciszy powietrza jakieś szelesty wyraziste, syczące i twarde czegoś zeschłego.

W ciszy wsi ucho śledzi życie przyrody, milknie tu człowiek i jego wynalazki. Wśród pól i lasów króluje niepodzielnie fala powietrza wolnego, kołyszącego nad światem złote pyły i niewidzialne ziarna, ale i przynoszą te falowania wichru złowróżbne bakterye jakichś chorób strasznych ze stron dalekich, które chwycą podstępnie za gardło człowieka ciężką chorobą — i wiodą za sobą niewidzialną śmierć — mistrzynię samotności...

Jeśli jest śliczną i miłą ta cisza wsi, jakiż jej wpływ na

duszę? Słyszeć ją tylko może ten, co jest sam — i wtedy się cisza łączy z samotnością. Dwóch ludzi razem zebranych sprzysięga się przeciw władzy królewskiej milczenia. Bo może najwyższym dowodem związku dusz — to gdy się rozumieją bez słów.

»Nigdy nie byli sami z prawdą jakiejś rzeczy«. Te głębokie słowa Carlyle'a dadzą się zastosować do ludzi, którzy nigdy nie zastanawiają się nad sobą, życiem, ludźmi. Być samym z prawdą smutku czy radości — to znaczy puścić sondę w głębiny nieznane i badać je dla poznania drogi. Żeglarz patrzy na kompas i sznury sondy może więcej, niż na gwiazdy, zakryte tak często chmurami.

Cromwell w chwilach ważnych, zbierając swych podwładnych, mówił im:

— Uciszcie się! — to było nakazujące wezwanie i w tej ciszy dopiero głos donośny, pełen skupienia, wypowiadał słowa psalmów. I znowu zalegała cisza długa, uroczysta...

Jak las, który nie ma korzeni, jest czemś, co istnieć nie może, bo jest tylko sztuczną dekoracyą, tak i my zginąćbyśmy musieli gdybyśmy tylko żyli tem, co na zewnątrz nas widać — i tylko to w sobie mieli — co możemy pokazać.

Uczyć się milczeć i w ciszy słuchać swej duszy, — na głos jej rozmyślaniem odpowiadać, by jej drogi prostować, to konieczność dla każdego, kto chce zdać sobie sprawę ze swego zadania i kto chce rosnąć, iść w górę.

Samotność i skupienie, to wielkie i potężne czynniki w rozwoju naszej istoty.

By usłyszeć głos Boga, dającego przykazania swemu ludowi, »Mojżesz wstąpił na górę i w samotności słuchał ze drżeniem...«

II.

Czem jest samotność i cisza? — spokój i skupienie — milczenie?

Mieszają się pojęcia i określenia zewnętrznych objawów i wewnętrznych stanów. Dlatego czasem potrzeba określić bliżej znaczenie słów, aby ich treść zrozumieć. Samotność łączy się zawsze z pojęciem odosobnienia materyalnego i moralnego. W każdym języku pojęcie to podobnie jest zrozumiane.

Samotność — to jakieś miejsce zdala od gwaru i pędu życia. Samotnym jest człowiek, który się z ludźmi nie styka, bo nic go z nimi nie łączy. Nie ma krewnych i blizkich sercu koło siebie, którzyby z nim dzielili każdy moment życia. Związki serdeczne, które tworzą podwalinę rodziny, dla niego nie istnieją: albo nie założył rodziny dobrowolnie albo też losy życia poszarpały te więzy, zostawiając go samotnym na świecie.

Ale czasem człowiek jest samotnym nawet wśród otoczenia, z pozoru blizkiego mu krwią czy stosunkami. I wtedy ta samotność moralna stokroć dotkliwiej daje mu się uczuwać. Jest to wtedy, gdy zupełne niezrozumienie obopólne dusz, zupełna odmienność sposobu odczuwania i myślenia przeszkadza wszelkiemu zespoleniu. Ludzie odmiennej struktury umysłowej ale zwłaszcza uczuciowej, bardzo często są względem siebie w tym stosunku, co wykształcony Europejczyk i dziki murzyn, którzy mogą żyć z sobą ale równocześnie ciągle czują, że są od siebie odmienni i zewnątrz i wewnątrz.

Samotność moralna może więc istnieć odrębnie od samotności dotykalnej. Tworzy ją odmienność zupełna i... niezrozumienie.

Ale dobre strony samotności, to jest jej pomoc do skupienia — stwarza jeszcze środek moralny, milczenie wolą nakazane.

Milczenie ma właśnie na celu wytworzenie samotności wśród ludzi. Rozmowa i wymiana zdań przelewa myśli z jednej głowy do drugiej, pobudza do rozproszenia, wciąga w wir i chaos życia jedną jednostkę za pośrednictwem słów drugiej osoby. I dlatego w zakonach, gdzie celem moralnym jest skupienie wewnętrzne dla doskonalenia się — milczenie jest surowo nakazane. Pierwotnie pustelnie oddzielały ludzi od siebie — i dając im bezwzględną fizyczną samotność, dopomagały do skupienia. Odsunięty od życia, zwrócony ku sobie pustelnik żył w milczeniu swej celi.

Ale samotność i milczenie odsuwając człowieka niejako z wiru życia i szerokiego gościńca ludzkości współczesnej — stwarzają dopiero stan, formę niejako zewnętrzną, która ma konsekwentnie prowadzić do jakiegoś celu.

Samotność i milczenie same przez się nie są bezwzględnie ani dobre ani złe. Zależy to dopiero od charakteru jednostki, czy

potrafi z samotności i milczenia skorzystać, — czy też przeciwnie zastygnie w nieruchomości, nabędzie egoizmu lub przeczuli swoje wewnętrzne życie. I od użycia milczenia zależy, czy ono w następstwie wzbogaci myśl, czy też doprowadzi do stracenia tej potężnej zdolności używania mowy, która jest najdzielniejszym czynnikiem wszelkiego postępu, łącząc ludzkość wspólnością pojęć i dążeń.

To bowiem co jest moralnym celem i niejako naturalnym skutkiem samotności, co staje się zadaniem, do którego dąży się przez milczenie — to — skupienie ducha. W skupieniu potęguje się siła, wzmacnia energia, natęża siła życia.

Skupienie ducha!... to konieczna broń w walce życia, skupienie ścisłe cząstek żelaza w stali, czyni ją dopiero tak silną.

W pojęciu ogólnem tak jak samotność oznacza zwykle odsunięcie się od ludzi — tak cisza staje się niejako utożsamieniem samotności.

Cisza zewnętrzna, spokój są tej samotności zwykłymi towarzyszami w pobieżnem pojęciu. I kto wśród ciszy gór lub w cichości ustronia wiejskiego przyszedł do równowagi wewnętrznej — ten zrozumie jak błogiem dobrodziejstwem jest cisza i spokój...

Przewroty natury, burze wstrząsające światem, mącąc ciszę, jakże wpływają na organizm nerwowych osób. I wszelkie zaburzenia i wstrząśnienia moralne łagodzi najskuteczniej spokój.

Cisza otaczającej nas przyrody, spokój życia potocznego, płynącego bez wielkich radości i bez wielkich boleści — to są stany, które dodają wiele uroku samotności zewnętrznej osób żyjących na uboczu od życia.

III.

Jakież są dobre i złe strony samotności? — czy należy jej szukać, czy też przeciwnie unikać jej i lękać się zgubnych skutków takiego odsunięcia od świata?

Niestety — i tutaj, jak zwykle w życiu, bezwzględnie nie można ani potępić ani pochwalić. Musi się wziąć pod uwagę to jedno, co jest dobrem, i to, co jest złem — i na szali położyć.

Mistrze życia wewnętrznego zalecają niezmiernie samotność

ale z celem: skupienia się w sobie. Wtedy bowiem wgląda się lepiej w duszę własną i unosząc się na skrzydłach rozmyślania, ogarnia się szeroką przestrzeń.

Gdy kto w samotności zastanawia się nad sobą, ten łatwiej dojdzie do rzeczywistego poznania siebie i wtedy też Bóg do serca skupionego przemawia: »Siedzi sam i milczeć będzie, bo poniósł sam siebie« (Treny Jerem. III, 28).

Rzeczywistą potrzebę odnowienia się, wzmocnienia, czuje każde pokolenie ludzkości, — tylko w inny sposób do tego dochodzi.

Jedni muszą co roku gdzieś wyjechać w podróż: zmiana miejsca, nowe wrażenia, nowi ludzie — to wszystko wpływa na wzmocnienie sił fizycznych i moralnych przez oderwanie się od codzienności życia. Inni wyjeżdżają gdzieś nad morze, w ciszy gór i samotnych przechadzek, odnajdują równowagę i spokój. Jeszcze inni, którzy głównie chcą duszę przedewszystkiem do równowagi doprowadzić, zamykają się w samotności zupełnej. Ludzie wierzący nazywają te dnie zastanowienia i skupienia z łacińska: rekolekcyami — i wtedy to stają wobec nieśmiertelnych zagadnień wieczności, mierząc własne życie dotychczasowe i układając przyszłość. Takie odsunięcie od świata, od życia zwykłego przynosi ze sobą błogosławione skutki odnowienia moralnego.

Te dnie samotne przynoszą plon obfity i wpływ ich odbija się na dalszem życiu. Gdyż cóż to jest zwykła powszedniość jak nie drobnem przenoszeniem ziarnek piasku? Każdy dzień przynosi dla urzędnika, literata, rolnika czy też lekarza lub profesora to jedno monotonne powtarzanie zajęć.

»Z rana mam szkołę, po obiedzie daję lekcye, wieczór kładę się spać i znowu oczy otwieram na to, by znowu patrzeć na te same twarze i to samo mówić. Zdaje mi się, że dopiero co ich widziałem a tu minęła doba... Tak jest tem człowiek wkońcu zmęczony«...

Ta skarga da się z małemi zmianami zastosować do każdego zawodu. Nawet rzeczy niespodziewane stają się przez częste powtarzanie czemś, czego człowiek oczekuje z uczuciem, że było i będzie tak samo prawie, jak pierwej, — tylko, że pierwej noto-

wało się w gazecie szczegóły wojny japońskiej, potem zamachy, strejki a teraz konstytucya i rozruchy.

A cóż dopiero za znużenie prowadzi w ślad za sobą życie każdej kobiety, stosunkowo pracowite bardzo przez drobnostkowe obowiązki, i bardzo męczące nieraz przez nawał codziennych, powszednich trosk, obaw i starań! Tak jak koniom zawiązują w kieracie oczy, ażeby chodząc ciągle w kółku, tem samem nie dostały zawrotu, — tak i ludziom daje opaskę na oczy przyzwyczajenie, tępiąc wrażliwość i chroniąc od choroby.

Ale takie oczy zawiązane rutyną nic nie widzą przed sobą, i taki ruch jednostajny, bezmyślny jest raczej przymiotem zwierzęcia pociągowego, niżeli istoty myślącej. Tak jak w skomplikowanej maszynie jej mechaniczna dokładność w robocie zależy przedewszystkiem od obliczeń i układu człowieka, który ją zbudował, tak i w skomplikowanej maszynie życia nie bezmyślna i ciągle ta sama forma roboty lecz jej układ, jej skierowanie i jej cel — stanowią o tem, czy te wszystkie trudy są rzeczywiście pożyteczne, czy spełniają swoje przeznaczenie.

Można bardzo dużo się męczyć ale bez żadnego rezultatu, jeśli się nie ma umiejętnego kierunku w tej pracy.

Otóż w życiu naszem ta konieczność uregulowania i ustawienia odpowiedniego wszystkich kół i sprężyn, jest niesłychanie potrzebna. Zaś ułatwieniem tego właśnie rozejrzenia się jest — skupienie wewnętrzne w samotności.

Każdy, kto jest obznajomiony z naukami Kościoła, wie, jaki ogromny nacisk kładą mistrze życia duchownego na rozmyślanie: wszakżeż zgodnie i bezustannie powtarzają, że od umiejętnego rozmyślania zależy cały kierunek czynów, myśli i wysiłków. A to wszystko tylko dlatego, że w samotności tych kilkunastu chwil obejmuje się dzień wczorajszy i dzień dzisiejszy i patrząc na najwyższego Nauczyciela Chrystusa Pana, staramy się marne życie nasze dostosować do miary najdoskonalszej.

To tak ważne znaczenie zastanawiania się sławią i filozofowie niewierzący. Juliusz Payot w swej książce »O kształceniu woli«, jako warunek dojścia do wyrobienia woli i do pożytecznego jej użycia stawia przedewszystkiem: rozmyślanie.

»W zakresie chemii, gdy w rozczynie zawierającym kilka ciał w stanie nasycenia pogrążymy jakiś kryształ, to drobiny tej samej co i kryształ przyrody znajdujące się w rozczynie zaczną się grupować koło niego: jeśli spokój trwał całe tygodnie lub miesiące, ów kryształ wspaniale się powiększy.

»Natomiast kiedy co chwila zakłócamy spokój wstrząsając płynem, to kryształ wypadnie nieudały«.

Podobnie dzieje się w psychologii: spokój jest konieczny do krystalizacyi jakiegoś już określonego stanu psychologicznego. Ale fale podniet zewnętrznych ciągle temu przeszkadzają. Bardzo nielicznymi są ci, którzy skupiają się na chwilę i poza mgnieniem obecnem usiłują dojrzeć przyszłość.

»Rozmyślanie przedziwnie płodne jest w skutki: daje ono początek potężnym ruchom uczuciowym, zachcianki przeobraża w postanowienia energiczne, zobojętnia wobec namiętności i złych wpływów, dozwala ułożyć przyszłość i przewidzieć niebezpieczeństwo«. To są słowa Payot'a, który nie przyjmując nic z dogmatów religii, odkrada jej jednak cały system wychowywania duszy.

Emmerson w swych studyach zastanawia się nad tem, że niektórzy ludzie genialni po prostu muszą być samotni, aby swoje arcydzieła dokonać. »Gdyby Archimedes i Newton liczyli się do ‚miłych ludzi', którzy chętnie próżnują, odwiedzają kluby i piją w towarzystwie przyjaciół — nie mielibyśmy teoryi sfer. Była im potrzebna izolacya: tak jak maszynie elektrycznej, która stoi na podstawie izolacyjnej ze szkła«. Jakże bowiem łatwo rozprasza się geniusz tworzący i przez prawo przystosowania zejdzie do poziomu banalnego otoczenia!...

Są więc w samotności strony bardzo dodatnie, — i bardzo ważne jej działanie na całe ukształtowanie wewnętrzne człowieka.

W samotności dusza zmęczona odnajduje równowagę i może łatwiej dojrzeć drogę przed sobą. I może z większą odwagą i siłą przystępować do wewnętrznej pracy dojrzawszy własne braki. Ideał — to jak pion w ręku murarza. Pisze gdzieś Carlyle, że niema na świecie idealnie prostopadłego muru, mimo że pion jest w ręku tego, co go stawia: więc cóżby były dopiero za krzywizny gdyby go wcale nie używał?... Dusza człowieka musi w samo-

tności tym pionem zmierzyć pracę dotychczasową i na przyszłość ją do niego przystosować.

IV.

Samotność może być także źle użytą.

Emmerson gdzieś pisze: Zamknij przeciętnego człowieka w pustelni a zniszczysz całą jego istotę i zdolność życiową...

I w piśmie św. czytamy: *vae soli!*... »Nie dobrze jest być człowiekowi samemu«. W naturze widzimy tego przykłady rozliczne nawet w martwem państwie kamieni: kamień użyty na fundament, przerobiony na młyńskie kamienie trące ziarno na mąkę, a kamień który leży samotnie wśród lasu omszały, lub jaka skała się nad przepaścią zwiesza... jakże inną odrębną mają wartość! I te przykłady świadczą o tem, jak każda rzecz nawet martwa, dopiero w zetknięciu się z drugą przynosi pożytek, daje owoc, rozszerza życie i dalej przekazuje nowym pokoleniom swą istotę którą w nich odnawia!

Człowiek samotny jest rzeczą martwą często, bezowocną i zeschniętą. Tylko o sobie myśleć i swoją wolą się rządzić, wszystko do siebie stosować i siebie samego czynić osią życia, to są charakterystyczne cechy indywidualizmu, który tak bardzo łatwo się wyrabia w człowieku odsuwającym się od ludzi innych. O ile należy starać się o rozwój i wzbogacenie naszej indywidualności i naszej istoty moralnej, o tyle strzedz się musimy przed tem życiem tylko dla siebie i tylko z sobą.

W ślicznej książce ks. Baunarda gdzie kreśli życie jednego z największych jałmużników w XIX w. Ernesta Leliévre znajdujemy ciekawe potępienie egoizmu — i wpływ tego potępienia na duszę pięcioletniego chłopca.

»Przechodziłem z matką koło domu krewnego naszego pana X. Matka mówi: tam mieszka X. — to jest egoista! który nie chce znać ani córki ani syna ani wnuków. — Pomyśl żyć samemu! i tylko dla siebie! czyż nie jest już rozpaczą samą?«

To potępienie surowe wycisnęło się na dziecinnej duszyczce. Ernest Leliévre do starości zachował o nim wspomnienie, on właśnie, który poświęcił miliony swoje, całe życie, zdrowie i zdol-

ności zakładaniu domów przytułku dla opuszczonych starców w starym i nowym świecie.

Jakże łatwo dochodzi się do egoizmu! Wiele osób szczęśliwych, którym dnie upływają w pomyślności, traci zupełnie zdolność wmyślenia się w stan dusz innych, bo nie potrafią wyjść z siebie.

Ale i ludzie szlachetniejszego pokroju, którzy czując głębiej temsamem i mniej spokojnie prześlizgują się przez życie — narażeni są również na niebezpieczeństwo egoizmu jeżeli zamkną się w sobie chroniąc się od zetknięcia ze światem. Ten egoizm ich przybiera charakter głębszy, który odpowiada typowi odrębnemu natur głębszych. Ludzie złamani zawodami i nieszczęściem, zawiedzeni w nadziejach, zranieni przez złość wrogą i nienawiść odsuwają się od świata instynktownie.

Nieszczęścia wtrącają czasem w przepaść, a czasem przenoszą jakby w pustynię. Wtedy nie czuje się nic i nikogo nie widzi, tylko się na tej spiekłej i zeschłej przestrzeni piaszczystej stoi wobec strasznej, okrutnej boleści... tak, jak ten nieszczęsny »ojciec zadżumionych«, który z zastygłem sercem patrzył szklannemi oczyma w krwawą tarczę słońca żarzącego się nad grobami jego dzieci. Ta straszna samotność wewnętrzna, w którą wtrąca nieszczęście wielkie, może stać się śmiercią dla duszy pogrążając ją w egoizmie własnej boleści i czyniąc głuchą na głos Boga, na cierpienia innych i ich smutki. Bo wtedy majaczą gdzieś dopiero na krańcu widnokręgu ci obcy ludzie, i ledwie ich głos z oddali dochodzi obojętny i prawie wstrętny dla tej chorej i biednej istoty...

V.

Ale to, co najniebezpieczniejszem dla człowieka żyjącego zdala od ludzi — to jego zobojętnienie dla obowiązku społecznego. I na to kładzie nacisk to groźne słowo: *vae soli.*

W francuskiej literaturze mamy dokument niezmiernie ciekawy i charakterystyczny zgubnego wyniku takiego odosobnienia w samym sobie, które prowadzi do zmarnowania zdolności i do przeczulenia tak subtelnego, że graniczy ono z chorobliwością.

Dziennik Amiel'a, to właśnie przykład tego jak umysł niesłychanie obdarzony, niezmiernie szlachetny, w samotności doszedł do krańcowego wyrafinowania uczucia w dążeniu do najdoskonalszego wypowiedzenia się — zatracił zdolność czynu w jakiejkolwiek formie. *Tout ou rien!* — i on sam czuł tragiczność tej niemocy, która spotyka ludzi lękających się każdego wysiłku dlatego, aby nie był zawodem. Odczucie doskonałe, piękne, podcina w Amielu zdolność wypowiedzenia się: *il veut faire trop bien et c'est pour cela qu'il ne fait rien.* Myśl jest podatną, płynną, ale czyn jako wcielenie ideału w brutalną często rzeczywistość jest wstrętnym marzycielowi, bo spełnione pragnienie może przynieść mu dręczące poczucie niedoskonałości.

Amiel przez to wyrafinowanie uczucia gotuje sobie straszne tortury moralne; samotność jego zapełnia się widmami, które go dręczą ale i coraz więcej pochłaniają, odsuwając go coraz dalej od ludzi. To też wybornie on określa i potępia niszczący wpływ umysłowej analizy; widzi, że filozofia wydoskonala umysł ale tylko uczucie, tylko przykład pociąga i odnawia i prowadzi do czynów, które choć często są bolesnym zawodem, to jednak brukują drogę postępującej ludzkości.

Marzenia jak jemioła zapuszczają korzenie w sam rdzeń swej ofiary, w istotną część jej ducha, piją z niej chciwie uczucia, nadzieje, więdną i rozpleniają się jak kąkol, zachwaszczają umysł i dawniej uprawny grunt staje się jałowym ugorem.

Jakżeż taki wydelikacony organizm duchowy staje się niesposobnym do życia z ludźmi! — Odsuwając się od zetknięcia z różnorodnymi czynnikami, traci się znajomość życia i różnorodnych warunków i wymagań: bo aby coś czynić, trzeba zacząć czynić, gdyż wprawa daje tylko łatwość.

Potrzebujemy być ciągle w zetknięciu ze światem, aby odczuwając właśnie ciężar rzeczywistości, — uczyć się życia. Gdy człowiek z zawiązanemi oczyma postępuje, upada lub myli drogę, tak samo dzieje się z myślą samotną nie kierowaną doświadczeniem.

Czyn jest koniecznym na to, aby rozmyślanie samotne nie stało się obłędem, majaczącem szukaniem swego własnego zadowolenia. Nie ilość nauki, ale ciepło i zdolność jej wypowiedzenia,

umiejętność podzielenia się wynikiem doświadczeń, otwiera dopiero bogate spichrze wiadomości innym.

Samotny człowiek traci zdolność tego wywoływania w drugich blizkiego zrozumienia i ciepła sympatyi i patrzy z przerażeniem co inni dokonywują zapomocą zapału.

Ale to ciepło drzemie w każdym człowieku, wspólne działanie rozbudza je, sympatya czyni nas zdolnymi do wysiłku i natężenia i pociąga do pracy dla drugich.

Indywidualizm nowoczesny przyniósł nam teoryę, że człowiek sam sobie jest celem i postawił jako ideał najwyższy rozwój jednostki. Samego siebie kształcić, podnosić, doskonalić swoją indywidualność, rozwijać dla własnego dobra — oto istotny rys tego kierunku.

Gdy w samotności skurczy się i niejako zastygnie zdolność sympatycznego zbliżenia się do ludzi, wtedy trzeba wielkiego wysiłku, aby znowu zmusić się do czynienia czegoś dla drugich i z drugimi. Czyniąc coś naprzód przypominamy sobie to co oni złego nam zrobili, w czem nasze dobre chęci udaremnili. Przywołujemy do pomocy zniechęcenie, aby się sprzymierzyło z lenistwem i utrzymało nas w błogiej nieruchomości.

Siebie uważać w stosunku do ludzkości, uświadamiać sobie gwałtowny obowiązek dorzucania drobnych czynów do ogólnego budżetu usiłowań dodatnich, staje się męką, od której się ucieka. I jeżeli zła wola drugich i doznane przykrości postawią bolesne przeszkody raz i drugi — delikatniej czujące organizacye opuszczają pole walki, chronią się do samotnych pracowni i wyrzekają dalszej walki...

Walka bowiem każda, tak samo jak każda praca, niesie za sobą brutalność ruchów i kurz, i znój i proste wrzaskliwe dobijanie się, które jest wstrętnem dla subtelniejszych natur. Nic dziwnego że wolą ciszę...

Samotność jednak, która człowieka raz na zawsze i konsekwentnie usunie od społeczeństwa, jest samotnością dobrowolnego więzienia, gdzie skazaniec jest odsunięty od ludzkości, aby nie truł atmosfery, którą ona oddycha.

Jeżeli odsunięcie w ciszę ustronną prowadzić ma za

sobą uśpienie duchowe i chorobę woli, wtedy może stać się to usunięcie jakby dolą nieuleczalnie chorego, leżącego w szpitalu. Ale to złe porównanie: bo i chory może swem cierpieniem służyć ludzkości.

Nie sama więc samotność, ale jej zły wpływ, sprzyjający zobojętnieniu dla społecznych prac i dążeń jest rzeczą, nad którą zastanowić się trzeba.

Bo nie brakuje i teraz ludzi zacnych i dobrych, ale brakuje ludzi odważnych, którzyby umieli nieść sztandar swej idei w wir walki. Lepiej by było, aby odwaga i energia czynu zapanowała nad światem, bo wtedy Francya nie wpadłaby w ręce ludzi odważnych i energicznych ale przewrotnych, gdy większość jej synów boleje nad uciskiem wiary a nie umie zdobyć się na protest.

Samotność więc, która dąży do rozluźnienia solidarności, która usypia poczucie obowiązku społecznego i która zamiast skupiać i kształcić dla czynu pożytecznego, rozwija chorobliwe wyrafinowanie marzenia — taka samotność musi się spotkać z potępieniem,

Bo tak jak osamotnienie moralne wśród nierozumiejącego nas otoczenia jest strasznem i gorszem od osamotnienia przez nieszczęście, tak i zeschły egoizm mizantropa jest okropnem zaprzeczeniem owocnej pracy uczonego, pracującego nad zagadnieniami ogólno-ludzkiemi w samotnej pracowni...

Pustelnicy za pierwszych wieków chrześcijaństwa karczowali puszcze leśne, przygotowywali rolę pod zasiew, budowali przyszłe miasta ciężką pracą w kamieniołomach. I ich samotność była solidarnością z interesem społecznym.

Lecz jakże smutne refleksye nasuwa widok zeschłego drzewa samotnie sterczącego wśród urodzajnego pola; jakież bezgraniczne opuszczenie wieje z ruin zniszczonych miast — i jak takie bezużyteczne dogorywanie i odsunięcie od płynącego ciągle życia, bolesne robi wrażenie.

A więc straszny wróg czai się w samotnem życiu.

Jest nim egoizm. A ten egoizm prowadzi za sobą zobojętnienie dla ludzi i chorobliwą moc wyobraźni karmiącej się jak kruki złowróżbne męką Prometeusza samotnie przykutego do skały.

VI.

Każda rzecz i każden stan moralny jeżeli nie jest bezwzględnie na złych motywach oparty, może być źle lub dobrze skierowany. Tak i samotność.

Mało ludzi wybiera ją sobie z dobrej woli u wstępu do życia. Dopiero katastrofy i przewroty, dopiero koleje losu ukształtowują dalsze lata. W czasach obecnych coraz więcej spotkać można ludzi, którzy żyją samotnie...

Jakaś tchórzliwa obawa życia tchnęła po świecie: młodzież dzisiejsza lęka się każdego wysiłku, każdej walki, woli się wyrzec złotego jutra, nie chcąc narażać spokojnego użycia dzisiaj. Zamiast niepewnego walczenia na nowych drogach każdy woli iść szlakiem utartym zawodu, za który regularnie dostanie pensyę za młodu, emeryturę na starość. I coraz więcej ludzi wyrzeka się założenia rodziny nie chcąc się narażać na żmudną dla niej pracę, albo też po prostu nie chcąc ograniczyć swej swobody, przywiązać swe nazwisko do ogniska nowego, które ma pokolenie przyszłe wychować i przyszłość przez nie gotować.

Więc coraz więcej mnoży się tych dobrowolnych samotników, którzy z egoizmu duszą pierwszy poryw sympatyi, i raczej pogrążą się w błotnych i ciemnych kryjówkach występku, niżby mieli na jasnem słońcu własny dom sobie stworzyć. Na proste szczęście mało ludzi umie się zdobyć, bo już nie wzajemne uczucie ale większa lub mniejsza możność imponowania drugim zbytkiem swoim zajmuje główną rolę w układaniu przyszłości.

Ci samotni ludzie zwykle zapełniają kluby, kawiarnie i tonąc w lenistwie, powszedniości marnują się; bo gdy nie mają odwagi na stworzenie sobie osobnego szczęścia o którem w gruncie rzeczy zawsze marzą ilekroć patrzą na innych szczęśliwą rodzinną egzystencyą żyjących, to tem samem i nie potrafią się zdobyć na to, aby wolne i zbywające godziny życia poświęcić obowiązkom społecznym.

Gdyby na stu ludzi swobodnych połowa pomyślała o oddaniu się życiu obywatelskiemu, jakżeż wielu pracowników kraj by zyskał! Ileż oświata, sprawy społeczne, dzieła ekonomiczne zy-

skałyby na tem zaofiarowaniu im godzin zbywających i swobodnych.

Ale jest jakieś przekleństwo w samotności z egoizmu wybranej, która kurczy serce, lenistwem wolę usypia i natury szlachetne nawet wtłacza w ciasną formułkę banalności, która się broni ironicznem przedrwiwaniem i oschłym tandetnym humorem sarkazmu, przed każdym zapałem.

Jakże inaczej kształtują swoje życie samotne ludzie szlachetni, którym nieszczęście odebrało całe osobiste szczęście, i nagle rzuciło na spiekłą pustynię.

Jedna z takich tragedyi utkwiła mi w pamięci przy czytaniu książki Leona Lefebura: *Organisation de la charité privée.* Daje on w tem dziele monografię ogromnego przedsięwzięcia, którem jest założenie Biura centralnego dla dobroczynności w Paryżu, gdzie każdy biedny znajduje wskazówkę instytucyi, do której może zapukać a bogaty sposób najpożyteczniejszy użycia swoich funduszów. Jest to po prostu organ centralny rozprowadzający życie tak, jak serce jest ekonomicznym regulatorem krwi w organizmie. Dzieło to powstało tylko dzięki inicyatywie i staraniu pełnem poświęcenia Lefabure'a: — jemu jedynie zawdzięcza urzeczywistnienie ta myśl niezmiernie trudna w wykonaniu.

I kiedyż Lefebure pomysł ten wprowadził w życie? Oto pod wpływem strasznego nieszczęścia: nagły cios wyrwał mu wszystko najdroższe, stracił żonę i dzieci i został samotnym na świecie.

Gdyby uważniej patrzeć i dociekać przyczyny, widziałoby się ile to strasznych nieszczęść stając w poprzek szczęściu ludzi szlachetnych, zagradzając im drogę do osobistej pomyślności, skierowało ich na drogi nowe, pełne obfitych korzyści dla społeczeństwa... Wszakże okropna strata zdruzgotawszy serce ks. Antoniewicza, rzuciwszy go w samotność i pustkę nagle jak krzemień o stal uderzywszy w niego, obudziła w tem podniosłem sercu ogień apostolstwa. Jego postać góruje nad całą epoką i jest pełnym pokoju symbolem odrodzenia, którego u stóp krzyża szukał lud splamiony bratnią krwią 46 roku...

Tych przykładów możnaby wiele i bardzo wiele wyszukać. Bo samotność życia, które Bóg spuszcza na człowieka ma zawsze ze sobą zakład Jego opieki. Jest coś w tej łasce niewidzialnej co przypomina ową gołębicę po strasznym potopie świata, która białemi skrzydłami unosi się nad ziemią zniszczoną, obiecując jej nowe życie i odrodzenie, tylko inne, odmienne, na dowód, że potęga Stwórcy nic nie niszczy tylko wszystko przemienia.

* * *

Samotność, wyzuta z egoizmu, jest jedną z największych sił ludzkości. Tak pojęta samotność znajduje najpełniejszy swój wyraz w chrześcijańskiej idei życia wewnętrznego.

»Chrześcijaństwo dopiero stworzyło życie wewnętrzne — pisze gdzieś Brunetière — i to życie wewnętrzne jest największym czynnikiem postępu moralnego i umysłowego«.

Marya Harsdorf.

BOGURODZICA

POD WZGLĘDEM HISTORYCZNO-MUZYCZNYM.

Znaczenie pieśni t. zw. »Bogurodzicy« w przeszłości narodu polskiego pod względem etyczno-religijnym, a w teraźniejszości pod względem historyczno-literackim, nakłada na polskiego pracownika w dziale umiejętności muzycznych poniekąd obowiązek zbadania jej ze stanowiska paleografii i historyi muzyki, tembardziej, że zarówno tekst poetyczny jak i muzyczny, nie istniały nigdy odrębnie, lecz razem — niejako we wzajemnej zależności od siebie — były wykonywane, razem istniały w ustach śpiewającego »Bogurodzicę« rycerstwa, kleru, ludu, tak, że w istocie należy się dziwić, że tylko stosunkowo niewielki nacisk kładziono na muzyczną stronę »Bogurodzicy«, co więcej — niektórzy melomani uzurpujący sobie tytuł »uczonych muzycznych« umyślnie rozdzielali poezyę i melodyę »Bogurodzicy«, co jest oczywiście z a s a d n i c z y m b ł ę d e m, nabierającym tembardziej wagi i będącym tem większem przewinieniem, że właśnie w ostatnich kilkunastu latach udowodniono, że w badaniach średniowiecznych jednogłosowych pieśni łacińskich i niełacińskich należy ściśle przestrzegać wzajemnej zależności tekstu poetycznego i muzycznego. Że ta jedyna metoda doprowadziła do niezwykłych rezultatów z chwilą, gdy filologowie połączyli swą wiedzę z umiejętnościami muzycznemi i naodwrót, to widzimy w dziełach K. Bartscha, W. Meyera, F. Zarnckego, R. v. Liliencrona, L. Gauthiera, Fr. A.

Gavaerta, P. Aubry'ego, J. Tiersota, A. Jeanroy, H. Riemanna, O. Fleischera, P. Rungego, E. Bernoullego i t. d. Ze u nas nie zdołano zdać sobie jasno sprawy z doniosłości tej metody i owoców postępowania naukowego do niej zastosowanego, to tylko z powodu nieistnienia umiejętności muzycznych, które dopiero teraz zaczynają wchodzić na poważniejszą drogę. Dlatego nie sądzę, abym popełnił błąd, gdy pominę dotychczasowe rozprawy, nie tyle wciągające w grę umiejętności muzyczne, ile potykające się o nie. Co do rozprawy p. A. Polińskiego p. t. »Bogurodzica pod względem muzycznym«, to już pod żadnym warunkiem nie mogę powołać się na nią, ponieważ nie jest ani na jednej stronie naukową, mimo, iż zdołała zwrócić na siebie uwagę niektórych filologów[1]. Omijam więc wszelkie polemiczne uwagi, będące przeszkodą w pozytywnych wywodach. Głównym celem moim jest poprawne odczytanie tekstu muzycznego zawartego w krakowskim rękopisie nr. 1619 (Biblioteka Jagiell.), czego żadna dotychczasowa praca nie zawiera, dokładne przedstawienie stosunku tekstu do muzyki względnie melodyi, kwestyi formy »Bogurodzicy« oraz uwagi historyczno-muzyczne[2].

---

[1] »Lutnista« II (1906), gdzie znajduje się moja krytyka tejże książki.

[2] **Bibliografia przedmiotu.**

1) A. W. Ambros: *Geschichte der Musik* (1862—78, 4 tomy, 2-gi tom w opracowaniu H. Riemanna 1892); H. Riemann: *Handbuch der Musikgeschichte* (I tom w dwóch częściach, 1904 i 1905); M. Gerbert: *De cantu et musica sacra a prima ecclesiae aetate* (1774, 2 tomy); M. Gerbert: *Scriptores ecclesiastici de musica sacra potissimum* (1784, 3 tomy; 2 wyd. 1905); E. H. Coussemaker: *Scriptores de musica medii aevi* (1864—76, 4 tomy).

2) H. Riemann: *Zur Geschichte der Notenschrift* (1878); D. J. Pothier: *Les mélodies gregoriennes* (1880; niem. wyd. 1881); *Paléographie musicale. Les principaux de chant Grégorien, Ambrosien, Mozarabe, Gallican publiés en facsimilés phototypique par les Bénédictins de Solesmes* (1889 i nast.); O. Fleischer: *Neumen-Studien* (1895, 1897, 1904); H. Riemann: *Notenschrift und Notendruck* (1896); E. Bernoulli: *Die Choralnotenschrift bei Hymnen und Sequenzen des späteren Mittelalters* (1898); R. Molitor: *Die deutschen Choralwiegendrucke* (1904); P. Wagner: *Neumenkunde* (1905), Gasperini: *Storia della Semiografia musicale* (1905).

3) F. Wolf: *Über die Lais, Sequenzen und Leiche* (1841); P. A. Schubiger: *Die Sängerschule St. Gallens* (1858); K. S. Meister: *Das katholisch-deutsche Kirchenlied* (1862); W. Bäumker: *Das katholisch-deutsche Kirchenlied in seinen Singweisen* (1 tom cf. Meister; 2—4 tom 1883, 1891, 1904); P. Wagner: *Ein-*

Uwagi paleograficzno-muzyczne dotyczące najstarszego rękopisu »Bogurodzicy«.

Przy badaniu czy to śpiewu gregoryańskiego, czy to pieśni religijnych najstarszych o ludowym charakterze (t. zw. chorałów) albo najstarszej świeckiej muzyki wokalnej jednogłosowej, bierze się pod uwagę w pierwszym rzędzie tę formę tychże, która jest przechowana w najstarszym stosunkowo rękopisie, gdyż ona najwięcej zbliża się do prototypu. A czyni się to z tem silniejszem przekonaniem, gdy niema żadnego dowodu na to, że rękopis nie będący najstarszym jest ewentualnym odpisem prototypu zaginionego. Rzecz ma się tak samo, jak przy badaniu rękopisów i waryantów epopei ludowych niemieckich lub francuskich albo angielskich — z tym tylko wyjątkiem, że po pierwsze niema w paleografii t. zw. rękopisów neumatycznych — o czem niżej będzie mowa — podziałów waryantów i tekstów pozostałych w całości czy w ułamkach na grupy, a po drugie charakter pisma muzycznego rozstrzyga stanowczo o tem, który z rękopisów jest najstarszym — a przez to samo najwięcej wartościowym. Ponieważ rękopis »Bogurodzicy« oznaczony nr. 1619 znajdujący się w Bibliotece Jagiellońskiej jest najstarszym nie tylko dlatego, że nowsze badania uznały go za najstarszy, lecz także ze względu na charakter pisma nutowego, będącego jego integralną częścią, przeto on jedynie jest nam miarodajnym w badaniach, inne zaś rękopisy jako późniejsze są tylko znaczenia pochodnego i są waryantami opartymi bądź na tymże rękopisie, bądź na nieznanej nam (przynajmniej dotychczas) pierwotnej formie »pieśni Bogurodzicy«. Ponieważ przez paleografię muzyczną rozumiemy przedewszystkiem głównie badania nad historyą pisma nutowego, przeto odsyłam czytelnika do rozprawy d-ra Adama Chmiela ogłoszonej w r.

---

führung in die gregorianischen Melodien (1895), H. Riemann: *Geschichte der Musiktheorie im 9—19 Jahrhundert* (1898); W. Meyer: *Fragmenta burana* (1901); P. Wagner: *Ursprung und Entwicklung der liturgischen Gesangsformen* (1901); H. Rietsch: *Die deutsche Liedweise* (1904), *Jahrbuch der Musikbibliothek Peters für 1905* (1906).

Dzieła w tym spisie nie uwzględnione podane będą w toku pracy.

1904 p. t.: »Uwagi archiwalno-paleograficzne nad pieśnią »Bogurodzica« w rękopisie Biblioteki Jagiell. nr. 1619« (»Rozprawy Wydziału filologicznego, tom XL Akademii Umiejętności w Krakowie«), gdzie znajdują się orzeczenia ogólno-paleograficzne. Przechodzimy więc obecnie do zadania wyrażonego w tytule tego ustępu, przyczem odnosić się będziemy do podobizny rękopisu nr. 1619, zamieszczonej w naszej pracy.

Pismo muzyczne *(Notenschrift)*, które widzimy w tym rękopisie, zowie się notacyą choralną *(Choralnotenschrift)*, poszczególne zaś jego znaki neumami, i to neumami pochodzącemi z opactwa w Metz, o charakterze pisma gotyckim czyli niemieckim, umieszczonemi na pięcio-liniowym systemie muzycznym. Są to zatem neumy dyastematyczne, umieszczone na liniach, pod i między liniami, oznaczające więc dokładnie wysokość tonu.

Zarówno ze względu na oznaczenie wieku powstania rękopisu nr. 1619 jak i dla wyczerpujących argumentów musimy zastanowić się dokładniej nad dyastematyą i ściśle z nią związaną historyą pisma neumowego. — Do r. mniej więcej 980 używano w tekstach liturgicznych pisma muzycznego zwanego neumami. Były to znaki umieszczane nad tekstem lub obok tekstu (rzadko!) podobnie jak glossy, i oznaczały połączenia tonów i kierunek melodyi, nie oznaczając jednakże dokładnie ani samychże tonów ani ich wysokości, tak, że nie odgrywały innej roli, jak tylko ułatwienia pamięciowego. Tylko *regens chori*, kierujący chórem kapłanów lub śpiewaków intonujących melodye liturgiczne, znał *a priori* przebieg śpiewanych przez jego uczniów melodyi, ponieważ sam był uczniem poprzedniego regensa. Neumy utrwalały mu pamiętanie melodyi i jej przebiegu, a ponieważ ręką dawał znaki śpiewakom czy melodya się zniża czy podwyższa, więc neumy zwano także od »dyrygowania« (chejronomia, od greckich wyrazów χεῖς i νόμος) neumami chejronomicznemi. A więc tylko tradycya przekazywała pierwotną postać melodyi liturgicznej i przechodziła z nauczyciela na ucznia niemal przez 1000 lat od narodzenia Chrystusa, o ile oczywiście neumy tak długo istniały — o czem nie mamy żadnego dotychczas wy-

obrażenia, gdyż najstarszy rękopis[1] neumatyczny pochodzi aż z IX wieku po Chr.; z tego również wieku pochodzi najstarszy traktat muzyczny (Aureliana z Réomé), w którym jest mowa o neumach. Ogólna nazwa »neumy« zdradza pokrewieństwo zarówno z greckimi wyrazami »νεῦμα« i »πνεῦμα«, jak i hebrajskiem »najmah« (נעימה) i nasuwa myśl grecko-wschodniego pochodzenia neum; niestety jednak bizantyjskie zabytki neum pochodzą z XIII—XV wieku, filologowie zaś jak i historycy muzyki nie przyszli do przekonania, jakoby między pismem neumatycznem a powyższymi wyrazami grecko-hebrejskimi zachodził jakikolwiek związek realny. Nie możemy jednak zapuszczać się w głąb tego problemu, jako nie należącego do zakresu naszej pracy. Dość, że neumy pisano na systemach liniowych lub bez nich. Te ostatnie t. j. chejronomiczne są starsze, dyastematyczne zaś nowszego pochodzenia. Nie od razu używano czterech lub pięciu linii, przeciwnie — ich liczba wzrastała od jednej w zwyż. Zaprowadzenie linii jest przełomem w historyi pisma neumowego. Ukazuje się ona koło r. 1000, poprzedzona kilkoma usiłowaniami ustalenia dyastematyi (διαστῆμα = interwal). We Frankonii spotykamy się z niemi już w X wieku (n. p. Cod. ms. 121 w Einsiedeln, cod. ms. 381 z St. Gallen), a więc na północy od Alp. Ale do zupełnej dyastematyi nie przyszło w tych stronach. Inaczej we Włoszech i południowej Francyi. Usiłowania dyastematyi w kodeksach neumatycznych longobardzkich (cf. Cod. ms. 339, Monte Casino) z X/XI wieku i w południowej i północnej Francyi są początkiem zdrowego systematycznego rozwoju. M. Gerbert pisze w swem dziele *De cantu* i t. d. (II, 61) o praktyce muzycznej w klasztorze Corbié: »Notabilis autem est locus chronographi eius monasterii ad tempora eius abbatis (Ratoldi) anno nempe 986, quo obiit: Sub iis temporibus incoeptus est novus modus canendi in monasterio nostro per flexuras et notas, per regulas et spacia distinctas, meliusculum dinumerando, quam antea agebatur; nam nullae regulae extabant in libris antiphonariorum

[1] Cod. ms. 169 miejskiej biblioteki w Lipsku; cod. ms. 359 biblioteki opactwa w St. Gallen (Cf. Wagner: *Neumenkunde* 90, 91, 236, 265).

et graduum ecclesiae nostrae«. Tym, który wynalazł linię nutową oznaczającą dokładnie położenie jednego tonu skali i jego stosunku do innych tonów, był prawdopodobnie Hucbald z klasztoru St. Amand sur l'Elnon we Flandryi (840—930), który pierwszy postawił sprawę niedoskonałości neum na ostrzu miecza w dziele *De harmonica institutione* i rozpoczął próby udoskonalenia pisma neumowego. Była to prymitywna dyastematya, zajmująca — jak wyraża się prof. P. Wagner (*Neumenkunde* 134) — »stanowisko pośrednie między dyastematyą a chejronomią«. Gdy jedną linię wynaleziono, należało oznaczyć, jaki ton na niej spoczywa. Nie była ona stałą, gdyż oznaczała położenie różnych tonów: d, f, g, a. Do XIII a nawet do XIV wieku pisano gdzieniegdzie melodye w kancyonałach na jednej linii, zazwyczaj dla tonów **g** lub **a** (cf. *Paleographie musicale* II, pl. 84, 85, 87, 101, 102), zwłaszcza w Hiszpanii i Akwitanii. Neumy napisane z pomocą jednej linii możemy z tą samą dokładnością przeczytać, co neumy na 4 i więcej liniach — twierdzi prof. Wagner (op. c. 143) i daje tego liczne dowody aż nadto przekonywujące. Już w drugiej połowie X wieku postarano się o to, aby ułatwić czytanie neum zapomocą dodania więcej linii. Uczynił to Gwido d' Arezzo *(Regulae rhythmicae)*. Zrazu zadowolniono się dwoma liniami, na których spoczywały tony **f** (linia czerwona) i **c** (l. żółta lub zielona), a gdy i te dwie jeszcze nie były rękojmią dokładnego odczytania pisma neumatycznego, używano trzeciej i czwartej, barwiąc je na czarno lub wyciskając na pergaminie ostrym rylcem. Jeśli zaś nie barwiono linii, to na początku znaczono klucze **c** i **f**; ale stałej reguły niema i różne sposoby notowania melodyi są nam znane z rękopisów wczesnego i środkowego średniowiecza.

Jeszcze w XV wieku, gdy używano systemu z czterema i pięcioma liniami, spotykamy rękopisy w których linie **c** i **f** są barwione na czerwono i żółto, inne zaś na czarno; co więcej — istnieją druki z XVI wieku, w których ta norma jest zachowaną.

Dyastematya nie wszędzie przyjęła się od razu: w Paryżu i Belgii już w XII wieku, tosamo w Reichenau, w Anglii w XIII wieku, w Einsiedeln ok. r. 1300, w St. Gallen zaś i podległych

lub zostających pod wpływem tego opactwa terytoryach dopiero w XV wieku; nawet z XVI wieku są zachowane w St. Gallen liturgiczne rękopisy, nie zawierające dyastematycznych neum, lecz chejronomiczne, a więc nie umieszczone na systemie liniowym. Kiedy u nas przyjęła się dyastematya, nie udało mi się dotychczas znaleźć absolutnego dowodu, przypuszczam jednakże iż w drugiej połowie XIII wieku. Że neumy chejronomiczne musiały być u nas znane już w XI wieku, to nie ulega wątpliwości. (Badania dotyczące tego przedmiotu będą treścią innego studyum). Należy przyjąć koniec XII i początek XIII wieku za epokę ogólnego przyjęcia dyastematyi. Jakkolwiek od czasów Gwidona d' Arezzo używano systemu czteroliniowego, to jednak jeszcze w XIV wieku zachodzą wypadki notowania melodyi liturgicznych (zwłaszcza lectiones, orationes, gradualia) na 2—3 liniach. Normą stał się czteroliniowy system, mimo że wyjątkowo spotykamy się z pięcioma liniami już od XII wieku (n. p. *Antiphonair de Saint-Maur-des Fossés,* cod. lat. 12044 z Biblioteque Nationale w Paryżu), co należy przypisać wpływowi menzuralnej muzyki, używającej od chwili powstania zawsze pięciu linii. Dopiero pod koniec średniowiecza, spotykamy się z kodeksami zawierającymi systemy pięcioliniowe bardzo często. W bibliotece jednego z krakowskich klasztorów widziałem mszał z końca XIV lub początku XV wieku, w którym był w użyciu zarówno cztero- jak i pięcioliniowy system; kodeks ten był pisany jedną ręką i niema żadnych wątpliwości, aby karty z pięcioma liniami mogły być spisane i wlepione później.

Zestawmy nasze dane naukowe i stosując je do »Bogurodzicy«, względnie do krakowskiego rękopisu nr. 1619 wyciągnijmy wnioski. Pierwszy system od góry jest czteroliniowy, inne zaś w liczbie sześciu są pięcioliniowe. Jest to dowód, że rękopis ten był spisany w czasie, gdy już system pięcioliniowy był w powszechnem u nas użyciu, a więc w XV wieku.

Pisarz rękopisu był prawdopodobnie jeszcze niedoświadczonym w swym zawodzie, gdyż wątpił, czy system czteroliniowy będzie wystarczającym dla rozciągłości melodyi, od najniższego do

najwyższego tonu licząc [1]. Postąpił jednakże ostrożnie, choć obawy jego były zbyteczne, bo system czteroliniowy byłby zupełnie wystarczającym. Rozciągłość skali tej melodyi jest nonowa (9 tonów), a więc odpowiadająca pod tym względem najzupełniej melodyom gregoryańskim, które prawie nigdy poza nonę nie wychodziły. Ściśle jednak rzecz biorąc nie możnaby dokładnie oznaczyć wieku powstania tego rękopisu, gdybyśmy nie posiadali archiwalnych dowodów bliżej określających datę jego powstania, albowiem posiadamy z dawniejszych wieków dowody, że pięcioliniowy system był w użyciu, mimo iż dopiero w końcu XIV wieku stał się dość powszechnie zastosowanym mniej w ściśle liturgicznych kodeksach niż w jakichkolwiek innych (n. p. w pieśniach religijnych i świeckich). Za powstaniem tego rękopisu w bardzo późnem średniowieczu przemawia i ta okoliczność, że wszystkie linie są jednakiej barwy, t. j. czarnej względnie zbliżonej do czarnej i że linie, na których leżą klucze **c** i **f**, nie są barwione na czerwono i żółto; dlatego możnaby nie bez racyi przypuścić, że rękopisu nie spisał przepisywacz klasztorny, lecz świecki, mało bowiem istnieje kodeksów klasztornych z późnego średniowiecza zawierających nutacyę gotycką na systemie jednobarwnym. Są to ogólne normy, wobec których rękopis, »Bogurodzicy« zachować się może tak jak wyjątek wobec reguły.

Niemniej forma kluczów (**c** i **f**, na czwartej i drugiej linii licząc od dołu), które stosunkowo najlepiej widzimy w tym rękopisie na początku trzeciego i w $^1/_3$ części odległości od końca drugiego systemu, nie może dać nam dostatecznej i miarodajnej wskazówki co do czasu powstania rękopisu. Nie może nam ich dać przedewszystkiem forma klucza c: [**C**, **C**], używana zawsze dowolnie od najdawniejszych czasów, t. j. od XI do XVI wieku. Wprawdzie Dom Pothier rozróżnia pewne okresy (cf. *Melodies gregoriennes*), to samo *Paléographie musicale* (I, 121), ale wystarczy przerzucić kilkaset kodeksów z różnych wieków, aby się przekonać, że żadnej stałej normy nie można dla klucza **c** zaprowadzić:

[1] Fakt ten podaje w wątpliwość przypuszczenie d-ra A. Chmiela (»Uwagi archiwalno-paleograficzne« i t. d., str. 55), jakoby pisarz »Bogurodzicy« »nie pisał jej z pamięci, lecz z pewnością (?) przepisywał ją z innego źródła«.

formę z XII wieku spotkamy w XV, a nawet XVI wieku (cf. facsimilia w dziełach P. Wagnera, E. Bernoullego, R. Molitora, H. Riemanna i t. d.). Nieco więcej punktów stycznych z kwestyą epoki powstania rękopisu nr. 1619 daje nam forma klucza 𝄢. Spotykamy ją zarówno w bardzo starych rękopisach, jak i w najdawniejszych drukach mszałów z końca XV wieku. (Cf. fragment antyfonarza z XIII wieku w posiadaniu prof. Wagnera w *Neumenkunde* 186; cod. ms. 1305 z XIII/XIV wieku z uniwersyteckiej biblioteki w Lipsku, w *Notenschrift und Notendruck* Riemanna, II tabela; Graduale Kartezyuszów z XIII/XIV wieku w posiadaniu J. Rosenthala w Monachium, w *Neumenkunde* Wagnera str. 176; cod. 20050 w Bibliothèque nationale w Paryżu z XIV wieku; *Missale ratisponense*, druk z r. 1485, w *Deutsche Choralwiegendrucke* Molitora, tabela VI; *Agenda Ratisponensia*, druk z r. 1491, tamże, tabela XII; *Missale Ratisponense*, druk z r. 1497, tamże, tab. XVII; *Hortulus musices* Ud. Burcharda, druk lipski z r. 1514!) Jak więc widzimy, także forma klucza 𝄢 nie daje nam żadnych możliwości w oznaczeniu powstania rękopisu nr. 1619, choćby tylko w przybliżeniu. Mógł bowiem powstać zarówno w XIII jak i XV wieku [1].

---

[1] Mylnem więc jest mniemanie p. Polińskiego (»Bogurodzica«, str. 59), jakoby »takiego kształtu, jaki mają oba te klucze, używano tylko od XII włącznie do XIV wieku; w XIV używano zgoła już odmiennych, jak o tem przekonywują nas liczne kodeksy średniowieczne, opatrzone datami i nazwiskami autorów«. Przeciwnie — jak udowodniłem przytaczając z XV i XVI w. »kodeksy średniowieczne (i nowożytne), opatrzone datami i nazwiskami autorów«: od XII do XVI wieku były te formy w użyciu. Wręcz wykluczonem jest również przypuszczenie p. Polińskiego, że »grafika« (?!) obu najstarszych odpisów Bogurodzicy m u s i (!) nam wskazać albo przybliżony wiek oryginałów (!) »albo wiek odpisów« — pierwszego dać nam charakter pisma muzycznego w rękopisach absolutnie nie może, gdyż rękopis nr. 1619 może być odpisem x kopii z prototypu bardzo starego (nawet z XI i XII wieku) lub odpisem kopii z kopii. Nie można twierdzić żadną miarą, że »Bogurodzica« nie była popularną; a w takim razie spisywanie jej nie było tak niesłychanie koniecznem, skoro była wszerz i wzdłuż znaną. Wątpię, czy rękopis nr. 1619 jest odpisem z dawniejszego źródła. Pisarz bowiem nie wahałby się, czy ma pisać melodyę na czterech czy na pięciu liniach, lecz byłby wierny swej projekcyi. Również nie może nam sam charakter pisma muzycznego w rękopisie nr. 1619 wskazać jego wieku jako »odpisu«, z powodów wymienionych przezemnie w głównym tekscie.

I znowu miarodajnemi są tylko cechy archiwalne, dotyczące rękopisu.

Przechodzimy do najważniejszej i najbardziej miarodajnej części rękopisu, t. j. do neum, do nut, któremi spisano melodyę. Jak już wyżej wspomniałem, jest to pismo muzyczne choralne, którego składniki zwią się neumami, o charakterze gotyckim czyli niemieckim, pochodzącemi względnie używanemi najwięcej w terytoryum opactwa w Metz. Nim zastanowimy się nad naszym rękopisem, musimy na chwilę zatrzymać się przy rozwoju neum niemieckich, aby wyjaśnić kilka technicznych wyrazów, niezbędnych przy analizie rękopisu, a nie wszystkim czytelnikom dostępnych.

Od XII wieku, t. j. od czasu, w którym dyastematya zaczyna być dość powszechnie uznawaną, poczynają wraz z nią krystalizować się dwa typy neum: łaciński (wzgl. romański) i gotycki (wzgl. niemiecki). Już sama dyastematya sprawiła, że znaki pojedyncze zaczęto zgrubiać i indywidualizować zależnie od terytoryów, w których je używano. Bo neumy chejronomiczne same przez się i od samego początku ogólnego ich zastosowania rozpadały się na kilka grup, np. akcentowe, punktowe, haczykowate, złożone z głównych elementów:

/ albo / ▪ ▪ Virga = ton wyższy (*accentus* acutus),

\ albo ▬ ● ✦ « (iacens) = ton niższy (*punctus*, accentus gravis),

⌋ albo ⌋ = pes, podatus (ton niższy + wyższy) } *haczykowate* neumy.

∧ albo ∩ = clivis, flexa (ton wyższy + niższy) }

Przez kombinowanie tych znaków otrzymywano połączenia nie tylko dwóch ale i więcej tonów. Neumy, zrazu bardzo subtelnie i lekko pisane, zaczęto »stylizować«, zgrubiając je lub też pewne grupy zdyastematyzowane zaczęto protegować w pewnych terytoryach nadając im tylko czysto graficzny, lokalny charakter (np. neumy longobardzkie, akwitańsko-hiszpańskie, romańskie [francuskie], st. galleńskie, neumy z Metz i t. d.). W następstwie zaś stosownie do rasy używającej pewnych odmian tego pisma, podzielono neumy na romańskie i niemieckie względnie gotyckie. Od wieku XII, t. j. od chwili gdy w Paryżu rozwija się muzyka menzuralna i powstaje nowa forma prymitywnej wielogłosowej muzyki, t. zw. »discantus«, rozpoczynają neumy francuskie przy-

bierać jednolitą postać kwadratową i rombową: ■, ■ i ✦ (nota quadrata czyli nota quadriquarta). I ta postać odnosi zwycięstwo: od XIV wieku jest rozpowszechnioną we Włoszech, Francyi, Hiszpanii i Anglii, po części w Niemczech. Najdawniejsze zabytki niemieckiego pisma liturgicznego neumatycznego sięgają XII w. i przedstawiają 3 typy: neumy chejronomiczne akcentowe na czterech liniach jako czysty typ gotycki, francuska »nota quadrata« i neumy punktowe z Metz (na systemie czteroliniowym), które były także w północnej Francyi i Belgii rozpowszechnione. Chejronomiczne neumy akcentowe wpłynęły na formę neum z Metz w ten sposób, że nadały im wygląd specyficznie gotycki, który zwano »Hufnagelschrift« z powodu ich wyglądu przypominającego formę gwoździa od podkowy: . Ale mimo to neumy z Metz zachowały pewne odrębne cechy. Kodeksy pisane neumami z Metz zawierają system czteroliniowy czarny (nie barwiony nigdy), klucze **c** i **f** stale na początku systemu umieszczone, oraz brak tak zwanego kustosza (był to znaczek umieszczony na końcu każdego systemu w tem miejscu, w którem leżała nuta stojąca na początku następnego systemu. Od XIV wieku rozpoczyna się upadek neum z Metz i chejronomicznych polegający na tem, że połączenia neum rozpadają się na pojedyncze swe składniki, albo też, nie rozpadłszy się jeszcze, okazują chęć rozwiązania połączeń. Następuje również jeszcze większe zbliżenie się do typu gotyckiego. Jeszcze w XIII wieku złożenia neum nie pozwalały poznać ich składników. Wreszcie musiały w XVI wieku ustąpić »nucie kwadratowej«, której niemiecki teoretyk Glareanus przyznał prawo pierwszeństwa.

Wystarczy porównać charakter neumatycznego pisma w rękopisie nr. 1619 z rękopisami gotycko-meckich neum z XIV i XV w., z ich kanciastymi i ostrymi i nieco ordynarnymi znakami, aby przekonać się o uderzającem podobieństwie. I tu i tam znajdziemy charakterystyczny brak »kustosza«, wszystkie linie czarne, zwyczaj używania zawsze dwóch kluczów **c** i **f** i manierę, »styl« pisarski samych neum, a przedewszystkiem dążność do rozpadania się kombinacyi neum na składniki, z których powstały. Jest to

ogólny charakter, ogólne graficzne właściwości. Nie wynika z tego, aby podobnych i tych samych form neum nie zawierały rękopisy z dawniejszych wieków. Jestem pewny, że w niedługim czasie będziemy mogli na podstawie rękopisów oznaczyć dokładnie stadya rozwoju notacyi gotyckiej w polskich terytoryach. Pod tym względem rękopis nr. 1619 ma wszelkie dane, abyśmy go uważali za ogniwo łączące bezpośrednio upadek neum gotyckich u nas z ich rozkwitem w XIV wieku. Przejdźmy do neum i ich połączeń w naszym rękopisie!

Sumiennego i doświadczonego paleografa muzycznego uderzy przy pierwszem spojrzeniu na rękopis nr. 1619 fakt, wzbudzający nawet pewne wątpliwości, czy rękopis wogóle był pisany przez jednego i tego samego pisarza. Mianowicie pismo nutowe aż do słów »A dacz raczi« (system VI) staranne i dość poprawne staje się nad wyraz niedbałem, a nawet niezgrabnem i niewprawnem aż do końca rękopisu, w przeciwieństwie do pierwszej części tegoż. Wystarczy porównać neumy pojedyncze i złożone jak punctum (rhombus), porrectus (= clivis + virga), clivis (flexa), scandicus flexus (= clivis praebipunctis), o których będzie mowa niżej. Ta zmiana następuje nagle, nie powoli, stąd wykluczonem jest, aby powstała wskutek zepsucia się pióra. A gdyby nawet to ostatnie nastąpiło, to za mojem przypuszczeniem przemawia zupełnie odmienny i nieumiejętny charakter pisma neumatycznego począwszy od słów »A dacz raczi«. Bezsilnym byłby argument paleografa niemuzyka, gdyby tenże twierdził, że tekst poetyczny jest pisany od początku do końca jedną i tą samą ręką. Wiemy bowiem, że zarówno w rękopisach jak i pierwszych drukach liturgicznych zdarzało się, iż tekst pisano (wzgl. drukowano) naprzód wraz z systemem liniowym, później zaś wpisywano nuty względnie neumy. Kwestyę tę można pozostawić nierozstrzygniętą, gdyż ona nie zmienia sprawy pod żadnym względem. Trzeba jednakże ten fakt podkreślić, gdyż należy do niezmiernie rzadkich wypadków. W bogatej w rękopisy muzyczne król. nadwornej i państwowej bibliotece w Monachium nie udało mi się spotkać analogicznego wypadku. Natomiast nie należą do rzadkości rękopisy z neumami jednogatunkowemi, lecz pochodzącemi z różnych wieków. Podobne

wypadki spotykałem w mszałach klasztornych bibliotek krakowskich.

W naszym rękopisie widzimy następujące neumy i ich złożenia: punctum, climacus, porrectus, scandicus flexus, flexa, podatus i t. zw. mora vocis.

1. *Punctum* (◆ punctus, rhombus) jest najczęstszą neumą; można ją łatwo rozpoznać po nazwie. »Punctum« w tej formie, którą widzimy w naszym rękopisie, było w użyciu najczęściej w manuskryptach XIV i XV wieku (cf. *Paléographie musicale* I, 121) i w drukach z XV i XVI wieku (cf. Molitor: *Choralwiegendrucke*). Jest to — rzecz dziwna — jedyna neuma pojedyncza, mimo iż w czasie powstania rękopisu, jaki przed nim i po nim używano a zawsze obok punctum także innej pojedynczej neumy, zwanej »v i r g a« lub »virgula«. W naszym rękopisie zachodzi ona tylko w neumach złożonych jako element bardzo widoczny. Będzie o niej mowa niżej. W gotyckiej notacyi występuje punctum bądź odrębnie bądź w złożeniu. Widzimy to w naszym rękopisie w złożeniach zwanych: »scandicus flexus« i »podatus« (p. niżej).

2. *Climacus* jest neumą złożoną z trzech »punctum«. Widzimy ją w naszym rękopisie sześć razy: w 1 systemie nad zgłoską drugą wyrazu »rodzicza« (dzi) i nad drugą zgłoską wyrazu »slawena« (we), w 2 systemie nad drugą zgłoską wyrazu »twego« (go), i nad drugą zgłoską wyrazu »matko« (tko), i w 6 systemie nad drugą zgłoską wyrazu »zbozni« (zni) i nad drugą zgłoską wyrazu »rajki« (ki). Nie należy uważać za »climacus« trzech punktów nad dwoma ostatniemi zgłoskami wyrazu »gospodzina« (system 2), gdyż nie są pisane w jednym kierunku i znać wyraźnie oddzielenie dwóch pierwszych punktów od trzeciego; to samo dotyczy trzech punktów nad abbrewiaturą słowa »kyrieleyson« (kye) w 7 systemie, gdyż punkt pierwszy oddzielony jest od dwóch następnych. W pierwszych sześciu wypadkach widać najwyraźniej przynależność trzech punktów do siebie, osiągniętą przez jednolity kierunek pióra. Różnicę tę spostrzeżemy dokładniej przy przepisaniu melodyi na nowożytne pismo muzyczne. »Climacus« w tej formie, jaką widzimy w rękopisie nr. 1619 nie

był zbyt często w użyciu; zazwyczaj pierwszy punkt zastąpiony był przez virgę. Widzimy to zwłaszcza w pierwszych drukach liturgicznych; ale i w rękopisach można go spotkać (np. Cod. Einsiedeln fragm. 1, w *Sängerschule St. Gallens* Schubigera [*Monumenta*, VII tabela], Franciszkański brewiarz z XIII wieku w posiadaniu L. Rosenthala w Monachium). Ale »climacus« złożony z trzech punktów znika coraz więcej. W łacińskiej notacyi zawsze spotykamy go w tej formie (cf. *Paléographie musicale* I, 128). Wprawdzie Walter Odington, angielski teoretyk oxfordzki z XIII na XIV wiek nazywa trzy w jednym kierunku po sobie następujące romby »tripunctum« (cf. *De speculatione musicae*, część V, rozdział p. t. *De notis* w Coussemakera *Scriptores de musica medii aevi* I, 213), ale po pierwsze nie zawsze praktyka szła w wiekach średnich ręka w rękę z teoryą, a po drugie udowodniły nowe badania (Wagner, Molitor), że »tripunctum« posiadało formę: lub , a nie (climacus). Molitor definiuje neumę »climacus« w następujący sposób (cf. *Deutsche Choralwiegendrucke* 17): »Cl. enthält drei Noten, die in gerader Linie in beliebigen Stufen nach abwärts gehen. Der Akcent ruht auf der ersten Note«. Charakterystyczną cechą tej neumy złożonej jest to, że wszystkie trzy nuty przypadają na jedną zgłoskę słowa czyli że nie stosują się do prawidła: »jednej nucie odpowiada jedna zgłoska«. Uważać należy »climacus« za naszą triolę: , zwłaszcza że akcent padał na pierwszą nutę (cf. Bernoulli: *Choralnotenschrift* 76: »Es läuft vielmehr darauf hinaus, dass die Noten des Climacus... einen zwar je nach Umständen relativen, aber unter sich g l e i c h e n Wert haben«. »... die unterschiedliche Schreibweise seiner Bestandteile habe für deren Wert n i c h t s zu besagen«). O słuszności zdania d-ra Bernoullego przekonamy się przy przepisaniu melodyi »Bogurodzicy« na pismo muzyczne nowożytne. Że zaś w naszym rękopisie »climacus« jest złożony z trzech punktów a nie z virgi i dwóch punktów, to jest raczej dowodem niezbyt wielkiego doświadczenia pisarza rękopisu, zwłaszcza że manuskrypt powstał w czasie, gdy niemal stale używano neumy »climacus« złożonej

z virgi i dwóch punktów i gdy virga stale rozpoczynała szereg rombów zniżających głos (cf. traktat anonimowy z XIV/XV wieku dotyczący gotyckiego pisma neumatycznego, z król. biblioteki nadwornej i państwowej w Monachium, cod. mns. m. 1571, rozdział IV p. t. *Capitulum quartum de regulari solmisatione et vocum mutatione*, fol. 9v.). Pisarz jednak nie popełnił błędu zasadniczego, czyniąc zadość ówczesnemu wymaganiu, aby »climacus« zawierał »tres simplices notas«, »punctum« zaś jest »nota simplex«.

Porrectus jest neumą złożoną z neumy zwanej »flexa« i z virgi. Ponieważ »flexa« znajduje się w kilku miejscach rękopisu jako znak samoistny, więc załatwimy się z nią przed omówieniem »porrectusa«.

3. *Flexa*[1] (zwana też clivis, clivus i clinis:) powtarza się w rękopisie nr. 1619 dziesięć razy: w syst. 1 nad drugą zgłoską wyrazu »maria« (ri), w syst. 2 nad tym samym wyrazem i nad drugą zgłoską wyrazu »swolena« (le), w systemie 3 dwa razy nad wyrazem »kyrieleyson« (nad pierwszem »e« i nad »son«), w syst. 4 nad drugą zgłoską wyrazu »Twego« (go), nad drugą zgłoską wyrazu »boszicze« (szi) i nad drugą zgłoską wyrazu »Uslisz« (slisz), w syst. 6 nad wyrazem »dacz«, nad drugą zgłoską wyrazu »jegosz« (gosz) i w syst. 7 nad ostatnią zgłoską wyrazu »kyrieleyson«. »Flexa« jest jedną z najdawniejszych neum złożonych (n. compositae); spotykamy się z nią od XII do XVI wieku, nawet

[1] To połączenie neum nazwałem w »Lutniście« (krytyka »Bogurodzicy« A. Polińskiego rocznik II, str. 5) »plica«, ponieważ 1) kształt i znaczenie tychże jest jedno i to samo (cf. Riemann: *Zur Geschichte der Notenschrift* str. 129 i nast. oraz tabela IV *Neumae compositae* nr. 5 — oraz Bernoulli *Choralnotenschrift* str. 11 i nast., 24, 75, 144. 2) Pothier błędnie przyznaje »plice« wartość jednego tonu bez przyznania mu pierwotnego circumflexu, mimo iż wielu teoretyków średniowiecznych uważa »plikę« za połączenie dwóch tonów (clivis = flexa!), np. Pseudo-Arystoteles (Coussemaker I, 273), Johannes da Garlandia (Couss. I, 177), Walter Odington (Couss. I, 236) i t. d. Por. Gerberta *Scriptores* III, str. 202, szpalta lewa, traktat *Summa musicae* Jana de Muris (»Plica dicitur a plicando et continet notas duas, unam superiorem et aliam inferiorem«). Decyduję się na nazwanie tego połączenia w rękopisie nr. 1619 »flexą« ze względu na połączenie jej z innemi neumami, z któremi »pliki« nie łączono (porrectus!)

w druku nie zginęła, choć rozpadła się na swoje składniki (punctum + virga z główką na dół zwróconą) z powodu dążenia do gotyckiego stylizowania. Ale tę formę flexy, którą zawiera rękopis nr. 1619 używano dopiero od końca XII i od XIII wieku, głównie zaś w XIV i na początku XV stulecia. W XII i XIII wieku »flexa« jest właściwie połączeniem linii poziomej i pionowej wśród zgrubienia tej ostatniej ku dołowi, choć i nie brak formy takiej, jaką widzimy w naszym rękopisie nad wyrazem »dacz« w syst. 6 (cf. *Paléographie mus.* I, 121 i cod. lm. 10075 in 2-o Biblioteki palatynackiej w Mannheim i t. d.). W XIII wieku spotykamy już dość kształtów »flexy«, zbliżonych do charakteru jej w naszym rękopisie (cf. *Missel Plénièr* z Bibl. de Mgr. Duc. Evêque d'Aoste w Aosta [Włochy], Graduał nr. 262 biblioteki miejskiej w Rheims, *Antiphonale ecclesiae sancti Arnulphi Metensis* nr. 83 z biblioteki miejskiej w Metz!, cod. 153 F z biblioteki katedry w Trewirze [wiek rękopisu: XIII/XIV. Cod. ms. 13052 biblioteki uniwersyteckiej w Lipsku [w w. XIII/XIV]; w wieku XIV/XV i XV kształt ten »flexy« jest już bardzo rozpowszechniony: cf. cod. 1655 biblioteki uniwersyteckiej w Gracu [w w. XIV/XV], cod. pm. 16 z wielkoksiążęcej biblioteki w Karlsruhe [w w. XV] i liczne przykłady z *Paléographie mus.* I, 128 i *Choralnotenschrift* Bernoullego oraz *Notenschrift und Notendruck* Riemanna). Ale już w XIV wieku spotykamy się z rękopisami gotyckiej notacyi neumatycznej, w których »flexa« ma kształt zupełnie taki sam jak w drukach z końca XV wieku t. j.: .

Neuma »flexa« składa się z dwóch tonów: wyższego i niższego (»... componitur ex nota & seminota, & signat, quod vox debet inflecti« — pisze Johannes de Muris, teoretyk z XIV w. w swem dziele *Summa musicae;* cf. M. Gerbert *Scriptores* III, 202). Akcent muzyczny spoczywa na pierwszym tonie, t. j. na wyższym. »Flexa« zatem może być uważaną za naszą: , ale wartość tych dwóch nut może być zależnie od okoliczności względną (cf. Bernoulli: *Choralnotenschrift* 32).

4. *Porrectus* , neuma złożona z »flexy« i »virgi«, oznacza połączenie trzech tonów, z których środkowy leży niżej niż

dwa skrajne. Akcent spoczywa na pierwszej nucie, ale ta neuma zachodzi w wypadkach, gdy obraz rytmiczny jest więcej rozmaity, bogatszy. »Porrectus« był jednak rozmaicie pisany i składany z różnych połączeń (virga + podatus, punctum + podatus), ale najczęstszem jest połączenie, które widzimy w rękopisie krakowskim. Zarówno w rękopisach jak i w drukach XV i XVI w. pisano tę neumę w ten sposób, że jej części składowych niemal nie łączono. Nie należy jednak kształt »porrectusa« z rękopisu nr. 1619 do rzadkości, ale druga jego część składowa, t. j. »virga«, miała prawie zawsze odmienny kształt. Mianowicie u góry nie była zaokrąglona, lecz w prawdziwie gotyckim stylu kończyła się główką jakby gwoździa (stąd nazwa: »Huf n a g e l schrift) . »Porrectus« powtarza się w naszym rękopisie ośm razy: w pierwszym rządku nad drugą zgłoską wyrazu »dzewicza« (wi), w drugim nad pierwszą zgłoską wyrazu »syna« (sy), w trzecim nad drugą zgłoską wyrazu »siszczy« (czy), w czwartym nad pierwszą zgłoską wyrazu »glosi« (glo), w piątym nad trzecią zgłoską wyrazu »modlitwo« (two), w szóstym nad pierwszą zgłoską słowa »raczi« (ra), w siódmym nad pierwszą zgłoską słowa »pobich« (po) i nad pierwszą zgłoską słowa »przebich« (prze). Niedbałość pisarzy czy też pisarza tego rękopisu uwidacznia się może najlepiej w tej złożonej neumie. »Virga« napisana jest tak, że możnaby ją wziąć za inną neumę, zwaną »cephalicus« (np. »porrectus« w pierwszym, drugim, trzecim i piątym systemie). Tylko przez kollacyonowanie z innymi, różnymi rękopisami może zniknąć wątpliwość. Kształt neumy »cephalicus« był w XII i XIII wieku zupełnie niemal identyczny z »virgą« rekopisu nr. 1619 (zwłaszcza w »porrectus« trzeciego rządka (cf. *Paléographie* I, 121). Mimo skrzętnych poszukiwań nie zdołałem znaleźć żadnego rękopisu, w którym »porrectus« byłby napisany tak samo, jak w rękopisie nr. 1619. Ale to połączenie jest również bardzo stare i już w XII wieku znachodzi się, ulegając w późniejszych wiekach zmianom radykalnym. Cod. Pm. 16 z wielkoksiążęcej biblioteki w Karlsruhe zawiera bardzo podobny »porrectus« jak nasz i składniki jego są ściśle połączone (mimo XV wieku!), ale »virga« ma kształt zu-

pełnie gotycki. Na nowożytną pisownię muzyczną da się przepisać »porrectus« w zwykły sposób: (cf. Bernoulli, op. cit. 76).

5. *Scandicus flexus* v. *Clivis praebipunctis* . Ta neuma, złożona — jak z drugiej nazwy wynika — z »clivis« (flexa) i poprzedzających go d w ó c h punktów, a więc zawierająca cztery tony, powtarza się w rękopisie nr. 1619 sześć razy: w pierwszym rządku nad pierwszą zgłoską wyrazu »maria« (ma), w drugim nad pierwszą zgłoską wyrazów »swolena« (swo) i »maria« (ma), w trzecim nad pierwszą zgłoską wyrazu »eleyson« (e), w czwartym nad pierwszą zgłoską wyrazu »boszicze« (bo) i w siódmym nad pierwszą zgłoską wyrazu »eleyson« (e). Najcharakterystyczniejszą cechą tej neumy złożonej jest to, że forma jej nie zmieniła się od najdawniejszych czasów i pozostała w drukach XV i XVI stulecia) (cf. Cod. Ed. III, 13 król. Biblioteki w Bamberg [Bawarya] z XIII wieku, Cod. ms. 1305 lipskiej biblioteki uniwersyteckiej z XIII/XIV w., cod. 71 Rheinau z biblioteki kantonu w Zürich z XIV wieku, Cgm. 715 król. biblioteki w Monachium z XV wieku, fragment antyfonarza w posiadaniu prof. Wagnera z w. XV/XVI. *Graduale secundum cantum Gregorianum.* Bazylea 1510; Agenda Passawska z r. 1490, *Agenda Ratisponensia,* druk w r. 1491 w Norymberdze; *Missale Herbipolense* druk w r. 1497 w Würzburgu; *Graduale* druk w r. 1501 w Strassburgu i t. d. Por. dzieła P. Wagnera, R. Molitora, E. Bernoullego, H. Riemanna, *Paléographie musicale*). To samo można widzieć w naszych bibliotekach klasztornych krakowskich, zawierających *ordines breviarii* i *missalia* od XIV—XVI w. Akcent spoczywa zawsze na pierwszej nucie. Przełożyć można tę neumę na nowożytne pismo muzyczne w ten sposób:

6. *Pes* v. *Podatus* zachodzi tylko jeden raz w rękopisie, mianowicie w czwartym rządku nad pierwszą zgłoską wyrazu »Twego« (Twe). O tej postaci tej neumy nie można już powiedzieć słowami Waltera Odingtona (Coussemaker, *Scriptores* I), »pes dictus ad similitudinem«. Podatus składa się z »punctum«+»virga« i według Odingtona »continet notas d u a s, quarum una est in-

ferior & alia superior ascendendo« (Coussemaker, *Scriptores* I, 202). Akcent spoczywa na pierwszej nucie. W XIII i po części XIV wieku postać »podatusa« miała nieco inny wygląd, zamiast »punctum« widzimy linię poprzeczną, przyczepioną z lewej strony do »virgi« (cf. *Codex Bohn* z XIII w. w bibliotece miasta Trewiru, cod. 173 F katedralnej biblioteki w Trewirze). Już w drugiej połowie XIV wieku »punctum« jest bardzo wyraźne. Zaczyna się to dziać z chwilą nastania tendencyi do rozpadania się »neumae compositae« na »neumae simplices«. Zrazu »punctum« jest ściśle połączone z »virgą« (cf. Cod. 71 Rheinau z XIV w. z bibl. kantonu w Zürich, Clm. 10075 z król. nadwornej biblioteki w Monachium z wieku XIII/XIV, Clm. 11764 z XIV wieku w tejże bibliotece, Cod. Pm. 16 z wieku XV w wielkoksiążęcej bibliotece w Karlsruhe, Cod. 1655 z XIV/XV wieku w bibliotece uniwersytetu w Gracu, *Graduale* z r. 1470/80 w bibliotece uniwersyteckiej w Tybindze). Nawet pierwsze druki Jörga Reysera z Würzburga (np. *Missale Herbipolense* z roku 1481) jeszcze łączą »punctum« z »virgą«. Potem jednak następuje rozdzielenie tych elementów, jak to wykazują druki Jörga Reysera (1497), Joh. Sensenschmitta (1485, Ratysbona), Joh. Winterburgera (1507, Wiedeń), Jakóba Pforzheima (1510 Bazylea), Piotra Dracha (1515 Spira) i t. d. (por. Wagner op. cit. 191, 197, 202, 203, 204, 205; Bernoulli op. cit. tab. 2, 5, 9, 14; Molitor op. cit. tabela 2, 3, 4, 5, 6, 23, 25, 26; *Paléographie musicale* I, 121 i 128). W naszym rękopisie widać już bardzo dokładnie, z czego się »podatus« składa, i choć nie można o nim powiedzieć słowami profesora Wagnera, że »graficzna jednolitość nieszczególnie wpada nam w oczy« (*Neumenkunde* 192), to jednak odpowiada kształt tej neumy epoce, w której »neumae compositae« zaczynają się rozpadać, t. j. przy końcu XIV i na początku XV wieku. »Podatus« przełożony na nową pisownię muzyczną przedstawia się tak: (cf. Bernoulli 76).

7. *Mora vocis* , , znajduje się na końcu każdego zdania oddzielonego od następnego wielką literą, a więc siedm razy. Jak wynika z nazwy, oznacza ona wydłużenie ostatniego tonu, a więc w ostatniej konsekwencyi odpowiada mniej więcej naszej fermacie . Po niej następuje krótkie »silentium« jako przerwa

między wierszami. Znak ten spotykamy rzadko w rękopisach przed XIV/XV wiekiem. Pierwsze druki zawierają go dość często.

Ogólne uwagi. Jak już wyżej powiedzieliśmy, rękopis pisany jest bardzo niedbale, zwłaszcza pod koniec (od słów »A dacz raczi«). Pisarz zbywał swe zadanie nie tylko co do poprawności znaków neumowych, lecz i co do poprawnego przystosowania melodyi do tekstu. W średnich wiekach wpajano pisarzowi do głowy, że bez poprawności pisma było odczytanie i dokładne odśpiewanie zwłaszcza bogatych w melismaty utworów wykluczone (por. Wagner op. cit. 158). Statuty »scholae cantorum« w St. Gallen wyraźnie mówią: »Caveamus ne neumas coniunctas nimia morositate disiungamus vel disiunctas inepta velocitate coniungamus« (cf. M. Gerbert: *De cantu et musica sacra* I, 7). Jeszcze na początku XIV wieku przestrzegano tych prawideł, później ogólne zaniedbanie zapanowało; daje się ono we znaki dzisiejszym badaczom historyi muzyki. Od pierwszej połowy XIII wieku rozpoczyna się ogólne wprowadzanie znaków (kresek) oddzielających grupy neum według wyrazów. W XIV i XV jest to zwyczaj ogólny. W naszym rękopisie niema wprawdzie tych znaków, ale nie dowodzi to bynajmniej, że rękopis jest bardzo dawny, gdyż nawet w końcu XV wieku spotykamy się z rękopisami bez »znaczków oddzielenia«. Raczej jest to dowodem, że tekst poetyczny manuskryptu był napisany przed tekstem muzycznym, gdyż pisarz nut nie miałby zbyt wiele miejsca na »znaczki oddzielenia«.

(C. d. n.)

Adolf Chybiński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Polska pierwotna w naszej poezyi ostatniej doby.

3. Marcinowska Jadwiga: »Wyśniony dramat«. Kraków 1907. — 4. Wolska Maryla: »Swanta«, Baśń o prawdzie. Lwów 1907. — 5. Wyspiański Stanisław: »Skałka«. Kraków 1907.

»W wielkim stylu niespodziany dar dostaje się miłośnikom naszego krasopisarstwa« ...

»Z prawdziwą rozkoszą uderzam w większy dzwon« ...

»Prawie się wierzyć nie chce, że z końcem 1906 roku mogły wytrysnąć z nicości dwie tak absolutnie czyste ewokacye praszczurzych czasów« ...

»Trzeba zaiste już wiekuistej koncentracyi twórczej, aby ze snów intuicyjnych mogły wyłonić się tak wskróś piękne światy zamierzchłe« ...

Któżby odgadł, że dytyramby powyższe ogłosił światu ten, co tak »kondemnatę« lubi — p. Adolf Nowaczyński [1]. Myślałem sobie: albo miłośnik kondemnaty się zmienił, albo zwyciężyły go niezwyczajnej piękności dzieła. Na pierwsze jeszcze czas — a zatem drugie. Srogi ten ludożerca z aplombem ogłosiwszy swe uwielbienie jako *ultimatum*, wyzwierzył się natychmiast w stronę kordebaletu dzisiejszej krytyki polskiej z groźnym pomrukiem: *quos ego,* jeżeliby się ośmieliła innego być zdania. Nie bez pewnych wątpliwości też brałem

[1] Feljeton p. t. »Wyśnione dramaty«. *Nowa Reforma* 1907 r.

»Wyśniony dramat« do ręki. Okazały się złudnemi. Dramat jest dziełem poetycznie bardzo pięknem. Na brzegu Gopła z wiosną gromada bogów. Morana: — »śmierć się wije u płotu, szukający kłopotu«, Żywia, która »ma ptaka w piersiach«, Piorun — u niego »dłoń w moc upowita«, Swantewid, bóg słońca, Radegast, bóg nocy i księżyca — i inni, każdy odmienny w swej roli i postaci.

Coś się w nich dzieje. Żywia tęskni i rzuca tęsknotę na łono bogów, po niebie i powietrzu dziwne szepty, jak ptaki lecą. Musi odbyć się wiec. Na wiecu pragną bogowie ze siebie wywołać nienazwane siły, chcą życia takiego, któreby nie gasło na jesieni. Odbywają się zaklęcia. Wnet Piorun i Żywia płoną miłością, w Swantewidzie i Radegaście wzajemna wybucha nienawiść, Ładę porywa zazdrość ku Dżiedzili: budzą się posiewy życia — mówi Morana.

Wszystko się raduje, kipi i szaleje, ale...

Śmierć się wije po płotu
Siła będzie kłopotu (38).

Z nastaniem lata wzdyma się złości bratniej zawierucha.

Swantewid pragnie sławy, Radegast musi władać, świat przepołowić. Kiedy się rozmiłowywa w Wandzie, przybiera miano Rytygiera i stwarza Wilkołaka, który »krwawe ma ślepia i złość głuchą w sobie«. Bogowie nazywają Rytygiera Niemiec, odmieniec, nawet cicha Wanda szepce: obcy, przeklęty (60). Bogowie po stronie Swantewida: zwyciężym złego i zetrzemy pychę, przemożem ciemność. Na znak zjednoczenia palą stosy: obrzęd Kupały. Pary kojarzą się i Piorun i Żywia. Wanda smętna, pełna przeczuć, a wtem jawi się Rytygier. Na piersiach u niego wizerunek głowy czarnego tura, który znaczy:

Odtąd będę wam znany
dzikością byczą i turzą
na czas daleki,
a moim ciosom przywtórzą
hej, roki i wieki!

Tak zatem »Niemiec — Odmieniec« występuje w roli pierwiastka ciemności, zła, instynktów dzikich, kosmopolityzmu. W Wandzie natomiast jednoczy się wraz ze słowiańską łagodnością i biernością przywiązanie ku ziemi ojczystej. »Po tobie Wisła płynie, siwa Wisła przez leśne ostępy, obieże. Pięknaś ty, matko... Szumi wiatr w dolinie, gadają w polu kłośne zbóż pacierze«... (84) Rozmarzona, zasłuchana w plusk fal ukochanej rzeki, ginie w jej nurtach.

Z jesienią moc Morany wzrasta; mnożą się trwożne znaki.

Ryczy groźny Pochwist, Polel goni Lela, bo go chce zabić, Wołos o śmierci roi. We walce z Radegastem szermierze słońca pogromieni. Wszyscy łakną spoczynku. Zapada mrok. Kiedy posnęli, Jesse chce ziarno rzucać na nowy siew, a Żywia wydziera je i domaga się od Morany, by cofnęła życie

Wynijdź na rzeź!
Bierałaś częścią, masz brać całkowicie!
Nie przepuść zgoła, wyniszcz wszystko życie! (134).

Przyniosło ono rzekę bólu, gniew, zawiść, z pragnienia dźwięk pusty, krzywdę i srom.

A ci, którzy szli ze sławą — nie doszli!

A ci, którzy mieli słońce zapalić na ziemi, pospali się i znużenia nędza jest nad nimi.

Wówczas Morana przynosi Żywii dziecię i uszczęśliwienie spływa na Żywię. Dziecię to — Lech, Piast, Słowianin.

W pomyśle i kompozycyi wcale to skomplikowane dzieło. Wprawdzie działanie rozwija się na zaraniu słowiańskich dziejów, ale ideą naczelną jest wiekuista przemiana życia i śmierci we wszechświecie. Nadchodzi taki moment, że życie błaga śmierci o zagładę, skoro z pomroki wywija się zaczątek nowego życia, wówczas rozpacz znika — istnienie staje się źródłem radości i dobra. Szczęśliwie i zręcznie zespoliła poetka rozdźwięk nowożytnej duszy, jaki powstał skutkiem wszczepienia pessymizmu z wrodzoną ludzkiej naturze do życia ochotą. Bilans dobra i zła, illuzoryczny charakter szczęścia w życiu, nierozwiązalność tajemnicy bytu, samobójstwo — jako jedyna ucieczka przed złem, — wszystkie te zgrzyty nikną nakształt mgły wobec radośnego uniesienia, jakiem napawa słoneczny widok życia i wiara w nieśmiertelność jego.

Nadzwyczaj dowcipnie także zespolone losy słowiańskich bogów z pierwotną legendarną Polską. Radegast, bóg ciemności, zamieniony w Rytygiera — Niemca i hohaterski czyn Wandy — to wszystko przesuwa dzisiejszą nienawiść narodową pomiędzy Niemcem a Słowianinem w prastare wieki, a równocześnie przenosi z wieków zamierzchłych do chwili dzisiejszej interes dramatu wyśnionego: staje się on arką przymierza między dawnemi i młodszemi laty. W zgodzie z tem pozostaje dowcipne wyzyskanie ludowego podania o sobótce, paleniu stosów w noc letnią, utrzymywaniu straży, jako środek i pragnienie zwalczenia ciemności: — Niemca. Ale ponad ten rozmysł niezwykłej miary, rozmysł, umiejący wyzyskać każdy cień analogii i spoić rozsypane ogniwa w artystyczny zlew, góruje spożytkowanie ludowego

żywiołu w treści i formie, nawet zwłaszcza we formie. Słowo ma swoją moc zaklinania i suggestyi. Skoro traci moc skutkiem spowszednienia, trzeba umieć znaleźć skarby nowe, wodę cudowną życia z za siedmiu gór, z za siedmiu rzek, trzeba iść uczyć się mówić i pisać, pośród opłotki wiejskich chałup, na niwy, rozkołysane runią zbóż, trzeba podsłuchać, przejąć i wcielić rozhowory głuszy leśnej, ciche wyznania strumieni, ukrytych w traw gęstwinie, skowrończane gędźby wesołe i nutę wiejskich chłopaków.

Ziarno stamtąd wzięte i rzucone na płodną glebę artystycznej poezyi rozrasta się niby trawy stepów i niby one rozkwita tysiącem barw, napełniając książkę krasą, świeżością i jakąś krzepką wonią. Soczysty to, miejscami silny i niby rzeźba wypukły język.

Ale same postaci są nieco za abstrakcyjne, troszkę za monotonne w swej roli. Wieczne c h i, c h i Morany sprawia, że staruszka śmierć nie wydaje się groźną. Zaprawdę więcej siły wlał w śmierć autor średniowiecznego poematu naszego *De morte prologus,* gdy obwieszczał jej potęgę i malował postać... To samo staruszek dobry Jesse — i większość bogów słowiańskich. Pod ciosami dramatycznego taranu nie mdleje serce widza z żałości, nie trzęsie się z przerażenia. Poemat piękny, zajmujący, w rozmyśle skomplikowany, w obrazowaniu, ludowości i języku bogaty i wytworny — jako dramat musi ustąpić pierwszeństwa dziełu p. Wolskiej p. t. »Swanta«.

Jakaż to w naszej literaturze dziwna odbyła się przemiana w przeciągu lat dziesięciu od czasów smutnej pamięci Przybyszewskiego, od tej *Sturm und Drang-Periode,* kiedy bezkrytycznie, z ogromnym krzykiem i hałaśliwym niekiedy cynizmem miotano się w żargonie knajpy i kawiarni lub wyrażano afekty w ślizkich a niedwuznacznych umizgach paczulą nasyconego buduaru.

Lat dziesięć niespełna — a oto atmosfera gruntownie się oczyściła; cynizm i żargon tylko u nielicznych pokutuje niepoprawnych mohikanów nieuctwa, brudy pogrążyły się w otchłanne szczeliny przeszłości, a ideały narodowych uczuć, religijnych uniesień, ofiarnego bohaterstwa odzyskały znowu swe prawo w sercach naszych. Dusza ludzka, wyzwolona z pęt zmysłowej żądzy, nie miota się już w obłędzie po zaułkach upadku i nikczemności, nie ryczy jak oszalały kaliban skutkiem nienasyconych instynktów, lecz sokolim porywem wzbija się nad ziemski szał ku górnym strefom najszczytniejszego poświęcenia z taką siłą i taką prostotą, jakby anielskie wspierały ją moce.

Kiedy przez ciąg kilku godzin świątecznego wypoczynku jednym

tchem czytałem »Swantę«, czułem pod wpływem tej lektury, jak pierzchają wszelkie egoistyczne ambicye i aspiracye, serce staje się do ofiary zdolniejszem, miłość społeczna rośnie, niedola narodu jak ostry cierń dolega... Nie zapominajmy przytem, że to pierwotny świat mglistych pojęć pogańskich.

Nic prostszego nad dramatyczny konflikt.

Rycerze poszli w bój i hołd składając Swantewitowi, otrzymali na drogę i na powodzenie błogosławiące wołania kapłanki Swanty:

»Krzepkie, jak miecz tnące,
Aż krew z nich »biła władykom o skronie
I moc szła turza«...

»Jako ziem rubierze ojczyznę dzierżą rzek i miedz ramiony, tak wy ją oto opaszcie piersiami i duchem brońcie z krwią« — wołała Swanta. Kneziowego zaś junoszę Godyna święciła osobno na bój dotknięciem czoła palcami. Tu spaść miała pierwsza wiada o zwycięstwie, tymczasem od dni dziewięciu widu ni słychu o wojach. Swanta od starego wieszcza Bogowita przejęła miłość ziemi ojczystej. To też srogi miota nią niepokój. Woła do bogów, że gdy »jutru zasłonili lice«, to ona gotowa ofiarą krwi się okupić, traci nareszcie wiarę w ich moc, aż stara Motra, przerażona bluźnierstwem, każe jej dla ubłagania gniewnych bogów ślubować rychle, »co ma najdroższego«.

Wtem słychać głos rogu.

Młody kneź Godyn przybywa i oznajmia, że na Turzych Błoniach rozgrywa się ostatni bój. Kneź śle przezeń objatę Swantewidowi błagając pomocy. W chramie, gdy pozostają w czasie objaty sami, Godyn w gorących słowach i zaklęciach miłość jej swoją wyznaje.

Swanta broni się: — »wiatr przeczuć targa nią przegonny«. Posyła go w bój, ale on łaknie życia. Ponad śmierć i ponad życie atoli ważne jest zwycięstwo i dlatego Swanta, choć ją oczarowały słodkie miłosne wyznania Godyna, decyduje się tę najmilszą istotę bogom na ofiarę oddać i zabija go a sama rzuca się na trupa z przerażającym okrzykiem: »O ty mój miły! miły, miły, miły!«.

Spełniona ofiara pogańskiej kapłanki dała zwycięstwo. Kneź w powrocie znajduje ciało syna na stosie. Swanta również płonie na stosie — a w ostatnich chwilach życia śpiewa i wróży:

»Dzień nowy wstaje,
Na bój was święcę, bój ludów i lat,
Na znój wam garście tężę

I wara wam spocząć, dopóki wróg-gad
Swój miot zatruty lęże.
Przeklęte dziś przyzby i przeklęty mir,
Schron każdy bezpieczny i zasiek
I okrąg taneczny, brzęk gęśli i lir,
Woń chleba i sadów i pasiek.
I w śmierci niech dusza spokoju nie zazna.
Wam topór i kusza i włócznia żelazna. (103).

Tak ona ich święci na dolę, na śmierć, na życie.

Rozwój tej akcyi dramatu cechuje podwójny rys: prostoty i jasności, oraz spokoju i artystycznej miary. W niezmiernie szlachetnych, czystych liniach rozsnuwa się dramat duszy Swanty, młodej kapłanki, która zaprawdę umie »duszę w sobie nieść wysoko«. Cicha, korna wiara, zdawanie się na wolę bogów, uznanie ich potęgi, wyższość uczuć wzniosłych nad zmysłowemi nie zacieśniają widnokręgu jej, nie tłumią zdolności i stania się dobrowolną ofiarą dla zdobycia ideałów o szerokim narodowym horyzoncie. Ale dramat ten zaliczam do naszych arcydzieł nie tylko ze względu na nieposzlakowanie czystą i szlachetną, iście grecką prostotę kompozycyi, nie tylko ze względu na postać główną, która w naszej pięknej literaturze wzbogaci galeryę niewieścich ideałów. W »Swancie« jeszcze w wyższym stopniu, niż w Marcinowskiej »Dramacie wyśnionym« ważna jest forma.

Ażeby napisać dobry dramat, potrzeba w talencie swym kojarzyć uzdolnienia liryka, epika i dramaturga, potrzeba umieć wywoływać przed oczy widza wizye najtajniejszych głębin jego duszy, trzeba grać na jego uczuciach, roztaczać przed nim zachwycające obrazy rodzimej przyrody i rodzimego życia. Tęsknota do wyzwolenia, gorycz niewoli, miłość ojczystej ziemi, walka o to, aby nie uronić dostojeństwa duchowego: — wszystko w wyrazie swym wymaga od dramatycznego pisarza władzy nad szeroką skalą twórczych środków obok rozporządzalności bogatym zasobem słowniczym. W danym razie rzecz się utrudnia przez to, że czy Żeromski, czy Marcinowska, czy Płażek, czy Wolska mówią o pierwotnej Polsce. W żadnem z wymienionych dzieł skala środków nie jest tak różnostronną, jak w »Swancie«.

Kiedy maluje poetka obraz wilka, czy może obcego człowieka, wietrzącego wojnę, kiedy kreśli obraz rycerstwa, jak się zanurza z graniem trąb w głębiny leśne, kiedy Motra przypomina ojcowski dwór, gdzie promień słońca tak nasączył ściany, że choć się niebo zaćmiło słotą, to jednak powały świetlic przesyca słoneczne jaśnienie, kiedy poznajemy słowiańskie swaty, ofiarę w chramice, obrzęd spalenia

na stosie, to wyobraźnia poetki tak widzi malowane sceny i obrazy, słowo jej tyle wlewa w nie siły i wyrazu, że o poetce możnaby rzec, co ona o Swancie powiedziała: »Słowa ciska krzepkie, jak miecz tnące« ...

Niemniej gdy w dramacie uczuciowy żywioł wzbiera, poetka na swej palecie potrafi znaleźć gorące barwy, a w swym skarbcu słowniczym tak dźwięczne, silne i oryginalne tony, że mogą stanąć obok arcydzieł dzisiejszej liryki. Dla przykładu podaję przemowę Godyna do Swanty z miłosnem oświadczeniem.

Z brzóz już po korze sączy się oskoła,
Dziś jutro liść się na wierzbach roztuli,
W głos z gajów świętych dobra Wila woła
I brzęk już słychać napółsenny z uli,
Wicher się z wichrem jak pies ściga gończy
Po ugorzyskach! Jakaś tęskność dzika
Hula polami! Przedwcześnie się kończy
A człek kochaniu ramiona odmyka
I przed się błądzi jako snem omamion,
Usty ust szuka, na coś w nudzie czeka,
Głogiby śnieżne brał w uściski ramion
I krami huczał ku morzu jak rzeka!
Gdzie stad bobrowych tają się żeremia,
Gdzie drwi Ozwena i bóg Puszczec huka,
Gdzie stopą człeczą nieskalana ziemia.
Niech nas tam tropi potem kto i szuka.
Wstań! na odludzia pójdziem i ostrowy,
Wiośnie naprzeciw, z miłowaniem, sami.
O świcie rannym o zorzy Lelowej,
Wstań i pójdź ze mną! Bogi pójdą z nami!
Strumienice, Rojenice Będą tobie splatać wianki
Czystych wód Sycić miód
Będą tobie patrzeć w lice, Przypolnice, Krasnopanki
Czytać z rąk; Miedz i łąk... (str. 57).

Brzmi to jak melodya a treścią swoją przenosi nas w zaczarowany świat staruszki-babki, który nas w latach dziecinnych wstrząsał dreszczem zgrozy i lęku lub wywoływał uśmiech uszczęśliwienia. Owe Strumienice i Krasnopanki, dobra wiosenna Wila i drwiąca Ozwena i bóg Puszczec, wszystkie te szepty i głosy natury są przy całej swej legendarnej wymyślności takie nasze, takie jakieś dawno znane i miłe duszy słowianina, takie dobre i życzliwe i usłużne, żeśmy od razu gotowi je dla naszej mitologii zaanektować i pochlubić się niemi, jako cząstką rodzimej byliny. Rysów swojskości nie trzeba w dramacie

długo szukać: spotka ich czytelnik mnóstwo na każdej karcie. Trafnie wskazano już tęsknotę, która w całej baśni jakoby prawda świeci. Ale tęsknota jest z rodzaju tych, co są »skrzydłami ludzi wysokich«, nie zaś »kamieniem ludzi topiących się«, jakby Szaman Anhellemu powiedział. Tęsknota dźwiga krzyż po ziemi, klęka, modli się i płacze i wzdycha; ale modły zamieniają się w pajęcze nici, otulają postać tęsknoty i porywają ją ku blaskowi, kędy święte dusze żyją; wieniec na skroniach zmienia się w gwiazdy i świeci; kielich goryczy zmienia się w czarę słodkiego napoju wieczności i napełnia duszę człowieka; krzyż zmienia się w skrzydła anielskie i niesie tęsknotę ku dusz milionom. Cytuję nasze arcydzieła Słowackiego i Kasprowicza. Czyż do »Swanty« nie można zastosować słów Szamana: »boś czystą jak lilia, biorąca z wody liście i kolory niewinnne«.

Trafnie gdzie indziej wskazano, jako rodzimy, ten rys niewytrwałości i nieumiejętności wyzyskania zwycięstwa, o jakim w »Swancie« mówi Kneź z przekąsem:

»Gdy wódz ostatnie z piersi tchy wypiera,
Jak błąd po leśnym tłucze się zapuście.
Wygraną skrzepion, przez lasy, rozłogi
Gnać gotów dalej, oni w noc cichaczem
W krzach się rozpełzli, jako dym i w nogi!« (str. 90).

Jakkolwiekbyśmy na wysoki ton nastrajali pochwalnego sądu odzew, mówiąc o zjawiskach w naszej literaturze dramatycznej takich, jak »Pogrom«, »Wyśniony dramat« czy »Swanta«, to jednak ani na chwilę nie możemy zapomnieć, że temu, który rozpoczął nowy kierunek w dramacie, który rozwarł przed naszą wyobraźnią wierzeje zamglonej przeszłości — należy w pierwszym rzędzie hołd nasz. Gdyby nie »Legenda« Wyspiańskiego, gdyby nie »Bolesław Śmiały«, »Kazimierz Wielki«, gdyby nie »Skałka«, kto wie, czy ukazałyby się tak bardzo godne uznania dzieła, jak powyższe. Wyspiański był tym poetą twórczym, który dramatowi nowemu tchnął duszę i wskazał postać [1].

---

[1] Korzystam skwapliwie i wdzięcznie z uprzejmego zezwolenia Szanownej Redakcyi, aby na tem miejscu poświęcić słów kilka własnej sprawie, która, ściśle biorąc, luźno dotyka rzeczy omawianej powyżej, ale w głównych rysach może mieć znaczenie ogólniejszej miary.

Przed paru miesiącami wydałem popularną broszurkę o Stanisławie Wyspiańskim. W ostatnim zeszycie swym »Pamiętnik literacki«, czasopismo kwartalne, wydawane przez Towarzystwo literackie im. Ad. Mickiewicza,

Akcya w »Skałce« sięga drugiej połowy jedenastego wieku. Pamiętano jeszcze czasy wybuchu pogaństwa, zabijania biskupów i księży, niszczenia nielicznych kościołów i klasztorów. Wprawdzie badacze twierdzą, że wśród Wiślan nie było pogańskiego zamętu: klasztor Świętokrzyski pozostał nietknięty, biskupstwo krakowskie ocalało, ale to rzecz niezawodna, że w przeciągu lat siedmdziesięciu od wprowadzenia chrześcijaństwa nie wniknęło ono nigdzie w duszę

---

umieścił recenzyę tej broszurki pióra jakiegoś p. T. Dąbrowskiego. Samarecenzya — rzecz marna, ale znamieniem czasu jest, że pismo z nagłówkiem: »poświęcone krytyce literackiej« — udziela takim elukubracyom firmy. Pojęcie kry tyki literackiej bywa rozmaite. Przed laty dwudziestu wyszło w niemieckim przekładzie znakomite dzieło prof. Pawlickiego p. t. »Począt ki chrześcijaństwa«. Recenzent niemiecki w poważnym, specyalnej krytyce poświęconym tygodniku (*Litter. Centralblatt für Deutschland*,r ed. prof. Barn acke, dział telogii Nr. 44, 1885) zaczął w następujący sposób:

»Nie wiadomo, co należy więcej podziwiać: czy zręczne uszykowanie dowodów, czy też umyślne przemilczanie i fałszowanie; powierzchowność, okazującą się w pomijaniu problematów, czy wiarę autora w ignorancyę czytelników«. Oczekiwało się po tym grzecznym wstępie rozumnego motywowania sądu, ale nadaremnie. Za całą odpowiedź recenzent wyłowił kilkanaście drobnych szczegółów, zaznaczył je, jako błędne, opatrzył cytaty z książki prof. Pawlickiego imponującymi wykrzyknikami w nawiasach — i sprawa załatwiona.

Zródła takiej krytyki jasne.

Są zawsze stronnictwa, hołdujące odmiennym przekonaniom, tworzące szkoły i kliki. Tam to rozpiera się to błędne mniemanie, że w krytyce literacko-naukowej »stronniczość« odgrywać powinna ważną rolę: skutkiem tego wytwarza się dotkliwy brak przedmiotowego zdania. Jedno stronnictwo potępia celowość i tendencyę społeczną w sztuce, (»drugie je ceni; jdne w metodzie naukowej wielką wagę kładzie na zużytkowanie materyału, inne na konstrukcyę dzieła; jedno zaleca produkcyę literacką, inne w literaturze za znakomity miernik kulturalny uważa działalność receptywną i popularyzatorską.

Takie rozbicie krytyki na partye jest szkodliwe. Dzieło sądzi się nie z punktu widzenia czysto-naukowego, czy też czysto-artystycznego, lecz z punktu widzenia: konserwatywnego, liberalnego, socyalistycznego, modernistycznego, secesyjnego, młodego, starego i t. p. Jeżeli autor dzieła należy do tegoż obozu co krytyk, chwali się je bezwzględnie i z użyciem całego arsenału uśmiechów, smacznych komplementów i umizgliwych ukłonów: *eine Gesellschaft zur Rückversicherung auf gegenseitige Lobhüdelei.* Jeżeli dzieło należy do obozu przeciwnego, ustają względy parlamentaryzmu: dobywa się z lamusu brutalności ozdobnych kwiatków, aby nimi dosolić śmiałkowi, który się poważył...

zbiorową tak silnie i tak głęboko, aby resztki starego kultu, ukrywające się w puszczach na ruinach gontyn nie przemawiały do serc choćby urokiem swej tajemniczości. Trzeba i o tem pamiętać, że polskich księży prawie nie było, obce zaś duchowieństwo walczyło z trudnościami języka i nie łatwo zżyć się mogło z odwiecznymi obyczajami lub prawnym ustrojem.

Właśnie około r. 1072 biskupem krakowskim został Stanisław

Wielce Szanowny pan Dąbrowski, recenzent mojej broszurki o Wyspiańskim, należy do obozu młodej Polski, a jest przy tem — o ile wnoszę z tonu recenzyi — w tym zielonym wieku, w którym się wie nawet rzeczy, o jakich się nie śniło filozofom naszym. W tonie rozdrażnionym i gniewnym, drgającym indygnacyą, oburzeniem, wzgardą i politowaniem ciska mi po olimpijsku grom po gromie, jakoby to streściłem źle, tamto w niewłaściwem wstawiłem miejscu, owego nie zrozumiałem... Ach, panie Dąbrowski! »Zgrzeszyłem! Moja to wina, moja wielka wina!«. Ale gdy pan pożyjesz dłużej i uspokoisz się w duchu, to się pan przekonasz, że nawet dla pańskiego wszechmądrego pojęcia nie wszystko wyda się jasnem; gdy pan nieco szerszej nabędziesz znajomości historyi literatury, dowiesz się, że trafiały się przykłady, iż nawet sami twórcy nie byli w stanie wytłumaczyć wszystkiego, co im dyonizyjskie natchnienie w chwili twórczej przyniosło. Gdyby wszyscy każde dzieło genialnego rozmysłu tak w lot pojmowali w drobnych rysach, jak to w pańskiem szczęśliwem mniemaniu panu z natury dano, toby dzisiejsze studya o Dziadach, Samuelu Zborowskim, Królu-Duchu i t. p. wydawały się błędem chronologicznym.

Pan jednak albo przypuszczasz, że dzieła Wyspiańskiego są dla ogółu całkowicie zrozumiałe, a tylko nieszczęsny autor omawianego przez pana studyum sam ich nie rozumie, albo też sądzisz, że rozumienie tych dzieł ma pozostać tajemnicą, starannie ukrywaną w *sanctum sanctorum* pod siedmiu pieczęciami, strzeżonemi zazdrośnie przez młodzieńcze kollegium arcykapłanów krytyki — i godzien śmierci zuchwały, któryby się starał poznać tajemnicę. Bo oto gniewasz się, żem nie zrozumiał »myślowego podkładu« w »Meleagrze«, żem mylnie pojął »złoty róg« w »Weselu«, żem nie zrozumiał »sprawy ducha i stosunku do niego intelligencyi« w »Hamlecie«, żem błędnie ocenił »Warszawiankę«, ale nie raczyłeś pan wskazać, jak się mają te szczegóły inaczej pojmować. A szkoda, żeś pan tego nie uczynił. Oprócz dylematu przypuszczeń powyższych, nasuwa się natrętnie trzecie przypuszczenie: czy pana stać na tak wymowne affirmacye, jak wymownemi są zawsze niestety, zwłaszcza u młodych ludzi, łatwiejsze negacye.

Do jakiego kollegium należy p. Dąbrowski, dowodzi najlepiej jego uwielbienie dla powagi krytycznej pp. Feldmana, Stena, Lacka, Ostapa, Ortwina — z *Krytyki* i *Nowego Słowa*. Całą mądrość swoją czerpie z tych dwóch wielce szanownych organów prasy. Zarzuca mi też p. Dąbrowski, że nie korzystałem z artykułów o »Achilleidzie« p. Lacka, zarzuca mi, żem

ze Szczepanowa. Wsparty oburącz na mieczu stoi on zapatrzony w stronę zamku. Jego myśli — orły, wieki oczyma garnie. On »ogień wodą potępił, gontyny dworzec rozwalił«, on kreśli znak krzyża i mówi, że znak ten »życie poczyna«! Historya dostatecznie wyjaśnia, jak żywą była podówczas walka duchowieństwa z władzą świecką o t. zw. *immunit.* Więc też i biskup przeciwstawia się Bolesławowi w groźnych słowach:

---

nie wiedział, iż »Wesele« było odpowiedzią na »Noce letnie« p. Wł. Tetmajera, choć na to zwrócił już uwagę... *Głos Narodu* w 1901 r. nr. 171. Tam do licha! Czy nie pan Dąbrowski ogłosił wówczas światu to odkrycie?

Jakkolwiek przyznaję, że w całokształcie produkcyi artystycznej Wyspiańskiego i w jej drobnych szczegółach nie wszystko rozumiem, to jednak zapewniam p. Dąbrowskiego, że w uwielbieniu dla największego z dzisiejszych poetów naszych nie dam się nikomu wyprzedzić, powtóre zapewniam p. Dąbrowskiego, że i on także wielu szczegółów w tej produkcyi nie rozumie, że genialność dzieł polega właśnie na tem, iż głąb ich długo się wciąż odsłania i rozświetla, zanim wejdzie w krew i mózg pokoleń, gdyż wieszcze wizye sięgają w przyszłość i dobywają z milionów serc nieuświadomione tym sercom pragnienia, aż się one dopiero po lat dziesiątkach staną ciałem. Ubolewasz pan, p. Dąbrowski, nad młodzieżą, że będzie się uczyła o Wyspiańskim z mojej książeczki. Niewczesny żal. Gdybyś pan był przeglądnął broszurkę do końca, byłbyś pan w notatce bibliograficznej znalazł spis autorów i artykułów miłych panu: jest tam i Feldman i Lack i Wyrzykowski i Potocki i Niemojewski. Nie jestem zazdrosny i nie kryję jak pan światła pod korzec. Jeśli młodzieniec uczuje się niezadowolonym z mojej charakterystyki, uczyni, jak pan to uczyniłeś: pójdzie pod wskazanym adresem i napełni się mądrością z innej krynicy, zupełnie tak, jak pan to uczyniłeś. Zdarza się, że te moje charakterystyki miewają drugie wydanie. Obiecuję panu, że w tym wypadku uczynię mu zaszczyt nad zasługę: pomieszczę w notatce i pańską elukubracyę, a może i w niej ciekawy doszuka się kropli sensu.

Przyznaję, że Przybyszewskiemu ośmieliłem się wytknąć i »obelgi« i »obelżywy patos«. Nazywasz pan to zgromieniem Przybyszewskiego: niech i tak będzie. Nie ośmielaj się pan jednak zuchwale insynuować mi możliwości stosowania tego samego tonu względem Wyspiańskiego. Zarówno w swej »Młodej Polsce«, jak w krytykowanej przez pana broszurze, jak wogóle zawsze, ilekroć o Wyspiańskim pisałem, miałem dla dzieł tego wielkiego poety gorące wyrazy uwielbienia - tem cenniejszego, jak mniemam, że nie było nigdy ślepem. Taka insynuacya pańska jest mąceniem, na co posiadasz pan swój właściwy kaduceusz. Gdybyś pan miał odrobinę dobrej woli, uznałbyś ten szczegół. Żeś go nie uznał, ośmielę się nazwać specyalny rodzaj pańskiej krytyki za Grzegotką »gatunkiem kleszczów, czepiających się wszystkiego, co ponad niemi«.

Jest on — n a r o d o m król
W koronie, którąm ja mu wdział,
Niech wie, że l u d o m król,
Król drugi będę przed nim stał.

I to jest drugi motyw dramatu — obok antagonizmu pierwiastków pogańskich i chrześcijańskich. Historya mówi, że kiedy król bawił poza krajem i zwodził dokuczliwe i ciężkie walki z Niemcami, w kraju wybuchł bunt ludowy, rycerstwo zaczęło tłumnie zbiegać, a król wrócił i srodze karał. Przeciw tej srogości wystąpił biskup. Ten motyw atoli, ledwie zaznaczony w »Skałce«, stanie się jednym z głównych w »Bolesławie Śmiałym«. W obecnem stadyum dramatu »Skałki« ważniejszy jest biskup, jako potężny, bohaterski symbol religii, mający do gruntu przeistoczyć duszę narodu. Z dawnego świata pozostał jeszcze Rapsod, pozostała Krasawica. Rapsod jest stary, wierzy w dawne bogi, czci w gruzach święte miejsce, siada na pleśni; on wyobraża poezyę, która pokarm czerpie z mogił, »goni marę wspomnień«, przylega do ruin i swą żałosną piosenkę nuci »na zgliszcza i groby«. Rapsod rozpamiętywa czasy dawne i widzi je w słońcu poezyi. Ale Biskupa słońcem jest zupełnie co innego. Krzyż zakreślony przez czoło, usta i piersi człowiecze, jest Boskiem znamieniem, a w niem ład, pokój, Boża opieka. To też dzięki wielkiej mocy Biskupa dawna lira oniemiała, w kamień wrosła i Rapsod nie może jej poruszyć. »Umilkła lutnia w otrętwiałem ręku« — jak mówi w pieśni swej Wajdelota. Owóż gdy Rapsod przed Biskupem uklęka, otrzymuje z rąk jego lirę, aby nadal służyła Bogu, gdy Bóg z Rapsoda uczyni rycerza. »Już inny śpiew,— niż dawniej był, już inne dumy biorę« — zeznaje Rapsod. Chrześcijański Bóg przetworzył w lirze czar. Za Rapsodem Krasawica chyli skroń:

»Przeciwko tobie chciałam iść
z mocą piorunów klętych,
lecz oto padłam, drżący liść,
boś ty jest z naszych świętych«.

Biskup i ją przyjmuje i z niej dotknięciem maże brud. A gdy tak Biskup lud wyzwolił i pieśń przeistoczył i miłość oczyściwszy uświęcił, wówczas w kruchcie wśród zgromadzonego tłumu opowiada prześlicznie o tej duchowej przemianie, jaką niesie wiara Chrystusowa w przeciwstawieniu do dawnej etyki poganizmu. Sprawiedliwość i niezłomna wiara oczyszcza z grzechów, dola człowieka zakreśla się wieczystem Bożem kołem, z woli Boga grzech odsłania z śmiertelnej chusty

lico, przed każdym powstają jego błędy, ścigają go, aż sprawiedliwość mu zostanie wymierzona; czyste duchy, wskazane przez Boga, stają się jakoby wieszczami narodu. Sumienie roztacza nad każdym swą karzącą prawicę. Wolni i wyzwoleni stają się odtąd odpowiedzialnymi za swe występki (str. 54—55). Ale

Śmierć trwa. Chór śpiewa:
»Czysty jeno kwiat wziąć może,
Czysty przyjmie sądy Boże,
Jemu ino moc tę dasz,
by śmierci pojrzał w twarz« —

co chyba znaczy, że tylko czysty może zmierzyć się ze śmiercią i walczyć z nią, aż ją zwycięży.

Zaraz też w akcie III zjawia się jako stróż prawdy Biskupa Śmierć. Z dwóch prawd jedna jest prawda życia, druga prawda śmierci. Prawda życia niższa i z nią Biskup mało wspólnego ma.

»Prawda twa.
We śmierci jeno wiecznie trwa.
Gdy żywi życiem poczną żyć,
Z żywymi ty nie możesz być.

Śmierć nad moc życia ma swoją moc; poleca Biskupowi, aby przyjął miecza cios i żeby przez to stwierdził i utrwalił wielkość swojej prawdy. Niezmiernej wagi do zrozumienia dramatu »Skałki« rozmowę Biskupa ze Śmiercią wyjaśnia najpierw sama Śmierć. Biskup wzniesiony ponad czas. Wszystko materyalne pada w gruzy, a nad trupem ciała duch w przestworze uleci mocen wolny cień. Biskup ma stać się ofiarą za konające dusze, by je z mąk wyzwoliła. Będzie przez wieki słowem modlitwy czar dzierżył nad pokoleniami:

Przemogłeś śmierć, zwycięski duch;
człowiek twe kruszy ciało,
by wieczny temu podał słuch,
co z ducha w tobie wstało.
Módl się za tego, kogo Bóg
wybrał na twego sędzię;
krwią spłacisz winy święty dług
a duch zwolony będzie.

Przyczyną zaś śmierci jego, że wstrzymał sąd Bożej ręki i sam wypełnił słowo potępienia.

Wówczas Biskup mówi cztery modlitwy, a Śmierć klęczy jako dyakon. W księdze rodzaju widzi mocarzy, jako stróży ołtarza. A w dali krąg rodu Piastów ponad Wisłą i wspaniały śpiew Rusałek. Co chwila

Król się rodzi z wód topieli,
w złotym blasku strojem lśni,
berło pieści, mieczem dzieli,
swoją dolę szczęścia śni,

lecz wnet

Bieg swój szczęście toczy kołem
z wód przeźroczy w piach i muł.
Ty koronę masz nad czołem,
u stóp masz przepastny dół.

Tłem tedy »Skałki« są czasy, kiedy u nas w pogańskie jeszcze dusze zwolna wsiąkał chrześcijanizm, przeradzając je na ład Chrystusowy. Bohaterem jest Biskup, potężne wcielenie chrześcijańskiego kultu. Dramatem czyn, za pomocą którego ma utrwalić i uświęcić na wieki kult ten przyjęcie cielesnej śmierci ale pokonanie śmierci wiecznej. Śmiercią ma zwyciężyć śmierć — śladem Chrystusa.

»Skałka«, jako dramat, czytać się powinna obok »Bolesława Śmiałego«. Związek z tamtym dramatem łatwy do odnalezienia. Suchy i prosty wątek powyższy umyślnie pozbawiony wszelkiej przyozdoby, iżby można z tej zwyczajnej łupiny z łatwością ziarno pomysłu wydobyć. Samo atoli dzieło Wyspiańskiego zawiera skarby czarującej poezyi.

Świat pogański już tu nie kłębi się w uczuciach, mącąc je do dna samego, jak w »Udałym Walgierzu«, ani też nie ujawnia niepokojów i nie stacza walk, jak w »Dramacie wyśnionym«, ani nie włada nad duszami z niepodzielną mocą, jak w »Swancie«; pełen krasy, pełen swawoli, ochoczy do psot i figlów przedziwnie w swej beztrosce wygląda wobec surowej, namaszczenia pełnej, uroczystej wielkości i majestatu Biskupa. »Sztuka malarza z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza«. Poważna mowa czy Biskupa czy Rapsoda czy Krasawicy czy Śmierci przeplata się dźwięcznemi strofami pomysłowych figlów Śwista i Pośwista, śpiewami Rusałek, prześliczną ludową piosenką Dziewczyny i głęboko brzmiącym, smętnym, rozmodlenia pełnym Chórem. Dramat »Skałka« w harmonijnym zestroju tonów, w prostocie i wzniosłości zarazem głównego pomysłu zaliczy się do najpiękniejszych, klasycznych dzieł literatury naszej.

A w czem Wyspiański wzorem prawie niedoścignionym pozostanie dla licznych poetów, z dali wieków przeszłych biorących żer dla swej twórczości, — to we wierszu i języku.

Wiersz dawniej uderzał niezwykłą swą dowolną konstrukcyą, w języku dawniej znaleźć było można twory niekiedy ryzykowne;

teraz budowa wiersza przedziwnie wyszlachetniała, nie tracąc swej łatwości i naturalnego toku; język w miarę archaizowany zbył się frazesu, stał się zwarty i mocny, dla myśli urobił się na doskonałą formę — zawsze jednako jak kryształ czysty i piękny.

Wszyscy ci poeci, których dzieła przeglądałem, może niekoniecznie w Wyspiańskim musieli szukać podniety do zajęcia się pierwotną Polską; wszakże mamy w literaturze dość dzieł niepospolitych z tej dziedziny, choćby wymienić »Balladynę« czy »Lillę«. Wszyscy jednak w środkach artystycznych, w tem nasyceniu liryzmem dramatu, w personifikowaniu świata pogańskiego, w dobieraniu barw i kształtów, w dramatyzowaniu przeszłości choć odrobinę zależni od mistrza Wyspiańskiego. Że z tej krynicy biją strugi przeczystej, żywej, silnej i zdrowie niosącej poezyi, w tem nasza chluba i nasze szczęście.

Antoni Mazanowski.

O mszach manualnych. Komentarz do Dekretu św. Kongregacyi Soboru »De observandis« z dnia 11 maja 1904 r. Napisał *ks. dr. Wład. Kochowski.* Przemyśl. Andrzej Juszyński. 8-ka, str. 35.

Dzięki krewkości i ułomności ludzkiej nawet rzeczy najświętsze bywają narażone na rozmaite nadużycia, a to tem bardziej wtedy, jeśli są połączone z jakąś korzyścią materyalną. Nic więc dziwnego, że i w historyi instytucyi stypendyów mszalnych spotykamy nieraz to smutne zjawisko. Kościół zaś, zwykle czujny i troskliwy o nieskazitelność swych instytucyi, nie okazywał się nigdy pobłażliwym wobec najmniejszych nawet nadużyć, jakie z biegiem czasu wkradły się do instytucyi stypendyów mszalnych; przeciwnie, kiedykolwiek się objawiały, używał całej swej powagi, by je usunąć i zapobiedz nawet wszelkim okazyom do nich. Tem się tłumaczy po części owa niezmierna ilość ustaw i rozporządzeń, jakie Kościół wydał aż po nasze czasy w tym przedmiocie. Duch, którym były owiane, i intencya Kościoła były jasne każdemu; lecz czy to z powodu niedość ścisłej nieraz stylizacyi tych ustaw, czy też z powodu słabości natury ludzkiej, która niechętnie nosi więzy prawa krępującego jej swobodę i szuka wszelkich sposobów, aby prawo ominąć i dotychczasowe ustawodawstwo kościelne o stypendyach mszalnych niejedną jeszcze pozostawiało furtkę otwartą, co sprawiło, że nie narażając się na jawne przestępstwa przeciw literze ustawy, można było ją obejść w niejednym punkcie i tem samem pozbawić żywotnej wartości. Aby raz już kres położyć nadużyciom, jakich dopuszczano się przez dowolne interpretacye odnośnych ustaw

w sprawie mszy manualnych nawet po ostatnie czasy, św. Kongr. Sob. wydała pod dniem 11 maja 1904 r. rozporządzenie, którem nie stawia nowych norm raczej zaostrza dawniejsze przepisy i uniemożliwia różne wykręty w najnowszych czasach praktykowane.

Ks. d-rowi Kochowskiemu należy się szczere uznanie za to, że w wyż przytoczonej broszurce podał klerowi polskiemu nie tylko krótki a jasny pogląd na ustawodawstwo kościelne w sprawie mszy manualnych i fundowanych, ale nadto znakomite tłumaczenie i wcale udatny komentarz do wspomnianego dekretu *De observandis*.

Po objaśnieniu celu dekretu w rozdz. I i nakreśleniu pojęcia mszy manualnych, mszy *ad instar* manualnych i fundowanych, przystępuje autor w rozdz. II do omówienia kwestyi, w przeciągu jakiego czasu mają być odprawione msze manualne. Powołując się na dekret św. Kongr. Sob. z 17 lipca 1655 r., słusznie zaznacza, że różnica pomiędzy mszami za świeżo umarłych a mszami w innej intencyi zamówionemi, wprowadzona do nauki przez moralistów, sprzeciwiała się »wyraźnemu i stanowczemu orzeczeniu Stolicy Apost.« (str. 8). Dodaćby można, że po decyzyi co dopiero przytoczonej nastąpiło jeszcze kilka innych, zebranych przez Pallotini'ego (*Collect. S. C. C.* XIII, p. 556, n. 3), tak iż rzeczywiście trudno pojąć, jak opinia łagodniejsza uzyskać sobie mogła adeptów, jak np. św. Alfonsa, Marca, Génicota, Lehmkuhla, Bucceroniego, Many, D'Annibale i wielu innych. Opinia ta, oparta tylko na powadze zewnętrznej, a pozbawiona uzasadnienia w samej ustawie, upadła wreszcie wobec dekretu *De observandis*, odnawiającego dawniejsze p r z e p i s y w tym kierunku wbrew łagodniejszemu z d a n i u moralistów. Większej doniosłości są art. 4, 5, 6, 7 dekretu, normujące kwestyę: komu i jak powierzać msze manualne do odprawienia? Autor objaśnia je w rozdz. III. »Aby stypendyów mszalnych nie roztrwaniano i nie zapomniano o przyjętych na się zobowiązaniach odprawiania mszy«, dekret podkreśla odpowiedzialność przyjmującego msze za należyte ich odprawienie. Wychodząc z tej zasady dekretu, słusznie utrzymuje autor (str. 18) przeciw Okonowskiemu, że za wierne odprawienie mszy odpowiada i ten także, który je przyjął z zastrzeżeniem, że je odda innemu kapłanowi, bo i w tym także wypadku sprawdzają się słowa ust. 2, art. 6: *missas... u t c u n q u e suae fidei commissas*. Niemniej słusznie zaznacza (str. 19), że Ordynaryat, powierzając kapłanom p o z a - d y e c e z y a l n y m odprawienie mszy zaległych, »dopóty nie złoży z siebie odpowiedzialności, aż otrzyma poświadczenie, że msze zostały odprawione«. Na zdanie jednak autora,

że »takiego poświadczenia niema potrzeby żądać... od swoich księży«, zgodzić się nie mogę. Ustęp trzeci art. 7 odnosi się zarówno do pierwszej, jak i do drugiej części ustępu drugiego, jak to wynika już ze samej stylizacyi całego art. 7. Zresztą i art. 6, który w ustępie trzecim art. 7 jest powtórzony, obejmuje nie tylko kapłanów pozadyecezyalnych lecz także dyecezyalnych i dobrze znanych. Więc *ubi lex non distinguit, nec nos distinguere debemus.* Pod tytułem *Mercimonium stipendiorum* objaśnia autor w rozdziale IV artykuły 8—14 dekretu. Artykułami 8, 9 i 10 ustawa najbardziej dotknęła redakcye gazet i czasopism katolickich; a w ust. 2 art. 10 wykluczyła najnowszą praktykę niektórych redaktorów i księgarzy, mianowicie posyłania książek wraz ze mszami i stypendyami, z których nabywca odwrotną pocztą odsyłał należytość za książki (str. 23). Art. 15 dekretu, tyczący się beneficyów mszami obciążonych i mszy fundowanych przy kościołach, stanowi przedmiot rozdziału V, w którym autor przytacza dosłownie i rozbiera decyzye św. Kongr. z dnia 25 lipca 1874 i 21 stycznia 1898, na które sam art. się powołuje.

Broszurka ks. Kochowskiego, niepokaźna co do objętości, ale bogata w treść, powinna znaleźć się w ręku każdego kapłana; jest ona niewątpliwie jednym z najlepszych komentarzy dekretu *De observandis.*

Ks. Jan Roth.

Z piśmiennictw obcych.

La dévotion au Sacré Coeur de Jésus. Doctrine — Histoire, par *J. V. Bainvel*, Paris, 1906. Beauchesne et Cie. (str. VIII, 373.)

Kult Najsł. Serca Jezusowego doszedł w ostatniem stuleciu do takiego rozkwitu i tak dalece przenika obecnie społeczność wiernych, że nieznajomość istotnych cech i ducha tego nabożeństwa musi za sobą pociągnąć niezrozumienie wewnętrznego życia Kościoła w dobie obecnej. Nabożeństwo do Serca Jezusowego ma właściwy sobie charakter, który nie pozwala stawiać go na równi z innymi objawami chrześcijańskiej pobożności. Będąc mianowicie kultem miłości, związanym najściślej z wnętrzem Boga-Człowieka, staje się ono najwznioślejszą formułą religii Chrystusowej, religii miłości, najżywszym wyrazem istoty chrystyanizmu. Występuje to nabożeństwo w dziejach Kościoła jako nowe udzielenie się nam jedynego pośrednika i zbawcy, pragnącego

przez objawienie zapoznanej miłości swego Serca zapalić świat do odwzajemnienia się i zadośćczynienia, a temsamem do utrwalenia Królestwa Bożego na ziemi.

Literatura, tycząca się nabożeństwa do Serca Jezusowego, jest nader obszerna, może obszerniejsza niżby życzyć sobie należało w interesie samego nabożeństwa. Liczne dziełka i nauki ascetyczne nawiązują nieraz bardzo pięknie do Serca Zbawiciela, ale częstokroć właśnie przez oryginalne swe refleksye zacierają istotę tego kultu i powodują pewne zamieszanie pojęć wśród wiernych. Należy bowiem dokładnie odróżnić kult publiczny Serca Jezusowego, jaki się w Kościele ustalił, od indywidualnych jego przejawów, wynikłych z poglądów i uczuć poszczególnych pisarzy ascetycznych, co nie jest zawsze łatwem dla ogółu czytających. Już w nabożeństwie Błog. Małgorzaty Alacoque należy przeprowadzić to rozróżnienie cech prywatnych od pierwiastków stanowiących podstawę kultu publicznego. Książka ściśle naukowa, wyjaśniająca wszechstronnie podstawy historyczne i dogmatyczne kultu Serca Jezusowego, ma bez wątpienia jeszcze miejsce w odnośnej literaturze, owszem, jest poniekąd konieczną dla uniknięcia duchowych strat, mogących wypłynąć z fałszywie zrozumianego i stąd nie należycie praktykowanego nabożeństwa.

Za taką książkę uważamy dzieło ks. Bainvel'a, znanego już chlubnie z dawniejszych gruntownych prac w dziedzinie teologii. Wyrosło ono z obszernego studyum, napisanego dla poważnej encyklopedyi teologicznej: »*Dictionnaire de Théologie catholique*«, *commencé sous la direction de Dr. A-Vacant et continué sous celle de prof. Mangenot.* Przejrzystość układu, głębokie zrozumienie wewnętrznego życia Kościoła, rozumny i zdrowy krytycyzm stanowią główne zalety rozprawy. Nabożeństwo do Serca Jezusowego nie jest owocem teologicznego rozumowania, lecz faktem konkretnym, historycznym, z czego wynika, że istotny jego charakter tylko na podstawie historycznych dokumentów określonym być może. Po uzasadnieniu więc autentyczności objawień Błog. Małgorzaty, autor roztropnie oddziela pierwiastki kultu publicznego od osobistych stosunków Błogosławionej do Serca Jezusowego i tak wyrazisty rozwija obraz zarówno wielkiej idei, tkwiącej w tem nowem zbliżeniu się Zbawiciela do ludzkości, jakoteż odpowiadających jej praktyk pobożnych i przywiązanych do nich obietnic. Dopiero na tem tle historycznem może się wznieść teologia kultu Serca Jezusowego. Bo aczkolwiek Kościół, pochwalając i szerząc to nabożeństwo, nie opiera się właściwie na prywatnych

objawieniach zakonnicy z Paray-le-Monial, lecz przyjmuje kult ten dla jego wewnętrznej wartości i teologicznej poprawności, to jednak nabożeństwo do Serca Jezusowego, pielęgnowane przez Kościół, ma początek swego historycznego rozwoju w owych widzeniach, i tych pominąć nie może. Niepodobna choć w ogólnym zarysie dać wyobrażenie o teologicznych wywodach autora, tyczących się właściwego przedmiotu, podstaw i istotnego aktu tego nabożeństwa. Zaznaczyć tylko wypada, że autor zakreśla szerokie ramy dla kultu Serca Jezusowego, opierając się wyłącznie na realnym symbolizmie serca w pojęciu ogólno-ludzkiem, które przeciwstawia naukowemu zapatrywaniu się fizyologów. To ostatnie jest tu obojętnem, bo historyczny rozwój nabożeństwa wskazuje, że pobożność wiernych i nauka fachowa szły zawsze oddzielnemi drogami w przeświadczeniu o odrębnych granicach, w których obracać się winne. Wprawdzie nie wszyscy teologowie zgodzą się na razie na zapatrywanie autora, ale można już teraz przewidzieć, że pogląd jego stanie się powoli powszechnem zdaniem teologów.

Pouczającą bardzo jest część historyczna, tem cenniejsza, że oprócz dziełka ks. Hattlera *Geschichte des Festes und der Andacht zum Herzen Jesu* (Wien 1875) nie posiadamy żadnej historyi nabożeństwa do Serca Jezusowego. Ks. Bainvel rozróżnia trzy epoki w rozwoju tego nabożeństwa, czasy przed Błog. Małgorzatą, będące przygotowaniem wielkiej idei tego kultu w łonie mistyki i ascezy, następnie początki publicznego kultu za życia Bł. Małgorzaty, a nareszcie rozkwit, rozpoczynający się od memoryału biskupów polskich, a wzmagający się wciąż aż do dni naszych. Zarówno wewnętrzny rozwój idei tego nabożeństwa, jak i zewnętrzne jego powodzenia zostały należycie uwzględnione. Można historyczny ten zarys uważać za wyborny rozdział historyi wewnętrznego życia chrystyanizmu. Tryumf nabożeństwa do Serca Jezusowego nie doszedł jeszcze do zenitu. Coraz wyraźniej zarysowuje się w Kościele idea Królestwa Serca Jezusowego. Serce Jezusa ma odbierać cześć królewską, a osobna uroczystość ma ustalić panowanie Boskiego Serca nad całym światem. Łatwo zrozumie tę ideę, kto zgłębił ducha tego rdzennie katolickiego kultu Serca Jezusowego. Książka ks. Bainvela ułatwi to każdemu. Wogóle praca ta paryskiego profesora może się wielce przyczynić do pogłębienia literatury o Sercu Jezusowem, i do oczyszczenia naszych poglądów z naleciałości indywidualnych.

Ks. E. Matzel.

Luther und Luthertum in der ersten Entwicklung. Quellenmässig dargestellt vom *P. H. Denifle O. P.* Zweite durchgearbeitete Auflage. Ergänzt und herausgegeben vom *P. Albert Maria Weiss O. P.* Erster Band. Schlussabteilung. XII, 484 und XXIV. Mainz. Kirchheim. 1906.

Dzieło Denifle'a o Lutrze, mówi wybitny protestancki znawca Lutra, prof. Köhler, stanowi punkt zwrotny w poglądach na Lutra, jest wielką zasługą zmarłego uczonego, ale też ostatniem słowem katolików w tym przedmiocie. Streśćmy pokrótce wyniki badań, jakie nam Denifle podaje w drugiej części I-go tomu swego dzieła.

O zwrocie w nauce i życiu Lutra istnieją między protestanckimi teologami bardzo niejasne pojęcia. Jest najzupełniej bezpodstawną bajką, jakoby Luter już w r. 1510, kiedy to w Rzymie czołgał się — jak się protestanci wyrażają — po świętych schodach, już był się zawahał nad miejscem z listu do Rzymian 1, 17: »Sprawiedliwość Boża przez nie (Ewangelię) bywa objawiona«. Nie, jeszcze z początkiem 1515 r. trzyma się zdania, że Bóg nie odmawia swej łaski temu, kto czyni wszystko, co może; chociaż już wtedy przemyśliwał nad niektóremi twierdzeniami, które go na nową naukę naprowadziły, a którą już w połowie tego samego roku w całej pełni wyznawał. Opierając się pozornie ale błędnie na Arystotelesie, uczy Luter, że w usprawiedliwieniu człowieka zostaje to, co winno być wydalonem t. j. grzech, a musi być wydalonem to, co zostać może t. j. przyrodzona moralność. Atoli nie moralność przyrodzona stoi w przeciwieństwie do Chrystusa, lecz to przekonanie, jakoby przez nią, bez Chrystusa, można było być usprawiedliwionym. Natomiast Luter nie zna żadnego innego ćwiczenia się w cnotach, żadnej innej, »właściwej sprawiedliwości«, prócz tej, w której największą i główną rolę odgrywa duma i ufność w swe własne siły, a nie pokora i prośba Boga o łaskę. Zgodnie z tak pojętem udoskonalaniem się rosła u Lutra niczem nieokiełznana pożądliwość. »Gdyby nie groziła kara lub nie przyświecała nagroda«, myśli Luter, »toby nawet człowiek dobry zaniechał uczynków moralnych, a postępowałby tak samo źle, jak człowiek zły«. Tak więc przenosi swe własne usposobienie na wszystkich. U Lutra nie istnieje wcale jakiś wpływ i współdziałanie łaski Bożej, owszem wprost przeczy on istnieniu przemieniającej duszę łaski. Kto tu zawinił? Bóg chciał swoje zrobić, lecz Luter zaniedbał to, co z jego strony uczynić należało. Powiedzieć sobie, że ja nie mogę za grzech żałować, bo nie mogę zrobić postanowienia, bym go już więcej nie popełniał — to znaczy: igrać

z Bogiem, uznać swe namiętności za niezwyciężone. Takiemi namiętnościami były u Lutra lubieżność, gniewliwość, pycha (str. 154). Kiedy Luter, po utracie swej sprawiedliwości, upadł, już się więcej nie podniósł; trwał w tym stanie, pokonany przez swe namiętności, zwłaszcza przez pychę (str. 463). Pycha przyprawiła go o upadek i zupełną nieufność w samego siebie, nieufność w łaskę Boga, która nam dodaje sił do spełnienia zakonu Bożego, któremu sprzeciwia się namiętność nasza. Sprawiedliwość, w jakiej ćwiczył się Luter, (nazywa ją »dziełem zakonu«) nie pozwala człowiekowi wydawać się samemu sobie nieusprawiedliwionym i potrzebującym usprawiedliwienia. Tak więc na osobistem, własną winą zdobytem doświadczeniu, opiera on prawo ogólne i powszechne, wskutek którego zachowanie zakonu moralności jest niemożliwe. Teraz już może zwątpić tylko o sobie i o swych uczynkach. Łaski, którąby go pobudziła, którąby go wewnętrznie przemieniła, już więcej nie szuka, może jej nigdy nawet nie szukał, a co najmniej, może jej nigdy dobrze nie rozumiał. Główne namiętności są, według niego, niepokonalne, Bóg zaś swojemi przykazaniami nałożył na nas obowiązek, do spełnienia niemożliwy. Stąd też, kiedy mu się już życie pobożne sprzykrzyło, nie myśląc wcale o skruszonym powrocie do Boga, któryby dlań przy łasce był możliwy, woła: Patrz, Chrystus za nas zadośćuczynił, On jest sprawiedliwy jedynie...!

Grzesznik więc, narzekając ustawicznie na siebie i na własne uczynki, spuszcza się w tym grzesznym stanie całkowicie na Chrystusa i pociesza się tą myślą, że Chrystus wszystko za niego uczynił; i że każdy jego własny uczynek byłby grzechem. Prawo moralności, które go przyprawiło o piekło, i którego on zachować nie jest w stanie, Chrystus sam za niego zachowywał (str. 466). Jak doszedł Luter do takiego poglądu? Jedynie przez swoją zupełną nieznajomość teologii.

Ażeby pogląd ten uzasadnić, Luter wraz z Melanchtonem sfałszował niektóre miejsca z dzieł św. Augustyna (str. 493), utożsamił grzech pierworodny z pożądliwością (str. 497) i zwalczał scholastyków. Niestety, cała jego teologia jest tylko wiernem odbiciem jego duszy i usposobienia (str. 612). Luter swawolił w zakresie teologii według swojego przywidzenia tak, jak nikt przed nim. Logika jest tu niepotrzebną, dyalektyka zdawała się być Lutrowi jakiemiś więzami krępującemi, myśl jego musiała być zupełnie swobodną, by niczem w swej dziedzinie niekrępowany, mógł łatwo obracać się między sprzecznemi twierdzeniami i fałszywymi wnioskami.

Dogmat o pewności zbawienia przyczynił się do dalszego roz-

woju nauki Lutra. Dogmat ten wypływa z jego zapatrywań na istotę usprawiedliwienia a wygłosił go Luter już w r. 1519. Odtąd cały system rozwija się w olbrzymich skokach na tej przepaścistej drodze. Już w r. 1521 powiedział Melanchton po myśli Lutra, że oni mają zlecenie rządzić tym brudnym motłochem a ktoby się odważył zakłócać spokój Kościoła, »ten będzie wyklęty tak od Chrystusa, jako też i od nas, którym troskę i panowanie nad chrześcijańskim ludem zwierzono«. Nic dziwnego, albowiem słowo Lutra jest słowem Boga. »Kto mej nauki nie przyjmie, ten nie chce być zbawionym, gdyż ona jest nauką Bożą, a nie moją. Przeto też i sąd mój jest właściwie sądem Boga a nie moim« (str. 770).

Koniec dzieła podaje nam opis charakteru Lutra. Im bardziej oddalała się nauka jego od chrześcijaństwa i Kościoła, tem więcej i sam Luter chylił się do upadku. Jeżeli punktem wyjścia w nauce Lutra jest własne doświadczenie o przemocy pożądliwości i grzechu, jeżeli ton jego smutny, winą własną spowodowany, stan wewnętrzny był osią całej jego teologii, to w życiu jego musiało się ujawnić wielkie, coraz bardziej rosnące zwyrodnienie i zepsucie, dla którego naśladowanie Chrystusa, ów kamień probierczy prawdziwego i niesfałszowanego chrześcijaństwa, jest śmiesznością (str. 772). Przedstawieniu tej strony charakteru Lutra jest poświęconych 50 kartek. W r. 1543, a więc 3 lata przed swoją śmiercią, pisze Luter, opanowany już lękiem przed śmiercią: »Ja wiem, że każdy, kto uczuł straszność i ciężar śmierci, ten wolałby raczej być świnią, jak wrażeń takich ustawicznie doznawać. Kiedy świnia na swoim tłuszczu leży na ulicy lub w błocie, to spoczywa sobie spokojnie, smacznie chrapie, śpi słodko, nie lęka się żadnego króla, ani pana, żadnej śmierci, ani dyabła, ani piekła, ani gniewu Boga, żyje zupełnie bez troski, i nie myśli nawet o swoich otrębach«. A dlaczego? »Bo świnia nie jadła z owego jabłka, z którego człowiek poznał w raju różnicę między złem a dobrem«. A więc i jego pewność zbawienia prysła przed trwogą śmierci.

Luter tak mało ufał swej nauce, iż raczej się obawiał, by sam swej wiary się nie zaparł w obliczu śmierci i w czasie pokus, jakiemi go dyabeł nagabywał. A jak tego dyabła usiłował odpędzić? Przez rubaszne żarty. Niestety, niepokój nie ustępował w ten sposób. »Ja gniewam się często sam na siebie, że tak wiele nauczałem, kazałem, pisałem o tem, jak należy zwalczać tę pokusę niepokoju i smutku: atoli kiedy sam wpadnę w tę pokusę, nie mogę jej odpędzić« (str. 781). Doznawali tego samego również uczniowie i zwolennicy Lutra. Ale

czy to rzeczywiście tylko szatan tak dręczył Lutra? Luter tak twierdzi, ale prawda każe wyznać, że to sumienie tak go dręczyło. »Szatan — pisze Luter w 1532 r. do swoich — kusi sumienie przez kłamstwo, kiedy je oskarża o grzechy, a ciało zaś kusi myślą o samobójstwie. Przez to uświadomienie o grzechach swoich popycha on ludzi często do rozpaczy, do miecza; dlatego też ten głos sumienia trzeba koniecznie stłumić«. Można tego dopiąć przy pomocy owej myśli, że wszystkie grzechy nasze przez Chrystusa znalazły usprawiedliwienie. Nie pomogło to atoli. Owszem przeciwnie, tak sam Luter, jak jego mowca pochwalny, jako też dawny jego towarzysz zakonny, Leonard Berger, nie byli wolni od pokusy targnięcia się na swoje życie, a w stanie tym nie wolno im było mieć pod ręką żadnego noża (str. 783).

Obwiniono Jezuitów a nawet cały Kościół o nauczanie tego zdania, jakoby cel uświęcał środki. Nigdy ani Kościół ani Jezuici tego zdania nie wypowiedzieli, ale natomiast tym, który tę zasadę wypowiedział i w czyn wprowadził, był Marcin Luter. »Coby to było, pyta Luter, gdyby ktoś dla jakichś moralnych powodów, lub w celu przysłużenia się chrześcijańskiemu Kościołowi, popełnił jakie grube i porządne kłamstwo?« Odpowiada na to: »Kłamstwo, popełnione z potrzeby lub w celu osiągnięcia jakiejś korzyści i pomocy nie jest obrazą Boga«. W obronie swej nauki i Kościoła, życzył Luter katolikom i innym nawet śmierci okrutnej, śmierci nierozumnych świń; a zwolennicy Lutra chętnie swego mistrza w tem naśladowali. Luter głosił publicznie, że nieprzyjaciele jego będą potępieni, ponieważ c e l t e g o w y m a g a ł, by w ten sposób odstraszyć wszystkich swoich zwolenników i wogóle wszystkich żyjących podówczas i później ludzi od nauki, przeciwnej jego nauce (str. 787). Przeto nie dziwi nas to bynajmniej, że Denifle kończy temi słowy: »Lutrze, niema w tobie nic boskiego«.

Jest to faktem, niedającym się zaprzeczyć, że wszyscy zwolennicy Lutra, tak za czasów głoszonej przez niego »ewangelii«, jako też i później byli więcej źli i zepsuci, aniżeli społeczeństwo pod papiestwem. Stwierdził to sam Luter i jemu blizcy (str. 797).

Kiedy Luter raz wygłosił zdanie, że winy grzechowe maże sama wiara w Chrystusa, że żal jest niemożliwy, że Ewangelia nie uczy nas tego, cośmy czynić winni, bo to było zadaniem prawa Mojżesza, które z Ewangelią nie ma żadnej łączności; kiedy orzekł, że Ewangelia jest tylko obietnicą odpuszczenia grzechów naszych, że całym naszym obowiązkiem jest tylko wierzyć i że poza tem nie mamy już żadnych powinności względem Boga, bo bez znaczenia jest każdy uczynek czło-

wieka, tak grzeszny jak dobry i święty — wówczas już wszystko musiało przepaść. Dlatego też Luter nie uznawał w Chrystusie owego przykładu i wzoru, któryśmy powinni naśladować, do któregośmy winni życie nasze upodabniać. Wystarcza sama martwa wiara, a zbytecznem jest wszelkie naśladownictwo Chrystusa w życiu naszem. To jest »ewangelia« Lutra, obraz jego życia duchowego.

Dodajmy wkońcu kilka słów o stosunku drugiego wydania do pierwszego. Miejsce 5 portretów Lutra zajęły inne, wzorowo oddane, podobizny jego, atoli bez dawniejszych, uczynionych przez Denifle'a, fizyognomicznych opisów i spostrzeżeń, nie zawsze trafnych i słusznych. Bardzo często wydawca O. Weiss złagodził szorstki ton tekstu Denifle'a, przynajmniej przez dodanie swych uwag, a nawet oczywiste, przez Lutra popełnione niedokładności, które Denifle uważał za świadome fałszerstwa, usiłuje O. Weiss łagodniej tłumaczyć olbrzymią Lutra fantazyą i bardzo czułą wrażliwością. Również usunął z nowego wydania (może nie zawsze szczęśliwie i ze szkodą dla czytelnika), wszelkie, czysto osobiste wycieczki i pewne silniejsze wyrażenia. Wątpić także można, czy nie było to chybionem, że Weiss wszystkie, więcej drastyczne zwroty Lutra, zastąpił kropkami.

Nadmieniamy wreszcie, że przytoczony przez nas na początku sąd Köhlera, iż dzieło to jest pierwszorzędnem źródłem, z którego przez długi czas będą się uczyć i czerpać tak katolicy, jak i protestanci, jest zarówno powszechnem mniemaniem wszystkich katolickich krytyków.

Ks. A. Arndt.

Antipriscilliana. Dogmengeschichtliche Untersuchungen und Texte aus dem Streite gegen Priscillians Irrlehre. Von *Dr. K. Künstle,* a. o. Prof. d. Teol. an d. U. Freiburg i. B. Freiburg, Herder 1905. (8-ka w., XII, 248).

Dziełko to jest nowym przyczynkiem do kwestyi pryscylliańskiej, żywo przez uczonych roztrząsanej. We wstępnych rozdziałach (I, II.) zajmuje się autor osobą samego Pryscylliana w oświetleniu osób mu współczesnych jak Filastryusza, Orosyusza i Sulpicyusza Sewera, którzy go jednogłośnie jako heretyka potępiają, i uczonych obozu protestanckiego jak Schepsa, Pareta, Herzogo i Diericha, utrzymujących, że Pryscyllian wcale heretykiem nie był, lecz padł tylko ofiarą fanatyzmu katolików. Jakież ich na to dowody? Źródła współczesne, piętnujące go jako heretyka, wątpliwej są wartości, bo pisane

są stronniczo i zależnie od fanatycznych jego wrogów Hydacyusza i Ithacyusza. Pryscyllian w pismach swoich stanowczo się zastrzega przeciw wszelkiej herezyi wogóle, a Manicheizmowi w szczególności. Wymownie świadczy o jego niewinności ostre wystąpienie papieża Syrycyusza, Ambrożego z Medyolanu, Marcina z Tours przeciw oskarżycielom biskupim na wieść o straceniu Pryscylliana i jego towarzyszy. Chciwość usurpatora rozległych dóbr Maxymusa i chęć jego zjednania sobie swą gorliwością apostolską katolików, zaciekłość wreszcie jego wrogów Hydacyusza i Ithacyusza, oto jedyna pobudka tak doraźnego sądu. Jasno to zresztą stwierdzają akta sądowe prefekta Ewodyusza, w których jak czytamy, Pryscyllian tylko *propter maleficium* dla czarów na śmierć został skazany.

Zbijaniem powyższych zarzutów autor specyalnie się nie zajmuje, idzie za zdaniem innych uczonych. I rzeczywiście trudno odmówić objektywności takiemu n. p. Sulpicyuszowi, na co się zresztą wielu z protestantów zgadza, że tylko wspomnę Hilgenfelda i Edlinga. Trudno go posądzić o zależność od Ithacyusza, czytając jego *historiam sacram*, jego ujemną charakterystykę samego Ithacyusza. Posiadał on wielką znajomość osób współczesnych i wypadków bieżących, a w szczególności kwestyi pryscylliańskiej, której właściwym jest historykiem. Zupełnie inaczej nam się przedstawia to ostre wystąpienie papieża, Marcina z Tours, według Sulpicyusza. Chodziło bowiem o uniknięcie krwi rozlewu, choćby i winnych. Dosyć na tem, że ich Kościół jako heretyków potępił. Zresztą poco się ma sąd świecki mieszać w sprawy Kościoła? *Inauditum esse nefas*, pisze Sulpicyusz, *ut causam ecclesiae judex saeculi judicaret.* Wobec dwulicowości samego Pryscylliana trudno coś stanowczego z jego pism *pro* lub *contra* orzec, zwłaszcza, że poważne podnoszą się głosy przeciw prawdziwości wszystkich pism jemu przypisywanych, jak się o tem przekonać można z pracy O. Michaela T. J. w *Innsbrucker Zeitschrift* z r. 1892.

Całą zasługę wyżej wymienionego dziełka stanowią następne rozdziały, w których autor stworzył nową, obszerną literaturę Pryscyllianizmu, prostując niektóre mylne dotychczas zapatrywania. I tak w rozdziale trzecim w którym się zajmuje synodami hiszpańskimi, odbytymi w sprawie pryscylliańskiej, dochodzi do tego samego przekonania co i Morin, że synod od czasów Hefelego Toletanum z roku 447 zwany, wcale nie istniał, i że autorem wyznania wiary i onych 18 anathematyzmów, przypisywanych tymże synodom, jest biskup Pastor z Gallăcyi (IV). Tak zwana Fides Damasi jest wyznanie

wiary synodu w Saragosie 380 r., które papież potwierdził i rozszerzył dodatkiem od słów *Hanc lege*.... itd. (V). List, pełen gorliwości apostolskiej papieża Leona I. do biskupa Thurybiusza jest fałszerstwem, powstałem po synodzie w Bradze 563 r. (VI), o czem się między innemi przekonać można, porównując kanony synodu w Bradze z onym mniemanym listem Leona I. *Regulae definitionum,* mylnie przedtem Hieronimowi przypisywane, są prywatnym utworem hiszpańskiego biskupa Syagryusza. Jest to traktat teologiczny w obronie Trójcy św. pisany. Z niego to się dowiadujemy, że kwintessencya Pryscyllianizmu na racyonalistycznem pojmowaniu Trójcy św. polegała, i to jest jego dogmatyczne znaczenie (VII).

W rozdziale ósmym pomiędzy innymi przeciwnikami Pryscylliana zajmuje się autor specyalnie Prudencyuszem, podejmując na nowo mocno przez Merkla podkopaną hypotezę Röslera, że Prudencyusza *Apotheosis, Hamartigenia i Psychomachia* ma na celu zwalczanie herezyi pryscyllińskiej, grasującej w jego ojczyźnie. Na szczególniejszą uwagę zasługuje rozdział ostatni (IX). Athanasianum, to wyznanie wiary, powstałe pod koniec IV lub na początku V w. z okazyi Pryscyllianizmu.

Ot w krótkich zaledwie zarysach treść tak bogatego w materyał historyczny dziełka, świadczącego o sumiennem i gruntownem wykształceniu autora. Wiele z kwestyi tu poruszonych, a dotychczas wątpliwych, można uważać za rozstrzygnięte; inne jednak nie przechodzą granic prawdopodobieństwa jak n. p. list Leona IV. do Thurybiusza i Athanasianum jako *expositio fidei* przeciw Pryscyllianistom, co jednak dalsze badania i poszukiwania wyświetlą.

Leon Bolesławski.

Pèlerinages litteraires. *Henry Bordeaux.* Paris. 1906.

Jednym z pisarzy zwracających obecnie na siebie uwagę jest Henryk Bordeaux. Powieści jego a szczególniej powieść *Peur de vivre* przynosi akcenta nowe, pełne siły i zdrowia moralnego. Przez bardzo śmiałe zatwierdzenie swoich przekonań p. Bordeaux stawia się na wręcz odmiennem stanowisku od mnóstwa krytyków dyletantów. Równocześnie powieści jego mają tyle życia i szczerości, że ze zdumieniem prawie czyta się tego rodzaju utwory. Nie często bowiem spotyka się to męstwo dzielne myśli, to śmiałe wyzwanie życia w tym celu, aby każda jednostka wydała jak najwięcej owoców. Przyjmowanie bierne życia, przeznaczenia swego, nie wystarcza p. Bordeaux; on chce, aby życie

brać z weselem a poznawszy swoje zdolności, całą siłą je wyrabiać i wydoskonalać. Ten kierunek umysłu jest bardzo typowym u p. Bordeaux — nie tylko daje nastrój jego powieściom, ale jeszcze wybitniej oryentuje kierunek jego prac krytycznych.

Vies intimes przyniosły nam ciekawe studya o ludziach jako typach; *Pèlerinages litteraires* wprowadzają nas w świat literatury. Najwięcej wybitni dzisiejsi pisarze i krytycy dają p. Bordeaux temat do ciekawej psychologicznej oceny, która poprzez dzieło literackie sięga w głąb duszy autora. Każdy pisarz dlatego interesuje p. Bordeaux, że jest wykwitem danej atmosfery swego czasu, że daje jakby obraz epoki w skróceniu indywidualności więcej wybitny, więcej wyrazisty.

Jednem z najciekawszych studyów w tej książce, to artykuł o Sainte-Beuve'u. Ten wielki artysta krytyki, który sam pogardzał swoim wielkim talentem krytycznym, jest niejako termometrem, który oznacza atmosferę wewnętrzną tych, co o nim piszą. Sainte-Beuve z olbrzymim swoim głodem twórczości, jest typem niezmiernie ciekawym: całą siłą swej natury bujnej pragnął być wielkim powieściopisarzem, tak, jak całą romantyczną wrażliwością swej zmysłowej uczuciowości lgnął znowu do wielkich namiętności. Ale aby być kochanym tak, jak chciał, trzeba było mieć więcej zewnętrznych warunków — więc ta strona romantyczności nie była u Sainte-Beuve nigdy nasycona. Znowu ażeby tworzyć potężne dzieła powieściowe czy dramatyczne trzeba prócz obserwacyi mieć dar wlania życia, rwącego potoku krwi gorącej. A tego brakowało właśnie u Sainte-Beuve'a i on to odczuwał wybornie z całą siłą wrażliwą artysty. I tak odrzucony od tych dwóch pociągających go wcieleń życia uczuciowego w miłości i w twórczości, zwrócił się całą siłą na pole krytyki.

Tutaj stał się Sainte-Beuve udzielnym księciem. Jego portrety literackie, jego poniedziałkowe rozmowy — to są perły psychologii, jest w nich jakiś urok, jakiś pozór zwodny życia. Krytyk bierze duszę ludzką pisarza, który mu dostarczył dzieła literackiego, jako materyału do oceny. A tej duszy ukrytą maszyneryę umie tak po mistrzowsku rozłożyć, tak przystosować cząstki i cząsteczki, które, niewidzialne dla oka, wpływają na chemiczny skład ogólny, że czytelnik zdumiony, całą siłę zajęcia przenosi z dzieła omawianego — na tego — który je omawia. I nic dziwnego, że osobistość Sainte-Beuve'a pociąga tych, co też oddają się krytyce literackiej. Pan Bordeaux mimo niewątpliwego talentu powieściopisarskiego zdaje sobie jasno sprawę, że jego twórczość nie przechodzi miary przeciętnej i że to, co jej daje powodze-

nie i uznanie, leży poza nią: bo w atmosferze moralnej jego powieści w szkielecie pewnych i jasno określonych zasad. A że zmysłem doskonalenia obdarzony jest każdy, który nie zagrzęźnie w bałwochwalczej czci siebie, więc i ten zmysł narzuca konieczność postępu i wyrobienia. Pan Bordeaux pisząc swoje krytyki i studya literackie mówi sobie zapewne: A może tutaj więcej dobitnie zadokumentuję moje j a? Przykład Sainte-Beuve'a »Przedstawianie wartości« jego talentu musi działać i na formacyę umysłową p. Bordeaux. Że tak jest, mamy dowód w tem studyum o wielkim księciu krytyki.

I przyznać trzeba, że ten mimowolnie przyjmowany wpływ działa zbawiennie. W studyach p. Bordeaux czuje się drżący puls życia rzeczywistego. Kto zamknięty wśród pyłów biblioteki zna ludzkość tylko z tego, jak o niej opowiedziało słowo ludzkie, ten nędznym jest znawcą literatury. Trzeba mieć odczuwając ą naturę, i bardzo podatną na wibracyę różnorodnych przepływających przez duszę wzruszeń i wpływów, aby żywo i jasno osądzić dzieło literackie. Leonardo da Vinci miał powiedzieć: *Plus il y a de sensation plus il y a de tourment.* Nowoczesna atmosfera duchowa znowu kładzie jako warunek wyrafinowanej wykwintności różnorodność sensacyi i świadome ich mnożenie, ocenienie i kształtowanie. Przesyt, który przychodzi po takiej gorączkowej pogoni za coraz to inną formą wrażeń uczucia zmysłowości czy władzy — wyradza pogardliwy sceptycyzm. I ten właśnie wielki, ogromny błąd ludzi nowoczesnych, to wyrafinowanie duszy kończące się jej znicestwieniem moralnem — przeraża p. Bordeaux. Mówi on: »jedno uczucie może dać duszy więcej żywotności i żywsze tętno, niż udzieli jej tysiącu kaprysów«. I tutaj znowu w tem zapatrywaniu odnajdziemy charakterystyczny typ duchowy p. Bordeaux.

Patrząc na życie ciekawie, obserwując ludzi i odczuwając ich życie wewnętrzne, przenosi te swoje doświadczenia na teren literacki. Jego studya o pisarzach współczesnych biją tętnem prawdy codziennej a zarazem dają świadectwo o osobistości autora.

W tym zbiorze są studya więcej i mniej ciekawe. Bardzo zastanawiająca rzecz o sławnym krytyku Emilu Faguet, równocześnie znowu przynosząca przydatek do poznania p. Bordeaux, szukającego dzielności i siły wśród ludzi i ich dzieł.

Śliczne studyum o Ruskinie i drugie *Le sentiment de la nature*, dopełnia nam oryentacyę, gdzie mianowicie szuka p. Bordeaux źródła ożywiającego siły? Wiara jego jest silna, ale nie wypowiada się w ciągłych oświadczeniach — jest to głęboko wrośnięta w fundament równo-

waga moralna szczerego uznania Boga. Ale równocześnie wokoło siebie znajduje wcielenie odwiecznej harmonii życia w widoku przyrody. »Dlaczegóż człowiek wpada w zachwyt przed barwami królewskiemi zachodniego nieba, przed skałami, których zasiać nie może?« Przyroda nie jest tylko całością sił: ona jest jeszcze światłem i formą, jest pięknością dobroczynną, która koi, pociesza, wypogadza: ona uczy nas stosowania się do losów naszych...

I właśnie tę rezygnacyę, ten spokój duszy nie dającej się złamać wielkim przewrotom, znajdujemy w ludziach, którzy żyjąc w styczności z przyrodą, schyleni nad pługiem pracowitym dnia powszedniego, mają w swej duszy to, co stanowi miarę narodu: siłę charakteru.

Przed kilku miesiącami dawał *Przegląd Powszechny* sprawozdanie z powieści p. Bordeaux *La peur de vivre*. Przedmowa tak bardzo znacząca tamtej książki zamyka ten tom studyów i przynosi zdanie Le Play'a, które w chwilach zniechęcenia warto sobie przypomnieć: u brzegów śmierci zrozumiałem nie nicość ale ważność życia...

I właśnie p. Bordeaux we wszystkiem co pisze wnosi ten akcent odpowiedzialności, jaka cięży na każdym człowieku, k t ó r y ż y j e.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Bolesław Śmiały i św. Stanisław Szczepanowski w poezyi polskiej. *Antoni Euzebiusz Balicki.*

Św. Stanisław, biskup krakowski. *Ks. Stanisław Buczys.*

Postać św. Stanisława i Bolesława Śmiałego, ich konflikt zakończony tak tragicznie nie daje spokoju naszym uczonym. Rozjaśnienie tego ciemnego punktu naszych dziejów zatrudnia najlepsze siły. Z drugiej strony ta właśnie niejasność, tajemniczość tego epizodu historycznego, a zarazem moment tragiczny w nim tkwiący, pobudzała wyobraźnię poetów do opiewania dziejów zabicia św. Stanisława, wnikania w psychologię tych dwóch potężnych bez zaprzeczenia indywidualności.

Pan Balicki w pracy swej wziął sobie zadanie wdzięczniejsze. Skierował swój wzrok na obszerne niwy naszej poezyi, by idąc porządkiem chronologicznym zbadać, jak się ten konflikt przedstawia w wyobraźni naszych poetów. Zaczynając od Galla, Kadłubka oraz hymnów średniowiecznych tworzonych dla użytku Kościoła, omawia autor dalej utwory Pawła z Krosna, Rudolfa Agrikoli, Szarzyńskiego, Royzyusza, Szymonowicza, Grochowskiego. Obszerniej omawia zapomnianą epopeę Stanisława Golańskiego z r. 1735, zatrzymuje się przy sztukach teatru ludowego z XVI i XVII w. Potem przychodzi kolej na pseudoklasyków z Wężykiem, Hofmanem i Niemcewiczem i wchodzimy

w początki romantyzmu, gdzie nasz pierwszy etap przy »Mnichu« Korzeniowskiego. Obok niego omawia autor z tej epoki »Pokutnika« i »Świadka« Odyńca, utwory Magnuszewskiego, Anny Libera, Konopackiego, Antoniego Czajkowskiego, nadmieniając jeszcze Zaborowskiego i Kamieńskiego. Po obszerniejszym rozbiorze »Króla Ducha« przechodzi autor do spółczesnych a przynajmniej niezbyt od nas odległych, Siemieńskiego, Sierakowskiego, Bełcikowskiego, Glińskiego rapsodu i dramatu Wyspiańskiego, kończy się ten przegląd Tomasza Rudnickiego »Pan Bóg winy karze, pokuta je maže«.

W przeciwieństwie do pracy powyższej zajmuje się ks. Buczys historyą św. Stanisława. Po przeglądzie źródeł średniowiecznych usiłuje autor odtworzyć z nich żywot św. Stanisława i konflikt jego z królem.

W drugiej części autor rozbiera znane w nauce hipotezy o przyczynach zabicia św. Stanisława. Roepell widzi w konflikcie między królem i biskupem odbicie walki między cesarzem rzymskim i papieżem, po prostu walkę między państwem a Kościołem. Gumplowicz twierdzi przeciwnie, że Bolesław Śmiały za przyczyną papieża Grzegorza VII chciał utrwalić celibat, czemu sprzeciwiał się św. Stanisław.

Lelewel stawia hipotezę, że król chciał wprowadzić obrządek słowiański, a św. Stanisław bronił łacińskiego. Mamy znów zdanie, że św. Stanisław występował przeciw prawu ludowemu, które chciał utrzymać król lub też, że występował przeciw despotyzmowi monarchy.

Wykazawszy brak uzasadnienia tych wszystkich hipotez, konkluduje autor, że opierają się one na znajomości nawet nie poszczególnych faktów, lecz tylko czepiają się wyrażeń dawnych kronikarzy. Sam dla braku materyału obfitszego niż ten, którym rozporządzali jego poprzednicy nie przedstawia nowych wyników, ograniczając się na ugrupowaniu kilku szczegółów bibliograficznych niewątpliwie pewnych.

B.

Fragment z pamiętnika. Poznań 1907. W 8-ce, str. 16.

Autorką »Fragmentu« jest hr. Barbara Kwilecka z Dobrojewa w Księstwie Poznańskiem. Jako pani licznego domu zaznawszy przez lat 15 niemało kłopotu z braku uczciwej a zdolnej służby żeńskiej, bo emigracya do Saksów zabierała najsposobniejsze dziewczęta, a biura stręczeń nie dawały gwarancyi — postanowiła tę służbę wychować sobie, ale i dla drugich, na podstawie religijno-moralnej. Więc najprzód kilka, potem 16 młodych dziewcząt, »elewek« z Dobrojewa i okolicy zebrała we dworze dobrojewskim, które przy starszej służbie w ciągu pierwszych dwóch lat uczyły się praktycznie gotowania na stół pański i czeladni, prania, szycia, obsługi kredensowej i pokojowej, ba nawet służby folwarcznej koło krów i mleka, trzody i drobiu. Po dwóch latach każda elewka obiera sobie fachowy zawód i w tym doskonaliła się cały rok trzeci. Elewki były zarazem służącemi z roczną pensyą 16—22 talarów, tak, że we dworze i na folwarku nie było żadnej innej służącej. »Hrabina«, bo tak nazywały elewki panią domu, zajęła się szczerze duchową edukacyą, uformowaniem sumienia obowiązkowości, urządziła dla nich formalny konwikt z regulaminem, w farze, czasem w kaplicy domowej bywały na mszy i kazaniu, co miesiąc przyjmowały Sakramenta

święte, a zaprawiając je do pobożności i surowej moralności, unikała troskliwie wszelkiej bigoteryi i dziwactwa. Zrazu patrzono z pewnem niedowierzaniem na zakład elewek, żartowano nieraz z hrabiny, wnet jednak ukończone elewki dobrojewskie rozrywane były po dworach polskich, jako zdolne, nieposzlakowanej uczciwości służące. Zakład istnieje lat 20, od 4 lat prowadzi go synowa hrabiny, z Lubomirskich Kwilecka z równem poświęceniem ale i pożytkiem. Czy w podobny sposób nie możnaby w większych dworach polskich wychować dla siebie i drugich uzdolnione a uczciwe służące? Można zaiste, ale potrzeba, aby pani domu sama przejęta była zasadami katolickiemi, służące uważała za sługi Boże, i z wytrwałem poświęceniem oddała się ich prowadzeniu.

Z.

Trybun ludu szlacheckiego. Studyum historyczne. Napisał *Wacław Sobieski.*

Powszechne jest dotąd mniemanie, że pomysł elekcyi *viritim* powstał dopiero po śmierci ostatniego Jagiellona i wylągł się w młodzieńczej, zasobnej w znajomości ustroju państwa rzymskiego głowie Zamojskiego. Autor rozpatruje tę opinię: stanowi ona punkt wyjścia dla jego studyum.

Już w konstytucyi z r. 1530 zawiera się zalążek elekcyi wolnej *viritim.* Po obiorze Zygmunta Augusta na sejmie piotrkowskim r. 1529, który już był wyłomem w dotychczasowej zasadzie wyboru króla przez senat, na opozycyę szlachty niezadowolonej z tej desygnacyi następcy za życia króla, wydaje Zygmunt I ustawę, że na elekcyę może przybyć *unusquisque, qui vellet.* Uzupełnia tę ustawę statut z r. 1538.

Zamojski jest początkowo zwolennikiem systemu reprezentacyjnego. Myśl elekcyi *viritim* podnieśli magnaci małopolscy. Kwestya dysydencka była powodem, że nastąpiła potem zmiana zapatrywań i Zamojski przeprowadził agitacyę za elekcyą *viritim*, agitacyę uwieńczoną pomyślnym skutkiem, która nadto zjednała mu ogromny wpływ i popularność.

Dr. A. B.

Głosy na czasie. Nr. 2. »Wartość dóbr doczesnych w świetle religii chrześcijańskiej. *Dr. Tadeusz Rzymski.* Poznań. Księgarnia św. Wojciecha. 1906.

Będzie to, jak szanowny wydawca nas objaśnia, zbiorek broszur, które mogą być, jeśli będą tak dobrze i logicznie a popularnie, jak ta, którą przeczytaliśmy pisane, głosami — rzeczywiście bardzo na czasie. Nr. 1 miał za przedmiot »Religię i moralność«, ten, o którym piszemy, drugi z rzędu, wykazując wartość dóbr doczesnych, uczy nas, że religia szanuje i nam szanować każe dobytki majątku, cywilizacyi, wiedzy, owszem przymnażać je, bo to wszystko majątek Boży dla doczesnego włodarstwa człowieka na ziemi złożony. Religia chrześcijańska ucząc nas, jak mamy używać tych dóbr doczesnych i odpowiednią wartość im nadając, uszlachetnia pracę człowieka około zachowania i pomnożenia dóbr nabytych, lub odziedziczonych i przez to nie zalecając pauperyzmu, zadaje kłam tym wszystkim, co twierdzą, że tylko ubóstwo miłe Zbawicielowi. Ziemska rodzina Jezusa była ubogą, ale Przenajświętsza Rodzina była pracy, nie żebraninie i dewocyi oddana i ona też może być wzorem chwały Bożej, zapobiegliwością w zdobyciu środków skromnego bytu i modlitwy w duchu prac codziennych czynionej. *A. R.*

Kacerska sekta Mankietników, jej początek i odstępstwo od Kościoła. *Dr. A. Barmodcin.* Warszawa 1906.

Kto chce się rozejrzeć w dziejach ruchu religijnego w Królestwie Polskiem, ten nie może pominąć różnych tajnych kółek i kółeczek, z jednego ogniska biorących początek, w którem i destrukcyjna, wprost w hierarchię Kościoła św. godząca sekta Maryawitów powstała. Autor niniejszej broszurki, napisanej poważnie i objektywnie, powiada na początku, że poznanie błędu i wyświetlenie jego przyczyn jest najskuteczniejszym środkiem do zwalczania tegoż, opiera się też tylko na faktach i aktach. Poznamy z tej jego pracy, nie tylko krętactwo i zuchwalstwo sekciarzy, ale i niewyczerpaną dobroć względem nich, biskupów i kapłanów, szkalowanych i nawet czynnie znieważanych. Niewymownie cierpliwy a pełen miłosierdzia Kościół Boży, dając odstępcom długi termin do powrotu, dopiero po ostatecznym czasie, klątwą uporczywych odciął, żeby tem samem wierne swoje owieczki od zarazy duchowej uchronić. Dziś sekta ta topnieje, do czego w ostatnim czasie przyczyniła się niechęć ludzka i trudność budowania własnych świątyń.

A. R.

Siedziba Bazylianów w Torokaniach. *Wołyniak.* Kraków. Nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. 1906.

Szkic czysto historyczny jednej z owych starych siedzib bazyliańskich, w którym czytelnik znajdzie wspomnienia z przeszłości powiatu kobryńskiego, spis kościołów łacińskich i greckich, wspomnienia Ojców przełożonych monasteru torokańskiego, aparatów i sreber kościelnych oraz sprzętów domowych, mebli i stołowizny. Wobec znikłych od dawna a zawsze cenionych przez historyków pamiątek, suche i nudne notaty Wołyniaka mogą mieć wartość i zasługę.

A. R.

Floryan Oksza Stablewski, Arcybiskup gnieźnieński i poznański. Wspomnienie pośmiertne. *Ks. Władysław Chotkowski.* Kraków. Gebethner i Spółka. 1906.

Autor, przyjaciel od lat szkolnych, jak sam, w tem od serca skreślonem wspomnieniu zmarłego dostojnika polskiego Kościoła powiada, rozsnuwa przed czytelnikiem umiejętnie i zajmująco ważniejsze fakty i daty z życia arcybiskupa. Przechodzi myślą zarówno jego obywatelskie jak pasterskie zasługi, rzuca wzrok i pogląd na dwóch poprzedników zmarłego i w piękną literacką formę ujętą broszurką powiększa obfity zbiorek biografii i wspomnień, któremi uczczono nieodżałowanego arcypasterza.

A. R.

Błogosławiony Szymon z Lipnicy. Nabożeństwo i żywot. *O. Norbert Golichowski,* z Zakonu Braci Mniejszych. Uzupełnił i ponownie wydał ks. Tomasz Siemek. Nakładem wydawcy. Kraków 1905.

Odpustowa to literatura, największą jej część dewocyjność zajmuje, a dopiero w części drugiej napotykamy życie błogosławionego patrona Zakonu Braci Mniejszych i pamiątki po nim przechowane. Rzecz kończy się spisem źródeł, któremi posługiwał się autor.

A. R.

César Franck par *Vincent d'Indy.* Collection des Maîtres de la musique. Paryż 1906, Alcan. 12-ka, str. 250.

Że właśnie d'Indy napisał monografię o wielkim organiście katedry św. Magdaleny w Paryżu i ojcu dzi-

siejszej francuskiej muzyki symfonicznej, to było do przewidzenia. Jako jego najlepszy uczeń i spadkobierca jego wielkich i szlachetnych idei, zna d'Indy C. Francka lepiej, niż inny muzyk. I choć dużo jeszcze czasu upłynie, nim powstanie naukowa praca o twórcy *Les Béatitudes,* to jednak każda następna będzie musiała mimowoli opierać się na książce d'Indy'ego. Osobiście czuję brak tych potężnych wiązadeł historycznych, które od Bacha, Berlioza i Wagnera prowadzą do C. Francka. D'Indy jako Francuz lubi patetyczne, wielkie słowa i szeroki horyzont myśli, ale nie mogę go nazwać bardzo subtelnym historykiem, mimo iż ma wszelkie dane do tego. Mimo to gorąco polecam książkę d'Indy'ego nie mogąc się pozbyć przykrej myśli, że u nas niestety tak mało jest znanym ten kompozytor, który, zdaniem mojem, jest największym francuskim muzykiem XIX wieku, t. j. C. Franck. *A. Ch.*

Aux jeunes filles. Lettres. *Fr. A. M.* F. Paillart. Imprimeur-editeur. Abberille. Str. 142.

Listy rodziny chrześcijańskiej, żyjącej w świecie i obracającej się w obecnych warunkach obyczaju i wykształcenia, są treścią niewielkiego tomiku. Przeważnie pisze je dwoje rodzeństwa; najstarszy brat, zakonnik św. Dominika, jako kapłan z powagą i stanowczością; jako kochający i pamiętny na środowisko, z którego wyszedł, syn i brat, z dowcipem i miłością, kieruje w nich młodszą siostrą, trochę burzliwą i samowolną, ale pięknej duszy panienką, którą też, w bardzo młodym wieku śmierć matki naczelniczką domu, opiekunką młodszego brata i zajętego swojemi sprawami zacnego a pobożnego ojca zrobiła.

Jest wiele w tych listach rzeczy, których przeczytanie i naszym młodym pannom byłoby przydatnem, zwłaszcza, że temperament młodziutkiej siostrzyczki zakonnika, bardzo łatwo w polskiem społeczeństwie, jako typ, odnaleźćby można.

R.

Rose of the river by *Kato Douglas Wiggin.* Tauchnitz ed. I vol. 1906.

Ładna idylla amerykańska z nad brzegów rzeki Saco, która, prawdę mówiąc większą rolę w książce zajmuje i daleko bardziej jest interesującą od samej tytułowej bohaterki. Jedynie opis spławiania drew wśród spienionych fal, głazów i katarakt, ratuje wonną banalność treści, są i niektóre typy zabawne, jak np. starego »kolorysty« Wiley'a, który — że dawniej flisował na wielkiej rzece Kennebeck, patrzy z wysokości majestatu na młodzież pracującą na mniejszej wodnej potędze. Zresztą powieść krótka, zasługuje raczej na miano noweli a samą swoją świeżą prostotą odpoczywająca po nowoczesnych, zawiłych myślą, suchych uczuciem i ciężkich tezą pseudo-belletrystyczną utworów.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pierwszy zjazd katolickich pisarzy i dziennikarzy polskich.

W marcu b. r. ogłosiła redakcya warszawskiego tygodnika *Wiara* następującą odezwę.

»Znana jest wszystkim doniosłość, jaką prasie i piśmiennictwu katolickiemu przypisuje wielki Leon XIII, a w ślad za nim i Ojciec św. Pius X.

»W dzisiejszych czasach pióro katolickiego pisarza stało się narzędziem, którem Kościół w obronie i szerzeniu swych zasad w najszerszej mierze posługiwać się musi. Stąd też wszystkie społeczeństwa katolickie w jednoczeniu sił pisarskich, jakiemi rozporządzają, w ich rozwoju i w nadaniu swej prasie jednolitego i celowego kierunku upatrują najdonioślejsze zadanie doby obecnej.

»Powstają tedy na Zachodzie wielorakie organizacye prasy katolickiej, zwoływane są liczne peryodyczne zjazdy pisarzy, a dzięki tej akcyi, piśmiennictwo chrześcijańskie coraz większym i szerszym cieszy się w Europie wpływem i powagą. Wzajemne bowiem poznanie się i łączenie w celu obmyślania i omówienia najbliższych zadań chwili, jest niewątpliwie dla pisarzy katolickich pierwszym warunkiem ich owocnej działalności.

»Niestety my, Polacy, w warunkach dotychczasowych nie mogliśmy o czemś podobnem nawet marzyć. Obecnie jednak, gdy

okoliczności ułożyły się nieco pomyślniej, powinniśmy starać się jak najusilniej powetować to nasze mimowolne w pracy konieczne opóźnienie. Wszyscy bowiem odczuwamy aż nadto silnie gwałtowną potrzebę zjednoczenia rozstrzelonych wciąż i rozproszonych naszych katolickich sił pisarskich.

»Te powody mając na względzie, — otrzymawszy błogosławieństwo i pozwolenie J. E. Najdostojniejszego Arcypasterza, — w porozumieniu z istniejącymi w Warszawie tygodnikami katolickimi, redakcya *Wiary* postanowiła zaprosić do stolicy naszej na kilkudniowe narady, wszystkie nasze siły umysłowe, pracujące w duchu katolickim na polu piśmienniczem...

»Zjazd trwać będzie trzy dni, rozpocznie się zaś w Warszawie, we wtorek 18 czerwca b. r. o godzinie 10-tej rano.

»Przedmiotem obrad Zjazdu będą wyłącznie kwestye mające ścisły związek z powołaniem i zadaniem katolickiego pisarza. To też na porządku dziennym znajdują się następujące podstawowe zagadnienia:

I. *a)* obrona słowem drukowanem zasad wiary i moralności katolickiej; *b)* szerzenie piórem myśli katolickiej we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego; *c)* obmyślenie środków dla skutecznego przeciwdziałania złym i niemoralnym książkom, tudzież pismom peryodycznym zwalczającym religię; *d)* dostarczanie w przyszłości materyału książkowego dla tworzących się obecnie licznych bibliotek parafialnych; *e)* omawianie potrzeb prasy ludowej; *f)* kolporterya katolickich pism, książek i broszur i t. p.

II. *a)* organizacya Stowarzyszenia polskich pisarzy katolickich; *b)* zawiązanie komitetu zwołującego peryodyczne zjazdy, tudzież stałej reprezentacyi spraw i interesów katolickiego dziennikarstwa i piśmiennictwa; *c)* omówienie sprawy wyrabiania i kształcenia nowych szermierzy katolickiej prasy; *d)* omówienie sposobu popierania piórem istniejących lub mających być założonymi stowarzyszeń i związków katolickich i t. p....«

Z pewnej strony zwrócono redakcyi *Wiary* uwagę, że zjazd nie jest na czasie, bo nasza prasa jest podobno na ogół katolicką. Na ten o bezdennej naiwności i niesłychanie lekkomyślnym opty-

mizmie świadczący zarzut, odpowiedź niepotrzebna; zbija on sam siebie, a smutne fakta co innego stwierdzają. Ze zjazd odpowiada koniecznym potrzebom chwili, o tem świadczą słowa uznania i błogosławieństwa, nadesłane Redakcyi ze strony całego prawie episkopatu polskiego, świadczy o tem licznie zgłaszany współudział i ciekawe referaty.

Jesteśmy ze słowami szczerego uznania dla podjętej inicyatywy, a choćby ten pierwszy zjazd nie ze wszystkiem odpowiedział wymaganiom — jest to przecież u nas pierwsza podobno rzecz bez żadnego precedensu a tem samem bez koniecznego doświadczenia — to jednak poruszona myśl zasługuje na poparcie; kamień raz w ruchu będący łatwo dalej toczyć.

Z walki kulturnej w Hiszpanii.

W jednym z poprzednich numerów *Przeglądu*[1] donieśliśmy o upadku liberalnego ministeryum w Hiszpanii, a objęciu gabinetu przez konserwatywnego Maurę. Liberalny rząd, atakując małżeństwo i zakony, nie wciągnął w rachubę psychologii mas i to było upadku jego przyczyną. Ciekawe w tej sprawie szczegóły przynosi siódmy zeszyt 139 tomu dwutygodnika *Historisch-politische Blätter.*

Demonstracye przeciwko polityce rządu rozszerzyły się na cały kraj a brały w nich walny udział kobiety. Zgromadzenie kobiet w Madrycie i Logrono zjednoczyło po 2.000 osób, w Leon i Burgos po 4.000, w Sewilli 5.000, w Bilbao i Saragosie po 12.000; kobiety z Saragosy ofiarowały nadto 12.000 komunii św. w tym celu, by od Łaskawej Matki Boskiej w Pilar uprosić opiekę dla zagrożonych zakonów. Katalońskie i madryckie panie zebrały i wysłały do króla przeszło milion podpisów, przeciwko zamiarom rządu protestujących.

Mężczyźni nie pozostali w tyle. Konferencye, zgromadzenia, odezwy, gazety wzywały do obrony. Szczególniej zgromadzenia męskie muszą wywołać nie tylko uznanie, lecz nawet i podziw. Protestujący wiec w San Sebastiano liczył 20.000 uczestników, w Barcelonie do 40.000, w Pampelunie 50.000, w Bilbao przeszło

[1] *Przegląd Powszechny*, kwiecień 1907, str. 112 nast.

60.000. W Barcelonie przyczynili się mimowoli do uświetnienia wiecu anarchiści, którzy z rewolwerami w ręku rzucili się na katolików, przez to jednak osiągnęli wprost przeciwny skutek.

Piękny przykład dało duchowieństwo świeckie, które z hasłem *quien defiende la Religión defiende la patria,* stanęło jak jeden mąż w obronie zakonów.

Kardynał-prymas z Toledo w telegramie do prezydenta ministrów nazwał projekt ustawy »pogwałceniem wolności sumienia i Kościoła, atakiem na religię narodu«, a w obszernym memoryale do króla Alfonsa prosił monarchę o odmówienie sankcyi nowemu prawu, przypominając równocześnie z apostolską iście szczerością i otwartością królowi »ekskomunikę i kary kanoniczne spadające na tych, co sobie przywłaszczają prawa kościelne i gardzą uświęconemi ustawami, które należą wyłącznie do Kościoła w rzeczach odnoszących się do zorganizowania życia religijnego, do przepisów dyscyplinarnych lub zapewnienia materyalnej egzystencyi tym wszystkim, którzy idąc za głosem powołania, żyją dla uświęcenia swej duszy i pełnią rady przez Boga dane«.

Rząd wobec takich ataków ostać się nie mógł i upadł. Nowe wybory do parlamentu, więcej jeszcze do senatu, wypadły fatalnie dla stronnictwa liberalnego i odsłoniły nowe rozdwojenie w obozie liberalnym, gdyż wbrew wydanemu przez liberałów hasłu, aby się wstrzymać tak od czynnych jako też i biernych wyborów, wielki procent członków stronnictwa nie poddał się wezwaniu wodzów. To, i mowa tronowa króla, stwierdzająca, że pragnie on zgody z Rzymem i wraz z krajem za zaszczyt sobie uważa, że Ojciec św. zgodził się zostać ojcem chrzestnym infanta wskazuje niezbicie, że na jakiś czas, daj Boże najdłuższy, znowu zapanuje spokój.

Z anglikańskiego życia religijnego.

Kilka znamiennych szczegółów z praktyk religijnych w kościele anglikańskim podaje *Official Year Book of the Church of England;* stwierdza on, że praktyki religijne i duch religijny w Anglii wykazują stałą zniżkę.

I tak w r. 1893 wyświęcono 746 dyakonów, w 1905 r. 624 a w roku 1906 tylko 587.

Kościołów wybudowano, odnowiono lub konsekrowano w 1903 roku 83, a w 1995 tylko 39, choć, jak stwierdza rocznik, wszystkie dyecezye odczuwają niesłychanie tak brak księży jako też i kościołów.

Do bierzmowania przystąpiło w 1895 roku 228.348 osób, w 1905 r. 230.339 a w 1906 o ośm prawie tysięcy mniej czyli 222.868. Przyczyn tego obniżenia się upatruje rocznik w tem, że choć rodzice żądają, aby ich dzieci sakrament bierzmowania przyjęły, pragną jednak stanowczo, aby to uczyniły we własnej parafii a to znowu z powodu zbyt małej liczby biskupów jest niemożliwe, nie są oni przecież w stanie wszystkich parafii wizytować.

Komunię wielkanocną przyjęło w 1905 r. około 2,223.207 osób, w 1906 roku 2,053.455. Przyczyn tego ostatniego zjawiska byłoby, według rocznika, dwie: duch stronnictw, który wytwarza niebywałą wzajemną nietolerancyę i brak silnych zasad i stałego przekonania, czego znowu skutkiem jest brak gorliwości. Pocieszającym jest jedynie fakt, że wzrasta liczba chrztów osób dorosłych.

Wyjątkowego za to znaczenia dla anglikańskiego Kościoła jest przygotowujący się na 1908 r. *Pan anglican congress,* który zgromadzić ma biskupów wszystkich Kościołów złączonych z arcybiskupstwem w Canterbury. Obrady odbywać się będą nad następującemi kwestyami:

a) Kościół i społeczeństwo ludzkie; *b)* Kościół i myśl ludzka; *c)* Kościół i jego słudzy; *d)* Kościół i misye w pogańskich krajach; *e)* Kościół i misye wśród chrześcijan; *f)* Jedność anglikańska.

Sześć wielkich sekcyi ma przez sześć dni równocześnie każda nad jedną z tych ważnych zagadnień pracować; codziennie wieczorem na wielkich zgromadzeniach ludowych, będą najlepsi mowcy Jedności anglikańskiej omawiać powyższe kwestye, a przygotowujące się zgromadzenie dzieci już dziś wywołuje zainteresowanie.

Niezależnie od tego *Pan anglican congress* odbędzie się w październiku roczny kongres kościelny w Great Yarmouth z następującym programem:

a) Kult i organizacya Kościoła, *b)* działalność socyalna Kościoła (prasa, socyalizm, wstrzemięźliwość), *c)* Inspiracya Kościoła i jego misya krzepienia dusz.

Uroczyste kościelne nabożeństwo, odprawione w starej parafii św. Mikołaja, zakończy kongres[1].

Obrazki z protestantyzmu.

Ciekawą, jedyną chyba w swym rodzaju ankietę, podaje w ośmnastym zeszycie *Christliche Welt.* Profesor protestanckiej religii w pewnem wyższem gimnazyum dał swoim uczniom następujące pytanie do rozwiązania: »Cobyś powiedział lub uczynił, żeby katolika o błędności jego religii przekonać?« Zauważył przytem, że nie chodzi mu wcale o rozniecenie nienawiści, lecz o poznanie i pogłębienie różnic obydwóch wyznań. Odpowiedzi wypadły klasycznie i typowo i dadzą się zreasumować do czterech:

1. Nie można przekonać katolika o przewrotności jego religii; ci ludzie są tak zacietrzewieni, że wszelka praca jest daremną.

2. Ośmieszam przed katolikami ich religijną blagę i wszystkie głupstwa, w które wierzą.

3. Siła przekonania katolików, ich mocna, surowa wiara imponuje mi.

4. W takie rzeczy się nie mieszam; niech każdy wierzy, w co chce.

Nastąpiło więc pewne rozczarowanie: »Protestanci — pisze autor ankiety — schodzą przed katolikami z pola, owszem katolicyzm imponuje im nawet, chociaż trochę tylko wykształconym protestantom i tak zwanej intelligencyi nasuwa się prawie mimowoli przekonanie, że ‚katolicyzm jest niedorzecznością, błazeństwem, głupotą, jak np. kult relikwii, nieomylność papieża i t. d.'. Jedyna pozytywna rzecz, którą nasz prymaner powiedzieć o katolicyzmie może, jest ta: ‚ośmieszam katolika i wykazuję mu niedorzeczność jego religii?' Czyż nie są to upokarzające fakta? Czyż protestanci tak mało mają dla katolicyzmu zrozumienia? Czyż nie jest smutnem, że dla protestanta te dwie rzeczy: być katolikiem i narwanym są mniej więcej jednoznaczne? Jakżeż w takim razie oba wyznania porozumieć się mogą? Czyż nie jest to smutnem, że przeciętny protestant uważa katolików za tak za-

[1] *Revue cath. des Eglises* 1907. n. 4.

cietrzewionych i tak opacznie wychowanych, że już naprzód rezygnuje z wszelkiego na nich wpływu? Czyż nie jest to smutnem, że katolicyzm nawet, choć ujarzmia sumienia, jeszcze protestantom imponuje? Czyż nie jest wreszcie smutnem..., że protestanci w kwestyach przekonań są tak nad miarę tolerancyjnymi, że się w takie rzeczy najchętniej wcale nie mieszają?... Cóż może być katolikom milszem, jeżeli nie ta oziębłość protestancka, ich lęk przed katolicką siłą przekonań i wyniosła pogarda, jaką protestanci zewnętrznym formom katolicyzmu okazują, a które niedostatecznie znają? Jak długo szerokie warstwy protestantów tak sądzić będą, jak to powyższe cztery poglądy wykazują, pozostanie potęga katolicyzmu w Niemczech niezmożona«.

Po tych tragicznych, trochę komizmem trącących utyskiwaniach, schodzi autor »do prostej powieści«. Na pytanie: co więc czynić? odpowiada: trzeba szerzyć zrozumienie istoty katolicyzmu i starać się o środki, by z wewnątrz go zwalczać.

»Zrozumienie to pierwsza konieczna rzecz. Nie wystarcza, powiedzmy to sobie raz, gdy protestant o katolicyzmie tyle tylko wie, że jest on śmiesznym i niedorzecznym. Krzykiem i pogardą niczego nie osiągniemy, milczeniem i ignorowaniem do celu nie dojdziemy, a przekonaniem można zachwiać, choć powoli i z trudnością. Trzeba nam ożywić protestanckie sumienie...; trzeba, żeby nasi protestanci potrafili wżyć się w katolicki sposób myślenia, żeby w kulcie relikwii i Świętych, w kulcie Maryi, nieomylności papieża i t. d., widzieli nie tak niedorzeczność, jak raczej pewien rodzaj i stopień religijnej myśli i religijnego rozwoju«.

Żeby katolicyzm z wewnątrz zwalczać, trzeba uświadamiać szerokie masy i wykazywać, że katolicyzm jest religią i systemem bezwarunkowego autorytetu i jako taki odpowiedni dla umysłów niesamodzielnych, poniżający i upokarzający dla samodzielnych; że katolicyzm jest religią nastroju, mistyki i cudu, protestantyzm religią dla myślących, wykształconych ludzi o skrystalizowanej myśli i silnej woli, a nie dla sentymentalnych kobiet i dzieci; że katolicyzm jest wreszcie religią uzmysławiającą rzeczy duchowe i niewidzialne czyli religią sztuki. Protestantyzm nie gardzi sztuką,

żąda jednak, żeby rzeczy duchowe i niewidzialne uznawać za główne, a dla skorupy nie pomijać ziarna.

Ten sposób pojmowania i zrozumienia katolicyzmu miałby więc prowadzić do ułożenia się stosunków między dwoma wyznaniami, rozumie się kosztem katolicyzmu. Katolicy niemieccy za taką na prawdę nieproszoną opiekę prawdopodobnie podziękują, oni żądają jednego tylko: sprawiedliwości, a tej im protestanci dać nie chcą.

Niedawno dopiero rząd brunszwicki pogwałcił prawa katolickie do szkół na korzyść szkół protestanckich; katolicy zwołali na 15 kwietnia protestujące zgromadzenie i usłyszeli ku swemu zdziwieniu, że pieszo idący człowiek ma inne prawa, jak cyklista, ten znowu inne, jak jadący na automobilu.

»Nie — pisze w *Neueste Nachrichten* (numer z 23 kwietnia) pastor Engel — nie możemy udzielić każdemu równych praw, możemy tylko oddać każdemu to, co mu się należy. Katolicka ludność w ciągłym znajdująca się ruchu, nie może posiadać tych samych praw, jak osiadła ewangelicka; nie możemy dać tych samych przywilejów katolickim szarym siostrom, jak niezbędnym ewangelickim dyakonisom — katolickich do pielęgnowania chorych nie potrzebujemy... Gdybyśmy inaczej postępowali, wyrządzilibyśmy krzywdę ludności ewangelickiej i wspomagalibyśmy tylko katolickie dążności do robienia prozelitów«. Są jeszcze i dziś — daje na to odpowiedź *Kölnische Volkszeitung* — między protestantami ludzie, żyjący w przekonaniu, że każdy protestant przychodzi na świat z ostrogą, a każdy katolik ze siodłem.

Fakt brunszwicki nie jest odosobnionym. Niedawno powołano profesora protestanckiej teologii w Wiedniu, d-ra Feine, na takąż samą katedrę w Wrocławiu. Ten zażądał, aby fakultet ewangelicko-teologiczny w Wiedniu wcielono do tamtejszego uniwersytetu, ministeryum jednak odpowiedziało, że protestanci mogą w Austryi dwa fakultety otrzymać: niemiecki w Gracu i czeski w Pradze, lecz nigdy w Wiedniu; pewien wyższy urzędnik zapytał nawet prof. Feine, coby też powiedzieli protestanci, gdyby katolicy zażądali osobnej katedry dla teologii na wszechnicy w Berlinie; żyje przecież w stolicy Niemiec przeszło 300.000 katolików,

w Wiedniu tylko około 80.000 protestantów. Rozgniewany profesor czyni rządowi austryackiemu gorzkie wyrzuty w *Oesterreichische Rundschau*, gdzie między innemi czytamy dosłownie zdanie: »Gdyby Kościół katolicki na uniwersytecie berlińskim zażądał katedry teologii, byłoby to w oczy bijącą prowokacyą«. Prawda! *duo si faciunt idem!*...

Podczas gdy prowokacyą ze strony katolickiej była sama nawet myśl urządzenia zjazdu w Berlinie, gdy prowokacyą jest praca apostolska prowadzona w różnych państewkach niemieckich, a nawet według pastora Engla, praca podjęta w Kilimandżaro i Kamerunie, nie jest prowokacyą działalność pruskich pastorów na terenie austryackim, rozciągająca się coraz więcej na sam Wiedeń. Z tryumfem donosi wyższa rada kościelna w Wiedniu do pisma *Der alte Glaube*, że 4.364 osób przeszło w ubiegłym roku na protestantyzm, podczas gdy tylko 1.297 wróciło do katolicyzmu, tak że ogółem cyfra nawróconych do czystej Ewangelii wynosi w ostatnich latach 42.595 dusz. »Te nawrócenia otwierają protestantyzmowi widoki w szczęśliwą przyszłość«, tem bardziej, że ruch poczyna się szerzyć szczególniej w wiedeńskiej superintendenturze, która sama dała prawie połowę nawróceń. *Alter Glaube* wita z radością ów fakt, który odtąd pozwoli z większym skutkiem pracować i wywierać większy wpływ na kształcącą się młodzież i zbliżone do niej koła. To nie jest prowokacyą, przeciwnie rzeczą wprost zrozumiałą.

Na zakończenie humoreskę. »W Sceaux pod Paryżem umarł znany jako Leon Taxil a osławiony z powodu swych religijnych mistyfikacyi Jezuita, Gabryel Jogand«. Tak pisze wyraźnie w numerze 90 *Frankfurter Zeitung*, i podaje swym czytelnikom w zupełnie poważnym tonie następującą piękną historyę: »Wspaniałomyślnie ofiarował Taxil paryskim Jezuitom ogon dyabła Bitru, który mu się udało uciąć głupiemu dyabłowi podczas jego ostatniego spotkania się z Dianą Vaughan. Najdziwniejszem w tej sprawie było to, że Jezuici, których przecież uważają za szczwanych lisów, ogon dyabelski nie tylko przyjęli, ale i z tryumfem, choć i z pewną ukrytą trwogą, wszędzie pokazywali. Po niejakimś czasie zaczęli jednak poznawać, że ogon dyabelski jest dziwnie

podobny do wygarbowanego ogona lwa; wzięto więc Taxila na spytki, a wtenczas przyznał się, że obciął ten ogon z leżącej przed łóżkiem lwiej skóry. Swoją drogą historykowi obyczajów nie będzie wolno pominąć milczeniem faktu, że francuscy Jezuici w dziewięćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku przyjęli z rąk Leona Taxila z radością i wdzięcznością ogon dyabła Bitru. Ten ogon na zawsze do nich się przyczepił«.

Na tem kończymy nasze obrazki z protestantyzmu.

Ks. Wiktor Wiecki.

Listy z Warszawy.

(Marzec, kwiecień, maj 1907 roku).

Wybór posłów do drugiej »dumy« (w drugiej połowie marca) przytłumił na pewien czas wrzawę polityczną. Odetchnęły trochę salony, redakcye, kawiarnie, restauracye, domy prywatne, ustały spory o programy, o kwalifikacye kandydatów i t. d.

W porównaniu z wyborami do sejmu w innych państwach konstytucyjnych, odbyły się wybory w Królestwie bardzo spokojnie, bardzo przyzwoicie. Kandydaci przeciwnych stronnictw nie wymyślali sobie publicznie od: złodziejów, oszustów, rabusiów, nie brali się na wiecach za gardła, nie wyrzucali się za drzwi.

Jeszcze się u nas namiętności polityczne nie rozkołysały na dobre, jeszcze *furia politica* nie starła z ludzi tynku kultury. Po cichu miotali na siebie nasi »mężowie stanu«: czarną sotnią, idyotami, wstecznikami albo warchołami, jak im wypadło, były to jednak tylko, w porównaniu z wybuchami namiętności politycznych innych społeczeństw bardzo niewinne pomyje.

Z ukończonemi wyborami do dumy, ustały wiece polityczne ku zmartwieniu wielkiego mnóstwa wiecowników. Wiece stały się dla Warszawy rodzajem taniej zabawy, widowiska, sportu. Za kilka złotych albo nawet za darmo można przepędzić kilka godzin w ładnej sali, widzieć dużo ludzi, tualet, słyszeć, krytykować różnych »ojców ojczyzny«, nauczyć się tego, owego, zebrać sobie materyał do gawędy, do dysput. Głównie młodzież męska i żeńska i cały tłum próżniaków, których w Warszawie, jak wogóle w Polsce, nie brak, zaczął się nudzić bez wieców.

Znudziła się także bez wieców liczna gromada ambitników, których każda podniecona temperatura polityczna hoduje. Bo to tak przyjemnie wydostać się tanim kosztem na widownię publiczną, być znanym, głośnym bez wielkiego wysiłku. Czasem wystarcza kilka jaskrawych frazesów, wygłoszonych z dobrych, zdrowych płuc do zajęcia na jakiś czas wybitnego stanowiska. Na jakiś czas oczywiście tylko, probierz bowiem dłuższego czasu zabija bez litości wszelkie efemerydy.

Więc gdy zabrakło wieców politycznych, komponowano sobie wiece inne. Przez cały marzec wiecowała Warszawa bezustannie. Wszelakiego rodzaju lekarze i lekarki dobrá publicznego, etyki, życia rodzinnego, szkoły, kultury, stosunków ekonomicznych i licho wie czego, oświecali głodną wiedzy, wrażeń i zabawy rzeszę. Największe powodzenie miały oczywiście te wiece, na których pierwsze skrzypce grali t. zw. niezawiśli działacze-mowcy czyli skrajni wywrotowcy. Ci panowie są majstrami w wywoływaniu skandalu a tam, gdzie jakiś skandal ożywia nudną gadaninę, można się zabawić.

Gadający politycy, moraliści, pedagogowie i t. d. wiecowali żwawo, a socyalizm wojujący gospodarował tymczasem po swojemu, nie troszcząc się o wiece etyczne.

Frakcya rewolucyjna Polskiej Partyi Socyalistycznej daje bezustannie o sobie znaki życia to tu, to tam, a wszędzie, gdzie się odezwie grzmią browningi i leje się krew.

Straszliwym, okrutnym był napad bojowców (19 marca) na filię warszawskiej poczty przy ulicy Wspólnej.

Około południa są zwykle poczty nabite publicznością. Ludzie przychodzą o tej porze po przesyłki pieniężne, wysyłają telegramy i listy rekomendowane. Taką chwilę wybrali sobie bojowcy do napadu.

Napad w jasny dzień, w mieście, którego ulicami przeciągają bezustannie patrole, musi się odbyć bardzo szybko, piorunem, aby się mógł powieść. W takich razach niema czasu do medytacyi, do spokojnego planu. Cały plan może polegać tylko na sparaliżowaniu postrachem urzędników i publiczności zanim ci, coby chcieli kasy bronić oprzytomnieją z pierwszego przerażenia.

Niezmiennie powtarza się ta sama taktyka we wszystkich napadach bojowców. Wpadają jak burza, strzelają na oślep, nie uważając na kogo, zabijają, nie wiedząc kogo, ograbiają kasę i uciekają.

Dziewięciu niewinnych ludzi zamordowali bojowcy przy ulicy Wspólnej i kilkunastu ranili. Między innymi zabili naczelnika poczty, Oleszkiewicza, ojca sześciorga drobnych dzieci, biedaka, który dochra-

pał się właśnie po latach trzydziestu lepszego stanowiska i obfitszego chleba dla rodziny.

Bezmyślna brutalność ostatniego wielkiego napadu bojowców odjęła im resztę sympatyi w Warszawie. Nawet »entuzyaści wolności« zrozumieli nareszcie, że w ten sposób nie zjednywa się przyjaciół dla »apostołów wolności«.

Oburzenie całego miasta ruszyło trochę sumienie bojowców. Zwykle chwalili się oni natychmiast po każdym takim napadzie w swoim *Robotniku* czynem bohaterskim, »pokwitowywali konfiskatę«, tym razem jednak milczeli dość długo, kilka tygodni, zanim zdobyli się na odwagę przyznania się do grabieży i mordu. Przyznali się jednak wkońcu, tłumacząc się tem, że chcieli tym śmiałym napadem »dowieść rządowi bezsilności stanu wojennego i sądów polowych«.

Niechby sobie eksperymentowali, ile im się tylko podoba, ale bez krzywdy niewinnych ludzi i sierót. Takie eksperymenty polityczne chybiają celu, bo miażdżą tylko nieszkodliwych, bezbronnych.

Krwawa działalność bojowców frakcyi rewolucyjnej Polskiej Partyi Socyalistycznej osłabła nieco po rozłamie w łonie naszego socyalizmu. Bojowcy urządzają wprawdzie ciągle swoje śmiałe wyprawy po złote runo, ale coraz rzadziej i z mniejszym rezultatem. Napadają głównie mniejsze stacye kolei żelaznych, bronione zwykle tylko przez jednego żandarma. Nie sztuka rozgromić taki posterunek, ale niewiele też z tego pociechy. Łup bywa zwykle bardzo skąpy, małe bowiem stacye nie przechowują w swoich kasach ogniotrwałych znaczniejszych sum pieniężnych.

Słabnie także powoli ruch bandycki. Szubienica i kule sądów polowych zrobiły spory wyłom w legionie tych zuchów. Wielu rabusiów opuściło kraj, rozlało się po ziemiach sąsiednich albo popłynęło do Ameryki. Odważniejsi lub świeższego zaciągu zbrodniarze omijają Warszawę, gdzie się policya stała czujniejszą i zręczniejszą, gdzie teraz tajni agenci, zamiast uciekać, jak dawniej bywało, gonią i strzelają. Swojego rodzaju kolektywiści operują głównie na prowincyi. Łatwiej napaść na dwór, na plebanię, na zagrodę chłopską, łatwiej ograbić i zamordować ludzi bezbronnych. Kieleckie i Lubelskie jest najulubieńszym terenem bandytów wiejskich. W Lubelskiem grasował jakiś Lis. Był to opryszek dużej ręki, nieustraszony, odważny, zuchwały, jak brygant włoski. Kiedy władza kładła na nim rękę, »bronił się z zaciętością ranionego lwa«. Zatarasował się w kuźni i strzelał. Całą

kompanię wojska trzymał przez kilka godzin na końcu swojej lufy. Armatę trzeba było sprowadzić, żeby go wziąć.

Jaka szkoda takiego zucha. Coby to był za żołnierz, gdyby zamiast kraść, rabować i zabijać, bronił ojczyzny.

Mnóstwo ludzi niezwykle odważnych zabiła i zdemoralizowała anarchia w połączeniu z doktryną kolektywistyczną. I właśnie ta demoralizacya, to pchnięcie proletaryatu na drogę grzechu, zbrodni, jest najcięższą winą nierozważnych agitatorów. Podali oni do rąk młokosów, wyrostków, dzieci nawet bomby i browningi, nauczyli ich zabijać — podniecili nieszlachetne apetyty wydziedziczonych lub chciwych użycia, stworzyli, nie chcąc tego oczywiście, nie spodziewając się takiego rezultatu, legion opryszków, zatruli duszę robotnika i proletaryatu intelligentnego. Doszło do tego, że można dziś w Królestwie za kilkanaście, za kilkadziesiąt rubli nająć morderców i sprzątnąć człowieka, jeżeli komu zawadza. W ten sposób zginął w Warszawie dr. Józef Drzewiecki, a w Łodzi artysta-malarz Grajnert (w kwietniu).

Łódź, polski Manchester, ocieka cała krwią robotniczą. Z powodu otwarcia na nowo fabryk po ukończeniu w kwietniu lokautu, mordowali się robotnicy przez cały kwiecień, jak oszalałe zwierzęta. Jedni chcą pracować, drudzy upierają się przy bezrobociu, sądząc, że zmuszą w ten sposób fabrykantów do powolności. Dawniej spierano się w takich razach, ten i ów oberwał w gorącej dyspucie guza, dziś dobywa się od razu z kieszeni browning i zabija bez żadnego skrupułu. Krewni, przyjaciele zamordowanego ujmują się za nim, mszczą się i powstaje istna rzeźnia. »Krwawa Łódź« zajmie straszliwą kartę w dziejach naszej rewolucyi.

Wzywają bezustannie pisma morderców do opamiętania, oburzają się na nich wszyscy ludzie rozważni i uczciwi, ale głosy rozwagi i uczciwości są głosami na puszczy. Garstka rozjuszonych fanatyków i zbrodniarzy gospodaruje w naszych środowiskach przemysłowych, jak w lesie i nikt nie ma odwagi zdusić tej straszliwej gospodarki.

Bo byłby niesprawiedliwym, ktoby obwiniał o mordy łódzkie cały socyalizm wogóle. Socyalizm jako stronnictwo obejmujące cały proletaryat ochłonął znacznie po dwuletnich bezowocnych eksperymentach. Jego odłamy rozważniejsze zaczynają się już liczyć z istniejącymi warunkami, przytomnieją, usiłują skierować walkę o mrzonki kolektywistyczne w łożysko spokojniejsze. I znakomita większość robotników, złamana lokautem, nędzą, głodem, nawraca powoli. Zaledwie 5% proletaryatu roboczego upiera się przy pierwszych żądaniach i obstaje przy

pierwotnej taktyce. Ta drobna, bezwzględna garstka teroryzuje nie tylko cały świat robotniczy, ale całe społeczeństwo.

Gdzież szukać przyczyny tego szczególnego zjawiska?

Nie jest to wcale zjawisko szczególne, lecz bardzo stare, bardzo znane. We wszystkich rewolucyach teroryzuje garstka zuchwalców, nie mających nic do stracenia, ważących się na wszystko, nie przebierających w środkach, całe miasta, całe narody. Kanalia rządzi ludźmi przyzwoitymi z winy tych ludzi przyzwoitych, z winy ich tchórzowstwa. Ludzie przyzwoici, *les honnêtes gens,* mający zwykle coś do stracenia, mówią w rewolucyach za wiele, skarżą się, oburzają się, zamiast czynić, zamiast odeprzeć siłą siłę. Umieją z godnością cierpieć i umierać, ale nie umieją się odważnie bronić. Typem takiego człowieka przyzwoitego był Ludwik XVI i dlatego zamordowali go szubrawcy i zbrodniarze.

Ludzie przyzwoici, nie wyjąwszy rozważnych, uczciwszych robotników, postanowili się oprzeć rozkazowi socyalistów, nakazującemu powszechne święcenie 1 maja. Nie będziemy zamykali sklepów, nie wstrzymamy w miastach ruchu kołowego, będziemy pracowali!... A oto pozamykali kupcy sklepy, tramwaje i dorożki stanęły, znaczna większość fabryk świętowała. Bo kilkudziesięciu wyrzutków latało po mieście z brauningami i groziło śmiercią oponentom.

Ludzie przyzwoici są w rewolucyach tchórzami i dlatego rozkazuje im pierwszy lepszy chłystek, drapichrust, który umie zabijać.

Mimo nieustającego teroryzmu skrajnych żywiołów socyalistycznych, mimo ich konwulsyjnych rzutów w Łodzi, gaśnie powoli pierwszy, gwałtowny płomień pożaru ekonomicznego. Płomień ten tłumią ruiny, gruzy.

Tych ruin, gruzów dużo, ale nie takich jakich się socyaliści spodziewali. Wypowiedzieli oni wojnę głównie wielkim fabrykantom, a zrujnowali drobny przemysł.

Mówiło się w ostatnich czasach bardzo dużo o wielkim przemyśle polskim, ale tego wielkiego przemysłu polskiego właściwie dotąd u nas niema.

Nasz przemysł stworzony przez rząd polski jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego, zastał w kraju grunt zupełnie nieprzygotowany. Nie było ani kapitałów, któreby chciały poprzeć przemysł, ani swojskich sił wykonawczych, któreby go umiały wprowadzić. Tych kapitałów i tych sił dostarczyła Europa zachodnia, głównie sąsiednie Niemcy.

Nasze dawniejsze rządy autonomiczne ułatwiały cudzoziemcom zagospodarowanie się w naszym kraju i wspierały nawet subwencyami ich zakłady. Rozporządzenie namiestnika z r. 1823 usunęło wszystkie przeszkody przy osiedlaniu się cudzoziemców w Polsce i zastosowało do nich szereg ulg, co przyczyniło się do stworzenia takich gniazd przemysłowych, jak: Łódź, Zgierz, Pabianice, Orków, Zdudecka Wola. W r. 1822 wyasygnował rząd Królestwa na pożyczki długoterminowe dla zakładów przemysłowych 45,000 rubli, w r. 1823 już 90,000 a następnie poczynając od r. 1824, po 127,000 rubli rocznie.

Te ulgi, ułatwienia i pożyczki zwabiły do Polski żwawszych młodych cudzoziemców szukających u nas majątków. Jak do ziemi obiecanej ciągnęli do nas różni »webrzy« niemieccy, stworzyli prawie z niczego powoli z latami wielki przemysł fabryczny, który zbudował dla nich fortuny milionowe. Za Niemcami przyciągnęli Belgowie, Francuzi i Szwedzi i ta czereda cudzoziemska opanowała cały przemysł. Niektóre tylko posterunki odbili im Żydzi.

Nasz t. zw. przemysł polski jest więc dotąd właściwie rośliną importowaną przemysłem cudzoziemskim. Nie naszej krwi fabrykanci stoją na czele wielkich zakładów, nie my jesteśmy właścicielami fabryk pierwszorzędnych.

Wprawdzie zaczęło nasze społeczeństwo rycersko-rolnicze »trzeźwieć« po roku 1863-cim, zajmować się praktyczną stroną życia, ale nie zdołało dotąd wykształcić, wychować własnych przemysłowców w wielkim stylu. Mamy już zręcznych kupców, dobrych pośredników umiejących tanio kupić a drogo sprzedać, mamy sporą gromadkę chemików, inżynierów i dyrektorów, ale nie mamy jeszcze swoich wielkich przemysłowców, pomysłowych, doświadczonych, nie bawiących się w fantastyczne plany i hazardy, idących wolno, z rozwagą do wytkniętego celu. Temperament zresztą nasz niewytrwały, zrażający się łatwo klęskami chwili, nielubiący systematyczności, obowiązkowości, ścisłego rachunku i każdej, zbiorowej pracy, nie nadaje się do przemysłu.

W ostatnich latach kilkudziesięciu wyrosła na naszym własnym gruncie dosyć znaczna ilość fabryk, ale były to najczęściej zakłady drobne, — słabi, dorabiający się dopiero pionierowie przemysłu polskiego. I właśnie te pierwsze posterunki zdruzgotał wojujący socyalizm. Wielcy fabrykanci, razem wzięci straciwszy kilkanaście milonów rubli, stracili niewiele, tyle bowiem u nas zarobili, że mogli się spokojnie udać z resztą swoich milionów do Berlina, przeczekać burzę a nawet

ogłosić lokaut i wytrzymać go przez trzy miesiące. Ale fabrykanci drobni, nasi, początkujący, operujący głównie kredytem, zmuszeni liczyć się z każdym groszem, legli, jak młode kwiaty, podcięte wichrem. Wykazuje Komitet statystyczny miasta Warszawy, że rewolucya trzyletnia zamknęła, zniszczyła w Królestwie Polskiem około 2,000 mniejszych zakładów przemysłowych.

Nie wielkich kapitalistów rozgromił socyalizm wojujący, bo ci, siedząc na ogromnych workach złota, drwią sobie za granicą z jego brauningów i bomb, z jego strajków i doktryn, lecz zniszczył, cofnął o kilkanaście, kilkadziesiąt lat wstecz nasz swojski, dopiero kiełkujący przemysł i zubożył robotników i cały proletaryat wogóle. Chybił celu krwawy doktryner. Którym chciał pomódz, tych zgubił.

Kiedy się socyalizm przygotowywał do święta robotników, nasi posłowie pocili się w Petersburgu. Pocili się, bo znaleźli się w położeniu bardzo trudnem, zastali w stolicy cesarstwa gromadę ludzi, tworzących sejm, a nie wiedzących, od czego zacząć robotę prawodawczą. Jak do pierwszej dumy, przybyli i do drugiej posłowie rosyjscy z dynamitem w głowie, zamiast z rozwagą, z namiętną gadaniną, zamiast ze spokojnym, jasnym planem. Więc zamiast radzić nad środkami uzdrowienia państwa i narodów, zaczęli się od razu kłócić, obrzucać nawzajem obelgami, tracić czas na bezpłodne doktrynerskie rozprawy nad niezisziczalnymi projektami. Pracę prawodawczą drugiej dumy utrudnia jeszcze ta okoliczność, że w skład jej wszedł tym razem znaczny procent analfabetów politycznych.

W takiem położeniu postąpiło »Koło Polskie« tak, jak postąpiłby każdy człowiek rozumny: trzyma się na uboczu, słucha, przypatruje się, czeka i odzywa się tylko wtedy, kiedy trzeba koniecznie mówić.

Nie podoba się to oczywiście naszym niecierpliwym szowinistom politycznym, ale od szowinistów nie żąda nikt spokoju i cierpliwości. Najlepiej posłać ich do dumy, aby przypatrzywszy się z blizka sytuacyi, nauczyli się tam cierpliwości.

Trzy tylko występy »Koła Polskiego« w dumie w marcu, i kwietniu, zapisały się trwałemi literami w księdze naszego młodego parlamentaryzmu: sprawa budżetowa, autonomia Królestwa, i głosowanie za nowym kontygentem rekrutów. Tylko ostatni fakt stał się już faktem — reszta wisi jeszcze w powietrzu.

W życiu warszawskiem — pomyślna nowina. Rząd potwierdził po całorocznem wyczekiwaniu »Związek Katolicki«.

I jeszcze jedna dobra nowina. Tygodnik »Wiara« zwołał do Warszawy na czerwiec zjazd pisarzów i publicystów katolickich.

Katolicy Królestwa ruszają się nareszcie.

Teodor Jeske-Choiński.

Z dokumentów historycznych.

Nowy szczegół i nowe wątpliwości do życia Kościuszki.

Ostatnie miesiące pobytu Tadeusza Kościuszki w kraju przed powtórnym wyjazdem za granicę (a następnie do Ameryki), należały i należą ciągle jeszcze do najmniej zbadanych ustępów jego życia. Pomnikowe dzieło Korzona dało nam po raz pierwszy wogóle coś pewnego, coś sprawdzonego krytycznie do tego okresu; bez sumiennej pracy warszawskiego Nestora trwałby jeszcze ciągle chaos legend, poprzyczepianych później do życia bohatera.

Trudno zwłaszcza o dokładne daty z drugiej połowy 1775 r. i z pierwszej 1776 roku. Przedział czasu pomiędzy dwiema najbliższemi, a zupełnie pewnemi datami, jest tu stosunkowo olbrzymi, jakkolwiek już przez prof. Korzona uszczuplony. Wiemy, że Tadeusz Kościuszko zeznawał akta prawne w Sławinku (o cztery wiorsty od Lublina), dnia 9 i 10 października 1775 — a potem późną wiosną 1776 (prawdopodobnie w czerwcu), wyjechał z Francyi do Ameryki.

Kiedy opuścił kraj i wśród jakich okoliczności — to było wątpliwem. Dzięki Korzonowi dowiedzieliśmy się, że wyjechał z Polski, bo nie mógł znaleźć w armii ojczystej odpowiedniego dla siebie stanowiska. Porobił więc odpowiednie pertraktacye majątkowe z krewnymi, żeby zebrać trochę więcej gotówki na wyjazd (zwłaszcza dopomogli mu Estkowie), a nadto przyjął podobno pożyczkę od Czartoryskiego, generała ziem podolskich, spotkawszy się z nim przypadkowo w Sławatyczach nad Bugiem. Bawił bowiem o wiorstę stamtąd, w Kurawce, u swej siostry Katarzyny (zamężnej Karolowej Żółkowskiej) i prawdopodobnie stamtąd ruszył w świat, galarem Bugiem i Wisłą do Gdańska, bo tą drogą taniej było podróżować, niż lądem. Pobyt w Kurawce wypada więc po 10 października 1775 r. i na podstawie prawdopodobieństwa oznaczył prof. Korzon wyjazd z kraju na połowę października 1775 r., nie rozstrzygając ostatecznie pytania, czy udał się w podróż lądem, czy wodą.

Obecnie możemy podać do wiadomości publicznej akt, który pomnaża niepoślednio wiadomości nasze o ostatnich czasach pobytu Kościuszki w Polsce w r. 1775.

Jest to następujący list własnoręczny Tadeusza Kościuszki:

z Dukli 19 Octobr. 1775.

Monseigneur

Iezeli smiem nieznaiomy pisac do JWWImc Pana Dobrodzieja, to szczegulnie przez pomieszczenie wliczbie sług swoich mego Stryia, ktory wnadzieie łask nieraz doznanych pisze zamno, abys JWWImc Pan Dobrodziey wniosł powazną swą instancyą do Dworu Saskiego w Pomieszczeniu mie czyli w Reymencie czyli w Gabinecie, cobym lepiey wolał.

Wiem, zesiła trace przez niezostanie JWWImc Pana Dobrodzieia w Dukli, bo niemam szczęscia poznac osoby iego, o co się mocno starałem, powtóre wtymze rekomendacylnym liscie iezeli łaska nastąpi cozkolwiek utracam, gdyz przez nieobcowanie zemno niemozesz JWWImc Pan Dobrodziey smiele dac zalete iakieykolwiek zdatnosci moiey.

Krok moy uczyniony do Dworu Saskiego iest szczegulnym celim azebym był kiedys uzytecznym Oyczyznie Naszey y wypłacił się iey z obowiązku obywatelstwa, ale teraz w Polszcze chociasz chciano mie zazyc nieupatrowałem dlaniey zadnego uszczęsliwienia.

Sposobiłem się przez lat Pięc bycia mego w cudzych kraiach, wydoskonalic się, codo Rządu trwałego zuszczęsliwieniem wszystkich nalezy w Ekonomice y w Stanie Zołnierskim y to bydz tylko moze pobudka do dania mi rekomendacyi, gdyz usilnie się starałem tego nauczyc, ile ze y wrodzoną passyą do tych rzeczy miałem.

Chcieyze tedy JWWImc Pan Dobrodziey przez przywiązanie swoie do Oyczyzny y przez wnętrzne uczucie Ukontentowania zdania pomocy drugim, mnie zarekomendowac. Ia zas dozgonie wypłacywac się wdzięcznoscią przyrzekam, zostaiąc z powinnym uszanowaniem osoby.

Iasnie Wielmoznego Imc Pana
Dobrodzieia Naynizszym Sługą.

Tad: Kosciuszko
Kapitan Gw.

Ztąd iade do Krakowa, gdzie iezeli niezastane JWWImc Pana Dobr: poiade prosto do Drezdna y tam oczekiwac będe łaski iego.

List ten jest obecnie oddany redakcyi *Przeglądu Powszechnego* do naukowego użytku.

List nie jest adresowany, ale adresata domyśleć się łatwo. Wszak właścicielem Dukli był wówczas Jerzy Wandalin Mniszech, ożeniony z Anielą Brühlówną, a ta koligacya tłumaczy w lot, dlaczego Kościuszko szukał w Dukli protekcyi do dworu saskiego.

Przy pertrakcyach w Sławinku odbywanych w dniach 9 i 10 października, byli obecni (jak wiemy z Korzona) dwaj stryjowie Tadeusza: Jan Nepomucen i Faustyn. Który z nich liczył się »do sług« Mniszcha, mówiąc ówczesnym stylem, t. j. który z nich miał u Mniszcha posadę lub dzierżawę, nie wiadomo. Prawdopodobnie Faustyn. Tamten bowiem, Jan Nepomucen, był sobie już starostą krzemienieckim, podczas gdy o Faustynie niewiele wiadomo. Mozolne poszukiwania prof. Korzona co do rodowodu Kościuszków, wydały do osoby Faustyna rezultat skąpy, streszczony w kilku słowach: »1764 na elekcyi — 1772 napada na Tuszyn«. Więcej o nim nie wiadomo. Przepadł gdzieś w świecie. Można więc przypuścić, że trzymał się potem »pańskiej klamki« i w r. 1775 pozostawał w jakimś stosunku zależności od Mniszcha.

W Kurawce był tedy zjazd familijny, a jeden ze stryjów Tadeusza, prawdopodobnie Faustyn, dał mu list polecający do Mniszcha, który Tadeusz osobiście zawiózł do Dukli, chcąc się Mniszchowi przedstawić. Nie zastał go, a więc pozostawił list stryja i dopisał list od siebie. Obydwa listy pozostawił w ręku kogoś takiego, z kim mógł rozmówić się o ich treści, jakiejś osoby pozostającej z Mniszchem w stałych stosunkach (np. plenipotenta, proboszcza, starszego rezydenta), i dlatego list był niezapieczętowany i niezaadresowany.

Od Buga do Dukli droga wiedzie koło Krakowa. Była wiadomość o pobycie Kościuszki w Krakowie przed r. 1793, ale tak bałamutna, że prof. Korzon nie mógł jej uznać za autentyczną. Wojciech Mączyński twierdził, że Kościuszko wspominał przed nim w r. 1793, jakoby już przed 16 laty był w Krakowie, »należąc do garnizonu krakowskiego«. W jednym z domków przy linii A—B w Rynku Głównym w Krakowie była tradycya, że Tadeusz Kościuszko w nim mieszkał. Dom ten ma bronzową tablicę pamiątkową, obwieszczającą światu na podstawie rachunku Mączyńskiego, że późniejszy Naczelnik mieszkał tu w r. 1777. Jest to nonsens, boć wtenczas był w Ameryce. Ale w potocznej rozmowie tak łatwo pomylić się w obliczaniu lat! Mógł Kościuszko powiedzieć mylnie Mączyńskiemu, że był w Krakowie przed laty 16 (zamiast 18), a mógł też Mączyński przekręcić 18 na 16. Ale tradycyę domu przyjąć należy, poprawiając tylko datę na 1775.

Czy należał rzeczywiście do garnizonu krakowskiego — czy też

Mączyńskiemu tylko się coś zdawało, — rozstrzygnąć trudno bez specyalnych dochodzeń. Faktem jest, że nie wiemy, k i e d y Kościuszko wyjechał z kraju i można sobie datę wyjazdu przesuwać o c a ł e m i e s i ą c e. Po 19-tym października byłby jeszcze czas na należenie do garnizonu krakowskiego, jakkolwiek przez czas krótki. Ale pewnego nic twierdzić nie można.

To pewna, że w październiku 1775 r. nie myślał Kościuszko o Ameryce, ale o Saksonii. Te nadzieje zawiodły, a następnie mamy przed sobą dwa przypuszczenia:

1) być może, że pozostał w Krakowie i należał tu jesienią i zimą do garnizonu, a wczesną wiosną 1776 r. wrócił do Kurawki, a w Sławatyczach rozpoczął podróż galarami do Gdańska;

2) być może, że bawił w Krakowie tylko w przejeździe i jeszcze jesienią 1775 r. opuścił Polskę.

Na razie to tylko jest pewnem, że ze zjazdu rodzinnego w Kurawce pojechał do Dukli, i był w Krakowie. Do Mniszcha spieszyło mu się, a więc prawdopodobnie był w Krakowie z powrotem z Dukli, po 19-ym października 1775 r.

Nie da się też jeszcze orzec, kiedy zrodziła się myśl wyjazdu do Ameryki. Trzebaby przedtem wiedzieć, czy Mniszech czynił jakie starania w Dreznie i czy Kościuszko oczekiwał może w Krakowie na ich rezultat?

Dr. Feliks Koneczny.

VIII. Międzynarodowy kongres rolniczy w Wiedniu.

Pod przewodnictwem księcia Karola Auersperga odbył się w Wiedniu między 21 a 25 maja międzynarodowy kongres rolniczy. Obradowano na nim w 11 sekcyach w sprawach agrarno-ekonomicznych, nauczania rolniczego, uprawy roli, roślin, chowu bydła, gospodarstwa mlecznego, melioracyi rolnych i leśnych, przemysłu cukrowniczego, spirytusowego i browarniczego, ochrony roślin i pożytecznych zwierząt, leśnictwa, uprawy wina i sadownictwa.

Rezultaty kongresu, w rozmaitych dziedzinach nauki rolniczej bardzo doniosłe, omówione będą szczegółowo w pismach fachowych. Tu wystarczy nadmienić, że pp. prof. dr. Edmund Godlewski, prof. dr. Janczewski, dr. Goliński, Maurizio, dyrektor Frommel, prezes Dzierzbicki z Warszawy, Dołkowski i Załęski z pod Krakowa, Dembiński

z Kujaw, Czecz z Bierzanowa i Woyciechowski z Czernichowa z Polaków zabierali w tych sekcyach kilkakrotnie głos, chlubnie zaznaczając pracę polską na polu postępowego rolnictwa i leśnictwa.

Kwestye, które budzić mogą ogólniejszy interes, były przedmiotem obrad jedynie w sekcyi ekonomicznej. Tu na wniosek hr. Roberta Żeleńskiego z Żelanki, radcy tajnego i wiceprezesa Towarzystwa rolniczego w Buda-Peszcie oraz hr. Leopolda Kolowrat-Krakowskiego po bardzo ożywionej dyskusyi, w której udział brali pp. Simitsch von Hohenblum i redaktor Edmund Klapper z Berlina, tudzież książe Ferdynand Lobkowitz, kongres niemal jednomyślnie bo wbrew jedynemu tylko głosowi słynnego statystyka i członka izby panów, excelencyi Inama-Sternegga uchwalił oświadczyć się za międzynarodowym zakazem handlu terminowego zbożem.

Pod przewodnictwem księcia Schönaich-Carolath obradowała sekcya nad kwestyą utrzymania stanu włościańskiego. Referat główny przedstawił wiceprezes trybunału państwa, były adwokat i poseł, dr. Grabmayr; referat drugi wygłosił sekretarz ministeryalny i docent akademii rolniczej, dr. Hofmeister. W dyskusyi zabrał głos excelencya Thiel, baron Hattlingberg, dr. Jackowski, prezes towarzystwa rolniczego w Poznaniu i dr. Leopold Caro. Dr. Jackowski żądał, aby kongres oświadczył się za kółkami rolniczemi i towarzystwami, opiekującemi się włościaństwem, których wzory znajdują się w Księstwie Poznańskiem; dr. Caro domagał się uchwalenia rezolucyi, oświadczającej się za wprowadzeniem ustawy przeciw lichwie w tych krajach, w których ona jeszcze nie obowiązuje, za rozszerzeniem ustawy austryackiej o lichwie do wszystkich interesów kredytowych nie tylko do pożyczkowych, oraz za najsurowszem stosowaniem ustawy także i przeciw rozmaitym banczkom lichwiarskim, wskazując w szczególności na wyzysk ludu ruskiego we wschodniej Galicyi, za którym — jak mowca oświadczył, — nie przestaniemy się ujmować mimo nienaturalnych sojuszów, jakie lud ruski w ostatnich czasach zawiera.

Do rezolucyi obu wnioskodawców przystąpili referenci i zostały też uchwalone.

Pod przewodnictwem Markiza Capelli, byłego włoskiego ministra rolnictwa, obradował kongres w sprawie międzynarodowego pośrednictwa pracy na podstawie referatów prof. Akademii rolniczej w Wiedniu, d-ra Schullern-Schrattenhofena oraz d-ra Horacka, profesora uniwersytetu w Pradze. W dyskusyi nad tą najważniejszą dla nas sprawą, skoro my dostarczamy robotnika w liczbie około trzech

kroć sto tysięcy (Galicya i Królestwo razem wziąwszy), a Niemcy z niego korzystają, dr. Leopold Caro określił warunki, pod którymi na takie międzynarodowe pośrednictwo pracy i odpowiednią organizacyę mógłby się zgodzić. Warunki te są następujące:

1) Dostarczanie zagranicy jedynie nadwyżki robotników niepotrzebnej w kraju a ustalonej w drodze organizacyi krajowych biur pośrednictwa pracy.

2) Usunięcie agentów prywatnych i wejście izb rolniczych pruskich w bezpośredni kontrakt z biurami publicznemi krajowemi.

3) Traktowanie robotników galicyjskich i z Królestwa tak co warunków kontraktu jako i co do prawa poboru rent z zakładów ubezpieczeń od wypadków tak dla nich, jakoteż dla ich wdów i sierót zupełnie na równi z robotnikami, poddanymi niemieckimi.

Mowca wniósł szereg poprawek do rezolucyi profesora Schullerna i profesora Horacka, mających na celu zastosowanie doświadczeń, zdobytych za granicą i przeniesienie postanowień ustawodawstwa francuskiego o możności wywłaszczenia prywatnych biur pośrednictwa i obowiązku gmin większych zakładania biur komunalnych do prawodawstw innych państw europejskich.

Profesor Montemartini, kierownik biura pracy w Ministerstwie rolnictwa w Rzymie, mówił o potrzebie organizacyi robotników rolnych, celem położenia kresu ich dotychczasowemu wyzyskowi przez pracodawców i wniósł również odpowiednią rezolucyę.

Rezolucye obu mowców zostały również przez referentów przyjęte i przez kongres uchwalone.

Nie był to przypadek, że w dyskusyi nad sprawą najdonioślejszą dla naszego kraju i skupiającą największą uwagę kongresu, przemawiali reprezentanci dwóch narodów, dostarczających robotnika innym i określili warunki, pod którymi takie dostarczanie robotnika może mieć skutecznie miejsce. Interesa Polaków i Włochów z jednej, a wszystkich innych narodów z drugiej strony, są pod tym względem sprzeczne. My dbać musimy o dobro naszych robotników i wypada nam skutkiem tego zająć stanowisko socyalno-polityczne, podczas gdy Niemcy zajmują ciasne stanowisko pracodawców; dało to powyższym dwom mowcom naturalną przewagę nad Niemcami i skupiło interes publiczny na tych wywodach. Nadewszystko zadowoleni byli Francuzi, Włosi i Anglicy, słysząc pochwały swoich urządzeń, a odkrywaną gospodarkę niemieckich pracodawców, wyręczających się agentami, obdzieraczami i krzywdzicielami ludu polskiego.

O braku robotnika rolnego mówili w sekcyi pierwszej, jako referent, hr. Józef Maylath, członek izby magnatów, oraz pp. Maschta i Washietl, dyrektor szkoły rolniczej z Celowca. W sprawie tej zabierali głos z Polaków panowie: dr. Stanisław Henryk Badeni, podnosząc obowiązki większej własności i potrzebę zbliżenia się i pracy nad ludem, nie tylko przed wyborami, ale zawsze, dr. Leopold Caro o powodach ucieczki robotnika rolnego do miast i sposobie przeciwdziałania temu, oraz profesor Woyciechowski z Czernichowa w tej samej kwestyi.

W sprawie oficyalistów prywatnych, w której referentem był Fryderyk Rovara, dyrektor dóbr na Węgrzech, zabierał głos również profesor Woyciechowski z Czernichowa podnosząc szereg bardzo trafnych uwag w sprawie dokładnie sobie znanej, której już od dłuższego czasu był rzecznikiem.

Profesor Kazimierz Rogójski, który miał mieć odczyt, niestety nie przyjechał; również nie przyjechali członkowie komitetu: prof. dr. Mikułowski-Pomorski, prof. dr. Waleryan Klecki, Andrzej Kędzior, dyrektor biura melioracyjnego we Lwowie, Roman Ingarden nadradca budownictwa ze Lwowa, Jan Götz z Okocimia i profesor Steingraber z Krakowa.

Piękną mowę wygłosił były minister rolnictwa i senator francuski, Méline na temat powrotu na wieś; naturalnie, że mowa ta obracała się tylko w ogólnikach, wszakże ze względu na osobę sędziwego mówcy, budzącego powszechną sympatyę, nie chybiła wrażenia. Sprawę unormowania stałego stosunku między nowopowstałym z inicyatywy króla włoskiego i Amerykanina, p. Davida Lubina międzynarodowym instytutem agrarnym a międzynarodowymi kongresami rolniczymi, przekazano komitetowi wykonawczemu do zbadania.

Miasto Wiedeń przyjęło uczestników wspaniałym bankietem, a cesarz dał dla nich recepcyą w rzęsiście oświetlonych salach wiedeńskiego Burgu.

Najbliższy międzynarodowy kongres rolniczy odbędzie się w Berlinie.

M-o.

Sprawy bieżące.

Oszczercza publicystyka.

Kiedy już musimy pisać o p. Breiterze i jego *Monitorze*, to będziemy się starali sprawić jak najkrócej. Zniżanie się do tego poziomu osładza nam ten fakt, że i starożytna kronika musiała pisać o szewcu Herostracie, kiedy ten rzucił żagiew na świątynię Dyany.

Herostratową chyba sławę chciał zdobyć p. Breiter, kiedy rzucał oszczerstwo na słoneczną kapłańską cześć dwu filarów Kościoła polskiego. Ale i tej najsmutniejszej ze sław nie zyskał. Świątynia stoi tak wysoko, że nie dosięgnie jej żaden pocisk, a sama próba takiego pocisku sprawia, że, w odpowiedzi na napaść, gromadzi się dziś naród cały i jednoczy w uwielbieniu i czci najwyższej dla dostojeństwa życia i zasług obydwu Arcypasterzy.

Jeżeli dziś bierzemy za pióro, w sprawie *Monitora,* to dlatego, że dalsze tolerowanie takiego pisma przez społeczeństwo, byłoby, po ostatnim wypadku, rzeczą nie do wytłumaczenia.

Uważmy. Od szeregu lat istnieje pismo, w którem z tygodnia na tydzień przelewają się brudne męty oszczerstwa, plugawiące wszystkie nazwiska, które tylko p. Breiterowi na myśl przywiedzie dowolny kaprys. Jakiegoś pana spodoba się p. Breiterowi nazwać złodziejem, drugiego oszustem, trzeciego rozpustnikiem, to już wystarcza, by w *Monitorze* pojawiły się trzy bezczeszczące artykuły. Może być, że w tej powodzi oszczerstw zdarzy się i relacya prawdziwa — tem to gorzej jednak dla tych, co padli ofiarą niesłusznej napaści. Przestaje wtedy istnieć dla publicznej opinii jakiekolwiek kryteryum sprawdzenia.

Jeżeli dotychczas nie rozpoczęto na seryo walki z tego rodzaju pismem, to chyba dlatego, że nie uświadamiano sobie dosyć rozmiarów tej taktyki — i wskutek tego, każdy dbający o swoją uczciwość i cześć mógł sądzić, że jest bezpiecznym od oszczerczej napaści. Niejeden z tych bezpiecznych zawodził się wkrótce gorzko, ale już było za późno. Tem samem, że padł ofiarą oszczerstwa, w opinii tracił głos do wyrokowania o *Monitorze.* Inni, co ocaleli, nie zdawali sobie sprawy, że każdego z nich w najbliższym zeszycie *Monitora* ten sam los może spotkać.

Aż wreszcie trafiła kosa na kamień.

Ostatni cyniczny atak na Arcybiskupów lwowskich, których podniosłe życie i szlachetny charakter całemu społeczeństwu są oczy-

wiste, jak na dłoni — uprzytomnia niezłomnie wszystkim ten fakt, że dalsze istnienie *Monitora* znosi w kraju publiczne bezpieczeństwo czci. Jeżeli przeciwko takiemu życiu takich ludzi mogło oszczerstwo się zwrócić, to któż bezpieczny przed niem będzie?

Trzeba więc zorganizować obronę. Społeczeństwo żadną miarą nie powinno do tego dopuścić, by w kraju ustało obywatelskie bezpieczeństwo, by cały kraj był brutalnie teroryzowany przez jednego maniaka.

Mówimy »maniaka« — bo ani przez chwilę nie może nam się pomieścić w głowie, by mógł istnieć umysłowo normalny człowiek o takim potwornym braku ludzkości. Pod groźbą procesu sądowego niejednokrotnie już odwoływał Breiter swoje oszczerstwa, miał więc sposobność przekonać się, że oszczerstwa popełniał, że deptał zatem nieuczciwie to, co człowiekowi jest najdroższe, że, w następstwie, zatruwał niejednemu, i łamał egzystencyę ludzką na całe życie. Jeżeli mimo takich smutnych doświadczeń uprawia zawód oszczerstwa dalej, owszem, z większą jeszcze zaciekłością, jak dotychczas, z posuwaniem się do nieprzypuszczalnych granic, to, przypuściwszy nawet największą przewrotność charakteru, trudno nam to zjawisko pojąć w pełności, bez przyjęcia, że zachodzi tu zboczenie umysłowe.

Kalumniomania jest takim samym objawem obłąkania, jak każde inne. Jeżeli zaś rodzina potrafi ubezwładnić wpływ członka, chorującego na podobne zboczenie, to wiele więcej środków po temu ma społeczeństwo. Sama ta idea, należycie uświadomiona przez prasę, potrafi *Monitora* w krótkim czasie zgładzić z powierzchni ziemi, bo któż zechce czytać brednie obłąkańca.

W każdym razie zaznaczyć musimy następującą uwagę: Dotychczasowa egzystencya *Monitora* dowodzi, że ci, co pismo to czytają a tem samem popierają prenumeratą, nie zoryentowali się należycie w sytuacyi i nie zdali sobie sprawy ze swego postępowania. Dalsze jednak popieranie tego pisma, po ostatnim wypadku, byłoby niepojętą lekkomyślnością, już choćby z tego względu, że każdy je kupujący dawałby subwencyę na wszelkie możliwe w przyszłości oszczerstwo na samego siebie.

Ks. J. Pawelski.

Druk ukończono 10 czerwca 1907 r.

WOBEC ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ WYBORÓW W GALICYI.

Pomimo zniesienia różnicy klas i warstw w uprawnieniu do głosowania pozostanie rozum zawsze tą sprężyną, która pod jednem hasłem skupia tysiące i jakby wyrównywa swym arystokratycznym pierwiastkiem te szczerby, jakie przez zniwelowanie różnic ustroju społecznego zostały poczynione.

Główną tedy pracą socyalną jest i będzie oświecenie mas i rozumne, świadome celu, kierownictwo.

Akt wyboru sam przez się jest bardzo pojedyńczą czynnością; zanosi się na miejsce wskazane kartkę, wrzuca się do urny i tyle, ale każdy wie, jak jednak na dobre spełnienie tego aktu wiele się składa, jak sięga on głęboko i wrzyna się w najwyższe interesa duszy, rodziny i państwa.

Do tego prostego i tak powszedniego, nieraz niezachęcającego aktu fizycznego potrzeba jednak wyborcy operować całym szeregiem pojęć i idei, które są wypadkową ideałów religijnych i obywatelskich.

Aby się o tem przekonać dosyć jest wstawić się w położenie wybierającego. Oto ile to rzeczy musi on dobrze wiedzieć, które pozornie z najbliższym aktem wyborczym nie mają nic wspólnego.

Przedewszystkiem musi wyborca wiedzieć dobrze o tem, że każdy poseł ma wpływ bezpośredni na prawodawstwo i że jest przypuszczony do współudziału w rządzie, że prawa sprawiedliwe

są gwarancyą szczęścia i rozwoju społeczeństwa — naodwrót niesprawiedliwe zagrażają jego najdroższym ideałom.

Z tego zasadniczego pojęcia wyłaniają się zaraz inne: Wyborca musi i to dobrze wiedzieć, że prawo w państwie, o ile to tyczy czy rodziny czy szkoły, raz uchwalone oddziaływa i na najbardziej oddalony i zapadły kąt i dotyka każdego obywatela. Jak prawo podatku dosięga każdej kieszeni, tak prawo idące w sfery duchowych podstawowych ideałów dosięga wolności sumienia i religijnego przekonania nieomal każdego, i skutki praw nie odbiją się na cudzej skórze, ale wprost na tym samym, który głosuje. Wyborca musi mieć dalej jasne pojęcie o bezpośrednim związku między aktem wyborczym a kwestyami religii i sumienia, musi jednem słowem, zrozumieć, że akt wyborczy jest nie tylko jego aktem obywatelskim, ale wprost aktem religijnym i etycznym.

Musi wreszcie umieć się dobrze rozeznać w partyach w kraju, ich tendencyach i prądach, w kandydatach, ażeby umiał sobie zdać z tego sprawę, jak i o ile ogólne idee dadzą się i mają się przystosować w praktyce, i jak mają się odzwierciedlić na samym terenie operacyjnym.

Otóż z tego wynika jasno, że pojęcia zasadnicze będące korzeniem idei potrzebnych do samego aktu muszą być dobrze znane, więcej należy powiedzieć: dobrze przyswojone każdemu, który idzie do urny wyborczej.

Na ogół więc jest niezbędną systematyczna praca uświadamiania.

Podług tego bowiem za co uważam akt wyborczy w teoryi, będę też zachowywał się w obec niego w praktyce:

Od tego bowiem pojęcia zależy czy go zaniecham dla złej pogody albo złego humoru, czy choćby pomimo choroby udam się raczej do sali wyborczej, aniżeli miałbym od głosowania się wstrzymać.

Czy mnie zmożą nerwy estetyczne, nie lubiące jak Zagłoba tłoku, czy też narażę się raczej na wszystko.

Od tego zależy, czy będę głosował w myśl pierwszego lepszego artykułu dziennikarskiego, albo jakiegoś widzimisię albo jakiejś korzyści osobistej, czy też w imię niezłomnej zasady.

Iluż to katolików głosuje na kandydatów wrogich tylko dlatego, że nie zdają sobie sprawy z doniosłości aktu, wprost nie znają konsekwencyi a już najmniej łączności i związku między aktem wyborczym a obowiązkiem sumienia! nie zdają sobie zaś dlatego, że nie zostały im te rzeczy wyświetlone. A jeśli elementarnego oświecenia potrzebują tu wykształceni, to cóż dopiero ci, którzy skazani są na to, by swe wykształcenie polityczne pobierać z broszur i występów wrogich religii agitatorów.

Pośród różnych kwestyi, które uświadomienia potrzebują, na czoło wysuwam jasne przedstawienie łączności religii i polityki.

Potrzeba ugruntowanych pojęć jest o tyle bardziej dziś piekącą, o ile przyszły parlament wejdzie w nawał przygotowanych postulatów religijnych, i o ile w szczególności będzie się zajmował kwestyami małżeństwa i szkoły i to z tej strony, z której kwestye te najściślej się łączą z religią i Kościołem.

Tej najoczywistszej prawdy wprost nie rozumie wielu katolików skądinąd oświeconych i inteligentnych; dla nich polityka jest zupełnie oderwaną od religii, dla nich mieszanie polityki do religii jest nadużyciem religii. Tymczasem przeoczają to, co im dziś codziennie fakta dziejowe przed oczy stawiają, i dzięki swemu krótkowidztwu idą w tej wierze pod jednym sztandarem z wrogami Kościoła i wiary.

Zapewne religia nie stoi w związku z pewnymi postulatami politycznymi, które z kwestyą religijną się nie schodzą. Pod tym też względem Kościół pozostawia najzupełniejszą wolność działania i nie miesza się w te kwestye. To też w takich razach gdzie np. chodzi o ten czy o ów system reformy wyborczej, czy też o ten czy o ów postulat ekonomiczny i tym podobne wolno każdemu działać jak chce. W tych sprawach katolickie partye polityczne nie mają monopolu na reprezentowanie myśli katolickiej i jakkolwiek mogą ze swego punktu patrzenia taki czy inny ogłaszać program, nie mogą tego czynić w imieniu Kościoła, i nie mogą mówić, iż kto inaczej sądzi, ten nie sądzi podług Kościoła. Ale z drugiej strony są postulaty w polityce, które ściśle wiążą się z Kościołem. A w takich razach pomiędzy wiarą a polityką najściślejszy zachodzi związek.

I dziś polityka na szerokim świecie stała się strategicznem polem, na którem stacza się walka prowadzona przeciw Kościołowi o najdroższe ideały: wiarę, rodzinę, szkołę.

Jakżeż więc można mówić o tem, że niema związku między polityką a wiarą! Czyż prawa ukute w Berlinie na polskie dzieci, czy prawa ukute we Francyi, wywłaszczające wprost Kościół, jeszcze za słabym są dowodem dla tych krótkowidzących, iż nie tylko jest związek, ale istnieje najściślejszy i najbezpośredniejszy między religią a polityką, a więc między religią a aktem wyborczym, który jest aktem wytwórczym ludzi, mających wpływ bezpośredni na życie polityczne.

Zwłaszcza dziś jest to uwzględnienie tego związku olbrzymiej doniosłości, gdzie państwa wyrzuciły ze swoich sumień prawo natury, gdzie każdoczesna większość parlamentarna może uchwalać, tak jak dziś we Francyi uchwala, prawa urągające najprostszym postulatom prawa natury, gdzie to, co się przed chwilą nazywało prostą kradzieżą i rabunkiem, teraz pokryte epitetem prawnym, staje się wedle dzisiejszych pojęć obowiązującem i świętem.

Jakżeż by więc mogli nie zrozumieć tego ludzie wierzący, iż twierdzenie o nieistnieniu łączności między religią a polityką równa się twierdzeniu, iż wolno Kościół i religię za pomocą polityki gnębić, uciskać, prześladować, konfiskować dobra, rugować z posad, tylko nie wolno Kościołowi tą samą bronią się posłużyć dla swojej ochrony i dla odparcia ataków, nie wolno nawet Kościołowi być obecnym na polu walki; jedno tylko wolno, w imię wyższości ponad polityką, dać się zaocznie skazać.

Jakżeż więc potrzebne jest i niezbędne uświadamianie ludu o łączności bezpośredniej aktu wyborczego z aktem religijnym.

Jak doniosłej jest wagi uświadomienie praktyczne ludu, przytoczę tu dwa prawie równoczesne przykłady, ostatnie wybory we Francyi i ostatnie wybory w Niemczech.

Nie należy wcale myśleć, że lud francuski był za dzisiejszą polityką antikościelną rządu francuskiego, nie, on jej nie chciał i sobie nie życzył, ale rząd przybrał w czasie wyborów pokojowe pozory, zręcznie deklarował o swej szerokiej tolerancyi

religijnej, łudził obietnicami i zwyciężył. Zwyciężył jednak dzięki temu, że kler nie posiadając wpływu u ludu, przyzwyczajony do oddzielania religii od polityki, nie mógł i nie umiał sumień ludu uświadomić i ułatwić mu wyprowadzenia konsekwencyi między principiami chrześcijańskiemi a głosowaniem na kandydata tegoż bloku, tak Kościołowi nieprzyjaznego.

W Niemczech tymczasem, gdzie rząd stara się zohydzić centrum, napiętnować jego dążności państwowe, lud oddaje swe głosy stronnictwu temu jeszcze liczniej, niż przedtem.

Tu i tam interesa ludu były w sprzeczności z prowadzoną agitacyą wyborczą rządu, tylko we Francyi brakło uświadomienia a w Niemczech ono było.

Wogóle to sobie uprzytomnić należy, że ostateczną ostoją nowej ustawy wyborczej jest sumienie ludu, więc od uświadomienia sumienia wszystko zależy.

Przy tajnym sposobie wybierania, jest bowiem akt wyboru uniezależniony od wpływów zewnętrznych opinii i terroru i jest postawiony li tylko na gruncie sumienia.

A trzeba sobie to powiedzieć, że sumieniem naszego społeczeństwa, w szczególności sumieniem naszego ludu, rządzi Bóg. To też ci, którzy próbują wedrzeć się do wnętrzna duszy ludu naszego, by jej nadużyć do złożenia głosu w urnę, wbrew interesom religii i Kościoła, ci muszą dopiero sztuką to czynić: raz ukrywają zręcznie swe właściwe plany, już to przedzierzgają się w aniołów światłości, zawsze zaś korzystają z tego, że sumienie ludu nie jest należycie uświadomione i rozgarnione przez tych, którzy są do tego powołani.

I jakież pole obfite do przeprowadzenia rachunku sumienia społecznego, bo pomyśleć tu sobie jakie są nieraz nierówne szanse nasze, a wrogów wiary. Myśmy na naszym terenie, sumienia nam oddane, jako przewodnikom, te same zasady wyznają co i my. Tamci przeciwnie: chcąc sumieniem ludu kierować wprzód muszą je albo popsuć albo obałamucić. Myśmy w posiadaniu: oni muszą zdobywać, myśmy u siebie, oni jak złodziej skradać się muszą. Lud nasz ma tak licznych przewodników w kapłanach, że codziennie każdy z nich nieomal z musu dosięga każ-

dego sumienia z osobna — przeciwnie agitator musi jechać ze wsi do wsi, znosić niewygody podróży, i w końcu po odjeździe zostawia najczęściej placówkę wolną i nieobsadzoną. Prawda, ma on to przed nami, że nie szczędzi obietnic i jadu żółci obficie rozlewanej. Jakżeby jednak łatwo te zakusy odpadły i odbiły się od zdrowej duszy ludu, gdyby ta była poprzód otrzymała uświadomienie polityczne!

Tu zarazem mają odprawę ci, którzy bezmyślnie za pressami i blatami wiedeńskimi powtarzają frazes o widmie niebezpieczeństwa klerykalnego.

Po odprawę dla samego pojęcia klerykalizmu odsyłam tych panów do znakomitych wywodów profesora Czerkawskiego, pomieszczonych w jednym z ostatnich numerów *Przeglądu*, gdzie to autor wykazał, że kapłan w życiu politycznem i programach politycznych katolickich nie ma zupełnie wyjątkowego miejsca sobie zapewnionego, ale ma je równorzędne ze świeckimi; więc nawet na wypadek wyboru do parlamentu kapłan jest tylko równouprawniony. Korzystanie zaś z równych praw obywatelskich nie może być nazwane prewalencyą kleru nad świeckim elementem, na co by wskazywał frazes o widmie klerykalnem.

Chcę tu jednak coś innego jeszcze podnieść. Oto każdy kto tylko zdrowo patrzy, bez względu na to, czy po katolicku myśli czy też nie, musi widzieć, że dziś osią dla wszystkich akcyi i programów politycznych i całej konstelacyi przyszłości jest chrześcijańskie sumienie ludu i jego wierzenia: i albo to sumienie zostanie obałamucone, a wtedy mamy panowanie radykalizmu burzącego wszelkie podstawy ustroju społecznego, albo pozostanie niezachwianem i czystem, w co wierzę jedynie, a wonczas każdy program polityczny, który z myślą i zasadą katolicką się rozchodzi, jest skazany na śmierć samobójczą.

* *
* *

Omawiałem dotąd potrzebę informacyi zasadniczej, która nie odnosi się do osoby tego czy owego kandydata, która też nie odbywa się dopiero w dniu wyborów. Uświadomienie o ważności, doniosłości moralnej, odpowiedzialności za prawo wyborcze w tych

ogólnych principiach jest częścią integralną doktryny chrześcijańskiej. Jak to we Francyi poczęto czynić — niestety zapóźno — już w katechizmach winno się znaleźć miejsce na te objaśnienia, a potem w nauce chrześcijańskiej raz po raz potrzeba nacisk kłaść na ten obowiązek wobec Kościoła i sumienia, tak, by te pojęcia zasadnicze weszły do głębi sumienia. — Mówiąc o zasadniczej informacyi nie myślę wcale niedoceniać uświadamiania już bezpośredniego zwróconego do osoby tego czy tamtego kandydata. Nie mówię o tem osobno, bo to już samo przez się się rozumie.

Natomiast mówiąc o wdrożeniu ogólniejszem programu ideowego, nie podobna przepomnieć potrzeby stałej organizacyi, opartej o programy czy to natury ekonomicznej, czy też wchodzące w zakres innych praw czy potrzeb ludu.

Jak program ideowy, jakkolwiek jest dalszy, wchodzi w bezpośredni związek z samym aktem wyborczym pod względem intelektualnym, bo uzdalnia do zoryentowania się wyborcy w kazuistyce wyborczej, podobnie i program realny, jakkolwiek jest odleglejszy, to jednak wpływa na serce i wolę wybierającego już w chwili samej jego rozstrzygającej decyzyi.

Obietnice, nic nie kosztujące i dlatego tak hojnie sypane z pewnych kół, dadzą się tylko przelicytować realną pracą, dla której dzień wyboru nie jest dopiero inauguracyą, ale epilogiem i koroną.

Programy realne są jednak konieczne i z innego względu.

Oto niech lud nie potrzebuje być stawianym w konieczność przymusową: albo wybierać katolika i zrzec się aspiracyi w kierunku polepszenia swego bytu i praw ten byt mu ulepszających — albo też wybrać człowieka wrogiego Kościołowi, i mieć zapewnienie, że materyalna strona będzie uwzględniona.

Jedną z przyczyn katastrof dzisiejszych we Francyi była właśnie niezgoda i niezoryentowanie się stronnictw zachowawczych.

Wprawdzie nie o ekonomiczne chodziło tam sprawy, ale w każdym razie wyborca francuski był postawiony w pozornej konieczności wyboru pomiędzy ideałem, który kochał, republikańskim

a między rojalizmem, którego nie chciał, a który był mu najczęściej reprezentowany przez żywioły zachowawcze.

U nas dzięki Bogu takie kwestye w grę nie wchodzą. W zamian za to w kraju rolniczym jak nasz, wysuwa się na czoło kwestya i polityki agrarnej i praw polepszenia bytu ludu.

Trzeba oddać zupełną sprawiedliwość katolickiemu centrum, że się w sytuacyi wybornie zoryentowało i opatrzyło się za programem, który pod względem podłoża realnego nie potrzebuje się obawiać podejścia wywrotowych żywiołów.

Inne zas stronnictwa zachowawcze, które tyle przedstawiają kapitału moralnego i intelektualnego i religijnego, w interesie ogólnym powinnyby również na tę stronę pozytywnych programów i pozytywnej pracy zwrócić szczególniejszą uwagę a to tembardziej, o ile w nowej organizacyi wyborczej polityka socyalna wysuwać się będzie coraz więcej na czoło.

* * *

Dotknę tu jeszcze parę kwestyi praktycznych: przedewszystkiem potrzeby organizacyi dla samego głosowania, a następnie taktyki organizacyjnej, a w szczególności wieców.

Akt głosowania nakłada ofiarę na tego, który głosuje, ofiarę na pozór drobną a jednak tak często lekceważoną i zaniedbywaną, ofiarę trudu i przymuszenia siebie do skorzystania z prawa głosu. Nierozumienie aktu wyborów, wagi i znaczenia moralnego, a niepozorność zewnętrznej jego strony oddziaływa niekorzystnie na akt sam.

Im zaś mniej są ludzie wybierający kulturalni i duchowo rozwinięci, im więcej osądzają wartość aktu każdego podług zewnętrznego aparatu i fizycznej jego strony, tem więcej obracają się szanse na niekorzyść duchowej strony wyborów, tem wyborca bardziej bagatelizuje swój obowiązek wyborczy, tem skłonniejszy jest czy to do niekorzystania ze swego prawa, choćby dla najdrobniejszej przyczyny, czy też do nadużycia go.

Nie potrzeba jednak myśleć, że zależność umysłu od strony zewnętrznej aktu wyborczego spotyka się tylko u nieuświadomionych zupełnie mas. Ileż to razy zdarzało się, że w sferach intelli-

gencyi dawało się głos komuś, który ot po sąsiedzku o to dla siebie poprosił, odmówiło się go zaś bardziej zasłużonemu, tylko dlatego, że ten za sobą wstawić się nie umiał, czy nie chciał.

A więc im większa zagraża pokusa wyborcy bagatelizowania aktu wyborczego, tem żywiej i silniej należy i potrzeba rozjaśnić mu i uświadomić stronę moralną i duchową aktu.

Dziś przy systemie powszechnego głosowania jest ów akt wyborczy zagrożony jeszcze i z tej strony, że jednostka tak małą przedstawia pozycyę pośród tysiąca głosujących, że jest tak skłonną sobie powiedzieć: jeden głos przecież na szali nie zaważy, bez jednego żołnierza i tak wojna będzie.

I z tej przyczyny, poczuciu obowiązku głosowania musi się przyjść z pomocą przez zorganizowanie opinii, przez apel do powinności.

Prawo, które może być każdej chwili u nas wprowadzone, o przymusie wyborczym, zastępuje tę pracę i z wielkim skutkiem działa np. w Belgii. Ciekawa rzecz, iż w takiej Austryi górnej, gdzie ludzie są znakomicie wyrobieni w taktyce wyborczej, jednak natychmiast uchwałę o przymusie wyborczym powzięto.

Czynniki zachowawcze są zawsze bardziej leniwe i ospałe już dla tego samego, że się zawsze uważają w stanie posiadania; czynniki zaś wywrotowe muszą dopiero posterunek zdobywać i dlatego rozwijają daleko większą skrzętność i czynność. »Synowie ciemności są rozumniejsi w rodzaju swoim od synów światłości«.

To się sprawdza wszędzie, więc i tutaj.

Partye wywrotowe posiadają już ten przymus wyborczy, który wykonują przy pomocy terroryzmu partyi. Potrzeba więc zachowawczym żywiołom przyjść z jakąkolwiek pomocą, by zapomocą techniki samej dodać ostrogi moralnemu poczuciu i w ten sposób bierność tkwiącą w dobrych zrównoważyć z przedsiębiorczością złych.

Jeśli więc nie mamy przymusu prawnego, to stwórzmy siłę moralną przy dobrze zorganizowanej technice, w której by się ów potrzebny bodziec mógł odnaleźć.

Co się tyczy wieców, to są one nową formą, wśród której

i zapomocą której informowanie polityczne, ba coś więcej, ważna część życia politycznego się odbywa i dokonywa.

Co więcej są one dziś szkołą polityczną publiczną, a nadto przy batalii wyborczej są one wielką musztrą wstępną, wielkimi manewrami, nieraz już i częścią samej akcyi i walki odbytej. Tam bowiem na wiecach omawia się kandydatów, powala się jednych, podnosi innych, tam uderza się na stronnictwa albo je reklamuje, tam zabiegając o sympatye wyborcy, albo podsuwając mu antypatye, nieraz już wprost go się zdobywa, tak, że oddanie później głosu będzie już tylko samą formalnością wobec właściwej pracy tu na wiecu odbytej.

Jeśli się mówi o wiecu u nas, to ma się przedewszystkiem na myśli wiec przedwyborczy, jakkolwiek gdzieindziej, gdzie życie polityczne bardziej rozwinięte, wiece należą do tych katedr, gdzie wykłady trwają stale i odbywają się systematycznie przez rok cały.

W każdym razie wiec przedwyborczy powinien wychodzić już z całego ukształcenia politycznego przedtem nabytego, czy w tej czy w innej formie. W przeciwnym razie będzie on najczęściej bezowocnym, bo sympatye ludu będą już przedtem zdobyte przez innych, albo też na zbyt nieprzygotowanym gruncie z łatwością każdy niepowołany będzie znaczyć dowolne bruzdy.

Jakkolwiekbądź, wiece są faktem, wobec którego stoimy, i z którym jako z czynnikiem liczyć się musimy.

Nie mam tu już na myśli specyalnie kapłanów, którymi w tej mierze mogą nieraz kierować osobne względy, ale w ogólności powiadam, że niestety jest dziś ogromnie wiele winy po stronie katolickiej w absentowaniu się systematycznem na wiecach.

Dotąd to jeszcze poniekąd tem usprawiedliwić usiłowano, że życie polityczne przy starej formie rządzenia bez wieców obejść się mogło. Jakkolwiek kruche są podstawy podobnego twierdzenia, to jednak pewno, że teraz przy nowej formie wyborczej nawet pozory takiej argumentacyi ostać się nie mogą.

Brak na wiecu czynników powołanych będzie się nieraz równać zaocznemu skazaniu i odbyciu wyroku na nieobecnych.

Wiem, że są takie zgromadzenia, gdzie namiętności tak roz-

szalały, że na słowo rozsądku już niema miejsca, ale przecie z wyjątków nie można czynić reguły. Lud jak lgnie do drukowanego pisma, tak lgnie do wiecu. I tak jak książkę bierze do rąk złą czy dobrą, stosownie do tego, kto mu ją w rękę pierwszy da, podobnie i mowę wiecową. Jeśli mi kto powie, że wiece nie zastąpią pracy uczciwej nad ludem, temu odpowiem — zgoda — ale i na odwrót najlepsza nieraz praca nie zastąpi wieców, bo trzeba się z tem liczyć, że jeśli my ich zwoływać nie będziemy albo jeśli my na nie uczęszczać nie będziemy, to przez to samo nie przestaną one wcale funkcyonować i działać. Niestety działanie ich, dzięki naszej nieobecności, będzie dosyć silne, ażeby zachwiać zaufaniem właśnie w uczciwą, cichą i rzetelną pracę. W takim zaś razie co jedną ręką buduję, to drugą ręką pośrednio przez moją abstynencyę niszczę.

Więc przestrzedz należy przed tem fałszywem rozumowaniem, które dyskutuje w teoryi o potrzebie wieców a przeocza w praktyce fakt, że one są i zostaną z nami, bez nas i przeciw nam. Tu nie z tem się liczyć należy, coby mogło być, ale z tem, co już jest. Więc czyż można zasłaniać się wymówką: wiece i organizacya to są rzeczy drobne?

Jeśli jednak tam przeciw tobie mówią a mówią skutecznie, jeśli poddadzą w wątpliwość twoje intencye, przekręcą twoje czyny, jeśli obrzucą kalumnią stan czy klasę, do której należysz, naruszą święte ci rzeczy religii, i narodu, to daruj, ale ognisko, z którego takie wynijść może spustoszenie, przestaje być rzeczą drobną a staje się wprost straszną. Ty zaś skoroś dopełnił większych rzeczy, a właśnie opuszczasz łatwiejszą, jaką jest n. p. jawienie się na wiecu i przemówienie tam za słuszną sprawą, właśnie w tem winisz, że łatwiejszej rzeczy nie dopełniłeś: tak jak wini ktoś, kto zbudował pałac duży, ale nie chciał postawić stróża, by pilnował domu i przyszli złodzieje i podpalili i zniszczyli dom. Temci gorzej, że mniejsza rzecz została zbagatelizowaną.

Wiem, biorę to w rachubę, że nie na każde zbiorowisko podobne dziś bezpiecznie można pójść, ale jednak na ile to zebrań nie tylko można, ale i należy wprost pójść a tego się nie czyni,

i nie powstrzymuje i nie hamuje tego wylewu kłamstwa, oszczerstwa i nienawiści. A i tam jeszcze, gdzie samemu nie można pójść, czyż jeszcze nie można wysłać ludzi z techniką wieców oswojonych a z psychologią tłumów obeznanych, którzy potrafią dobrą sprawę obronić a przynajmniej wrażenie złej agitacyi osłabić.

Jeśli mi kto powie, że temu, kto nie nawykł do tego rodzaju środowiska, potrzeba przezwyciężenia siebie, że potrzeba nabycia osobnego rodzaju wiadomości i wprawy — to zgoda na to.

»Sposób, w jaki musi się dziś ubiegać o mandat, mówi nie kto inny jak Nordau, już *a priori* odstrasza szlachetne natury; nie myślę też, by taki Rousseau, Goete, Kant, Carlyle zdołali pozyskać mandat o własnych siłach, bez pomocy komitetu wyborczego, już nie w wiosce jakiejś, ale nawet w jakimś wielkomiastowym okręgu«. Jakkolwiek przesadne są niezawodnie te słowa, na dnie ich jednak jest coś prawdy. Dla natur delikatniejszych, subtelniejszych atmosfera wyborcza z jej walkami partyjnemi i jej mowami grającemi nieraz na strunie namiętności, nie może mile się przedstawiać. Nie lubię wyborów — mówił mi niedawno jeden z wybitnych naszych mężów stanu — uciekam też od nich gdzie mogę. Rozumiem dobrze takie powiedzenie, które jeszcze więcej uzasadnienia będzie miało niezawodnie w nowej konstellacyi wyborczej, pod jednym warunkiem wszakże, a to iż konkluzya będzie inna: pod warunkiem, że sobie powiem: nie lubię, ale ze względu na doniosłość tego aktu, na cały przyszły ustrój, jaki za nim przyjdzie dla mej ojczyzny i Kościoła, właśnie pójdę w tę robotę. To zaś, na czem mi zbywa, by się módz dostroić do aparatu pracy, tem usilniej będę się starał nabyć, tem bardziej przezwyciężać będę ukryte antypatye, gdy się zasłaniać zechcę raz po raz przed pójściem w wir niemiłej pracy frazesami: to niepotrzebne, to niemożliwe, tego nie potrafię. A dorobić sobie należy własności choćby drugorzędne, które jednak do pierwszych należą składowych elementów atmosfery wiecowej. Do takich liczę silne nerwy.

Zahartowane być one muszą nie tylko na izbę zadymioną, nieraz ciasną izbę wiecową, ale i, co trudniejsze, na ataki możliwe.

Potrzeba nieraz uzbroić się w spokój i cierpliwość, nieraz narażonym być się musi na zarzuty ze strony tych, którzy nic do stracenia nie mają, których całą pracą i całą też wygraną siać burzę i niezadowolenie, nie dać się zbić z tropu rzucanemi a przerywającemi tok myśli zdaniami, nie wyjść z równowagi nawet wówczas, gdy się przekrzyczanym będzie. To wszystko wymaga wiele panowania nad sobą. Ale też takie zajścia są ostatecznością tylko.

Potrzeba też przytem i zręczności.

Potrzeba bowiem umieć odpowiedzieć na różne nieraz sprzeczne interpelacye, nie zadrasnąwszy nikogo, owszem o ile się da, zadowoliwszy wszystkich, a zawsze bez uszczerbku prawdy i przekonania; umieć obiecać tyle ile można obiecać a nie sprawić rozczarowania, uderzyć w skłonności zgromadzonych, utrafić w ich uprzedzenia, lecz nie na to by schlebiać, ale ku prawdzie podnieść.

Prócz tego, pracy potrzeba nad przyswojeniem sobie popularnej wymowy. Te same myśli można oddać w szacie i stylu trudniejszym, ale i łatwiejszym, dostrojonym *ad captum* słuchacza.

Nie można się bowiem zgodzić z twierdzeniem powyżej przytoczonego autora, który ze zbytkiem przesady sobie właściwym twierdzi, że tylko ten zdobywa obecnie audytoryum wyborcze, kto zamiast treści walczy frazesem, zamiast prawdy fałszem, zamiast do rozumu apeluje tylko do namiętności.

Są zapewne i takie koła polityczne, w których uczucie i myśl zdrętwiały, i które tylko dadzą się upajać haszyszem blagi i frazesu. Ale te na szczęście wśród ludu naszego jeśliby były, to należałyby do wyjątku.

Lud nasz chce się czegoś nowego dowiedzieć. Przyjmie nawet trudniejsze zagadnienia ekonomiczne i społeczne i zrozumie je, byle tylko były mu podane w dostępnej obrazowej i popularnej mowie. Da się co prawda porwać wymową namiętności ku złemu, ale też i da się przekonać wymową prawdy.

Należy tedy podać ludowi zdrowy pokarm nauki, by go zaś módz dać, samemu potrzeba wiedzę mieć i ją przetrawić. Słusznie

też w swej broszurze o wymowie politycznej mówi profesor Milewski:

»Aby umieć nie dla agitacyi, lecz dla rzeczy stawiać programy, wskazywać cele, środki i drogi, zdemaskować manowce, na to potrzeba poważnego zasobu wiedzy, potrzeba przez naukę uzdolnić się do stawiania dyagnozy i wskazywania terapii społecznej, i to nie abstrakcyjnie, w ogólnikach, ale konkretnie, w pełnem zrozumieniu zadań najpilniejszych, środków najwłaściwszych. Czy o parcelacyi, włościach rentowych, uprzemysłowieniu kraju, emigracyi zarobkowej, czy też o regulacyi płac nauczycielskich będzie mowa, to jedynie ludzie oparci o poważną znajomość społecznego życia, skarbowości i danej specyalnej kwestyi zdołają z pożytkiem dla sprawy stawiać żądania, zwalczać fałszywe projekty czy zarzuty, osłabić nieuzasadnioną krytykę i opozycyę«.

Jeśli warunki wymowy politycznej i jej trudności wyliczam, to muszę zaznaczyć, że jednak trudności są do przezwyciężenia.

Wiadomo np., że cały sekret powodzenia mów agitatorów w tem polega, że mają jedną lub dwie mowy wyrobione i wyuczone na pamięć, które wszędzie powtarzają jako nowe. Jak zaś nawet subtelny mowca przy pracy nad sobą może jednak wżyć się w audytoryum ludowe, niech za przykład stanie taki K. Lichtenstein, obecny marszałek Austryi Górnej, który rocznie nieraz do setki odbędzie wieców ludowych, na których wszędzie przemawia, jakkolwiek z natury wcale popularnej wymowy nie ma. Mieliśmy i u nas przykład inny, choć podobny, w ś. p. ks. Badenim. A mamy na szczęście i dziś w kraju więcej na to przykładów.

* * *

Myślę, że dobrze będzie, jeśli objaśnię jeszcze te spostrzeżenia o taktyce organizacyjnej praktycznem przystosowaniem.

Samo się ono zaś nasuwa w obecnej chwili, gdy się utworzyła Rada narodowa, która na swym sztandarze zapisała zszeregowanie się wspólne stronnictw, które chcą mimo różnic iść wszędzie tam solidarnie, gdzie byt narodowy zagrożony zostaje przez żywioły wywrotowe, i chcą dać tej solidarności znak zewnętrzny przez wspólną pracę w Kole polskiem.

Nie moją tu rzeczą wdawać się w ocenę samej idei Rady narodowej, nie moją też rzeczą wdawać się w krytykę działalności Rady, która jest jeszcze zbyt młodą instytucyą, by ją dziś można już krytykować.

Ale wychodząc z mego założenia, uwagę zwrócę na co innego. Postawię sobie pytanie do rozwiązania, pytanie prawie w formie szkolnego zadania, które ma być rozwiązane. »Jak sobie wyobrażam działalność Rady narodowej w odniesieniu do samej techniki dzisiejszej, potrzebnej do oddziałania skutecznego na lud«.

Oczywiście tylko dla przykładu powołuję się na Radę narodową, a co o niej mówię, to da się *mutatis mutandis* przystosować do każdego stronnictwa, wogóle do każdej organizacyi, a nawet może o tyle da się przystosować ściślej, o ile Rada jest już wierzchołkiem organizacyi społecznej, kiedy tymczasem inne organizacye właśnie pracując u dołu, więcej jeszcze z samą maszyną i aparatem organizacyjnym liczyć się muszą.

Więc przystępując do rzeczy będę się starał w myśl moich powyższych wywodów na postawione pytanie odpowiedzieć.

Gdyby Rada narodowa czy wogóle jakaś organizacya używała starej metody, gdzie reklamowanie haseł prawie drugorzędną było rzeczą, toby mogła sobie powiedzieć: Wiemy o co chodzi, mamy hasło, więc na tem dosyć, o nic innego nie dbamy.

Gdyby jednak była na tropie nowego kierunku, a o to przecie chodzi, i gdyby się dostroiła do nowej psychologii wyborczej, w której silne rozreklamowanie haseł, potężnie spopularyzowane, jest połową zwycięstwa, tak jak za mało znane jest połową przegranej, toby się wzięła do rzeczy wręcz inaczej:

Nie dosyć, że jesteśmy w posiadaniu idei, potrzeba nam jeszcze ją spopularyzować. Nie spoczniemy, póki nasze hasło nie wejdzie w świadomość najodleglejszego zakątka, dopóki myśl nasza nie przejdzie w przekonanie ludu.

Z tem powiedzeniem łączy się zaraz taktyka.

Skoro ma się spopularyzować hasło potrzeby zjednoczenia stronnictw, które mają przez solidarność Koła stanowić siłę kraju, to potrzeba wyjaśnić popularnie, jaki jest związek między solidarnością a dobrem krajowych interesów: potrzeba wykazać, że

gdyby nawet były jakie błędy w polityce Koła, to mniejsze zło stąd nawet w najgorszym wypadku wypływa, aniżeli z osłabienia solidarności. Należy wykazać i historycznie siłę Koła: nie od rzeczy byłoby przytoczyć zdanie przeciwników, którzy jednak solidarność Koła sami sobie za przykład stawiali. Jeśli zaś już mowa o Kole, to do ludu katolickiego mówiąc, wykazać trzeba zasługi Koła w tej mierze. Choćby np. szczegóły z ostatniej doby: kongrua, która dzięki energicznym staraniom prezesa Koła polskiego i Koła, przeszła. Wniesienie uchwały dotyczącej kwestyi małżeńskiej a przeciwnej zasadzie Kościoła, którą zręcznie zainaugurował rząd w ostatniej już chwili, udaremniło Koło na wniosek posła Kozłowskiego i tak pomieszało szyki rządowi, który pierwszy wyłom w ustawie chciał uczynić bez walki i potajemnie. Prasa zagraniczna podniosła to z uznaniem, w naszej jakże mało można było co o tem czytać: a lud to już o tem nie wie zupełnie. Tu dla przykładu mówię o Kole, ale tak samo należy starać się o publikacye innych czy uchwał czy decyzyi w najszersze warstwy. Czyżby niejedna uchwała sejmu dostarczała tyle pola do krytyki, do uderzań na sejm i t. p., gdyby przyczyny skłaniające do niej były bliżej znane, gdyby zostały opublikowane jak należy?

Wracając do Rady narodowej wyobrażam sobie dalej, że się postara o popularnie napisane broszury, o mowców, o mężów zaufania, o cały jednem słowem aparat, który daną wiadomość czy informacyę rozniesie wszędzie, gdzie potrzeba, albo obroni przed fałszywą interpretacyą.

Niechże mi nikt nie mówi, że to są drobnostki, bo od takiego czy innego sposobu pojmowania rzeczy zależy cała przyszłość polityki krajowej i wiedeńskiej, bo przez te wszystkie sposoby osadza się politykę o grunt realny, jakim jest uświadomienie mas i wychowanie polityczne. Przez takie środki postępowania składa się dowód, że się rozumie znaki czasu, i że się zna drogę, która do celu wiedzie. Stwarza się aparat, który funkcyonuje jak krew w zdrowym organizmie: idea każda dochodzi wszystkich kończyn. Rządzi się nie siłą z zewnątrz słabą i zawodną, ale oparciem o siłę wnętrzną, idącą z samowiedzy ludu.

W takiej organizacyi demokratycznej, o idei chrześcijańskiej a sprężystym aparacie organizacyjnym, tkwi przyszłość.

* * *

Pozwolę sobie jeszcze zapytać, co zrobione zostało u nas dla spopularyzowania haseł społecznych i politycznych? gdzie słychać o nich, czy z ust wiecowych mowców, czy z artykułów broszur popularnych? gdzie jest puszczony cały aparat, za pomocą którego zdrowotna idea ma zyskać posłuch powszechny, ma się stać znakiem, pod którym idąc, stronnictwa mają się zdobywać na wzajemne ofiary a wyborcy mają odróżniać między przewrotem a postępem, między narodowym a nienarodowym obozem?

Gdzie jest szkoła popularna mowców ludowych i agitatorów? Czy wyzyskane są talenta wymowy, nieraz drzemiącej pod siermięgą wieśniaczą i czekające przebudzenia?

Może nie umiem patrzeć, ale nawet prób w tym kierunku nie widzę; nie widzę śladu aparatu techniki wyborczej w ruch puszczonego.

Czyż się stać będzie wiecznie na starych drogach, i wiecznie się błądzić będzie przeciw psychologii dzisiejszego ustroju przez ogromne przeoczenie dzisiejszego sposobu propagandy idei?

A czy przyczyny tych błędów tkwią na prawdę w wymówkach naszych i skargach na trudności, czy też raczej trudności wszystkie raczej tkwią w rzeczy samej, a więcej w nałogowem rzecby można odzwyczajaniu się od dostrajania się do tych, do których chce się trafić. Poprę moje twierdzenie słowy męża, którego nikt o skrajność nie pomówi. W broszurze wyżej wspomnianej mówi poseł Milewski: »Pewien wygodny kwietyzm pragnął przedewszystkiem spokoju, unikał agitacyi, łudził się, że jakością i liczbą spraw załatwionych utrwali swe wpływy i wywrze wrażenie swej skuteczności i pracowitości. Nie pomyślał o zyskaniu opinii przez zdobywanie przekonań«.

Lecz dziś epoka kwietyzmu bezpowrotnie przepadła: nowa reforma wyborcza zmusza teraz do zabiegania o względy ludu. Nie pochlebstwem, nie obietnicami, ale rzetelną pracą. Lud stał się

pozycyą, bez której rządzić nie można, a którą ciągle na nowo potrzeba sobie zdobywać. Pogrzebany na szczęście ów nieszczęsny system, który tylko w czasie wyborów myślał o ludzie, tylko wtedy mimochodem z tym ludem się stykał. Dziś ciężar starań i zabiegów, dotąd skierowanych zbytnio w stronę Wiednia, musi być przeniesiony w stronę wsi galicyjskiej,

Zrozumiejmy to dobrze a z łatwością każdy odnajdzie się w skomplikowanej maszyneryi dzisiejszej taktyki i wieców i słowa.

Znakomity biskup Ketteler miał powiedzieć, iż św. Paweł gdyby żył w naszych czasach, zostałby dziennikarzem. Być może, że ów święty, który wszystko stał się wszystkim, za środek apostolstwa swego obrałby i ten także, który dziś stał się najpotężniejszem narzędziem w propagandzie idei. Być może tedy. Ale skoro już sobie pozwolono takie przystosowanie raz uczynić, to nie weźmie mi się za złe, jeśli z większem jeszcze prawdopodobieństwem chciałbym twierdzić, iż św. Paweł odwiedzałby wiece. Z większem zaś o tyle, że w życiu jego znajdujemy jakby pewien precedens tego. Tym zaś jest odwiedziny areopagu i kazanie tamże wygłoszone. Czemże bowiem był ówczesny areopag, jeśli nie miejscem wiecowania ówczesnych Ateńczyków. Czemże te narady ówczesnych przeżytych Ateńczyków, jeśli nie wiecowaniem? Dlaczego zaś św. Paweł nie poprzestaje na ambonie? dlaczego wychodzi z Kościoła i przybywa aż tu i wchodzi na to publiczne miejsce? dlaczego tam przemawia dostrajając się zupełnie doborem tematu, sposobem mówienia do nastroju umysłów? Oto dlatego, że ci ludzie sami do niego nie pójdą, więc potrzeba ich wyszukać. Dlatego, że pewne prawdy bezpośrednio dotykają serc, gdy są wyjęte z atmosfery słuchaczy, że z temi prawdami potrzeba zejść do nich a nie dopiero czekać na nich, że nieraz nie nam jest pozostawiona wolność dobierania sobie miejsca i sposobu bronienia czy przepowiadania prawdy, ale z góry zostaje narzucona, my zaś do niej już tylko zastosować się musimy, przyjmując gotową formę podania prawdy i do niej się przystosowując.

* * *

System powszechnego głosowania musiał prędzej czy później być przyjętym w Austryi.

System dotychczasowy już absolutnie nie dostrajał się do nowych warunków, poprawka uczyniona w nim przez piątą kuryę była zainaugurowaniem prądu, którego epilogiem musiało być głosowanie powszechne. Jeżeliśmy zaskoczeni powszechnem głosowaniem to po części i dlatego także, żeśmy dawniej w przyszłość patrzeć nie umieli i do techniki, która przyjść musiała, myśmy się nie gotowali.

Może nie jest pozbawione słuszności twierdzenie tych, co sądzą, że nawet forma powszechnego głosowania mogła być tylko ta a nie inna.

Pluralność bowiem, która już w Belgii czyni ustępstwa raz po raz na rzecz mniejszości, w słabym rządzie austryackim nie wytrwałaby i jednego roku i zostałaby wywróconą. Idealna zaś organizacya oparta o organizacyę klasową i zawodową, już dlatego samego nie mogłaby się przyjąć w Austryi, gdyż liberalizm rozbił potrzebne do tego kadry, nie byłoby więc o co systemu takiego oprzeć. Pomijamy już to, że nieśmiertelny Schimmel biurokratyczny nie odważyłby się jakiejś nowości, gdzieindziej niewypróbowanej, pierwszy próbować.

Ale mniejsza o teorye. Stoimy dziś wobec dokonanego faktu. Jeśli dotykam tej kwestyi, to tylko dlatego, iż chciałbym podnieść na duchu tych, co sobie wyobrażają, że powszechne głosowanie to potop, w którym wszystkie ideały przewodnie społeczne zostaną zatopione. Niestety do ugruntowania się takiego pojęcia przyczyniła się niemało nieszczęsna taktyka rządu austryackiego, który wprowadzał ustawę pod auspicyami socyalistycznych pochodów ulicznych, identyfikując w ten sposób nową uchwałę z wyłącznymi interesami tej partyi.

Nie myślę tu wcale o apologii tego systemu, którego strony ujemne aż nadto osądzono. Lecz czy system dotychczasowy stron ujemnych nie wykazywał także? czy dla Kościoła ze starego systemu, już w dotychczasowym składzie rzeczy, nie mogły wyrastać na przyszłość najpoważniejsze niebezpieczeństwa? Zresztą w takich kwestyach, jak systemy wyborcze, które nigdzie jeszcze nie są

zupełnie skrystalizowane, nie tyle teorya rozstrzyga o praktyce, ile raczej praktyka o teoryi.

Ten sam system, przy którym dziś rządzi masońska i bezwyznaniowa Francya, stworzył przecież potęgę niemieckiego *Centrum*, i nie kto inny jak Windhorst był tego systemu żarliwym obrońcą.

Wszystko zależy od tego, kto pochwyci w swe ręce organizacyę mas ludowych.

Jeśli ją uchwycą katolicy, to wtedy system nowy będzie daleko sposobniejszy do uwydatnienia zasad katolickich jak dotychczasowy. Nawet, gdyby przy nowym prądzie rzeczy liczebnie więcej weszło do izby żywiołów antyreligijnych, aniżeli ich było dotąd, to z drugiej strony silniejby też zostały zrównoważone przez jędrniejszy zaczyn pierwiastka chrześcijańskiego.

Dla nas zaś niechaj otucha wstępuje z tej właśnie strony, z której próbują nam zagrażać, t. j. ze strony ludu. Otucha wszakże nie sentymentalna, ale zdobywana pracą rzetelną wraz z ludem i dla ludu.

Nie zrażajmy się nawet chwilowem obałamuceniem, a liczmy wytrwale na zdrowe ziarno złożone w duszę ludu naszego.

Patrzmy na Poznańskie. Wszakżeż tam właśnie, dzięki systemowi powszechnego głosowania mamy takie wspaniałe rezultaty wyborów. Jakżeby one inaczej wypadły w rezultacie, gdyby nie właśnie ten system. Prawda warunki są inne.

Mieli oni *Kulturkampf*, który przybliżył dwór i chatę a nie mają kwestyi spornych narodowościowych, nie mają Żydów syonistów, nie mają też i pewnej części niesyonistów, którzy potrafią np. w Radzie narodowej, gdy idzie o mandaty dla nich, figurować jako narodowcy, walczący ze stronnictwami wywrotowemi, a równocześnie tworzą organizacyę ściśle wyznaniową, na mocy której ci sami panowie, którzy tam reprezentują obóz narodowy, popierają w organizacyi swojej ludzi z obozu wręcz przeciwnego. Podczas kiedy prowadzenie podobnej podwójnej buchalteryi na całym świecie podpada pod stronę moralną życia publicznego, która zostaje poza stroną tej czy owej konfesyi, i napiętnowanie takiego postępowania przysługuje tak dobrze Turkowi, jak chrze-

ścijaninowi, jak Hotentowi — u nas inaczej; u nas mówienie śmiałe o tem będzie się nazywać naruszeniem spokoju wyznaniowego.

Przepraszam czytelników za odejście od rzeczy.

Nie przeczę, że stosunki w Poznańskiem są inne; lecz pomimo odmiennych warunków, ileż jeszcze uczyć się stamtąd możemy. I kogóż to ten lud wybiera? Przeczytamy spis posłów, a zobaczymy, że wychodzą oni przeważnie ze szlachty. Dowód to, że prawdziwa demokracya nie wyklucza arystokracyi nazwiska, pod warunkiem wszakże, że arystokracya, jak w Poznańskiem, zdemokratyzować się umie, że zakasze sama ręce, że nie uważa za poniżenie siebie objeżdżać ludowe wiece i na nich przemawiać, że zakłada ekonomiczne instytucye dla ludu i sama przy nich pracuje, że sprzedaż ziemi ojczystej w obce ręce uważa za zdradę obywatelską.

Uczmyż się stąd i my, i zamiast biadać na system, który się stał faktem, włóżmy się sami i myślą i duchem w ten system i przedewszystkiem taktyką i pracą, bo nie rozumowanie o nim rozstrzygnie, ale życie.

Poznańskie uczy przykładem nie tylko wybieranych lecz i wybierających. Ci patrząc niechaj uczą się określenia demokracyi chrześcijańskiej w duchu przez Leona XIII, niechaj na chwilę nie przeoczą tej ważnej społecznej prawdy, że jakkolwiek w myśl demokracyi każdy z ludu może się ubiegać o mandat, to jednak błędem byłoby myśleć, że tylko każdy z ludu godnym jest mandatu; albo że ten co lud przedstawia, by go godnie przedstawiać, musi być jeśli nie wrogiem, to antagonistą warstw wyższych, w szczególności arystokracyi, jako takiej. Takie pojęcie demokracyi jest w naturze swej niechrześcijańskie, bo ma za podstawę antagonizm i walkę klas.

Co inego jest mierzyć kandydata miarą programów ekonomicznych i socyalnych, więcej lub mniej do potrzeb chwili i ludu przystosowanych, a co innego odsądzać go dla charakteru klasowego. Głosić takie pojęcia znaczy schlebiać niezdrowo ludowi, i zamiast go kształcić politycznie i społecznie do szerszych kręgów, przeciwnie spychać go ku najciaśniejszemu egoizmowi publicznemu. Dla losów zaś naszych dalszych, byłaby podobna ciasna

polityka wprost zgubną. Na podstawie takiego nieszczęsnego ostracyzmu musieliby być wprost wykluczeni ludzie szczerze miłujący lud, katolicy z przekonania, gotowi stanąć przy programie demokratycznym, a mający za sobą wielkie doświadczenie polityczne, wyrobione wpływy i intelligencyę. Jak wielką szkodą byłoby usunięcie takich ludzi, ten tylko pojąć zdoła, kto wie co znaczy w życiu koła politycznego jednostka wybitna. Wszakże cały wpływ stronnictw, cała szczęśliwa polityka i rozumna, wygrywa się nie liczbą materyalną, ale tylko liczbą moralną i intellektualną.

* * *

Niema prawie wątpliwości, że powszechne głosowanie umyśliła wprowadzić w Austryi masonerya, sądząc że w ten sposób zarzewie walki z Kościołem, rzucone przez Francyę, będzie mogło być podjęte konsekwentnie przez Austryę, w której masonerya zawierała braterstwo broni ze socyalizmem.

Gdybyśmy nawet nie mieli ciekawych pod tym względem rewelacyi, jakie przez dzienniki w ostatnich dniach nas doszły, to jeszcze zachowanie się samo masoneryi austryackiej zdradza aż nadto przejrzystą jej taktykę. Wszakże równocześnie z hasłem powszechnego głosowania rzucono nagle z nieukrywanym pośpiechem hasła antykościelne o szkole wolnej i małżeństwach, na całej linii poczęto atakować Kościół.

Nie od rzeczy może tu będzie jeszcze wspomnieć jeden szczegół. Oto ze strony najpoważniejszych posłów niemieckich katolickich zapewniano mnie, że przez masoneryę było przygotowane wszystko do uderzenia na episkopat, na Kościół, w razie gdyby biskupi oświadczyli się przeciw powszechnemu głosowaniu, czego ze strony masoneryi, wedle zapewnienia tych panów, bardzo się spodziewano. Mimochodem tu dodam, że to było powodem, dla którego uważałem za potrzebne zabrać głos w Izbie panów, ażeby zastrzegłszy się zarówno przeciw omawianiu teoryi o powszechnem głosowaniu, jak i przeciw identyfikowaniu się z intencyami rządu, który w tej całej sprawie najmniej chyba zasługiwał na jakiekolwiek poparcie, oświadczyć, że Kościół nie

tylko nie boi się ruchu silniejszego demokratycznego, ale owszem uważa go za swój; boć przecie hasło demokracyi tkwi jakby we wnętrznościach Kościoła, i do ostatecznej walki z demokracyą nienawiści nie inna może wstać potęga, jak tylko demokracya chrześcijańska.

Tą samą też myślą zakończę i dziś moje niniejsze omówienie.

Chciano okrzyczeć Kościół za wroga wolności ludu, by w ten sposób samym unieść chorągiew demokratycznego ruchu.

Przedwczesnem jeszcze dziś omawianie wyniku powszechnego głosowania dla Austryi. Może nawet rezultat pierwszych wyborów nie będzie o tyle dokładnym obrazem stanu rzeczy, o ile sfery chrześcijańskie za mało będą przygotowane i zorganizowane. Ale łatwo też stać się może, że rachuby masoneryi zostaną zupełnie omylone. Już dziś np. głośno o tem mówią, że najsilniejszy żywioł, reprezentowany wśród Niemców, będzie chrześcijańskich demokratów. Wśród Czechów dużo dały do myślenia wybory w Morawii, które również były zwycięstwem czynnika chrześcijańskiego. Nie mówię już o innych. Ale powtarzam: bardzo być może, że właśnie tu masonerya skruszy swą siłę, gdzie myśli hymn tryumfu intonować, byleśmy i my w tej wielkiej rozprawie zachowali jasną oryentacyę, i to oryentacyę o szerokich konturach, i byleśmy włożyli całą energię jeszcze w tej ostatniej chwili, jaka nam pozostaje.

Arcybiskup Teodorowicz.

NOWA SYNTEZA EHRHARDA.

Albert Ehrhard, słynny autor dzieła »Katolicyzm a wiek XX«, zabrał znowu głos w tej samej sprawie. Kilka tygodni temu opuściła prasę nowa jego rzecz pod tytułem: »Katolicyzm a dzisiejsza cywilizacya« [1].

Swieżą jeszcze jest w pamięci wrzawa, jaka powstała naokoło pierwszego dzieła Ehrharda. Oczywiście, sam najpierw temat jest tego rodzaju, że niespostrzeżenie przejść nie może. Czy między katolicyzmem a dzisiejszą cywilizacyą istnieje istotna sprzeczność? — oto pytanie i doniosłe i poruszające dzisiaj wszystkie umysły. Już u schyłku średniowiecza, od sporu między Bonifacym VIII a Filipem Pięknym, powstaje to pytanie, a każdy wiek następny aż po dzisiejszą chwilę rozszerza jego zakres i potęguje jego znaczenie. Reformacya, epoka oświecenia, doba wielkiej rewolucyi, dorzucają do tej kwestyi coraz obfitsze garście wątpliwości tak, że w ostatnim wieku i w obecnej chwili, pytanie to nie rozciąga się już na liczne zakresy, ale na całokształt dwu tych syntez. I przekonanie o tej sprzeczności istotnej między katolicyzmem a dzisiejszą cywilizacyą jest w wielu wypadkach wspólne obu obozom. Jak wielu ze zwolenników dzisiejszej cywilizacyi upatruje w katolicyzmie jej wroga, czynnik reakcyjny, zacofany,— tak wzajemnie, w katolickim obozie, są liczne jednostki, które

[1] *Katholisches Christentum und moderne Kultur.* Von Albert Ehrhard. Kirchheimsche Verlagshandlung, Mainz und München. 1907.

w dzisiejszej cywilizacyi upatrują nieprzejednanego nieprzyjaciela katolicyzmu.

Nic zatem dziwnego, że dzieło, które zstępuje na arenę tak rozognionej walki, w tym celu, aby powaśnionych pogodzić i zapaśników z obu stron przekonać, że między niemi żadna istotna sprzeczność interesów a zatem i żadna rozumna przyczyna niezgody nie istnieje, musi dokoła siebie skupić wytężoną uwagę. Obie strony patrzą czujnie, czy to usuwanie istotnej sprzeczności nie odbywa się sztucznymi środkami kompromisu, czy nie robi się ustępstw z zasad i z zajętego stanowiska jednej strony na korzyść strony przeciwnej, czy nie uznaje się czegoś po stronie przeciwnej, czego uznać nie można. Poza tem kwestya cała jest tak rozległa, tyle obejmuje dziedzin i taki ogrom faktów i szczegółów, splątanych ze sobą i powikłanych, że nic łatwiejszego, jak, zamiast zamierzonej zgody, wywołać przedsięwzięciem takiem nową wrzawę i waśń.

To też w następstwie wywołała pierwsza książka Ehrharda. Przeciwnicy katolicyzmu nie brali sobie zbyt do serca tych ustępów, w których Ehrhard wskazywał na niesłuszność ich stanowiska, z wielką natomiast radością i uznaniem przyjęli te strony, na których autor omawiał słabe pozycye katolicyzmu. Na te strony jednak przedstawiciele obozu katolickiego zgodzić się nie chcieli. W prasie katolickiej powstała rozległa i żywa dyskusya, której słuszność sam Ehrhard częściowo uznał, wprowadzając w ostatnie wydania książki dość znaczne zmiany.

Szkodaby jednak było, by ta tak doniosła książka pozostała wpływem swoim w stadyum nierozegranej walki. Czy nie należałoby ponownie tę samą sprawę podjąć, ale już z jakiegoś innego punktu widzenia, może mniej szeroko ale głębiej — czy nie dałyby się, po usunięciu całego szeregu szczegółowych kwestyi, ująć w jedną syntezę te ogólne rysy, które istotę kontrowersyi stanowią, a z których nieodparcie wynikałaby zgodność katolicyzmu z dzisiejszą cywilizacyą w tem, co istotę tej cywilizacyi stanowi.

Oto stanowisko, z którego wyszła i na którem stoi nowa rzecz Ehrharda, rzecz ze wszechmiar zasługująca na szczegółowsze omówienie.

Oczywiście, iż temu faktowi, że między dzisiejszą cywilizacyą a dzisiejszym katolicyzmem niejedno przeciwieństwo istnieje, bynajmniej Ehrhard przeczyć nie myśli i zaprzeczać niema potrzeby. Przeciwieństwa jakieś nieistotne być mogą, ale jeżeli w rzeczywistości są to przeciwieństwa nieistotne, to z czasem dadzą się usunąć przy obustronnej dobrej woli. Ta dobra wola, a raczej sprawiedliwość w ocenianiu przeciwnej strony, jest warunkiem niezbędnym wszelkiej uczciwości w postępowaniu i wszelkiego poważnego i naukowego traktowania rzeczy, a więc takiego, jakie przedewszystkiem w tej sprawie jest niezbędnem. Gdy członek katolicyzmu widzi tylko same braki i cienie dzisiejszej cywilizacyi i te zestawia z wewnętrzną siłą i pięknością katolicyzmu — albo, gdy zwolennik dzisiejszej cywilizacyi bierze tylko pod uwagę błędy i niedoskonałości ludzkie przedstawicieli katolicyzmu i tym przeciwstawia postęp i dodatnie wyniki dzisiejszej cywilizacyi — to jeden i drugi wykracza przeciw należnej sprawiedliwości, postępuje nienaukowo i nielogicznie.

Chodzi więc najpierw o to, by zanalizować istotne składniki dzisiejszej cywilizacyi.

Ogólne pojęcie cywilizacyi przeciwstawia się pojęciu natury w tem znaczeniu, że przez naturę rozumiemy wszechświat, o ile ten niezależnie od jakichkolwiek wpływów ludzkiego działania istnieje. W tem przeciwstawieniu pojęcie cywilizacyi obejmuje to, co jest wynikiem ludzkiej działalności, ujarzmiającej do swych celów siły natury lub współdziałającej z niemi. Działalność ta rozciąga się na dwie sfery, sferę materyalną i sferę duchową. Sfera pierwsza obejmuje dobra materyalne i ma za zadanie dobra te udoskonalać i byt materyalny ludzkości czyni coraz znośniejszym, od bicia gościńców i rolnictwa począwszy, a na flotach wojennych i handlu światowym skończywszy. Jest to cywilizacya niższego stopnia, którą, dla odróżnienia od wyższej, właściwej cywilizacyi, nazywamy kulturą [1].

Druga, wyższa sfera cywilizacyi obraca się w sferze ducho-

[1] Autor nazwą »kultura« wyraża w duchu języka niemieckiego, pojęcie całej i właściwej cywilizacyi.

wej. Właściwe pojęcie o zakresie tej sfery daje nam historya. Ile było samodzielnych narodów i grup państwowych, tyleż było i cywilizacyi odrębnych, i znowu, ile faz rozwojowych posiadało życie takiego narodu, tyle było stadyów cywilizacyjnych. To pojęcie stadyum cywilizacyjnego ma swoją wielką wagę, bo nie każde stadyum jest właściwą miarą danej cywilizacyi. Nie określamy nigdy jakiejś cywilizacyi podług stadyum zaczątkowego lub końcowej doby upadku, lecz podług jej najwyższego rozkwitu.

W świetle historyi widzimy, że duchową tę sferę cywilizacyi wypełnia najpierw potrójny ideał prawdy, piękna i dobra. Dążność do prawdy jest źródłem nauk, umiejętności i filozoficznych systemów i powiększa poznanie ludzkie — ideał piękna stwarza sztuki i estetycznie uszlachetnia człowieka — dążność do dobra dopomaga ukształtować życie jednostkowe podług wiecznych norm, a życie społeczne i państwowe podług praw sprawiedliwości.

Historya nadto poucza, że, prócz tej potrójnej kategoryi, w istotę cywilizacyi wchodzi także i religia. Cywilizacye wszystkich czasów i miejsc, w dobie swego najwyższego rozkwitu, wskazują, że człowiek nie tylko dążył do urzeczywistnienia ideału prawdy, piękna i dobra, ale że usiłował nadto zbliżyć się istoty, którą w jakikolwiek sposób pojmował jako praźródło tego potrójnego ideału. I owszem, w tym składzie rzeczy, religia przedstawia się jako korona cywilizacyi. Ona wszelką dążność do potrójnego ideału w sobie skupia i sobie podporządkowuje temsamem, że z samem źródłem wszelkiego ideału i wszelkiej doskonałości jednoczy się.

Oto ścisłe określenie pojęcia cywilizacyi. Posiadamy już ogólną ideę, z którą do analizy cywilizacyi dzisiejszej przejść możemy.

Pojęcie cywilizacyi nowoczesnej wogóle, odpowiada okresowi nowożytnej historyi, stąd też przeciwstawia się w pierwszym rzędzie pojęciu cywilizacyi średniowiecznej. Takie jednak ogólne pojęcie nie nadaje się do obecnej dyskusyi z tego prostego względu, że cywilizacya historyi nowożytnej nie przedstawia jednolitej całości ale składa się z szeregu stadyów, dość od siebie różnych. Niema po prostu dość momentów wspólnych, ażeby na nich dała

się oprzeć jakakolwiek synteza. Jedna tylko ogólna idea wszystkie te stadya łączy, a tą jest pomienione przeciwieństwo między cywilizacyą nowoczesną a średniowieczną, stąd też tylko ta idea wchodzi w naszą dyskusyę. Na tło tej ogólnej idei należy wprowadzić jakiś ostatni peryod nowoczesnej cywilizacyi, któryby przedstawiał pewną, ściśle określoną całość i stąd też nadawał się do wykrycia i określenia pewnych znamion, stanowiących istotę dzisiejszej cywilizacyi w ostatnim swoim rozwoju. W oznaczaniu takiego peryodu łatwo o jakąś dowolność, co do granicy początkowej, ale ta może już nie wpływać decydująco na ogólny tok rozumowania. Z tego względu, choć nie godzimy się na peryod, jaki oznacza Ehrhard, to jest, na najbliższą przeszłość narodów zachodnio-europejskich, przyznajemy jednak chętnie, że pochód wnioskowania, mimo takiego oznaczenia, jest, na ogół, słuszny. Jest jednak szczerba. Za ostatni, jednolity, peryod dzisiejszej cywilizacyi uważamy, zgodnie z powszechnem zdaniem, okres od wielkiej rewolucyi francuskiej, i ten konsekwentnie powinien był być wciągniętym w analizę i syntezę. Brak tego spowodował lukę, na którą wkrótce, parę zdań niżej, wypadnie nam wskazać.

Z tego ogromnego bogactwa zakresów i objawów, jakie, krócej lub dłużej pojęty, ostatni peryod dzisiejszej cywilizacyi wskazuje, nie wszystko wchodzi w dziedzinę naszego problemu. Są pewne zakresy, co do których niema najmniejszej wątpliwości, że między niemi a katolicyzmem żadnej sprzeczności niema. Takim jest zakres cywilizacyi niższej, który kulturą nazwaliśmy. Owszem historya wskazuje, że katolicyzm, w społeczeństwach początkowych, sam usilną pracą do rozwoju tej kultury dopomagał, tak długo, dopóki w danem społeczeństwie nie wyrobiły się siły do dalszego jej podjęcia. O ile zaś katolicyzm jest przeciwnikiem nadużyć moralnych, wkradających się w tę dziedzinę, to zyskuje tylko względem niej nową zasługę, bo przeszkadza w ten sposób jej spaczeniu.

Jak kulturę materyalną, tak również poza nawias problemu wyłącza Ehrhard cały kompleks dzisiejszych spraw społecznych i prawno-politycznych. Czyni to z pewną słusznością dlatego, bo

poza stroną etyczną, która w każdej jakiejkolwiek formie państwowej reguluje tylko nadużycia, katolicyzm, z natury swojej, nikomu nie narzuca żadnych form społeczno-politycznych, dlatego też z żadną z tych form nie może stanąć w sprzeczności. O tyle Ehrhard ma słuszność. Ale przeoczył, że co innego zasada, a co innego historyczny bieg rzeczy. Sam w następnych rozdziałach zarzuca katolicyzmowi francuskiemu, że utożsamia swoje interesy z minioną formą rządu, prosta zatem konsekwencya powinnaby Ehrhardowi nakazać, by tę stronę polityczno-społeczną dzisiejszej cywilizacyi wciągnął w tok zagadnienia. A zwłaszcza, że ta strona, a więc datująca się od wielkiej rewolucyi, sprawa społeczna na tle ustroju demokratycznego, jest najważniejszym momentem dzisiejszego życia, najgłówniejszą ideą dnia i panującym duchem czasu. Takich momentów w tego rodzaju stadyum żadną miarą pomijać się nie powinno, zwłaszcza, że było tu tyle do powiedzenia o zgodności katolicyzmu z dążeniem dzisiejszej cywilizacyi, zarówno o postępowem stanowisku dzisiejszego katolicyzmu w tej mierze, jak i niepotrzebnym konserwatyzmie tam, gdzie ten konserwatyzm staje na przeszkodzie historycznej ewolucyi.

Główną uwagę zwraca Ehrhard na ideowe życie dzisiejszej cywilizacyi, w ściślejszem tego słowa znaczeniu.

Tu najpierw, bardzo dobra uwaga autora, że bynajmniej nie jest słusznem zdanie, jakoby istotnem znamieniem dzisiejszej myśli cywilizacyjnej były systemy filozoficzne i opierające się na nich ogólniejsze poglądy życiowe. Już to samo, że dzisiejsza filozofia wciąż zmienia stanowiska, że ze skrajnego idealizmu przechodzi w skrajny materyalizm, z pesymizmu w optymizm, z pogardy wszelkiej metafizyki do jej rehabilitacyi, że w lot idą po sobie systemy wykluczające się wzajemnie, już to samo jest dowodem, że w filozofii nie spoczywa główny czynnik dzisiejszej cywilizacyi, bo czynnik taki nie może się w tym samym peryodzie zmieniać, tem mniej zaś samemu sobie się sprzeciwiać. Główny czynnik jest ten, który stały i jednolity na wszystkie umysły wpływ wywiera, takim zaś nie jest żaden z dzisiejszych filozoficznych systemów. Filozofia dzisiaj, w porównaniu z innymi peryodami, zeszła do drugorzędnej roli, a, że mimo wszystko, istnieje dalej,

jest to tylko dowodem, że poszukiwanie ostatnich przyczyn stanowi nieprzepartą potrzebę ludzkiego umysłu.

Głównym czynnikiem dzisiejszego umysłowego życia są badawcze studya empiryczne i historyczne. Pod tym względem ostatni okres niema w całej historyi sobie równego. Powstaje w tym czasie cały szereg nowych umiejętności przyrodniczych i historycznych, dawniejsze zaś nauki ulepszają metodę, pogłębiają zagadnienia i rozszerzają rezultaty.

W olbrzymim tym rozroście pozytywnych nauk i płynących z nich teoretycznych i praktycznych wyników i zastosowań, spoczywa główna zasługa i jedno z głównych znamion dzisiejszej cywilizacyi. Znamię to możnaby określić nazwą empiryzmu i historycznego pozytywizmu. Już zaś oczywistem jest, że znamię to stoi w otwartej sprzeczności z istotnym kierunkiem średniowiecza, które bardzo małą zwracało uwagę na sferę pozytywnych badań, oddane całe ogólnym syntezom i filozoficznej spekulacyi. O ile więc ktoś utożsamia dzisiejszy katolicyzm z średniowieczem, ten oczywiście musi widzieć sprzeczność między katolicyzmem a dzisiejszą cywilizacyą.

Życie artystyczne dzisiejszej cywilizacyi nie nasuwa żadnego szczegółu, któryby miał ważność dla naszego zagadnienia. Sprzeczności między katolicyzmem a sztuką nie upatruje dziś nikt, komu tylko znaną jest wielka przeszłość katolicyzmu na tem polu. Wogóle, sprzeczności między katolicyzmem a techniką artystyczną trudno byłoby kiedykolwiek się dopatrzeć, o ile zaś o treść sztuki chodzi, to ta podpada już pod inne zakresy, umysłowe, obyczajowe i społeczne.

Natomiast wiele obserwacyi nastręcza dzisiejsze życie obyczajowe. O ile chodzi o przewodni, charakterystyczny rys tego życia, to byłby nim zaczynający się już w epoce humanizmu, indywidualizm, dążność do pełnego wyrobienia sił i zasobów duchowych jednostki ludzkiej. Z tą dążnością — w tem określeniu zupełnie słuszną — łączy się inna, już ujemna, stawiająca osobiste myśli, chęci, uczucia, za normę bezwzględną myślenia, woli i czucia, tak zwany subjektywizm. Dwie te dążności dzisiejszej jednostki ludzkiej, wytwarzają w życiu społecznem dążność do wol-

ności publicznej, rozszerzającej coraz swoje zakresy i dochodzącej niejednokrotnie do konfliktu już nie z aktualną władzą, ale nawet z samem jej pojęciem. Oczywiście, że nie można wszystkich anarchistycznych wybryków i skrajnych teoryi wolności kłaść na karb wolności samej i winić o nie bezwzględnie dzisiejszą cywilizacyę, bo potępia je dzisiaj każdy rozumny człowiek — jak z drugiej strony nie należy zapoznawać dodatniego i uszlachetniającego wpływu, jaki pełny a normalny rozwój jednostki za sobą pociąga.

Pod względem ogólnego poczucia etycznego w dzisiejszym świecie, to nie da się zaprzeczyć, że ono, w porównaniu z poprzednimi okresami, oczyściło się z różnych względów, które etycznemi nie były, że rozciągnęło się nadto na liczniejsze stosunki życiowe. Poza tym jednak więcej teoretyczne aniżeli praktyczne znaczenie mającym względem, stwierdzić trzeba, że ogólny bilans obyczajowy dnia dzisiejszego przedstawia się bardzo smutno.

Jeszcze smutniej przedstawia się strona religijna dzisiejszej cywilizacyi. Cała siła dzisiejszych umysłów i całe natężenie pracy idzie w świeckie zakresy. Czy nie należy spodziewać się zwrotu w stronę spraw religijnych, gdy pewien stopień rozwoju i doskonałości będzie w tamtych zakresach osiągnięty? W każdym razie, zaznaczyć należy to pocieszające zjawisko, że sprawy religijne, w ostatniem stadyum, z nową wracają siłą na widownię, nieraz dzięki fanatyzmowi tych, którzy radziby je zupełnie usunąć.

Oto, w najgłówniejszych liniach, obraz dzisiejszej cywilizacyi, odnośnie do naszego zagadnienia.

Zanim z tym obrazem zestawić będzie można stanowisko katolicyzmu, należy, w kilku przynajmniej zdaniach, rozpatrzyć pewną opinię o katolicyzmie, która stoi temu zestawieniu na przeszkodzie.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad przytaczanem często zdaniem Syllabusa, w którem ma być postawiona teza o sprzeczności katolicyzmu z dzisiejszą cywilizacyą. Należy udać się do kontekstu, z którego wyjęte jest to zdanie, a wtedy wszelka trudność w zrozumieniu go zniknie. Dużo większe znaczenie ma pewna ogólniejsza opinia, odnosząca się do samej istoty katolicyzmu. Oto, katolicyzm jest pojmowany często, jako skostniały organizm, w któ-

rym niema żadnej ewolucyi, żadnej dążności, przystosowującej się do nowych potrzeb i stosunków. Konkretną formą tego skostnienia ma być średniowiecze, z którem katolicyzm ma być nierozdzielnie związany.

Jest to jedna z tych licznych opinii, z których często tyle nieporozumień płynie. W podobny sposób nie odróżnia się w katolicyzmie tego co jest zasadą, ideałem boskim od tego, co jest historyczną rzeczywistością, płynącą z ułomności ludzkiej — nie odróżnia się urzędu od osoby ten urząd sprawującej — nie czyni się różnicy między czynnikami wiecznymi, istotnymi, a czasowymi i przejściowymi. Tymczasem, jak w każdej społeczności ludzkiej, tak i w katolicyzmie, poza boskim jego pierwiastkiem, element ludzki swoją odrywa rolę - i to w ujemnem i w dodatniem znaczeniu. Jednem z dodatnich znaczeń jest właśnie zdolność do ewolucyi w biegu spraw ludzkich. Wystarczy zestawić starochrześcijańską epokę katolicyzmu z epoką średniowieczną, a w tych dwu epokach rozliczne stadya ze sobą, ażeby naocznie się przekonać, że opinia o skostniałości katolicyzmu jest tylko uprzedzeniem, opierającem się na niejednym fakcie historycznym, płynącym z ułomności ludzkiej, ale bynajmniej nie opierającem się na zasadach i istocie katolicyzmu i na całokształcie jego historyi.

Z usunięciem tego uprzedzenia o średniowieczczyźnie katolicyzmu, już w kilku słowach wykazać można zasadniczą zgodność katolicyzmu z dzisiejszą cywilizacyą. Wskazaliśmy już poprzednio, że niema żadnej sprzeczności między katolicyzmem a cywilizacyą materyalną, jak również między społeczno-polityczną stroną dzisiejszej cywilizacyi. Co się tyczy strony naukowej, empiryczno-pozytywnej, to wszystkie chyba wątpliwości usunąć może orzeczenie koncylium watykańskiego, omawiające stosunek rozumu i objawienia, wiary i wiedzy, w którem Kościół naukę dzisiejszą i jej metodę uznaje i popierać ją pragnie. Jak zaś z przedwstępnych obrad koncylium widać, przez naukę szczególniej rozumiano nauki przyrodnicze. To jest zasada, jedynie miarodajna dla sądu o stosunku katolicyzmu do nauki. Przytaczanie faktów, choćby nawet faktu Galileusza, niczego nie dowodzi, bo była to ta sama

ułomność ludzka, której ofiarą padają dziś ludzie nauki, kiedy wydają sądy o rzeczach, leżących poza ich zakresem.

Co się tyczy życia obyczajowego dzisiejszej epoki, to nikt chyba, zasadniczo rzeczy biorąc, nie będzie odnosić się tak życzliwie do wszystkiego, co w niem jest dobrem i zdrowem, jak katolicyzm. Ale, gdzie zaczyna się występek i spostoszenie moralne, tam katolicyzm jest stanowczym przeciwnikiem. I to jest owo jedyne znaczenie, w którem Kościół przeciwstawia siebie światu. Nie jest przeciwnikiem świata w fizycznem znaczeniu, bo świat ten jest dziełem rąk Bożych, ani w kulturalno-cywilizacyjnem znaczeniu, bo świat w tem znaczeniu jest tylko ewolucyą sił, jakie Bóg w naturze ludzkiej złożył — jest jednak przeciwnikiem świata w moralno-religijnem znaczeniu, o ile pojęcie świata utożsamia się ze sferą, paczącą myśli i dzieła Boże. Każdy jednak szczery miłośnik dobra moralnego i prawdziwej cywilizacyi zrozumie od razu słuszność i zbawienne znaczenie takiego stanowiska katolicyzmu dla wszelkiej cywilizacyi wogóle.

Na podstawie dotychczasowych uwag można już z całą ścisłością określić istotną przyczynę wszelkich nieporozumień między dzisiejszym katolicyzmem a dzisiejszą cywilizacyą. Jak już widzieliśmy, nie leży ona w pozytywnych danych, nie tkwi w tem, co istotną wartość i słuszne i uprawnione dążenia cywilizacyi stanowi, ale w tem, co poza tę normę wychodzi, a w tem i przedstawiciele dzisiejszej cywilizacyi i liczni katolicy ponoszą odpowiedzialność.

Co się odpowiedzialności dzisiejszej cywilizacyi tyczy, to już dość mówiliśmy o jej zboczeniach na polu religijnem i obyczajowem. Ujmując to w pewną syntezę, powiedzieć trzeba, że budowa dzisiejszej cywilizacyi jest w wysokim stopniu nieharmonijną. Między poszczególnemi dziedzinami cywilizacyi istnieje ścisły stosunek, który bezkarnie nie da się przemienić, który jednak w niezwykłej mierze jest obecnie zmącony. W najwyższej cenie opinii i najpowszechniejszym celem dążenia są dzisiaj dobra kultury materyalnej. Dopiero po nich zajmują miejsce dobra cywilizacyi duchowej, między temi znowu wyższy stopień znaczenia mają czynniki intellektualne, niż etyczne i religijne. Porządek

zatem przewrócony do góry nogami. Oczywiście, że na taki stosunek katolicyzm zgodzić się nie może, bez zaprzeczenia samej swojej istocie, i bez najwyższych strat dla samej cywilizacyi. Temu przewróceniu wartości nie winien ani katolicyzm ani istota cywilizacyi, winni tylko ci zwolennicy cywilizacyi, co stoją pod wpływem materyalistycznych poglądów i systemów, które, jak już wskazaliśmy, bynajmniej nie są istotnym czynnikiem cywilizacyi dzisiejszej. Gdy więc katolicyzm żąda od nich powrotu do należytego porządku, to nie żąda cofania się, ale właśnie cywilizacyjnego postępu. Następstwem braku porządku jest chaos, właśnie antyteza wszelkiej cywilizacyi.

Tu się otwiera wdzięczne pole dla działalności katolickiej. Jeżeli katolicy objąwszy to, co wartość dzisiejszej cywilizacyi stanowi, wprowadzą w ten dobytek, na mocy swego światopoglądu, należyty porządek rzeczy, to będą twórcami jednej z najświetniejszych epok cywilizacyjnych. Tem też większa spoczywa odpowiedzialność na katolikach za dotychczasowe zaniedbania.

Naoczny dowód tego daje dzisiejsza Francya. Obecny rozdział Kościoła od państwa jest poniekąd formalnem następstwem tego rozdziału, jaki istniał już od dawna między katolicyzmem francuskim a współczesną cywilizacyą, jej polityczną formą i społecznemi potrzebami. Odporne to stanowisko katolicyzmu francuskiego względem nowych form społeczno-politycznych jest tylko jaskrawym obrazem tego odpornego stanowiska, jakie względem słusznych postulatów dzisiejszej cywilizacyi, niejeden katolik na niejednem polu zajmuje. Nie jest to oczywiście stanowisko katolicyzmu, jako takiego, tem smutniej jednak, że takiem bywa niejednokrotnie stanowisko jednostek z tego obozu. Tu odpowiedzialność za przeszłość i obowiązek na przyszłość są oczywiste.

Ten obowiązek przyszłości tem łatwiej będzie wypełnić, że istnieją już gotowe wzory, jakie, naprzykład, dają dzisiejsi katolicy Niemiec i Belgii.

Drogi tego obowiązku są różne. Co do materyalnej kultury niema żadnej kontrowersyi, co się zaś społecznej i prawno-politycznej sfery tyczy, to zgodny z dzisiejszym duchem kierunek, wytknięty przez Leona XIII, coraz głębsze w dzisiejszym kato-

licyzmie zapuszcza korzenie i coraz szersze przestrzenie zajmuje. Szczególniej ważnem jest przyswojenie sobie empiryczno-pozytywnej metody, co tem łatwiej w katolickich uczelniach przyjść może do skutku, że wcale nie wyklucza ona metody dotychczasowej, lecz tylko ją rozszerza i udoskonala. Nadto, otwiera ona nowe pole pracy w zakresie nauk teologicznych i filozoficznych, jak w egzegezie, w historycznej teologii lub w filozofii nauk przyrodniczych.

Oto ogólne wskazania nowej syntezy Ehrharda, rzucające pomost ponad uprzedzeniami wzajemnemi dnia dzisiejszego. Przyznać należy, że tym razem pomost dobrze zbudowany, że nowa ta synteza jest rzetelnym nabytkiem w skarbnicy dzisiejszych idei.

Kończy Ehrhard gorącym, prawdziwie apostolskim, apelem do dzisiejszych katolików, zachęcając do wzięcia udziału w cywilizacyjnej pracy, nie w imię błyskotliwości katolicyzmu w świetle dzisiejszej cywilizacyi, ale w imię nędzy moralnej i religijnej dzisiejszej cywilizacyi, w imię dusz, które w tej zadusze i ciemności giną. Chcąc im przynieść świeży powiew i światło, trzeba wejść na ich teren.

Ks. Jan Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

WOBEC ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ WYBORÓW W GALICYI. Przez *JE. Ks. Arcybiskupa J. Teodorowicza* . . . . . 1*—23*

NOWA SYNTEZA EHRHARDA. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 24*—35*

DZISIEJSZA AKCYA LIBERALIZMU. Przez *d-ra Włodzimierza Czerkawskiego* 1

ODYS NAD MORZEM. Przez *Stanisława Wyspiańskiego* . . 25

TEORYA ROZWOJOWA A KATOLICYZM. Naokoło książki Wasmanna. Przez *ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.* . 34 181

MIĘDZYNARODOWE USTAWODAWSTWO ROBOTNICZE NA KONGRESACH BERNEŃSKICH (w roku 1905 i 1906). Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 47 206

OBECNY RUCH ROZWODOWY W AUSTRYI. Przez *ks. Aleksandra Mohla T. J.* 66

BITWA NA WAŁACH. (Dokończenie). Przez *Lucyana Rydla* 76

ZWYCIĘSKI RZĄD FRANCUSKI. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 137

TEREN POLITYKI KOLONIALNEJ NIEMIEC. Przez *d-ra Stanisława Weinera* 158

PIERWSZY AUSTRYACKI KONGRES OCHRONY DZIECI (d. 18, 19 i 20 marca 1907). Przez *d-ra K. W. Kumanieckiego* 171

PIERWSZE POWSZECHNE GŁOSOWANIE W AUSTRYI. Przez *prof. d-ra Włodzimierza Czerkawskiego* 289

»LOURDES« ZOLI I »LOURDES« HUYSMANSA. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 322

KONGRES WSZECHBRYTYJSKIEGO IMPERYUM. Przez *ks. K. Konopkę T. J.* 336

Z SAMOTNYCH WIECZORÓW. Przez *Maryę Harsdorf* . . . 357

BOGURODZICA POD WZGLĘDEM HISTORYCZNO-MUZYCZNYM. Przez *Adolfa Chybińskiego* 373

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII. W. Heinrich: »Teorye i wyniki badań psychologicznych«. Część pierwsza: »Badania wrażeń zmysłowych«.— Tenże: »O wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń optycznych i akustycznych«. — Tenże: »Krytyczny przegląd dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnemi«.—Tenże: »O stałości wrażenia zaledwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych«. — Tenże: »O funkcyi błony bębenkowej«. — Stanisław Loria: »Untersuchungen über das periphere Sehen«. — W. Heinrich und L. Chwistek: »Über das periodische Verschwinden kleiner Punkte«. *(Prof. dr. Maurycy Straszewski)* 83

POLSKA PIERWOTNA W NASZEJ POEZYI OSTATNIEJ DOBY: 1. Żeromski Stef.: »Powieść o Udałym Walgierzu«. — 2. Płażek Feliks: »Pogrom«. *(Ant. Mazanowski)* 227

KAZANIA EUCHARYSTYCZNE O NAJŚW. SERCU PANA JEZUSOWEM. Ks. dr. Władysław Chotkowski. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* . . . 235

PORTRETY I SYLWETKI. Ludwik Dębicki. Serya I. *(Ks. K. Czaykowski T. J.)* 238

POLSKA PIERWOTNA W NASZEJ POEZYI OSTATNIEJ DOBY: 3. Marcinowska Jadwiga: »Wyśniony dramat«. — 4. Wolska Maryla: »Svanta«. — 5. Wyspiański Stanisław: »Skałka«. *(Ant. Mazanowski)* 393

O MSZACH MANUALNYCH. Komentarz do Dekretu św. Kongregacyi Soboru »De observandis« z dnia 11 maja 1904 r. Napisał ks. dr. Wład. Kochowski. *(Ks. Jan Roth T. J.)* 407

Z piśmiennictw obcych.

Z POWIEŚCI ANGIELSKICH: »Donovan Pasha and some people of Egypt«, by Gilbert Parker. — »Double Harness« by Anthony Hope. — »Starvecrow farm« by Stanley I. Weyman. — »The garden of Allah« by Robert Hichens. *(Teresa Wodzicka)* 95

COMPENDIUM THEOLOGIAE MORALIS P. IOAN. PETRI GURY S. J. opera P. Ioan. B. Ferreres eiusdem Societatis. — CASUS CONSCIENTIAE PROPOSITI A P. IOAN. GURY S. I., novis casibus aucti opera P. Ioan. Ferreres eiusdem Societatis. *(Ks. R. Kudasiewicz T. J.)* . . 242

LEHRBUCH DER MORALTHEOLOGIE. Von Dr. Anton Koch, Prof. der Theol. an der Universität Tübingen. *(K. Feliś T. J.)* 244

DIE JENSEITSMORAL IM KAMPFE UM IHRE GRUNDLAGEN. Von Dr. Ph. Kneib. *(K. Feliś T. J.)* 246

ETUDES MORALES SUR L'ANTIQUITÉ. Par Constant Martha, membre de l'Institut. *(W. Gostomski)* 250

LA DÉVOTION AU SACRÉ COEUR DE JÉSUS. Doctrine—Histoire, par J. V. Bainvel. *(Ks. E. Matzel T. J.)* 409

LUTHER UND LUTHERTUM IN DER ERSTEN ENTWICKLUNG. Quellenmässig dargestellt vom P. H. Denifle O. P. *(Ks. A. Arndt T. J.)* 412

ANTIPRISCILLIANA. Dogmengeschichtliche Untersuchungen und Texte aus dem Streite gegen Priscillians Irrlehre. Von Dr. K. Künstle, a. o. Prof. d. Theol. an d. U. Freiburg i. B. *(Leon Bolesławski T. J.)* 416

PÈLERINAGES LITTERAIRES. Henry Bordeaux. *(M. Harsdorf)* 418

Zapiski bibliograficzne.

Str.

Szkolnictwo i wychowanie. K. H. Wachtel. Referat wydziału wykonawczego na III kongres federacyi Polaków-katolików w Ameryce. *(B.)* 105

Rozwiązanie zagadnienia ubóstwa. Ks. J. Stanisław Adamski T. J. *(Dr. A. B.)* 105

Rosyjskie partye polityczne i ich stosunek do sprawy polskiej. L. Płochocki. *(L.)* 105

Do granic wiecznego lodu. Józef K Jakubowski. *(B.)* 106

Mikołaj Rej z Nagłowic. W czterechsetną rocznicę urodzin. 1505—1905. Jan Bystrzycki. *(I.)* 106

Katorżnik czyli pamiętniki Sybiraka. Napisane przez Jana Siwińskiego. *(L.)* 253

Kronika Jana z Czarnkowa. Przełożył z łacińskiego, wstępem i przypisami uzupełnił I. Żerbiłło. *(E.)* 253

W pięćsetną rocznicę założenia klasztoru Bożego Ciała na Kazimierzu w Krakowie (1405—1905). Szkic dziejów opactwa XX. Kanoników Regularnych Lateraneńskich. *(E.)* 253

Bracia i ich przybycie do Anglii. Przekład z Tomasza z Ecclestonu. Z wstępną rozprawą o duchu i początku Zak. franciszkańskiego. Przez O. Cuthberta O. S. F. C. *(A. R.)* 254

Wizytki wileńskie w Jaśle. Skreślił ks. Wład. Sarna. *(C.)* 254

Chleb duchowny dla prawowiernych katolików. *(A. M)* 255

Das katholische Kirchenjahr. Eine Gedichtsammlung. Von Philomena. *(T. W.)* 256

Bolesław Śmiały i św. Stanisław Szczepanowski w poezyi polskiej. Antoni Euzebiusz Balicki. — Św. Stanisław, biskup krakowski. Ks. Stanisław Buczys. *(B.)* 421

Fragment z pamiętnika. *(Z.)* 422

Trybun ludu szlacheckiego. Studyum historyczne. Napisał Wacław Sobieski. *(Dr. A. B.)* 423

Głosy na czasie. Nr. 2: »Wartość dóbr doczesnych w świetle religii chrześcijańskiej«. Dr. Tadeusz Rzymski *(A. R.)* 423

Kacerska sekta Mankietników, jej początek i odstępstwo od Kościoła. Dr. A. Barmarcin. *(A. R.)* 424

Siedziba Bazylianów w Torokaniach. Wołyniak. *(A. R.)* 424

Floryan Oksza Stablewski, Arcybiskup gnieźnieński i poznański. Wspomnienie pośmiertne. Ks. Władysław Chotkowski *(A. R.)* 424

Błogosławiony Szymon z Lipnicy. Nabożeństwo i żywot. O. Norbert Golichowski, z Zak. B. M. Uzupełnił i ponownie wydał ks. Tomasz Siemek. *(A. R.)* 424

César Frank par Vincent d'Indy. *(A. Ch.)* 424

Aux jeunes filles. Lettres. Fr. A. M. *(R.)* 425

Rose of the river by Kato Douglas Wiggin. *(T. W.)* 425

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła. Z katolickiego życia w Holandyi. — Ze stosunków w Belgii. — Z Hiszpanii. — Podwójna miara. — Obce głosy o Francyi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 107

Str.

Z CODZIENNEJ PRASY. Watykan przed sądem *Nowej Reformy*. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 117

Z NOWOŚCI GEOGRAFICZNYCH. Francuska Sahara. Przez *ks. Kazimierza Konopkę T. J.* 120

ZE SPRAW SPOŁECZNYCH. Rozłam wśród socyalizmu w Królestwie. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 127

MAJ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z zamętu protestanckiego. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 257

LISTY Z WARSZAWY. Przez *T. Jeske-Choińskiego* 268

ZE ŚWIATA ARTYSTYCZNEGO. Przez *Leonarda Lepszego* 281

ZE SPRAW SPOŁECZNYCH: Nasza emigracya. Przez *Z.* 286

CZERWIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Pierwszy zjazd katolickich pisarzy i dziennikarzy polskich. — Z walki kulturnej w Hiszpanii. — Z anglikańskiego życia religijnego. — Obrazki z protestantyzmu. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 426

LISTY Z WARSZAWY. (Marzec, kwiecień, maj 1907 r.) Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* 435

Z DOKUMENTÓW HISTORYCZNYCH: Nowe szczegóły i nowe wątpliwości do życia Kościuszki. Przez *d-ra Feliksa Konecznego* 442

VIII. MIĘDZYNARODOWY KONGRES ROLNICZY W WIEDNIU. Przez *M-o* . 445

SPRAWY BIEŻĄCE: Oszczercza publicystyka. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.* 449

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.